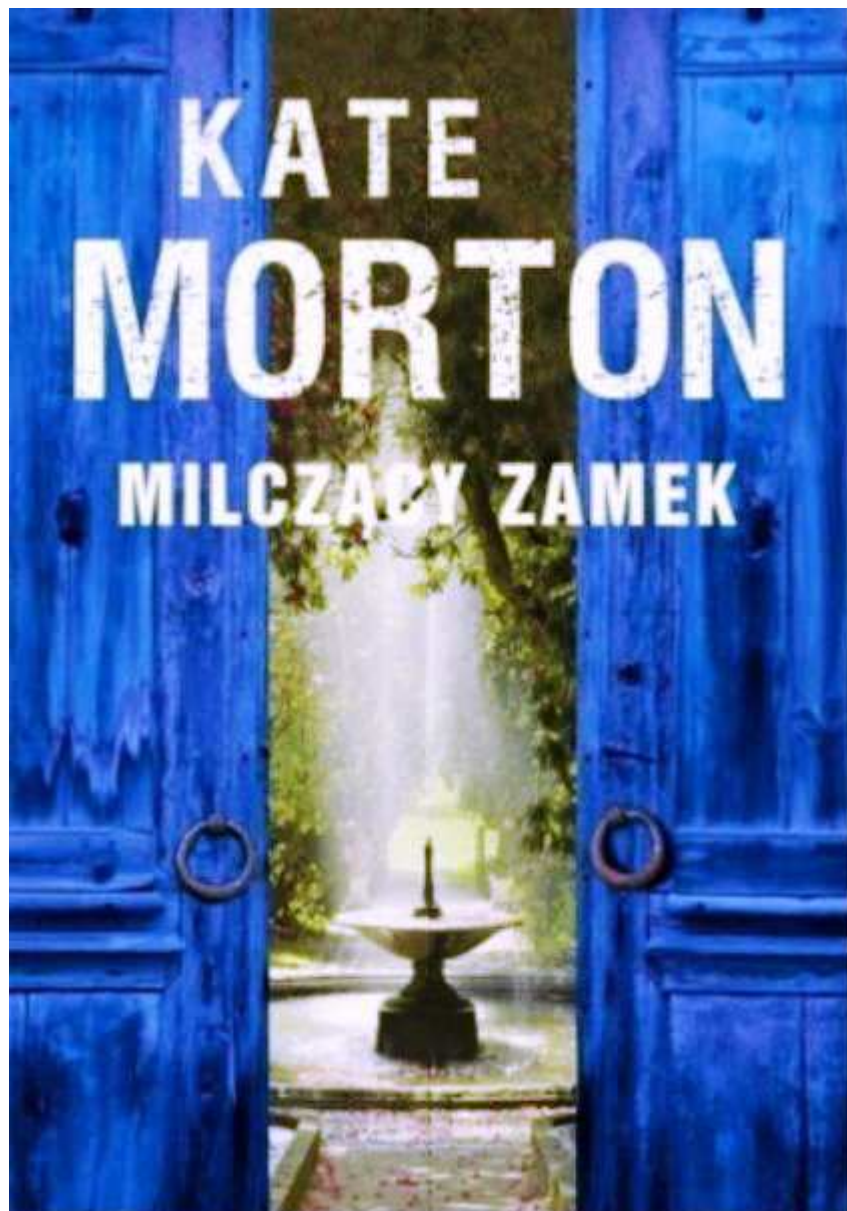


**KATE
MORTON**

MILCZĄCY ZAMEK





Romantyczny thriller z elementami powieści gotyckiej.
Opowieść o zdradzie, rodzinnych tajemnicach
i poszukiwaniu własnych korzeni.

Fascynująca saga rodzinna... Cudowna książka,
nie mogłam się od niej oderwać.

Irish Examiner

ISBN 978-83-7659-389-0



9 788376 593890

WWW.KATEMORTON.COM

**KATE
MORTON
MILCZĄCY ZAMEK**

Z angielskiego przełożyła
IZABELA MATUSZEWSKA



Tytuł oryginału: THE DISTANT HOURS

Copyright © Kate Morton 2010 All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2011

Polish translation copyright © Izabela Matuszewska 2011

Redakcja: Ewa Pawłowska

Ilustracje na okładce:

Craig Roberts/Photolibary (*fontanna*)

Arcángel Images (*brama*)

Pfjjekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-390-6

(oprawa twarda)

ISBN 978-83-7659-389-0

(oprawa miękka)

Dystrybutor

Firna Księgarska Olesiejuk sp, z o.o, sp, k.-a.

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.empik.com

www.merlin.pl

www.gandalf.com.pl

www.ksiazki.wp.pl

www.amazonka.pl

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

2011. Wydanie I/oprawa miękka Druk: B.M. Abedik S.A., Poznań

*Dla Kim Wilkins,
która zachęcała mnie, bym zaczęła,
i dla
Davina Pattersona,
który trwał przy mnie do ostatniej kropki.*

Ćśś... Słyszycie go?

Drzewa słyszą. One pierwsze wiedzą, że się zbliża.

Słuchajcie! Drzewa w głębokim, ciemnym lesie drżą i potrzęsają liśćmi niczym cieniutkimi płatkami srebra; wiatr przekrada się między czubkami koron i szepcze, że coś się wydarzy.

Drzewa wiedzą, ponieważ są stare i wszystko to już widziały.

✠

Bezksiężycowa noc.

Człowiek z Błota przychodzi, gdy księżyc się ukrywa. Noc naciągnięta na dłonie skórzane rękawiczki, strząsnęła na ziemię czarny całun – to podstęp, przebranie, senne zakłęcie, aby wszystko usnęło smacznie pod jej okryciem.

Lecz ciemność nie jest nieprzenikniona, każda rzecz ma swoje niuanse, natężenie, fakturę. Spójrzcie tylko na szorstkie, wełniste lasy, pikowane płachty pól, gładką melasę fosy. Jeśli jednak macie choć odrobinę szczęścia, nie zauważycie, że coś się poruszyło w mule, gdzie ziemia powinna leżeć niewzruszona. Macie szczęście, ponieważ nikt, kto widział przebudzenie Człowieka z Błota, nie dostaje szansy, by opowiedzieć jego historię.

Tam, widzicie? Lśniąca, błotnista fosa przestała być gładka i równa. Na rozległej, płaskiej powierzchni tworzy się bąbel, jakby mokradło wydało westchnienie, na wszystkie strony rozbiegają się drżące zmarszczki, aluzja...

Lecz wy odwróciliście wzrok! I postąpiliście mądrze, to nie jest widok dla takich jak wy. Przeniesiemy się teraz do zamku, ponieważ tam również coś się poruszyło.

Wysoko na wieży.

Obserwujcie uważnie, a zobaczycie.

Dziewczynka zrzuca z siebie koldrę.

Położono ją do łóżka kilka godzin temu. W sąsiedniej komnacie pochrapuje cicho jej opiekunka; śnią jej się lilie i mydło, i wysokie szklanki świeżego, ciepłego mleka. Lecz dziewczynkę coś obudziło. Podnosi się cichutko, przesuwa po czystym, białym prześcieradle, spuszcza dwie blade, szczupłe łydki na drewnianą podłogę.

Na niebie nie ma księżycy, którego blask rozświetlałby świat za murami zamku, mimo to coś ją przyciąga do okna. Chropowata szyba jest zimna. Dziewczynka czuje migotanie powietrza oszronionego ciemnością, wdrapuje się na szafkę z książkami, siada nad rządami porzuconych dziecięcych bajek, ofiar jej pospiesznego dojrzwiania. Owija sobie blade nogi koszulą i opiera brodę w zagłębieniu między złączonymi kolanami.

Gdzieś tam daleko jest świat, ludzie kręcą się jak nakręcane figurynki.

Pewnego dnia, całkiem niedługo, dziewczynka zamierza zobaczyć to wszystko na własne oczy, bo chociaż wszystkie drzwi w zamku są pozamykane na klucz i wszystkie okna zakratowane, to przecież mają one za zadanie chronić mieszkańców przed tamtym, a nie wzięć ją w środek.

Przed tamtym.

Słyszała o nim historie. On sam jest historią, tak samo jak kraty i zamki, pozostałością dawnych czasów, gdy ludzie wierzyli w takie rzeczy. Opowieści o potworach czających się w fosie i czyhających na piękne dziewice. O człowieku, któremu dawno temu wyrządzono krzywdę i który pała żądzą zemsty.

Jednak dziewczynka – zmarszczyłaby brwi, słysząc, że ktoś ją tak nazywa – nie wierzy już w bajki o potworach. Niecierpliwi się. Jest nowoczesna, dorosła i pragnie się wyrwać na wolność. Ten pokój i zamek już jej nie wystarczają, ale na razie to wszystko, co ma, dlatego wygląda ponuro przez okno.

W oddali, w zmarszczce między plisami wzgórz, leży miasteczko pograżone we śnie. Ostatni wieczorny pociąg głuchym gwizdem oznajmia swoje przybycie; samotne wołanie pozostaje bez odpowiedzi i zawia dowca w sztywnej czapce człapie, aby podnieść semafor. W pobliskim lesie kłusownik składa się do strzału, lecz marzy o powrocie do domu,

do ciepłego łóżka. Na obrzeżach miasteczka, w chacie, gdzie farba obla-
zi ze ścian, płacze nowo narodzone dziecko.

Oto najzwyczajsze wydarzenia w świecie, gdzie wszystko ma sens,
gdzie ludzie widzą tylko rzeczy, które istnieją, a tych, których nie ma,
nikt nie zauważa. Jakże inny to świat od tego, w którym zbudziła się
dziewczynka.

Pod oknem pokoiku w wieży, znacznie bliżej, niż chciała sięgnąć
wzrokiem, coś się bowiem zaczyna dziać.

✠

Fosa zaczyna oddychać. Głęboko w bagnisku drga serce pogrzebane-
go mężczyzny. Z mulistej toni dobywa się cichy dźwięk, niczym zawo-
dzenie wiatru, i unosi się wyczekująco nad powierzchnią. Dziewczynka
je słyszy, a raczej czuje, albowiem fundamenty zamku są wtopione w
błoto i jęk przesącza się przez kamień, a potem pełźnie po ścianach, pię-
tro po piętrze, niewyczuwalnie, przez książki, na których siedzi. Ulubio-
na bajka z dzieciństwa spada na podłogę, dziewczynka wstrzymuje od-
dech.

Człowiek z Błota unosi powiekę. Gwałtownie rzuca okiem na
wszystkie strony. Czy w tamtej chwili wspomina utraconą rodzinę?
Śliczną, drobnutką żonkę i dwoje pulchnych niemowląt, które zostawił?
A może jego myśli cofają się jeszcze dalej w przeszłość, do czasów
chłopięcych, gdy biegnie z bratem przez pola porośnięte długimi, jasny-
mi łądogami; a może krąży myślami wokół innej kobiety, która go ko-
chała przed śmiercią, której czułości i pochlebstwa kosztowały go tak
dużo, która nie pogodziła się z odrąceniem.

✠

Coś się zmienia, dziewczynka wyczuwa to i drży. Przyciska dłoń do
zamarzniętego okna i pozostawia na szybie gwiazdzisty odcisk. Nastaje
godzina duchów, chociaż ona o tym nie wie i nie umie jej nazwać. Nikt
jej już nie pomoże. Pociąg odjechał, kłusownik leży u boku żony, nawet
noworodek zasnął, zrezygnowawszy z prób zakomunikowania światu
swojej obecności. Dziewczę w wieży jest jedyną osobą w zamku świa-
domą tego, co się dzieje; jej opiekunka przestała chrapać i oddycha

teraz tak leciutko, jakby zamarła. Ptaki w lesie wokół zamku również ucichły, wcisnęły łebki pod drżące skrzydła i zamknęły oczy na to, co ma nastąpić.

Dziewczynka jest sama, a w błocie budzi się mężczyzna. Jego serce łomocze szaleńczo, ponieważ nadszedł jego czas i nie potrwa długo. Obraca nadgarstki, stopy i powstaje z mulistego łoża.

Nie patrzcie, błagam, odwróćcie wzrok, kiedy wyłania się na powierzchnię, kiedy wygrzebuje się z fosi, kiedy staje na czarnym, rozmokłym brzegu, unosi ręce i wciąga w piersi powietrze. Przypomina sobie, jakie to uczucie oddychać, kochać i cierpieć.

Lepiej popatrzcie na burzowe chmury, nawet w ciemności widać, jak nadciągają. Przetaczają się gniewnym grzmotem, zaciskają pięści, biją piorunami i gromadzą się nad wieżą. Czy to Człowiek z Błota sprowadził burzę, czy to burza go wskreszyła? Nikt nie wie.

W pokoiku na wieży dziewczyna przechyla głowę na bok, kiedy pierwsze, niechętnie krople deszczu rozpryskują się na szybie i spotykają jej dłoń. Dzień był ładny, lecz nie upalny, wieczór przyjemny i chłodny. Rankiem ludzie ze zdziwieniem zobaczą rozmokłą ziemię. Podrapią się po głowie, uśmiechną do siebie i powiedzą:

– Coś takiego! I pomyśleć, że wszystko przespaliśmy.

Lecz patrzcie! Jakiś kształt pełźnie po murze wieży. Wspina się niwiarogodnie szybko i zręcznie. Żaden człowiek tego nie potrafi.

Podchodzi pod okno dziewczynki. Zastygli twarzą w twarz. Ona przez zalaną strumieniami szybę, przez zasłonę deszczu widzi oklejone błotem potwora. Otwiera usta, aby krzyknąć, by wezwać pomocy, lecz wtedy coś się zmienia.

Na jej oczach potwór się przeistacza. Spod warstw mułu, mroku, gniewu i rozpaczki wyłania się twarz młodego mężczyzny. Zapomniana twarz, pełna tęsknoty, smutku i piękna. Dziewczynka bez namysłu wyciąga rękę, aby otworzyć okno, aby wpuścić go do pokoju.

Raymond Blythe, *Prawdziwa historia Człowieka z Biota*, Prolog.

CZEŚĆ PIERWSZA

Zaginiony list odnajduje drogę

1992 r

Zaczęło się od listu, który zaginął dawno temu i czekał pół wieku w torbie z niedoręczoną korespondencją na ciemnym strychu w Bermondsey. Czasami rozmyślałem o tych setkach listów miłosnych, rachunków sklepowych, kart urodzinowych i pocztówek, wzdychających i pęczniejących od nieprzekazanych wiadomości, które szeptały do siebie w ciemnościach, czekając, aż je ktoś odkryje. Powiadają, że list pragnie odnaleźć swojego adresata, i prędzej czy później, czy się tego chce, czy nie, napisane słowa zawsze znajdą drogę, aby ujrzeć światło, aby ujawnić światu swoje sekrety.

Wybaczcie mi, jestem romantyczką. To skutek długich lat ślęczenia przy latarce nad dziewiętnastowiecznymi powieściami, kiedy rodzice myśleli, że śpię. Chcę powiedzieć, że to dziwne: gdyby Arthur Tyrell był nieco bardziej odpowiedzialnym człowiekiem i w Wigilię 1941 roku nie wypił o jedną szklankę grogu za dużo, po czym zamiast dokończyć roznoszenie poczty, nie wrócił do domu i nie zasnął pijackim snem, gdyby torba z niedoręczoną korespondencją nie wylądowała wciśnięta na strychu, ukryta starannie aż do jego śmierci pięćdziesiąt lat później, kiedy jedna z córek listonosza wygrzebała ją ze sterty rupieci i zadzwoniła do „Daily Mail”, wszystko potoczyłoby się inaczej. Dla mojej mamy, dla mnie, a zwłaszcza dla Juniper Blythe.

Być może czytaliście o tej historii w gazetach, dużo o niej pisano. Kanał 4 nadał nawet w telewizji program specjalny, w którym zaproszeni adresaci opowiadali o tych osobliwych głosach z przeszłości. Pewna kobieta dostała list od ukochanego, który służył w RAF-ie; jakiś

mężczyzna pokazywał kartkę urodzinową od syna ewakuowanego na początku wojny z Londynu. Tydzień później chłopiec zginął od szrapnela. Myślałam sobie wtedy, że to bardzo dobry program, chwilami poruszający, pełen zarówno szczęśliwych, jak i smutnych historii przeplatanych archiwalnym materiałem filmowym z czasu wojny. Kilka razy się rozplakałam, ale to o niczym nie świadczy, bo ja z natury łatwo się wzruszam.

Mama nie wzięła udziału w programie. Zadzwonili do niej producenci i pytali, czy jej list zawierał coś szczególnego, czym chciałaby się podzielić z innymi ludźmi; odparła, że nie, że to było zwyczajne zamówienie ze sklepu z odzieżą, który od dawna nie istnieje. Skłamała. Wiem, ponieważ byłam przy niej, kiedy przyszedł list, widziałam jej reakcję i z całą pewnością nie nazwałabym jej zwyczajną.

Wydarzyło się to rankiem pod koniec lutego, zima trzymała nas mocno za gardło, rabaty ściał lód. Przyjechałam do rodziców i pomagałam w pieczeniu mięsa na niedzielny obiad. Często to robię, ponieważ sprawa to im przyjemność, chociaż jestem wegetarianką i wiem, że prędzej czy później podczas posiłku mama zacznie się najpierw niepokoić, stopniowo na jej twarzy odmaluje się udręka, aż wreszcie nie wytrzyma i z jej ust posypie się litania danych statystycznych na temat niedoborów białka i związanej z tym anemii.

Obierałam ziemniaki w zlewie, kiedy list wpadł przez szczelinę w drzwiach. W niedzielę nie przychodzi poczta, więc powinno mi to dać do myślenia, byłam jednak zbyt pochłonięta zastanawianiem się, jak powiedzieć rodzicom, że rozeszliśmy się z Jamiem. Minęły już dwa miesiące i musiałam im to w końcu jakoś zakomunikować, lecz im dłużej zwlekałam z wykrztuszeniem tego, tym bardziej słowa kostniały mi w ustach. A miałam powody, żeby milczeć. Rodzice od początku byli wobec Jamiego nieufni, poza tym źle znosili wstrząsy i mama denerwowałaby się jeszcze bardziej niż zwykle, gdyby się dowiedziała, że mieszkam sama. Najbardziej jednak odstręczała mnie myśl o niezręcznej rozmowie, która nieuchronnie nastąpi później. Zobaczyć na twarzy mamy w pierwszej chwili zaskoczenie, potem konsternację, wreszcie rezygnację, która nastąpi, gdy tylko sobie uświadomi, że rola matki wymaga od niej pocieszenia... Wróćmy jednak do listu. Przy drzwiach rozległ się cichy szelest

wpadającej koperty.

– Edie, możesz to przynieść?

To była moja matka. (Edie to ja, przepraszam, powinnam była przedstawić się wcześniej). Wskazała głową przedpokój i machnęła ręką, która nie tkwiła w brzuchu kurczaka.

Odłożyłam ziemniaka, wytarłam dłonie w ścierkę i wyszłam do holu. Tylko jeden list leżał na wycieraczce: firmowa koperta poczty z adnotacją: „Zaginiona korespondencja”. Wchodząc do kuchni, przeczytałam mamie tę informację. Skończyła już nadziewać kurczaka i właśnie wycierała ręce. Zmarszczyła czoło, raczej odruchowo, bo nie spodziewała się niczego konkretnego, wzięła ode mnie list i zdjęła okulary do czytania z ananasa leżącego w misie z owocami. Rzuciła okiem na urzędową informację na wierzchu i wzniołszy przelotnie brwi, zaczęła otwierać kopertę.

Wróciłam do ziemniaków, co było bardziej absorbującą czynnością niż obserwowanie, jak moja mama otwiera korespondencję, tak więc z przykrością muszę powiedzieć, że nie widziałam wyrazu jej twarzy, kiedy wyjąwszy ze środka mniejszą kopertę, zobaczyła cienki, tani papier i stary stempel, kiedy odwróciła list i przeczytała nazwisko na odwrocie. Wyobrażałam to sobie wielokrotnie – jak kolory odpływają jej z policzków, palce zaczynają drżeć tak gwałtownie, że minęło kilka minut, nim zdołała rozciąć mniejszą kopertę.

Nie muszę sobie natomiast wyobrażać gardłowego odgłosu raptownie wciąganego powietrza, po którym nastąpiła seria chrypliwych szlochów. Zabrzmiały w kuchni tak przeraźliwie i niesamowicie, że ręka mi drgnęła i skaleczyłam się w palec.

– Co się stało, mamó?

Podeszłam do niej i objęłam ją ramieniem, uważając, aby nie poplamić jej sukienki krwią. Nie odpowiedziała. Później wyjaśniła, że w tamtej chwili nie potrafiła wykrztusić z siebie ani jednego słowa. Zesztywniała, po policzkach ciekły jej łzy, w dłoniach ścisnęła tę dziwną, malutką kopertę z tak cienkiego papieru, że prześwitywał przez nią róg złożonego listu, który przytulała mocno do piersi. Potem, rzuciwszy mi przez ramię kilka urywanych instrukcji dotyczących kurczaka, kuchenki i ziemniaków, znikła w swojej sypialni na piętrze.

W kuchni zapadła obolała cisza. Poruszałam się powoli i bardzo ostrożnie, aby jej nie zmącić. Moja mama nie należy do płaczków, lecz ten moment – jej rozpacz i wstrząs – wydawał mi się dziwnie znajomy, jakbyśmy już raz to przeżywały. Piętnaście minut później, w trakcie których próbowałam na przemian obierać ziemniaki, odgadywać, od kogo pochodzi list, i zastanawiać się, co powinnam zrobić, zapukałam wreszcie do jej pokoju i spytałam, czy chce się napić herbaty.

Jakoś się zdołała pozbierać, usiadłyśmy naprzeciwko siebie przy małym stoliku w kuchni. Podczas gdy ja udawałam, że nie zauważam jej zapłakanych oczu, ona zaczęła opowiadać, co zawierała koperta.

– To list – zaczęła – od kogoś, kogo znałam dawno temu. Miałam wtedy dwanaście, trzynaście lat.

Przypomniała mi się fotografia stojąca na stoliku nocnym przy łóżku mojej umierającej babki. W mglistym wspomnieniu zobaczyłam trójkę dzieci, z których najmłodsza była moja mama – dziewczynka z krótkimi, ciemnymi włosami, siedząca na pierwszym planie. Dziwne, odwiedzałam babcię w tym pokoju setki razy, a jednak nie potrafiłam odtworzyć w pamięci dokładnych rysów dziewczynki. Może dzieci nigdy nie interesują się, kim byli ich rodzice, zanim przyszły na świat, dopóki nie wydarzy się coś wyjątkowego, co wydobędzie przeszłość z mroku. Popijałam herbatę, czekając, aż mama zacznie mówić dalej.

– Nie wiem, czy opowiadałam ci o tamtych czasach, o drugiej wojnie światowej. Chyba niewiele, prawda? To był okres okropnego zamętu, tyle rzeczy legło w gruzach. Wydawało się... – westchnęła – wydawało się, że świat już nigdy nie będzie taki jak dawniej, jakby go wyrzucono z orbity i nic nie mogło przywrócić go na normalne tory.

Objęła dłońmi parujący kubek i zapatrzyła się do środka.

– Mieszkaliśmy... rodzice, Rita, Ed i ja, w mieszkaniu przy Barlow Street w Elephant and Castle. Wkrótce po wybuchu wojny wszystkie dzieci zebrano w szkolnych klasach, zaprowadzono nas prosto na stację kolejową i wsadzono do pociągów. Nigdy w życiu tego nie zapomnę: tłumy dzieciaków z tabliczkami, maskami gazowymi i tobołkami, a na ulicach matki, które w ostatniej chwili zmieniły zdanie i biegły na stację, wołając do wartowników, żeby wypuszczono ich dzieci, potem do starszego rodzeństwa, żeby pilnowali młodszych braciszków i siostrzyczek

i nie spuszczała ich z oka.

Przez chwilę siedziała, przygryzając dolną wargę, podczas gdy przed jej oczami rozgrywały się minione sceny.

– Musiałaś być przerażona.

Nie mieliśmy w rodzinie zwyczaju trzymania się za ręce, inaczej ścisnęłabym mocno jej dłoń.

– Z początku byłam.

Zdjęła okulary i potarła oczy. Jej twarz bez oprawek nabrała bezradnego, niedokończonego wyglądu przypominającego nocne zwierzę oszołomione światłem dziennym. Ucieszyłam się, kiedy włożyła je z powrotem i ciągnęła:

– Nigdy przedtem nie wyjeżdżałam z domu, nie spędziłam nawet nocy bez mamy, ale byli ze mną brat i siostra, oboje starsi ode mnie. W miarę jak upływała podróż, kiedy nauczyciel rozdał czekoladę, wszyscy poweseleli i zaczęliśmy się czuć, jakbyśmy wyruszali na przygodę. Wyobrażasz sobie? Wybuchła wojna, a my śpiewaliśmy piosenki, jedliśmy gruszki w syropie, wyglądaliśmy przez okno i graliśmy w dwadzieścia pytań. Dzieci potrafią być bardzo odporne, czasami wręcz bezduszne.

– Dojechaliśmy w końcu do miasteczka o nazwie Cranbrook, tam rozdzielono nas na grupy i wsadzono do różnych autobusów. Ten, w którym znaleźliśmy się z Ritą i Edem, zawiózł nas do Milderhurst. W ratuszu czekała tam na nas grupa miejscowych kobiet z uśmiechami przyklejonymi do twarzy, z listą nazwisk przywiezionych dzieci w rękach. Kazały się nam ustawić w rzędach, a ludzie chodzili wokół nas i wybierali. Najszybciej rozchodziły się maluchy, zwłaszcza te najładniejsze. Pewnie wszyscy uważali, że będzie z nimi najmniej roboty, że mają najmniej londyńskich nawyków. – Uśmiechnęła się krzywo. – Wkrótce dostali nauczkę.

– Mojego brata wybrano dosyć szybko. Był silny, wysoki jak na swój wiek, a chłopcy rozpaczliwie szukali rąk do pracy. Niedługo potem poszła moja siostra, zabrała ze sobą koleżankę ze szkoły.

To była najwyższa pora. Położyłam jej dłoń na rękę.

– Tak mi przykro.

– Nie przejmuj się. – Wyciągnęła rękę, i poklepała mnie po palcach. – Nie byłam ostatnia. Po mnie zostało jeszcze kilkoro innych

dzieci, mały chłopiec z jakąś chorobą skóry. Nie wiem, co się z nim stało, ale kiedy wychodziłam, on dalej stał w ratyszu. Wiesz, przez wiele lat później zawsze kupowałam w warzywniaku obite owoce, jeśli akurat takie podeszły mi pod rękę w pierwszej chwili. Nie pozwalałam sobie na przebieranie i odkładanie gorszych, które mi się nie podobały.

– Ale w końcu ktoś cię wybrał.

– Tak, w końcu ktoś mnie wybrał. – Zniżyła głos i zaczęła bawić się czymś, co leżało jej na kolanach, tak że musiałam się pochylić, aby ją słyszeć. – Przyszła spóźniona, w sali było już prawie pusto, większość dzieci zabrano i kobiety z Żeńskiej Służby Ochotniczej sprzątały naczynia po podwieczorku. Zaczęłam popłakiwać, chociaż starałam się, żeby nikt tego nie widział. Wtedy nagle ona wkroczyła do sali i w powietrzu jakby zaszła zmiana.

– Zmiana?

Zmarszczyłam nos, bo wyobraziłam sobie scenę z *Carrie*, kiedy wybuchają światła.

– Trudno to wytłumaczyć. Spotkałaś kiedyś osobę, która sprawia wrażenie, jakby wszędzie wносиła swoją własną atmosferę?

Może. Wzruszyłam niepewnie ramionami. Za moją przyjaciółką Sarah wszyscy się oglądają, ale trudno to uznać za zjawisko atmosferyczne, z drugiej strony...

– Oczywiście, że nie. To brzmi głupio, tak naprawdę chciałam powiedzieć, że była inna niż wszyscy... nie wiem, jakby pod każdym względem była „bardziej”, owszem, na swój sposób piękna: z długimi włosami, wielkimi oczami, trochę dzikim spojrzeniem, ale nie to ją odróżniało od innych. Miała wtedy dopiero siedemnaście lat, lecz gdy wchodziła, inne kobiety jakby się przy niej kurczyły.

– Z szacunku?

– Tak, to dobre określenie. Z szacunku. Były zdziwione jej przybyciem i nie wiedziały, jak się zachować. W końcu któraś się odezwała, zapytała, czy może w czymś pomóc, a dziewczyna tylko machnęła długimi palcami i oznajmiła, że przyjechała po swoją ewakuantkę. Dokładnie tak się wyraziła: po „swoją” ewakuantkę. Podeszła prosto do miejsca, gdzie siedziałam na podłodze, i zapytała, jak mam na imię, a kiedy odpowiedziałam, uśmiechnęła się i stwierdziła, że muszę być

zmęczona po długiej podróży. Spytała, czy chce z nią zamieszkać. Musiałam skinąć głową, bo odwróciła się do najważniejszej kobiety, która trzymała listę, i oświadczyła, że zabiera mnie z sobą.

– Jak się nazywała?

– Blythe – odrzekła mama, powstrzymując dreszcz. – Juniper Blythe.

– To od niej dostałaś ten list?

Mama skinęła głową.

– Zaprowadziła mnie do najelegantszego samochodu, jaki w życiu widziałam, i zawiozła do domu, gdzie mieszkała razem ze swymi starszymi siostrami bliźniaczkami. Minęłyśmy wielką, żelazną bramę i pojechałyśmy długim, krętym podjazdem pod ogromny dom z kamienia otoczony gęstym lasem. Zamek Milderhurst.

Nazwa jakby żywcem wyjęta z powieści gotyckiej. Przeszedł mnie dreszcz, przypomniał mi się szloch, jaki wydarł się mamie z gardła, kiedy przeczytała na kopercie nazwisko nadawczyni. Nasłuchiwałam się mnóstwa opowieści o ewakuowanych dzieciach, najróżniejszych historii.

– Przeżyłaś tam koszmar?

– Och nie, nic z tych rzeczy. Wręcz przeciwnie.

– Ale ten list... kiedy go otworzyłaś...

– Byłam po prostu zaskoczona. Odżyły dawne wspomnienia.

Umilkła, a ja zaczęłam rozmyślać o potwornościach ewakuacji, o przerażających i niesamowitych przeżyciach dzieci, które znalazły się nagle w obcym miejscu, gdzie wszystko tak bardzo się różniło od tego, co znały. Miałam jeszcze świeżo w pamięci własne doświadczenia z dzieciństwa, strach i grozę odczuwane w każdej nowej, stresującej sytuacji, przyjaźnie „na siłę”, przywiązanie do miejsc, życzliwych dorosłych, znajomych – wszystko po to, by przetrwać. Kiedy sobie to wszystko przypominałam, coś mi przyszło do głowy.

– Byłaś tam kiedyś po wojnie? W Milderhurst?

Mama spojrzała na mnie surowo.

– Oczywiście, że nie. Po co miałabym tam wracać?

– Nie wiem, żeby je odwiedzić, dowiedzieć się, co u nich słychać.

– Nie – odparła stanowczo. Miałam w Londynie własną rodzinę, mama mnie potrzebowała, poza tym po wojnie było mnóstwo pracy. Potem poznałam twojego ojca. Prawdziwe życie toczyło się dalej.

Po tych słowach zapadła między nami znajoma kurtyna, wiedziałam, że rozmowa jest skończona.

✘

W końcu nie upiekłyśmy kurczaka. Mama powiedziała, że nie ma ochoty, i zapytała, czy będę jej miała za złe, jeśli w ten weekend z niego zrezygnujemy. Wydało mi się niegrzeczne przypominać jej, że i tak nie jadam mięsa i przychodzę raczej ich odwiedzić, niż jeść z nimi obiad, powiedziałam więc tylko, że nic się nie stało i że powinna się położyć. Przyjęła moją propozycję i kiedy zbierałam swoje rzeczy, łyknęła już dwie tabletki paracetamolu i przypomniała mi, żebym osłaniała uszy przed wiatrem.

Tata, jak się okazało, przespał całe wydarzenie. Jest starszy od mamy i kilka miesięcy temu przeszedł na emeryturę, która mu nie służy, bo przez cały tydzień krąży po domu i szuka rzeczy do naprawienia lub sprzątnięcia, czym doprowadza mamę do szału. W niedzielę za to odpoczywa w swoim fotelu. Święte prawo pana domu, jak powtarza przy każdej okazji.

Pocałowałam go w policzek i wyszłam na zimno. Ruszyłam w stronę metra, zmęczona i niespokojna, a także nieco przytłoczona tym, że wracam sama do nieludzko drogiego mieszkania, które jeszcze niedawno dzieliłam z Jamiem. Dopiero gdzieś między High Street Kensington i Notting Hill Gate uprzytomniłam sobie, że nie zapytałam mamy, co było w liście.

Odzyskane wspomnienie

Kiedy teraz to piszę, jestem sobą nieco rozczarowana, ale każdy jest mądry po szkodzie i łatwo się dziwić, dlaczego człowiek nie próbuje sięgnąć po coś, o czym dopiero później się dowiaduje, że leżało w zasięgu ręki. A nie jestem kompletną idiotką. Spotkałyśmy się z mamą na herbacie kilka dni później i chociaż znów nie udało mi się powiedzieć jej o moim rozstaniu z Jamiem, to nie omieszkalam zapytać ją o list. Zbyła moje pytanie machnięciem ręki, mówiąc, że nie zawierał nic ważnego, właściwie tylko pozdrowienia, a jej reakcja była skutkiem zaskoczenia, i tyle. Nie wiedziałam wtedy, że moja mama potrafi tak świetnie kłamać, inaczej nie odpuściłabym tak szybko, wypytywałabym dalej i zwróciła baczniejszą uwagę na mowę ciała. Zwykle jednak każdy odruchowo wierzy w to, co mówią ludzie, zwłaszcza bliscy, których dobrze zna i którym ufa. W każdym razie ja mam taki odruch, a właściwie miałam.

Na jakiś czas zapomniałam o zamku Milderhurst i ewakuacji mojej mamy, a także o dość osobliwym fakcie, że nigdy dotąd nie wspominała mi o tym epizodzie ze swego życia. Łatwo było to sobie wytłumaczyć, jak większość rzeczy, jeśli się dobrze postarać. Moje stosunki z mamą zawsze należały do dobrych, chociaż nigdy nazbyt bliskich, i na pewno nigdy nie ucinałyśmy sobie szczerych pogawędek o przeszłości. Prawdę mówiąc, o terażniejszości też nie. Wszystko wskazywało na to, że ewakuacja mamy była dla niej miłym przeżyciem, lecz nie zaliczała go do niezapomnianych i nie odczuwała potrzeby, aby się nim dzielić.

Nieco trudniej przyszło mi racjonalnie wytłumaczyć dziwne uczucie, jakie wzbudziła we mnie jej reakcja na spóźniony list. Odniosłam niejasne wrażenie, że gdzieś w mej pamięci kołacze się ważne wspomnienie,

którego nie potrafię uchwycić. Coś, co dawno temu widziałam lub słyszałam, drgało na wół zapomniane i nie chciało nawet na chwilę zniechęcić, abym mogła je nazwać. Próbowałam sobie przypomnieć, czy nie przyszedł kiedyś jakiś inny list, wiele lat temu, który również wycisnął jej łzy z oczu – na próżno, nieuchwytny, gruboziarnisty obraz nie chciał się skryształizować, uznałam go więc w końcu za wytwór mojej nadpobudliwej wyobraźni, przed którą rodzice dawno mnie ostrzegali – i napyta mi kłopotów, jeśli nie będę ostrożna.

Miałam wtedy większe zmartwienia na głowie, na przykład: dokąd się wyprowadzę, kiedy minie sześć miesięcy, za które Jamie opłacił czynsz w formie podarunku na pożegnanie, przeprosin i rekompensaty za swój pożałowania godny postępek. Półroczny okres wypowiedzenia miał się skończyć w czerwcu. Przeglądałam gazety i strony agencji nieruchomości w poszukiwaniu jakiejś kawalerki, lecz za moją skromną pensję nie miałam szansy znaleźć niczego w pobliżu pracy.

Jestem redaktorką w wydawnictwie Billing & Brown Book Publishers. To mały, rodzinny interes w Notting Hill założony pod koniec lat czterdziestych przez Herberta Billinga i Michaela Browna początkowo wyłącznie w celu publikowania ich własnych dramatów i poezji. W pierwszym okresie prosperowali całkiem nieźle, jednak z czasem, kiedy rynkiem zawładnęły większe wydawnictwa, a upodobanie czytelników do niszowych tytułów zanikło, nasza firma ograniczyła się do publikowania pozycji, które nazywamy z uprzejmości „specjalistycznymi”, oraz tych, które nieco mniej uprzejmie określamy mianem „próżnych”, czyli wydawanych na koszt autora. Pan Billing, Herbert, jest moim szefem, lecz także mentorem, orędownikiem i najbliższym przyjacielem. Nie mam ich wielu, w każdym razie żywych i oddychających. Nie mówię tego ze smutkiem, nie czuję się samotna, po prostu nie należę do osób, które kolekcjonują znajomych i kochają tłum. Umieję sobie radzić ze słowami, lecz nie mówionymi; nieraz rozmyślałam, jak to by było wspaniale, gdybym mogła wieść związki na papierze. Podejrzewam zresztą, że na swój sposób to właśnie robię, ponieważ mam setki przyjaciół innego rodzaju – ukrytych między okładkami, w fabułach rozwijających się cudownie strona po stronie, którzy zawsze z taką samą radością biorą mnie za rękę i prowadzą w świat grozy lub zachłannego zachwyty.

Fascynujący, szczerzy towarzysze, na których zawsze można polegać. Wielu z nich chętnie służy dobrą radą, niestety żaden nie zajmie wolnej sypialni na kilka miesięcy.

Bo choć nie miałam wielkiego doświadczenia w zrywaniu związków – Jamie był moim pierwszym prawdziwym chłopakiem, z którym wiązałam plany na przyszłość – domyślałam się, że w moim życiu nadszedł właśnie stosowny moment, by odwołać się do pomocy przyjaciół. Od razu pomyślałam o Sarah. W czasach szkolnych mieszkaliśmy po sąsiedzku, tak więc Sarah znajdowała unas drugi dom, ilekroć czwórka jej młodszego rodzeństwa zaczynała wyprawiać dzikie harce i moja przyjaciółka potrzebowała schronienia. Schlebiało mi, że ktoś taki jak ona uważał dość tradycjonalistyczny, podmiejski dom moich rodziców za azyl, przyjaźniłyśmy się więc przez całe liceum aż do czasu, gdy przyłapano ją na paleniu papierosów w toalecie o jeden raz za dużo i Sarah zamieniła lekcje matematyki na szkołę piękności. Pracuje teraz jako wolny strzelec dla czasopism i wytwórni filmowych. Odniosła wspaniały sukces, który oznaczał niestety, że w godzinie mojej potrzeby zamieniała właśnie hollywoodzkich aktorów w zombie, a swoje mieszkanie z wolnymi pokojami wynajęła australijskiemu architektowi.

Gorączkowałam się przez jakiś czas, wyobrażając sobie życie, które przyjdzie mi wieść bez dachu nad głową, dopóki w pięknym akcie rycerskości Herbert nie zaoferował mi sofy w swoim małym mieszkanku pod wydawnictwem.

– Żartujesz, po tym, co dla mnie zrobiłaś? – odpowiedział, kiedy go zapytałam, czy jest tego pewien. – Podźwignęłaś mnie z upadku. Uratowałaś mi życie.

Przesadzał. Nigdy nie uratowałam mu życia, ale wiedziałam, co ma na myśli. Pracowałam u nich od kilku lat i rozglądałam się właśnie za jakimś ambitniejszym stanowiskiem, kiedy pan Brown odszedł z tego świata. Herbert tak ciężko przeżył śmierć swego partnera, że nie mogłam go w tamtym momencie opuścić. Nie miał nikogo poza małym grubym psem przypominającym prosiaka i choć nigdy tego nie powiedział, jego głęboka rozpacz utwierdziła mnie w przekonaniu, że on i pan Brown byli dla siebie czymś więcej niż partnerami w interesach. Nie chciał jeść, przestał się myć, a któregoś ranka spił się na umór ginem, chociaż

zasadniczo jest abstynentem.

Czułam, że nie mam wyboru, zaczęłam mu gotować, skonfiskowałam gin, a kiedy wyniki firmy poleciały na łeb na szyję, on zaś nie wykazywał tym faktem najmniejszego zainteresowania, wzięłam sprawy w swoje ręce i zapukałam do kilku drzwi, aby znaleźć nam pracę. Postanowiłam drukować ulotki dla okolicznych firm. Herbert był mi tak wdzięczny, kiedy się o tym dowiedział, że całkiem przecenił moje motywacje. Nazwał mnie swoją protegowaną i znów zaczął snuć plany na przyszłość dla Billing & Brown – że we dwójkę odbudujemy firmę ku czci pana Browna. Oczy mu znów zabłyśły, a ja odłożyłam na jakiś czas myśl o zmianie pracy.

I tak osiem lat później nadal siedzę w Billing & Brown, ku wielkiej dezaprobacie Sarah. Trudno wytłumaczyć rzutkiej, inteligentnej osobie, która nie robi niczego, co nie dzieje się na jej warunkach, że niektórym z nas inne rzeczy sprawiają w życiu satysfakcję. Pracuję z ludźmi, których podziwiam, zarabiam wystarczająco, aby się utrzymać (choć może nie w trzypokojowym apartamencie w Notting Hill), spędzam dni, bawiąc się słowami i pomagając ludziom wyrazić swoje myśli i spełnić marzenia o publikacji własnych książek. Poza tym moja praca wcale nie jest pozbawiona perspektyw. W zeszłym roku Herbert awansował mnie na wiceprezesa. Nieważne, że w firmie pracują na pełny etat tylko dwie osoby. Zorganizowaliśmy małą uroczystość. Susan, nasza młoda pracownica na pół etatu, upiekła biszkopt i przyszła do biura mimo wolnego dnia; we trójkę piliśmy wino bezalkoholowe w filiżankach do herbaty.

W obliczu nadciągającej eksmisji z wdzięcznością przyjąłm sofę, którą zaoferował mi Herbert, to był naprawdę wzruszający gest, zwłaszcza biorąc pod uwagę rozmiary jego mieszkania. Poza tym nie miałam wyjścia, a on był bardzo zadowolony.

– Wspaniale, Jess uwielbia gości. Będzie zachwycona.

Tak więc w maju zaczęłam się przygotowywać do opuszczenia mieszkania, w którym żyliśmy z Jamiem, przewrócenia ostatniej, pustej karty naszej wspólnej historii i rozpoczęcia swojej własnej. Miałam pracę, zdrowie i mnóstwo książek, potrzebowałam tylko odwagi, aby stawić czoło szarym, samotnym dniom, które ciągnęły się przede mną w nieskończoność.

Biorąc wszystko pod uwagę, uważam, że radziłam sobie całkiem nieźle. Tylko sporadycznie pozwalałam sobie wpadać w otchłań cikliwych wytworów własnej wyobraźni. Znajdowałam sobie wtedy ciche, ciemny kąt i oddawałam się fantazjom, wyobrażając sobie ze szczegółami, jak w nieokreślonej przyszłości idę ulicą, podnoszę wzrok na okno, gdzie uprawiam zioła, i widzę w szybie zarysy czyjejś sylwetki.

Dostrzegać mglistą barierę oddzielającą przeszłość od teraźniejszości i znać dotkliwy, fizyczny ból spowodowany niemożnością obejrzenia się wstecz...

¤

Jako dziecko byłam niepoprawną marzycielką, czym przyprawiałam moją biedną mamę o nieustanną frustrację. Wpadała w rozpacz, kiedy wchodziłam w sam środek błotnistej kałuży albo trzeba mnie było wyciągać prawie spod kół pędzącego autobusu. W kółko powtarzała: „To niebezpieczne gubić się we własnej głowie” albo: „Jeśli człowiek nie patrzy, co się wokół niego dzieje, przydarzają mu się różne wypadki, Edie. Musisz bardziej uważać”.

Łatwo jej było mówić, po ziemi nigdy nie stąpała rozsądniejsza i praktyczniejsza kobieta od mojej matki. Co innego dziewczynka, która odkąd sięgała pamięcią, żyła głównie we własnej głowie i dumiała: „A gdyby tak...?”. Oczywiście z czasem wcale nie przestałam oddawać się marzeniom, nauczyłam się tylko lepiej to ukrywać przed światem. Ale mama miała rację, ponieważ właśnie dlatego, że tak bardzo pochłaniało mnie przewidywanie swej ponurej postjaniestowskiej przyszłości, byłam zupełnie nieprzygotowana na to, co miało nastąpić.

Pod koniec maja zadzwonił do nas spirytysta, który pragnął opublikować swoje relacje ze spotkań z istotami pozaziemskimi na Romney Marsh. Kiedy zwraca się do nas obiecujący autor, robimy co w naszej mocy, aby go zadowolić. Z tego właśnie powodu kilka dni później jechałam starym peugeotem Herberta do hrabstwa Kent, aby porozmawiać, a kto wie, może i poflirtować z naszym nowym, potencjalnym klientem. Rzadko jeżdżę samochodem i nie znoszę zatłoczonych autostrad, tak więc wyruszyłam o bladym świcie, licząc, że zwiększy to moje szanse na wydostanie się z Londynu bez szwanku.

Dotarłam na miejsce przed dziewiątą, spotkanie wypadło bardzo zadowolająco, poflirtowałam, podpisałam umowę i nim minęło południe, jechałam z powrotem do Londynu. Ruch na drodze się wzmógł, do czego samochód Herberta, niezdolny rozwinąć prędkości większej niż osiemdziesiąt kilometrów na godzinę bez poważnego ryzyka utraty kół, był całkowicie nieprzystosowany. Zjechałam na lewy pas, mimo to nie udało mi się uniknąć zniecierpliwionych klaksonów i potrząsania głową. Źle robi się człowiekowi na duszy, kiedy wszyscy dookoła uznają go za utrapienie, zwłaszcza jeśli nic nie może na to poradzić, zjechałam więc z autostrady w Ashford i ruszyłam w kierunku Londynu bocznymi drogami. Mam beznaście orientację w terenie, lecz w skrytce samochodowej znalazłam atlas, zatrzymywałam się więc co jakiś czas, aby sprawdzać drogę.

Pół godziny później musiałam uznać, że zabłądziłam na dobre. Do tej pory nie wiem, jak to się stało, podejrzewam, że odpowiedzialność za to ponosiła przestarzała mapa, a także fakt, że zamiast zwracać uwagę na drogę, rozkoszowałam się widokiem łąk upstrzonych wielobarwnymi pierwiosnkami i kwiatów polnych ozdabiających przydrożne rowy. Wkrótce straciłam do reszty rozeznanie, gdzie się właściwie znajduję, i jadąc wąską drogą, nad którą pochylały się wielkie, rosochate drzewa, stwierdziłam, że nie mam pojęcia, czy kieruję się na północ, południe, wschód czy zachód.

Nie przejęłam się tym zanadto. Uznałam, że jadąc cały czas prosto, prędzej czy później dotrę do jakiegoś skrzyżowania lub drogowskazu, a może napotkam przydrożny stragan, gdzie życzliwa dusza narysuje mi na mapie czerwony krzyżyk. Nie musiałam wracać tego dnia do biura, a drogi nie ciągną się przecież w nieskończoność. Wystarczy, że będę miała oczy szeroko otwarte.

Wtedy go zobaczyłam. Z kępy napastliwego bluszczu sterczał jeden z tych starych, białych drogowskazów z nazwami miejscowości wrytymi na drewnianych tabliczkach w kształcie strzałek. Napis na nim informował: „Milderhurst, 5 km”.

¤

Zatrzymałam samochód i jeszcze raz przeczytałam znak, czując, jak włosy jeżą mi się na karku. Odezwał się we mnie jakiś szósty zmysł i w

tym samym momencie powróciło mgliste wspomnienie, które usiłowało się przebić z głębi mojej podświadomości od lutowego epizodu z zaginionym listem mamy. Wsiadłam z samochodu jak we śnie i ruszyłam w kierunku, który wskazywała tabliczka. Miałam uczucie, że patrzę na siebie z boku, prawie jakbym wiedziała, co tam znajduję. Może zresztą tak było.

Niecały kilometr dalej, dokładnie w miejscu, gdzie ją sobie wyobrażałam, wyrastała z gąszczu jeżyn wysoka żelazna brama. Wielkie skrzydła przechylały się na różne strony i opierały o siebie nawzajem, jakby wspólnie dźwigały ciężkie brzemię. Na ścianie małej, kamiennej stróżówki wisiała zardzewiała tabliczka z napisem „Zamek Milderhurst”.

Z sercem walącym w piersi przeszłam na drugą stronę drogi. Chwycałam obiema rękami metalowe pręty, poczułam pod palcami zimne, chropowate żelazo i powoli oparłam o nie czoło. Podążyłam wzrokiem za krętym zwirowym podjazdem, który biegł pod górę, aż minął mostek i zniknął za lasem.

Otoczenie było piękne, zielone i melancholijne, ale to nie od pięknego widoku zaparło mi dech w piersiach, tylko wskutek nagłej pewności, która uderzyła mnie jak obuchem, że już tu kiedyś byłam, że stałam przed tą bramą i zaglądałam między prętami do środka, obserwowałam ptaki latające niczym skrawki nocnego nieba nad zjeżonym lasem.

Wokół mnie migoczące fragmenty układanki wpadały na swoje miejsca, miałam uczucie, jakbym wkroczyła w rzeczywistość utkaną ze snu, jakbym wróciła w czas i przestrzeń swojego dzieciństwa. Zacisnęłam palce na prętach i moje ciało rozpoznało ten gest. Już to kiedyś robiłam, pamiętała to skóra na moich dłoniach. Ja również pamiętałam: słoneczny dzień, ciepły wietrzyk figlujący z rąbkiem mojej najlepszej sukienki, wysoki cień mamy widziany kątem oka.

Spojrzałam na nią, obserwowała zamek, daleki ciemny kształt na horyzoncie. Było mi gorąco, chciało mi się pić, pragnęłam wykapać się w zmarszczonej wodzie stawu, który leżał za bramą, pływać z kaczkami i pardwami, gdzie ważki kłuły powietrze w trzcinie porastającej brzegi.

– Mamusiu – powiedziałam wtedy, lecz ona milczała. – Mamusiu? Odwróciła głowę i w pierwszej chwili jej oblicza nie rozświetlił

żaden błysk, który by świadczył o tym, że mnie poznaje. Jej rysy układały się w wyraz twarzy, którego nie rozumiałam, jakby była kimś obcym, a jej oczy skrywały nieznane mi tajemnice. Teraz znam słowa na opisanie tej dziwnej mieszaniny uczuć – żal, tęsknota, wzruszenie – wtedy jednak żadnego z tych pojęć nie rozumiałam, a niczego nie poprawiło, kiedy powiedziała:

– Popelniłam błąd. Nie powinnam tu była przyjeżdżać. Już za późno.

Zanim zdążyłam zapytać, o czym mówi, złapała mnie za rękę i pociągnęła tak mocno, że zabołało mnie ramię. Przeszliśmy na drugą stronę drogi, gdzie stał zaparkowany nasz samochód. Poczułam delikatny aromat jej perfum spotęgowany przez upał i zmieszany z nieznanymi zapachami wsi. Uruchomiła silnik i pojechałyśmy. Obserwowałam parę wróbli za oknem, kiedy usłyszałam ten sam niesamowity zdławiony odgłos, który wydarł jej się z gardła na widok listu od Juniper Blythe.

Książki i ptaki

Brama zamkowa była zamknięta i za wysoka, aby ją przesadzić górą, co nie znaczy, że dawałabym sobie wiele szans, nawet gdyby była niższa. Nigdy nie celowałam w sportach, w dodatku to nagle objawione wspomnienie tak mną wstrząsnęło, że moje nogi zamieniły się w bezużyteczną galaretkę. Czułam się zagubiona i rozdygotana, tak że po krótkim czasie uznałam, że chwilowo nic tu po mnie, że najlepiej zrobię, jeśli wrócę do samochodu i zastanowię się spokojnie nad swoimi dalszymi krokami. Niewielki miałam wybór. Byłam zbyt rozkojarzona, żeby prowadzić, a już na pewno aby wybierać się w daleką podróż do Londynu, uruchomiłam więc silnik i w żółtym tempie ruszyłam w kierunku miasteczka.

Na pierwszy rzut oka Milderhurst wyglądało jak wszystkie inne miejsciny, jakie mijałam tego dnia: jedna droga biegnąca przez środek miasta, na jednym końcu zieleniec, obok niego kościół i gdzieś po drodze szkoła. Zaparkowałam przed budynkiem, który uznałam za ratusz, i prawie widziałam przed oczami rzędki wymęczonych dzieci, ewakuowanych z Londynu, brudnych i zaniedbanych po długiej podróży pociągiem, a wśród nich niewyraźną sylwetkę mojej mamy – na długo przedtem, nim została moją mamą – drepczącą bezradnie ku nieznanemu światu.

Kręciłam się po głównej ulicy, próbując bezskutecznie poskromić rozbiegane myśli. Mama przyjechała po wojnie do Milderhurst, nie miałam co do tego wątpliwości, i wzięła mnie z sobą. Stałyśmy przed bramą zamku, była bardzo poruszona. Pamiętałam to. Jednak chociaż znalazłam odpowiedź na to jedno pytanie, w jego miejsce wyrosły dziesiątki innych i

łukły mi się po głowie niczym zdezorientowane ćmy szukające światła.

Po co tu przyjechałyśmy i dlaczego płakała? Co miała na myśli, mówiąc, że popełniła błąd? Na co było za późno? I czemu skłamała, kiedy trzy miesiące temu zapewniała mnie, że list od Juniper Blythe nie miał dla niej znaczenia?

Wszystkie te pytania kłębiły mi się w głowie, aż w końcu uprzytomniłam sobie, że stoję przed otwartymi drzwiami księgarni. Myślę, że w chwilach głębokiego poruszenia człowiek w naturalny sposób szuka znajomego otoczenia, a wysokie półki zastawione równymi rzędami książek zawsze podnosiły mnie na duchu. Zapach farby drukarskiej i opraw introligatorskich, drobinki kurzu w rozrzedzonym snopie słońca, dotyk ciepłego, kojącego powietrza, wszystko to sprawiało, że znów mogłam oddychać. Czułam, że moje tętno spowalnia do normalnego rytmu, a myśli przestają się trzepotać jak oszalałe. W przyjemnym półmroku zaczęłam wyławiać nazwiska ulubionych autorów i znane tytuły niczym nauczyciel sprawdzający listę obecności. Bronte – obecna, Dickens – w przyzwoitym wyborze, Sheley – w bardzo ładnym wydaniu. Nie musiałam ich zdejmować z półek, wystarczyło wiedzieć, że są, pogłodzić je palcami po grzbietach.

Chodziłam, odnotowywałam w pamięci, od czasu do czasu odłożyłam jakąś książkę na właściwe miejsce, aż zatrzymałam się we wnęce w głębi sklepu, gdzie na stoliku wyłożono ekspozycję podpisaną „Literatura lokalna”. Ciasno stłoczone stały tu historie, albumy i książki miejscowych autorów: *Zagadki i morderstwa*, *Przypadki przemytników z Hawkhurst*, *Historia chmielarstwa*. Na środku, oparty o drewnianą podstawkę, rzucił mi się w oczy znajomy tytuł: *Prawdziwa historia Człowieka z Błota*.

– Och!

Wzięłam książkę do ręki i czule objęłam dłońmi.

– Lubi ją pani?

Sprzedawczyni wyrosła obok mnie jak spod ziemi, składała w rękach ściereczkę do kurzu.

– O tak – odparłam nabożnym tonem. – Oczywiście. Kto jej nie lubi?

Po raz pierwszy trafiłam na tę książkę, kiedy miałam dziesięć lat i nie

chodziłam do szkoły z powodu jednej z tych dziecięcych chorób, które izolują człowieka od świata na kilka tygodni. Musiałam stać się okropnie marudna i nieznośna, bo współczujący uśmiech mamy zaczął zastęgać w stoickim grymasie. Któregoś dnia wymknąwszy się z domu na krótką chwilę wytchnienia, wróciła przepelniona nowym optymizmem i wciśnęła mi w ręce zniszczoną książkę z biblioteki.

– Może to ci poprawi humor – powiedziała z nadzieją. To opowieść dla trochę starszych czytelników, ale przecież jesteś mądrą dziewczynką i jak się postarasz, to sobie z nią poradzisz. Co prawda zwykle czytasz trochę cieńsze książeczki, ale spróbuj wytrwać do końca.

Prawdopodobnie rozkaślałam się w odpowiedzi żałośnie, nieświadoma, że mam właśnie przekroczyć próg, za którym nie będzie już odwrotu, i że trzymam w dłoniach niepozorny przedmiot o niewyobrażalnej mocy. Każdy czytelnik z prawdziwego zdarzenia trafia w życiu na taką książkę, na taki moment, i kiedy mama wręczyła mi zniszczony biblioteczny egzemplarz, to była właśnie moja chwila. Bo chociaż wtedy jeszcze tego nie wiedziałam, wystarczy zagłębić się w świat Człowieka z Błota, aby rzeczywistość raz na zawsze przegrała walkę z fikcją literacką. Od tamtej pory nosiłam w sercu głęboką wdzięczność dla pani Perry za to, że, wyciągając nad kontuarem dłoni, namawiając mą udręczoną matkę, aby wzięła dla mnie tę książkę, albo pomyliła mnie z jakimś starszym dzieckiem, albo zajrzała w głąb mojej duszy i ujrzała tam lukę, która domagała się wypełnienia. Zawsze wierzyłam w to drugie, w końcu to właśnie uświęcony przysięgą cel bibliotekarza – kojarzyć księgi z ich wiernym czytelnikiem.

Odwrociłam żółtą okładkę i od pierwszego rozdziału, opisującego przebudzenie Człowieka z Błota w głębokiej, mulistej fosie, ów okropny moment, kiedy drga jego serce, wsiąklam w nią bez reszty. Z dreszczem emocji, z wypiekami na twarzy, palcami drżącymi ze zniecierpliwienia przewracałam stronę za stroną za rogi przetarte przez niezliczonych czytelników, którzy odbywali tę podróż przede mną. Odwiedzałam wspaniałe i przerażające miejsca, nie opuszczając usłanej chusteczkami do nosa kanapy w salonie podmiejskiego domu moich rodziców. *Człowiek z Błota* dał mi zajęcie na długie dni, mama znów się zaczęła uśmiechać, a moja przeszłość została przesądzona.

Znów popatrzyłam na tabliczkę z odręcznym napisem „Literatura lokalna” i odwróciłam się do rozpromienionej ekspedientki.

– Raymond Blythe pochodzi z tych okolic?

– O tak. – Założyła cienkie kosmyki włosów za uszy. – Mieszkał i tworzył w zamku Milderhurst, i tam umarł. To wielka, wspaniała rezydencja położona kilka kilometrów za miastem. – Jej głos zabrzmiał dziwnie głucho. – W każdym razie zamek kiedyś był wspaniały.

Raymond Blythe. Zamek Milderhurst.

Serce zabiło mi szybciej.

– Nie miał przypadkiem córki?

– Nawet trzy.

– Czy jedna z nich miała na imię Juniper?

– Tak, najmłodsza.

Przypomniało mi się, co mama opowiadała o siedemnastoletniej dziewczynie, której obecność naelektryzowała powietrze w sali ratusza miejskiego. To ona wybawiła ją z grupy ewakuantów i w 1941 roku wysłała do niej list, a kiedy mama dostała go pięćdziesiąt lat później, wybuchła płaczem. Poczulałam nagłą potrzebę jakiegoś solidnego oparcia.

– Wszystkie trzy nadal tam mieszkają – ciągnęła sprzedawczyni. – Moja mama zawsze powtarzała, że coś musi być w tej wodzie, bo do tej pory są zdrowe i krzepkie, rzecz jasna poza Juniper.

– A co się z nią stało?

– Demencja. Myślę, że to rodzinne. Smutna historia, podobno była kiedyś piękna i mądra. Obiecująca pisarka. Ale w czasie wojny rzucił ją narzeczony, nigdy już nie wróciła do siebie. Straciła dla niego głowę, ciągle na niego czekała, ale na próżno.

Chciałam zapytać, dokąd wyjechał, ale kobieta złapała wiatr w żagle i widać było, że nic już jej nie zatrzyma.

– Dobrze, że miała siostry, które się nią zaopiekowały. Te dwie należą do wymierającego gatunku, brały kiedyś udział w każdej akcji dobroczynnej, gdyby nie one, dziewczyna dawno wylądowałaby w zakładzie dla obłąkanych. – Obejrzała się za siebie, żeby się upewnić, czy jesteśmy same, po czym nachyliła się do mnie. – Pamiętam, że kiedy byłam dzieckiem, Juniper snuła się po mieście i okolicy. Nic złego

nikomu nie robiła, tylko włóczyła się tak bez celu. Dzieci się jej bały, ale dzieciaki lubią się bać, prawda?

Skinęłam energicznie głową, a ona mówiła dalej:

– Na ogół była nieszkodliwa, nigdy nie przysparzała kłopotów, a w końcu każde miasteczko z prawdziwego zdarzenia musi mieć swojego dziwaka. – Na jej ustach zadrgał niepewny uśmiech. – Kogoś, kto dotrzymuje towarzystwa duchom. – Może pani przeczytać o tym wszystkim tutaj.

To mówiąc, pokazała mi książkę pod tytułem *Milderhurst Raymonda Blythe'a*.

– Wezmę ją – powiedziałam i dałam sprzedawczyni dziesięciofuntowy banknot. – I poproszę też jeden egzemplarz *Człowieka z Błota*.

Wysłałam już prawie ze sklepu, ściskając w dłoniach paczkę owiniętą brązowym papierem, kiedy ekspedientka zawołała za mną:

– Jeśli to panią naprawdę interesuje, powinna go pani zwiedzić!
– Zamek? – spytałam, zaglądając z powrotem w półmrok księgarni.
– Proszę porozmawiać z panią Bird, wynajmuje pokoje przy Tenterden Road.

✠

Kamienny dom z gęstym, kwitnącym ogrodem stał kilka kilometrów dalej, przy drodze, którą przyjechałam. W głębi można się było domyślić innych zabudowań gospodarczych. Z dachu pokrytego dachówkami wizerowały dwie niewielkie lukarny, wokół wysokiego, ceglanego komina krążyła pierzasta chmura białych gołębi. Okna otwarto na oścież, aby wpuścić do środka ciepłe powietrze, szybki w kształcie rombów w ołowianych ramach mrugały oślepienie popołudniowym słońcem.

Zaparkowałam samochód pod ogromnym jesionem, którego rozłożyste konary opatulały cieniem front domu, i ruszyłam przez osłoneczniony gąszcz odorzająco pachnącego jaśminu, ostróżki ogrodowej i dzwoneczków wkradających się na ceglaną ścieżkę. Nieopodal dreptała para tłustych gęsi, nawet się nie zatrzymały na moje wtargnięcie, kiedy wchodziłam z roziskrzonego słońca do słabo oświetlonego pomieszczenia. Na ścianie przy drzwiach wisiały czarno-białe zdjęcia zamku i jego okolicy zrobione, jak informowały podpisy, podczas pleneru „Życie poza

miastem” w 1910 roku. Po drugiej stronie holu za kontuarem ze złożoną tabliczką „Recepcja” czekała na mnie pulchna kobieta w Inianej, szafirowej garsonce.

– Pani musi być moim młodym gościem z Londynu. – Zamrugowała przez okrągłe okulary w szylkretowych oprawkach, po czym uśmiechnęła się, widząc moje zdziwienie. – Alice zadzwoniła do mnie z księgarni i uprzedziła, że mogę się pani spodziewać. Nie traciła pani czasu, Bird uważał, że będzie pani co najmniej za godzinę.

Spojrzałam na żółtego kanarka w okazałej klatce wiszącej za jej plecami.

– Chciał już jeść obiad, ale powiedziałam, że zjawi się pani, jak tylko zamknę drzwi i wystawię tabliczkę. – Wybuchła chrapliwym, papierosowym śmiechem. W pierwszej chwili oceniłam, że musi zbliżyć się do sześćdziesiątki, ale roześmiała się jak znacznie młodsza, znacznie bardziej energiczna kobieta, niż to sugerowało pierwsze wrażenie. – Alice mówiła, że interesuje panią zamek.

– Tak. Miałam nadzieję, że uda mi się go zwiedzić i pani znajoma przysłała mnie tutaj. Czy mam się gdzieś zapisać?

– Ależ nie, nie bawimy się w takie formalności. Sama oprowadzam wycieczki. – Jej biust w Inianym żakiecie aż spuchł z dumy, lecz po chwili znowu uszło z niego powietrze. – To znaczy kiedyś to robiłam.

– Kiedyś?

– O tak, miłe zajęcie. Kiedyś panny Blythe osobiście oprowadzały wycieczki, zaczęły w latach pięćdziesiątych, żeby zdobyć pieniądze na utrzymanie zamku i uchronić się przed Narodowym Funduszem na rzecz Renowacji Zabytków. Panna Percy nie wpuściłaby ich do Milderhurst za żadne skarby. Kilka lat temu powierzyła mi obsługę turystów, bo to zadanie już ją przerosło. Wszyscy mamy swoje granice, prawda? Byłam zachwycona, że mogę ją zastąpić. Zdarzało się, że oprowadzałam pięć wycieczek tygodniowo, ale teraz to już mało kto dzwoni. Wygląda na to, że ludzie zapomnieli o tych starych kątach.

Spojrzała na mnie pytająco, jakby oczekiwała, że wyjaśnię jej te kaprysy ludzkiej natury.

– Bardzo bym chciała obejrzeć zamek od środka – oznajmiłam z nadzieją, a może nawet trochę desperacko.

Pani Bird zamruwała na mnie.

– Och wierzę, kochaniutka. A ja bym go pani pokazała, ale niestety nie oprowadzamy już wycieczek.

Poczułam się tak przytłaczająco rozczarowana, że przez chwilę odebrało mi mowę.

– Och – jęknęłam. – Ojej!

– Szkoda, oczywiście, ale panna Percy była bardzo stanowcza. Powiedziała, że nie ma dłużej ochoty otwierać swojego domu po to, żeby nieokrzesani prostytutki mieli gdzie wyrzucać śmieci.

Zamierzałam okazać grzeczną rezygnację, lecz kiedy perspektywa obejrzenia zamku się rozwiła, poczułam nagle, że nie ma na świecie rzeczy, której pragnęłabym goręcej.

– Widzi pani, ja tak bardzo podziwiam Raymonda Blythe'a – usłyszałam własny głos. – Myślę, że nigdy nie zostałabym redaktorką w wydawnictwie, gdybym w dzieciństwie nie przeczytała *Człowieka z Bioty*. Może gdyby... szepnęła pani słówko w mojej sprawie, powiedziała właścicielkom, że nie należę do osób, które śmieją w cudzych domach...

– No nie wiem... – Zmarszczyła z namysłem czoło. – W zamku oczywiście jest na co popatrzeć, a mało jest osób, które są tak dumne z tego, co posiadają, jak panna Percy... W wydawnictwie, powiada pani?

Był to niezamierzony przebłysk geniuszu. Pani Bird należała do pokolenia, dla którego słowo pisane owiane było blaskiem i potęgą prasy. Nieważne, że moje biurko stało w ciasnym boksie zarzuconym papierami, a bilans firmy działał jak zimny pryzm. Uchwyciłam się tej szansy niczym tonący brzytwy.

– W Billing & Brown Book Publishers w Notting Hill.

Przypomniały mi się wizytówki, które Herbert dla mnie wydrukował i sprezentował mi podczas małej uroczystości z okazji mojego awansu. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby je nosić przy sobie w celach służbowych, ale okazały się bardzo przydatne jako zakładki do książek, tak więc wyłowiałam teraz jedną z *Dziwnych losów Jane Eyre*, którą zabrałam z sobą na wypadek, gdyby niespodziewanie przyszło mi czekać w kolejce, i pokazałam pani Bird niczym szczęśliwy los na loterii.

– Wiceprezes – przeczytała kobieta, spoglądając na mnie znad okularów. – No proszę.

Chyba mi się nie przywidział ten nowy ton szacunku w jej głosie. Przejechała kciukiem po wizytówce, zacisnęła usta, po czym skinęła głową.

– Dobrze. Proszę mi dać sekundkę, zadzwonię do drogich starszek. Zobaczą, czy uda mi się je przekonać, żeby pozwoliły pani obejrzeć zamek.

✦

Podczas gdy pani Bird rozmawiała półgłosem przez staromodny telefon, usiadłam w fotelu z perkalowym obiciem i rozwinęłam brązową paczuszkę z nowo zakupionymi książkami. Wyjęłam błyszczący egzemplarz *Człowieka z Błota* i zaczęłam go obracać w dłoniach. Prawdą było to, co powiedziałam właścicielce pensjonatu, w ten czy inny sposób moja przygoda z powieścią Raymonda Blythe'a naprawdę zaważyła na całym moim życiu. Wystarczyło, że wzięłam ją do ręki, aby powróciła do mnie wszechogarniająca świadomość własnego miejsca na świecie.

Okladka była identyczna jak w książce, którą moja mama wypożyczyła w bibliotece West Barnes prawie dwadzieścia lat temu. Uśmiechnęłam się pod nosem, obiecując sobie, że po powrocie do domu natychmiast kupię dużą szarą kopertę i wyślę szacownej instytucji ten nowiutki egzemplarz. Nareszcie mój dwudziestoletni dług zostanie spłacony. Kiedy bowiem wyzdrowiałam i nadszedł czas, aby oddać *Człowieka z Błota* do biblioteki, książka w tajemniczy sposób zniknęła. Ani gorączkowe poszukiwania mamy, ani moje żarliwe zapewnienia, że nie mam z tym nic wspólnego, ani nawet przekopanie sterty dawno zapomnianych rzeczy pod moim łóżkiem nie przyniosły rezultatów. Kiedy wszystkie możliwości zawiodły, zostałam doprowadzona przed oblicze panny Perry i zmuszona do pokajania się. Biedna mama omal nie umarła ze wstydu pod piorunującym spojrzeniem bibliotekarki, mnie jednak zanadto upajała radość z posiadania ukochanej powieści, abym czuła wyrzuty sumienia. Była to moja pierwsza i ostatnia kradzież w życiu, lecz nie potrafiłam się jej oprzeć, po prostu ja i ta książka byłyśmy sobie przeznaczone.

✦

Drgnęłam, kiedy słuchawka telefonu opadła na widelki z plastikowym stuknięciem. Ściągnięte rysy pani Bird powiedziały mi natychmiast, że ma złe wiadomości. Wstałam i pokuśtykałam do kontuaru, bo prawa stopa mi zdrętwiała i czułam w niej okropne kłujące szpilki.

– Obawiam się, że jedna z sióstr źle się dzisiaj czuje – oznajmiła pani Bird.

– Naprawdę?

– Najmłodsza. Miała atak, właśnie jedzie do niej lekarz.

Z trudem usiłowałam ukryć rozczarowanie. Niestosownie było okazywać niezadowolenie, kiedy starsza kobieta się rozchorowała.

– Tak mi przykro. Mam nadzieję, że to nic poważnego.

Pani Bird zbyła mój niepokój machnięciem ręki niczym nieszkodliwą, lecz uprzykrzoną muchę.

– Jestem pewna, że nic jej nie będzie. To nie pierwszy raz. Te ataki przytrafiają jej się od dzieciństwa.

– Ataki?

– Zaniki pamięci. Nazywają je utraconym czasem. Okresy, których nie pamięta, zwykle kiedy wpada w nadmierne podniecenie. To ma jakiś związek z arytmią, nigdy nie mogę zapamiętać, czy chodzi o zbyt wolne, czy za szybkie tętno. W każdym razie urywa jej się film i nie pamięta potem, co robiła. – Zaciśnęła usta, tłumiąc jakieś uczucie, którego najwyraźniej postanowiła nie ujawniać. – Starsze siostry będą dzisiaj zbyt zajęte przy doglądaniu Juniper, nie chcą w zamku zamieszania, ale bardzo niechętnie odmówiły. Zamek aż się prosi o gości, tak powiedziały. Dziwne staruszki, szczerze mówiąc jestem zaskoczona, do tej pory raczej nie lubiły zwiedzających. Pewnie doskwiera im samotność, tłuką się we trzy po pustym zamczysku. Zaproponowały, żeby przyjechać jutro około południa.

Serce zatrzepotało mi w piersi. Nie zamierzałam zatrzymywać się tu na noc, lecz myśl, że mogłabym wyjechać, nie obejrzawszy zamku, natchnęła mnie głębokim przynębieniem.

– Mamy wolny pokój, jeśli pani sobie życzy – zaproponowała pani Bird. – Z kolacją wliczoną w cenę.

W weekend czekała na mnie praca, którą musiałam nadrobić, Herbert potrzebował samochodu nazajutrz po południu, a ja nie należę do osób, które pod wpływem kaprysu decydują się nocować w obcym miejscu.

– Dobrze – odrzekłam. – Zostanę do jutra.

Milderhurst Raymonda Blythe'a

Podczas gdy pani Bird zajęła się formalnościami i zaczęła spisywać dane z mojej wizytówki, wymówiłam się nieartykułowanym mruknięciem i wymknęłam z recepcji w kierunku podwórza. Obejście ogradały mury zabudowań gospodarskich: obory, gołębnika i trzeciego budynku ze stożkowym dachem; później dowiedziałam się, że jest to suszarnia chmielu. W środku był położony zamyślony, okrągły staw, po osłonecznionej powierzchni z królewskim dostojenstwem sunęła para tłustych gęsi, a wokół nich koliste zmarszczki rozbiegały się w kierunku wyłożonego kamiennymi płytami brzegu. Za oczkiem wodnym paw lustrował skraj przystrzyżonego trawnika, który oddzielał zadbane podwórze od dzikiej łąki gęsto porośniętej polnymi kwiatami i opadającej w kierunku dalekiego parku. Widok ogrodu skąpanego w słonecznym blasku ukazał mi się otoczony ciemną ramą futryny drzwi, w których stałam, i wyglądał jak migawkowe zdjęcie dawno minionego wiosennego dnia, który jakimś cudem powrócił do mnie z dalekiej przeszłości.

– Piękny, prawda? – odezwała się nagle pani Bird za moimi plecami. Nawet nie zauważyłam, kiedy podeszła. – Słyszała pani o Oliverze Sykesie?

Pokręciłam głową, a ona skinęła zadowolona, że może mnie oświecić.

– Był architektem, swego czasu nawet dosyć znanym. Okropnie ekscentrycznym. Wybudował sobie wspaniały dom w Sussex, nazwał go Gospodarstwem Pembroke, ale na początku dwudziestego wieku

pracował w zamku, niedługo po tym, jak Raymond Blythe pierwszy raz się ożenił i przywiózł tu żonę z Londynu. To była jedna z ostatnich prac Sykesa, zanim wyruszył w świat i słuch po nim zaginął. Nadzorował budowę stawu, takiego jak nasz, tylko nieco większego, wykonał olbrzymią robotę przy fosie wokół zamku; zamienił ją w kąpieliskowy pierścień dla pani Blythe. Podobno była świetną pływaczką, bardzo wysportowaną. Wsypywali tam... – przykleiła palec do policzka i zmarszczyła czoło – jakieś chemikalia, ojej, jak to się nazywało? – Zabrała palec i podniosła głos. – Bird?

– Siarczan miedzi – doszedł nas bezcielesny męski głos.

Znów zerknęłam na kanarka prowadzącego w klatce wykopaliska w poszukiwaniu ziarna, a potem na ściany zawieszane zdjęciami.

– A tak, rzeczywiście – ciągnęła niestropiona pani Bird – siarczan miedzi, żeby woda była lazurowa. – Westchnęła. – To było tak dawno temu. Niestety, fosę Sykesa dawno temu zasypano, a piękny okrągły staw należy już tylko do gęsi, zamulony i pełen ptasich odchodów. – Wręczyła mi ciężki mosiężny klucz i zamknąwszy na nim moje palce, poklepała mnie po dłoni. – Jutro pójdziemy do zamku. Zapowiadają ładną pogodę, a z drugiego mostu roztacza się piękny widok. Możemy się umówić tu o dziesiątej?

– Jesteś jutro umówiona z pastorem, moja droga – znów rozległ się ten sam drewniany głos, lecz tym razem udało mi się zlokalizować jego źródło: małe, ledwo widoczne drzwi w ścianie za kontuarem.

Pani Bird ściągnęła usta i rozważała tę tajemniczą poprawkę. W końcu powoli pokiwała głową.

– Bird ma rację. Och, jaka szkoda.

Rozpogodziła się.

– Nieważne, wszystko pani wyjaśnię, zakończę sprawę w mieście najszybciej, jak się da, i spotkamy się w zamku. Będziemy miały tylko godzinę, nie chcę się zbyt długo narzucać, panny Blythe są naprawdę wiekowe.

– Godzina wystarczy z powodzeniem.

Przed lunchem będę w drodze do Londynu.

Pokoik był malutki, na środku rozparło się zachłannie łóżko z baldachimem, pod oknem z szybkami w ołowianych ramach przycupnęło skulone biurko i właściwie na tym się kończyło całe wyposażenie. Za to widok roztaczał się z niego wspaniały, na tę samą łąkę, którą widziałam przez drzwi na dole, lecz z drugiego piętra lepiej było widać wzgórze wznoszące się ku zamkowi, a nad lasem dostrzegłam szczyt wieży wskazującej na niebo.

Na biurku leżał starannie złożony koc piknikowy w szkocką kratę, a obok powitalny koszyk z owocami. Dzień był pogodny, okolica zachwycająca, wcisnęłam więc koc pod pachę, wzięłam do ręki banana i ruszyłam na dół ze swoją nowo nabytą książką pod tytułem *Milderhurst Raymonda Blythe'a*.

Na podwórzu powietrze słodził zapach jaśminu, którego białe kaskady spływały po drewnianej altance na skraju trawnika. W stawie tuż pod powierzchnią wody pływały olbrzymie karasie i kołysząc pulchnymi ciałami w przód i w tył, umizgiwały się do popołudniowego słońca. Bardziej jednak niż urokliwy ogród przyciągało mnie dalekie pasmo drzew, ruszyłam więc w tamtym kierunku, brodząc przez wysoką trawę przprószoną samosiejkami jaskrów. Choć lato jeszcze się nie zaczęło, dzień był wyjątkowo ciepły, powietrze suche, tak więc zanim dotarłam do pierwszych drzew, moje czoło zrosiły krople potu.

Rozłożyłam koc w półcieniu nakrapianym promieniami słońca i zrzuciłam pantofle. Gdzieś w pobliżu nad kamieniami trą jkotały płytki strumień, na leciutkim wietrze żeglowały motyle. Koc pachniał uspokajająco płatkami mydłanymi i zgniecionymi liśćmi, a kiedy usiadłam, otoczyła mnie ze wszystkich stron ściana wysokiej trawy, tak że czułam się izolowana od całej reszty świata.

Oparłam sobie *Milderhurst Raymonda Blythe'a* o podkulone kolana i pogładziłam książkę dłonią. Ilustracja na okładce pokazywała rozsypane czarno-białe zdjęcia, jakby wypadły komuś z ręki: śliczne dzieci w staromodnych sukieneczkach, dawne pikniki nad migoczącym stawem, rządki pływaków szykujących się do skoku nad fosą, poważne miny ludzi, dla których obrazy uwięzione na papierze fotograficznym graniczyły z magią.

Otworzyłam książkę na pierwszej stronie i zaczęłam czytać.

ROZDZIAŁ 1

Człowiek Kentu

*Niektórzy twierdzili, że Człowiek z Błota nigdy się nie urodził,
że istniał od zawsze, tak jak wiatr, drzewa i ziemia.
Mylili się, wszystkie żywe stworzenia kiedyś się rodzą,
wszystkie mają dom i Człowiek z Błota
nie różnił się od innych.*

Są pisarze, którym świat fikcji daje okazję do wspinania się na niewidzialne szczyty i tworzenia fantastycznych światów, lecz dla Raymonda Blythe'a, podobnie jak dla nielicznych innych powieściopisarzy tego okresu, szczerą i najpłodniejszą inspiracją, zarówno w życiu prywatnym, jak i w pracy, był dom. Jego listy i artykuły napisane w ciągu siedemdziesięciu pięciu lat życia łączy jeden wątek: Raymond Blythe był wielkim domatorem, odnajdującym wytchnienie, azyl, a na koniec również religijne natchnienie w splechietku ziemi, który od stuleci należał do jego przodków. Rzadko się zdarza, by dom rodzinny stał się dla pisarza tak oczywistym materiałem literackim, jak w powieści gotyckiej dla młodzieży zatytułowanej *Prawdziwa historia Człowieka z Błota*. Jednak długo przed powstaniem tego wiekopomnego dzieła zamek, stojący na żyznym wzgórzu zielonych terenów hrabstwa Kent, pośród pól uprawnych, mrocznych, rozszepczanych lasów i ogrodów, na które po dziś dzień spogląda z wysoka, przygotowywał się, aby uczynić Raymonda Blythe'a legendą literatury.

Przyszedł na świat w komnacie na drugim piętrze zamku Milderhurst w najgorętszy dzień lata 1866 roku. Jako pierworodny syn Roberta i Atheny Blythe'ów otrzymał imię po dziadku ze strony ojca, człowieku, który zdobył fortunę na złotoñośnych terenach

Kanady. Był najstarszym z czterech braci, najmłodszy Timothy zginął tragicznie podczas burzy w 1876. Athena Blythe, która również zasłynęła jako poetka, przeżyła głębokie załamanie po śmierci syna i wkrótce po pogrzebie pogrążyła się w depresji, z której się już nie otrząsnęła. Odebrała sobie życie, skacząc z wieży zamkowej. Pozostawiła męża, poezję oraz trzech małych synków.

Na sąsiedniej stronie zamieszczono fotografię pięknej kobiety z misternie ufrizonowanymi ciemnymi włosami, wyglądającej przez otwarte okno na główki czterech małych chłopców ustawionych według wzrostu. Obraz był nieostry, jak wszystkie stare, amatorskie fotografie, a pod spodem widniała data 1875. Najmniejszy chłopiec Timothy musiał się poruszyć, kiedy robiono zdjęcie, bo jego uśmiechnięta twarzyczka wyszła trochę rozmazana. Biedny maluch, nie miał pojęcia, że zostało mu ledwie parę miesięcy życia.

Przebiegłam wzrokiem kilka następnych akapitów – powściągliwy, wiktoriański ojciec, szkoła w Eton, stypendium w Oksfordzie – do miejsc, a gdy Raymond Blythe osiągnął dojrzałość.

Po skończeniu studiów na uniwersytecie w Oksfordzie w 1887 Raymond zamieszkał w Londynie, gdzie rozpoczął karierę literacką jako współpracownik magazynu „Punch”. W ciągu następnych dziesięciu lat opublikował dwanaście dramatów, dwie powieści i zbiór wierszy dla dzieci, chociaż jego listy zdają się świadczyć, że mimo zawodowego sukcesu czuł się w Londynie nieszczęśliwy i tęsknił za bogatą, żywną krainą dzieciństwa.

Można się domyślać, że miejskie życie stało się dla Raymonda nieco bardziej znośne dzięki małżeństwu w 1895 roku z panną Muriel Palmerston, powszechnie uznawaną za najpiękniejszą młodą niewiastę, która wkroczyła tamtego roku na salony. Jego listy rzeczywiście potwierdzają radykalną poprawę nastroju w tym okresie. Według świadków Raymond Blythe i panna Palmerston, przedstawieni sobie przez ich wspólnych znajomych, stanowili niezwykle dobraną parę. Łączyła ich pasja do rozrywek na świeżym powietrzu, gier słownych oraz fotografii, a romans dwojga młodych, atrakcyjnych arystokratów wielokrotnie trafiał na strony towarzyskie ówczesnej prasy.

Po śmierci ojca w 1898 roku Raymond odziedziczył zamek Milderhurst i przyjechał z Muriel, aby tu zamieszkać.

Liczne relacje z tego okresu sugerują, że państwo Blythe od dawna pragnęli mieć dzieci i przed przyjazdem do Milderhurst Raymond w listach otwarcie wyrażał zaniepokojenie tym, że nie został jeszcze ojcem. Radość ta omijała naszą parę jeszcze przez kilka lat, w 1905 roku Muriel zwierzyła się w liście do matki z dręczącego strachu, że ona i Raymond nie zostaną pobłogosławieni potomstwem. Z ogromną radością, a zapewne i niejaką ulgą, cztery miesiące później Muriel znów napisała do matki i powiadomiła ją, że „nosi w łonie dziecko”. Jak się okazało, była to dwójka dzieci; po okresie trudnej ciąży, która na jakiś czas przykuła ją do łóżka, w styczniu 1906 roku pani Blythe powiła pomyślnie bliźniacze córeczki. Listy Raymonda do braci świadczą, że był to najszczęśliwszy okres w jego życiu, a rodzinny album wręcz pęka w szwach od fotograficznych dowodów jego ojcowskiej dumy.

Następne dwie strony przedstawiały serię zdjęć dwóch małych dziewczynek. Chociaż były oczywiście do siebie bardzo podobne, jedna z nich, nieco niższa i drobniejsza od drugiej, zdawała się nieco rzadziej uśmiechać i miała mniej pewności siebie niż jej siostra. Na ostatniej fotografii na wyściętym krześle siedział mężczyzna o falistych włosach i poczciwej twarzy, a na każdym kolanie trzymał opatulone w koronki niemowlę. Coś w jego postaci – może blask w oczach, a może łagodny nacisk dłoni na ramionkach bliźniaczek – dawało wymowny wyraz głębokiego uczucia, jakim darzył córeczki, a mnie przyszło do głowy, że niezwykle trudno jest znaleźć na zdjęciach z tego okresu ojca uzewnętrzniającego uwielbienie dla swoich małych dzieci w tak prosty, rodzicielski sposób. Zrobiło mi się ciepło na sercu, poczułam jeszcze głębszą sympatię dla Raymonda Blythe'a niż dotąd. Czytałam dalej.

Sprawy nie potoczyły się jednak dla rodziny Blythe'ów tak radośnie. Zimą 1910 roku Muriel zginęła w pożarze, kiedy rozżarzony węgielek wyskoczył z kominka prosto na jej kolana. Jej suknia błyskawicznie zajęła się ogniem i kobieta stanęła w płomieniach, zanim ktokolwiek zdążył jej przyjść z pomocą. Pożar rozprzestrzenił

się na całą wschodnią wieżę i bogatą bibliotekę zamku. Pani Blythe doznała rozległych poparzeń i choć natychmiast owinięto ją w mokre bandażę, a do opieki sprowadzono najlepszych lekarzy, miesiąc później zmarła.

Po śmierci żony Raymond Blythe pograżył się w głębokiej żałobie i przez kilka lat nie opublikował żadnej pracy. Niektóre źródła twierdzą, że cierpiał na obezwładniający kryzys twórczy, inne utrzymują, że zapieczętował swój gabinet i nie chciał nawet słyszeć o pisaniu, dopóki nie otworzył go wreszcie w okresie wzmożonej aktywności w 1917 roku, aby rozpocząć pracę nad swoją słynną powieścią: *Prawdziwa historia Człowieka z Błota*. Choć książka ta cieszy się wielkim powodzeniem wśród młodych czytelników, wielu krytyków dopatruje się w niej alegorii pierwszej wojny światowej, podczas której setki tysięcy ludzi poległo na błotnistych polach Francji. Wielu badaczy wskazuje na podobieństwa pomiędzy Człowiekiem z Błota a żołnierzami, którzy po traumatycznych przeżyciach podczas wielkiej rzezi próbowali powrócić do domów i odzyskać rodziny. Raymond Blythe został ranny we Flandrii w 1916 roku i zwolniony ze służby z przyczyn zdrowotnych. Powrócił do Milderhurst, gdzie przez kilka miesięcy przechodził rekonwalescencję pod opieką prywatnych pielęgniarek. Anonimowość Człowieka z Błota oraz starania narratora powieści, zmierzające do odkrycia prawdziwego nazwiska zapomnianej istoty wraz z jej pochodzeniem i historią, są również postrzegane jako hołd złożony bezimiennym ofiarom wojny oraz wyraz wykorzenia, jakiego Raymond prawdopodobnie doświadczał po powrocie do domu.

Pomimo licznych akademickich autorytetów, zaangażowanych w dyskusję na temat powieści, źródło inspiracji *Człowieka z Błota* po dziś dzień pozostaje zagadką. Do legendy przeszła już powściągliwość Raymonda Blythe'a, jaką wykazywał w tej kwestii. Oświadczył jedynie, że był to dar, że „nawiedziła go muza” i dzieło spłynęło na niego gotowe w całości. Być może dlatego właśnie *Prawdziwa historia...* jest jedną z niewielu powieści, którym udało

się wzbudzić i utrzymać niesłabnące zainteresowanie i niemal kultowy wpływ na całe pokolenia czytelników. Zagadnienie jego powstania jest nadal przedmiotem gorących dyskusji literaturoznawców z wielu krajów i pozostaje jedną z najbardziej intrygujących tajemnic literackich dwudziestego wieku.

Tajemnica literacka. Dreszcz przeszedł mi po krzyżu, kiedy powtórzyłam te słowa półgłosem. Uwielbiałam *Człowieka z Błota* za jego fabułę i za to, jak działał na mnie jego język, sposób uporządkowania słów, lecz świadomość, że powstanie dzieła spowija otoczka tajemnicy, nieukończenie podsyciła moją fascynację.

Chociaż przed pierwszą wojną światową Raymond Blythe był pisarzem wysoko cenionym w świecie literackim, olbrzymi sukces *Człowieka z Błota*, zarówno wśród krytyków, jak i na rynku czytelniczym, przyćmił całkowicie jego wcześniejsze prace. Wystawienie utworu na scenie londyńskiego West Endu w 1924 roku przedstawiło jego dzieło jeszcze szerszym kręgom odbiorców, lecz pomimo licznych próśb ze strony czytelników Raymond Blythe odmówił napisania dalszych jego części. Początkowo powieść została zadedykowana dwóm córkom pisarza, Persephone i Seraphinie, lecz w późniejszych wydaniach autor dodał w dedykacji drugą linijkę z inicjałami swoich dwóch żon: MB i OS.

Równoległe bowiem z zawodowym sukcesem rozkwitło również ponownie prywatne życie Raymonda Blythe'a. Ożenił się po wtórnie w 1919 roku z Odette Silverman, którą poznał na przyjęciu w Bloomsbury wydanym przez lady Londonderry. Chociaż panna Silverman pochodziła z nieznaczącej rodziny, wybitny talent harfistki umożliwił jej wstęp na salony, które w przeciwnym wypadku byłyby dla niej zamknięte. Zaręczyny trwały krótko, a ślub wywołał mały skandal towarzyski z powodu różnicy wieku między przeszło pięćdziesięcioletnim Raymondem a młodzieńką, osiemnastoletnią Odette, zaledwie pięć lat starszą od jego córek z pierwszego małżeństwa, jak również na tle różnic społecznych dzielących młodą parę. Powszechnie uważano, że Blythe'a oczarowały młodość i uroda panny Silverman. Ślub odbył się w kaplicy Milderhurst, otwartej

po raz pierwszy od czasu pogrzebu nieszczęsnej Muriel.

W 1922 roku Odette powiła córkę. Dziewczynce nadano imię Juniper. Jej urodę potwierdzają liczne zdjęcia zachowane z tamtego okresu. Również i tym razem, pomimo jego własnych żartobliwych komentarzy na temat braku syna i dziedzica, listy Raymonda Blythe'a świadczą, że narodziny najmłodszej córki sprawiły mu ogromną radość. Niestety, szczęście nie trwało długo, nad głową pisarza zbierały się chmury. W grudniu 1924 Odette zmarła w wyniku komplikacji we wczesnym stadium drugiej ciąży.

Niecierpliwie przewróciłam stronę, aby obejrzeć zdjęcia. Na pierwszym Juniper Blythe musiała mieć jakieś cztery latka, siedziała z nóżkami wyciągniętymi przed sobą i skrzyżowanymi w delikatnych kostkach. Miała bose stopki, a jej minka wskazywała, że zaskoczono ją raczej nie mile, w chwili samotnej kontemplacji. Patrzyła w obiektyw troszkę zbyt szeroko rozstawionymi migdałowymi oczami, które w połączeniu z jasnymi włoskami, lekko zadartym noskiem usianym piegami i pełnymi pasji ustami nadawały jej twarzy wyraz jakiejś nieuczciwie zdobytej wiedzy.

Na następnym zdjęciu Juniper była już młodą kobietą, jakby dzielące je lata minęły w ułamku sekundy, tak że w obiektyw aparatu patrzyły te same kocie oczy osadzone w dojrzałej twarzy. Oblicze to cechowała wielka, lecz nietuzinkowa uroda. Przypomniały mi się słowa mamy o tym, że wszystkie kobiety w ratuszu Milderhurst usunęły się w cień, kiedy zjawiała się Juniper, oraz że roztaczała wokół siebie szczególną aurę. Patrząc na jej zdjęcie, wyobraziłam to sobie bez trudu. Sprawiała wrażenie interesującej i zagadkowej, nieobecnej i skrywającej jakąś tajemną wiedzę. Osobliwe rysy twarzy, aluzje ukrytych emocji, przebliski nieprzeciętnej inteligencji tworzyły frapującą całość. Wyszukałam datę w podpisie pod zdjęciem – kwiecień 1939. Ten sam rok, w którym poznała ją moja dwunastoletnia matka.

Po śmierci drugiej żony Raymond Blythe zamknął się w swoim gabinecie pisarskim, lecz poza kilkoma felietonami w „Timesie” nie opublikował więcej żadnego znaczącego utworu. Wiadomo,

że pod koniec życia pracował nad jakimś dziełem, lecz wbrew nadziejom wielu czytelników nie była to nowa część *Człowieka z Blota*, tylko rozwlekły traktat naukowy o nielinernej naturze czasu. Wykładał w nim swoje własne teorie, brzmiące znajomo dla czytelników jego słynnej powieści, sugerujące, że przeszłe wydarzenia mogą bezpośrednio oddziaływać na teraźniejszość. Dzieło jednak nigdy nie zostało ukończone.

Pod koniec życia Raymond Blythe podupadł mocno na zdrowiu i żył w przekonaniu, że bohater jego słynnej powieści ożył i nawiedza zamek, aby go dręczyć. Wolno to uznać za zrozumiałą, choć urojoną obawę, zważywszy na długą litanię tragicznych wydarzeń, które spotkały jego najbliższych, a zarazem legendę, której chętnie dawali ucho turyści zwiedzający Milderhurst. Zgodnie z powszechnymi oczekiwaniami, że każdy zamek powinien obfitować we własne, mrozące krew w żyłach historie, a tym bardziej dotyczy to murów, w których rozgrywa się akcja powieści otaczanej powszechnym uwielbieniem. Pod koniec lat trzydziestych pisarz przeszedł na katolicyzm i w ostatnich latach życia nie widywał nikogo poza księdzem. W piątek, czwartego kwietnia 1941 roku Raymond Blythe spadł z wieży zamkowej i zginął taką samą śmiercią, jaka zabrała jego matkę sześćdziesiąt pięć lat wcześniej.

Na końcu rozdziału zamieszczono kolejną fotografię Raymonda Blythe'a. Różniła się radykalnie od poprzedniego zdjęcia, na którym uśmiechnięty ojciec trzymał na kolanach pulchne bliźnięta, i gdy się jej przyglądałam, stanęła mi w pamięci rozmowa z właścicielką księgarni, szczególnie sugestia, że zaburzenia umysłowe, które trapią Juniper Blythe, są w jej rodzinie dziedziczne. Mężczyzna na drugim zdjęciu nie miał w sobie nic z zadowolonej swobody swego poprzedniego wizerunku. Nieufne oczy, ściągnięte usta, zaciśnięta mocno szczeka zdawały się potwierdzać ponad wszelką wątpliwość, że targał nim głęboki, trawiący niepokój. Zdjęcie pochodziło z 1939 roku, Blythe miał wtedy siedemdziesiąt dwa lata, ale to nie tylko wiek wyrył na jego obliczu głębokie bruzdy. Im dłużej mu się przyglądałam, tym bardziej byłam tego pewna. Czytając fragmenty

życiorysu, zastanawiałam się, czy autor biografii pisał tylko metaforycznie o „nawiedzeniu” Raymonda, teraz przekonałam się, że nie. Mężczyzna na zdjęciu nosił na twarzy maskę przerażenia i długotrwałej wewnętrznej udręki.

■

Wokół mnie na ziemię sływał zmierzch, zappełniał zagłębienia między falistymi wzgórzami i lasami majątku Milderhurst, wkładał się na pola i połykał ostatnie połacie światła. Zdjęcie Raymonda Blythe'a rozplynęło się w ciemności, więc zamknęłam książkę, ale pozostałam na polance. Odwróciłam się i między drzewami spojrzałam w kierunku, gdzie na szczycie wzgórza pod atramentowym niebem majaczyła czarna bryła zamku. Z trudem opanowywałam podniecenie na myśl, że naza-jutrz rano przestąpię jego próg.

Tego popołudnia ożyli dla mnie bohaterowie zamku Milderhurst, wsączyli mi się głęboko pod skórę i podczas lektury miałam wrażenie, że znam ich od zawsze, że choć trafiłam tu przez przypadek, to znalazłam się na właściwym miejscu. Z tym samym uczuciem czytałam po raz pierwszy *Wichrowe Wzgórza*, *Dziwne losy Jane Eyre* i *Samotnię* – jakbym je znała od dawna, jakby potwierdziły tylko coś, co zawsze podejrzewałam na temat świata, jakby od zawsze tkwiły w mojej przyszłości i czekały, aż je odkryję.

Droga przez ogród

Kiedy teraz zamykam oczy, widzę pod powiekami roziskrzone poranne niebo i letnie słońce wrzące pod czystą, błękitną powłoką. Myślę, że obraz ten wrył mi się tak mocno w pamięć, ponieważ gdy następnym razem zobaczyłam Milderhurst, odmieniły się pory roku, i ogrody, lasy i pola spowijały metaliczne odcienie jesieni. Tamtego dnia jednak, kiedy wyruszyłam do zamku zaopatrzona w szczegółowe instrukcje pani Bird, czułam, jak wyrastają mi skrzydła zapomnianego pragnienia. Wszystko wyglądało jak nowo narodzone: śpiew ptaków wydobywał z powietrza niespotykane barwy, bzyczenie pszczół przydawało mu gęstości, a ciepłe słońce ciągnęło mnie pod górę w stronę zamku.

Wydawało się, że idę tak bez końca, ale gdy zaczęłam się już obawiać, iż zabłądziłam na dobre w niekończącym się lesie, stanęłam przed zardzewiałą furtką. Za nią leżał okrągły, zaniedbany staw kąpielowy. Miał co najmniej dziesięć metrów średnicy, domyśliłam się od razu, że to o nim opowiadała mi pani Bird – basen zaprojektowany przez Olivera Sykesa dla pierwszej żony Blythe'a. Był rzeczywiście bardzo podobny do swego mniejszego bliźniaka, stawu, który widziałam poprzedniego dnia, lecz jedna różnica bardzo rzucała się w oczy. Podczas gdy oczko wodne Birdów połyskiwało beztrząsowo w blasku słońca, a wypielęgnowany trawnik przylegał równiutko do brzegu z żółtego piaskowca, jeziorko w posiadłości Blythe'ów wyraźnie pozostawiono na pastwę losu. Kamień porastał mchem, w spojeniach utworzyły się szczeliny, tak że okrągłą taflę wody otaczał postrzępiony wieniec jaskrów i margerytek, których

żółte i białe główki rywalizowały ze sobą o strzępki słońca. Unoszące się na powierzchni zdziczałe lilie wodne nachodziły na siebie jak dachówki, a ciepły wiatr marszczył ten naskórek niczym łuski olbrzymiej ryby, która w wyniku nieposkromionej fantazji ewolucji przerodziła się w egzotyczną aberrację.

Na brzegu po drugiej stronie zamontowano trampolinę, której deski wyblakły i popękały, sprężyny zardzewiały, a całość sprawiała wrażenie, jakby tylko łut szczęścia trzymał konstrukcję w całości. Z grubego konara zwisała na dwóch linach huśtawka z drewnianym siedzeniem, unieruchomiona w gąszczu kolczastego pnącza, które oplotło ją od szczytu do samego dołu. Pędy roślin nie zatrzymały się bynajmniej na sznurach, beztrudnie i niepowstrzymanie rozrastały się na całej opuszczonej polance. Przez płataninę łakomej zieleni dostrzegłam mały budynek z cegły z dwuspadowym dachem, kiedyś zapewne mieściła się tu przebieralnia. Drzwi zamknięte były na kłódkę, która całkiem zardzewiała, a okna pokryte laminatem nieusuwalnego brudu. W jednym z okienek odkryłam stłuczoną szybę, do ostrej krawędzi szkła tkwiła przyczepiona kępka sierści. Oczywiście bez namysłu zajrzałam do środka.

Podłogę i każdy skrawek powierzchni pokrywała gruba, nagromadzona przez dziesięciolecia warstwa kurzu, którego zapach czułam nawet na dworze. Światło wpadało do środka przez świetliki, z których odpadła większość drewnianych okiennic – niektóre nadal chybotwały się na zawiasach, inne leżały roztrzaskane na podłodze. Przez szczeliny przesączały się drobinki pyłu i wirowały w zduszonych promieniach słońca. Na rzędach pótek piętrzyły się sterty złożonych ręczników, których pierwotnego koloru nie sposób już było odgadnąć. Na eleganckich drzwiach po drugiej stronie wisiała tabliczka z napisem „Przebieralnia”. Za nią cieniuteńka, różowa zasłonka trzepotała o poskładane leżaki, jak to zapewne czyniła niepostrzeżenie od dawna.

Cofnęłam się, spłoszona nagle hałasem, jaki powodowały moje adidasy na zeschniętych liściach. Polanka tonęła w dziwnej ciszy, słychać było tylko ciche kłapanie liści na wodzie. Przed oczami stanął mi obraz tego miejsca z czasów jego młodości: roześmiana grupka w staromodnych kostiumach rozkłada na ziemi ręczniki, popija napoje, skacze z trampoliny, huśta się tuż nad chłodną wodą...

A potem wszystko znikło. Mrugnęłam i znów zostałam tylko ja i zarośnięty budynek. I dziwne uczucie nieokreślonego żalu. Czemu porzucano to kąpielisko? Czemu dawni mieszkańcy wyrzekli się tego miejsca, zamknęli je na cztery spusty i nigdy tu nie wrócili? Trzy siostry Blythe są wiekowymi damami, lecz przecież nie zawsze nimi były. Przez długie lata, kiedy mieszkały w zamku, zdarzały się gorące dni, idealne do pływania w tak uroczym zakątku.

Poznam odpowiedzi na te pytania, lecz jeszcze nie teraz. Podobnie jak na wiele innych, jakich nawet mi się nie śniło zadawać. Jednak w tamtej chwili wszystko to miało się dopiero wydarzyć. Stojąc tego ranka w oddalonym kącie ogrodu zamku Milderhurst, mogłam bez trudu otrząsnąć się z zadumy i skupić na zadaniu, które mnie czekało. Nie tylko bowiem moja wycieczka badawcza nad staw nie przybliżyła mnie do umówionego spotkania z pannami Blythe, lecz miałam uporczywe uczucie, że nie powinnam się tu w ogóle znaleźć.

Wyjęłam z kieszeni karteczkę z zapisanymi wskazówkami pani Blythe i jeszcze raz przeczytałam je uważnie. Tak, jak myślałam – ani słowa o stawie. Według listy miałam właśnie minąć dwie majestatyczne kolumny i zbliżyć się od południa do głównego wejścia.

Poczułam w żołądku lekkie ściskanie. To nie był południowy trawnik, nigdzie też nie widziałam kolumn. A choć fakt, że się zgubiłam, nie był dla mnie żadną nowiną – potrafię stracić orientację, przechodząc przez Hyde Park – tym razem wyjątkowo mnie to rozdrażniło. Czas uciekał, wyglądało na to, że jeśli nie chcę wracać po własnych śladach i rozpoczynać wędrówki na nowo, pozostaje mi tylko iść dalej pod górę i nie tracić nadziei. Po drugiej stronie stawu zobaczyłam furtkę, a za nią wykute kamienne schodki pięły się stromo na zarośnięte wzgórze – co najmniej sto stopni, a każdy opadał na poprzedni, jakby cała konstrukcja wzdychała ciężko. Jednak kierunek był obiecujący, więc rozpoczęłam wspinaczkę. Wydało mi się to logiczne: zamek sióstr Blythe stoi na wzgórzu, wystarczy więc iść pod górę, by prędzej czy później dotrzeć na miejsce.

Siostry Blythe. Mniej więcej w tym momencie zaczęłam tak o nich myśleć: siostry Blythe, jak bracia Grimm. Stało się to automatycznie prawie bez udziału mojej świadomości. Dziwnie się czasem układają sprawy. Zanim przyszedł list od Juniper, nie miałam pojęcia o istnieniu zamku Milderhurst, a teraz ciągnęło mnie do niego jak włochatą ćmę do wielkiego, jasnego płomienia. Z początku chodziło tylko o moją mamę – o zaskakującą historię jej ewakuacji, tajemniczy zamek o gotyckiej nazwie, potem dowiedziałam się o jego związku z Raymondem Blythe'em. Na miłość boską, przecież to było miejsce, gdzie rozgrywały się wydarzenia *Człowieka z Błota*! Kiedy jednak zbliżałam się do płomienia, zdałam sobie sprawę, że coś jeszcze sprawiło, że krew tętniła mi w żyłach coraz szybciej. Może było to coś, co przeczytałam w książce o zamku Milderhurst, a może ogólne informacje, w które zaopatrzyła mnie rano przy śniadaniu pani Bird, w każdym razie siostry Blythe zaczęły we mnie budzić coraz większą fascynację.

Powinam się przyznać, że w ogóle fascynuje mnie rodzeństwo. To, co ich łączy, zarazem intryguje mnie i odstręcza. Wspólnota genetycznych składników, przypadkowa i jakże często niesprawiedliwa dystrybucja dziedziczonych cech, nieuchronność więzi. Nie potrafię tego pojąć. Miałam kiedyś brata, lecz nie na długo. Pochowano go, zanim zdążyłam go poznać, a kiedy dorosłam na tyle, aby móc za nim tęsknić, wszelkie ślady, jakie po sobie pozostawił, starannie uprzątnięto. Dwa akty – urodzenia i śmierci, cienka teczka z dokumentami w szafce; małe zdjęcie w portfelu ojca, drugie w mamy szkatułce z biżuterią – to wszystko, co pozostało, aby powiedzieć: „Byłem tutaj!”, poza, oczywiście, wspomnieniami i smutkiem w sercach moich rodziców, którymi jednak nie dzielę się ze mną.

Nie mówię tego po to, abyście się czuli zakłopotani ani byście mi współczuli, zmierzam do tego, że choć nie pozostały mi żadne materialne czy niematerialne pamiątki, które by mogły wskrzesić w mojej pamięci Daniela, czuję z nim więź przez całe życie. Niewidzialna nić łączy nas równie niezawodnie jak dzień z nocą. Zawsze tak było, nawet w czasach mojego dzieciństwa. Jeśli ja byłam obecna w domu moich rodziców, on był tym, co nieobecne, niewypowiedzianym zdaniem, które zawsze wisiało w powietrzu w naszych szczęśliwych chwilach: „Gdyby

tylko on tu był”; kiedy coś zbroiłam: „On by tego nie zrobił”; za każdym razem, kiedy zaczynałam nowy rok szkolny: „Te duże dzieci, to byłiby jego koledzy z klasy”. I to nieobecne spojrzenie, na którym ich przyłapywałam, kiedy myśleli, że nie patrzę.

Nie twierdzę, że moja ciekawość dla sióstr Blythe miała coś wspólnego z Danielem. Na pewno nie bezpośrednio. Ale ich historia była taka piękna: dwie starsze bliźniaczki rezygnują z własnego życia, aby poświęcić się opiece nad młodszą siostrą; złamane serce, nieodwzajemniona miłość, obłąkanie. Zastanawiałam się, czy Daniel mógłby być osobą, dla której poświęciłabym życie. Nie mogłam przestać myśleć o trzech siostrach tak ściśle z sobą związanych, starzejących się, przemijających, dobiegających swych dni w majątku przodków, ostatnich żyjących członkiniach wielkiego, romantycznego rodu.



Wchodząc coraz wyżej, minęłam omszały zegar słoneczny, rząd cierpliwych urn na milczących cokołach, parę kamiennych jeleni zapatrzoną w zaniedbany żywopłot, aż w końcu pokonałam ostatni stopień i wyszłam na płaski teren. Przede mną otworzyła się alejka utworzona ze splecionych konarów sękatych drzew owocowych. Przyciągała mnie do siebie, zupełnie jakby ogród miał gotowy plan, jakby na czyjeś polecenie czekał, aby nie pozwolić mi się zgubić i za wszelką cenę doprowadzić mnie do zamku.

Dookoła panowała melancholijna cisza. Mogę się tylko domyślać, że od stromej wspinaczki zaczęło mi się kręcić w głowie i nachodziły mnie szaleńczo górnolotne myśli. Czułam się jak natchniona, nieustraszona (choć porządnie złana potem) poszukiwaczka przygód, która porzuciła swój czas i miejsce, by wyruszyć na podbój... czegoś. Nieważne, że celem tej misji były trzy leciwe damy i zwiedzanie wiejskiej rezydencji, może zaproszenie na herbatkę, jeśli dopisze mi szczęście.

Ta część parku, podobnie jak staw, leżała od dawna zaniedbana i kiedy szłam zielonym tunelem pod sklepieniem owocowych drzew, miałam wrażenie, jakbym wędrowała przez szkielet pradawnego potwora. Nad moją głową zamykały się wielkie żebra, a podłużne cienie na ścieżce wywoływały złudzenie, że stąпам po ich przedłużeniu. Przemknęłam

szybko do końca alejki, lecz u jej wylotu stanęłam jak wryta.

Przede mną, spowity cieniami, chociaż dzień był słoneczny, wznosił się zamek Milderhurst, a dokładnie jego tylna elewacja, co uprzytomniłam sobie, patrząc ze zmarszczonym czołem na zabudowania gospodarcze, na obnażone instalacje kanalizacyjne, rzucający się w oczy brak bramy wjazdowej, trawnika czy podjazdu.

Zrozumiałam wtedy, w jaki sposób się zgubiłam. Musiałam przegapić zakręt drogi, w efekcie czego okrążyłam całe lesiste wzgórze i podszłam do zamku od północy zamiast od południa.

Ale wszystko dobre, co się dobrze kończy, dotarłam na miejsce bez szwanku i byłam pewna, że nie spóźniłam się rażąco. Co więcej, wokół zamkowych ogrodów zauważyłam biegnący pas płaskiego, zarosniętego trawnika, podążyłam nim i wkrótce odtrąbiłam sobie w myślach zwycięskie fanfary – ujrzałam kolumny, o których mówiła pani Bird. Po drugiej stronie południowego trawnika fasada zamku Milderhurst wznosiła się niebosiężnie ku słońcu.

✕

Ciche, nieustępliwe narastanie lat, które czułam podczas wspinaczki w ogrodzie, od strony frontowej jakby zgęstniało, utkane wokół zamku niczym pajęczyna. Gmach stał z pełnym dramatyzmu dostojnością, niewzruszony moim wtargnięciem. Znudzone, opuszczane okna patrzyły w dal za moimi plecami w kierunku kanału La Manche, zmęczone swą długowiecznością, która wzmagala we mnie poczucie mojej znikomości i przemijalności, jakby mówiły, że zbyt dużo już w życiu widziały, by się przejmować kimś takim jak ja.

Znad kominów poderwało się stado szpaków i zatoczywszy kilka kręgów, odleciało ku dolinie, gdzie stał skulony dom pani Bird. Ten ruch i hałas wprawiły mnie w dziwne podenerwowanie.

Śledziłam ptaki wzrokiem, kiedy muskały wierzchołki drzew, po czym świergocąc, skierowały się w stronę maleńkich czerwonych dachówek miasteczka. Dom, w którym nocowałam, wydawał się tak daleki, że ogarnęło mnie przedziwne uczucie, jakbym idąc pod górę zalesionym zboczem, gdzieś po drodze przekroczyła niewidzialną granicę. Byłam „tam”, a teraz znalazłam się „tutaj” i między tymi dwoma punktami

zaszło coś znacznie bardziej skomplikowanego niż prosta zmiana miejsca.

Odwróciłam się z powrotem do zamku i zauważyłam, że wielkie czarne drzwi w wieży stoją otworem. Dziwne, że nie spostrzegłam tego wcześniej.

Ruszyłam po trawie w ich kierunku, lecz kiedy doszłam do kamiennych schodków głównego wejścia, zatrzymałam się. Obok starego, marmurowego greyhounda siedział jego czarny potomek z krwi i kości, lurcher, jak nazywano te mieszańce chartów, lecz o tym dowiedziałam się dopiero później. Doszłam do wniosku, że obserwował mnie przez cały czas, kiedy stałam na trawniku.

Podniósł się, lecz nie ruszył się z miejsca. Zagradzając mi drogę, obserwował mnie uważnie czarnymi oczami. Nie mogłam iść dalej i nie chciałam. Oddychałam płytko, lecz byłam dziwnie spokojna, nie bałam się. Trudno to wytłumaczyć, zupełnie jakby zwierzę było przewodnikiem lub staromodnym kamerdynerem, który najpierw musiał wydać mi swoją zgodę, abym mogła iść dalej.

Nie spuszczać ze mnie wzroku, podszedł do mnie, otarł się leciutko o moje palce, po czym zawrócił i pognął wielkimi susami w stronę wejścia, nie obejrząwszy się za siebie ani razu. Po chwili zniknął w otwartych drzwiach.

Jakby dał mi w ten sposób znak, żebym poszła za nim.

Trzy siostry

Czy zastanawialiście się kiedyś, jak pachnie upływający czas? Nie twierdę, że rozmyślałam nad tym kiedykolwiek, zanim przestąpiłam próg zamku Milderhurst, ale teraz na pewno wiem. Pleśnią i amoniakiem, ze szczyptą lawendy, grubą warstwą kurzu, masą rozkładającego się bardzo starego papieru. Ale to nie wszystko, u podłoża tej mieszaniny leży coś – pokrewne gniciu lub fermentacji, lecz nie jest żadnym z nich. Zajęło mi jakiś czas, zanim odkryłam, co to takiego. Przeszłość. Myśli i marzenia, nadzieje, cierpienie zmieszane z sobą unoszą się w nieruchomym powietrzu i nigdy do końca nie wietrzeją.

– Halo! – zawołałam, czekając na ostatnim stopniu szerokich, kamiennych schodów, aż mi ktoś odpowie.

Czas mijał, lecz nikt się nie odezwał, więc spróbowałam znowu, tym razem głośniej:

– Halo! Jest tu ktoś?

Pani Bird powiedziała mi, żebym weszła do środka, że siostry Blythe się nas spodziewają, a ona dołączy do mnie później. Podkreślała kilkakrotnie, żebym nie pukała ani nie dzwoniła, ani w żaden inny sposób nie ogłaszała swojego przybycia. Miałam poważne wątpliwości, tam, skąd pochodziłam, wejście bez zapowiedzenia traktowano jak wtargnięcie, zrobiłam jednak, jak kazała: minęłam kamienny portyk, potem sklepiony korytarz i znalazłam się w okrągłym, ciemnym holu bez okien, z sufitem wznoszącym się w wysoką kopułę. Jakiś odgłos ściągnął moją uwagę ku górze, gdzie do środka wleciał biały ptak i zawisł w snopie zakurzonego światła.

– Ach, więc jest pani.

Głos doszedł z lewej strony, odwróciłam się szybko i ujrzałam starą kobietę stojącą w drzwiach kilka metrów ode mnie, a obok niej psa, którego widziałam przed wejściem. Była szczupła, wysoka, w tweedowym kostiumie z zapinaną bluzką z kołnierzykiem, prawie jak mężczyzna. Wszelkie oznaki płci zatarły się w jej sylwetce z upływem lat, krągłości zapadły się dawno temu. Białe, krótko ostrzyżone włosy zrzedły nad czołem i na skroniach i okalały uszy z szorstką krnąbrnością, owalną twarz znamionowały czujność i inteligencja. Zauważyłam, że brwi, wyregulowane niemal do całkowitego zaniku, po czym narysowane na nowo, wyglądały jak zadrapania w kolorze wyblakłej krwi. Efekt był teatralny, choć nieco ponury. Kobieta pochyliła się lekko do przodu i oparła na eleganckiej lasce z główką z kości słoniowej.

– Pani musi być Edith.

– Tak. – Podeszłam do niej bliżej i wyciągnęłam rękę. Nagle zabrakło mi tchu. – Edith Burchill, dzień dobry.

Uśmiechnęła się, kiedy jej lodowate palce ścisnęły lekko moją dłoń. Skórzany pasek od zegarka zsunął się bezdźwięcznie na nadgarstek.

– Marilyn Bird powiedziała mi, że pani przyjdzie. Nazywam się Persephone Blythe.

– Bardzo dziękuję, że zgodziły się panie mnie przyjąć. Od kiedy usłyszałam o zamku, po prostu umierałam z pragnienia, żeby go obejrzeć.

– Doprawdy? – Jej usta wykrzywiły się w uśmiechu jak szpilka do włosów. – Ciekawa jestem dlaczego.

W tym momencie powinnam była oczywiście opowiedzieć jej o mamie, o liście, o ewakuacji w trzydziestym dziewiątym roku. Twarz Percy Blythe rozpromieniłaby się na to wspomnienie, a potem udałybyśmy się na przechadzkę, wymieniały nowinami i wspomnieniami. Zdawało się to takie naturalne, dlatego zdziwiłam się niezmiernie, kiedy usłyszałam swój głos:

– Czytałam o nim w książce.

Kobieta wydała odgłos, który przypominał „aha”, tylko sugerował kompletny brak zainteresowania.

– Dużo czytam – dodałam szybko, jakby zgodny z prawdą dodatek mógł w jakiś sposób zatrzeć kłamstwo. – Uwielbiam książki. Pracuję w wydawnictwie. Książki to moje życie.

Jej pomarszczona twarz obwiśla w obliczu tego infantylnego wyznania, i nic dziwnego. Już pierwsze oświadczenie brzmiało wystarczająco trywialnie, a kolejne biograficzne ciekawostki wypadły kompletnie beznadziejnie. Nie mam pojęcia, czemu po prostu nie powiedziałam prawdy, która była znacznie ciekawsza, nie mówiąc o tym, że uczciwa. Podejrzewam, że pokierowało mną jakieś niedojrzałe, dziecięce pragnienie, aby mojej własnej przygody w zamku Milderhurst nie zmaciła przeszłość mamy. Otworzyłam już usta, aby sprostować to niedomówienie, ale było za późno, kobieta skinęła ręką, abym poszła za nią, i ruszyła razem z psem w głąb ciemnego korytarza. Poruszała się pewnym, lekkim krokiem, doszłam do wniosku, że laska jest tylko nieuzasadnionym trybutem dla podeszłego wieku.

– W każdym razie podoba mi się pani punktualność – doszedł mnie jej głos. – Nie cierpię ludzi, którzy się spóźniają.

Szłyśmy w milczeniu, które pogłębiało się z każdym kolejnym krokiem. Odgłosy z dworu cichły coraz dobitniej: drzewa, ptaki, dalekie szemranie niewidzialnego strumienia – dźwięki, z których nawet nie zdawałam sobie sprawy, dopóki znikając, nie pozostawiały po sobie dziwnej, przestronnej próżni, tak przejmującej, że w uszach zaczęło mi szumieć, a mój słuch wyczarowywał własne urojone szepty, aby wypełnić pustkę.

Wkrótce oswoję się z tą dziwną izolacją zamkowego wnętrza. Dźwięki, zapachy i widoki, tak wyraźne poza jego murami, więzły w starych, kamiennych ścianach, jakby nie mogły przeniknąć w głąb, jakby przez stulecia porowaty piaskowiec wchłaniał je do syta, przechowywał minione impresje niby kwiaty zapomniane między stronicami dziewiętnastowiecznej księgi, aż wytworzył nieprzeniknioną barierę między światem wewnątrz i na zewnątrz. Powietrze poza murami roznosiło pogłoski o jaskrach i świeżo skoszonej trawie, w środku jednak unosił się tylko zapach nagromadzonego czasu, wstrzymany oddech zatęchłych stuleci.

Mijałyśmy zwodnicze, pozamykane drzwi, aż wreszcie, tuż przed miejscem, w którym korytarz zakręcał i znów niknął w mroku, zobaczyłam uchylone skrzydło. Ze środka uśmiechał się nieśmiało plasterek światła, który zamienił się w pełny uśmiech, gdy Percy Blythe pchnęła drzwi laską.

Cofnęła się i skinęła mi surowo głową na znak, że powinnam wejść pierwsza.

■

Salon, w którym się znalazłam, stanowił ostry kontrast z ciemnym korytarzem wyłożonym dębową boazerią. Żółta tapeta musiała być kiedyś bardzo jaskrawa, lecz z czasem spłowieła, wzór w ruchliwe zawijasy przybrał rozleniwiony, melancholijny charakter, a ogromny różowobłękitno-biały dywan, wytarty lub również wyblakły, sięgał prawie pod same ściany. Przed fantazyjnym, rzeźbionym kominkiem stała dziwnie długa i niska sofa wysiedziana przez mnóstwo osób, które na niej odpoczywały, dzięki czemu wydawała się jeszcze wygodniejsza. Obok stała maszyna do szycia Singers z płachtą niebieskiego materiału w zębach.

Lurcher przeszedł obok mnie i ułożył się z wdziękiem na wydeptanej owczej skórze pod wielkim, co najmniej dwustuletnim parawanem. Zielono-brązowa scenka z psami i kogutami zatarła się w smętną elegię o wiecznym zmierzchu, a w miejscu, przy którym leżał chart, rysunek zniknął prawie zupełnie.

Przy okrągłym stoliku siedziała kobieta w wieku Percy z głową pochyloną nisko nad kartką papieru niczym wyspa na oceanie porzrzucanych kostek scrabble'a. Ujrawszy mnie, zdjęła pospiesznie wielkie okulary, złożyła je i, wstając, schowała do ukrytej kieszeni w długiej, jedwabnej sukni. Miała szaroniebieskie oczy, brwi raczej zwykłe, ani wygięte w łuk, ani proste, za to paznokcie pomalowane na jaskraworóżowy kolor dopasowany do szminki i wielkich kwiatów na sukience. Chociaż ubrana inaczej niż Percy, wykazywała tę samą schludność i dbałość o wygląd zewnętrzny, na swój sposób staromodną, nawet jeśli strój nie sprawiał takiego wrażenia.

– To moja siostra, Seraphina – oznajmiła Percy, podchodząc do niej. – Saffy – powiedziała przesadnie głośno – to jest Edith.

Saffy postukała palcami w ucho.

– Nie musisz krzyczeć, Percy, kochanie – odpowiedziała łagodnym, melodyjnym głosem. – Mam włożony aparat.

Uśmiechnęła się do mnie nieśmiało, mrugając z powodu braku okularów, które zdjęła najwyraźniej z próżności. Była tego samego wzrostu co jej siostra, chociaż wskutek jakiegoś złudzenia optycznego spowodowanego

przez strój lub może grę światła wydawała się, niższa.

– Przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka – dodała. – Percy zawsze lubiła dyrygować. Jestem Saffy Blythe, bardzo mi miło panią poznać.

Podeszłam bliżej, żeby ucisnąć jej wyciągniętą dłoń. Kiedyś była zapewne wierną kopią swojej siostry, dziewięćdziesiąt lat jednak wyryło na ich twarzach odmienne linie, co dało na obliczu Saffy efekt łagodniejszy, przyjemniejszy dla oka. Wyglądała wypisz, wymaluj tak, jak powinna wyglądać starsza pani na zamku. Od razu nabrałam do niej sympatii. O ile Percy onieśmiała mnie, o tyle Saffy przywodziła na myśl ciasteczko owsiane lub papier bawełniany zapisany fantazyjnym, atramentowym pismem. To ciekawe, w jaki sposób charakter odciska na ludziach piętno w miarę jak się starzeją, jak wyłania się z wnętrza i pozostawia po sobie blizny.

– Dzwoniła do nas pani Bird – powiedziała Saffy. – Niestety, zatrzymały ją w mieście interesy.

– Gorączkowała się jak w ukropie – ciągnęła Percy chłodno. – Powiedziałam jej, że chętnie panią oprowadzę.

– Z prawdziwą rozkoszą – dodała Saffy z uśmiechem. Moja siostra kocha ten dom jak inni swoich małżonków. Nie posiada się z radości na myśl, że może się nim pochwalić. A jest czym. To stare domostwo jest jej zasługą, tylko lata jej niestrudzonych wysiłków zdołały uchronić je od ruiny.

– Robiłam tylko, co w mojej mocy, żeby ściany nie sypały nam się na głowy, to wszystko.

– Moja siostra jest skromna.

– A moja uparta.

Ta błyskotliwa wymiana łagodnych ripost należała najwyraźniej do ich codziennych rytuałów. Umilkły i przrzyły na mnie z uśmiechem. Przez chwilę stałam jak zahipnotyzowana. Przypomniało mi się zdjęcie z *Milderhurst Raymonda Blythe'a*, zastanawiałam się, która ze starych dam była którym z dwojga niemowląt siedzących na kolanach ojca. Nagle Saffy wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Percy.

– Moja siostra dbała o nas przez całe życie – powiedziała.

Potem odwróciła się i popatrzyła na profil swojej bliźniaczki z taką

cją, że rozumiałam od razu – to ona była mniejszą i drobniejszą z dwóch dziewczynek na fotografii, tą, której uśmiech drżał niepewnie przed obiektywem aparatu fotograficznego.

Percy najwyraźniej poczuła się niezręcznie wobec tego niemego wyrazu uznania, zmarszczyła brwi i mruknęła:

– Nieważne. Niewiele już nam zostało do zrobienia.

Nikt nigdy nie wie, jak się zachować, kiedy starsza osoba napomyka o nadchodzącej śmierci, zrobiłam więc to, co zwykle robię, ilekroć Herbert wspomina, że „pewnego dnia” przejmę po nim Billing & Brown: uśmiechnęłam się, jakbym nie rozumiała aluzji, i zaczęłam z wielkim zainteresowaniem przyglądać się promieniom słońca wpadającym przez okno w wykuszu.

Wtedy dopiero zauważyłam trzecią siostrę. To musiała być Juniper. Siedziała nieruchomo jak posąg w fotelu z wyblakłym, zielonym obiciem i przez otwarte okno patrzyła na roztaczający się za nim park. Z kryształowej popielniczki wznosił się pióropusz dymu papierosowego, który zamazywał kontury jej sylwetki. W przeciwieństwie do siostr w jej ubraniu ani w tym, jak je nosiła, nie było nic eleganckiego. Miała na sobie uniwersalny kostium osób niepełnosprawnych: źle dopasowaną bluzkę wsuniętą ciasno i wysoko w bezkształtne, workowate spodnie, poplamione tłuszczem w miejscach, gdzie spadało jedzenie. Być może wyczuła moje spojrzenie, bo odwróciła się nieznacznie w moją stronę, lecz wzrok miała niewidzący, charakterystyczny dla osób będących pod wpływem silnych leków. Uśmiechnęłam się, lecz ona nie dała żadnego znaku, że to zauważyła, wpatrywała się we mnie bez słowa, jakby chciała przewiercić mnie spojrzeniem na wylot.

Kiedy ją obserwowałam, zdałam sobie sprawę z obecności natarczywego dźwięku, na który wcześniej nie zwróciłam uwagi. Na małym drewnianym stoliku okolicznościowym pod oknem stał niewielki telewizor. Nadawano właśnie amerykański serial komediowy, nieustanne buczenie natrętnych dialogów przerywały wybuchy śmiechu w ścieżce dźwiękowej oraz ostre dźwięczenia zakłóceń. Ogarnęło mnie melancholijne wspomnienie: na dworze ciepły, wakacyjny dzień i stojące, duszne powietrze w domu mojej babci, gdzie wolno mi było oglądać telewizję, ile dusza zapagnie.

– Co ty tu robisz?

Przyjemne wspomnienie rozprysło się pod wpływem lodowatego głosu. Juniper Blythe nadal na mnie patrzyła, lecz z jej oblicza zniknęła nieobecny wyraz, a zastąpiło je niedwuznacznie wrogie spojrzenie.

– Ja... mmm... dzień dobry – wyjąkałam.

– Skąd się tu wzięłaś?

Lurcher wydał zduszony skowyt.

– Juniper! – Saffy podeszła pospiesznie do siostry. – Kochanie, Edith jest naszym gościem. – Delikatnie ujęła jej twarz obiema dłońmi. – Mówiłam ci, pamiętasz? Przyszła zwiedzić nasz stary dom. Percy zabierze ją na mały spacer. Nie musisz się niepokoić, June, wszystko jest w porządku.

Podczas gdy ja z całego serca zapragnęłam nagle zniknąć, bliźniaczki wymieniły spojrzenia, które tak doskonale wpasowały się w odmienne rysy ich podobnych twarzy, że domyśliłam się natychmiast, jak często musiały się z ich pomocą porozumiewać. Percy ściągnęła usta i skinęła Saffy głową, a po chwili dziwny wyraz na jej twarzy się rozwiął, zanim zdążyłam odkryć, czemu wywołało to we mnie tak szczególne wrażenie.

– No dobrze – odezwała się z taką sztuczną wesołością, że aż się skrzywiłam. – Marnujemy tu czas. – Czy możemy zacząć, Edith?

✠

Z ulgą wyszłam za nią z pokoju, po czym skręciłam w następny, chłodny i ciemny korytarz.

– Najpierw oprowadzę panią po pomieszczeniach w tylnej części zamku – oznajmiła. – Ale nie będziemy się tam zatrzymywać, nie ma potrzeby. Te pokoje od dawna stoją bezużyteczne.

– Dlaczego?

– Ponieważ wychodzą na północ.

Percy miała zwyczaj mówić oszczędnie, trochę jak dziennikarze radiowi w czasach, gdy BBC miała we wszystkim ostatnie słowo. Krótkie zdania, nieskazitelna dykcja, niewyartykułowany niuans kryjący się w każdej kropce.

– Nie da się ich zimą ogrzewać. Mieszkamy tylko we trzy, więc nie potrzebujemy aż tyle miejsca. Łatwiej po prostu zamknąć niektóre

pomieszczenia na stałe. Zajęłyśmy z siostrami pokoje w małym, zachodnim skrzydle, w pobliżu żółtego salonu.

– To bardzo rozsądne – odparłam szybko. – W tak ogromnym domu musi być ze sto pokoi. Ja bym się na pewno zgubiła.

Paplałam od rzeczy, sama to słyszałam, ale nie mogłam przestać. Nie miałam daru elokwencji, byłam podniecona myślą, że w końcu znalazłam się w środku zamku, no i scena z Juniper wytrąciła mnie z równowagi... Wszystko to złożyło się na prawdziwie wybuchową mieszanicę. Nabrałam powietrza i ku własnemu przerażeniu ciągnęłam:

– Chociaż panie mieszkały tu przez całe życie, więc to na pewno nie przedstawia dla was problemu...

– Przepraszam panią – powiedziała ostro, odwracając się do mnie twarzą.

Nawet po ciemku zauważyłam, że pobladła. Każę mi wyjść, pomyślałam. Moja wizyta sprawia im za dużo kłopotu, ona i jej siostry są stare i zmęczone, a jedna z nich poważnie chora.

– Nasza siostra nie czuje się najlepiej – rzekła, a we mnie serce zamarło. – To nie ma nic wspólnego z panią. Czasami zachowuje się bardzo nieuprzejmie, ale to nie jej wina. Przeżyła wielkie załamanie. To było dawno temu, smutna historia.

– Nie muszą się panie tłumaczyć – zapewniłam.

Tylko nie każcie mi wychodzić.

– Mimo to uważam, że powinnam. To było bardzo niegrzeczne. Juniper źle się czuje przy obcych, jest zagubiona. Nasz lekarz rodzinny zmarł dziesięć lat temu i do tej pory szukamy kogoś, kogo mogłybyśmy zaakceptować. Mam nadzieję, że nie poczuła się pani dotknięta.

– Ależ skądże, rozumiem to doskonale.

– To dobrze, ponieważ my naprawdę cieszymy się z pani wizyty. – Znów ten uśmiech jak szpilka do włosów. – Ten dom lubi odwiedziny. Potrzebuje ich.

Dozorcy w murach zamku

W moje dziesiąte urodziny rodzice zabrali mnie do Bethnal Green na wystawę domków dla lalek w muzeum dzieciństwa. Nie wiem, czemu pojechaliśmy akurat tam, czy dlatego że wyraziłam takie życzenie, czy też mama lub tata przeczytali w gazecie artykuł o tej ekspozycji, w każdym razie pamiętam ten dzień doskonale, należy do tych błyszczących wspomnień, które kolekcjonuje się przez całe życie, doskonale uformowane i zapieczętowane, niczym bańka mydlana, która nigdy nie pęka. Pojechaliśmy taksówką, co wydawało mi się bardzo szykowne, a potem poszliśmy na herbatę do bardzo eleganckiej kawiarni w Mayfair. Pamiętam nawet, jak byłam ubrana: w krótką sukieneczkę w romby, o której marzyłam od dawna i tego dnia dostałam w prezencie.

Jest jeszcze inne wydarzenie, które tego dnia utkwilo mi w pamięci: zgubiliśmy mamę. Kto wie, czy ten wypadek bardziej niż domki dla lalek nie zaważył na tym, że dzień ten nie zatarł się wrzucony między miażdżące konstelacje przeżyć z dzieciństwa. Świat stanął dla mnie na głowie. Dorośli się nie gubią, przynajmniej nie w krainie dzieciństwa małej dziewczynki, która zostaje w tyle, buja w obłokach i generalnie nie nadąża.

Tym razem w niewytłumaczalny sposób to moja mama nagle zapadła się pod ziemię. Staliśmy z tatą w kolejce, aby kupić na pamiątkę katalog z wystawy. Posuwaliśmy się noga za nogą, każde w towarzystwie własnych myśli, lecz dopiero gdy doszliśmy do lady i stanęliśmy niemo, patrząc ze zdziwieniem najpierw na sprzedawczynię, a potem na siebie nawzajem, zorientowaliśmy się, że gdzieś znikł nasz rodzinny rzecznik.

To ja ją znalazłam. Klęczała przed domkiem dla lalek, który niedawno minęliśmy – wysokim, ciemnym, z mnóstwem schodów i strychem nad całą powierzchnią. Nie wyjaśniła nam, dlaczego tam wróciła, powiedziała tylko:

– Wiesz, Edie, że na świecie naprawdę są takie miejsca. Prawdziwe domy, w których mieszkają prawdziwi ludzie. Wyobrażasz sobie? Te wszystkie pokoje? – Usta jej zadrgały, po czym wyrecytowała melodyjnie łagodnym głosem: – „Pradawne mury wyśpiewują zapomniane godziny”.

Myślę, że jej nie odpowiedziałam, po pierwsze, nie było na to czasu – po chwili zjawił się tata, podenerwowany i jakby osobiście głęboko urażony, a po drugie, nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Chociaż nigdy więcej o tym nie rozmawialiśmy, minęło wiele czasu, zanim ostatecznie pożegnałam się z wiarą, że gdzieś w wielkim, szerokim świecie stoją prawdziwe takie domy, w których mieszkają prawdziwi ludzie, a mury śpiewają.

Wspomniałam o muzeum dzieciństwa, ponieważ kiedy Percy Blythe prowadziła mnie ciemnymi korytarzami, przypomniało mi się to, co powiedziała wtedy mama, i cała scena wyrosła mi przed oczami jak żywa. Widziałam jej twarz, słyszałam jej głos tak wyraźnie, jakby stała obok mnie. Może stało się to za sprawą dziwnego uczucia, jakie mnie opadło, kiedy Percy oprowadzała mnie po zamku, uczucia, że ktoś rzucił na mnie czar pomniejszający i znalazłam się w domu dla lalek, tylko nieco podupadającym, którego właścicielka już dawno dorosła i przestała się nim interesować, oddając się innym namiętnościom, a dom ze spłowiałymi tapetami, jedwabiami, matami z sitowia, wypchanymi ptakami i ciężkimi meblami czeka w milczeniu, pełen nadziei na nowego właściciela.

Z drugiej strony może wszystko to przyszło później, a pierwsze zaświtały mi w głowie słowa mamy, ponieważ to oczywiste, że myślała o Milderhurst, kiedy mówiła o prawdziwych ludziach mieszkających w prawdziwych domach pełnych niezliczonych pokoi. Bo cóż innego mogło ją natchnąć do takich słów? Dziwny wyraz, który pojawił się wtedy na jej twarzy, był wynikiem wspomnień z tego miejsca. Myślała o Percy, Saffy i Juniper, i o wszystkich dziwnych rzeczach, które musiały

jej się tu przydarzyć, kiedy była dziewczynką, kiedy przywieziono ją z południowego Londynu do zamku Milderhurst, rzeczach, które przemierzyły pięćdziesięcioletnią przepaść i miały siłę, by chwycić ją za gardło i wycisnąć łzy z oczu.

Tak czy inaczej, kiedy tego przedpołudnia wyruszałam z Percy na zwiedzanie zamku, towarzyszyła mi mama. Nie mogłabym się temu przeciwstawić, nawet gdybym próbowała. Mimo że byłam w jakiś niewytłumaczalny sposób zazdrosna, pragnąc, aby ta podróż po zamku stała się moją własną przygodą, jakaś jej częśćka, której nie znałam i której z pewnością nigdy nie zauważałam, była z tym miejscem zrośnięta. I choć nie przywykłam do tego, by dzielić z nią przeżycia, uprzytomniłam sobie, że wcale mi to nie przeszkadza. Ucieszyłam się nawet, że ten dziwny komentarz mamy w muzeum dzieciństwa przestał być niezrozumiałą osobliwością, kawałkiem mozaiki niepasującym do całej reszty, a stał się fragmentem jej przeszłości, weselszym i o niebo ciekawszym niż wszystkie pozostałe.

Tak więc, kiedy Percy prowadziła, a ja słuchałam, rozglądałam się i kiwałam głową, obok mnie w milczeniu szła mała dziewczynka z Londynu z szeroko otwartymi oczami, zdenerwowana, ponieważ ona również oglądała dom po raz pierwszy. Okazało się, że sprawia mi przyjemność jej obecność, gdybym mogła, sięgnęłabym ręką przez dziesięciolecia i chwyciła jej dłoń. Zastanawiałam się, jak bardzo ten dom musiał wyglądać inaczej w 1939 roku, ile zmian w nim zaszło w ciągu pięćdziesięciu lat. Czy wtedy również sprawiał wrażenie pograżonego we śnie? Czy i wtedy tonął w półmroku i kurzu? Wielkie stare zamczysko, czekające, aż nadejdzie jego moment. Zastanawiałam się, czy będę miała okazję spotkać tę małą dziewczynkę, czy nadal gdzieś tu krąży, czy kiedykolwiek ją znajdę.

✠

Nie da się zrelacjonować wszystkiego, co zobaczyłam i usłyszałam tamtego dnia w Milderhurst, a dla celów tej opowieści nie jest to potrzebne. Tyle się potem wydarzyło, tyle nastąpiło zwrotów i zakrętów, wydarzenia przeplatają się w moim umyśle, tak że trudno mi wyłowić z nich swoje pierwsze wrażenia na temat domu i jego mieszkańców. Będę się w tej relacji trzymać dźwięków i obrazów, które utkwiły mi w pamięci

najżywiej i które mają największe znaczenie dla późniejszych i wcześniejszych wydarzeń; tych, które nigdy nie zblakną w moich wspomnieniach.

Podczas zwiedzania zamku dwie rzeczy stały się dla mnie jasne: po pierwsze, pani Bird srodze upudrowała rzeczywistość, mówiąc, że zamek Milderhurst jest „nieco zaniedbany”. Obracał się w ruinę, która wcale nie przypominała zmierzchu bogów. Po drugie, co dziwne, Percy Blythe była na to kompletnie ślepa. Nieważne, że gruba warstwa kurzu pokrywała ciężkie, drewniane meble, że stojące powietrze gęstniało od milionów pyłków, że w kotarach żerowały całe pokolenia moli – opowiadała o komnatach, które mijaliśmy, jakby przechodziły właśnie okres świetności, jakby w eleganckich salonach arystokracja mieszała się ze środowiskiem bohemy literackiej, a po korytarzach uwijała się armia niewidzialnych kamerdynerów, wykonując polecenia członków rodziny Blythe. Miałabym wiele współczucia i wiele zrozumienia dla tej kobiety, żyjącej w świecie fantazji, gdyby nie to, że Percy Blythe nie należała do osób, które wzbudzają współczucie. Była całkowitym przeciwieństwem typu ofiary, tak więc moje współczucie zamieniło się w podziw i szacunek dla uporów, z jakim odmawiała przyjęcia do wiadomości, że jej wspaśniały dom przedstawia obraz nędzy i rozpacz.

Nie mogę nie wspomnieć jeszcze jednej rzeczy na temat Percy: jak na osobę po osiemdziesiątce, w dodatku podpierającą się laską, poruszała się zdumiewająco zwawo. Obejrzałyśmy salę bilardową, balową, oranżerię, po czym zeszyliśmy na dół do jadalni dla służby, przemaszerowałyśmy przez pokój kredensowy, spiżarnię, zmywalnię, aż wreszcie wkroczyłyśmy do kuchni. Na ścianach wisiały miedziane rondle i patelnie, pod zapadającymi się palnikami rdzewiała staromodna kuchnia Aga, obok ramię w ramię tłoczyła się rodzina ceramicznych naczyń. Na środku bujał się ogromny, sosnowy stół na obrzmiałych kostkach, z blatem oznaczonym bliznami od niezliczonych noży, ranami posypanymi solą i oproszonymi mąką. Panował tu chłód, zatechłe powietrze stało nieruchomo, pomyślałam, że te dawne pomieszczenia dla służby jeszcze bardziej niż pokoje na górze marnieją blade i opuszczone. Niczym tłoki wielkich wiktoriańskich maszyn parowych pały ofiarą postępu i ze zgrzytem znieruchomiały na dobre.

– Trudno w to uwierzyć, ale to miejsce tętniło kiedyś życiem –

powiedziała Percy Blythe, przeciągając palcem po krenelażu kuchennego stołu. – Moja babcia utrzymywała ponad czterdzieści osób służby. Czterdzieści. Człowiek zapomina, jak ten dom błyszczał.

Na podłodze leżały drobniotkie grudki, które w pierwszej chwili wzięłam za zwykły brud, lecz kiedy usłyszałam, jak chrzęszczą rozgniatane pod stopami, zrozumiałam, że to mysie bobki. Odnutowałam w pamięci, aby podziękować za ciasto, jeśli zostanę poczęstowana.

– Jeszcze za mojego dzieciństwa mieliśmy dwudziestu służących i piętnastu ogrodników, którzy zajmowali się parkiem i ogrodami. Wszystko się skończyło w czasie pierwszej wojny światowej, wszyscy młodzi mężczyźni zaciągnęli się do wojska.

– I nikt nie wrócił?

– Dwóch. Dwóch przeżyło, ale nie byli już tymi samymi ludźmi, co przedtem. Przyjeliśmy ich oczywiście, nie mogliśmy tego nie zrobić, ale nie wytrzymali długo.

Nie byłam pewna, czy to znaczyło, że odeszli z majątku, czy że krótko żyli, ale Percy ciągnęła bez przestanku, więc nie miałam okazji zapytać.

– Jakoś sobie później radziliśmy, zatrudnialiśmy sezonowych pracowników, gdzie się dało, ale aż do drugiej wojny ze świecą można było szukać ogrodnika. Jaki młodzieniec chciałby pielęgnować kwiatki, kiedy mógł iść na wojnę? W każdym razie żaden z takich, których skłonni bylibyśmy zatrudnić. Nie dużo lepiej było ze służbą domową. Wszystkich zaprzętały inne sprawy.

Stała nieruchomo, policzki jej obwisły. Wsparta o główkę laski wędrowała daleko myślami.

Odchrząknęłam i powiedziałam łagodnie:

– A teraz? Mają panie kogoś do pomocy?

– O tak. – Powróciła do rzeczywistości i machnęła lekceważąco ręką. – Opłacamy panią, która przychodzi raz w tygodniu, żeby pomóc w gotowaniu i sprzątanii, a jeden z miejscowych farmerów zajmuje się naprawą płotów. Jest też młodzieniec, bratanek pani Bird, który kosi trawę i trzyma chwasty pod kontrolą. Jest rzetelny i sumienny, mimo że etos pracy należy raczej do przeszłości. – Uśmiechnęła się przelotnie. – Resztą spraw zajmujemy się same.

Odpowiedziałam jej uśmiechem, a ona wskazała wąskie schody dla służby.

- Wspomniała pani, że jest bibliofilką.
- Moja mama twierdzi, że urodziłam się z książką w ręku.
- Zatem domyślam się, że zainteresuje panią nasza biblioteka.

✕

W książce przeczytałam, że biblioteka Milderhurst spłonęła w tym samym pożarze, w którym zginęła matka bliźniaczek, więc choć nie bardzo wiem, co spodziewałam się ujrzeć za czarnymi drzwiami na końcu posępnego korytarza, na pewno nie była to bogata biblioteka. A jednak, kiedy w ślad za Percy Blythe przestąpiłam próg sali, moim oczom ukazały się ściany od podłogi do sufitu wypełnione półkami, a chociaż w pokoju panował półmrok – w oknach wisiały grube, spływające zasłony, które muskały posadzkę – zobaczyłam, że wszystkie zastawione są rzędami starych książek w oprawach z papieru marmurkowego, ze złoconymi brzegami stronic. Palce mnie świerzbiły, żeby przejść wzdłuż ścian, gładzić ich grzbiety, aż napotkam tę, której nie będę potrafiła się oprzeć, wyciągnąć ją, otworzyć, a potem zamknąć oczy i wdychać zapach starego bibliotecznego kurzu.

Percy Blythe zauważyła moją fascynację, jakby czytała mi w myślach.

– To oczywiście uzupełnienia pierwotnego księgozbioru – oznajmiła. – Większość oryginalnej biblioteki Blythe'ów zniszczył pożar. Nie wiele udało się uratować, to, co nie spłonęło, zniszczyły dym i woda.

– Tyle książek – powiedziałam niemal z fizycznym bólem w głosie.

– Tak, dużo. Mój ojciec ciężko to przeżył. Dużą część swego późniejszego życia poświęcił odtwarzaniu zbiorów. Listy krążyły na wszystkie strony. Antykwariusze byli naszymi najczęstszymi gośćmi, poza nimi niewiele osób nas odwiedzało. Po śmierci mamy tata nigdy nie korzystał z tego pokoju.

Być może był to wytwór mojej bujnej wyobraźni, lecz kiedy Percy mówiła, nie mogłam się opędnąć wrażeniu, że czuję zapach spalenizny przesączający się przez odnowione ściany, przez świeżą farbę z głębi starej zaprawy murarskiej. Słyszałam też odgłosy, których nie potrafiłam

nazwać, jakby stukanie. W normalnych okolicznościach pewnie nie wyróżniałyby się niczym szczególnym, lecz w tym dziwnym, milczącym domu przykuwały uwagę. Zerknęłam na Percy, która podeszła i stanęła za oparciem skórzanego fotela, lecz jeśli coś usłyszała, nie dała tego po sobie poznać.

– Mój ojciec miał talent pisarski – rzekła, przeszywając spojrzeniem biurko stojące we wnęce pod oknem. – Moja siostra, Saffy, również.

– A pani?

Ściągnęła usta w uśmiechu.

– Niewiele w życiu napisałam i tylko kiedy nie miałam innego wyjścia.

Uderzyła mnie osobliwość tej odpowiedzi, być może uzewnętrznilo się to na mojej twarzy, bo Percy wyjaśniła:

– Pisarstwo nigdy nie było moim powołaniem. W rodzinie pisarzy dobrze jest znać swoje ograniczenia. Skromne próby nie zyskiwały u nas uznania. Kiedy byliśmy młode, ojciec i jego dwaj bracia wysyłali sobie wspaniałe eseje. Czytał je wieczorami na głos. Oczekiwał rozrywki i bezlitośnie krytykował te, które nie sprostają jego oczekiwaniom. Był zdruzgotany wynalezieniem telefonu. Oskarżał go o wiele dolegliwości naszego świata.

Znów usłyszałam pukanie, tym razem głośniejsze i w innym miejscu, jakby się przemieszczało. Mógłby to być wiatr przekradający się przez szczeliny w murze, chłuszczący ściany piaskiem, tylko dźwięk wyraźnie wskazywał na coś cięższego. Byłam pewna, że dochodzi z góry.

Popatrzyłam na mętną żarówkę zwisającą z poszarzałej osłony, szczelinę w tynku przecinającą sufit niczym błyskawica. Przyszło mi do głowy, że taki właśnie odgłos byłby jedynym ostrzeżeniem, gdyby sufit zaczął nam walić się na głowę.

– Ten hałas...

– Och, proszę nie zwracać na niego uwagi – rzekła Percy Blythe, machając chudą dłonią. – To tylko dozorczy krążą w naczyniach krwionośnych zamku.

Prawdopodobnie wyglądałam na kompletnie zdezorientowaną, bo na pewno się tak czułam.

- W takim domu jak ten lepiej o nich nie mówić.
- O dozorcach?
- O naczyniach krwionośnych.

Zmarszczyła czoło i powiodła wzrokiem wzdłuż ościeżnicy, jakby śledziła ruch czegoś, czego nie mogłam widzieć. Głos jej się lekko zmienił, w jej opanowanym sposobie bycia zauważyłam jakieś pęknięcie, przez chwilę wydawało mi się, że słyszę i widzę ją wyraźniej.

– W szafie na poddaszu są sekretne schody, prowadzą do całego labiryntu ukrytych korytarzy. Można się nimi przeczołgać od pokoju do pokoju, od strychu aż po piwnice, jak mysz. Jeśli człowiek porusza się odpowiednio cicho, może usłyszeć najróżniejsze tajemnice i zgubić się, jeśli nie jest ostrożny. To układ krwionośny zamku.

Zadrżałam przytłoczona nagłym, natarczywym wyobrażeniem domu, który zamienił się w ogromnego, przyczajonego olbrzyma. Mroczna, bezimienna istota wstrzymała oddech, gigantyczna ropucha z bajki, czyhająca na młodą dziewczęcę, aby ją podstępnie skusić do pocałunku. Myślałam, rzecz jasna, o Człowieku z Błota, styksowym, oślizłym stworze, wyłaniającym się z jeziora, by omamić młodą dziewczynę siedzącą w oknie na poddaszu.

– Kiedy byliśmy małe, wymyślałyśmy z Saffy różne zabawy. Wyobrażałyśmy sobie, że rodzina poprzednich właścicieli mieszka w tych korytarzach i nie chce się wyprowadzić. Nazywałyśmy ich dozorcami i ilekroć słyszałyśmy hałas, którego nie umiałyśmy wyjaśnić, wiedziałyśmy, że to muszą być oni.

– Naprawdę? – wyszeptalam.

Na widok mojej miny wybuchła śmiechem, dziwnym, pozbawionym wesołości, jak atak czkawki, który umilkł równie nagle, jak się zaczął.

– Och, ale oni nie byli prawdziwi. Oczywiście, że nie. Te odgłosy, o których pani mówi, to myszy. Bóg świadkiem, że mamy ich tu dosyć. – Kącik jej oka zadrgał, kiedy mi się przyglądała. – Ciekawe. Chce pani obejrzeć szafę, w której ukryte są sekretne drzwi?

Zdaje się, że dosłownie zapiszczałam na tę propozycję.

– Bardzo bym chciała.

– W takim razie proszę za mną. Uprzedzam, że to całkiem niezła wspinaczka.

Puste poddasze i zapomniane godziny

Nie przesadziła. Schody zataczały kolejne koła, z każdym piętrem zwęzwały się i tonęły w coraz głębszym mroku. Kiedy już myślałam, że z następnym krokiem pograżę się w nieprzeniknionej ciemności, Percy Blythe przekręciła włącznik i wysoko przy suficie zabłysła przyćmionym światłem goła żarówka zwisająca na zwykłym przewodzie elektrycznym. Zauważyłam, że jakiś czas temu na ścianie zamontowano poręcz, która miała pomóc wchodzącym w pokonaniu ostatnich, stromych stopni. Zapewne w latach pięćdziesiątych, domyśliłam się; pusta w środku, metalowa rura nosiła piętno obskurnej funkcjonalności tego okresu. Bez względu na to, kto i kiedy ją tu umocował, oddałam mu w duchu cześć. Schody były złowieszczo wytarte, co jeszcze bardziej rzucało się w oczy przy zapalonym świetle. Gorzej, że blask żarówki wydobył również z mroku gęste pajęczyny. Nikt od dawna nie wchodził po tych schodach i zamkowe pająki nie omieszkały tego zauważyć.

– Kiedy nasza opiekunka prowadziła nas do łóżek, niosła z sobą świecę łojową – opowiadała Percy, wchodząc na ostatnie stopnie schodów. – Światło migotało na kamiennych ścianach, a ona śpiewała tę piosenkę o pomarańczach i cytrynach, na pewno ją pani zna. „Do łóżeczka was powiedzie blask łojówki”.

„Pod topór, co poobcina wam główki”. Tak, znałam ją. Poczułam na ramieniu muśnięcie siwej brody i z czułością pomyślałam o swoim maleńkim pokoiku w domu rodziców, wypełnionym zapachem środków bakteriobójczych, pozbawionym pajęczyn dzięki mamie, która z żelazną regularnością wycierała kurze dwa razy w tygodniu.

– Nie mieliśmy w domu elektryczności aż do połowy lat trzydziestych, a i wtedy z bardzo niskim napięciem. Tata nie znosił tych

wszystkich kabli. Panicznie bał się pożaru, czemu trudno się dziwić. Często potem przeprowadzał nam próbne alarmy. Wychodził przed dom i dzwonił, wołając, że zamek zamieni się zaraz w wielki stos. I mierzył nam czas swoim starym stoperem. – Znów wybuchła tym czkającym śmiechem, którym można by rznąć szkło i który urwał się raptownie, kiedy stanęła na szczycie schodów. – Gotowa? – spytała, wkładając klucz do zamka.

Pchnęła drewniane skrzydło, a mnie omal nie zwała z nóg powódź światła, która wylała się na mnie z otwartych drzwi. Przymknęłam oczy i mrugałam gwałtownie, dopóki stopniowo nie odzyskałam zdolności widzenia, a pomieszczenie przede mną zaczęło nabierać kształtów. Po mozolnej wspinaczce na szczyt domu widok poddasza mógł co nieco rozczarować. Wyglądało bardzo zwyczajnie, w niczym nie przypominało wiktoriańskiego pokoju dziecinnego. W przeciwieństwie do wielu innych pomieszczeń w zamku, które zachowano w nienaruszonym stanie, jakby ich dawni mieszkańcy mogli w każdej chwili powrócić, pokój dziecięcy został w osobliwy sposób opróżniony. Sprawiał wrażenie, jakby go skrupulatnie wyszorowano, a nawet wybielono. Na podłodze nie było dywanu, z bliźniaczych żelaznych łóżek stojących po obu stronach nieużywanego kominka sprzątnięto wszelkie przykrycia. Z okien również zdjęto zasłony, co zaowocowało ową powodzią światła, która przywitała mnie w progu, a z półek pod oknem usunięto książki i zabawki.

Półki pod oknem pokoju na poddaszu.

To wystarczyło, żebym poczuła podniecający dreszcz i oczami wyobraźni zobaczyła dziewczynkę z prologu *Człowieka z Biota*, która budzi się w środku nocy i przyciągana do okna nieodpartą siłą wdrapuje się cichutko na półkę z książkami. Wyglądając na tonącą w ciemności rodziną posiadłość, marzy o przygodach, które pragnie w życiu przeżyć, nieświadoma horroru, który na nią czyha.

– Na tym poddaszu mieszkały całe pokolenia dzieci z rodu Blythe'ów – oznajmiła Percy Blythe, powoli omiatając pokój spojrzeniem.

Nie wspomniała słowem o dziwnym spustoszeniu, jakiemu poddano izbę ani o jej miejscu w historii literatury, ja zaś nie naciskałam.

Odniosłam wrażenie, że od momentu, gdy przekręciła klucz w drzwiach i wpuściła mnie do środka, spochmurniała. Nie byłam pewna, czy to dziecięcy pokój podziałał na nią tak deprymująco, czy może w jaskrawym świetle zobaczyłam wyraźniej piętno wieku wyryte na jej twarzy. Tak czy inaczej, uznałam, że najlepiej dostroić się do jej stanu ducha.

– Proszę mi wybaczyć – powiedziała w końcu. – Od dawna tu nie wchodziłam. Wszystko wydaje się... mniejsze, niż pamiętam.

Rozumiałam ją. Z tym samym dziwnym uczuciem kładłam się na swoim dawnym łóżku i zauważałam, że nogi wystają mi na zewnątrz, lub rozejrzawszy się na boki, spostrzegałam na splewiałej tapecie ciemniejszy prostokąt, gdzie wisiał kiedyś plakat Blondie, i przypominałam sobie wieczory spędzone na wsłuchiwaniu się z uwielbieniem w głos Debbie Harry. Mogłam sobie tylko wyobrazić dysonans, jaki odczuwał ktoś stojący w sypialni, z której wyrósł siedemdziesiąt lat temu.

– Wszystkie trzy tu spałyście?

– Tak, ale nie wszystkie od początku. Juniper ulokowano tu dużo później. – Skrzywiła się lekko, jakby zjadła coś gorzkiego. – Jej matka przerobiła pokój przylegający do swojej sypialni i umieściła tam córkę. Była młoda, niedoświadczona. To nie jej wina.

Dziwnie to zabrzmiało. Nie byłam pewna, czy dobrze ją zrozumiałam.

– Tradycja w naszym domu nakazywała, by dzieciom wolno było przenieść się na dół do pojedynczych pokoi dopiero po ukończeniu trzynastu lat, a chociaż obie z Saffy poczułyśmy się bardzo ważne, kiedy nadszedł nasz czas, muszę przyznać, że tęskniłyśmy za tym pokoikiem na poddaszu. Byłyśmy przyzwyczajone, że wszystko miałyśmy wspólne.

– To pewnie normalne u bliźniaczek.

– Tak. – Prawie się uśmiechnęła. – Proszę tu podejść, pokażę pani przejście dozorców.

W ścianie za łóżkami widniały drzwi prowadzące do małego, pudełkowatego pomieszczenia z mahoniową garderobą. Było tak niskie, że musiałam się schylić, aby wejść do środka. Owocowy zapach uwięziony w środku aż chwytał za gardło, lecz Percy jakby tego nie zauważała. Schyliła swoje długie, chude ciało, żeby pociągnąć za niski uchwyt

i drzwiczki z lustrem otworzyły się z chrobotem.

– Proszę bardzo, są tam na końcu. – Znieruchomiła pochylona nad otwartymi drzwiami i prześwidrowała mnie wzrokiem pod ściągniętymi nisko, cieniutkimi brwiami. – Ale stąd ich pani nie zobaczy.

Grzeczność nie pozwoliła mi zatkać nosa palcami, więc wstrzymałam tylko oddech i weszłam do środka.

Percy zrobiła mi miejsce i dała znak, że powinnam wejść jeszcze głębiej. Odsunęłam od siebie obraz Jasia przy piecu Baby Jagi, schyliłam się i zanurzyłam do połowy w szafie. W ponurej ciemności zobaczyłam małe drzwiczki wycięte w tylnej ścianie.

– Rzeczywiście – powiedziałam ostatkiem tchu. – Widzę je.

– Tak – doszedł mnie zza pleców jej głos. – Tam właśnie są.

Nie miałam już wyjścia i musiałam zacząć oddychać. W środku smród nie wydawał się tak bardzo przytłaczający, mogłam się więc spokojnie rozkoszować narnijskim dreszczykiem emocji na widok ukrytych drzwi.

– Więc tędy wchodzi i wychodzą dozorczy – mój własny głos zadudnił echem w maleńkiej przestrzeni.

– Dozorczy może tak – odparła Percy cierpko. – Jeśli chodzi o myszy, to całkiem inna historia. – Łobuzy rozpanoszyły nam się na dobre; nie potrzebują sekretnych drzwi, żeby się dostać, gdzie tylko chcą.

Wyczołgałam się z garderoby i otrzepałam z kurzu.

– Tak więc to był nasz pokój dziecienny, kiedy byłyśmy małe – odrzekła Percy. – Wtedy wydawał się najmiłym miejscem na ziemi. – Na ustach zamigotał jej przelotny uśmiech. – Teraz wydaje się niewiele większy od dużej szafy, prawda?

– Szafy z pięknym widokiem. – Wskazałam głową najbliższe okno, jedyne, w którym pozostały wypłowiałe zasłony.

Rozsunęłam je na boki i ze zdziwieniem zobaczyłam masywne zamki zamontowane w futrynie. Zaskoczenie musiało się odmalować na mojej twarzy, bo Percy powiedziała:

– Nasz ojciec bardzo się troszczył o bezpieczeństwo. To przez wypadek, który przeżył w młodości i nigdy się zeń nie otrząsnął.

Skinęłam głową i wyjrzałam przez okno. Nagle przeszedł mnie

dreszcz i przekonanie, że doświadczam czegoś znanego, lecz powodem nie był znajomy widok, ale coś, co czytałam i co utkwiło mi w wyobraźni. Pod oknami zamek otaczał kilkumetrowy pas gęstej, bujnej trawy, różniącej się znacznie od zieleni, która ciągnęła się dalej.

– Tu była kiedyś fosa – zauważyłam.

– Tak. – Percy stała teraz obok mnie i przytrzymała ręką zasłonkę. – To jedno z moich pierwszych wspomnień podczas bezsensnych nocy. Usłyszałam głosy dochodzące z dołu. Była pełnia, wdrapałam się na szafkę, żeby wyjrzeć przez okno, i zobaczyłam mamę pływającą na plecach i śmiejącą się w srebrzystym świetle księżyca.

– Była zapaloną pływaczką – powiedziałam, przypominając sobie informacje przeczytane w *Milderhurst Raymonda Blythe'a*.

Percy przytaknęła.

– Tata wybudował dla niej w podarunku ślubnym okrągły staw, ale ona zawsze wołała fosę, więc zatrudniono architekta, żeby ją dla niej wyremontował. Kiedy zmarła, tata kazał fosę zasypać.

– Pewnie wywoływała przykre wspomnienia.

– Tak. – Usta jej zadrgały, a ja uświadomiłam sobie, że trochę bezmyślnie i nietaktownie wnikałam w ich rodzinną tragedię. Wskazałam kamienny występ, który wrzynał się w pierścień fosy, otaczającej mury zamku niczym rozłożysta halka, i zmieniłam temat. – Co to za pokój? Nie zauważyłam na dole balkonu.

– To biblioteka.

– A tam? Ogródzony ogród?

– To nie jest ogród. – Zaciągnęła zasłony. – Myślę, że możemy iść dalej.

W jej głosie i postawie wyczułam napięcie. Zrozumiałam, że musiałam ją czymś urazić, odtworzyłam w pamięci naszą ostatnią rozmowę i doszłam do wniosku, że to najprawdopodobniej natłok wspomnień wytrącił ją z równowagi.

– Musi być wspaniale mieszkać w domu, który od stuleci należy do rodziny – zauważyłam łagodnie.

– Tak – odrzekła. – Choć nie zawsze było to łatwe. Wymagało wielu wyrzeczeń. Nie obeszło się bez wyprzedazy części majątku. Niedawno musiałyśmy sprzedać gospodarstwo z domem, ale udało się

przynajmniej uratować zamek. – Z czułością obejrzała futrynę okienną, wygładziła łuszczącą się farbę. Kiedy się znów odezwała, mówiła głosem zdrewniałym od tłumionych emocji. – To prawda, co powiedziała moja siostra. Kocham ten dom tak, jak inni ludzie kochają swoich bliskich. – Zerknęła na mnie z ukosa. – Pewnie wydaje się to pani dziwne. Pokręciłam głową.

– Nie. Wcale nie uważam, że to dziwne.

Bliznowate brwi uniosły się z powątpiewaniem. Ale to była prawda, nie widziałam w tym nic dziwnego. Mój tata przeżył bolesne rozczarowanie, kiedy musiał się pożegnać z domem swego dzieciństwa. Banalna historia: chłopiec wykarmiony na opowieściach o wspaniałej rodzinnej przeszłości; podziwiany, bogaty wujek, który składa liczne obietnice, lecz zmienia testament na łożu śmierci.

– Stare gmachy i stare rodziny są do siebie przypisane – ciągnęła. – Tak jest i zawsze tak było. Moja rodzina od zawsze mieszkała w kamiennych murach Milderhurst i na mnie spoczywa obowiązek, aby go utrzymać. Tym nie powinni się zajmować obcy.

Mówiła dobitnie, głosem, który nie dopuszczał sprzeciwu.

– Pewnie na każdym kroku czuje pani wokół siebie ich obecność. – Gdy tylko wypowiedziałam te słowa, przed oczami stanął mi nagle obraz mojej mamy klęczącej przed domkiem dla lalek. – Ich głosy śpiewające w murach.

– Słucham?

Nie zdawałam sobie sprawy, że mówię na głos.

– Co pani powiedziała? – naciskała. – To o śpiewających murach.

– Słyszałam to kiedyś od mamy. – Speszona przełknęłam ślinę. – O pradawnych murach, które wyśpiewują zapomniane godziny.

Percy zmieniła się na twarzy, cierpka mina gdzieś znikła, a zastąpił ją wyraz nieopisanej błogości.

– To napisał mój tata. Pani mama musiała czytać jego poezje.

Szczerze w to wątpiłam, moja mama nigdy zbyt dużo nie czytała, a już na pewno nie poezje.

– Możliwe – odrzekłam jednak.

– Kiedy byłyśmy małe, opowiadał nam historie z dawnych czasów. Mówił, że jeśli nie zachowamy ostrożności, chodząc po zamku, to

usłyszymy zapomniane godziny, które wychodzą wtedy z ukrycia.

Kiedy Percy oddawała się wspomnieniom, jej prawa dłoń unosiła się do przodu jak żagiel statku. Był to dziwnie teatralny gest, niepasujący do jej oschłego, praktycznego sposobu bycia. Zaczynała też inaczej mówić: krótkie zdania się wydłużały, oschły ton łagodniał.

– Napotykał je, jak igrają w ciemnych, pustych korytarzach.

„Pomyślcie o wszystkich ludziach, którzy mieszkali przed nami w tych murach”, mówił, „którzy zwierzali się szeptem ze swych sekretów, knuli swoje małe zdrady”.

– Czy pani też je słyszy? Zapomniane godziny?

Przez dłuższą chwilę patrzyła mi badawczo w oczy.

– Głupstwa – orzekła, znów zaciskając usta. Ten dom został zbudowany ze starego kamienia, ale mimo wszystko to tylko kamień.

Bez wątpienia dużo widział, ale potrafi dobrze strzec swych tajemnic.

Coś przemknęło przez jej twarz, jakby cień bólu. Domyśliłam się, że wspomina swoich rodziców, przez tunel czasu nasłuchuje głosów, które przemawiają do niej sprzed dziesiątków lat.

– Nieważne – powiedziała bardziej do siebie niż do mnie. – Nie warto rozpamiętywać przeszłości. Człowiek czuje się samotny, jeśli myśli tylko o zmarłych.

– Pewnie cieszy się pani, że ma siostry.

– Oczywiście.

– Zawsze sobie wyobrażałam, że rodzeństwo może być w życiu wielką pociechą.

– Nie ma pani brata ani siostry?

– Nie. – Uśmiechnęłam się. – Jestem samotną jedynaczką.

– Rzeczywiście doskwiera wtedy samotność? – Przyglądała mi się jak rzadkiemu okazowi, który zasługuje na szczegółowe zbadanie. – Często się nad tym zastanawiałam.

Pomyślałam o wielkim nieobecny w mojej rodzinie, a potem o nielicznych nocach spędzonych w towarzystwie chrapiących, gadających przez sen kuzynów i moje wymaginowane poczucie winy, że jestem wśród nich, zamiast towarzyszyć komuś, kto powinien być mi najbliższy.

– Czasami tak – odparłam. – Czasami czułam się samotna.

– Ale podejrzewam, że również wolna.

Po raz pierwszy zauważyłam żyłkowane plamki pokrywające jej starą szyję.

– Wolna?

– Nie ma to jak siostra, kiedy trzeba człowiekowi wypomnieć dawne grzechy.

Uśmiechnęła się do mnie, ale to nie wystarczyło, aby ta refleksja nabrała żartobliwego brzmienia. Percy musiała to wyczuć, bo uśmiech szybko zrzędł na jej ustach, a ona wskazała głową schody.

– Zejdźmy na dół – powiedziała. – Tylko proszę uważać i trzymać się poręczy. Mój wujek zabił się na tych schodach, kiedy był dzieckiem.

– Ojej. – Zabrzmiało to beznadziejnie, ale co innego można powiedzieć w takiej chwili? – To okropne.

– Przestraszył się burzy, która się rozpełtała któregoś wieczoru, tak przynajmniej głosi rodzinna opowieść. Błyskawice rozdarły niebo na strzępy i piorun trafił tuż koło jeziora. Dziecko krzyknęło ze strachu, lecz zanim opiekunka zdążyła do niego przybiec, wyskoczył z łóżeczka i wypadł z pokoju. Biedny głuptas stoczył się po schodach jak szmaciana lalka. Czasami w nocy wyobrażałyśmy sobie, że słyszymy jego płacz, zwłaszcza kiedy pogoda była wyjątkowo ponura. Ukrywa się pod trzecim stopniem i czeka, żeby podstawić komuś nogę. Żeby mieć towarzystwo. – Zeszła na czwarty stopień i okręciła się do mnie na pięcie. – Wierzy pani w duchy, Edie?

– Nie wiem. Chyba tak.

Moja babcia widywała duchy, a w każdym razie jednego: mojego wujka Eda, który zabił się na motocyklu w Australii. „Nie zdawał sobie sprawy, że nie żyje”, tłumaczyła mi. „Mój biedny aniołek. Wyciągnęłam do niego rękę i powiedziałam mu, że wszystko jest dobrze, że wrócił do domu i że wszyscy go kochamy”. Zadrżałam na to wspomnienie, a Percy Blythe rozchyliła usta w uśmiechu.

Człowiek z Błota, zamkowe archiwum

i zamknięte drzwi

Zeszłam za Percy Blythe z poddasza, po czym ruszyłam za nią ciemnymi korytarzami aż po zakręt innych schodów, którymi znów poprowadziła mnie w dół. Wydawało mi się, że znalazłyśmy się niżej niż salon, skąd wyruszałyśmy na zwiedzanie. Jak wszystkie domostwa, które ewoluowały przez setki lat, zamek Milderhurst stanowił zlepek skrzydeł i przybudówek niszczonych i odbudowywanych przez kolejnych właścicieli. Łatwo było się w nim zgubić, zwłaszcza komuś, kogo natura nie wyposażyła w naturalny kompas. Budynek sprawiał wrażenie, jakby składał się do środka, niczym rysunki Eschera, na których schody pną się i wiją bez końca. Odkąd opuściłyśmy poddasze, nigdzie nie zauważyłam ani jednego okna, szłyśmy więc niemal w zupełnych ciemnościach. W którymś momencie byłam gotowa przysiąc, że słyszę muzykę – romantyczną, smętną i mgliście znajomą, lecz kiedy minęłyśmy następny zakręt, dźwięki zanikły, a może w ogóle ich nie było? Na pewno natomiast nie uroiłam sobie gryzącego zapachu, który nasilał się, w miarę jak schodziłyśmy coraz niżej, i który uznałabym za nieprzyjemny, gdyby nie przebiegała w nim pociągająca woń ziemi.

Chociaż Percy wyszydziła refleksję swego ojca o zapomnianych godzinach, nie mogłam się powstrzymać, aby, idąc za nią, nie muskać dłonią chłodnych murów i nie rozmyślać o śladach, które być może pozostawiła w kamieniu moja mama, kiedy mieszkała w Milderhurst. Mała dziewczynka nadal szła obok mnie, lecz prawie się nie odzywała. Miałam ochotę zapytać o nią Percy, ale skoro do tej pory zataiłam swoje powiązania z zamkiem, musiałabym się teraz przyznać do kłamstwa.

W końcu zdecydowałam się na taktykę walki podjazdowej.

– Czy w czasie wojny zarekwirowano paniom zamek?

– Dobry Boże, nie. Nie zniosłabym tego. Tyle zniszczeń doznały najpiękniejsze budowle w naszym kraju... Nie. – Pokręciła energicznie głową. – Odczułabym to jak ranę na własnym ciele. Ale spełniłyśmy obywatelski obowiązek. Ja jeździłam w sanitarkach w Folkestone, a Saffy szyla ubrania i bandaże, zrobiła na drutach tysiące szalików. Na początku wojny przyjęłyśmy też do domu ewakuantkę.

– O!

Głos mi zdrzął z emocji, a dziewczynka obok mnie aż zaczęła podskakiwać.

– Na prośbę Juniper. Nastolatkę z Londynu. Boże, zapomniałam, jak miała na imię. Co za utrapienie... Przepraszam za ten smród.

Serce mi się ścisnęło ze współczucia dla zapomnianej dziewczynki.

– To muł z dawnej fosy – ciągnęła Percy. – Latem podnoszą się wody gruntowe, przesiakają przez piwnice i roztaczają smród gnijących ryb. Na szczęście nie trzymamy tu nic cennego. Poza archiwum, ale ono jest wodoszczelne, ściany i podłogę zabezpieczono blachą miedzianą, a drzwi ołowianą. Nic się nie przedostanie do środka ani ze środka na zewnątrz.

– Archiwum – powtórzyłam, a po karku przeszedł mnie lodowaty dreszcz. – Zupełnie jak w *Człowieku z Błota*.

Specjalne pomieszczenie ukryte głęboko w domu, gdzie przechowywano rodzinne dokumenty i gdzie bohater wydobywa z zapomnienia stary, zatęchły dziennik i odkrywa historię Człowieka z Błota. Komnata tajemnic w sercu starego zamczyska.

Percy urwała, wsparła się na lasce i obróciła na mnie oczy.

– Więc czytała go pani.

Nie było to w ścisłym sensie pytanie, mimo to odpowiedziałam.

– Uwielbiałam go jako dziecko. – Gdy tylko te słowa uleciały z mych ust, poczułam tak dobrze mi znane uczucie frustracji spowodowane niemożnością wyrażenia wszystkich uczuć, jakie budził we mnie *Człowiek z Błota*. – To była moja ulubiona książka – dodałam.

Przez chwilę zdanie wisiało z nadzieją w powietrzu, zanim rozwiola się w pyłki kurzu, drobinki pudru strząśnięte z puszkę, po czym znikło w

ciemnych zakamarkach zamku.

– Cieszyła się dużą popularnością – stwierdziła Percy, znów ruszając w głąb korytarza. Ona to już wszystko słyszała. – Nadal znajduje wielu czytelników, w przyszłym roku minie siedemdziesiąt pięć lat od pierwszego wydania i ciągle jest wznawiana.

– Naprawdę?

– Siedemdziesiąt pięć lat – powtórzyła, otwierając drzwi i wpuszczając mnie na następne schody. – Pamiętam to jak dziś.

– Musieliście przeżyć wiele emocji, kiedy ukazała się drukiem.

– Cieszyliśmy się, widząc, że tata jest szczęśliwy.

Czyżbym uchwyciła cień wahania w jej głosie, czy też to późniejsze wydarzenia deformują w mojej pamięci wcześniejsze rozmowy?

Gdzieś w pobliżu rozległo się znużone bicie zegara, a ja uprzytomniałam sobie z zalem, że upłynęła właśnie moja godzina. Wydawało się to niemożliwe, dałabym sobie rękę obciąć, że dopiero co przyszłam, lecz czas jest dziwnym i nieuchwytnym zjawiskiem. Godzina, która wlokła się bezwładnie między śniadaniem w pensjonacie a wyruszeniem do Milderhurst, trwała całe wieki, lecz sześćdziesiąt króciutkich minut, które dostałam na zwiedzanie zamku, czmychnęło jak stado przestraszonych ptaków.

Percy Blythe spojrzała na swój zegarek.

– Trochę zamarudziłam – powiedziała z łagodnym zdziwieniem. – Przepraszam. Nasz stary zegar szafkowy spieszy się o dziesięć minut, ale musimy już iść. Pani Bird przyjdzie po panią o pierwszej, a do wejścia mamy stąd spory kawałek drogi. Niestety, obawiam się, że nie zdążymy obejrzeć wieży.

Wydałam odgłos, który był czymś pomiędzy jękiem a cichym okrzykiem bólu, lecz szybko się opamiętałam.

– Jestem pewna, że pani Bird nie będzie mi miała za złe, jeśli się trochę spóźnię.

– Sądziłam, że musi pani wracać do Londynu.

– Tak. – Choć zdawało się to nie do pomyślenia, na chwilę naprawdę zapomniałam o Herbercie, jego samochodzie i umówionym spotkaniu w Windsorze. – Tak, muszę.

– Nic nie szkodzi. – Percy machnęła ręką. – Zobacz ją pani następnym razem. Kiedy znowu nas pani odwiedzi.

Nie uszła mojej uwagi ta sugestia, ale wówczas nie zauważyłam w niej nic dziwnego. Szczerze mówiąc, zbyłam ją w myślach jako dość osobliwą, lecz grzecznościową odpowiedź, a po chwili całkiem o niej zapomniałam, kiedy zeszyliśmy ze schodów i moją uwagę odwrócił ledwo dosłyszalny szelest.

Był równie ulotny i nieuchwytny jak odgłosy dozorców, dlatego w pierwszej chwili sądziłam, że mi się przywiduje po tych wszystkich opowieściach o zapomnianych godzinach i ludziach uwięzionych w kamieniu, lecz kiedy Percy Blythe również rozejrzała się wokół siebie, zrozumiałam, że to nie było złudzenie.

Z przyległego korytarza przycłapał lurcher.

– Bruno? – spytała Percy zdziwiona. – Co ty tu robisz, staruszku?

Zwierzę podeszło prosto do mnie i podniosło na mnie obwisłe oczy.

Percy pochyliła się, żeby podrapać go po uszach.

– Wie pani, skąd się wzięło słowo „lurcher”? Z języka romskiego, znaczy „złodziej”. Prawda, piesku? Okrutna nazwa dla takiego starego, dobrego psa jak ty. – Wyprostowała się powoli, trzymając jedną rękę na plecach na wysokości krzyża. – Hodowali je początkowo Cyganie, używali ich do kłusownictwa, na zające, króliki i inne małe zwierzęta. Psy rasowe wolno było trzymać tylko szlachcie, a kary za złamanie tego przepisu wymierzano bardzo surowe, więc Cyganie postanowili hodować psy, które zachowają zalety przydatne w polowaniu, ale u których mieszanek ras nie będzie budziła zastrzeżeń. Bruno należy do mojej siostry Juniper. Od dzieciństwa kocha zwierzęta, a one przepadają za nią. Zawsze trzymaliśmy dla niej psa, zwłaszcza od czasu jej załamania. Jak mówią, każdy potrzebuje kogoś, kogo może kochać.

Bruno jakby zrozumiał, że o nim mowa, lecz wcale mu się to nie spodobało, odwrócił się i ruszył w swoją stronę. Jego śladem podążył nikły szelest, dopóki nie utonął w dzwonku stojącego nieopodal telefonu.

Percy znieruchomiała i nasłuchiwała, jakby czekała, czy ktoś inny odbierze telefon. Dzwonek dzwijał długo, zanim w końcu niepocieszona cisza pochłonęła echo rozbrzmiewające między murami.

– Chodźmy – powiedziała z nutą irytacji w głosie. – Możemy stąd iść na skróty.

■

W korytarzu panował mrok, ale nie większy niż w innych zakątkach zamku, przeciwnie, kiedy wyszliśmy z podziemi, zauważyłam blade wstążki światła przewleczone przez płataninę zamkowych zaułków, rozlewające się na kamiennych płytach posadzki. Nie zdążyliśmy ująć nawet połowy drogi, kiedy znów zadzwonił telefon.

Tym razem Percy zareagowała natychmiast.

– Przepraszam – odezwała się wyraźnie rozzłoszczona. – Nie mam pojęcia, gdzie się podziała Saffy. – Spodziewam się ważnego telefonu. Wybacz mi pani? To zajmie tylko chwileczkę.

– Oczywiście.

Percy, skinąwszy głową, znikła za zakrętem na końcu korytarza, a ja zostałam sama.

Wszystko, co się potem wydarzyło, stało się z powodu tych drzwi. Po drugiej stronie holu, może półtora metra ode mnie. Bardzo lubię drzwi, wszystkie, bez wyjątku. Drzwi prowadzą w różne ciekawe miejsca i jeszcze nie spotkałam takich, których bym nie zapragnęła otworzyć. Tak samo wtedy – gdyby drzwi przede mną nie były takie stare i dekoracyjne, tak kategorycznie zamknięte, gdyby akurat przez sam środek skrzydła nie biegła tak piekielnie kusząca nitka światła i nie oświetlała dziurki z nader intrygującym kluczem, może miałabym jakąś szansę; może wytrzymałabym w miejscu, kręcąc palcami młynka, do powrotu Percy. Niestety, było tak jak było i nadal utrzymuję, że nie miałam szans. Czasami wystarczy spojrzeć na drzwi, żeby wiedzieć, że za nimi kryje się coś ciekawego.

Klamka była czarna i gładka, w kształcie kości piszczelowej. Dotknęłam jej chłodnej powierzchni. Właściwie chłód zdawał się przesączać ze środka przez całą ich powierzchnię.

Moje palce zacisnęły się na metalowej ręczce, zaczęłam ją naciskać, a wtedy...

– Tam nie wolno wchodzić.

Nie wstydzę się powiedzieć, że żołądek o mało nie wyskoczył mi przez usta. Obróciłam się na pięcie i usiłowałam przeniknąć wzrokiem ciemną przestrzeń za moimi plecami. Niczego nie widziałam, a jednak wyraźnie nie byłam sama. Właścicielka głosu, kimkolwiek była, ukrywała się gdzieś w tym samym korytarzu. Nawet gdyby się nie odezwała, czułabym jej obecność, coś poruszającego się w przyczajonych cieniach. Powrócił również szelest, bliżej i głośniejszy, z całą pewnością nie w mojej głowie i na pewno nie były to myszy.

– Przepraszam – powiedziałam do zakapturzonej ciemności.

– Tam nie wolno wchodzić.

Zdławiłam falę paniki narastającą w gardle.

– Nie wiedziałam...

– To jest salon gościnny.

Wtedy ją zobaczyłam. Z lodowatego mroku wyszła Juniper Blythe i powoli ruszyła w moją stronę.

Będziemy tańczyć, tańczyć, tańczyć

Miała na sobie oszałamiającą suknię, jedną z tych, jakie widuje się w filmach o przedwojennych młodych damach wkraczających na salony towarzyskie albo podczas aukcji charytatywnych. Uszyta była z bladoróżowej organzy, w każdym razie kiedyś miała taki kolor, dopóki czas i brud pracowicie nie odcisnęły na niej swojego piętna. Warstwy tiulu podtrzymywały i unosiły spódnice, która spływała szeroko z wąskiej talii i szeleściła, ocierając się o ściany.

Miałam wrażenie, że stoimy tak naprzeciwko siebie przez długie minuty. W końcu poruszyła się nieznacznie. Dłoń, która spoczywała na sukni wzdłuż boku, uniosła się z gracją w górę, jakby pociągana za niewidoczny sznurek wiszący u sufitu.

– Jestem Edie – powiedziałam, starając się, aby zabrzmiało to życzliwie. – Edie Burchill. Spotkałyśmy się w żółtym saloniku.

Zamrugała i przekrzywiła głowę. Długie, posiwiałe włosy spływały jej na ramiona, tylko kosmyki po bokach zostały upięte dość bezładnie barokowymi grzebykami. Zaskakująco półprzezroczysta skóra, tyczkowata figura, wymyślna suknia – wszystko razem wywoływało złudzenie nastolatki, młodej damy poruszającej się z wystudiowaną dystynkcją. Ale na pewno nie nieśmiałej, o nie. Zrobiła kroczek w kierunku zabłąkanego prostokąta światła, patrząc na mnie żywo i z zaciekawieniem. Zdumiałam się, bo Juniper musiała mieć około siedemdziesięciu lat, a tymczasem jej twarz jakimś cudownym sposobem była prawie zupełnie pozbawiona zmarszczek. Oczywiście to niemożliwe, kobiety w tym wieku nie mogą mieć zupełnie gładkich twarzy i ona nie była pod tym względem wyjątkiem, przekonałam się o tym podczas naszych późniejszych spotkań, lecz w tej sukni, za sprawą jakiejś osobliwej sztuczki światła i okoliczności,

takie właśnie sprawiała wrażenie. Błada, gładka, opalizująca jak wnętrze muszli, jakby ten sam upływ lat, który wywarł piętno na obliczach jej siostr, ją samą ochronił przed starzeniem. Co nie znaczy, że była odporna na działanie czasu, miała w sobie coś starodawnego, coś ściśle osadzonego w przeszłości, niczym stara fotografia oglądana przez ochronną bibułę w albumach ze stronicami zamglonymi sepią. Znów nasunęło mi się na myśl skojarzenie z wiosennymi kwiatami zasuszonymi w zielnikach przez wiktoriańskie damy, pięknem uśmierconym w najdelikatniejszy sposób, przeniesionym w czasie i przestrzeni w inne miejsce, w inną epokę, w inną porę roku.

W końcu osobliwa chimera przemówiła i dziwne wrażenie jeszcze się spotęgowało.

– Idę na obiad – odezwała się wysokim, eterycznym głosem, od którego włosy zjeżyły mi się na głowie. – Chciałaby mi pani towarzyszyć?

Pokręciłam głową i odchrząknęłam, aby się pozbyć drapania w gardle.

– Nie, dziękuję. Muszę niedługo wracać do domu.

Mówiłam nieswoim głosem, uprzytomniłam też sobie, że stoję sztywno, jakby sparaliżowana ze strachu. I chyba rzeczywiście się bałam, chociaż sama nie rozumiałam, czym został wywołany ten dziwny lęk.

Juniper zdawała się nie zauważać mojego skrępowania.

– Mam nową sukienkę – oznajmiła, pociągając za spódnicę z obu stron tak, że wierzchnia warstwa organzy nastroszyła się lekko niczym przyprószone pyłkiem, białe skrzydła ćmy. – No, nie jest całkiem nowa, tylko przerobiona. Należała do mojej mamy.

– Piękna.

– Pewnie jej pani nie znała.

– Pani mamy? Nie.

– Była śliczna. Zmarła właściwie jako młoda dziewczyna. Ta piękna suknia należała do niej. – Obróciła się kokieteryjnie w jedną stronę, potem w drugą i popatrzyła na mnie spod przymkniętych spuszczonej rzęs. Szklisty wzrok, który widziałam w żółtym salonie, zniknął bez śladu, a zastąpiło go bystre spojrzenie błękitnych oczu skrywających

jakąś tajemną wiedzę, oczu małej dziewczynki, którą widziałam na fotografii, zaskoczona podczas zabawy na stopniach ogrodu. – Podoba się pani?

– Tak. Bardzo mi się podoba.

– Saffy ją dla mnie przerobiła. Potrafi dokonywać prawdziwych cudów z maszyną do szycia. Wystarczy jej pokazać zdjęcie z suknią, która się pani podoba, a ona błyskawicznie odkryje, jak ją uszyto, nawet te najnowsze, paryskie kreacje, na przykład z „Vogue'a”. Pracowała nad moją sukienką kilka tygodni, ale to tajemnica. Percy by się to nie spodobało, po pierwsze dlatego, że trwa wojna, a po drugie, ponieważ Percy to Percy i kropka, ale ja wiem, że pani nikomu o tym nie powie.

– Nie pisnę nawet słówka.

Przez chwilę stałyśmy bez ruchu i przyglądałyśmy się sobie. Moje obawy gdzieś się rozwiały, co stwierdziłam z ulgą. Lęk był bezpodstawny i instynktowny i wstydziłam się na samo jego wspomnienie. Czego tu się bać? Przecież ta zagubiona kobieta w pustym korytarzu to Juniper Blythe, ta sama, która dawno temu wybrała moją mamę z grupki wystraszonych dzieci, która dała jej dach nad głową, kiedy na Londyn spadały bomby, która nigdy nie przestała czekać i nie porzuciła nadziei na powrót ukochanego.

Podczas gdy ją obserwowałam, uniosła lekko głowę i w zadumie wypuściła z płuc powietrze. Najwyraźniej w tym samym czasie, kiedy o niej rozmyślałam, ona dochodziła do własnych wniosków. Uśmiechnęłam się, i to jakby ją ostatecznie przekonało. Wyprostowała się i ruszyła w moją stronę, powoli, lecz z jakimś wyraźnym postanowieniem. Miała w sobie coś kociego. Każdy jej ruch cechowało płynne połączenie ostrożności z pewnością siebie, leniwej powolności, która maskowała ukrytą determinację.

Zatrzymała się dopiero, gdy podeszła tak blisko, że poczułam zapach naftaliny unoszący się z sukni i dymu papierosowego w jej oddechu. Zajrzała mi badawczo w oczy, mówiła szeptem.

– Umiesz dotrzymać tajemnicy?

Skinęłam głową, na co ona też się uśmiechnęła. Szczelina między dwoma przednimi zębami sprawiała niewiarygodnie dziewczęce wrażenie. Ujęła moje dłonie, jakbyśmy były przyjaciółkami spacerującymi na szkolnym dziedzińcu. Skórę na rękach miała gładką i chłodną.

- Chcę ci zdradzić sekret, którego nikt nie powinien znać.
- Dobrze.

Zwinęła dłoń jak dziecko i pochyliwszy się do mnie, przyłożyła mi ją do ucha. Czułam jej łaskoczący oddech.

- Mam kochanka.

Odsunęła się, jej stare wargi ułożyły się w młodzieńczy grymas figlarnego podniecenia, groteskowego, smutnego i pięknego zarazem.

- Ma na imię Tom. Thomas Cavill. Poprosił mnie o rękę.

Współczucie, jakim mnie przejęło to wyznanie, było prawie nie do zniesienia. Uprzytomniłam sobie, że Juniper cały czas tkwi w świecie swojego wielkiego rozczarowania sprzed pięćdziesięciu lat. Gorąco zapragnęłam, żeby Percy wróciła jak najszybciej i przerwała naszą rozmowę.

- Obiecuj mi, że nie piśniesz o tym nikomu ani słówka.
- Obiecuję.

– Przyjęłam jego oświadczenia, ale óóó... – Położyła palec na uśmiechniętych ustach. – Moje siostry jeszcze o niczym nie wiedzą. Wkrótce przyjdzie do nas na obiad. – Odsłoniła stare zęby w upudrowanej twarzy. – Wtedy ogłosimy zaręczyny.

W tym momencie zobaczyłam, że nosi coś na palcu. Nie pierścienek, w każdym razie nie prawdziwy, raczej jego nieudolną podróbkę, nierówną i bezkształtną jak zrolowany kawałek zwykłego aluminium.

- A potem będziemy tańczyć i tańczyć, i tańczyć...

Zaczęła się kołysać i nucić melodię, która grała jej w głowie, tę samą, którą słyszałam wcześniej w zimnych zakamarkach korytarzy. Nie mogłam sobie przypomnieć jej tytułu, chociaż krążył mi w pamięci dręcząco blisko. Odtwarzany utwór musiał się skończyć jakiś czas temu, lecz Juniper nie zwracała na to uwagi, oczy miała zamknięte, na policzkach młodzieńcze rumieńce.

Pracowałam kiedyś nad książką pewnego starszego małżeństwa, które chciało spisać historię swego wspólnego życia. U żony stwierdzono alzheimera, ale nie zaczęła jeszcze osuwać się w przerażającą otchłań nieświadomości, postanowili więc spisać jej wspomnienia, zanim uleczą jak wyblakłe liście z jesiennego drzewa.

Praca zajęła nam sześć miesięcy, podczas których obserwowałam, jak biedaczka bezradnie pogrąża się w zapomnieniu, a potem

zapada w nicość. Stopniowo jej mąż zamienił się w „tego mężczyznę, który tam siedzi” i tryskająca energią, dowcipna kobieta o soczystym języku, która parę miesięcy przedtem sprzeczała się z nim, uśmiechała i przerywała mu opowieść, w końcu ostatecznie umilkła.

Nie, spotkałam już wcześniej osobę dotkniętą demencją, ale to nie była choroba, na którą cierpiała Juniper. Nie wiem, gdzie przebywała, ale na pewno nie w nicości. I bardzo niewiele faktów z przeszłości nie pamiętała. Problem tkwił gdzie indziej, bo na pewno coś było z nią nie w porządku. Każda starsza kobieta, jaką w życiu spotkałam, mówiła mi w którymś momencie naszej znajomości i z różnym stopniem tęsknoty, że w środku cały czas czuje się młoda. Ale to nieprawda. Mam zaledwie trzydzieści lat, ale już to wiem. Upływ lat na wszystkich wyciska piętno: błogie, młodzieńcze poczucie, że jesteśmy niezwykli, pomalą z nas odpada i w jego miejsce na nasze barki spada brzemię odpowiedzialności.

Juniper była inna. Ona naprawdę nie zdawała sobie sprawy, że jest stara. W jej umyśle nadal szalała wojna, a sądząc z tego, jak się kołysała, szalały również jej hormony. Była nienaturalną hybrydą: stara i młoda zarazem, piękna i groteskowa, żyjąca w teraźniejszości i w przeszłości zarazem. Niesamowity efekt zapierał dech w piersiach, ale wzbudził też we mnie nagłą falę odrazy, po której zaraz wstyd mi się zrobiło przed sobą samą za tak okrutne uczucie...

Juniper złapała mnie za nadgarstek i otworzyła szeroko oczy.

– Ależ oczywiście! – zawołała, chwytając chichot w sieć długich, białych palców. – Przecież wiesz już o Tomie. Gdyby nie ty, nigdy byśmy się nie poznali!

Cokolwiek bym wtedy odpowiedziała, utonęłoby w chóralnym odgłosie zegarów, które jednocześnie w całym zamku zaczęły wyśpiewywać godzinę. Cóż za przedziwna to była symfonia, pókiż za pokojem czasomierze nawoływały się, odznaczały mijający czas. Poczułam ją głęboko w ciele, a na mojej skórze odgłos rozszedł się natychmiast lodowatym dreszczem i wytrącił mnie całkiem z równowagi.

– Naprawdę muszę już wracać, Juniper – powiedziałam, kiedy w końcu znów zapadła cisza.

Zauważyłam, że mój głos zachrypnął.

Usłyszałam za sobą lekki hałas i obejrzałam się z nadzieją, że wraca Percy.

– Wracać? – Twarz jej obwisła. – Ale przecież dopiero co przyjechałaś. Dokąd chcesz wracać?

– Do Londynu.

– Do Londynu?

– Mieszkam w Londynie.

Twarz jej pociemniała nagle i gwałtownie jak niebo przed nadchodzącą burzą. Wyciągnęła rękę i złapała mnie za ramię ze zdumiewającą siłą, a wtedy zobaczyłam coś, czego do tej pory nie zauważyłam. Jej blade nadgarstki pokrywała pajęczna sieć blizn, które posrebrzały z wiekiem.

– Zabierz mnie z sobą.

– Nie... nie mogę.

– To jedyny sposób. Pojedziemy i odnajdziemy Toma. On tam jest, siedzi na parapecie w tym maleńkim mieszkanku...

– Juniper...

– Obiecałaś, że mi pomożesz. – W jej głos wkradły się napięcie i desperacja. – Czemu mi nie pomogłaś?

– Przepraszam – powiedziałam. – Ja nie...

– Miałaś być moją przyjaciółką, powiedziałaś, że mi pomożesz. Czemu nie przyjechałaś?

– Juniper, myślę, że mnie z kimś pomyliłaś...

– Och, Meredith – szepnęła. Jej oddech pachniał dymem i starością.

– Zrobiłam straszną, straszną rzecz.

Meredith! Żołądek ściągnął mi się jak gumowa rękawiczka wyrwana zbyt szybko na lewą stronę.

Doszedł mnie odgłos kroków. Zobaczyłam psa, a tuż za nim Saffy.

– Juniper! Och, June, tu jesteś. – Jej głos aż ociekał ulgą, kiedy stanęła u boku siostry. Delikatnie opłotła Juniper ramionami, a potem odsunęła od siebie na odległość ramion, aby przyjrzeć się jej twarzy. – Nie możesz tak uciekać. Tak się o ciebie martwiłam, wszędzie cię szukałam, nie miałam pojęcia, dokąd poszłaś, kochanie.

Juniper drżała. Myślę, że ja też. Meredith... Imię dzwoniło mi w uszach natrętnie i dokuczliwie jak bzyczenie komara. Powiedziałam

sobie, że to nic nie znaczy, zbieg okoliczności, bezładne majaki starej, szalonej kobiety, ale nie umiem dobrze kłamać i nie umiałam oszukać nawet samej siebie.

Kiedy Saffy odgarnęła z twarzy Juniper opadający kosmyk włosów, zjawiła się Percy. Zatrzymała się raptownie i oparłszy się na lasce, przyjrzała się scenie w holu. Bliźniaczki wymieniły spojrzenia podobne do tych, które widziałam wcześniej w żółtym salonie i które tak mnie poruszyły. Tym razem jednak to Saffy zerwała kontakt wzrokowy. Jakimś sposobem udało jej się przeniknąć przez zaciśnięte ramiona Juniper i wzięła ją mocno za rękę.

– Dziękuję, że pani się nią zaopiekowała – powiedziała do mnie drżącym głosem. – To bardzo miłe z pani strony, Edith...

– Edith – powtórzyła jak echo Juniper, nie patrząc w moją stronę.

– Czasami się gubi i wędruje bez celu. Pilnujemy jej starannie, ale...

– Saffy pokręciła krótko głową, aby tym gestem wyrazić, że nie da się wieść życia za drugą osobę.

Skinęłam tylko głową, bo nie umiałam znaleźć odpowiednich słów, aby odpowiedzieć. Meredith. Imię mojej matki. Moje myśli, całe ich setki popłynęły nagle pod prąd czasu, szukając w ciągu ostatnich miesięcy wyjaśnienia tych dziwnych okoliczności, i zatrzymały się hurmem w mieszkaniu moich rodziców. Zimne lutowe popołudnie, nieupieczony kurczak, nadejście spóźnionego listu, który wycisnął mamie łzy z oczu.

– E-dith – sylabizowała Juniper. – E-dith. E-dith...

– Tak, kochanie – odrzekła Saffy. – To jest Edith, prawda? Przyjechała nas odwiedzić.

Pozbyłam się wtedy wszystkich wątpliwości. Mama skłamała, mówiąc, że list Juniper nie zawierał nic poza pozdrowieniami, tak samo jak skłamała na temat naszego przyjazdu do Milderhurst. Tylko czemu? I jaka była prawda? Co zaszło między mamą a Juniper Blythe? Jeśli wierzyć temu, co przed chwilą usłyszałam, moja mama złożyła obietnicę, której nie dotrzymała, a która miała jakiś związek z narzeczonym najmłodszej siostry Blythe Thomasem Cavillem. Jeśli tak, i jeśli prawda była rzeczywiście tak przerażająca, jak to Juniper sugerowała, list mógł zawierać oskarżenie. Czy tak właśnie było? Czy to stłumione poczucie winy doprowadziło moją mamę do płaczu?

Po raz pierwszy od przybycia do Milderhurst zapragnęłam uwolnić się od tego domu i jego dziwnych smutków, zobaczyć słońce, poczuć na twarzy powiew wiatru i zapachy inne niż te, które wydzielają gnijące błoto i naftalina. I zostać sam na sam z tą nową zagadką, aby ją w spokoju rozwikłać.

– Mam nadzieję, że Juniper pani nie obraziła – mówiła dalej Saffy. Słyszałam ją przez kłębowisko własnych myśli, jakby znajdowała się po drugiej stronie grubych, ciężkich drzwi. – Cokolwiek powiedziała, na pewno nie chciała pani dotknąć. Czasem mówi różne rzeczy, dziwne, bezsensowne...

Głos jej stopniowo umilkł, lecz cisza, którą po sobie zostawił, była pełna napięcia. Obserwowała mnie, w jej oczach grały niewyrażone uczucia, a ja zrozumiałam, że to nie tylko troska kładła się cieniem na jej twarzy. Coś innego się kryło w tym obliczu, szczególnie kiedy po raz drugi zerknęła na Percy. Zdałam sobie sprawę, że to strach. Obie bliźniaczki wyraźnie się bały.

Spojrzałam na Juniper chowającą się za skrzyżowanymi ramionami. Czy to było złudzenie, czy naprawdę zamarła, wsłuchując się uważnie, czekając, jak się zachowam, co im odpowiem?

Zdobyłam się na uśmiech z nikłą nadzieją, że ujdzie za swobodny.

– Nic nie powiedziała – odrzekłam i na potwierdzenie swoich słów wzruszyłam ramionami. – Podziwiałam tylko jej piękną suknię.

Powietrze w holu jakby uleciało do góry z westchnieniem ulgi obydwu sióstr. Profil Juniper nawet nie drgnął, a ja zostałam z dziwnym, pełzającym wrażeniem, mglistą świadomością, że popełniłam błąd, że powinnam była szczerze odpowiedzieć siostrom, co mówiła Juniper i co ją tak poruszyło. Jednak ponieważ do tej pory nie wspomniałam o mamie i o wojennej ewakuacji, nie miałam pewności, czy potrafiłabym znaleźć odpowiednie słowa...

– Przyjechała Marilyn Bird – oznajmiła Percy.

– Och, rzeczy lubią się dziać wszystkie naraz – zauważyła Saffy.

– Przyjechała, żeby zabrać panią z powrotem do pensjonatu. Mówiła, że spieszy się pani do Londynu.

– Tak – odparłam.

Dzięki Bogu.

– Jaka szkoda – powiedziała Saffy. Dzięki wielkim staraniom i, jak przypuszczam, wieloletniej praktyce zabrzmiało to bardzo przekonująco. – Miałśmy nadzieję, że napije się pani z nami herbaty. Tak rzadko odwiedzają nas teraz goście.

– Następnym razem – rzekła Percy.

– Tak – zgodziła się Saffy. – Następnym razem.

Wydawało się to mało prawdopodobne.

– Jeszcze raz dziękuję, że umożliwiły mi panie zwiedzenie zamku...

I kiedy Percy poprowadziła mnie tajemniczą drogą do miejsca, gdzie czekała pani Bird i perspektywa normalności, Saffy i Juniper wycofały się w przeciwnym kierunku, a ich głosy goniły nas jeszcze przez jakiś czas po chłodnych kamieniach...

– Przepraszam, Saffy, przepraszam, przepraszam, przepraszam. Ja... nie pamiętam.

I słowa mieszały się ze szlochem, tak żalonym, że miałam ochotę zaślonić uszy rękami.

– Chodź, kochanie, nie ma potrzeby tak rozpaczać.

– Ale zrobiłam okropną rzecz, Saffy, okropną rzecz.

– Nonsens, skarbie, nie myśl o tym. Chodź, napijemy się herbaty, dobrze?

Słyszając tę cierpliwość i serdeczność w głosie Saffy, poczułam, że coś mnie ściska w piersi. Myślę, że w tamtej chwili po raz pierwszy pojęłam niezmierny upływ czasu, w jakim ona i Percy wypowiadały te uspokajające słowa niezliczoną ilość razy, usuwały zamęt ze starzejącego się czoła ich niedojrzałej siostry z taką samą pełną mądrości troską, jaką rodzice okazują dziecku, tylko bez nadziei, że nadejdzie dzień, kiedy to brzemień zostanie im zdjęte z ramion.

– Przebierzemy cię z powrotem w coś zwyczajnego, a potem razem napijemy się herbaty, ty, Percy i ja. Świat od razu wygląda lepiej po filiżance mocnej herbaty, prawda?

❧

Pani Bird czekała pod półkolistym sklepieniem holu i przepraszała raz za razem. Wznosząc oczy do nieba i ciskając gromy na biednych

wieśniaków, którzy nieświadomie zatrzymali ją w miescie, starała się przypochlebić pannie Blythe.

– Mniejsza z tym – odparła Percy tym samym, władcym tonem, jakim wiktoriańska niania zwracałaby się do swej nieznośnej podopiecznej. – Z przyjemnością oprowadziłam panią Burchill po zamku.

– Naturalnie, przez sentyment do dawnych czasów, to musiało być wspaniałe...

– W istocie.

– Szkoda, że nie można już zwiedzać zamku. Oczywiście to całkowicie zrozumiałe, należy się paniom wielkie uznanie za to, że tak długo udostępniałyście swój dom turystom, szczególnie mając tak wiele...

– Tak. – Percy się wyprostowała, a ja zauważyłam, że nie przepada za panią Bird. – Zechcą mi panie wybaczyć.

Skinęła głową w stronę otwartych drzwi, za którymi świat wydawał się jaśniejszy, głośniejszy i szybszy, niż wtedy gdy wchodziłam do środka.

– Dziękuję – powiedziałam, zanim znikła – że pokazała mi pani swój piękny dom.

Przyglądała mi się trochę dłużej, niż wydawało się to konieczne, po czym odwróciła się i ruszyła w głąb domu, cichutko wystukując laską rytm. Uszedłszy kilka kroków, zatrzymała się i odwróciła, ledwo widoczna w spowijającym ją półmroku.

– Kiedyś był naprawdę piękny. Dawno temu. Przedtem.

1.

29 października 1941

Jedno nie ulegało wątpliwości: to będzie bezksiężycowa noc. Niebo zasnuwały gęste chmury, przetaczająca się masa szarości, bieli i żółci, niecierpliwie narzuconych szpachlą przez malarza. Percy polizała bibułkę, zwinęła ją, po czym zaczęła ugniatać skręta palcami, żeby się dobrze skleił. Nad głową warczał samolot, jeden z nieprzyjacielskich, leciał na południe, w kierunku wybrzeża. Oczywiście musieli wysłać zwiad, ale nie będzie miał o czym meldować, nie w taką noc jak ta.

Oparła się plecami o samochód i obserwowała trasę samolotu, mrużąc oczy, kiedy brązowy owad małał w oddali. Od tego wysilania wzroku ziewnęła i potarła oczy, aż zaczęły ją przyjemnie swędzieć. Kiedy je znów otworzyła, samolot zniknął.

– Tylko mi nie porysuj błotnika od tego wylegiwania się!

Odwróciła się i oparła łokieć o dach samochodu. Dot uśmiechał się szeroko, widząc, jak odskoczyła od drzwi auta.

– Powinieneś mi podziękować! – odkrzyknęła. – Oszczędziłam ci zbijania bąków na służbie.

– To fakt. Za to stary każe mi prać ścierki do naczyń.

– Albo przeprowadzić następne szkolenie z pierwszej pomocy dla gryzpiórków. – Percy uniosła brew. – Wyobrazasz sobie coś lepszego?

– Już wolę cerować zasłony do zaciemnienia.

Percy się skrzywiła.

– To dopiero prawdziwa kara boska.

– Posiedź tu trochę dłużej, a będzie z ciebie szwaczka jak się patrzy – ostrzegł Dot, podchodząc i opierając się o samochód obok Percy. – Nic innego nie ma do roboty.

– Więc już słyszał?

- Chłopcy z RAF-u dali właśnie znać. Na horyzoncie czysto, przynajmniej dzisiejszej nocy.
- Tyle to i ja się domyśliłam.
- Nie przez pogodę. Stary mówił, że szkopy są za bardzo zajęte marszem na Moskwę, żeby sobie zawracać nami głowę.
- Tym gorzej dla nich – skomentowała Percy, oglądając papierosa.
- Zima nadejdzie szybciej niż oni.
- Widzę, że i tak nie odpuszczisz. Będziesz się naprzykrzać, komu się da, licząc, że skołowani fryce zrzucą ładunek w okolicy?
- Nie dzisiaj – odparła Percy, chowając papierosa do kieszeni i przerzucając torbę przez ramię. – Dzisiaj nawet inwazja by mnie tu nie zatrzymała.
- Dot otworzył szeroko oczy.
- No co ty? Jakiś przystojniak zaprosił cię na tańce?
- Aż tak mi się nie poszczęściło. Ale dostałam dobre wieści.
- Jakie?
- Podjechał autobus i wsiadając, Percy musiała krzyknąć, żeby przebić się przez warkot silnika.
- Moja młodsza siostra wraca dzisiaj do domu!

x

Percy nie pałała ani trochę większą miłością do wojny niż inni, a nagooglądała się jej potworności więcej niż większość ludzi, dlatego właśnie nigdy nie wyartykułowała dziwnego rozczarowania, które nurtowało ją w głębi serca od czasu, gdy ustały nocne naloty. Zdawała sobie sprawę, że to absurd – czuć tęsknotę do stanu ciągłego zagrożenia, zniszczeń i śmierci. Każde uczucie poza ostrożnym optymizmem diabelnie trąciło bluźnierstwem, a tymczasem jej wyczulone uszy uparcie nasłuchiwały odgłosów dochodzących ze spokojnego nieba, a fatalny humor od mięsięcy nie dawał jej spać.

Jeśli było coś, czym Percy lubiła się szczycić, to praktycyzm – przecież ktoś w tej rodzinie musi zachować zdrowy rozsądek, na miłość boską – postanowiła więc dotrzeć DO SEDNA SPRAWY i znaleźć sposób na ucieszenie małego zegarka, który, jeśli nie weźmie się w garść, będzie w niej tykał do końca życia i nigdy nie wybije godziny. W ciągu kilku

tygodni, dokładając wszelkich starań, by nie zdradzić się ze swymi rozterkami, Percy dokonała oceny sytuacji, przeprowadziła wszechstronną analizę własnych uczuć, po czym doszła do niepodważalnego wniosku, że jest o krok od obłądu.

Mogła się tego spodziewać; obłąd był w ich rodzinie stanem niejako naturalnym, podobnie jak zdolności artystyczne i długie kończyny. Percy miała nadzieję, że uda jej się tego uniknąć, a tu proszę. Prawa dziedziczenia działały niezawodnie. A szczerze mówiąc, czyż nie uważała zawsze, że to tylko kwestia czasu, zanim dostanie pomieszania zmysłów?

Rzecz jasna, wszystko przez tatę, przez te wspaniałe, niesamowite historie, jakie im opowiadał, kiedy były takie małe, że mógł je brać na ręce. Zwijają się w kłębuszki na jego długich ciepłych kolanach i słuchały rodzinnych opowieści o tym skrawku ziemi, na którym wyrosło Milderhurst, które przez stulecia przeżywało wzloty i upadki, na przemian głodowało i rozkwitało; tonęło pod wodą i pokrywało się łanami pól uprawnych, i obrastało legendami. O budynkach, które strawił ogień i które odbudowano; które burzono i plądrowano, które kwitły i popadały w zapomnienie. O ludziach, którzy przed nimi nazywali zamek swoim domem, o podbojach i poezji, które użyźniały angielską glebę i ziemię Milderhurst.

Historia w rękach wprawnego gawędziarza jest potężnym narzędziem i przez całe lato, kiedy miały dziewięć lat, a ich ojciec wyjechał na pierwszą wojnę światową, nocie Percy wypełniały sugestywne sny o najeźdźcach przypuszczających szturm na ich ziemię. Nakłoniła Saffy, by razem budowały fortyfikacje w lasach Cardarker. Gromadziła zapasy broni i ścinała każdą młodą roślinę, która jej się nie spodobała. W ten sposób wprawiała się w boju, aby, gdy nadejdzie czas, wypełnić obowiązek, bronić zamku i jego ziem przed hordami najeźdźców...

Autobus przechylił się na zakręcie i Percy przewróciła oczami niezadowolona z własnych myśli, zniecierpliwiona swoją głupotą. Co innego dziewczęce fantazje, ale żeby dorosła kobieta popadała w melancholię z powodu tych niedojrzałych rojeń? To doprawdy żałosne. Naburmuszyła się z niesmakiem i odwróciła plecami do swoich myśli.

Podróż trwała długo, znacznie dłużej niż zwykle, w tym tempie będzie miała szczęście, jeśli dotrze do domu na deser. Cokolwiek nim będzie. Zmierzch przygotowywał się, aby spaść na nich w każdej chwili i

autobus pozbawiony przyzwoitych świateł trzymał się ostrożnie skraju drogi. Spojrzała na zegarek. Już wpół do piątej. Juniper ma przyjechać o szóstej trzydziści, a młody człowiek o siódmej. Percy obiecała, że będzie przed czwartą. Bez wątpienia chłopcy z obrony terytorialnej działali w najlepszej wierze, kiedy zatrzymali autobus na wyrwykową kontrolę, ale właśnie dzisiaj miała zupełnie inne sprawy na głowie, na przykład ukrócenie rozmachu, z jakim jej siostra postanowiła wyprawić przyjęcie w Milderhurst.

Jakie były szanse, że Saffy przez cały dzień nie doprowadziła się do skraju nerwowego wyczerpania? Nieduże, uznała Percy. Nikt tak chętnie nie poddawał się nastrojowi chwili jak jej bliźniaczka i od kiedy Juniper przysłała wiadomość, że zaprosiła na obiad tajemniczego młodzieńca, niewielkie było prawdopodobieństwo, że uroczystość obędzie się bez pompy w stylu Seraphiny Blythe. Kilka dni temu stoczyły dyskusję na temat wydobycia z rodzinnego skarbcza resztek herbowej papeterii babki i ułożeniem na stole tabliczek z imionami. W końcu udało jej się przekonać Saffy, że podczas posiłku dla czterech osób, z których trzy były siostrami, nie jest to konieczne.

Ktoś ją poklepał w przedramię. Kobieta siedząca obok niej wyciągała otwartą puszkę i Percy zrozumiała, że drobnitka starszka czymś ją częstuje.

– Według mojego własnego przepisu – zaszczebiotała radośnie. – Nie miałam wprawdzie masła, ile trzeba, ale i tak wyszły całkiem niezłe, nie chwaląc się.

– Och nie, dziękuję – odparła Percy. – Nie miałabym serca. Proszę je zachować dla siebie.

– Śmiało, niech się pani nie krępuje.

Kobieta podsunęła jej puszkę jeszcze bliżej pod nos i zagrzechotała, z aprobatą wskazując głową jej mundur.

– No dobrze. – Percy wybrała ciastko i ugryzła kawałek. – Wyborne – pochwaliła, wznosząc w duchu milczący lament za wspaniałymi czasami maślanej obfitości.

– Sanitariuszka?

– Prowadzę ambulans. Właściwie prowadziłam w okresie nalotów. Teraz głównie go czyszczę.

– Na pewno znajdzie pani inny sposób, aby pomóc w czynie zbrojnym. Was młodych nic nie powstrzyma. – Zaświtała jej myśl, od której oczy zaokrągliły jej się jak spodki. – Powinna pani dołączyć do tych szyjących pszczołek! Moja wnuczka w Cranbrook należy do „Szwaczek Susan”, och, dzielne dziewczyny wykonują kawał dobrej roboty.

Jeśli pominąć igły i nici, Percy musiała przyznać, że pomysł nie był głupi. Może gdyby znalazła jakiś sposób, aby skanalizować przepelniającą ją energię: mogłaby zostać szoferem jakiegoś dygnitarza rządowego albo instruktorką ratownictwa; mogłaby nauczyć się rozbijać bomby, pilotować samolot, cokolwiek, może wówczas ten koszmarny niepokój jakoś by przycichł. Chociaż niechętnie się do tego przyznawała, zaczęła dochodzić do wniosku, że Saffy miała rację przez te wszystkie lata: Percy jest urodzonym restauratorem. Nie ma daru tworzenia, tylko instykt naprawiania. Nigdy nie czuła się szczęśliwsza niż wtedy, gdy znajdowała zajęcie przy łataniu dziur.

Cóż za przygnębiająca myśl.

Autobus przetoczył się przez następny zakręt i wreszcie przed nimi wyrosło miasteczko. Kiedy podjechali bliżej, zobaczyła swój rower oparty o stary dąb przy poczcie, w tym samym miejscu, gdzie go rano zostawiła.

Podziękowawszy jeszcze raz za ciastko i obiecawszy solennie, że poszuka w okolicy miejscowych stowarzyszeń szwaczek ochotniczek, wysiadła i pomachała na pożegnanie swojej wiekowej towarzysze podróży, kiedy autobus odjeżdżał w kierunku Cranbrook.

Zerwał się wiatr i Percy wsunęła ręce do kieszeni spodni. Uśmiechnęła się do zgorzkniałych panien Blethem, które chóralnie wstrzymały oddech, przycisnęły do piersi sznurkowe torby na zakupy, skinęły jej szybko głowami i czym prędzej podreptały do domu.

Po dwóch latach wojny nadal nie brakowało ludzi, którym widok kobiety w spodniach zwiastował nadejście apokalipsy. Nieważne potworności, które rozgrywały się w kraju i na świecie. Percy poczuła, jak serce jej rośnie w przyptywie dobrego humoru. Zastanawiała się, czy jest coś niewłaściwego w podziwianiu własnego munduru jeszcze bardziej za wrażenie, jakie wywołuje na wszystkich pannach Blethem świata.

Było późno, lecz istniało prawdopodobieństwo, że pan Potts nie doręczył jeszcze poczty do zamku. Niewielu zostało w miasteczku mężczyzn – a Percy gotowa była się założyć, że i w całym kraju – którzy pełnili służbę w obronie terytorialnej z równym zapałem co pan Potts. Do tego stopnia pragnął bronić narodu brytyjskiego, że obywatele Milderhurst czuli się wręcz zaniedbani, jeśli przynajmniej raz w miesiącu nie zatrzymano ich na kontrolę dokumentów. Że w wyniku tego zaangażowania poczta w mieście zaczęła mocno szwankować, pan Potts uważał za niefortunne, lecz nieuniknione koszty wojny.

Nad drzwiami zadźwięczał dzwonek, kiedy Percy weszła na pocztę, i pani Potts poderwała głowę znad sterty kopert niczym królik przyłapany w ogródku warzywnym. Jakby dla podkreślenia tego porównania pociągnęła lekko nosem. Percy udało się pokryć rozbawienie właściwą sobie, nieco sztywną uprzejmością.

– No proszę – powiedziała poczmistrzynie, odzyskując rezon z szybkością osoby wprawionej w drobnych oszustwach. – Czy to nie pani Blythe?

– Dzień dobry, pani Potts. – Czy przysłała do nas jakaś poczta?

– Zaraz sprawdzę, dobrze?

Sama myśl, że pani Potts nie zna na pamięć każdego listu, jaki przyszedł lub wyszedł tego dnia w mieście, była śmiechu warta, ale Percy podjęła grę.

– Dziękuję bardzo – odrzekła, kiedy poczmistrzynie podeszła do pudeł stojących na biurku pod ścianą.

Przez dłuższy czas ostentacyjnie przerzucała papiery, aż w końcu wyciągnęła plik różnej wielkości kopert i podniosła je do góry.

– Mam! – oznajmiła, maskując triumfalny ton i wracając do okienka. – Przysłała paczka dla panny Juniper, zdaje się, że od waszej młodej londynki. Mała Meredith pewnie zadowolona z powrotu do domu...?

Percy skinęła ze zniecierpliwieniem głową, a pani Potts ciągnęła:

– Jest jeszcze list ręcznie zaadresowany do pani i drugi do panny Saffy z adresem wypisanym na maszynie.

– Doskonale. Właściwie możemy sobie oszczędzić czytania.

Pani Potts uśmiechnęła się szeroko.

– Mam nadzieję, że w zamku wszystko dobrze? – spytała z większą

emfazą, niż wymagałoby tego tak niewinne pytanie.

- Wszystko w porządku, dziękuję. A teraz, jeśli...
- Z tego, co słyszę, można już państwu gratulować.

Percy westchnęła z irytacją.

– Czego gratulować?

– Ślubnych dzwonów – odparowała pani Potts z tą denerwującą manierą, którą udoskonała przez lata, łączącą z jednej strony dumę ze swej podstępnie zdobytej wiedzy, a z drugiej zachłanne dopraszanie się o więcej. – W zamku – powtórzyła.

– Dziękuję uprzejmie, pani Potts, niestety, nie jestem dzisiaj ani trochę bardziej zaręczona niż wczoraj.

Pani Potts stała przez chwilę, przetwarzając usłyszaną informację, po czym wybuchnęła gromkim śmiechem.

– Och, ależ z pani numer, panno Blythe! „Ani trochę bardziej zaręczona niż wczoraj”, muszę to sobie zapamiętać. – Po tej eksplozji wesołości ochłonęła, wyciągnęła małą, haftowaną chusteczkę z kieszeni sukienki i zaczęła osuszać sobie nią oczy. – Oczywiście – mówiła pomiędzy kolejnymi muśnięciami materiału – nie miałam na myśli pani.

Percy udała zdziwienie.

– Nie?

– Ależ nie, ani pani, ani panny Saffy. Wiem, że żadna z was nie zamierza nas opuszczać, dzięki Bogu. – Jeszcze raz otarła policzki. – Mówiłam o paniencie Juniper.

Percy nie mogła nie zauważyć, jak imię jej najmłodszej siostry iskrzy na ustach miejskich plotkarzy. W każdej głosce czuło się elektryzujące napięcie, a pani Potts była z urodzenia doskonałym przewodnikiem elektryczności. Ludzie zawsze lubili gadać o Juniper, nawet kiedy była dzieckiem – skłonność do zaników pamięci w chwilach zdenerwowania nie pomagała w tłumieniu plotek. Zniżali przy niej głosy i zaczynali przebąkiwać o darach i klątwach. Tak było przez całe jej dzieciństwo, bez względu na to, jak dziwna lub niewytłumaczalna sytuacja zaistniała w miasteczku – czy to w osobliwych okolicznościach znikło pranie pani Fleming, czy ktoś uporczywie przystrajał kwiatami stracha na wróble na polu Jacoba lub wybuchła nagle epidemia świnki – tak jak pszczoły ciągną do miodu, tak wszelkie swobodne rozmowy w Milderhurst prędkiej czy później zbaczały na temat Juniper.

– Słyszałam, że w zamku czyni się wielkie przygotowania – naci-
skała pani Potts. – Poznała jakiegoś młodzieńca w Londynie, prawda?

Samo przypuszczenie było niedorzeczne. Przeznaczeniem Juniper nie
było małżeństwo, tylko poezja, od której śpiewało jej serce. Percy miała
ochotę zabawić się kosztem żadnej plotek pani Potts, lecz rozmyśliła się,
spojrzawszy na zegar ścienny. Ostatnia rzecz, jakiej jej teraz było trzeba,
to dać się wciągnąć w dyskusję o przeprowadzce Juniper do Londynu.
Jeszcze nieumyślnie zdradziłaby się z kłopotami, jakich eskapada młod-
szej siostry przysporzyła bliźniaczkom. Duma jej na to nie pozwalała.

– Rzeczywiście spodziewamy się gościa na obiedzie, lecz nie jest
on naszym adoratorem. Po prostu znajomy z Londynu.

– Znajomy?

– Tak.

Oczy pani Potts zwięzły się podejrzliwie.

– Więc nie będzie ślubu?

– Nie.

– A ja słyszałam z bardzo wiarygodnego źródła, że doszło do
oświadczeń i że zostały one przyjęte.

Dla nikogo nie było tajemnicą, że „wiarygodnym źródłem” pani Potts
były starannie monitorowane listy i rozmowy telefoniczne, których
szczegóły konfrontowała następnie z miejscowymi plotkami, dodając do
ich katalogu przypisy. Chociaż Percy nie posuwała się aż tak daleko, aby
podejrzewać poczmistrzynię o otwieranie listów nad parą, wiele osób w
miasteczku tak uważało. W tym wypadku jednak niewiele miała do
otwierania (tym bardziej rzeczy, które mogłyby wzbudzić jej emocje,
ponieważ Juniper korespondowała tylko z Meredith), a w plotce nie było
nawet żdźbła prawdy.

– Myślę, że wiedziałabym coś na ten temat, gdyby tak rzeczywiście
było, pani Potts. – Zapewniam panią, że chodzi jedynie o obiad.

– „Specjalny” obiad?

– Och, w dzisiejszych czasach mamy wyłącznie specjalne obiady,
nieprawdaż? – odparła pogodnie Percy. – Nigdy nie wiadomo, czy czło-
wiek nie zasiada właśnie do swojego ostatniego posiłku. – Wyjęła z

ręki poczmistrzyni listy, a jednocześnie zerknęła na słoje ze rżniętego szkła, które od dawien dawna stały na kontuarze. Po dropsach i toffi nie zostało ani śladu, ale na dnie jednego pojemnika zestaliła się smętna kupka pudrowych pastylek. Percy ich nie znosiła, ale były to ulubione słodycze Juniper.

– Wezmę resztkę tych cukierków, jeśli pani pozwoli.

Pani Potts wydłubała skamieniałą masę z dna słoika i z ponurą miną włożyła ją do brązowej papierowej torebki.

– To będzie sześć pensów.

– No wie pani – odparła Percy, zaglądając do paczuszki ze słodyczami – gdyby nie to, że znamy się tak dobrze, pomyślałabym, że próbuje mnie pani oskubać.

Poczmistrzyni zaczerwieniła się z oburzenia i zaczęła gorąco zaprzeczać.

– Żartuję oczywiście, pani Potts – odparła Percy, wręczając kobiecie pieniądze. Wsunęła listy i słodycze do torebki i uśmiechnęła się przełotnie. – Do widzenia. Wpytam Juniper o jej plany w pani imieniu, podejrzewam jednak, że jeśli wydarzy się coś godnego zainteresowania, pani dowie się o tym pierwsza.

2.

Cebule były oczywiście bardzo cenne, lecz to w najmniejszym stopniu nie zmieniało faktu, że ich liście niczego nie poprawiały w bukiecie. Saffy zlustrowała krytycznym okiem wątle zielone pędy, które właśnie ucięła, obróciła je w jedną stronę, potem w drugą, zmrużyła oczy, licząc, że to pomoże, po czym włożyła całą twórczą moc w wyobrażenie sobie, jak będą wyglądać na stole. We francuskim kryształowym wazonie po babci może jakoś ujdą, gdyby na przykład spryskać je czymś kolorowym, co by zamaskowało ich warzywne pochodzenie? Albo rozwinąć wążek – myśli Saffy nabierały rozpędu, przygryzła dolną wargę, jak zawsze gdy światał jej w głowie genialny pomysł – dorzucić trochę kopru włoskiego, kwiatów kabaczka i uznać to za żartobliwy komentarz do panujących trudności gospodarczych?

Z westchnieniem opuściła rękę, w której trzymała pęk zielonych liści, i pokręciła głową. Jakich to szalonych myśli ima się zdesperowany umysł. Przecież to oczywiste, że liście cebuli na nic się tu nie zdadzą – im dłużej ścisnęła je w dłoni, tym bardziej ich zapach uderzająco upodabniał się do smrodu starych skarpetek, z którym wojna, a w szczególności zajęcie jej siostry, nastęczyło Saffy mnóstwa okazji do zażytych kontaktów. Nie, po czterech miesiącach spędzonych w Londynie, obracania się w najelegantszym towarzystwie Bloomsbury, sypiania w schronach przy wtórze alarmów przeciwlotniczych Juniper zasługiwała na coś więcej niż *eau de skarpet*.

Nie wspominając o tajemniczym gościu, którego zaprosiła na obiad. Juniper nie należała do osób, które gromadzą wokół siebie rzesze

znajomych – dziwnym wyjątkiem była młoda Meredith – lecz Saffy miała dar czytania między wersami i z gryzmołów siostry domyśliła się, że młody mężczyzna dokonał jakiegoś walecznego czynu, aby pozyskać jej względy. Zaproszenie miało więc być wyrazem wdzięczności ze strony rodziny Blythe'ów i wszystko musiało wypaść idealnie. Pędem cebuli – utwierdziła się w przekonaniu, raz jeszcze rzuciwszy okiem na bukiet, dużo brakowało do ideału. Ale skoro już je zerwała, nie może pozwolić, żeby się zmarnowały, to by było świętokradztwo! Lorda Wooltona przejęłoby to zgrozą. Znajdzie potrawę, do której je doda, tylko nie w dzisiejszym menu. Cebula i jej efekty przystają gorszemu towarzystwu.

Westchnęła niepokieszona, co sprawiło jej niespodziewanie tyle przyjemności, że po chwili zrobiła to jeszcze raz, po czym ruszyła z powrotem w stronę domu, zadowolona jak zawsze, że ścieżka nie zaprowadziła jej do głównych ogrodów. Nie ścierpiałyby ich widoku; były kiedyś takie piękne. Jakaż to tragedia, że tyle wspaniałych ogrodów kwiatowych w kraju porzucono lub zamieniono w warzywniki. Choćby w Hyde Parku: jak pisała w ostatnim liście Juniper, nie dość, że kwiaty przy Rotten Row przygnieciono górami drewna, żelastwa i cegły – gruzami, Bóg jeden wie, ilu domów – to teraz całą południową część rozparcelowano na działki. Nieubłagana konieczność, uznała Saffy, niemniej godna pożałowania. Z braku pomidorów ludziom burczy w brzuchach, lecz z braku piękna dusza ludzka kosztuje.

Tuż przed nią zawisł w powietrzu spóźniony motyl. Wachlował skrzydłami niczym podwojony w lustrze miech kowalski. To cud prawdziwy, że taka doskonałość, taki naturalny spokój może trwać, kiedy dookoła ludzkość obraca swój świat w ruinę. Saffy rozpromieniła się na twarzy, wyciągnęła palec, lecz motyl nie zwracał na nią uwagi, wlatywał i opadał, to znów rzucał się, aby zbadać gnijące owoce nieszpułki, beztroski i niebaczny na wszystko. Niewiarygodne. Z uśmiechem ruszyła znowu przed siebie, schylając się pod kiśćmi wisterii w altance, aby nie zaczepić o nią włosami.

Pan Churchill powinien pamiętać, że wojen nie wygrywa się samymi tylko kulami, i nagradzać tych, którym udało się uchronić piękno przed zagładą, kiedy świat dookoła rozpadł się w gruzy.

„Order Churchilla za Obronę Piękna Anglii”, ślicznie brzmi,

pomyślała. Percy tylko się uśmiechnęła pobłaźliwie, kiedy Saffy powiedziała to przy śniadaniu, z samozadowoleniem i wyższością kogoś, kto przez wiele miesięcy przemierzał kraterę po bombach i sam zasłużył na medal za odwagę. Saffy jednak ani myślała się peszyć. Szczerze mówiąc, pisała właśnie list do „Timesa” w tej sprawie. Jego myślą przewodnią miała być refleksja, że piękno jest niezwykle ważne, podobnie jak sztuka, literatura i muzyka, a jeszcze bardziej w czasach, w których cywilizowane kraje prześcigają się w coraz bardziej barbarzyńskich aktach.

Saffy uwielbiała Londyn, od dzieciństwa. Jej prywatne plany na przyszłość zależały od przetrwania miasta, tak więc każdą bombę spuszczoną na stolicę Anglii traktowała jak atak na własną osobę. W czasie najbardziej nasilonych nalotów, kiedy każdej nocy towarzyszyły im wybuchy pocisków, huk dział przeciwlotniczych i jazgot syren, obgryzała zawzięcie paznokcie, za który to żaloszny nawyk obarczała odpowiedzialnością Hitlera, i zastanawiała się, czy człowiek może tym mocniej odczuwać niedolę bombardowanego miasta, że nie może uczestniczyć w jego nieszczęściu, podobnie jak matczyne niepokój o rannego syna zwielokrotnia dzieląca ją od niego odległość. Jeszcze jako mała dziewczynka Saffy przeczuwała, że jej przyszłość nie leży na błotnistych polach i w starożytnych murach Milderhurst, lecz pośród parków, kafejek i literackich salonów Londynu. Kiedy ona i Percy były małe, po śmierci mamy, lecz jeszcze przed narodzinami Juniper, kiedy żyli tylko we trójkę, tata co roku zabierał je ze sobą do Londynu, aby pomieszkały tam przez jakiś czas w ich domu w Chelsea. Bliźniaczki były młodziki, czas nie odciął jeszcze na nich swego piętna, nie uwydatnił różnic, nie wyostrzył poglądów i zachowywały się niczym dwa sobowtóry. Jednak podczas pobytu w Londynie Saffy zaczynała czuć rodzący się między nimi rozdział. Podczas gdy Percy, tak jak tata, tęskniła za zielonymi lasami hrabstwa Kent, Saffy w mieście dostawała skrzydeł.

Za plecami usłyszała daleki pomruk. Jęknęła, ale się nie odwróciła, aby spojrzeć na ciężkie chmury, które pyszniły się nad jej ramieniem. Ze wszystkich niedostatków, jakie przyniosła ze sobą wojna, szczególnie dokuczliwy był brak regularnych, radiowych prognoz pogody. Ze spokojem przyjęła stratę czasu na cichą lekturę i pogodziła się z tym, że Percy przywoziła jej z biblioteki jedną książkę tygodniowo zamiast czterech. Z

podobnym optymizmem potraktowała konieczność wyrzeczenia się jedwabnych sukien na rzecz praktycznych fartuszków; bez zmrżenia oka wcieliła się w rolę kuchmistrzynie, sprzątaczkę, praczkę i ogrodniczkę, kiedy służba zaczęła znikać jak pchły na tonącym sznurze, lecz wysiłki zmierzające do okiełznania kaprysów angielskiej pogody absolutnie ją przerosły. Choć spędziła w hrabstwie Kent całe życie, nigdy nie nabyła instynktownego dla kobiet mieszkających na wsi wyczucia pogody; odkryła za to wręcz przeciwny, osobliwy dar do rozwieszania prania i wybierania się na dalekie piesze wyprawy akurat, kiedy zanosilo się na deszcz.

Przyspieszyła kroku, aż w końcu puściła się truchtem, starając się nie zwracać uwagi na zapach szczypioru, który zdawał się nabierać intensywności w miarę zbliżania się do domu. Jedno było pewne: kiedy wojna się skończy, porzuci na zawsze wiejskie życie. Percy jeszcze o tym nie wie, na ogłoszenie takiej wiadomości trzeba starannie wybrać porę, lecz Saffy nieodwołalnie postanowiła przeprowadzić się do Londynu. Znajdzie tam sobie małe, jednoosobowe mieszkanie. Nie miała własnych mebli, ale to była tylko drobna przeszkoda, w takich sprawach Saffy nie traciła wiary. Na pewno nie zabierze niczego z Milderhurst. Sprawi sobie zupełnie nowe wyposażenie i rozpocznie nareszcie samodzielne życie, dwadzieścia lat później, niż planowała, ale to nic. Była teraz starsza, silniejsza i tym razem nic jej nie powstrzyma, choćby nie wiadomo jakie przeciwności losu próbowały jej w tym przeszkodzić.

W tajemnicy regularnie w każdą sobotę przeglądała w „Timesie” rubrykę o wynajmie mieszkań, aby być przygotowana, gdyby nastąpiła się niespodziewana okazja. Brała pod uwagę Chelsea lub Kensington, ale ostatecznie zdecydowała się na jeden z georgiańskich kwartałów w Bloomsbury, spacer od Muzeum Brytyjskiego i sklepów przy Oxford Street. Miała nadzieję, że Juniper też zostanie w Londynie i zamieszka gdzieś niedaleko, a Percy będzie naturalnie przyjeżdżać do nich w odwiedziny. Ale nie zostanie nigdy dłużej niż na jedną noc, ponieważ nie lubi sypiać poza domem ani opuszczać Milderhurst, które wszak mogłoby się rozsypać pod jej nieobecność.

W zaciszu własnych myśli Saffy często odwiedzała swoje małe mieszkanie w Londynie, zwłaszcza kiedy Percy przetaczała się jak burza

po zamkowych korytarzach i zrzędziła na luszczącą się farbę, na uginające się belki, lamentowała nad każdym nowym pęknięciem w ścianie. Saffy zamykała oczy i otwierała drzwi do własnego domu. Będzie mały i skromny, i bardzo czysty, sama o to zadba, a jedyny zapach, jaki będzie się w nim unosił, to zapach wosku pszczelego do polerowania mebli i octu winnego. Ścisnęła w garści cebulową nać i jeszcze bardziej przyspieszyła kroku.

Biurko pod oknem, na środku jej maszyna do pisania Olivetti, a w rogu miniaturowy, szklany wazonik – w razie czego wystarczy ładny, stary flakon – do którego codziennie będzie wstawiać nowy kwiat, koniecznie rozwinięty. Za jedyne go towarzysza posłuży jej radio, przerwie pisanie tylko po to, by wysłuchać prognozy pogody, porzuci na krótką chwilę świat wyczarowywany na papierze, aby wyjrzeć przez okno na krystalicznie czyste, błękitne londyńskie niebo. Promień słońca muśnie jej ramię i wypełni maleńkie mieszkanko, aż warstwa wosku na meblach zacznie się skrzyć. Wieczorami będzie czytać książki z biblioteki, potem jeszcze trochę popracuje i posłucha w radiu Gracie Fields. I nikt nie będzie burczał z sąsiedniego fotela, że to sentymentalna tandeta.

Przystanęła, przycisnęła dłonie do ciepłych policzków i westchnęła z głębokim zadowoleniem. Marzenia o Londynie, o przyszłości doprowadziły ją do zamku, a co najważniejsze, udało jej się wyprzedzić deszcz.

Zerknęła w stronę kurnika i jej dobry humor nieco przygasł. Jak ona sobie poradzi bez swoich dziewczynek? Może zabrałaby je ze sobą? Chyba w ogródku kamienicy znajdzie się miejsce na mały wybieg? Będzie tylko musiała dodać jeden punkt do swojej listy wymagań. Otworzyła furtkę i rozłożyła ramiona.

– Dzień dobry, moje słoneczka. Jak się dzisiaj macie?

Helen-Melon nastroszyła pióra, ale nie ruszyła się z grzędy, a Madame nawet nie podniosła na nią oczu.

– Główni do góry, dziewczęta. Jeszcze nigdzie nie jadę. Najpierw musimy wygrać wojnę.

To wcale nie podziałało tak rozweselająco, jak Saffy sobie wyobrażała, i uśmiech szczerstwiał jej na ustach. Już trzeci dzień z rzędu Helen siedziała z dziobem spuszczonej na kwintę, a Madame nigdy w życiu nie była taka milkliwa. Młodsze kury wzięły przykład ze starszych i w efekcie w kurniku

panowały minorowe nastroje. Saffy przyzwyczała się, że jej podopieczne podpadają na duchu podczas nalotów; kury są tak samo wrażliwe jak ludzie, podatne na niepokój, a bombardowania były nieustające. W końcu zabrała całą ósemkę na noc do schronu. Prawda, że ucierpiało na tym powietrze, ale wszystkim to posłużyło: kury znów zaczęły znosić jajka, a pod nieobecność Percy, która rzadko wracała na noc do domu, Saffy cieszyła się, że ma towarzystwo.

– No, maleńka – zagruchała, biorąc Madame na rękę – przestań się tak dąsać. To tylko zbiera się na burzę, nic więcej.

Ciepłe, opierzone ciało zmiękło, lecz tylko na chwilę, potem zatrzępotały skrzydła i kura niezdarne uciekła z powrotem na ziemię.

Saffy otrzepała ręce i oparła je na biodrach.

– Aż tak źle? Wygląda na to, że jest tylko jedna rada.

Obiad. Jedyny środek w jej arsenale, który niezawodnie poprawiał im nastroje. Jej dziewczynki były żarłoczne, ale to nic nie szkodzi. Gdybyż to wszystkie problemy tego świata dawało się rozwiązać smacznym posiłkiem. Pora wprawdzie trochę za wczesna na karmienie, ale w obecnej sytuacji nie ma innego wyjścia: nie nakryła jeszcze do stołu w salonie, łyżka do nakładania zaginęła gdzieś w akcji, Juniper ze swym gościem zjawia się lada moment, a wobec humorów Percy, z którymi musi się zmagać, ostatnia rzecz, jakiej jej jeszcze trzeba, to stado zbzikowanych kur. Tak, to będzie bardzo rozsądne posunięcie: trochę je porozpieszczać, żeby się grzecznie zachowywały, i nie ma absolutnie nic wspólnego z jej miękkim charakterem.

■

Spędziwszy pracowity dzień na wyczarowywania obiadu z tego, co dało się znaleźć w zamkowej spiżarni lub wyblagać w pobliskich gospodarstwach, Saffy złapała się za guziki bluzki i zaczęła nią trzepotać dla ochłody.

– No dobrze – gorączkowała się. – Na czym to ja skończyłam? Uniosła pokrywkę rondelka, aby się uspokoić, że sos nigdzie nie wywdrował pod jej nieobecność, z sapania dochodzącego z kuchni domyśliła się, że mięso w cieście cały czas się piecze, po czym zauważyła drewnianą skrzynię, która mogła idealnie posłużyć na jej potrzeby.

Zaciągnęła ją w najdalszy kąt spiżarni, stanęła na krawędzi i wspięła się na palce. Jej dłoń niczym pająk wędrowała po półce, dopóki nie dotarła na sam kraniec i na jej spotkanie nie wyszła maleńka puszczyka. Uśmiechając się do siebie, zacisnęła na niej palce i zeszła z powrotem na podłogę. Na metalowym pojemniczku osiadła kleista warstwa kurzu zmieszanego z tłuszczem i parą wodną, więc Saffy musiała wytrzeć puszkę ręką, aby odczytać etykietkę: sardynki. Doskonale! Zaciskając ją mocno w dłoni, rozkoszowała się radosnym dreszczykiem popełnianego grzechu.

– Nie martw się, tatusiu – wtórowała sobie, wygrzebując otwieracz do konserw z szuflady z podzwaniającymi utensyliami kuchennymi. Potem zamknęła ją biodrem. – To nie dla mnie.

To była jedna z zasad obowiązujących w domu ich ojca: jedzenie w puszkach to spisek i prędzej Blythe'owie dobrowolnie zaczną głodować, niż wezmą do ust choćby kęs konserwowanej żywności. Kto natomiast właściwie spiskuje i w jakim celu, tego Saffy nawet nie udawała, że wie, lecz tata był w tej kwestii niezmiernie stanowczy, i to wystarczyło. Nie tolerował nieposłuszeństwa i przez wiele lat nie miała najmniejszej ochoty mu się sprzeciwić. Przez całe dzieciństwo ojciec był dla niej słońcem w ciągu dnia i księżycem w nocy; samą myśl, że mógłby ją kiedykolwiek zawieść, wkładała między bajki o upiorach i koszmary senne.

Wrzuciła sardynki do porcelanowej miseczki i kiedy rozgniatała ryby na jednolitą papkę, zauważyła wyszczerbiony brzeg naczynia. Chociaż nie miało to żadnego znaczenia dla ryb, w połączeniu z tapetą łuszczącą się na kominie salonu, którą niedawno odkryła, była to druga w ciągu kilku godzin oznaka podupadania ich prześwietnej rezydencji. Odnotowała w pamięci, aby uważnie sprawdzić wszystkie talerze, które wybrała na dzisiejszy wieczór, czy nie noszą podobnych skaz. Jeśli Percy zobaczy takie zniszczenia, zagotuje się ze złości, a jej fomy nie przyczynią się do atmosfery radosnego świętowania, na jaką Saffy liczyła podczas dzisiejszej kolacji.

Nagle zatrzeszczały otwierane drzwi i Saffy aż podskoczyła, a resztki rybnego szkieletu spadły z zębów widelca na podłogę.

– Panno Saffy!

– Och, Lucy, to ty! – Saffy przycisnęła widelec do serca. – Boże drogi, właśnie odjęłaś mi dziesięć lat życia!

– Przepraszam. Myślałam, że poszła pani do ogrodu nazbierać kwiatów. Chciałam tylko... Przyszłam sprawdzić...

Zdanie gospodyni rozsypało się na kawałki, kiedy podeszła bliżej i zobaczyła otwartą puszkę rybną, a całkiem zgubiła wątek myśli, napotkawszy spojrzenie Saffy. Jej śliczne, fiołkowe oczy zrobiły się okrągłe.

– Panno Saffy – wykrztusiła bez tchu. – Nie sądziłam, że...

– Och nie, nie, nie... – Saffy zatrzepotała ręką, żeby ją uciszyć i położyła palec na uśmiechniętych ustach. – Cóż, Lucy, skarbie. To nie dla mnie, naturalnie. Trzymam je dla dziewczynek.

– Aha. – Lucy wyraźnie odetchnęła z ulgą. – To co innego. Nie chciałabym, aby on się zdenerwował, nawet teraz. – Nabożnie wzniosła oczy do sufitu.

Saffy się z nią zgodziła.

– Ostatnia rzecz, jakiej nam dzisiaj trzeba, to tata przewracający się w grobie. – Wskazała głową apteczkę. – Podaj mi kilka aspiryn, proszę.

Lucy zmarszczyła z troską czoło.

– Źle się pani czuje?

– Nie ja, tylko dziewczynki. Są zdenerwowane, biedactwa, a nic tak nie łągodzi roztrzęsionych nerwów jak aspiryna, poza może porządnym łykiem ginu, lecz to by było raczej nieodpowiedzialne. – Grzbietem łyżeczki rozgniotła tabletki na proszek. – Wiesz, nie widziałam ich w takim złym stanie od czasu tego nalotu dziesiątego maja.

Lucy pobladła.

– Chyba nie myśli pani, że wyczuwają następne bombardowania?

– Raczej nie. Herr Hitler jest zbyt zajęty marszem w paszczę zimy, żeby się nami przejmować. Tak przynajmniej twierdzi Percy. Według niej zostawi nas w spokoju przynajmniej do świąt. Jest bardzo rozczarowana.

Saffy nie przestawała mieszać rybnej zawiesiny i właśnie wzięła oddech, aby kontynuować swoją wypowiedź, lecz wtedy podniosła oczy i zauważyła, że Lucy podeszła do pieca. Nic w sylwetce gospodyni nie wskazywało, że jej słucha, i Saffy poczuła się nagle głupio, jak jej kury,

kiedy nachodzi je humor do gđakania, a wtedy nawet furka ogrodowa wydaje się świetnym towarzystwem. Odchrząknęła zakłopotana i powiedziała:

– Och, ja tu paplam, a ty przecież nie przyszedł do kuchni, żeby wysłuchiwać o kurach. Odrywam cię od zajęć.

– Ależ skądże – zapewniła Lucy, prostując się, ale policzki miała bardziej zaróżowione, niż mogło to spowodować gorąco bijące od pieca.

Saffy nie miała wątpliwości, że zakłopotanie gospodyni bynajmniej jej się nie przywidziało; coś, co powiedziała lub zrobiła, popsuło dobry humor Lucy, i poczuła się przez to podle.

– Przyszedłam sprawdzić królika w cieście – ciągnęła Lucy. – I chciałam też powiedzieć pani, że nie znalazłam tej łyżki, o którą pani prosiła, więc położyłam na stole inną, ale ona też się nada. I zaniosiłam płyty, które panna Juniper przysłała z Londynu.

– Do niebieskiego salonu?

– Oczywiście.

– Doskonale.

To był salon gościnny, najodpowiedniejszy, żeby zabawiać gości Juniper. Percy miała inne zdanie, ale tego można się było spodziewać. Od tygodni chodziła w złym humorze, tupąła po korytarzach, przepowiadając same nieszczęścia na nadchodzącą zimę, narzekając na brak paliwa, na marnotrawstwo opału z powodu konieczności ogrzewania dodatkowego pokoju, ale w końcu skapitułuje, jak zawsze. Saffy z determinacją postukała widelcem o brzeg miseczki.

Lucy zajrzała pod pokrywkę rondelka.

– Wyszedeł pani doskonały sos. Śliczny i gęsty, mimo że bez mleka.

– Jesteś kochana, Lucy. W końcu zrobiłam go na wodzie. Pośodziłam miodem, żeby zaoszczędzić cukier na marmoladę. Nigdy nie sądziłam, że będę za coś wdzięczna wojnie, a pomyśleć, że mogłabym przeżyć całe życie i nie zaznać satysfakcji płynącej ze zrobienia idealnego, słodkiego sosu bez mleka!

– Wiele ludzi w Londynie byłoby wdzięcznych za ten przepis. Moja kuzynka pisze, że ostatnio przysługuje im już tylko litr mleka na tydzień. Wyobraża pani to sobie? Powinna pani zanotować ten przepis i wysłać do „Daily Telegraph”. Oni publikują takie rzeczy.

– Nie wiedziałam – odparła Saffy w zadumie.

To by była kolejna publikacja do jej małej kolekcji, może nie najwyższych lotów, ale zawsze jeden wycinek więcej. Każdy drobiazg może pomóc, kiedy nadejdzie dzień, że wyśle swój rękopis do wydawnictwa, i kto wie, co z tego wyniknie? Bardzo jej przypadł do gustu pomysł małej kolumny „»Szyjmy z Saffy«, porady dla pań” lub coś w tym stylu, z małym logo w rogu przedstawiającym jej singera 201K, a może nawet jedną z jej kur! Uśmiechnęła się zadowolona i rozbawiona, jakby wyobrażenie zamieniło się już w *fait accompli*.

Lucy tymczasem cały czas opowiadała o swojej kuzynce z Pimlico i jednym jajku, które wolno im kupić raz na dwa tygodnie.

– Kiedyś dostała zbuka i niech pani sobie wyobrazi, że nie pozwolili jej wymienić!

– Ależ to niegodziwość! – oburzyła się Saffy. Pani redaktor „Szyjmy z Saffy” miałyby prawdopodobnie co nieco do powiedzenia na ten temat i nie wzdragałyby się przed wspaniałomyślnym gestem wynagrodzenia kobiecie takiej straty. – Och, wyślij jej ode mnie kilka jajek. I sobie też weź z pół tuzina.

Lucy popatrzyła na nią z taką wdzięcznością, jakby dostała garść złotych samorodków, i Saffy zrobiło się wstyd. Szybko odgoniła sprzed oczu wizję swego dziennikarskiego alter ego i dodała ze skruchą:

– Mamy więcej jajek, niż potrzebujemy, a ja już dawno szukałam sposobu, aby okazać ci swoją wdzięczność. Tak często przychodziłaś mi z pomocą, odkąd wybuchła wojna.

– Och, panno Saffy!

– Nie zapominajmy, że gdyby nie ty, do tej pory prałabym bieliznę w cukrze pudrze.

Lucy wybuchła śmiechem.

– Bardzo pani dziękuję. Z największą wdzięcznością przyjmę ten prezent.

Zaczęły zawiązać jajka w kawałki gazet poukładanych w stertę przy piecu i Saffy po raz setny tego dnia pomyślała, jaką ogromną przyjemność sprawia jej towarzystwo gospodyni i jaka to szkoda, że ją straciły. Kiedy przeprowadzi się do Londynu, postanowiła, musi dać Lucy swój adres i namówić ją, aby wpadała do niej na herbatę, kiedy będzie w mieście. Percy bez wątpienia będzie patrzeć na to krytycznie – ma raczej

tradycjonalistyczne poglądy na temat klas społecznych i bratania się z ludźmi z nizin, ale Saffy wie swoje: towarzystwo trzeba sobie cenić wszędzie, bez względu na pochodzenie społeczne.

Na dworze zagrzmiało złowieszczo i Lucy schyliła głowę, żeby wyjrzeć przez brudną szybę nad małym zlewem. Obrzuciła wzrokiem ciemniejące niebo i zmarszczyła czoło.

– Jeśli to już wszystko, panno Saffy, to dokończę przygotowania w saloniku i już sobie pójdę. Wygląda na to, że pogoda popsuka się na dobre, a ja mam wieczorem pracę.

– W służbach ochotniczych?

– Dzisiaj w kantynie. Trzeba nakarmić naszych dzielnych żołnierzy.

– O tak, wszyscy się staramy – odparła Saffy. – A skoro mowa o żołnierzach, uszyłam kilka lalek na twoją aukcję dobroczynną. Zabierz je ze sobą, jeśli możesz, są na gorze, razem z... – urwała dla wzmożenia teatralnego efektu – suknią.

Lucy aż wstrzymała oddech, zniżyła głos do szeptu, mimo że były same.

– Skończyła ją pani!

– W samą porę, aby Juniper mogła ją włożyć dziś wieczorem. Powieśiłam ją na poddaszu, więc to będzie pierwsza rzecz, jaką zobaczy.

– W takim razie koniecznie muszę ją obejrzeć przed wyjściem. Ładna wyszła?

– Prześliczna.

– Och, tak się cieszę. – Lucy zawahała się chwilę, po czym wzięła Saffy za obie dłonie. – Wszystko wypadnie doskonale, zobaczy pani. Taki szczególny wieczór, pani Juniper wraca w końcu z Londynu.

– Mam tylko nadzieję, że pociągi się zanadto nie opóźnią przez pogodę.

– Pewnie panie zadowolone, że będą ją w końcu miały w domu całą i zdrową.

– Ani jednej nocy nie przespałam spokojnie, odkąd wyjechała.

– Ach, te troski. – Lucy pokręciła ze współczuciem głową. – Była dla niej pani jak matka, a żadna matka nie śpi spokojnie, kiedy się martwi o swoją pociechę.

– Och, Lucy – oczy Saffy zasły mgłą – żebyś ty wiedziała, jak ja się zamartwiałam. Mam takie uczucie, jakbym całymi miesiącami wstrzymywała oddech.

– Ale nie było żadnych ataków, prawda?

– Na szczęście nie. Jestem pewna, że Juniper by nam powiedziała, gdyby coś się wydarzyło. Ne kłamałaby w takiej ważnej sprawie...

Drzwi się otworzyły z hukiem i obie wyprostowały się raptownie. Lucy pisnęła, Saffy też o mało nie krzyknęła, ale w ostatniej chwili przypomniała sobie, aby tym razem chwycić puszkę i ukryć ją za plecami. To tylko wiatr, który wzmagał się na dworze z minuty na minutę, trzasnął drzwiami, ale przyjemna atmosfera w kuchni przysła bezpowrotnie, a z nią uśmiech na twarzy Lucy. Dopiero wtedy Saffy zrozumiała, czemu Lucy jest taka podenerwowana.

Z początku chciała to przemilczeć, dzień się prawie kończył, a wiedziała, że czasem lepiej nie rozgrzebywać pewnych spraw, ale spędziły razem tak miłe popołudnie w bardzo życzliwej atmosferze, pracując ramię w ramię w kuchni i w saloniku, a Saffy gorąco pragnęła wszystko naprawić. Wolno jej się przyjaźnić z kim chce, nieważne, co sobie Percy o tym pomyśli. Odchrząknęła cicho.

– Ile miałas lat, kiedy zaczęłaś u nas pracować, Lucy?

Gospodyni odpowiedziała spokojnie, prawie jakby spodziewała się tego pytania.

– Szesnaście.

– To ile lat minęło? Dwadzieścia dwa?

– Dwadzieścia cztery, od tysiąc dziewięćset siedemnastego.

– Wiesz, że tata zawsze bardzo cię cenił.

W piekarniku nadzienie zaczęło skwierczeć w skorupce ciasta. Lucy wyprostowała plecy i westchnęła powoli.

– Był dla mnie dobry.

– I na pewno wiesz, że Percy i ja bardzo cię lubimy.

Ponieważ wszystkie jajka zostały zapakowane, Lucy nie miała już czym zająć rąk. Usiadła na ławie pod ścianą ze splecionymi ramionami i odrzekła łagodnie:

– To bardzo ładnie, że pani tak mówi, panno Saffy, ale nie musi pani...

– Chcę powiedzieć, że gdybyś zmieniła zdanie, kiedy wszystko się uspokoi, gdybyś uznała, że chciałabyś wrócić na bardziej formalnych...

– Nie – odparła. – Dziękują, ale nie.

– Przepraszam, nie chciałam cię wprawić w zakłopotanie – zaczęła Saffy. – Wybacz mi, skarbie. Nie pisnęłabym ani słówka, ale nie chciałam, żeby ci było przykro. Percy nie miała złych zamiarów, ona już po prostu taka jest.

– Naprawdę nie musi pani...

– Nie lubi zmian. Od dzieciństwa taka była. Kiedy zachorowała na szkarlatynę i zabrano ją do szpitala, o mało nie umarła z tęsknoty. – Saffy podjęła nieśmiałą próbę rozładowania atmosfery. – Czasami myślę, że byłaby najszczęśliwsza, gdybyśmy we trzy mieszkały w Milderhurst do końca życia. Wyobrażasz to sobie? Trzy stare panny z białymi włosami, tak długimi, że mogłyby na nich siedzieć?

– Myślę, że panna Juniper miałaby coś na ten temat do powiedzenia.

– Z pewnością.

Saffy również. Zapragnęła nagle opowiedzieć Lucy o mieszkaniu w Londynie i biurku pod oknem, ale stłumiła tę chęć. To nie był dobry moment. Zamiast tego rzekła:

– W każdym razie obie z przykrością przyjęłyśmy twoją decyzję o odejściu.

– To przez wojnę, panno Saffy, chciałam jakoś pomóc. Mama odchodziła i Harry...

Saffy machnęła ręką.

– Nie musisz się tłumaczyć, Lucy, ja wszystko doskonale rozumiem. Sprawy sercowe i tak dalej. Każdy ma prawo do własnego życia, zwłaszcza w dzisiejszych czasach. Wojna uczy człowieka, co jest naprawdę ważne, nie sądzisz?

– Powinam już iść.

– Tak, tak, dobrze. Niedługo znowu się zobaczymy, może w przyszłym tygodniu? Zrobimy piccalilli. Moje kabaczki...

– Nie – odparła Lucy, a do jej głosu wkradła się nowa, stanowcza nuta. – Już więcej nie przyjdę. Dzisiaj też nie powinnam się była zgodzić, tylko że sprawiała pani wrażenie takiej zdesperowanej.

– Ależ Lucy...

– Niech mnie pani więcej nie prosi, panno Saffy. To niestosowne.

Saffy zabrakło słów. W okna uderzył kolejny gwałtowny podmuch wiatru i w oddali przetoczył się następny grzmot. Lucy zgarnęła ściereczkę z jajkami.

– Muszę już iść – powtórzyła tym razem łagodniej, co z jakiegoś powodu zabrzmiało jeszcze gorzej, aż Saffy się omal nie rozplakała. – Zabiorę laleczki, obejrzę sukienkę Juniper i zaraz potem idę.

Chwilę później znikła.

Drzwi się zamknęły i Saffy znów została sama w zaparowanej kuchni z miseczką rybnej papki w rękach i kotłowaniną myśli w głowie. Nie mogła zrozumieć, co takiego wypłoszyło jej przyjaciółkę.

3.

Percy jechała bez pedałowania po biegnącej w dół Tenterden Road, aż na kamienistych wybojach u stóp podjazdu zeskoczyła z roweru. „Do domu, do domu, hopsasa”, wyrecytowała półgłosem, kiedy żwir chrzęścił jej pod stopami. Niania nauczyła ich tego wierszyka w dzieciństwie, czyli ponad trzydzieści lat temu, ale te słowa zawsze wpadały jej do głowy, kiedy wchodziła na podjazd. Tak bywa z niektórymi melodiami, z niektórymi frazami – potrafią utkwic w głowie i za nic nie można się ich pozbyć. Co nie znaczy, że Percy chciałyby się pozbyć ulubionego „hopsasa”. Kochana niania, jej drobne, różowe rączki, jej niezachwiana pewność co do wszystkich rzeczy, jej postać siedząca wieczorem przy kominku w pokoiku na poddaszu i podzwaniająca im na drutach do snu. Szlochały, kiedy w dziewięćdziesiąte urodziny odchodziła na emeryturę, aby zamieszkać u wnuczki swojej siostry w Kornwalii. Saffy posunęła się nawet do groźby, że na znak protestu rzuci się z okna na poddaszu, niestety, deklarację tę osłabił fakt, że została już wcześniej wprowadzona w życie, i nie zachwiała niani w postanowieniu.

Prowadziła rower niespiesznie, mimo że była spóźniona, napawała się powitalnym widokiem pól, które rozbiegały się wachlarzowato po obu stronach drogi. Na lewo farma z suszarnią chmielu, za nią młyn, daleko po prawej stronie las. Wspomnienia niezliczonych zabaw z dzieciństwa przycupnęły na gałęziach drzew, mrugały do niej z cieniściego półmroku lasu Cardarker. Rozkoszny dreszcz emocji, kiedy ukrywały się przed handlarzami niewolników; polowały na kości smoków; wędrowały z tą w poszukiwaniu starożytnych rzymskich dróg...

Podjazd nie był zbyt stromy i nie z powodu uciążliwości jazdy Percy postanowiła iść pieszo, lecz dla samej przyjemności spaceru. Tata też był zapalonym piechurem, szczególnie po wojnie, zanim napisał tę książkę, zanim je opuścił i wyjechał do Londynu, zanim poznał Odette i ożenił się powtórnie, i tak naprawdę już nigdy więcej nie był dla nich takim samym, oddanym ojcem jak kiedyś. Lekarz zalecił mu codzienne spacerować z powodu chorej nogi i od tamtej pory z zapalem wędrował po łąkach i polach, wspierając się laską, którą zostawił kiedyś pan Morris.

– Widzisz, jak końcówka laski odbija się, kiedy chodzę? – spytał pewnego jesienno popołudnia na spacerze nad Wędrownym Potokiem.

– Tak jak powinna. Jest dobra i mocna. Służy jako przypomnienie.

– O czym, tatusiu?

Zmarszczył brwi, patrząc na brzeg potoku, jakby tam, w gąszczu trzciny, ukrywały się właściwe słowa.

– No cóż, chyba o tym, że ja też jestem mocny.

Nie rozumiała wtedy, co miał na myśli, doszła do wniosku, że po prostu zachwyca się masywnością swojej laski. Nie dopytywała się więcej. Jej pozycja jako towarzyszk spacerów była krucha, zasady, od których zależało, czy dostanie zgodę na dalsze uczestnictwo, niewzruszone. Zgodnie z doktryną Raymonda Blythe'a spacerowały czasem kontemplacji, przerywanej z rzadka, jeśli obie strony wykazywały ochotę, dyskusją o historii, poezji lub naturze. Nie tolerowano gaduła, a kiedy taka łaska raz przyłgnęła, nigdy już nie można się jej było pozbyć, ku wielkiemu rozgoryczeniu biednej Saffy. Wiele razy Percy oglądała się za siebie na zamek, kiedy wyruszali z tatą na swoją włóczęgę, i widziała siostrę z marsmem na czole wyglądającą z okna pokoiku na poddaszu. Współczuła jej, lecz nie na tyle, aby z nią zostać. To było sprawiedliwe zadośćuczynienie za niezliczone chwile, gdy tata z uśmiechem rozbawienia słuchał inteligentnych opowiadań Saffy, a ostatnio za całe miesiące, które spędzili razem tylko we dwójkę, kiedy Percy leżała w szpitalu chora na szkarlatynę.

Doszła do pierwszego mostu i oparła rower o balustradkę. Nie widziała stąd domu, stał ukryty w uścisku otaczających lasów i nie będzie go widać aż do następnego, mniejszego mostka. Przechyliła się przez poręcz i zajrzała w płytki nurt potoku. Woda kłębiła się i szeptała w

miejskach, gdzie brzegi się od siebie oddalały, po czym z wahaniem płynęła dalej w las. Odbicie Percy, ciemne na tle jasnego nieba przegładającego się w potoku, kołysało się na gładziej powierzchni środkowego nurtu.

Dalej ciągnęło się pole chmielu, gdzie Percy zapaliła swojego pierwszego papierosa. Obie z Saffy chichotały nad papierośnicą podwędzoną pewnemu napuszonemu znajomemu taty, który w upalny dzień wygrzewał swoje grube kostki nad jeziorem.

Papieros...

Percy dotknęła kieszeni na piersi munduru, poczuła pod palcami podłużny kształt. Skręcenie tego diabelstwa daje chyba tyle samo przyjemności co samo palenie. Kiedy wkroczy w zamkową gorączkę, będzie mogła tylko pomarzyć o cichym, spokojnym dymku.

Odwróciła się i oparła o balustradę, potem zapaliła zapałkę i zaciągnąwszy się, wstrzymała na chwilę oddech, zanim wypuściła dym. Boże, jak ona to uwielbia. Czasami zdawało jej się, że najbardziej pragnęłaby żyć samotnie, nigdy więcej nie otworzyć ust do żadnej żywej duszy, pod warunkiem że mogłaby mieszkać tu, w Milderhurst, z zapasem papierosów na całe życie.

Nie zawsze była takim żalosnym odludkiem. Nawet teraz zdawała sobie sprawę, że ta fantazja, choć niepozabawiona uroków, była tylko fantazją. Nie zniosłaby życia bez Saffy, w każdym razie nie na długo. Ani bez Juniper. Cztery miesiące minęły, odkąd ich młodsza siostra wyjechała do Londynu, a one zachowywały się w tym czasie jak dwie stare, płaczliwe babcie, załamujące ręce i biadolące, czy ma ciepłe skarpety. Wysyłały świeże jajka przez każdego, kto jechał do Londynu, i, czytając na głos przy śniadaniu jej listy, próbowały z nich odgadnąć, w jakim jest humorze, jak się ma, o czym myśli. Nawiasem mówiąc, żadna wzmianka w jej listach, wyraźna czy zawołowana, nie wskazywała na to, żeby Juniper myślała o małżeństwie, droga pani Potts! Sam pomysł był śmiechu wart, o czym doskonale wiedział każdy, kto znał ich młodszą siostrę. Niektóre kobiety są stworzone do małżeństwa i wózków czekających w holu, inne absolutnie nie. Tata o tym wiedział, dlatego właśnie tak urządził sprawy, aby zapewnić Juniper opiekę, kiedy jęgo zabraknie.

Percy fuknęła zde gustowana i przydusiła wypalonego papierosa pod

butem. Myśl o poczmistrzyni przypomniła jej korespondencję, którą odebrała na poczcie. Wyciągnęła ją teraz z torby jako pretekst, aby choć trochę przedłużyć spokojne chwile spędzone we własnym towarzystwie.

Zgodnie z zapowiedzią pani Potts znalazła trzy przesyłki: paczkę dla Juniper od Meredith, list zaadresowany na maszynie do Saffy oraz drugi do niej. Pismo z zawrotnymi pętlami mogło należeć tylko do ich kuzynki Emily i Percy niecierpliwie rozdarła kopertę, po czym przechyliła kartkę do zmierzchającego światła, aby odczytać słowa.

Z wyjątkiem niechlubnej historii z włosami Saffy ufarbowanymi na niebiesko Emily cieszyła się przez całe dzieciństwo bliźniaczek Blythe zaszczytnym tytułem ulubionej kuzynki. Fakt, że konkurencją byli dla niej nadęci kuzyni z Cambridge, zdziwaczali krewni z północy oraz jej młodsza siostra Pippa, którą szybko zdyskwalifikowała pożałowania godna skłonność do płaczu z byle powodu, w niczym nie umniejszał szczerości tego honorowego miejsca w rodzinie. Odwiedziny Emily zawsze były w Milderhurst okazją do wielkiego świętowania i bez niej dzieciństwo bliźniaczek z pewnością upływałoby bez porównania mniej ciekawie. Percy i Saffy były ze sobą bardzo zżyte, lecz więź, która je łączyła, nigdy nie wykluczała innych przyjacieli. Można by wręcz powiedzieć, że ich siostrzana więź umacniała się poprzez dołączanie do kręgu osób trzecich. Kiedy dorastały, w okolicy mieszkało mnóstwo dzieci, z którymi mogłyby się bawić, gdyby nie wielka nieufność ich ojca wobec obcych. Kochany tata był na swój sposób wielkim snobem, chociaż poczułby się głęboko dotknięty, gdyby ktoś go tak nazwał. Nie pociągały go pieniądze ani pozycja, cenił sobie inną walutę – inteligencję i talent i nimi pragnął się otaczać.

Emily, obdarzona i jednym, i drugim, została przez Raymonda Blythe'a zaakceptowana bez zastrzeżeń i co roku otrzymywała zaproszenie, aby spędzić wakacje w Milderhurst. Pozwolono jej nawet uczestniczyć w wieczorkach rodzinnych, czyli turniejach ustanowionych przez babcię, kiedy tata był jeszcze chłopcem. Rankiem w wybrane dni ogłaszano „Wieczorek rodzinny Blythe'ów” i przez cały dzień wszyscy domownicy żyli w niecierpliwym oczekiwaniu. Wydobywano słowniki, ostrzono ołówki i dowcipy i wreszcie po kolacji wszyscy zbierali się w salonie. Zawodnicy zajmowali miejsca przy stole lub w ulubionym

fotelu i dopiero wtedy tata robił wielkie wejście. Zawsze w dzień turnieju porzucał swoje codzienne zajęcia i zaszywał się w wieży, aby ułożyć listę wyzwań, a ich ogłoszenie odbywało się z wielką ceremonią. Szczegółowe zasady gry ulegały zmianom, najczęściej jednak określano miejsce, typ bohatera oraz słowo kluczowe, po czym nastawiano największy minutnik kucharza i rozpoczynał się konkurs na najlepszy utwór literacki.

Percy, która była inteligentna, lecz zbywało jej na dowcipie, uwielbiała słuchać, lecz nie opowiadać, pisała więc powoli i żmudnie, zwłaszcza kiedy się denerwowała, i ponieważ jej opowiadania sprawiały wrażenie wykrochmalonych na sztywno, szczerze nie znosiła tych wieczorów i gardziła nimi, dopóki całkiem przypadkowo w wieku dwunastu lat nie odkryła sposobu na ułaskawienie poprzez przyjęcie roli sędziego prowadzącego punktację. Podczas gdy Saffy i Emily, których serdeczna przyjaźń podsyciała wręcz pragnienie rywalizacji, ze zmarszczonymi czołami i przygryzając wargi, pociły się nad swoimi arcydziełkami i, śmigając ołówkami po papierze, walczyły zażarcie o nagrodę taty, Percy czekała spokojnie na rozrywkę. Obie uczestniczki były równorzędnymi rywalkami we władaniu słowem pisany, Saffy przewyższała może swą przeciwniczkę bogactwem słownictwa, za to Emily zyskiwała wyraźną przewagę ciętym dowcipem i przez jakiś czas nie ulegało wątpliwości, że to właśnie w niej tata upatrywał dziedziczki rodzinnego daru. Tak było, zanim na świat przyszła Juniper z cudownym, wcześniej objawionym talentem, który usunął w cień wszystkie inne pretendenci do tego tytułu.

Jeśli Emily poczuła się odrzucona, kiedy atencja taty zmieniła orbitę, to otrząsnęła się bardzo szybko. Przyjeżdżała chętnie jeszcze przez wiele lat, nawet kiedy wyrosła z wieku dziecięcego, aż do lata 1925 roku, kiedy wyszła za mąż i wszystko się skończyło. Zdaniem Percy ich ulubionej kuzynce wyjątkowo dobrze posłużyło to, że pomimo dużych zdolności nigdy nie miała artystycznej duszy. Była zbyt zrównoważona, zbyt wysportowana, zbyt wesoła i powszechnie lubiana, aby podążyć ścieżką pisarską. Nie wykazywała nawet cienia neurotycznych skłonności. Odmiana w sercu taty obróciła się na jej korzyść: Emily wyszła dobrze za mąż, doczekała się gromadki piegowatych synów, wielkiego domu z

widokiem na morze, a teraz, jak wynikało z jej korespondencji, pary kochliwych świń. Cały list wypełniała antologia anegdot z życia Devonshire, gdzie mieszkała Emily, wieści o jej mężu i synach, przygody ochotników z cywilnej obrony przeciwlotniczej, obsesja starszawych sąsiadów na punkcie jej pompy przenośnej, mimo to Percy czytając, śmiała się z całego serca. Uśmiechała się jeszcze, kiedy skończywszy, starannie złożyła list i wsunęła go z powrotem do koperty.

Następnie przedarła go na pół, potem na cztery i, idąc podjazdem, wcisnęła głęboko do kieszeni. Odnotowała w pamięci, żeby wyrzucić resztki do kosza, zanim jej mundur trafi na stertę z brudami do prania, a jeszcze lepiej spali go zaraz po przyjsciu i Saffy o niczym się nie dowie.

4.

Że Juniper, jedyna znana Blythe'ówna, która nie zajmowała w dzieciństwie pokoiku na poddaszu, obudziła się rankiem w swoje trzynaste urodziny, wrzuciła swój najcenniejszy dobytek w poszewkę na poduszkę, po czym ruszyła na górę, aby zawładnąć śpiącą mansardą, nie zaskoczyło nikogo. Nieprzewidywalna przekorność tego postanowienia tak bardzo pasowała do Juniper, jaką znali i kochali, że ilekroć ktoś po latach wspominał to wydarzenie, wydawało się ono tak całkiem naturalne, że rozmówcy mimo woli zaczynali się zastanawiać, czy wszystko to nie zostało przypadkiem dawno zaplanowane. Sama Juniper mówiła na ten temat bardzo niewiele, zarówno wtedy, jak i później: pewnego dnia spała w swoim pokoiku na drugim piętrze, następnego zaś objęła w posiadanie izbę na poddaszu. Co więcej było tu do wyjaśniania?

O wiele bardziej wymowny niż sama przeprowadzka był swoisty urok, jaki włókł się za dziewczynką niczym niewidzialna peleryna. Poddasze – tradycyjne miejsce zesłania dzieci z rodziny Blythe'ów do czasu, gdy wiek lub inne atrybuty uprawniały je do przejścia w świat dorosłych – z niskim, skośnym sufitem i zadziornymi myszami; lodowate zimą, latem rozgrzane do czerwoności; miejsce ujścia wszystkich kominów, którędy dym wydostawał się na wolność, nagle zaczęło huczeć. Ludzi, których pozornie nic nie skłaniało, by narażać się na taką wspinaczkę, z niewiadomych powodów zaczęło ciągnąć na górę. „Rzucę tylko okiem, co na poddaszu”, deklarowali, po czym znikali na schodach i wracali nieco zakłopotani po godzinie lub półtorej. Saffy i Percy spoglądały na

siebie rozbawione i bawiły się w odgadywanie, co takiego, na miłość boską, biedny, nieświadomy gość robił tam na górze, skoro jedna rzecz była pewna: Juniper na pewno nie odgrywała roli dobrej gospodyni. Nie znaczy to, że była niegrzeczna, nie, po prostu nie należała do osób specjalnie przyjaznych i nigdy nie przedkładała towarzystwa innych ludzi nad swoje własne. Miało to swoje zalety, skoro jej życie nie obfitowało w okazji do spotkań z ludźmi. W rodzinie brakowało kuzynów w jej wieku, nie odwiedzali Milderhurst żadni znajomi, a tata uparł się, aby pobierała nauki w domu. Percy i Saffy dochodziły więc do wniosku, że Juniper nie zwracała uwagi na swoich gości, którzy mogli myszkować do woli w jej barwnym rozgardiaszu, póki się nie zmęczyli i nie postanawiali wrócić. Był to jeden z najdziwniejszych i najbardziej nieuchwytnych darów ich siostry, który zresztą zachowała przez całe życie: magnetyczną siłę przyciągania tak niepojętą, że zasługiwała na zbadanie i medyczne sklasyfikowanie. Nawet ludzie, którzy nie przepadali za Juniper, pragnęli być przez nią lubiani.

Kiedy jednak po raz drugi tego dnia Saffy wdrapywała się po schodach na poddasze, nie w głowie jej było rozwikływanie zagadki uroku osobistego jej młodszej siostry. Burza nadciągała szybciej niż obrona terytorialna pana Potts'a, a na poddaszu zostały otwarte okna. Saffy zauważyła to, kiedy siedziała w kurniku i głąskała Helen-Melon po piórach, zastanawiając się, czemu Lucy zrobiła się nagle taka nieugięta. Jej uwagę ściągnęło zapalone światło – to gospodyni weszła do szwalni, żeby zabrać lalki na licytację. Obserwowała dalej, jak cień Lucy minął okno na drugim piętrze, jak resztki dziennego światła wylały się z otwieranych drzwi do holu, a potem minęło kilka minut, zanim zamigotała żarówka na schodach prowadzących na poddasze. Wtedy właśnie Saffy przypomniała sobie, że rano otworzyła tam okna z nadzieją, że świeże powietrze rozproszy zaduch nagromadzony przez kilka miesięcy, kiedy pokój stał nieużywany. Była to płonna nadzieja i Saffy sama w nią powątpiewała, ale lepiej chociaż spróbować, niż siedzieć z założonymi rękami. Teraz jednak, kiedy wiatr przyniósł zapach deszczu, trzeba je było zamknąć. Patrzyła, aż zgaśnie światło na schodach, odczekała jeszcze

następne pięć minut, po czym, uznawszy, że droga jest wolna i nie natknie się już na Lucy, weszła do zamku.

■

Starannie ominawszy trzeci stopień – brakowało tylko, żeby duch wuja splątał jej dzisiaj figła – popchnęła drzwi do pokoiku na poddaszu i zapaliła światło. Było słabe, jak całe oświetlenie elektryczne w Milderhurst, i Saffy przystanęła w progu. Pomijając półmrok, robiła tak zawsze, ilekroć miała wtargnąć do królestwa Juniper. Podejrzewała, że bardzo niewiele było na świecie pokoi, w których należało równie starannie wytyczyć sobie trasę przed wejściem. Możliwe, że stopień zaniebdania przekroczył nieco granice normy, ale tylko trochę.

Tak jak się obawiała, zaduch się utrzymał – mieszanina zwietrzałego dymu tytoniowego, atramentu, zapachu mokrej sierści i myszy polnych okazała się zbyt uporczywa, by rozproszył ją jeden dzień wietrzeń. Zapach psa można było łatwo wyjaśnić: kundel Juniper Poe tak bardzo za nią tęsknił, że snuł się smętnie między szczytem podjazdu i brzegiem jej łóżka. Co do myszy, Saffy nie była pewna, czy jej siostra karmiła je umyślnie, czy też sprytnie stworzenia korzystały z niechlujstwa lokatorki. Obie możliwości były prawdopodobne. A chociaż Saffy nie przyznałaby się do tego otwarcie, mysi zapach nawet jej się podobał; przypominał jej Clementine, którą kupiła w dziale zoologicznym domu towarowego Harrods rankiem w swoje ósme urodziny. Tina była wspaniałą towarzyszką aż do pechowej utarczki z wężem Percy Cyrusem. Szczury padają ofiarą nieustannych oszczerstw; w rzeczywistości są dużo czystsze, niż sądzą ludzie, i bardzo przyjacielskie – stanowią prawdziwą arystokrację w świecie gryzoni.

Wypatrzyła względnie wolną drogę do okna i ostrożnie zaczęła lawirować wśród tego bałaganu. Gdyby ich niania to widziała! Bezpowrotnie minęły czyste, porządne dni jej panowania – mleczne kolacje spożywane pod jej czujnym okiem, mała miotełka wyciągana wieczorem, żeby zamieść okruszki, bliźniacze biurka pod oknem, długo utrzymujący się zapach wosku pszczelego i mydeł od Pearsa. Nie, czasy niani odeszły w przeszłość zastąpione przez anarchię. Papier, wszędzie papier, pokryty dziwnymi instrukcjami, ilustracjami, pytaniami, które Juniper sobie

zapisywała. Kłębki kurzu zbierały się w najlepsze pod ścianami niczym przyzwoitki na zabawie tanecznej. Różne rzeczy tkwiły przypięte do ścian: zdjęcia ludzi i miejsc, dziwne zbitki słów, które z niewytłumaczalnych powodów podziały na wyobraźnię Juniper. Podłoga zaś tonęła w morzu książek, ubrań, kubków z podejrzenie brudną zawartością, prowizorycznych popielniczek, ulubionych lalek z mrugającymi oczami, starych biletów autobusowych zabazgranych na brzegach. Saffy zakręciło się w głowie od tego wszystkiego, a nawet ją zemdliło. Czy to skórka chleba leży wsunięta pod pikowaną narzutę na podłodze? Jeśli tak, to stwardniała na kamień.

Chociaż Saffy dawno temu wydała wojnę swojemu niedobremu nawykowi sprzątania po Juniper i wygrała ją, tym razem nie mogła się powstrzymać. Bałagan to jedno, a resztki jedzenia na podłodze to zupełnie inna sprawa. Wzdrygnęła się i podniosła granitową skórkę chleba, po czym szybko podeszła do okna i nasłuchiwała głuchego odgłosu, z którym pieczywo uderzyło o trawę w starej fosie. Z kolejnym dreszczem wstrętu wytrzepała narzutę, potem zamknęła okno i zaciągnęła czarne zasłony, które powiesiły z Percy na czas obowiązującego zaciemnienia.

Sfatygowana narzuta wymagała wyprania i załatania, lecz to było zadanie na inny dzień, na razie trzeba się zadowolić starannym złożeniem jej, chociaż Juniper i tak najprawdopodobniej tego nie zauważy, lecz przynajmniej wysłużone nakrycie zachowa jakąś godność. Zasługuje na lepsze traktowanie niż czteromiesięczny urlop na podłodze w roli całunu dla gnijącego kawałka chleba, pomyślała Saffy czule, rozkładając ją za rogi na rozpiętość ramion. Juniper dostała ją w prezencie od żony jednego z gospodarzy w majątku; kobieta sama ją uszyła w dowód tej nieświadomej sympatii, jaką powszechnie wzbudzała najmłodsza siostra Blythe. Wiele osób, wzruszonych takim gestem, czułoby się zobowiązanymi do szczególnej dbałości o podarunek, lecz Juniper nie była taka jak większość ludzi. Nie przywiązywała wagi do ludzkich dzieł, łącznie ze swoimi własnymi. To jedna z tych cech charakteru, które naprawdę trudno zrozumieć, pomyślała Saffy, zbierając z westchnieniem podściółkę porzuconych papierów zalegających na podłodze.

Rozejrzała się za miejscem, gdzie mogłaby odłożyć poskładaną narzutę, i zdecydowała się na najbliższe krzesło. Na wierzchu sterty porzuconych książek leżał otwarty tom i Saffy – rasowa czytelniczka – nie mogła się powstrzymać, aby nie przerzucić kartek do strony tytułowej i sprawdzić, co to za utwór. *Koty* z dedykacją T.S. Eliota dla Juniper. Podpisał je, kiedy przyjechał do nich w odwiedzin, i tata pokazał mu kilka wierszy swojej córki. Saffy miała mieszane uczucia co do Thomasa Eliota, naturalnie podziwiała jego sztukę literacką, ale duszę tego poety przepełniał pesymizm, a jego mroczne poglądy zawsze ją przygnębiały. Co prawda z *Kotami* rzecz się miała trochę inaczej niż z resztą jego poezji, bo i przedmiot utworów jest sam w sobie tak uroczo kapryśny. Za to jego obsesja na punkcie tykających zegarów i upływającego czasu wydawała się Saffy gotową receptą na depresję, a człowiek może się bez niej w życiu obyć.

Zdanie Juniper na ten temat było niejasne, co Saffy wcale nie zaskoczyło. Często sobie myślała, że gdyby jej siostra była bohaterką książki, wizerunek takiej postaci można by zilustrować tylko poprzez stosunek innych ludzi, albowiem jej poglądów nie dałoby się wprowadzić do utworu bez ryzyka zamiany ambiwalencji na prawdy absolutne. Nieocnione dla autora byłyby takie słowa jak „rozbrajająca”, „eteryczna” czy „urzekająca” obok „żywiolowa” i „lekkomyślna”, a nawet w rzadkich sytuacjach – chociaż Saffy zdawała sobie sprawę, że nie wolno jej tego wypowiedzieć na głos – „gwałtowna”. To by była Juniper. Kot *au contraire* w rękach T.S. Eliota. Uśmiechnęła się zadowolona z tej refleksji i otrzepała kolana z kurzu. Juniper naprawdę miała w sobie coś kociego: szeroko rozstawione, bystre oczy, patrzące w skupieniu, lekki chód, niewrażliwość na ludzki podziw, którego wcale nie pragnęła.

Brodząc w morzu papierów w kierunku drugiego okna, wybrała okrężną drogę, aby przejść obok szafy, gdzie wisiała sukienka. Gdy tylko Percy wyszła rano z domu, Saffy wyjęła suknię z ukrycia, gdzie ją przerabiała, przerzuciła ją sobie przez ręce jak śpiącą królową z bajki i przyniosła na górę. Wygięła wieszak, aby jedwab mógł spływać po zewnętrznej stronie drzwiczek szafy. Suknia musi być pierwszą rzeczą, którą Juniper zobaczy po wejściu do pokoju.

Historia sukni mogła posłużyć za doskonały przykład, jak nie obliczalna

potrafiła być jej młodsza siostra. List od Juniper z Londynu tak zakończył Saffy, że gdyby wielokrotnie na własne oczy nie widziała jej nagłych i nieoczekiwanych wolt, uznałaby go za żart. Gdyby przyszło jej postawić pieniądze na jedyną pewną rzecz w charakterze Juniper, byłoby nią to, że dziewczyna w najmniejszym stopniu nie dba o stroje. Przez całe dzieciństwo chodziła w prostej, muślinowej sukience i boso. Miała niewytłumaczalny dar zamieniania każdej nowej, nawet najbardziej wymyślnej kreacji w bezkształtny worek i wystarczały jej na to dwie godziny noszenia. Wbrew nadziejom Saffy ze skłonności tej bynajmniej nie wyrosła. Podczas gdy wszystkie inne siedemnastolatki marzyły o debiucie na londyńskich salonach, Juniper nigdy nie wspomniała o tym nawet słowem, a kiedy Saffy choćby napomknęła o takiej możliwości, została obdarzona tak miażdżącym spojrzeniem, że biedaczka czuła je na sobie przez kilka tygodni. I dobrze się złożyło, bo tata nie zgodziłby się na to pod żadnym pozorem. June była jego „zamkowym duszkiem”, jak zwykł mawiać, po cóż miałyby go opuszczać? I czego właściwie takie dziewczę jak ona mogło szukać na debiutanckich balach w Londynie?

Tak więc pospieszne postscriptum w liście Juniper z pytaniem, czy Saffy mogłaby naprędce sprawić dla niej jakąś sukienkę, która nadawałaby się na tańce – może zachowała się na przykład jakaś kreacja mamy, coś, co nosiła w Londynie przed śmiercią; może dałoby się ją przerobić? – wprawiło ją w kompletne osłupienie. Juniper skierowała ten list wyłącznie do Saffy i choć bliźniaczki zwykle działały wspólnie we wszystkich sprawach dotyczących młodszej siostry, tym razem Saffy zajęła się prośbą Juniper w tajemnicy. Po długim namyśle doszła do wniosku, że miejskie życie musiało odmienić młodą dziewczynę i zastanawiała się, czy po wojnie Juniper zechce przeprowadzić się do Londynu na stałe, zamieszkać z dala od Milderhurst, wbrew temu, co o tym myślał tata.

Saffy spełniła prośbę Juniper z przyjemnością. Singer 201K był obok maszyny do pisania jej największą chlubą i radością, bez najmniejszych wątpliwości to najlepszy model, jaki kiedykolwiek wyprodukowano, i choć od wybuchu wojny szła bardzo dużo rzeczy, wszystkie były praktyczne. Myśl, że będzie mogła na jakiś czas odłożyć na bok sterty koców i szpitalnych piżam, a zając się elegancką suknią, zwłaszcza tą, którą

opisała w liście Juniper, przyprawiła ją o dreszcz emocji. Domyśliła się od razu, jaką kreację jej siostra miała na myśli, zachwyciła się nią owego niezapomnianego wieczoru w 1924, kiedy jej macocha jechała do Londynu na premierę sztuki taty. Od tamtej pory suknia leżała w archiwum, jedynym hermetycznym pomieszczeniu w zamku, gdzie nie mogły jej dopaść mole i wilgoć.

Saffy pogładziła palcami jedwabną spódnicę. Miała taki piękny kolor: lśniący, blad różowy, jak spodnia powierzchnia kapeluszy grzybów, które rosły koło młyna. Przy pobieżnym spojrzeniu można by go uznać za kremowy, dopiero po bliższych oględzinach ujawniał swój subtelny odcień. Pracowała nad przeróbkami przez kilka tygodni, zawsze potajemnie, lecz efekt wart był włożonego wysiłku. Uniosła rąbek, zlustrowała staranne wykończenie, po czym zadowolona wygładziła fałdy. Cofnęła się, aby lepiej ogarnąć wzrokiem efekt końcowy. Tak, suknia była wspaniała. Miesiąc temu Saffy wzięła do rąk piękną, lecz niemodną już kreację, a następnie, uzbrojona w ulubione numery „Vogue'a”, przeobraziła ją w prawdziwe dzieło sztuki, a jeśli brzmiało to nieskromnie, to i dobrze. Miała świadomość, że może to być ostatnia okazja, aby podziwiać tę suknię w pełnej krasie (pamiętała o smutnej prawdzie, że gdy Juniper raz włoży na siebie ubranie, trudno przewidzieć, jaki fatalny los je czeka), nie zamierzała tracić tych cennych minut na sztywny gorset fałszywej skromności.

Obejrzawszy się za siebie, chociaż dobrze wiedziała, że jest sama, zdjęła suknię z wieszaka i przez chwilę wczuwała się w jej ciężar. Najlepsze stroje zawsze swoje ważą. Wsunęła palce w oba ramiączka i podniosła je przed sobą do góry, a potem, przygryzając dolną wargę i przechylając głowę na bok – nigdy nie udało jej się pozbyć tej maniery z dzieciństwa – przejrzała się w lustrze. Z daleka, w przyćmionym świetle, prawie nie widać było upływu czasu. Kiedy zmrużyła lekko oczy, uśmiechnęła się szerzej, mogła mieć znów dziewiętnaście lat i stać u boku macochy na teatralnej premierze w Londynie, zazdrościć jej jasnoróżowej sukni i obiecywać sobie, że pewnego dnia ona również będzie nosić takie wspaniałe stroje, może nawet na własnym ślubie.

Odwieszając suknię na miejsce, potrąciła rzuconą na podłogę szklaniczkę ze ślubnego kompletu, który rodzice dostali w prezencie

ślubnym od Asquithów. Westchnęła, bałaganiarstwo Juniper naprawdę nie znało granic. Saffy nie potrafiła przejść spokojnie obok poniewierającej się szklanki. Schyliła się, aby ją podnieść, i właśnie zaczęła się prostować, kiedy pod starą gazetą zauważyła porcelanową filiżankę z Limoges. Zanim się obejrzała, naruszyła wszystkie swoje złote zasady i na czworakach sprzątała śmieci z podłogi. Sterta naczyń stołowych, które zebrała w ciągu minuty, nie spowodowała najmniejszego uszczerbku w śmietniku zalegającym na podłodze, w zwałach papieru i zapisek.

Bałagan, niemożność zaprowadzenia tu jakiegoś ładu sprawiała Saffy prawie fizyczny ból. Chociaż bowiem obie z Juniper były pisarkami, ich metody skrajnie się różniły. Saffy codziennie wygospodarowywała kilka drogocennych godzin, zaszywała się w zaciszu gabinetu ze swoim notesem, wiecznym piórem, które dostała od taty na szesnaste urodziny, i filiżanką świeżo zaparzonej mocnej herbaty. Tak zaopatrzona starannie i powoli tknęła słowa, układała je w najpiękniejsze ciągi, komponowała i przepisywała, redagowała i udoskonalała, potem czytała na głos, rozkoszując się historią swej heroiny Adeleine. Dopiero kiedy była całkowicie zadowolona z efektu, zasiadała do maszyny i spisywała nowy ustęp.

Juniper dla odmiany sprawiała wrażenie osoby, która pisaniem próbuje się wyzwolić z pęt. Pisała zawsze i wszędzie, ilekroć spłynęło na nią natchnienie, w biegu, rozrzucając wokół siebie skrawki wierszy, fragmenty impresji, oderwane frazy o wyjątkowej sile wyrazu. Wszystko to zaśmiecało zamek, porozrzucone jak okruszki chleba prowadzące do pokoju z piernika na poddaszu. Saffy znajdowała je podczas sprzątania: zapisane kartki zaścielające podłogę, ukryte za sofami, pod dywanem; poddawała się wyczarowanym wizjom rzymskich okrętów z podniesionymi żaglami, wydętymi przez wiatr. Na pokładzie padają komendy, podczas gdy pod pokładem ukrywają się kochankowie drżący ze strachu przed pojmaniem... i nagle historia się urywa – ofiara kapryśnej, zmiennej wyobraźni Juniper.

Innym znów razem zaczynała i kończyła swoje opowieści w szaleńczych zrywach – niczym atakach manii, myślała czasem Saffy, choć w rodzinie Blythe'ów nie używało się tego słowa pochopnie, a już na pewno nie w stosunku do Juniper. W takich okresach najmłodsza siostra nie

pojawiła się przy stole, przez szczeliny w podłodze pokoiku na poddaszu sączyło się światło, gorący pasek przeświecał przez szparę pod drzwiami. Tata nie pozwalał jej przeszkadzać, mówiąc, że potrzeby ciała są drugorzędne wobec wymagań geniuszu, lecz Saffy zawsze po kryjomu wsuwała talerz do środka, kiedy nie patrzył. Ale jedzenie i tak pozostawało nietknięte. Juniper po prostu siedziała i gryzmoliła całą noc. Były to nagłe ataki, palące jak tropikalna gorączka i krótkotrwałe, tak że nazajutrz powracał spokój. Schodziła z poddasza zmęczona, oszołomiona i wyczerpana. Demon został odpędzony i zapomniany, a ona, ziewając, wylegiwała się jak kotka.

To najbardziej dziwiło Saffy, która skrupulatnie przechowywała swoje prace dla potomności, zarówno szkice, jak i ukończone utwory w identycznych, zamkniętych pudełkach w zamkowym archiwum. Pisała je właśnie dla rozkoszy, jaką dawał widok oprawionej książki z własnym nazwiskiem, którą można wsunąć czytelnikowi w ręce. Juniper nie interesowało zupełnie, czy ktoś będzie czytał jej utwory, czy nie. Nikomu ich nie pokazywała i nie było w tym fałszywej skromności, po prostu jej na tym nie zależało. Napisane dzieło przestawało ją obchodzić. Percy była skonsternowana, kiedy się o tym dowiedziała, ale tego można się było spodziewać. Biedna Percy, nigdy nie miała artystycznej duszy...

No proszę! Saffy znieruchomiła na czworakach, czegóż innego można by się spodziewać pod podszyciem papierów, jak nie babcinej srebrnej łyżki do nakładania potraw! Tej samej, której szukała przez pół dnia. Usiadła w kucki, przycisnęła ręce do kolan i próbowała wyprostować plecy. Pomyśleć, że przez cały czas, kiedy ona i Percy wywracały szuflady do góry dnem, łyżka tkwiła pod gruzami pokoju Juniper. Właśnie zamierzała ją wyciągnąć – na trzonku widniała dziwna plama, której trzeba się będzie pozbyć – kiedy zauważyła, że przedmiot służył za zakładkę. Kolejne zapiski Juniper, lecz tym razem dużo starsze. Oczy Saffy, wyćwiczone na łakomym pochłanianiu książek, zadziały szybciej niż jej dobre wychowanie i w ułamku sekundy potrzebnym, aby mrugnąć powieką, zauważyła, że porzuconą książką był dziennik z ostatnim wpisem z maja 1941 roku, czyli tuż przed wyjazdem Juniper do Londynu.

To rzecz nie do pomyślenia, by czytać cudzy pamiętnik, i Saffy

czułaby się zażenowana, gdyby ktoś naruszył w ten sposób jej własną prywatność, ale Juniper nigdy się nie przejmowała etykietą i w jakiś sposób, który Saffy rozumiała, choć nie umiała go wyrazić słowami, fakt ten usprawiedliwiał rzut oka na jej notatki. Wszak nawyk pozostawiania swoich prywatnych zapisek poniewierających się na prawo i lewo był jawnym zaproszeniem dla starszej siostry zastępującej jej matkę, choćby po to, aby się upewnić, że wszystko jest w porządku. Juniper miała prawie dziewiętnaście lat, lecz to o niczym nie świadczyło. Nie była tak odpowiedzialna jak większość dorosłych. Jak inaczej Saffy i Percy mają pełnić rolę jej opiekunek, jeśli nie poznając jej sprawy? Niania nie wahałaby się ani minuty przed skontrolowaniem każdego listu i pamiętnika swych podopiecznych, jaki wpadłby jej w ręce, dlatego bliźniaczki zadawały sobie mnóstwo trudu, aby regularnie zmieniać kryjówki. Skoro Juniper nie zwracała sobie tym głowy, to znaczy, że nie przeszkadzała jej macierzyńska ingerencja siostr w jej sprawy. Dziennik leżał otwarty na całkiem niedawnym wpisie... Przecież byłoby nieczułe, gdyby Saffy choć nie rzuciła okiem...

5.

Przed domem stał drugi rower, oparty o schody, gdzie Percy zostawiła swój, ilekroć była zbyt zmęczona lub zaganiana, żeby odstawić go do stajni, co zdarzało się dosyć często. Dziwne, Saffy nie wspominała, że mogą się spodziewać innych gości poza Juniper i jej towarzyszem Thomasem Cavillem, którzy mieli przyjechać autobusem, a nie rowerami.

Weszła na schody i zaczęła szukać w torbie klucza. Od wybuchu wojny Saffy nalegała, aby zawsze zamykać drzwi, przekonana, że Milderhurst widnieje na mapach inwazji Hitlera obwiedziony czerwonym kółeczkiem, a siostry Blythe na imiennej liście osób, które należy niezwłocznie aresztować. Percy to nie przeszkadzało, tylko klucz do drzwi frontowych miał niewytłumaczalną skłonność do chowania się przed jej wzrokiem.

W stawie pluskały się kaczki, w półmroku drżała ciemna ściana lasu Cardarker, grzmoty pomrukiwały coraz bliżej, czas rozciągał się jak guma. Miała już skapitulować i zacząć łomotać do drzwi, kiedy w wejściu stanęła Lucy Middleton ze słabą lampką rowerową w ręku.

– O Boże! – Ich dawna gospodyni przycisnęła rękę do piersi. – Ależ mnie pani wystraszyła.

Percy otworzyła usta, lecz ponieważ żadne słowa nie przychodziły jej do głowy, zamknęła je z powrotem. Przestała grzebać w torbie i zawiesiła ją na ramieniu. I nadal brakowało jej słów.

– Ja... ja pomagałam w domu. – Lucy poczerwieniała na twarzy. – Panna Saffy do mnie zadzwoniła. Nie mogła znaleźć nikogo do pomocy.

Percy odchrząknęła i natychmiast tego pożałowała. Chrypięcie, które wydobyło się jej z gardła, zdradzało jej zdenerwowanie, a Lucy Middleton była ostatnią osobą, przed którą miała ochotę przyznać się do kłopotania.

- Zatem wszystko przygotowane na dzisiejszy wieczór?
- Królik się piecze, zostawiłam pannie Saffy wskazówki.
- Rozumiem.
- Kolacja gotuje się powoli. Jeśli coś kipi, to tylko panna Saffy.

To był żart, i to całkiem udany, lecz Percy zbyt długo zwlekała, żeby się roześmiać. Znow szukała słów, lecz miała ich zbyt dużo i zbyt mało zarazem, więc Lucy Middleton musiała się wreszcie zorientować, że niczego więcej nie usłyszy, bo ominęła niezręcznie Percy i podeszła do swego roweru.

Nie, ona już nie nazywała się Middleton. Lucy Rogers. Ponad rok minął, odkąd ona i Harry się pobrali. Prawie osiemnaście miesięcy.

- Do widzenia, panno Blythe.

Wsiadła na rower.

– Twój mąż... – powiedziała Percy szybko i od razu tego pożałowała – ma się dobrze?

Lucy nie spojrzała jej w oczy.

- Tak.
- I ty też, naturalnie?
- Tak.
- A maluch?

Odpowiedź nadeszła niemal szeptem.

- Też.

Stała skulona jak dziecko, które spodziewa się, że zaraz zostanie złajane lub jeszcze gorzej – zbite, i Percy ogarnęła nagle gorąca chęć spełnienia tych oczekiwań. Oczywiście niczego takiego nie uczyniła, przybrała zamiast tego niedbały ton, mniej zdesperowany niż poprzednio, prawie beztroski, i powiedziała:

- Możesz wspomnieć mężowi, że zegar w holu w dalszym ciągu się spieszy. Każdą godzinę wybija dziesięć minut wcześniej, niż powinien.
- Dobrze, proszę pani.

– Chyba mi się nie wydawało, że miał do tego starego zegara szczególny sentyment?

Lucy nadal nie spojrzała jej w oczy, wymamrotała coś niezrozumiale w odpowiedzi, po czym wsiadła na rower i odepchnąwszy się od ziemi, wjechała na podjazd. Tylko lampka rowerowa pozostawiała za sobą rozdraganą poświatę.

✠

Kiedy budynek zadrżał od trzaśnięcia drzwiami frontowymi, Saffy czym prędzej zamknęła dziennik. Krew pulsowała jej w skroniach, w policzkach, w piersi. Serce waliło jej szybko jak małemu ptaszęciu. Podniosła się z podłogi i stanęła niepewnie na nogach. Wyjaśniły się wszystkie tajemnice dzisiejszego wieczoru: przeróbka sukni, młody gość. Żaden rycerski nieznajomy. O nie, wcale nie nieznajomy.

– Saffy? – głos Percy przedarł się gniewnie przez kondygnacje podłóg i sufitów.

Przyłożyła dłoń do czoła, przygotowując się na zadanie, które ją czeka. Wiedziała, co musi zrobić: ubrać się, zejść na dół i ocenić, ile pracy będzie wymagało obłaskawienie Percy, a potem uczynić wszystko, co w jej mocy, aby wieczór wypadł jak najlepiej. A zegar szafkowy właśnie wybił szóstą, więc musi się spieszyć. Juniper i jej przyjaciel, którego nazwisko pamiętała dokładnie i nie miała wątpliwości, że był młodzieńcem z dziennika, przyjadą za godzinę; impet, z jakim Percy trzasnęła drzwiami wejściowymi, wskazywał, że jest w bardzo złym humorze, a ona wygląda, jakby przez cały dzień przekopywała ogródek.

Zapomniawszy do reszty o odnalezionych porcelanowych skarbach, brodząc w morzu papierów, dotarła do pozostałych okien, aby je zamknąć i zaciągnąć zasłony. Zauważyła ruch na podjeździe. Lucy mijała właśnie na rowerze pierwszy most. Saffy podniosła wzrok. Daleko nad polami chmielu szybował na tle nieba klucz ptaków. Przypomniało jej się powiedzenie: „Wolny jak ptak”, lecz Saffy się z nim nie zgadzała, ptaki nie były wolne, wiązała je siła stadnych zwyczajów, zmiennych, sezonowych potrzeb, biologii, natury. Nie, nie były bardziej wolne niż ludzie, ale znały oszałamiające wrażenie unoszenia się w powietrzu. Wiele by oddała, aby móc rozwinąć skrzydła i wznieść się w powietrze,

choćby teraz, wyfrunąć z okna i poszybować nad polami, nad lasami, śladem samolotów, do Londynu. Raz spróbowała, kiedy była małą dziewczynką. Wyszła przez okno pokoiku na poddaszu, przeszła po kalenicy i stanęła na szczycie wieży. Zrobiła sobie wcześniej skrzydła, wspaniałe, jedwabne płaty przywiązane szpagatem do lekkich, delikatnych patyków, które znalazła w lesie; przyszyła sobie nawet do pleców pętelki z gumy, aby skrzydła się trzymały. Były takie śliczne – nie różowe ani czerwone, lecz cynobrowe, połyskiwały w słońcu jak pióra prawdziwego ptaka i przez kilka sekund po skoku naprawdę leciała. Wiatr uderzał w nią od dołu, smagał od doliny, wyginał ramiona do tyłu, a czas zwolnił biegu i zwalniał coraz bardziej i bardziej. Trwało to krótko, lecz było wspaniałe, przez mgnienie oka rozumiała, że latając, można naprawdę poczuć się jak w niebie. A potem wszystko zaczęło przyspieszać, spadała raptownie i kiedy uderzyła o ziemię, połamała sobie skrzydła i ręce.

– Saffy?! – doszedł ją znowu krzyk z dołu. – Czy ty się przede mną chowasz?

Ptaki znikły daleko na horyzoncie, Saffy zamknęła okno i zasunęła kotary szczelnie, aby nie przedostał się przez nie ani jeden promyk światła. Niebo na dworze pomrukiwało jak pełny żołądek, któremu udało się wyzwolić z ograniczeń racjonowanej żywności. Uśmiechnęła się rozbawiona tym porównaniem i odnotowała w pamięci, żeby koniecznie zapisać je sobie w dzienniku.

✦

W domu panowała cisza, niezwykła cisza. Percy ściągnęła usta, ogarnęła ją znajome wzburzenie. Saffy zawsze się chowała, gdy miała stawić czoło przykłej sytuacji. Przez całe życie Percy toczyła boje za swoją bliźniaczą siostrę. Była w tym dobra i sprawiało jej to satysfakcję, i wszystko szło dobrze, dopóki spór nie wybuchał między nimi. Żałośnie niedoświadczona Saffy nie potrafiła mu sprostać, niezdolna do walki miała tylko dwie możliwości: ucieczkę lub tępe zaprzeczanie. W tym wypadku, sądząc z wymownej ciszy, która przywitała Percy w domu, wybrała to pierwsze. Co było niezwykle frustrujące, ponieważ Percy czuła w piersi wielką kolczastą kulę, która tylko czekała, żeby się z niej

wyrwać. Ponieważ nie miała na kogo zrządzić, kogo złać lub przywołać do porządku, musiała ją w sobie dusić, a wielka kolczasta kula nie należała do dolegliwości, które mijają same z siebie. Whisky mogłaby pomóc, w każdym razie na pewno nie zaszkodzi.

Każdego popołudnia był taki moment, w którym słońce dochodziło do szczególnie niskiego punktu na nieboskłonie i światło w zamku nikło, nagle i radykalnie. Ten właśnie moment minął, kiedy Percy weszła z holu do korytarza, a kiedy stanęła w progu żółtego salonu, prawie nie widziała przed sobą drogi. Każdej innej osobie przejście przez pokój w tych okolicznościach nastęczyłoby pewnych trudności, Percy jednak potrafiłaby się poruszać po zamku nawet z zawiązanymi oczami. Okrążyła sofę, skierowała się do wykuszu okiennego i dopiero zaciągnąwszy zasłony zaciemniające, zapaliła lampkę na stoliku, co jak zawsze tylko w niewielkim stopniu rozproszyło głęboki mrok salonu. Wyciągnęła zapalniczkę, aby podpalić knot w lampie naftowej, lecz stwierdziła z lekkim zdziwieniem, że to ogromnie rozdrażniona, że po spotkaniu z Lucy ręka jej drży tak gwałtownie, że nie może podpalić knota.

Ten moment z właściwym sobie oportunizmem wybrał zegar kominowy, aby zwielokrotnić tykanie. Percy nigdy nie lubiła tego przeklętego czasomierza. Należał do mamy i tata zawsze podkreślał, że jest do niego wyjątkowo przywiązany, co zapewniło mu trwałe i niekwestionowane miejsce w salonie. Jego tykanie miało jednak dziwną właściwość, od której zęby Percy same się zaciskały, sugerującą, że czerpie większą, niż przystało na porcelanowy przedmiot, satysfakcję z lekceważenia upływających sekund. Dzisiejszego popołudnia jej niechęć przerodziła się w czystą nienawiść.

– Zamknij się, cholerny tykaczu! – burknęła.

Zapomniawszy o lampie, cisnęła niezapaloną zapalniczkę do kosza.

Nalała sobie drinka, skręciła papierosa i wyszła na dwór. Zanim rozpada się na dobre, musi sprawdzić, czy wystarczy im narąbanego drewna i czy przy tej okazji nie udałoby jej się pozbyć z piersi kolczastej kuli.

6.

Pomimo burzliwego dnia Saffy wygospodarowała dość miejsca w zaferowanym umyśle na przebieganie w myślach zawartości swojej garderoby, na rozważanie rozmaitych konfiguracji, aby z nadejściem wieczoru nie utknąć w pułapce niezdecydowania i konieczności podejmowania desperackich decyzji. Prawdę mówiąc, była to jedna z jej ulubionych form spędzania wolnego czasu, nawet kiedy nie wydawały uroczystej kolacji. Wyobrażała sobie najpierw jedną suknię w połączeniu z takimi lub innymi butami i naszyjnikami, po czym zaczynała od nowa, z błogą rozkoszą rozpatrując niezliczone kombinacje. Dzisiaj wszystkie zestawy po kolei odrzucała, ponieważ nie spełniały podstawowego, ostatecznego kryterium, od którego powinna była właściwie rozpocząć całą procedurę, lecz to z miejsca radykalnie ograniczyłoby możliwości. Zwyciężyć musiał strój współgrający z jej najlepszymi pończochami, czyli jedyną parą, w której sześć zacerowanych dziur dało się ukryć lub zasłonić starannie dobranymi butami i sukienką odpowiedniej długości i kroju. Rezultat: suknia w kolorze miętowym od Liberty'ego.

Znalazłszy się z powrotem w zaciszu swojej czystej i uporządkowanej sypialni, zdejmując fartuch i tocząc boje z bielizną, cieszyła się, że wcześniej podjęła tę trudną decyzję, teraz bowiem nie miała do tego ani głowy, ani czasu. Jakby nie dość absorbujące było rozważanie wszystkich implikacji kryjących się za zapiskami w dzienniku Juniper, na dole szalała rozgniewana Percy. Jak zawsze razem z nią złościł się cały dom: kiedy trzasnęła drzwiami, łomot poniósł się naczyniami krwionośnymi budynku cztery piętra w górę i przeszył Saffy na wskroś. Nawet światła,

choć nigdy nie świeciły zbyt jasno, jakby dostroiliły się do jej nastroju i spochmurniały nadąsane, a w kątach i zakamarkach zamku zbierały się brudne cienie. Wsunęła rękę głęboko w kąt najwyższej szuflady i wyciągnęła swoje najlepsze pończochy. Leżały zawinięte w chusteczkę z talkiem i zapakowane w papier. Rozłożyła je i przejechała delikatnie kciukiem po miejscu ostatniego cerowania.

Problem, tak jak go widziała Saffy, polegał na tym, że Percy zupełnie nie rozumiała subtelności ludzkich uczuć. Wykazywała znacznie więcej wrażliwości na potrzeby murów i posadzek zamku niż jego mieszkańców. W końcu obie z żalem przyjęły wiadomość o odejściu Lucy, a przecież to jej, Saffy, bardziej doskwierała nieobecność gospodyni, kiedy spędzała samotnie całe dni, piorąc i szorując, i usiłując sklecić jakiś posiłek, i przy tym wszystkim miała do towarzystwa tylko Clarę albo niezbyt bystrą Millie. Saffy jednak doskonale rozumiała, że kobieta, która stanie przed wyborem między pracą a sercem, zawsze wybierze serce, tymczasem Percy nie miała ochoty wykazać najmniejszej wyrozumiałości dla zmian zachodzących w ich gospodarstwie. Potraktowała ślub Lucy jako osobistą zniewagę, a nikt tak jak ona nie potrafił chować w sercu urazy. Dlatego właśnie zapiski w dzienniku Juniper, a także to, co mogło z nich wyniknąć, tak bardzo zaniepokoiły Saffy.

Bardzo powoli oglądała pończochy. Nie była naiwna ani staroświecka, czytała *Third Act in Venice*, *Cold Comfort Farm* i *The Thinking Reed* i wiedziała co nieco o seksie. Jednak żadna dotychczasowa lektura nie przygotowała jej na to, co napisała w dzienniku Juniper. Jak zawsze szczerą, podążającą za instynktem, lecz także liryczna i piękna, dosadna i przerażająca. Oczy Saffy, prześlizgując się po stronicach, pochłaniały naraz całe akapity; miała wrażenie, jakby ktoś chlusnął jej w twarz szklanką wody. Nic dziwnego, pomyślała, zważywszy na to, w jakim tempie przebiegała słowa i jaki zamęt wywołały w niej tak sugestywne emocje, nic dziwnego, że nie mogła sobie teraz przypomnieć ani jednej linijki, tylko fragmenty odczuć, niechciane obrazy, sporadyczne zakazane słowa, wstrząs i rozpalone policzki, kiedy je czytała.

Możliwe nawet, że to nie słowa same w sobie tak ją zdumiały, lecz to, do kogo należały. Juniper była nie tylko jej młodszą siostrą, lecz

także osobą, która zawsze wydawała się całkowicie aseksualna; jej płomienny talent, ascetyczne wystrzeganie się wszelkich atrybutów kobiecości, jej rzucająca się w oczy odmienność – wszystko to zdawało się wynosić ją ponad tak przyziemne ludzkie żądze. Co więcej, i może to najbardziej Saffy ubodło, Juniper nigdy jej nie wspomniała, nawet w najbardziej zawołowanej aluzji nie dała jej do zrozumienia, że myśli o romansie.

Czy młody człowiek, którego spodziewały się dzisiaj na kolacji, był jej wybrankiem? Ostatni wpis w dzienniku pochodził sprzed sześciu miesięcy, zanim June wyjechała do Londynu, a jego nazwisko pojawiło się na kartach. Czy to możliwe, żeby Juniper poznała go wcześniej, w Milderhurst? Czy za jej wyjazdem do stolicy kryło się coś więcej, niż sądziły bliźniaczki? A jeśli tak, to czy po tylu miesiącach nadal się kochali? Takie wspaniałe, podniecające wydarzenie w życiu jej młodszej siostry i nie podzieliła się z nią ani słowem! Oczywiście Saffy wiedziała dlaczego. Tata, gdyby żył, byłby wściekły. Nadto często seks kończy się dziećmi, a poglądy taty na temat konfliktu pomiędzy sztuką a wychowywaniem dzieci dla nikogo nie były tajemnicą. Percy jako samozwańcza emisariuszka taty wyznawała te same zasady i Juniper doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Ale żeby nie powiedzieć jej, Saffy? Przecież zawsze były sobie bliskie i pomimo skrytego charakteru Juniper zwykle znajdowały sposób, żeby z sobą porozmawiać. Czemu nie tym razem? Ściągnęła pończochy z ręki z mocnym postanowieniem, że wyjaśni tę sprawę zaraz po przyjeździe Juniper, gdy tylko uda im się znaleźć chwilkę na osobności. Uśmiechnęła się, to nie będzie zwyczajna powitalna kolacja ani dowód wdzięczności, Juniper miała ukochanego.

Zadowolona, że pończochy są w dobrym stanie, powiesiła je na poręczy łóżka i w samej bieliźnie przygotowała się do rozprawy z szafą. Nagle znieruchomiała, obróciła się w jedną stronę i w drugą, spojrzała przez ramię na swoje odbicie z tyłu. Wielki Boże, albo lustro nabawiło się zaburzeń obrazu, albo jej przybyło kilka kilogramów. Doprawdy, powinna złożyć się w ofierze na ołtarzu nauki. Żeby tyć w oczach pomimo żalostnego stanu angielskiej gospodarki! Nie potrafiła się zdecydować, czy był to karygodny brak patriotyzmu, czy też triumfalne zwycięstwo nad hitlerowskimi U-Bootami, może niepretendujące do

Orderu Churchilla za Obronę Piękna Anglii, lecz jednak zwycięstwo. Skrzywiła się do swojego odbicia, wciągnęła brzuch i otworzyła szafę.

Za rzędem brzydkich fartuszków i kardiganów, które wisiały z przodu, kryła się wspaniała kraina żywych, opuszczonych jedwabii. Saffy przyłożyła dłoń do policzków, czuła się, jakby odwiedzała dawno niewidzianych przyjaciół. Garderoba była jej dumą i radością, a każda sukienka członkinią ekskluzywnego klubu. A także pozycją w katalogu jej przeszłości, jak to kiedyś stwierdziła w przypiływie sentymentalizmu: stroje, które nosiła, kiedy debiutowała na salonach w Londynie; jedwabna kreacja na letni bal w Milderhurst, nawet błękitna sukienka uszyta rok później na teatralną premierę taty.

Przesuwała na bok kolejne ubrania, dopóki nie natrafiła na jedwab w kolorze mięty. Przytrzymała pozostałe i lustrowała lśniący, zielonkawy przód, dekolt obszywany koralikami, szarfę ze wstążki, rozkloszowaną spódnicę. Od lat jej nie nosiła, właściwie nie pamiętała nawet, kiedy ostatni raz miała ją na sobie, ale pamiętała, jak Lucy pomagała jej ją naprawiać. To przez Percy, przez jej papierosy i tę niedbałość, z jaką paliła zawsze i wszędzie; każdy delikatny materiał był w niebezpieczeństwie. Lucy udało się ją bardzo ładnie zacerować, trzeba się było bardzo uważnie przyjrzeć stanikowi, żeby znaleźć przypalone miejsce. Tak, nada się idealnie. Musi. Wyjęła suknię z szafy, ułożyła na łóżku i wzięła pończochy.

Największą zagadką w całej tej historii, myślała, rolując palcami pierwszą pończochę i wsuwając do środka stopę, jest to, jak w ogóle Lucy mogła się zakochać w tym zegarmistrzu Harrym. Nijaki, mały człowieczyna, w niczym nieprzypominający romantycznego herosa. Dreptał po korytarzach zgarbiony, ze zwieszonymi ramionami i włosami zawsze zbyt długimi, zbyt rzadkimi i nieporządnymi.

– O Boże, nie!

Zaczepiła palcem o pończochę i zachwiała się. Przez ułamek sekundy mogła jeszcze odzyskać równowagę, lecz naraziłaby na szwank drogocenną garderobę, tak więc szybko poddała się i boleśnie grzmotnęła udem o róg toaletki.

– Ojejku – jęknęła.

Klapnęła na wyścielanym stołeczku i zaczęła gorączkowo oglądać drogocenną siateczkę. Dlaczego, och, dlaczego bardziej nie uważała, czemu nie skupiła się na tym, co robiła? Jeśli te się podrażą tak, że nie da się już ich naprawić, nie będzie miała żadnych nowych pończoch. Kiedy obie z Percy były dorastającymi dziewczynami, miały mnóstwo okazji do obserwowania dorosłych i to, co zauważyły, wprawiło je w zdumienie. Widziały groteskowe zachowanie ludzi w podeszłym wieku, którzy jakby nie zdawali sobie sprawy, że są starzy. Wywoływało to wielką konsternację bliźniaczek, w końcu doszły do wniosku, że nie ma nic bardziej niesmacznego niż starcy nieprzyjmujący do wiadomości swoich ograniczeń. Zawarły umowę, że nie dopuszczą, aby coś takiego przytrafiło się którejś z nich. Kiedy będą stare, odegrają swoje role jak należy.

– Ale skąd będziemy wiedzieć, kiedy to się stanie? – spytała Saffy zakłopotana egzystencjalnym węzłem tkwiącym u sedna problemu. – Może to jedna z tych rzeczy, jak oparzenia słoneczne, że się jej nie czuje, póki nie jest za późno?

Percy zgodziła się, że problem jest zdradliwy i rozmyślając nad nim, ściągnęła usta. Jej pragmatyczna natura wkrótce podsunęła rozwiązanie.

– Musimy sporządzić listę zasad – powiedziała z namysłem. – Spiszemy rzeczy, jakie robią starzy ludzie, i kiedy się zorientujemy, że postępujemy tak samo, wtedy będziemy wiedzieć.

Zebranie zachowań kandydujących do takiej listy nie nastroczało trudności – wystarczyło odwołać się do wieloletnich obserwacji taty i niani. Trudniej było ograniczyć ich liczbę do trzech. Po długich rozważaniach dokonały wyboru trzech nawyków, które nie pozostawiały miejsca na dwuznaczności:

1. Wielokrotne wyrażanie silnej sympatii dla Anglii z czasów królowej Wiktorii.
2. Rozprawianie o swoim zdrowiu w towarzystwie osób niemających żadnego profesjonalnego związku z medycyną.
3. Niepowodzenie podczas prób wkładania bielizny na stojąco.

Saffy jęknęła, przypomniawszy sobie, jak tego ranka, ścieląc łóżko w pokoju gościnnym, zaczęła narzekać do Lucy na bóle w krzyżu. Temat ich rozmowy usprawiedliwiał wprawdzie takie zwierzenia i Saffy była gotowa przymknąć na nie oko, ale to? Przewróciła się, wkładając

pończochy. Prognozy były naprawdę ponure.

■

Percy dotarła już prawie do bocznych drzwi, kiedy Saffy pojawiła się w końcu na schodach, sunąc majestatycznie jak gdyby nigdy nic.

– Dzień dobry, siostrzyczko – powitała ją. – Uratowałaś komuś dzisiaj życie?

Percy wzięła głęboki oddech. Potrzebowała czasu, przestrzeni i solidnej siekiery, którą by mogła coś porąbać, aby rozjaśnić sobie w głowie i wyegzorcyzmować buzujący gniew, inaczej istniały wszelkie szanse, że zacznie nią rzucać.

– Cztery kociaki ze studzienki kanalizacyjnej i garść pudrowych pastylek.

– Och, doskonale, zatem zwycięstwo na całej linii. Cudownie się spisałaś. Napijemy się herbaty?

– Idę narąbać drewna na opał.

– Kochanie – Saffy podeszła bliżej – naprawdę uważam, że nie ma takiej potrzeby.

– Lepiej nie zostawiać takich rzeczy na ostatnią chwilę. Zaraz lunie deszcz.

– Rozumiem – odrzekła Saffy z przesadnym spokojem – ale jestem pewna, że mamy wystarczająco drewna. Dzięki twoim staraniom przez ostatni miesiąc jesteśmy zaopatrzone w opał do połowy lat sześćdziesiątych. Może lepiej pójdz na górę i ubierz się do kolacji... – Urwała, kiedy z jednego końca dachu na drugi przetoczyła się bębniąca fala. – No proszę, deszcz nas uratował!

Są dni, kiedy nawet pogoda bierze przeciwną stronę. Percy wyciągnęła tytoń i zaczęła skręcać papierosa. Nie podnosząc wzroku, zapytała:

– Dlaczego ją tu zaprosiłaś?

– Kogo?

Odpowiedziało jej tylko kamienne spojrzenie.

– Ach, ją. – Saffy wykonała ręką nieokreślony gest. – Matka Clary się rozchorowała. Millie jest nierozgarnięta jak zawsze, a ty ciągle taka okropnie zaganiana. Nie dałabym sobie sama rady. Poza tym nikt nie potrafi tak ugłaskać Agathy jak Lucy.

– Do tej pory świetnie sobie radziłaś.

– Jesteś kochana, że tak mówisz, Percy najdroższa, ale znasz Aggie. Nie zdziwiłabym się, gdyby postanowiła się zbuntować, choćby po to, żeby mi zrobić na złość. Od czasu, kiedy wykipiało mi mleko, chowa do mnie głęboką urazę.

– To zwykła kuchenka, Seraphino.

– No właśnie! Kto by ją podejrzewał o takie kapryśne humory?

Percy widziała, że siostra próbuje nią manipulować. Wystarczyło posłuchać tego lekkiego, afektowanego tonu. Odcięła jej drogę, kiedy już wychodziła na podwórze, a potem zaganiała na górę, gdzie – gotowa była się założyć – czeka już na nią jakaś koszmarnie wymyślna kiecka. Saffy nie ufa, że zachowa się uprzejmie podczas kolacji. Na tę myśl naszła ją ochota wrzasnąć ze wszystkich sił, lecz to by tylko utwierdziło jej siostrę w obawach, więc się powstrzymała. Tłumiąc gniew, zwinęła skręta.

– W każdym razie – ciągnęła Saffy – Lucy była nieoceniona. Ponieważ nie miałyśmy nic przyzwoitego do położenia na ruszt, uznałam, że każda pomoc się przyda.

– Nic na ruszt? – fuknęła Percy. – Kiedy ostatnio zagłądałam do kurnika, tuczyło się tam w najlepsze osiem kandydatek.

Saffy aż dech zaparło.

– Chybabyś tego nie zrobiła?!

– Marzę o kurzych udkach.

Percy z satysfakcją usłyszała drżenie w głosie Saffy, które przeniosło się aż po koniuszek jej palca wskazującego.

– Moje dziewczynki są naszymi małymi żywicielkami, a nie obiadem. Nie pozwolę ci patrzeć na nie jak na chodzące pieczenie. To... to barbarzyństwo.

Percy miała na końcu języka tysiące inwektyw, które chętnie by z siebie wyrzuciła, lecz stojąc w wilgotnym korytarzu, słyszała, jak deszcz bombarduje ziemię za kamiennymi murami zamku i widziała swoją bliźniaczkę przestępującą nerwowo z nogi na nogę w starej, zielonej sukience, która opinała się na niej we wszystkich niewłaściwych miejscach. Dostrzegła przedzę czasu z wszystkimi rozczarowaniami, jakie ze sobą niosła, i wizja ta utworzyła barierę, o którą jej złość i frustracja

grzmotnęły z hukiem i złożyły się w harmonijkę. Była dominującą bliźniaczką, od zawsze, i bez względu na to, jak bardzo ją Saffy rozwścieczyła, kłótnia z siostrą naruszała podstawowe prawa rządzące ich wszechświatem.

– Perce? – Drżący głos uwiązał Saffy w gardle. – Czy mam trzymać straż przy moich dziewczynkach?

– Powinnaś mnie była uprzedzić – rzekła Percy z westchnieniem, wyciągając z kieszeni zapałki. – To wszystko. Powinnaś mi była powiedzieć o Lucy.

– Chciałabym, żebyś puściła już tę całą historię w niepamięć, Perce. Dla własnego dobra. Ludzi spotykają gorsze rzeczy ze strony służących niż odejście z pracy. W końcu nie nakryłyśmy jej na kradzieży sreber.

– Powinnaś mi była powiedzieć – powtórzyła Percy łagodnie, chociaż bolało ją zaciśnięte gardło.

Wyjęła z pudełka zapałkę.

– Jeśli to dla ciebie takie ważne, to więcej jej nie poproszę.

Nie będzie mieć nic przeciwko, odniosłam wrażenie, jakby unikała twojego towarzystwa. Myślę, że ona się ciebie boi.

Trzasnęła złamana zapałka.

– Och, Perce, popatrz tylko, krew ci leci.

– Nieważne.

Wytarła palec o spodnie.

– Nie o ubranie! Krew się bardzo trudno spiera. – Podniosła do góry zgniecione ubranie, które przyniosła z sobą z góry. – Na wypadek gdybyś nie zauważyła, praczka opuściła nas kilka tygodni temu. Sama muszę gotować wodę, szorować i wyżymać.

Percy potarła plamę od krwi i rozsmarowała ją jeszcze bardziej. Saffy westchnęła.

– Zostaw teraz te spodnie, zajmę się nimi później. Idź na górę, kochanie, i doprowadź się do porządku.

– Dobrze.

Percy nadal wpatrywała się ze zdziwieniem w swój palec.

– Włóż jakąś ładną sukienkę, a ja nastawię czajnik. Zróbmy sobie herbatę. Albo jeszcze lepiej, przygotuję nam koktajle, co ty na to?

W końcu mamy co świętować.

Świętowanie to była lekka przesada, lecz z Percy uszła już chęć do kłótni.

– Tak – odrzekła. – Dobry pomysł.

– Kiedy skończysz, przynieś spodnie do kuchni, od razu je namoczę.

Wracając korytarzem, Percy zacisnęła pięść, potem ją rozluźniła i zatrzymała się.

– Byłabym zapomniała – rzekła, wyjmując z torby kopertę zaadresowaną na maszynie. – Przyszedł do ciebie list.

7.

Saffy ukryła się w kredensie, aby przeczytać list. Zorientowała się natychmiast, co zawiera, i kosztowało ją mnóstwo wysiłku, aby nie zdradzić przed Percy podniecenia. Złapała kopertę, ale odczekała chwilę pod schodami, aby się upewnić, że jej siostra nie rozmyśli się w ostatniej chwili i nie pójdzie rąbać drewna na opał. Dopiero kiedy usłyszała, jak drzwi sypialni zamknęły się za Percy, pozwoliła sobie odetchnąć. Straciła już nadzieję, że dostanie odpowiedź, a teraz kiedy przyszła, prawie tego żałowała. Niecierpliwe oczekiwanie, tyrania niewiadomego przerażały jej siły.

Z kuchni na dole weszła szybko do pokoju kredensowego, który kiedyś wypełniała sobą nieustraszona obecność pana Broada, teraz jednak niewiele pozostało tu śladów owych rządów terroru poza biurkiem i drewnianą szafą ze starymi, niemożliwie nudnymi księgami rachunkowymi. Saffy pociągnęła za sznurek i zapaliła żarówkę, po czym pochyliła się nad biurkiem. Kiedy zaczęła otwierać kopertę, miała wrażenie, że wszystkie palce zamieniły jej się w kciuki.

Ponieważ nożyk do papieru leżał na podstawce w jej pokoju na górze, musiała rozdrzeć kopertę palcami. Nie lubiła tego robić, więc starała się otworzyć ją jak najdelikatniej i prawie z przyjemnością przedłużając agonię oczekiwania. Wyjęła ze środka złożoną kartkę, zwróciła uwagę na kosztowny papier z bawełnianego włókna, wytłaczany, w kolorze ciepłej bieli, wzięła głęboki wdech i otworzyła list. Chłonęła jego treść, przebiegając naprędce słowa, a skończywszy, wróciła do początku i zmusiła się, aby przeczytać go powoli jeszcze raz i uwierzyć własnym

oczom. Niewiarygodna, radosna lekkość rozprzestrzeniała się w jej ciele, sięgała aż do koniuszków palców i zamieniała je w gwiazdny pył.

Trafiła na ogłoszenie w „Timesie”, kiedy przeglądała rubryki z mieszkaniem do wynajęcia. *Poszukuję kobiety do towarzystwa dla lady Dartington i jej trojga dzieci, udających się w podróż do Ameryki na okres trwania wojny. Kandydatka powinna być osobą wykształconą, niezamężną, kulturalną oraz mieć doświadczenie w opiece nad dziećmi.*

Zupełnie jakby pisał to ktoś z myślą o niej. Nie miała wprawdzie własnego potomstwa, lecz to nie dlatego, że nie chciała. Swego czasu jej myśli o przyszłości wypełniały głównie dzieci, chyba jak każdej kobiecie? Wyglądało jednak na to, że nie da się ich mieć bez męża, i na tym polegał kłopot. Co do pozostałych wymagań, Saffy była przekonana, że bez fałszywej skromności może uznać się za osobę zarówno wykształconą, jak i kulturalną. Tak więc nie namyślając się wiele, postanowiła ubiegać się o to stanowisko. Ułożyła list motywacyjny, dołączyła dwie wymśnienite referencje i wystosowała zgłoszenie przedstawiające Seraphinę Blythe jako idealną kandydatkę. I czekając, starała się ze wszystkich sił zachować swoje marzenia o Nowym Jorku w tajemnicy. Nauczony się dawno temu nie drażnić Percy bez potrzeby, nie wspominała swojej bliźniaczce o upragnionej podróży i tylko w skrytości ducha oddawała się rozmyśleniom o perspektywach, jakie się przed nią otwierają. Wyobrażała sobie podróż do Ameryki ze wstydliwie fantastycznymi szczegółami: widziała siebie jako drugą Molly Brown, podtrzymującą na duchu dzieci Dartingtonów podczas morskich bitew z niemieckimi U-Bootami...

Najtrudniej będzie powiedzieć o wszystkim Percy. Nie obawiała się, że siostra zabroni jej wyjechać, och nie, na pewno nie spodziewała się po niej tak drastycznych reakcji. Nigdy nie wywierała na nią bezpośredniej presji, szczerze mówiąc, Saffy podejrzewała nawet, że Percy ucieszyłaby się, mając zamek tylko dla siebie. Ale nie chciała nawet myśleć, co by się z nią stało, gdyby została sama: przemierzałyby te puste korytarze, naprawiając mury, rąbiąc drewno, zapomniałyby o myciu, praniu, gotowaniu. Jednak ten list, stanowisko, które jej zaproponowano, były dla niej wielką szansą na przyszłość i nie mogła pozwolić, by sentymentalne

odruchy powstrzymały ją od skorzystania z takiej okazji. Jak Adele w jej powieści postanowiła chwycić życie za gardło i zmusić, aby spojrzęło jej w oczy... Była bardzo dumna z tej frazy.

Po cichu zamknęła za sobą drzwi pokoju kredensowego i w tej samej chwili zauważyła, że z kuchni wydostają się kłęby pary. W całym tym podnieceniu prawie zapomniała o mięsie! Coś podobnego! Będzie miała szczęście, jeśli ciasto nie spali się na popiół.

Włożyła rękawice kuchenne i zajrzała do środka. Odetchnęła z ulgą, stwierdziwszy, że wierzch ciasta zarumienił się, lecz nie zbrązowieł. Przełożyła potrawę na niższą półkę, gdzie temperatura nie była tak wysoka i nie groziła przypaleniem, po czym podniosła się do wyjścia.

Wtedy na stole kuchennym zauważyła brudne spodnie od munduru leżące obok jej fartuszką. Percy musiała je tu przynieść, kiedy Saffy siedziała w pokoju kredensowym. Uff, dobrze, że jej nie znalazła i nie zobaczyła listu.

Strzepnęła spodnie. Zwykle robiła pranie w poniedziałki, ale nie zaszkodzi, jeśli zabrudzone ubranie trochę się pomoczy, dotyczyło to szczególnie mundurów Percy – liczba i różnorodność plam, jakie jej siostra potrafiła nzbierać, mogły wprawić w podziw. Ale Saffy lubiła wyzwania. Wsunęła dłoń do jednej kieszeni, potem do drugiej, szukając zapomnianych drobiazgów, które nie powinny się dostać do prania. I dobrze zrobiła.

Wyciągnęła całą garść papierów – Boże, ile ona tego nzbierała! – i położyła je obok siebie na ławie. Pokręciła głową, straciła już nawet rachubę, ile razy na próżno usiłowała nauczyć Percy, aby opróżniała kieszenie przed oddaniem ubrań do prania.

Dziwne, rozgarniając palcem skrawki papierków, zauważyła jeden ze stemplem pocztowym. Percy musiała podrzeć jakiś list na kawałki. Po co miałyby robić coś takiego? I od kogo pochodziła ta podejrzana korespondencja?

Usłyszała na górze trzaśnięcie. Popatrzyła na sufit. Kroki i znów łomot.

To drzwi frontowe. Przyjechała Juniper! Albo ich gość z Londynu.

Znów spojrzęła na podarty list i przygryzła policzek. Trzeba rozwiłać tę zagadkę, ale nie teraz, teraz nie ma czasu. Musi iść na górę,

żeby przywitać gości, Bóg jeden wie, w jakim stanie jest teraz Percy. Może ten podarty list rzuci nieco światła na tajemnicę ostatnich humorów jej siostry.

Podjąwszy decyzję, skinęła krótko głową i włożyła swój własny tajny list razem ze skrawkami listu Percy pod pokrywkę rondla. Później zbada je dokładnie.

Jeszcze raz zajrzała do królika w cieście, poprawiła sukienkę, aby nie opinała się tak ciasno na brzuchu, i ruszyła na górę.

✠

Może Percy tylko się przywidział ten smród zgnilizny? Ostatnimi czasy często jej się to zdarzało, okazuje się, że od niektórych zapachów, które się raz poczuło, nie sposób się uwolnić. Od pogrzebu taty nie wchodziły do salonu gościnnego i pomimo najlepszych starań Saffy nie udało się pozbyć odoru stęchlizny. Stół ustawiono na środku pokoju, dokładnie na besarabskim, zabytkowym dywanie i nakryto najlepszym serwisem obiadowym po babci. Przy każdym nakryciu leżało wydrukowane menu. Percy wzięła do ręki jedną z kart, przeczytała, że w programie przewidziano gry towarzyskie, i odłożyła ją na miejsce.

Przypomniał jej się pewien dzień podczas pierwszych tygodni nalotów. Przez hitlerowskie myśliwce musieli zostać w Folkestone, gdzie pojechała z tatą do prawnika. Siedziała w schronie. Pamiętała tę wysiloną wesołość, piosenki, obrzydliwy, gryzący smród strachu...

Zamknęła oczy i zobaczyła go. Postać ubrana na czarno. Pojawił się w połowie bombardowania niezauważony. Oparł się o ścianę i do nikogo nie odzywał. Głowa schylona i ukryta głęboko pod ciemnym kapeluszem. Obserwowała go zafascynowana. Stał z boku, z dala od pozostałych. Tylko raz podniósł głowę, tuż przed wyjściem, potem owinął się płaszczem i zniknął w rozplamionej nocy. Ich oczy spotkały się przelotnie i nie zobaczyła w nich nic, ani współczucia, ani strachu, ani rozpacz, tylko zimną pustkę. Zrozumiała, że to Śmierć. Wiele od tego czasu o nim myślała. Kiedy była na służbie, wdrapując się do kraterów po bombach, wyciągając z nich zwłoki, przypominał jej się upiorny, niezemski spokój, jaki go spowijał, kiedy wychodził ze schronu w piekło nalotów. Wkrótce po tym spotkaniu zgłosiła się do pracy w ambulansach, ale to nie odwaga nią kierowała, bynajmniej. Po prostu łatwiej

zmierzyć się ze śmiercią na płonącej powierzchni, niż czekać w pułapce pod drzącą, jęczącą ziemią w towarzystwie rozpaczliwej wesołkowatości i bezradnego strachu...

Na dnie karafki znalazła może cal bursztynowego płynu. Zastanawiała się z roztargnieniem, jak długo tu stoi. Na pewno kilka lat... Ostatnio korzystali z butelek w żółtym salonie, ale to nie miało znaczenia, alkohol z czasem staje się lepszy. Obejrzała się przez ramię, naląła sobie trochę do szklaneczki, a po namyśle podwoiła porcję. Włożyła z brzękiem korek i upiła dwa długie łyki. Poczowała w piersi miłe pieczenie. Było żywe i prawdziwe, stała, wczuwając się w jego namacalność.

Usłyszała kroki. Na obcasach. Dalekie stukanie po kamiennej posadzce zbliżało się w jej kierunku. Saffy.

Wielomiesięczny niepokój zaciskał się w trzewiach Percy jak ołowiany ciężarek. Musi wziąć się w garść. Niczego nie zyska, psując siostrze wieczór, biedaczka ma tak niewiele okazji do podejmowania gości, których tak zawsze uwielbiała. Percy aż się w głowie zakręciło na myśl, z jaką łatwością mogłaby to uczynić. Z podobnym uczuciem człowiek stojący na skraju przepaści wie, że nie powinien skoczyć, lecz ogarnia go dziwny, przemożny przymus, szepczący do ucha, aby to właśnie zrobić.

Boże, czy naprawdę jest z nią aż tak źle? Czyżby w głębi duszy była aż tak zepsuta? Jak mogła choć przez ułamek sekundy myśleć o pozbawieniu swojej ukochanej, swojej niemiłosiernie irytującej bliźniaczki tej odrobiny szczęścia? Czy zawsze była taka podła? Westchnęła. Toczyła ją choroba, i to od dawna. Przez całe życie im bardziej Saffy zachwycała się jakąś osobą, przedmiotem lub pomysłem, tym więcej niechęci wykazywała w stosunku do niego Percy. Zupełnie jakby były jedną istotą rozszczepioną na dwoje ze wspólnym limitem emocji do dyspozycji. A Percy z jakiegoś powodu wyznaczyła sobie na strażniczkę tej równowagi: kiedy Saffy cierpiała, ona wpadała w stan bezmyślnej wesołości; kiedy się do czegoś zapalała, Percy przechodziła samą siebie, aby zgasić jej entuzjazm sarkazmem. Boże, jakaż jest beznadziejna...

Saffy przygotowała gramofon. Rozłożyła go, wyczyściła i ułożyła obok stos płyt. Percy wzięła do ręki nowy album przysłany przez Juniper z Londynu, Bóg jeden wie, gdzie i jak zdobyty; najwyraźniej ich siostra miała swoje sposoby. Muzyka na pewno pomoże. Percy opuściła igłę i

pokój wypełniła piosenka Billie Holiday. Odetchnęła. Tak lepiej : współczesna melodia pozbawiona wspomnień. Wiele lat temu podczas jednego z wieczorów rodzinnych Blythe'ów tata zadał jako temat ich konkursu literackiego słowo kluczowe „nostalgia”. Przeczytał definicję: „Tęsknota za domem, krajem ojczystym i przeszłością”, a Percy pomyślała wtedy z całą nieopierzoną arogancją młodości, co to za dziwaczny pomysł. Nie mogła zrozumieć, czemu ktoś mógłby chcieć mieszkać w przeszłości, skoro to przyszłość skrywa wszelkie tajemnice.

Opróżniła szklaneczkę i przechyliła ją bezmyślnie, obserwując, jak krople płynu scalają się w jeden byt. Zdawała sobie sprawę, że to przez spotkanie z Lucy jest taka roztrzęsiona, lecz ponury nastrój rozprzestrzenił się na wszystkie wydarzenia tego dnia i Percy znów powędrowała myślami do spotkania z panią Potts i jej sugestii, jakoby Juniper wychodziła za męża. Plotki towarzyszyły najmłodszej pannie Blythe na każdym kroku, lecz Percy wiedziała, że gdzie kiełkują pogłoski, tam zwykle tkwi ziarno prawdy.

Z pewnością jednak nie tym razem.

Drzwi za jej plecami jęknęły i chłodniejszy powiew wkraść się do salonu z korytarza.

– Gdzie ona jest? – spytała jej siostra bez tchu. – Słyszałam drzwi.

Percy w zamyśleniu postukała o krawędź szklanki.

– Poszła na górę? – zniżyła głos do szeptu Saffy. – A może to on? Jak wygląda? Gdzie teraz jest?

Percy się wyprostowała. Jeśli oczekuje od siostry jakiegokolwiek współpracy, musi jej okazać swoje *szczerę mea culpa*.

– Jeszcze nie przyjechali – odrzekła, odwracając się do bliźniaczki i uśmiechając się, miała nadzieję, że prostopolnijnie.

– Spóźniają się.

– Tylko trochę.

Saffy patrzyła na nią zdenerwowana, tak samo jak w dzieciństwie, gdy miały odegrać sztukę dla przyjaciół taty, lecz nikt jeszcze nie przybył, aby zapełnić miejsca na widowni.

– Jesteś pewna? Przysięgłabym, że słyszałam drzwi...

– Zajrzyj pod krzesła, jeśli masz ochotę – odparła Percy beztrąsko.

– Słyszałaś okiennicę – to mówiąc, wskazała głową klucz francuski leżący na parapecie. – Obluzowała się w czasie burzy, ale już ją naprawiłam.

Saffy wytrzeszczyła oczy na mokre plamy na sukience Percy.

– Perce, to uroczysta kolacja. Juniper...

– Juniper nie zwróci uwagi na moje poplamione ubranie, nawet go nie zauważy – dokończyła Percy. – Daj spokój, zapomnij o tym. Ty wyglądasz doskonale za nas oboje. Usiądź, przygotuję nam drinka. Napijemy się, czekając.

8.

Ponieważ w dalszym ciągu nie zjawiała się ani Juniper, ani jej przyjacieli, Saffy najchętniej pobiegłaby z powrotem do kuchni, aby poskładać podarty list i odkryć sekret Percy, lecz widok bliźniaczki w tak pojedynawczym nastroju był niespodziewanym dobrodziejstwem, którego nie mogła zaprzepaścić. Przynajmniej nie dzisiejszego wieczoru, wszak Juniper i jej specjalny gość mogą się zjawić w każdej chwili. Z tego samego powodu nie powinna się oddalać od drzwi, chciała bowiem wykorzystać pierwszą nadarżającą się okazję i złapać Juniper na osobności.

– Dziękuję – odrzekła, przyjmując szklankę z trunkiem i na znak dobrej woli pociągając spory łyk.

– Więc jak ci minął dzień? – spytała Percy, podchodząc do stolika z gramofonem i przysiadając na krawędzi.

„Coraz to ciekawiejsze i ciekawiejsze” *, jak by powiedziała Alicja. Percy z zasady nie wdawała się w towarzyskie pogawędki. Saffy ukryła się za kolejnym łykiem drinka i uznała, że mądrość nakazuje postępowanie z jak największą ostrożnością. Zatrzepotała dłonią.

* Lewis Carroll, Przygody Alicji w Krainie Czarów, LETTRES, Warszawa 1990, przekł. Robert Stiller.

– Och, dobrze. Tylko, wyobraź sobie, przewróciłam się dzisiaj, wkładając pończochy.

– Nie mów! – Percy parsknęła szczerym śmiechem.

– Naprawdę. Mam nawet siniaka na dowód. Zanim zniknie, zobaczę pewnie wszystkie kolory tęczy. – To mówiąc, Saffy wskazała palcem swoje siedzenie, przechylając się lekko na brzegu szezlongu. – To chyba znaczy, że się starzeję.

– Niemożliwe.
– Naprawdę? – Saffy ożywiła się mimowolnie. – Czemu?
– Ponieważ ja urodziłam się pierwsza i ściśle rzecz biorąc, zawsze będę starsza od ciebie.

– Wiem, ale nie widzę...

– Ponieważ mogę cię zapewnić, że nigdy się nie zachwiałam w czasie ubierania. Nawet podczas nalotów.

– Hmm... – Saffy zmarszczyła z namysłem czoło. – Rozumiem, do czego zmierzasz. Czy to znaczy, że złożymy mój nieszczęśliwy wypadek na karb przypadkowego potknięcia niezwiązanego z wiekiem i starzeniem się?

– Myślę, że nie mamy wyjścia, inaczej możemy tylko napisać sobie epitafium. – Było to kiedyś jedno z ulubionych powiedzeń taty używane w obliczu licznych i różnorodnych przeszkód. Obie się uśmiechnęły. – Przepraszam – ciągnęła Percy. – Za tamto na schodach. – Zapaliła papierosa. – Nie chciałam się kłócić.

– Zrzucimy winę na wojnę, co ty na to? – zaproponowała Saffy, uchylając się przed kłębem dymu szybującym w jej stronę. – Wszyscy tak robią. Powiedz, co słyhać w szerokim świecie?

– Niewiele. Lord Beaverbrook przebąkuje o czołgach dla Rosjan, w mieście nie sposób uświadczyć ryby, córka pani Caraway spodziewa się dziecka.

Saffy wciągnęła łąpczywie powietrze.

– Nie!

– Tak.

– Ależ ona ma... ile? Piętnaście lat?

– Czternaście.

Saffy nachyliła się do siostry.

– Pewnie jakiś żołnierz, co?

– Pilot.

– No proszę, kto by pomyślał. – Pokręciła głową, jakby ogłuszona.
– A z matki taka świętoszka. To okropne.

Nie umknęło uwadze Saffy, że Percy uśmiechnęła się z wyższością, zaciągając się papierosem, jakby podejrzewała siostrę, że czerpie przyjemność z nieszczęścia pani Caraway. Co po trochu było prawdą, ale

to tylko dlatego, że ta kobieta wiecznie zadzierała nosa i krytykowała wszystkich i wszystko, łącznie z tym, co uszyła Saffy.

– No co? – spytała, rumieniając się. – To naprawdę przykre.

– Ale wcale mnie nie dziwi – powiedziała Percy, wydmuchując dym. – Dzisiejsze dziewczęta są takie niemoralne.

– Od czasu, gdy wybuchła wojna, wszystko się zmieniło – przyznała Saffy. – Zauważyłam to, czytając listy do redakcji. – Młode kobiety źle się prowadzą, kiedy mężów nie ma w domu. Mają nieślubne dzieci albo idą do ołtarza z ludźmi, których prawie nie znają.

– Nasza Juniper jest inna.

Saffy przeszedł zimny dreszcz. A więc tu leżał pies pogrzebany. Percy wiedziała o romansie Juniper. To tłumaczyło jej fatalny humor. Zarczyła przynętę, a Saffy dała się złapać na haczyk smakowitej ploteczki. Żenujące.

– Naturalnie – odparła gładko. – Nasza Juniper jest zupełnie inna.

– Naturalnie.

Przez chwilę siedziały naprzeciwko siebie, patrząc sobie w oczy, popijając drinki z identycznymi uśmiechami na identycznych twarzach. Serce Saffy tykało głośniejszym niż ulubiony zegar taty, aż dziw brał, że Percy tego nie słyszała. Nagle zrozumiała, jak się czuje owad złapany w sieć, obserwujący zbliżającego się pająka.

– A jednak – zaczęła Percy, strzepując popiół do kryształowej popielniczki – usłyszałam dzisiaj w mieście ciekawą rzecz.

– Doprawdy?

– Tak.

Percy paliła papierosa, Saffy w skupieniu gryzła się w język, a między nimi cisza rozciągała się niezręcznie. Jakież to było nieznośne i jakie pokrętne: jej własna bliźniaczka próbuje wykorzystać jej słabość do miejscowych plotek, licząc, że uda jej się wyciągnąć od niej skrywane sekrety. Nic z tego, Saffy nie da sobą manipulować. Po co jej jakieś mętne plotki? Zna prawdę, w końcu to ona czytała dziennik Juniper, i nie da się podstępnie nakłonić do zdradzenia jego tajemnic.

Starając się zachować jak najwięcej godności, wstała, poprawiła sukienkę i zaczęła z wielką uwagą przeglądać zastawę stołową, z pedantyczną drobiazgowością poprawiała ułożenie noży i widelców. Udało

jej się nawet zanucić bezmyślnie pod nosem i uśmiechnąć niewinnie, co zawsze jakoś podnosiło ją na duchu, kiedy z mroku wykradało się światło.

Wiadomość, że Juniper ma kochankę, była rzeczywiście zaskakująca i Saffy sprawiło przykrość, że jej mała siostrzyczka zataiła przed nią ten fakt, lecz sam w sobie niczego on nie zmieniał, prawda? A już na pewno nie zmieniał spraw, które Percy uważała za ważne, spraw, które naprawdę się liczyły. Przecież nic złego się nie stanie tylko dlatego, że Saffy zachowa tę informację dla siebie. Juniper ma kochankę, i tyle. Jest młodą kobietą, to naturalne. Przelotny romans. Jak wszystkie inne, niezliczone fascynacje ich najmłodszej siostry, tak i ta zblednie, przeminie i w końcu rozwieje się na wietrze, który przyniesie następną atrakcję.

Na dworze wiatr przybierał na sile i drzewo wiśniowe drapało pazurami w obłuzowane okiennice. Saffy zadrżała, chociaż wcale nie było jej zimno, i lustro nad kominkiem uchwyciło jej odruch. Było to wspaniałe zwierciadło w złoczonej ramie zawieszona wysoko na łańcuchu i nachylone ku dołowi. Kiedy Saffy spojrzała na swoje odbicie, wydało jej się, że gładka powierzchnia szyby spogląda gniewnie z góry na jej skróconą, klockowatą postać jak na zielonego karła, którego trzyma pod kciukiem. Westchnęła nieświadomie. Poczuli się nagle samotna i zmęczona tymi wszystkimi oszustwami i niedopowiedzeniami. Już miała odwrócić wzrok i zająć się na powrót stołem, kiedy na brzegu lustrzanej powierzchni zobaczyła zgarbioną sylwetkę Percy obserwującej z papierosem w dłoni zielonego karła na środku pokoju. I nie tylko obserwowała, lecz lustrowała ją badawczo, szukając wskazówki, dowodu, który by potwierdził to, co już podejrzewała. Pod tym baczny spojrzeniem serce Saffy zaczęło walić jak oszalałe, poczuła nagłą, nieodpartą ochotę, aby się odezwać, aby napełnić pokój rozmową i dźwiękiem. Wzięła szybki oddech i zaczęła:

– Juniper się oczywiście spóźnia, ale uważam, że nie ma w tym nic dziwnego, na pewno pogoda ją zatrzymała albo autobus utknął gdzieś na trasie. Miała wyjechać o piątej czterdzieści pięć i nawet jeśli doliczyć dojazd z miasteczka, powinna już być w domu... Mam nadzieję, że wzięła z sobą parasol, ale wiesz, jaka ona jest, kiedy chodzi o...

– Juniper się zaręczyła – przerwała jej raptownie Percy. – Tak mówią

w mieście. Że jest zaręczona.

Nóż zadźwięczał metalicznie o swojego sąsiada. Saffy rozchyliła usta i zamrugała.

– Słucham, kochanie?

– Juniper się zaręczyła i chce wyjść za mąż.

– Ależ to śmieszne. Oczywiście, że nie. – Saffy była szczerze zdumiona. – Juniper? – Roześmiała się nieco zbyt hałaśliwie. – Wyjść za mąż? Gdzie usłyszałaś coś podobnego?

Percy wydmuchała strumień dymu.

– Kto ci naopowiadał takich bzdur? – nagliła Saffy.

Percy usuwała właśnie z dolnej wargi kawałek tytoniu i przez chwilę nie odpowiadała. Zmarszczyła brwi na płamkę na opuszkach. W końcu strzepnęła popiół do popielniczki.

– To pewnie tylko gadanie. Byłam na poczcie i...

– Ha! – zakrzyknęła Saffy może zbyt triumfalnie. I z ulgą, że plotka przyniesiona przez Percy nie była niczym innym niż bezpodstawnym, wiejskim gadaniem. – Mogłam się tylko domyślić. Ta baba to istna zmoira. Powinniśmy się cieszyć, że nie rozpuściła jeszcze swojego nieopanowanego języka w sprawach tajemnic państwowych.

– Więc w to nie wierzysz? – zapytała Percy drewnianym głosem.

– Oczywiście, że nie.

– Juniper nic ci nie powiedziała?

– Ani słowa. – Saffy podeszła do siostry i dotknęła jej ramienia. – Doprawdy, kochanie, wyobrażasz sobie June jako pannę młodą? Całą w białych koronkach, przysięgającą komuś miłość i posłuszeństwo do końca życia?

Papieros leżał bez życia w popielniczce, a Percy splotła dłonie. Potem uśmiechnęła się lekko, uniosła ramiona, potem znów je opuściła i potrząsnęła głową, aby odegnać tę myśl.

– Masz rację – powiedziała. – Głupie plotki, niu więcej. – Zastanawiałam się tylko...

Nad czym się jednak zastanawiała, pozostawiła domysłom.

Z gramofonu nie wydobywała się już żadna muzyka, lecz igła obracała się bezowocnie po płycie, więc Saffy wydobyła ją z niedoli i ułożyła na widełkach. Zamierzała właśnie wymówić się koniecznością sprawdzenia królika w cieście, kiedy odezwała się Percy.

– Juniper by nam o tym powiedziała, gdyby to była prawda.

Saffy poczuła ciepło na policzkach, przypomniawszy sobie dziennik na poddaszu.

– Saffy?

– Oczywiście – odparła szybko. – Ludzie mówią sobie takie rzeczy, prawda?

– Tak.

– Zwłaszcza siostram.

– Tak.

To była prawda. Potajemny romans to jedno, lecz zaręczyny to zupełnie inna sprawa. Nawet Juniper nie byłaby taka ślepa na uczucia innych, na konsekwencje, które płynęłyby z podjęcia takiej decyzji.

– Mimo to – ciągnęła Percy – powinniśmy z nią porozmawiać. Przypomnieć jej, że tata...

– ...nie żyje – dokończyła łagodnie Saffy. – Taty nie ma, Perce. Każda z nas jest wolna i może robić, co jej się podoba.

Porzucić Milderhurst, rozwinąć żagle, odkrywać przepych i podniecające życie Nowego Jorku i nie oglądać się za siebie.

– Nie! – zaprotestowała Percy tak ostro, że Saffy przestraszyła się w pierwszej chwili, czy nieświadomie nie wypowiedziała swoich myśli na głos. – Nie jesteśmy wolne, nie całkiem. Mamy zobowiązania wobec siebie nawzajem. Juniper to rozumie, wie, że małżeństwo...

– Perce...

– Tak sobie życzył tata. To był jego warunek.

Percy zagłądała jej głęboko w oczy i Saffy zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy od wielu miesięcy ma okazję przyjrzeć się swojej bliźniaczce z bliska. Na jej twarzy pojawiły się nowe bruzdy. Dużo ostatnio paliła i zamartwiała się. Wojna zbierała swoje żniwo. Kobieta, która przed nią siedziała, nie była już młoda. Nie była też stara i Saffy zrozumiała nagle (ale przecież na pewno wiedziała o tym już wcześniej, prawda?), że pomiędzy jednym a drugim rozciąga się niezmiernie duża przestrzeń i obie z Percy ją zamieszkują. Już nie panny, a jeszcze nie staruszki.

– Tata wiedział, co robi.

– Oczywiście, kochanie – odrzekła łagodnie.

Czemu wcześniej tego nie zauważyła? Te wszystkie kobiety w okresie

przejściowym... Przecież nie są niewidzialne. Po prostu zajmują się po cichu swoimi sprawami, tym, co zwykle robią kobiety, kiedy odchodzi młodość, a jeszcze nie nadeszła starość: utrzymują domy w czystości, ocierają łzy z twarzyczek swoich dzieci, cerują mężom skarpety. I nagle zrozumiała, czemu Percy tak się zachowuje, jakby była zazdrosna, że osiemnastoletnia Juniper może pewnego dnia wyjść za mąż, że ma nadal przed sobą całe dorosłe życie. Zrozumiała, czemu właśnie dzisiaj jej siostrę naszły takie sentymentalne myśli. Chociaż powodowała ją troska o Juniper i zaniepokoiły plotki krążące po mieście, najbardziej rozstroiło ją spotkanie z Lucy. Saffy ogarnęła fala przemożnej tkliwości dla jej niezłomnej bliźniaczki, czułości tak silnej, że aż zabrakło jej tchu.

– Nie mieliśmy szczęścia, co, Perce?

Percy podniosła głowę znad papierosa, którego sobie skręcała.

– Co takiego?

– My dwie. Nie mieliśmy szczęścia w sprawach sercowych.

Percy przyjrzała jej się z namysłem.

– Nie sądzę, aby szczęście miało z tym coś wspólnego. To raczej czysta matematyka, nieprawdaż?

Saffy się uśmiechnęła, to właśnie powiedziała im guwernantka, która zastąpiła nianię. Tuż przed wyjazdem do Norwegii, gdzie miała wyjść za mąż za swego owdowiałego kuzyna, zabrała je nad jezioro, co czyniła zwykle, kiedy nie była w nastroju do uczenia, a chciała uniknąć bacznej kontroli pana Broada. Wygrzewając się na słońcu, podniosła głowę i powiedziała tym swoim leniwym, obcym akcentem, z oczami błyszczącymi współczuciem i satysfakcją, że powinny odrzucić wszelkie myśli o zamążpójściu; że ta sama wojna, na której odniósł rany ich ojciec, zabiła ich szanse na małżeństwo. Trzynastoletnie bliźniaczki patrzyły na nią beznamiętnie z wyrazem twarzy, który wyszkoliły do perfekcji, ponieważ wiedziały, że doprowadza on do szału wszystkich dorosłych. Co je to obchodziło? Nie w głowach im wtedy były małżeństwa i konkurenci.

Saffy odrzekła łagodnie:

– No cóż, to jednak godny pożałowania brak szczęścia, że wszyscy nasi przysli mężowie polegli na francuskich polach bitew.

– Tak dużo ich chciałaś mieć?

– Czego?

– Mężów. Powiedziałaś: „Wszyscy nasi przyszli mężowie”. – Percy zapaliła papierosa i machnęła ręką. – Mniejsza o to – dodała, wydmuchując dym.

– Tylko jednego. – Saffy nagle zakręciło się w głowie. – Tylko tego jednego chciałam.

Zapadła nieznośna cisza. Percy uznała, że powinna przynajmniej wyglądać na zakłopotaną. Nie powiedziała jednak nic, ani jednego słowa pocieszenia czy zrozumienia, nie wykonała żadnego życzliwego gestu. Uśpiła czubek papierosa w popielniczce i ruszyła do drzwi.

– Dokąd idziesz?

– Rozboliła mnie głowa.

– Wobec tego lepiej usiądź, przyniosę ci aspirynę.

– Nie. – Percy nie spojrzała jej w oczy. – Sama sobie przyniosę z apteczki. Ruch dobrze mi zrobi.

9.

Percy szła szybko korytarzem, zastanawiając się, jak mogła być tak cholernie głupia. Miała spalić list od Emily natychmiast po powrocie do domu, a to spotkanie z Lucy tak ją wytrąciło z równowagi, że zostawiła podarte strzępy w spodniach, a co gorsza, włożyła je prosto w ręce Saffy. Zbiegła po schodach i wpadła do kuchni wypełnionej kłębamii pary. Ciekawie, kiedy przypomniaby sobie o liście, gdyby Saffy nie uczyniła aluzji do swego dawnego narzeczonego, a obecnego męża Emily? Czy to nie za wcześnie, by żegnać się z pamięcią, na której wszak do tej pory mogła zawsze polegać? Czy już ma wchodzić w konszachty z diabłem, żeby ją odzyskać?

Stała przed stołem jak wryta. Spodni nie było tam, gdzie je położyła. Ścisnęła ją w żołądku, a serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Wtłoczyła je z powrotem pod żebra. Panikowanie nic jej nie pomoże, poza tym to jeszcze nie tragedia. Saffy na pewno nie zdążyła przeczytać listu, inaczej nie byłaby tak spokojna. Gdyby się dowiedziała, że Percy nadal utrzymuje kontakt z ich kuzynką, nie próbowałaby nawet ukrywać wściekłości, a to znaczy, że jeszcze nie wszystko stracone. Trzeba znaleźć spodnie, usunąć dowód i wszystko będzie dobrze.

Pamiętała, że na stole leżała również sukienka, czyli gdzieś tu musi być schowana sterta z brudną bielizną. Czy tak trudno ją znaleźć? Pewnie byłoby łatwiej, gdyby miała chociaż blade pojęcie, jak się robi pranie. Niestety, nigdy nie zwracała uwagi na domowe obowiązki Saffy. Obiecała sobie nadrobić to przeoczenie, gdy tylko odnajdzie list. Zaczęła od koszy pod stołem, grzebała w ściereczkach do naczyń, między blachami do pieczenia, rondlami, wałkami do ciasta, cały czas nasłuchując,

czy nie nadchodzi siostra. Lecz było to mało prawdopodobne. Ponieważ Juniper może przyjechać w każdej chwili, Saffy na pewno nie odstępuje od drzwi frontowych. Percy też chciała tam wrócić jak najszybciej; gdy tylko zjawi się ich siostra, zapyta ją wprost o pogłoski, które rozsiewa pani Potts.

Chociaż bowiem w czasie rozmowy z Saffy wyraziła przekonanie, że June nie ukrywałaby przed nimi tak poważnej sprawy jak zaręczyny, to w rzeczywistości wcale nie była tego taka pewna. To prawda, że ludzie mówią sobie takie rzeczy, lecz Juniper była inna niż wszyscy ludzie – kochana, ale nieobliczalna. I wcale nie chodziło tylko o zaniki pamięci. Mowa była o dziewczynce, która szukała pocieszenia, pocierając odsłoniętą gałkę oczną najróżniejszymi przedmiotami: gładkimi kamieniami, końcówką wałka do ciasta lub ulubionym piórem taty; która odstraszyła legiony opiekunek nieznośną krnąbrnością, która za nic nie chciała się wyrzec tłumów wymyślonych towarzyszy; która zmuszona do noszenia butów wkładała prawy na lewy i nikt nie mógł jej od tego odwieść.

Same w sobie osobliwości te nie budziły niepokoju Percy, w ich rodzinie panowało przekonanie, że każdy wartościowy człowiek ma w sobie przynajmniej szczyptę dziwactwa. Tata miał swoje demony, Saffy napady paniki, sama Percy również nie rościła pretensji do przeciętności. Nie, dziwactwa nie miały tu nic do rzeczy, Percy zależało tylko na tym, aby robić to, co uważała za swój obowiązek: chronić Juniper przed nią samą. Tata wyznaczył jej to zadanie. Juniper jest wyjątkowa, powiedział, wszyscy mamy obowiązek zapewnić jej bezpieczeństwo. I jak dotąd to właśnie robiły. Z wprawą ekspertów nauczyły się rozpoznawać sytuacje, w których te same czynniki, które rozpałały jej talent, groziły wybuchem nieokiełzanego szału. Kiedy tata żył, nie stawiał jej żadnych ograniczeń. To pasja, mówił głosem, który aż lśnił z podziwu, najczystsza, nieokiełznana pasja. Nie omieszkał jednak załatwić sprawy z prawnikami. Percy zdumiała się, kiedy po raz pierwszy usłyszała, co zrobił. Jej pierwszą reakcją był piekący ból zdrady i odwieczna mantra rodzeństwa: „To niesprawiedliwe!”. Wkrótce jednak ochłonęła. Zrozumiała, że tata miał rację, że to, co zadecydował, wyjdzie im wszystkim na dobre. I uwielbiała Juniper, jak wszyscy. Nie było takiej rzeczy, której by nie zrobiła dla swojej ukochanej siostrzyczki.

Z góry doszedł hałas i Percy znieruchomiała, patrząc na sufit. Zamek był pełen odgłosów, trzeba było tylko zrobić w myślach przegląd wszystkich podejrzanych. Na pewno za głośne na dozorców. O, znowu się powtórzył. Kroki, domyśliła się, ale czy się zbliżają? Czy Saffy schodzi na dół? Wstrzymała oddech i na długą chwilę zamarła w bezruchu, dopóki się nie uspokoiła, że dźwięk się oddala.

Podniosła się powoli i rozejrzała po kuchni z rosnącą desperacją. Nigdzie ani śladu brudnych ubrań. W rogu miotły i mopy, przy drzwiach na korytarz kalosze, w zlewie tylko namoczone rondle, a na piecu garnek...

Garnek! Oczywiście. Saffy mówiła o garnkach i szorowaniu, zanim rozmowa zesłała na temat niespieralnych plam. Percy podeszła do pieca, zajrzała pod duży, stalowy kocioł. Trafiła w dziesiątkę. Spodnie, co za ulga.

Z szerokim uśmiechem podniosła ociekający wodą mundur i zaczęła go obmacywać, szukając kieszeni, po czym wsunęła dłoń najpierw w jeden otwór, potem w drugi.

Krew odpłynęła jej z twarzy: kieszenie były puste. List zniknął.

Znowu na górze hałas i odgłos kroków przechadzającej się Saffy. Zakłęła pod nosem i po raz kolejny tego dnia zgromiła się za głupotę. Zaczęła nasłuchiwać, co robi jej siostra.

Kroki się zbliżały. Potem rozległ się kolejny łoskot i kroki zmieniły kierunek. Percy wsłuchiwała się w ich odgłos z natężeniem. Czyżby ktoś był przy drzwiach?

Cisza. Nie słysząc nagłego wołania Saffy, to znaczy, że nikt nie pukał. Jedno bowiem nie ulegało wątpliwości: gdyby przybyli goście, nieobecność Percy przy powitaniu byłaby nie do pomyślenia.

Może to znowu trzasnęły okiennice, w końcu przybiła je tylko lekko kluczem francuskim, żeby się trzymały, bez porządných narzędzi niewiele mogła wskórać, a na dworze szalała wichura. Trzeba je dodać do listy rzeczy do naprawienia jutro.

Wzięła głęboki wdech i zniechęcona wypuściła powietrze. Patrzyła, jak spodnie zanurzają się z powrotem w wodzie. Minęła ósma, Juniper się spóźnia, a list zniknął i szukaj wiatru w polu. Może Saffy wyrzuciła go do śmieci, pomyślała w przyptywie nowej nadziei. W końcu był

podarty, może już spłonął i został z niego tylko popiół w piecu?

Poza przeczesaniem domu gęstym grzebykiem lub zapytaniem Saffy wprost, co się stało z listem – skrzywiła się na samo wyobrażenie tej rozmowy – nie bardzo wiedziała, co jeszcze mogłaby zrobić. Równie dobrze może wrócić na górę i czekać na Juniper.

Powietrze rozdarł tak głośny grzmot, że nawet w głębi domu Percy zadrżała. W ślad za nim rozległ się inny, cichszy i bliższy odgłos, może na zewnątrz, jakby ktoś drapał w mur i walił, szukając drzwi.

Gość Juniper mógł przybyć w każdej chwili.

Niewykluczone, uznała Percy, że ktoś nieznający zamku, kto przyszedł wieczorem w samym środku burzy i ulewy, w dodatku podczas zaciemnienia, trafił do domu od niewłaściwej strony i teraz szuka drzwi frontowych nie tam, gdzie trzeba. Chociaż było to mało prawdopodobne, Percy wiedziała, że skoro ta myśl raz wpadła jej do głowy, musi iść sprawdzić. Nie może przecież pozwolić, żeby biedak się tam błąkał.

Zasznurowała usta, obrzuciła kuchnię jeszcze jednym, ostatnim spojrzeniem: suche produkty na ławie, zmięta ściereczka do naczyń, pokrywa od rondla – nic, co by przypominało stosik podartego papieru, tak więc wyjęła latarkę ze skrzynki z narzędziami, włożyła na sukienkę płaszcz nieprzemakalny i otworzyła tylne drzwi.

✠

Juniper spóźniała się już prawie dwie godziny i Saffy zaczynała się poważnie denerwować. Naturalnie wiedziała, że na pewno pociąg się spóźnił albo autobus złapał gumę, albo trafili na blokadę drogową lub coś innego, równie zwyczajnego, że w taką burzową noc jak ta na pewno nie wypuszczają się wrogie samoloty; niemniej w zdenerwowaniu starszej siostry nie ma miejsca na rozsądek i rozumowanie. Dopóki Juniper nie przejdzie przez drzwi frontowe cała i zdrowa, Saffy nie pozbędzie się strachu.

I jakie wieści, zastanawiała się, przygryzając dolną wargę, przekaże im młodsza siostra, kiedy przestąpi próg? Zapewniając Percy, że Juniper na pewno się nie zaręczyła i nie zamierza wyjść za mąż, Saffy naprawdę w to wierzyła, lecz od czasu, gdy jej bliźniaczka znikła tak niespodziewanie i zostawiła ją w saloniku samą, jej pewność topniała z minuty

na minutę. Wątpliwości wykielkowały, kiedy zażartowała na temat Juniper wystrojonej w białe koronki. Podczas gdy Percy kiwała głową na potwierdzenie, falbaniasty obraz, który stanął Saffy przed oczami, przechodził znaczącą metamorfozę, niczym wizerunek odbity w pomarszczonej wodzie, w inną, znacznie mniej nieprawdopodobną wizję, którą widziała już w wyobraźni wielokrotnie od czasu, gdy zaczęła pracować nad suknią leżącą w pokoiku na poddaszu.

Od tamtej pory elementy układanki szybko trafiały na właściwe miejsca. Z jakiego innego powodu Juniper prosiłaby ją o przerobienie sukienki? Na pewno nie na tak zwyczajną okazję jak kolacja, tylko na ślub. Na swój własny ślub z Thomasem Cavillem, który przyjeżdżał dzisiaj, aby poznać jej rodzinę. Z człowiekiem, o którym niczego dotąd nie wiedziały, a i teraz tylko tyle, ile June napisała im w liście, informując, że zaprosiła go na kolację. Poznali się podczas nalotu, mieli wspólną znajomą, on był nauczycielem i pisarzem. Saffy szperała w pamięci, aby przypomnieć sobie coś więcej, słowa, których użyła Juniper w liście, wyrażenie, które zasugerowało im, że ten mężczyzna w jakiś sposób uratował jej życie. Czyżby wymyśliły sobie ten szczegół? A może była to *licentia poetica* ich siostry, ozdoba mająca na celu upiększenie rzeczywistości i wzbudzenie sympatii siostr dla swojego wybranka?

W dzienniku siostry Saffy znalazła o nim nieco więcej informacji, lecz nie były one utrzymane w stylu biograficznym. Opisywały uczucia, żądze i pragnienia dorosłej kobiety. Kobiety, której nie poznawała, wobec której czuła się onieśmielona, która prowadziła światowe życie. I jeśli jej trudno było się pogodzić z tą przemianą, to obłaskawić Percy będzie o wiele trudniej. Dla niej Juniper na zawsze pozostanie małą siostrzyczką, która przyszła na świat, kiedy one były prawie dorosłe, dziewczynką wymagającą ciągłej opieki i rozpieszczania, którą można pocieszyć i obłaskawić torebką cukierków.

Uśmiechnęła się ze smutną czułością na myśl o swojej wiernej bliźniaczce, która zapewne nawet w tej chwili przygotowuje się do batalii o respektowanie woli ich ojca. Biedna, kochana Percy, inteligentna, odważna i dobra, twardsza od rzemienia, a jednak niezdolna strząsnąć z siebie kajdan niewykonalnych oczekiwań taty. Saffy dawno temu porzuciła próby zadowolenia go.

Zadrżała nagle z zimna i zatarła dłonie. Potem skrzyżowała ręce na piersi z mocnym postanowieniem, że znajdzie w sobie żelazną wolę. Musi być silna dla dobra Juniper. Ponieważ w przeciwieństwie do Percy ona umie zrozumieć siłę romantycznej namiętności...

Drzwi otworzyły się z sykiem i w progu stanęła Percy. Przeciąg zamknął je za nią z trzaskiem.

– Leje jak z cebra. – Wytarła krople wody z koniuszka nosa, z brwi, potrząsnęła mokrymi włosami. – Słyszałam na górze jakieś hałasy. Co to było?

Saffy zamrugnęła speszona i odpowiedziała, jakby recytowała z pamięci:

– To okiennica, myślę, że ją naprawiłam, chociaż oczywiście nie mam wielkiej wprawy w posługiwaniu się narzędziami... Percy, gdzie ty byłaś, na miłość boską?!

Oczy Saffy otworzyły się szeroko z niedowierzania, kiedy przyglądała się mokrej, ubłoconej sukience siostry, jej włosom z... czy to liście się tam wplątały?

– Rozumiem, że ból minął?

– Co takiego?

Percy wzięła ich szklanki i nalewała już whisky przy stoliku z napojami.

– Przestała cię boleć głowa? Znalazłaś aspirynę?

– A, tak, dziękuję.

– Długo cię nie było.

– Naprawdę? – Percy podała jej szklankę z trunkiem. – Możliwe. Zdawało mi się, że słyszałam coś na dworze, pewnie Poe przestraszył się burzy. W pierwszej chwili pomyślałam, że to może błędzi przyjaciel Juniper. Jak on ma na imię?

– Thomas. – Saffy piła trochę whisky. – Thomas Cavill. – Czy jej się przywidziało, czy Percy unikała jej wzroku? – Perce, mam nadzieję...

– Nie martw się, będę dla niego miła. – Zakręciła szklanką. – Jeśli przyjedzie.

– Nie możesz go osądzać z góry tylko dlatego, że się spóźnia.

– Dlaczego nie?

– To wszystko przez wojnę. Nic nie dzieje się na czas. Juniper też jeszcze nie dotarła.

Percy wzięła papierosa, którego przed wyjściem zostawiła na brzegu popielniczki.

- To mnie akurat nie zaskakuje.
- On też w końcu przyjedzie.
- O ile w ogóle istnieje.

Cóż za osobliwa uwaga, Saffy przygryzła mocno wargę skonsternowana, zmartwiona, zastanawiając się, czy Percy sobie z niej żartuje, czy to jeden z jej ironicznych komentarzy, które Saffy zawsze brała dosłownie. Chociaż żołądek podchodził jej do gardła, postanowiła ją zignorować i potraktować jej wypowiedź jako dowcip.

– Mam nadzieję, że tak. Tęby była wielka szkoda, gdyby się okazało, że jest jedynie wytworem jej wyobraźni. Przy stole zapanowałyby karygodna dysharmonia, gdyby zabrakło jednego biesiadnika.

Przysiadła na brzegu szeszlunku, lecz bez względu na to, jak bardzo się starała zachowywać swobodnie, jakaś dziwna nerwowość udzielała jej się od Percy.

– Wyglądasz na zmęczoną – zauważyła Percy.

– Naprawdę? – starała się mówić pogodnie Saffy. – Rzeczywiście miałam męczący dzień. – Może wezmę się do jakiejś pracy, żeby się ożywić. Pójdę do kuchni i...

– Nie!

Szklanka wypadła Saffy z ręki, whisky wylała się na dywan, brązowe kropelki zaczęły wsiąkać w niebiesko-czerwoną powierzchnię.

Percy podniosła szkło.

– Przepraszam. Chciałam tylko powiedzieć...

– Ależ jestem głupia. – Saffy gorączkowała się nad mokrą plamą na sukience. – Głupia, głupia...

Wtedy usłyszały pukanie do drzwi. Wstały jak na komendę.

– Juniper – powiedziała Percy.

Saffy przełknęła ślinę.

– Albo Thomas Cavill.

– Tak, albo Thomas Cavill.

– Tak czy inaczej – zauważyła Saffy z uśmiechem – chyba powinniśmy wpuścić ich do domu.

CZEŚĆ DRUGA

Księga magicznych mokrych zwierząt

1992 r

Nie mogłam przestać myśleć o Thomasie Cavillu i Juniper Blythe. Cóż to była za przejmująca historia. Czułam się z nią w jakiś sposób związana. Wróciłam do Londynu, do swojego życia, lecz jakaś częśćka mnie pozostała w zamku Milderhurst. Tuż przed zaśnięciem lub tuż po obudzeniu, w chwilach gdy śniłam na jawie, dopadały mnie szept. Oczy mi się zamykały i znów stałam w chłodnym, ciemnym korytarzu i czekałam z Juniper na przybycie jej narzeczonego.

– Ona żyje w przeszłości – powiedziała mi pani Bird, kiedy wyjeżdżaliśmy z Milderhurst, a ja obserwowałam w lusterku, jak las rozpościera skrzydła wokół zamku i otacza go ciemnym, opiekuńczym całunem. – Ciągle tego samego wieczoru w październiku czterdziestego pierwszego roku. Przeżywa go ciągle na nowo, jak gramofon, w którym zacięła się igła.

Jakie to smutne: całe życie zrujnowane w ciągu jednego wieczoru. Do głowy tłoczyły mi się pytania. Co czuła, kiedy Thomas Cavill nie zjawił się na kolacji? Czy wszystkie trzy siostry czekały w salonie przygotowanym specjalnie na tę okazję? Kiedy zaczęła się niepokoić? Czy początkowo myślała, że coś mu się stało? Że miał wypadek? Czy też od razu się domyśliła, że została porzucona?

– Poślubił inną kobietę – odrzekła pani Bird, kiedy ją o to spytałam. – Zaręczył się z Juniper, a potem ją zostawił dla innej. Nawet listu nie przysłał, żeby zerwać zaręczyny.

Trzymałam ich historię w dłoniach, obracałam na różne strony, przyglądałam jej się z boku. Wyobrażałam ją sobie, poprawiałam i odtwarzałam znów na nowo. Być może fakt, że zostałam zdradzona w podobny sposób, miał na to jakiś wpływ, lecz moją obsesję – bo przyznaję, że się nią stała – podsycalo coś więcej niż współczucie. Miało szczególnie

związek z ostatnimi chwilami mojego spotkania z Juniper. Gdy wspominałam, że wracam do Londynu, stałam się mimowolnym świadkiem przemiany młodej dziewczyny czekającej z utęsknieniem na ukochanego. Momentalnie zamieniła się w rozgorączkowaną, zdesperowaną sekretnicę, błagała mnie o pomoc i wyrzucała mi, że nie dotrzymałam obietnicy. Najbardziej jednak nie dawał mi spokoju moment, kiedy popatrzyła mi w oczy, oskarżyła, że ją zawiodłam, i nazwała mnie Meredith.

Juniper Blythe była stara i chora, a obie bliźniaczki zadały sobie wiele trudu, aby mnie ostrzec, że ich siostra mówi rzeczy, których nie rozumie. A jednak im więcej o tym myślałam, tym więcej nabierałam przekonania, że moja mama odegrała jakąś rolę w tym, co spotkało Juniper. Tylko przy takim założeniu cała sytuacja nabierała jakiegoś sensu. Tłumaczyło to reakcję mamy na zaginiony list, jej łzy, w których kryło się niekłamane cierpienie, i taki sam płacz, który słyszałam wiele lat temu w drodze powrotnej z Milderhurst, kiedy mama wzięła mnie za rękę, siłą oderwała od bramy i prowadząc z powrotem do samochodu, powiedziała, że popełniła błąd, że już jest za późno.

Na co za późno? Aby coś naprawić, aby zadośćuczynić za wyrządzone zło? Czy to poczucie winy przywiodło ją do zamku, a potem skłoniło do ucieczki sprzed bramy? To by tłumaczyło jej cierpienie. A także wyjaśniało, czemu zachowała całą historię w tajemnicy. Ponieważ to mnie wtedy najbardziej zdziwiło: czemu zrobiła z tego taki sekret, czemu nie chciała o tym nikomu powiedzieć? Nie twierdzę, że miała obowiązek wszystko przede mną wyjawić, lecz w tym przypadku nie mogłam się wyzbyć uczucia, że mnie okłamała, a co więcej, że w jakiś sposób zostałam pokrzywdzona. Coś tkwiło w przeszłości mojej matki, co za wszelką cenę usiłowała przede mną ukryć, lecz to wyraźnie pragnęło wypłynąć na powierzchnię. Jakiś czyn, decyzja, może brzemienna w skutki chwila, kiedy była zaledwie dziewczynką, coś, co rzuciło cien, długi i ciemny, na jej przyszłość, a tym samym również na moją. Musiałam się dowiedzieć, co się stało, nie dlatego że byłam wścibska ani też że tak silnie współczułam Juniper Blythe, lecz ponieważ w jakiś trudny do wytłumaczenia sposób ta tajemnica symbolizowała przepaść, która przez całe życie istniała między mną a mamą.

– Oczywiście, że powinnaś się tego dowiedzieć – zgodził się ze mną Herbert, kiedy mu o tym opowiedziałam.

Spędziliśmy popołudnie, upychając pudła z moimi książkami i innymi przedmiotami gospodarstwa domowego na jego zatłoczonym strychu, i właśnie wyszliśmy na spacer po ogrodach Kensington. Codziennie chodzimy na spacer od czasu, gdy weterynarz zalecił je Jess, mówiąc, że ruch poprawi jej trawienie, co jednak ona traktuje z najwyższą niechęcią.

– No chodź, Jessie – przekonywał ją Herbert, popychając butem uparty zad, który sprawiał wrażenie, jakby wmurował się w beton. – Jesteśmy już prawie przy kaczkach, staruszko.

– Ale jak mam się tego dowiedzieć?

Mogłam oczywiście zapytać o to ciotkę Ritę, ale napięte stosunki między mamą a jej starszą siostrą czyniły tę możliwość moralnie dwuznaczną. Wsunęłam ręce głęboko w kieszenie, jakbym szukała odpowiedzi w podszewce.

– Co mam zrobić? Od czego zacząć?

– No cóż, Edie, – Herbert dał mi smycz Jess, a sam wyciągnął z kieszeni papierosa i zwinął dłonie, aby go zapalić. – Wydaje mi się, że możesz zacząć tylko w jeden sposób.

– Jaki?

Teatralnie wydmuchnął chmurę dymu.

– Wiesz równie dobrze jak ja, kochanie: musisz spytać mamę.

Można wam wybaczyć, jeśli pomyśleliście, że sugestia Herberta była oczywista. Muszę wziąć część winy na siebie, podejrzewam, że zaczynając swoją opowieść od zaginionego listu, przedstawiłam wam zupełnie niewłaściwy obraz mojej rodziny. Gdybyście weszli do naszego domu tamtej niedzieli, moglibyście pomyśleć, że obie z mamą jesteśmy wylewne, lubimy ze sobą gawędzić i często się sobie zwierzamy. Brzmi to bardzo ładnie, ale niestety to nieprawda.

Mogę przywołać ze swojego dzieciństwa całe mnóstwo przykładów na dowód, że nasze stosunki nigdy nie opierały się na rozmowie i zrozumieniu: niewyjaśnione pojawienie się w mojej szufladzie sportowego biustonosza, kiedy skończyłam trzynaście lat; moja całkowita zależność od Sarah we wszystkich sprawach poza najbardziej podstawowymi informacjami o ptaszkach i pszczołkach; duch brata, którego ja i moi rodzice udawaliśmy, że nie zauważamy. Jednak Herbert miał rację: to była tajemnica mojej mamy, więc jeśli chciałam poznać prawdę i dowiedzieć się czegoś więcej o małej dziewczynce, która towarzyszyła mi w wędrówce po zamku Milderhurst, to powinnam zacząć od rozmowy z nią. Szczęście mi dopisało i umówiliśmy się za tydzień na kawę w cukierni za rogiem, niedaleko Billing & Brown. Wysłałam z wydawnictwa o jedenaście, znalazłam stolik w głębi sali i jak zawsze złożyłam zamówienie. Kelnerka przyniosła mi właśnie imbryk z aromatyczną herbatą Darjeeling, kiedy do środka wtargnął uliczny zgiełk i podniósłszy wzrok, zobaczyłam mamę stojącą niepewnie w otwartych drzwiach cukierni z torebką i kapeluszem w ręce. Na jej twarzy malował się wyraz czujności, kiedy rozglądała się po obcym, nowoczesnym lokalu, jakby przygotowywała się do obrony. Odwróciłam wzrok, popatrzyłam na swoje dłonie, na stół, zaczęłam się bawić suwakiem od torebki, robiłam wszystko, byle tego nie widzieć. Często ostatnio zauważałam na jej twarzy to niepewne spojrzenie, nie wiem, czy powodem było to, że ona się starzeje, czy ja, czy może po prostu to świat pędzi na złamanie karku. Przeraziła mnie moja własna reakcja, bo przecież jej słabość powinna wzbudzić we mnie współczucie i czułość, a tymczasem było odwrotnie. Przestraszyłam się, jakbym zobaczyła rozdarcie w materii normalności, które grozi zniszczeniem wszystkiego, co piękne i znajome. Przez całe życie mama była dla mnie wyrocznią, ostoją dobrego wychowania, tak więc widok jej niepewności, zwłaszcza w obliczu czegoś, co ja z reguły przyjmuję bez mrugnięcia okiem, podważał wszystko, na czym opierał się mój świat, i sprawiał, że twardy grunt pod nogami zamienił się w kłęby chmur. Czekałam więc i dopiero po dłuższej chwili podniosłam znowu wzrok, uchwyciłam jej spojrzenie, które odzyskało już pewność siebie, i pomaçałam jej ręką z takim entuzjazmem, jakbym dopiero ją zauważyła.

Lawirowała ostrożnie przez zatłoczoną cukiernię, uważając, aby nie potrącać ludzi torebką; robiła to ostentacyjnie, w sposób, który wyrażał jakąś dezaprobatę dla ustawienia stolików i osób siedzących. Ja tymczasem zaczęłam sprawdzać, czy nikt po jej stronie stolika nie zostawił rozsypanego cukru lub pianki z cappuccino albo okruszków po ciastkach. Nasze spotkania na herbacie były nowym zwyczajem ustanowionym kilka miesięcy temu, kiedy tata przeszedł na emeryturę. Obie czułyśmy się trochę niezręcznie, jeszcze zanim zaczęłam drażnić w jej przeszłości. Uniosłam się lekko z krzesła, kiedy podeszła do stolika, musnęłam ustami powietrze obok jej nadstawionego policzka, po czym obie usiadłyśmy, uśmiechając się z ulgą, że mamy za sobą publiczne powitanie.

- Ciepło na dworze, prawda?
- Bardzo – odparłam.

W ten sposób wjechałyśmy w koleiny wygodnych i dobrze znanych tematów: ostatniej obsesji taty na punkcie porządków domowych (sprzątania pudeł na strychu); mojej pracy (upiornych spotkań na Romney Marsh) oraz plotek z klubu brydżowego mamy. Potem przerwa, w czasie której uśmiechałyśmy się do siebie, obie czekając, aż mama straci parę pod ciężarem rutynowego wypytywania:

- A co u Jamiego?
- Dobrze.
- Czytałam ostatnie recenzje w „Timesie”. Ta nowa sztuka została całkiem dobrze przyjęta.
- Tak.

Ja też je widziałam. Wcale ich nie szukałam, po prostu rzuciły mi się w oczy, kiedy przeglądałam ogłoszenia o wynajmie mieszkań. Były nawet bardzo dobre. Przekłeta gazeta, ciekawych ofert też nie znalazłam.

Mama przerwała, kiedy do stolika przyniesiono cappuccino, które dla niej zamówiłam.

- A co teraz ma w planach? – spytała, kładąc papierową serwetkę między filiżanką a spodeczkiem, żeby wsiąknięto w nią wychłapanie mleko.
- Pracuje nad własnym scenariuszem. Sarah ma znajomego reżysera, który obiecał go przeczytać, kiedy skończy.

Usta mamy ułożyły się w bezgłośnie, cyniczne „o”, zanim zdążyła wyartykułować bardziej sprecyzowany komentarz. Jej słowa utonęły w kawie, kiedy upiła łyk cappuccino. Skrzywiła się na gorzki smak w

ustach i, chwala Bogu, zmieniała temat.

– A jak tam mieszkanie? Tata pytał, czy ten kran w kuchni cały czas wam przecieka. Wpadł na jeszcze jeden pomysł, jak go naprawić.

Wyobraziłam sobie zimne, puste mieszkanie, które po raz ostatni opuściłam dzisiaj rana, wspomnienia zamknięte w stercie brązowych, kartonowych pudeł, w które spakowałam moje dawne życie upchnięte na strychu u Herberta.

– Wszystko w porządku, kran też już działa. Powiedz mu, że nie musi się już tym martwić.

– Na pewno nic nie wymaga naprawy? – W jej głos wkradła się błagalna nuta. – Pomyślałam, że mógłby wpaść do was w sobotę, żeby wam w czymś pomóc.

– Powiedziałam ci, że wszystko działa.

Zdawałam sobie sprawę, że mój szorstki ton ją zdziwił i uraził, ale te niekończące się rozmowy, w których usiłowałam udawać, że wszystko idzie jak po maśle, zaczynały mnie męczyć. Chociaż lubię bujać w świecie książek, nie jestem kłamczucha i wcale sobie dobrze nie radzę, z oszukiwaniem. W normalnych okolicznościach wykorzystałabym tę okazję, aby powiedzieć jej o Jamiem, ale nie mogłam tego zrobić, jeśli chciałam sprowadzić rozmowę na temat Milderhurst i Juniper Blythe. W każdym razie ten właśnie moment wybrał sobie mężczyzna przy sąsiednim stoliku, aby odwrócić się i poprosić o cukier. Kiedy mu go podałam, mama oświadczyła:

– Mam coś dla ciebie.

Wyciągnęła starannie złożoną, starą reklamówkę.

– Nie ekscytuj się za bardzo – dodała. – To nic nowego.

Otworzyłam torbę, wyjęłam jej zawartość i przez chwilę wpatrywałam się w nią zdumiona. Ludzie często dają mi rzeczy, które uważają za warte opublikowania, nie mogłam jednak uwierzyć, że ktoś mógłby się aż tak grubo pomylić.

– Nie pamiętasz?

Mama wpatrywała się we mnie, jakbym zapomniała własnego imienia.

Patrzyłam na plik zszytych kartek, na dziecięce rysunki na wierzchu, niekształtne litery na pierwszej stronie: *Księga mokrych zwierząt*, a

ponizej: *Napisała i ilustrowała Edith Burchill*. Między słowami „księga” i „mokrych” widniała mała strzałka i dopisane innym kolorem „magicznych”.

– To ty napisałaś – oznajmiła mama. – Nie pamiętasz?

– Pamiętam – skłamałam.

Coś w głosie mamy powiedziało mi, że zależy jej na tym, abym pamiętała, poza tym – przejechałam kciukiem po atramentowym kleksie – chciałam sobie przypomnieć.

– Byłaś z niej taka dumna. – Mama przekrzywiła głowę i popatrzyła na książeczkę w moich dłoniach. – Pracowałaś nad nią całym dniami, siedziałaś skulona na podłodze pod toaletką w pokoju gościnnym.

Zaczęło mi coś świtać. Z zakamarków pamięci wypłynął na wierzch obraz i aż ciarki mi przeszły po całym ciele: siedzę w ciepłym, mrocznym kącie; wokół unosi się zapach kurzu z okrągłego dywanika; w ścianie widzę pęknięcie, idealne, aby przechowywać w nim pióro; pod kolanami czuję twardy parkiet, a promienie słońca zamiatają podłogę.

– Ciągle coś tam bazgrałaś po ciemku. Tata się martwił, że wyrośniesz na nieśmiałą dziewczynę, że nie będziesz miała przyjaciół, ale nic nie mogło zdusić twojego zapału.

Pamiętam, jak czytałam, ale nie pamiętam, żebym coś pisała. Jednak słowa mamy o zduszeniu zapału uderzyły w czułą nutę. Przypomniał mi się tata kręcący z niedowierzaniem głową, kiedy wracałam z biblioteki, i pytający przy obiedzie, czemu nie wypożyczam książek z działów popularnonaukowych, na co mi te wszystkie bajki, czemu nie chcę poznawać prawdziwego świata.

– Zapomniałam, że pisałam opowiadania – rzekłam, odwracając książkę i uśmiechając się na wymyślone logo wydawcy, które narysowałam na ostatniej stronie okładki.

– Uznałam, że powinna być u ciebie. – Mama wytarła okruszek z powierzchni stolika. – Pomyślałam, że powinna być u ciebie. Tata wyciągał pudła ze strychu, tam ją znalazłam. Po co mają ją zjeść mole. Może pewnego dnia będziesz mieć własną córkę, której zechcesz to pokazać.

Wyprostowała się na krześle i królicza nora prowadząca do przeszłości zamknęła się.

– Powiedz, jak spędziłaś weekend. – Robiłaś coś ciekawego?

No proszę, oto miałam idealne okno, zasłony szeroko rozsunięte. Nie mogłabym sobie wyobrazić lepszego rozpoczęcia, choćbym się bardzo starała. I kiedy spoglądałam na *Księgę magicznych mokrych zwierząt*, na pozółtkły papier, na odciski flamastrów, na rysunki pokolorowane po dziecinnemu, kiedy zdałam sobie sprawę, że mama trzymała ją przez tyle lat, że chciała ją zachować mimo obaw co do mojego niepraktycznego zajęcia, i że wybrała akurat dzisiejszy dzień, aby przypomnieć mi zapomnianą część dzieciństwa, przytłoczyło mnie nagłe, wzbierające pragnienie, aby podzielić się z nią wszystkim, co mi się przydarzyło w Milderhurst. Ogarnęło mnie jakieś radosne przeświadczenie, że to wszystko wyjdzie nam na dobre.

– Szczerze mówiąc, tak – odparłam.

Uśmiechnęła się promiennie.

– Naprawdę?

– Coś naprawdę wyjątkowego. – Serce zaczęło mi się wyrwać z piersi; patrzyłam na siebie z boku i stojąc na krawędzi przepaści, zastanawiałam się, czy naprawdę zamierzam skoczyć. – Byłam na wycieczce – oznajmił mój słaby głos. – Zwiedzałam zamek Milderhurst.

– Co... co takiego? – Mama wytrzeszczyła oczy. – Pojechałaś do Milderhurst?

Patrzyła mi w oczy, póki nie skinęłam głową, potem spuściła wzrok. Podniosła filiżankę ze spodeczka, zakręciła nią w prawo, potem w lewo, a ja obserwowałam ją z ostrożną ciekawością i zarazem chciałam i bałam się dowiedzieć, co się dalej wydarzy.

Powinnam była mieć więcej wiary. Niczym olśniewający wschód słońca rozpędzający chmury na horyzoncie godność znów przejęła władzę, mama podniosła głowę i odstawiając filiżankę, uśmiechnęła się przez stół.

– No proszę, zamek Milderhurst. Jak teraz wygląda?

– Jest... duży. – Z mozołem dobierałam słów i nic lepszego nie zdołałam wymyślić. Zbiła mnie z tropu całkowita transformacja, której byłam właśnie świadkiem. – Jakby z bajki.

Nie wiedziałam, że można go zwiedzać. Ach, te dzisiejsze czasy. – Machnęła ręką. – Wszystko ma swoją cenę.

– To była nieformalna wycieczka – wyjaśniłam. – Jedna z właścielek mnie oprowadziła. Starsza pani, nazywa się Persephone Blythe.

– Percy? – usłyszałam delikatne drżenie w jej głosie. – Percy Blythe? Nadal tam mieszka?

– Wszystkie nadal tam mieszkają, mamo. Wszystkie trzy. Nawet Juniper, która przysłała ci list.

Otworzyła usta, jakby chciała coś odpowiedzieć, lecz kiedy nie wy dobył się z nich żaden odgłos, zacisnęła je z powrotem. Splotła palce na kolanach i siedziała blada i nieruchoma niczym marmurowy posąg. Milczenie zaczęło mi ciążyć nie do wytrzymania. W końcu nie mogłam już tego znieść.

– Było niesamowicie – powiedziałam, podnosząc dzbanek. Zauważyłam, że dłonie mi drżą. – Wszędzie kurz i ciemno, a one wszystkie siedziały w salonie, trzy staruszki w tym wielkim, starym domu... Miałam uczucie, jakbym się znalazła w domu lalek...

– Juniper... – odezwała się dziwnym, cienkim głosem, po czym odchrząknęła. – Co u niej słyhać? Jak wygląda?

Zastanawiałam się, od czego zacząć: od dziewczęcej radości, niechlujnego wyglądu czy od ostatniej sceny i rozpaczliwego oskarżenia.

– Mąci jej się w głowie – odparłam. – Miała na sobie staromodną sukienkę i wyznała mi, że na kogoś czeka, na jakiegoś mężczyznę. Właścicielka pensjonatu, w którym przenocowałam, powiedziała, że Juniper Blythe jest chora i siostry się nią opiekują.

– Chora?

– Demencja albo coś w tym rodzaju – ciągnęłam ostrożnie. – Wiele lat temu porzucił ją mężczyzna i od tamtej pory nigdy nie doszła do siebie.

– Mężczyzna?

– Ściśle mówiąc, naręczony. Wystawił ją do wiatru i ludzie mówią, że oszalała. Dosłownie oszalała.

– Och, Edie. – Wyraz cierpienia na jej twarzy przeobraził się w uśmiech, jakim obdarza się nieporadnego kociaka. – Zawsze z głową w chmurach. Prawdziwe życie takie nie jest.

Najeżyłam się, z czasem staje się denerwujące, kiedy ludzie traktują cię jak naiwną gęś.

– Powtarzam ci tylko, co mówią ludzie w miasteczku. Ta kobieta

twierdzi, że Juniper zawsze była wrażliwa, nawet jako młoda dziewczyna.

– Ja ją znałam, Edie, nie musisz mi mówić, jaka była jako młoda dziewczyna – warknęła niespodziewanie.

– Przepraszam – powiedziałam kompletnie zaskoczona. – Chciałam...

– Nie, nie. – Uniosła dłoń i przyłożyła ją sobie do czoła, po czym zerknęła ukradkiem przez ramię. – Toja przepraszam. Nie wiem, co mnie naszło. – Westchnęła i uśmiechnęła się słabo. – Oczywiście jestem zaskoczona. Ta wiadomość, że one wszystkie żyją i cały czas mieszkają w zamku... Boże, muszą być bardzo stare. – Zmarszczyła brwi, udając, że pochłonęła ją matematyczna łamigłówka. Bliźniaczki były już stare, kiedy je poznałam, przynajmniej tak mi się wydawało.

Nie otrząsnęłam się jeszcze po jej wybuchu i odpowiedziałam ostrożnie:

– Chcesz powiedzieć, że wyglądały staro? Siwe włosy i tym podobne?

– Nie, nie o to chodzi. Trudno to wytłumaczyć. Wydaje mi się, że były wtedy po trzydziestce, ale wówczas to znaczyło zupełnie co innego. A ja byłam podlotkiem. Młodzi zwykle inaczej postrzegają świat, prawda?

Nie odpowiedziałam, a ona wcale tego nie oczekiwała. Patrzyła na mnie, lecz jej wzrok wydawał się daleki, jak dawne, srebrne ekrany.

– Zachowywały się bardziej jak jej rodzice niż jak siostry – ciągnęła. – To znaczy w stosunku do Juniper. Były od niej dużo starsze, a jej matka zmarła, kiedy June była mała. Ojciec żył, ale nie angażował się zbyt w sprawy córek.

– Był pisarzem, nazywał się Raymond Blythe.

Powiedziałam to ostrożnie, obawiając się, że znów strzelę jakąś gafę, ponieważ podawałam informacje, które ona znała z pierwszej ręki. Tym razem jednak jej to nie przeszkadzało, a ja czekałam na jakiś znak z jej strony, że wie, co to nazwisko znaczy, że pamięta książkę, którą przyniosła mi kiedyś z biblioteki. Pakując swoje rzeczy przed wyprowadzką, rozglądałam się, czy jej gdzieś nie znajdę, miałam nadzieję, że będę mogła ją przynieść i pokazać mamie, niestety, nigdzie jej nie było.

– Napisał książkę pod tytułem *Prawdziwa historia Człowieka z Błota*.

– Tak – przyznała bardzo łagodnym głosem.

– Poznałaś go?

Potrząsnęła głową.

– Widziałam go kilka razy, ale tylko z daleka. Na starość zrobił się odludkiem, większość czasu spędzał w swoim gabinecie na szczycie wieży, a mnie nie wolno było tam wchodzić. To była jedna z nielicznych zasad, jakie mnie obowiązywały. – Patrzyła w dół i pod powiekami pulsowały jej fioletowe żyłki. – Czasami o nim rozmawiały, zdaje się, że potrafił być uciążliwy. Zawsze wyobrażałam go sobie jako króla Leara, wykorzystującego jedną córkę przeciwko drugiej.

Po raz pierwszy usłyszałam wtedy, jak moja mama odwołuje się do bohatera literackiego i tak mnie to zdumiało, że moje myśli wypadły całkiem z torów. Pisałam pracę dyplomową z tragedii Szekspira, a ona ani razu nie dała po sobie poznać, że zna jego dramaty.

– Edie? – Mama podniosła raptownie głowę. – Czy powiedziałaś im, kim jesteś? Kiedy zwiedzałaś Milderhurst, powiedziałaś im o mnie?

– Nie. – Zastanawiałam się, czy mama się nie obrazi, że zataiłam prawdę, czy nie będzie chciała wiedzieć, czemu to zrobiłam. – Nie powiedziałam.

– To dobrze – odrzekła, kiwając głową. – Podjęłaś właściwą decyzję. Wywołałabyś tylko niepotrzebne zamieszanie. To było tak dawno temu, a ja mieszkałam tam bardzo krótko; na pewno dawno o mnie zapomnieli.

Oto była moja szansa, postanowiłam z niej skorzystać.

– Nieprawda, mamu, wcale nie zapomnieli, w każdym razie Juniper cię pamięta.

– Jak to? Co to znaczy?

– Myślała, że jestem tobą.

– Myślała... – Patrzyła na mnie badawczo. – Skąd wiesz?

– Nazwała mnie Meredith.

Musnęła usta koniuszkami palców.

– Czy... czy powiedziała coś jeszcze?

Stałam na rozdrożu. Miałam dylemat, musiałam postępować bardzo ostrożnie. Gdybym powtórzyła mamie, co powiedziała mi Juniper,

że oskarżyła ją o złamanie obietnicy i zrujnowanie jej życia, to byłby na pewno koniec naszej rozmowy. Wahałam się więc tylko przez krótką chwilę.

– Właściwie nie – odparłam. – Byłyście z sobą zżyte? Ty i Juniper?

W tym momencie jakiś mężczyzna, podnosząc się, potrącił nasz stół swoim obfitym siedzeniem, aż wszystkie naczynia zdrząły. Odpowiedziałam roztargnionym uśmiechem na jego przeprosiny pochłonięta ratowaniem naszej rozmowy i filiżanek.

– Przyjaźniłyście się z Juniper?

Mama upiła łyk kawy, a potem łyżeczką długo oczyszczała brzeg filiżanki z piany.

– To było tak dawno temu, że trudno pamiętać szczegóły. – Rozległ się ostry, metaliczny brzęk, kiedy łyżeczka uderzyła o spodeczek. – Mówiłam ci, że mieszkalam tam niewiele ponad rok. Tata przyjechał mnie zabrać na początku roku czterdziestego pierwszego.

– I nigdy więcej tam nie pojechałaś?

– Ostatni raz widziałam wtedy Milderhurst.

Kłamała. Piekły mnie policzki, szumiało mi w głowie.

– Jesteś pewna?

Wybuchła cichym śmiechem.

– Co za dziwne pytanie, Edie. Oczywiście, że jestem pewna. Człowiek pamiętałby coś takiego, nie sądzisz?

Tak właśnie sądziłam. I pamiętałam. Przełknęłam ślinę.

– Właśnie o to chodzi. Widzisz, kiedy byłam w Milderhurst, zdarzyło się coś dziwnego. Zobaczyłam bramę, tę prowadzącą na podjazd, i odniosłam niesamowite wrażenie, że już tam kiedyś byłam.

Ponieważ mama się nie odzywała, dodałam:

– Że byliśmy tam razem.

Jej milczenie było nieznośne, nagle dotarł do mnie szum sali, denerwujący stukot opróżnianej tacy, warkot młynka do kawy, przesywający śmiech dobiegający z antresoli. Wszystko to słyszałam z daleka, jakbyśmy unosiły się w oddzielnych bańkach mydlanych.

Starałam się powstrzymać w głosie drżenie.

– Kiedy byłam mała, pojechaliśmy tam we dwie i stałyśmy przy bramie. Było gorąco, widziałam tam staw i chciałam się wykąpać, ale nie weszliśmy do środka. Powiedziałaś, że jest za późno.

Mama przycisnęła serwetkę do ust, powoli, delikatnie i dopiero wtedy na mnie popatrzyła. Przez ułamek sekundy miałam wrażenie, że zamierza się przyznać do winy, potem zamrugła i wrażenie znikło.

– Wydaje ci się.

Pokręciłam powoli głową.

– Wszystkie bramy do takich posiadłości wyglądają tak samo – ciągnęła. – Pewnie zobaczyłaś gdzieś zdjęcie lub film i pomyliło ci się.

– Nieprawda, pamiętam...

– Tak jak wtedy, gdy oskarżałaś naszego sąsiada, pana Watsona, że jest rosyjskim szpiegiem, albo gdy uroiło ci się, że zostałam adoptowana. Musieliśmy ci pokazać twój akt urodzenia. – W jej głosie zabrzmiała znajoma nuta, którą pamiętałam z dzieciństwa: doprowadzająca do szału protekcyjność osoby, która ma władzę i nie będzie mnie słuchać bez względu na to, co powiem i jak głośno. – Tata kazał mi cię zaprowadzić do lekarza z powodu nocnych lęków.

– To co innego.

Uśmiechnęła się zdawkowo.

– Masz bujną wyobraźnię, Edie. Zawsze miałaś. Nie wiem, skąd ci się to wzięło, na pewno nie odziedziczyłaś tego po mnie. A tym bardziej po tacie. – Wyciągnęła rękę, żeby podnieść z podłogi swoją torebkę. – A propos taty, powinnam wracać do domu.

– Ale mam... – Czułam, jak między nami znowu otwiera się przepaść, ogarnęła mnie desperacja. – Nie wypijaś nawet kawy.

Zerknęła na swoją filizankę, na stygnącą resztkę szarego płynu na dnie.

– Już nie mam ochoty.

– Zamówię ci następną...

– Nie – ucięła. – Ile jestem ci winna?

– Nic, mam. Proszę, zostań.

– Nie. – Położyła pięć funtów koło mojego spodeczka. – Nie było mnie w domu przez całe przedpołudnie, tata wychodzi z siebie. Wiesz, jaki on jest, rozmontuje cały dom, jeśli zaraz nie wrócę.

Poczułam jej lepki policzek na swoim i po chwili znikła w drzwiach.

Lokal ze striptizem i puszka Pandory

Chcę zaznaczyć, że to ciotka Rita się ze mną skontaktowała, nie na odwrót. Tak się złożyło, że kiedy ja rzucałam się bezskutecznie, próbując odkryć, co zaszło między mamą a Juniper Blythe, ciotka Rita postanowiła zorganizować wieczór panieński dla swojej córki Samantha. Nie byłam pewna, czy mi to pochlebiało, czy ubliżało, kiedy zadzwoniła do wydawnictwa, aby zapytać mnie o kluby z męskim striptizem. Okazałam więc lekkie zakłopotanie i – ponieważ wygląda na to, że nie umiem się powstrzymać – zaferowałam pomoc. Powiedziałam, że nie potrafię jej odpowiedzieć z pamięci, ale mogę się dowiedzieć. Umówiliśmy się na spotkanie w jej salonie fryzjerskim w najbliższą niedzielę, abym mogła przedstawić jej wyniki poszukiwań. Oznaczało to, że przegapię kolejny obiad u mamy, ale był to jedyny wolny termin Rity, powiedziałam więc rodzicom, że pomagam przy organizacji ślubu Sam, na co nie mogli zaprotestować.

Salon fryzjerski „Szyk” mieści się za maleńkim frontem przy Old Kent Road, wtłoczony między sklep z płytami a frytkarnię w Southwark. Rita jest tak samo staromodna jak płyty wytwórni Motown, które kolekcjonuje, i jej salon robi zawrotną karierę, specjalizując się w anglezach, francuskich kokach i fryzurach na Bardotkę. Tkwi w tym interesie wystarczająco długo, żeby sama stać się retro, nie mając o tym pojęcia, i każdemu opowiada, jak zaczynała pracować dokładnie w tym samym salonie jako chuda szesnastolatka, kiedy szalała wojna; jak przez te same okna oglądała Dzień Zwycięstwa, kiedy kapelusznik, pan Harvey po drugiej stronie ulicy ściągnął z siebie ubranie i zaczął tańczyć na jezdni w swoim najlepszym kapeluszu.

Pięćdziesiąt lat w jednym miejscu. Nic dziwnego, że znają ją wszyscy w tej części Southwark – tętniący życiem, rozgadany parter oddzielony od migoczących balkonów wschodniego Londynu. Jej najstarsze klientki pamiętają ją z czasów, gdy nożyczki były nieosiągalnym artykułem luksusowym i nikomu innemu nie dałyby sobie zrobić trwałej ondulacji.

– Ludzie nie są głupi – mawia ciotka Rita. – Daj im odrobinę miłości, a nigdy cię nie porzucą.

Miała też przedziwny dar do typowania w ciemno zwycięzców na wyścigach konnych, co na pewno pomagało, aby interes się kręcił.

Niewiele wiem o rodzeństwach, ale jestem pewna, że niewiele jest bardziej różniących się od siebie siostr niż moja mama i ciotka Rita. Mama jest powściągliwa i pełna rezerwy, Rita wprost przeciwnie; mama preferuje eleganckie czółenka, Rita podaje śniadanie w szpilkach; w sprawach rodzinnych opowieści moja rodzicielka jest jak sejf, ciotka jak kopalnia wiadomości. Wiem to z własnego doświadczenia. Kiedy miałam dziewięć lat i mama poszła do szpitala na usunięcie kamieni żółciowych, tata spakował mi torbę i wysłał do ciotki. Albo Rita wyczuła, że latorośl stojąca przed drzwiami jest żałośnie niedoinformowana i odcięta od własnych korzeni, albo ja sama przypuściłam na nią szturm pytań, a może po prostu dostrzegła szansę rozzłoszczenia mamy i zadania bolesnego ciosu w odwiecznej siostrzanej wojnie, w każdym razie wzięła na siebie obowiązek wypełnienia luk w mojej edukacji na temat drzewa genealogicznego.

Pokazywała mi poźółtkłe fotografie porozwieszane na ścianach zakładu, opowiadała mi fascynujące historie z czasów, gdy była w moim wieku, odmalowała przed moimi oczami żywy obraz, pełen barw, zapachów i głosów z przeszłości, który uprzytomnił mi jasno coś, co mgliście już przeczuwałam: że dom moich rodziców, rodzina, w której dorastałam, jest higienicznym i samotnym miejscem. Leżałam na małym, zapasowym materacu w domu Rity, podczas gdy czworo jej dzieci wypełniało pokój cichym pochrapywaniem i przewracało się z boku na bok, i marzyłam wtedy, żeby ciotka była moją mamą i żebym mogła mieszkać w ciepłym, zagraconym domu, trzeszczącym w szwach od rodzeństwa - i starych historii. Pamiętam też, jak zalały mnie wyrzuty sumienia w tej

samej chwili, kiedy ta myśl ukształtowała mi się w głowie. Zacisnęłam mocno powieki i wyobraziłam sobie to niewdzięczne życzenie jako skrawek jedwabiu zawiązanego na supeł; rozplatałam go w myślach, po czym wyczarowałam w umyśle silny podmuch wiatru, który je rozwiął, jakby nigdy nie zostało pomyślane.

Ale zostało.

Tak więc w upalny dzień na początku lipca przyszłam zrelacjonować Ricie wyniki swoich poszukiwań. Zapukałam do szklanych drzwi i w tym samym momencie uchwyciłam w szybie swoje zmęczone odbicie. Powiem wam jedno: ugniatanie gościnnych kanap w towarzystwie psa cierpiącego na wzdęcia nie poprawia karnacji. Zajrzałam do środka nad tabliczką z napisem „Zamknięte” i zobaczyłam ciotkę Ritę siedzącą przy stoliku w głębi salonu z papierosem zwisającym z dolnej wargi i z uwagą studiującą coś małego i białego, co trzymała w rękach. Machnęła, żebym weszła.

– Edie, skarbie – zawołała, przekrzykując dzwonek powitalny przy drzwiach oraz dźwięki The Suprêmes. – Użyj mi swoich oczu, kochanieńka, dobrze?

Odwiedzanie zakładu fryzjerskiego ciotki Rity przypomina trochę cofanie się w czasie: posadzka w biało-czarną szachownicę, rząd foteli wypoczynkowych obitych skóropodobnym tworzywem z żółtozielonymi poduszkami; perłowe suszarki do włosów w kształcie kieliszków do jajek; plakaty z Marvinem Gayem, Dianą Ross i The Temptations w oszklonych ramach; zapachy perhydrolu i oleju do smażenia frytek z sąsiedniego lokalu, walczące z sobą na śmierć i życie...

– Próbuję przewlec to diabelstwo tędy – powiedziała Rita z papierosem w ustach. – Nie dość, że mam dzisiaj dwie lewe ręce, to jeszcze ta cholerna wstążka wije się jak wąż.

Rzuciła we mnie tym, co trzymała w ręku, a ja przyjrząwszy się, zobaczyłam małą, koronkową torebkę z otworkami na tasiemki.

– To upominki na wieczór panieński Sam – oznajmiła ciotka Rita, wskazując głową pudełko ze stertą identycznych woreczków, stojące na podłodze u jej stóp. – W każdym razie będą, jeśli uda się nam je skończyć i napełnić prezentami. – Wręczyła mi torebkę i wstążeczkę, z

którymi wojowała, i strząsnęła popiół z papierosa. – Woda w czajniku przed chwilą się zagotowała, ale mam w lodówce lemoniadę, jeśli wolisz.

– Chętnie.

Nie są to słowa, które człowiek zwykle kojarzy z siostrą swojej matki, ale to fakt, więc to powiem: z mojej cioteczki Rity jest naprawdę gorący towar. Obserwując, jak nalewa mi lemoniady, a spódniczka opina jej się na biodrach i szczupłej talii pomimo czworga dzieci urodzonych ponad trzydzieści lat temu, bez trudu mogłam uwierzyć w te nieliczne anegdoty, które udało mi się przez lata wyciągnąć od mamy. Wszystkie bez wyjątku opowiedziane zostały w formie przestrogi przed rzeczami, których grzeczne dziewczynki nie robią, lecz wywoływały raczej niezamierzony efekt, wzmacniając we mnie podziw i legendę ciotki Rity jako ognistej buntowniczkii.

– Proszę, kochaniutka. – Wręczyła mi szklaneczkę do martini pluającą bąbelkami, po czym zapadła się w fotelu z głośnym westchnieniem, poprawiając obiema dłońmi fryzurę w kształcie ula. – Fiuu, co za dzień. Boże, wyglądasz na taką zmęczoną jak ja.

Przełknęłam wspanały łyk lemoniady, lodowate bąbelki zapiekły mnie w gardło. The Temptations zaczęły zawodzić *My girl*, a ja powiedziałam:

– Nie wiedziałam, że otwierasz w niedzielę.

– Z zasady tego nie robię, ale jedna z moich najlepszych klientek potrzebowała płukanki i czesania na pogrzeb, na szczęście nie własny. Nie miałam serca jej odmówić. Niektóre z nich są jak rodzina. – Obejrzała torebkę, którą nawlokłam, ściągnęła tasiemkę, stukając długimi, różowymi paznokciami, po czym rozsunęła ją z powrotem. – Grzeczna dziewczynka. Zostało jeszcze tylko dwadzieścia.

Zasalutowałam, a ona wręczyła mi następną.

– Przynajmniej mogę się spokojnie zająć przygotowaniem do ślubu z dala od ciekawskich oczu. – Podniosła szeroko powieki, a potem opuściła je jak okiennice. – Ta moja Sam to wścibska dziewczucha, zawsze taka była, nawet jako szkrab. Myszkowała po szafach, żeby znaleźć schowane prezenty, a potem popisywała się przed rodzeństwem, zgadując, co leży pod choinką. Wyciągnęła nowego papierosa z pudełka

na stole. – Mała spryciara. – Zapaliła zapalną. Koniec papierosa zapłonął z nadzieją, po czym zaczął się żarzyć. – A co z tobą? Taka młoda laska powinna mieć lepsze rzeczy do roboty w niedzielę.

– Och, ciociu, nie wyobrażam sobie nic lepszego niż to.

To mówiąc, podniosłam drugą białą torebkę z nawleczoną, tasiemką.

– Ty pyskata kozo – powiedziała.

Jej uśmiech przypomniał mi babcię. Przy mamie nigdy mi się, to nie zdarzało. Uwielbiałam babcię, co samo w sobie powinno rozwiązać wszelkie podejrzenia o adopcję, jakie mogłam sobie wyhodować, dorastając. Mieszkała sama, odkąd sięgałam pamięcią, i choć zawsze skwapliwie zapewniała, że miała mnóstwo propozycji ponownego zamążpójścia, nie miała najmniejszej chęci robić z siebie starej idiotki. Każdy garnek ma swoją pokrywkę, powtarzała poważnym głosem, i ona dziękuje Bogu, że dane jej było poznać mojego dziadka. Nie znałam męża babci, w każdym razie nie pamiętałam go, ponieważ zmarł, kiedy miałam trzy latka. Kilka razy próbowałam zapytać o niego mamę, lecz oczywiście szybko mnie zbywała. Na szczęście Rita była bardziej otwarta.

– No więc, jak ci poszło? – spytała.

– Doskonale. – Zaczęłam grzebać w torbie, dopóki moje palce nie natrafiły na kawałek papieru, rozłożyłam go i odczytałam nazwę, którą podała mi Sarah: – Klub Roxy. Tutaj jest numer telefonu.

Wyciągnęła rękę i zaczęła przebierać palcami w moim kierunku, więc podałam jej karteczkę.

Ściągnęła usta jak tasiemkę w torebce.

– Klub Roxy – powtórzyła. – Szykowny?

– Tak twierdzą moje źródła.

– Zuch dziewczyna. – Złożyła papier, wsunęła go za pasek od biustonosza i puściła do mnie oko. – Twoja kolej, Edie.

– Na co?

– Na pójście do ołtarza.

Uśmiechnęłam się słabo i zbyłam tę uwagę wzruszeniem ramion.

– Ile to już lat jesteście z tym twoim panem...? Sześć, prawda?

– Siedem.

– Siedem lat. – Podrzuciła głową. – Najwyższa pora, żeby zrobić z ciebie uczciwą kobietę, bo inaczej zacnie cię, korcić, żeby szukać gdzie indziej. Czy on nie wie, jaka mu się trafiła świetna partia? Czy ja mam

się z nim rozmówić?

Nawet jeśli pominać fakt, że usiłowałam właśnie ukryć nasze rozejście z Jamiem, była to przerażająca wizja.

– Szczerze mówiąc, ciociu – zastanawiałam się, jak ją zniechęcić bez zdradzania prawdy – żadne z nas nie uznaje małżeństwa.

Zaciągnęła się papierosem i przyknęła jedno oko, świdrując mnie badawczo drugim.

– Naprawdę?

– Na to wygląda.

Była to tylko częściowa prawda. Jeśli chodzi o mnie, to jak najbardziej uznaję małżeństwo. Przez cały czas trwania naszego związku akceptowałam szyderczy sceptycyzm Jamiego wobec błogosławieństw stanu małżeńskiego wbrew własnej, romantycznej wrażliwości. I nie podam żadnego innego argumentu na jego obronę poza tym, że według mnie jeśli kogoś kochamy, zrobimy wszystko, aby go przy sobie zatrzymać.

Za chmurą powoli wydmuchiwanego dymu umysł Rity przerzucił biegi: z niedowierzania, przez konsternację, aż w końcu zatrzymał się na zrezygnowanej akceptacji.

– Kto wie, może i masz rację. Wiesz, to się po prostu przydarza, jak to w życiu, przydarza się, kiedy nie patrzysz. Poznajesz kogoś, wsiadasz z nim do samochodu, wychodzisz za niego za mąż i rodzisz gromadkę dzieci. A pewnego dnia odkrywacie, że właściwie nic was już nie łączy. Wiesz, że kiedyś się kochaliście, na pewno, bo inaczej czemu wychodziłabyś za tego faceta? Ale te wszystkie nieprzespane noce, rozczarowania, zmartwienia... Szok, że więcej masz za sobą niż przed sobą... – Uśmiechnęła się, jakby podyktowała mi właśnie przepis na szarlotkę, a nie myśl, że lepiej wcisnąć głowę do piekarnika. – Takie jest życie, no nie?

– Cudownie, ciociu. Nie zapomnij wygłosić tych mądrości podczas mowy weselnej.

– Bezczelna smarkuła.

Z tą umoralniającą gadką wiszącą w zadymionym powietrzu każda z nas zajęła się na osobności zmaganiem z koronkowymi torebeczkami. Płyta w gramofonie się obracała, Rita mruczała do spółki z miodowym głosem mężczyzny, który zachęcał nas, abyśmy przyjrzały się jego

uśmiechowi, aż w końcu nie mogłam już dłużej wytrzymać. Chociaż lubię pogawędki z Ritą, tym razem przyszłam tu z ukrytą intencją. Od czasu spotkania w cukierni prawie z mamą nie rozmawiałyśmy. Odwołałam naszą następną umówioną kawę pod pretekstem nawału pracy i za-uważałam nawet, że unikam jej telefonów. Zraniła moje uczucia. Czy brzmi to po szczeniacku? Mimo wszystko mam nadzieję, że nie. Jej upór, aby mi nie ufać, jej ślepe zaprzeczanie, że byliśmy kiedyś przed zamkową bramą, sugestia, że wszystko to sobie wymyśliłam, sprawiła, że w mojej piersi zagnieździła się bolesna zadra, która jeszcze bardziej zacięła mnie w uporze, aby dociec prawdy. A teraz odwołałam kolejny rodzinny obiad i jeszcze bardziej utarłam mamie nosa. Przywlokłam się tu w skwar, od którego topią się zelówki i nie miałam zamiaru wyjść bez jakiegś zdobyczy.

– Ciociu? – zaczęłam.

– Hmm? – mruknęła, marszcząc brwi na wstążeczkę, która zawiązała jej się w palcach na supeł.

– Chciałam z tobą porozmawiać.

– Hmm?

– O mamie.

Spojrzała na mnie ostro.

– Coś się stało?

– Och nie, wszystko w porządku. To nic w tym rodzaju. Po prostu rozmyślałam ostatnio o przeszłości.

– A, to co innego. O którym konkretnie kawałku przeszłości rozmyślałaś?

– O wojnie.

Odłożyła na bok torebkę.

– No proszę.

Postępowałam z największą ostrożnością. Ciotka Rita lubi gawędzić, ale zdawałam sobie sprawę, że to drażliwy temat.

– Zostaliście ewakuowani, ty, mama i wujek Ed, prawda?

– Tak. Na szczęście na krótko. To był koszmar. Całe to gadanie o świeżym powietrzu to stek bzdur. Nikt ci nie powie o smrodzie prowincji, o stertach parującego gnoju wszędzie, gdzie tylko postawisz nogę. A nas nazywają brudasami! Od tamtej pory nie potrafiłam spojrzeć tymi samymi oczami na krowy i wieśniaków. Wołałam wrócić i spróbować szczęścia z bombami.

- A mama? Miała takie same wrażenia?
 - Czemu pytasz? Co ci powiedziała?
- Wyczułam w jej głosie podejrzliwość i fascynację.
- Nic. Niewiele mówiła na ten temat.

Wróciła do sznurowania torebki, ale w tym jej nagłym skupieniu było coś sztucznego. Prawie widziałam, jak gryzie się w język, żeby powstrzymać potok słów cisnących jej się na usta.

Nielojalność paliła mnie w żyłach jak ogień, lecz zdawałam sobie sprawę, że to moja jedyna szansa. Każde następne słowo piekło mnie w gardle.

- Wiesz, jaka ona jest.

Rita prychnęła lekko. Ściągnęła usta i przez chwilę przyglądała mi się z ukosa. W końcu nachyliła się do mnie.

- Twoja mama zakochała się w tym miejscu. Nie chciała wracać do domu. – Oczy jej błyszczały z niedowierzania i konsternacji, domyśliłam się, że potrafiłam starą, czułą strunę. – Jakież dziecko może nie chcieć wracać do rodziców, do własnej rodziny? Woleć mieszkać z obcymi ludźmi?

Dziecko, które źle się czuje w swoim domu, pomyślałam, przypominając sobie własne szepty w ciemnym kącie sypialni moich kuzynów. Dziecko, które czuje, że jego miejsce jest gdzieś indziej. Nie powiedziałam jednak ani słowa. Czułam, że dla osoby takiej jak moja ciotka, która miała szczęście znaleźć się w miejscu, do którego pasowała idealnie, żadne wyjaśnienie nie miałoby sensu.

- Może bała się nalotów? – zasugerowałam w końcu niepewnie i odchrząknęłam, żeby pozbyć się z gardła wybojów, na których potykał się mój głos. – Bombardowań?

- Gdzie tam! Wcale się nie bała, w każdym razie nie bardziej niż my wszyscy. Inne dzieciaki chciały być w centrum wydarzeń. Wszystkie z naszej ulicy wróciły do domów, schodziły z rodzicami do schronów. Weźmy na przykład twojego wujka. – W głosie Rity zadźwięczał szacunek przynależny prześwietnemu wujowi Edowi. – Przejechał autostopem cały Kent, tak bardzo chciał być w domu, kiedy wojna rozpętała się na dobre. Stał na progu domu w samym środku nalotu i jeszcze po drodze zgarnął do schronu takiego niedorozwiniętego chłopca z sąsiedztwa. Ale Merry nie, o nie. Za nic nie chciała wracać do Londynu, aż tata musiał

jechać i sam ją tu ściągnąć. Nasza mama, a twoja babcia, nie mogła tego przeboleć. Nigdy o tym nie mówiła, to nie było w jej stylu, udawała, że się cieszy, że Merry jest cała i zdrowa tam na wsi, ale my dobrze wiedzieliśmy. Nie byliśmy ślepi.

Nie potrafiłam spojrzeć w rozplamione oczy ciotki Rity. Czulałam się współwinna przez swoje nielojalne myśli. Jednak zdrada mojej mamy była realna, wrogość między nią a siostrą płonęła przez pięćdziesiąt lat, które minęły od tamtej pory.

– Kiedy to było? – spytałam niewinnie, zaczynając nową torebkę. – Ile czasu spędziła poza domem?

Ciotka zaczęła wiercić dziurę w dolnej wardze różowiułtkim szponem z motylkiem na koniuszku.

– Policzmy, naloty trochę trwały, ale to nie mogła być zima, bo mój tata przywiózł z sobą pierwiosnki, kiedy wrócili, tak bardzo chciał ugłaskać swoją żonę, twoją babcie, pomóc jej przez to przejść bezboleśnie. Cały tata. – Paznokcie wybijał zamyślony rytm. – To musiało być jakoś w czterdziestym pierwszym. W marcu albo kwietniu.

A więc pod tym względem mama była szczerą. Nie było jej trochę ponad rok i wróciła do Londynu sześć miesięcy przed historią miłosną, która złamała serce Juniper, zanim Thomas Cavill przyrzekł się z nią ożenić, a potem ją porzucił.

– Czy mama kiedykolwiek...

Mój głos utonął w ogłuszającym ryku *Hot shoe shuffle*. Na ladzie zaczęła podskakiwać telefon w kształcie pantofla na wysokim obcasie.

Nie odbieraj, błagałam bezgłośnie, nie chcąc, żeby coś nam przerwało rozmowę akurat teraz, kiedy się rozkręcała.

– To pewnie Sam – stwierdziła Rita. – Szpieguje mnie.

Skinęłam głową. Przeczekałyśmy w milczeniu ostatnie dwa makordy, po czym nie tracąc czasu, pokierowałam rozmowę na poprzednie tory.

– Czy mama opowiadała o Milderhurst? O ludziach, u których tam mieszkała? O siostrach Blythe?

Oczy Rity przetoczyły się jak dwie szklane kuleczki.

– Z początku nie mówiła o niczym innym. Grała nam na nerwach. Chodziła naburmuszona i rozchmurzała się tylko wtedy, kiedy przychodził stamtąd list. Ale strasznie robiła się wówczas tajemnicza, nie chciała go otworzyć, dopóki nie znalazła się sama.

Przypomniała mi się opowieść mamy, jak Rita zostawiła ją w ratunku w Milderhurst podczas akcji ewakuacyjnej.

– Nie byliście za bardzo żyte w dzieciństwie, prawda?

– Byłyśmy siostrami. To naturalne, że się czasami kłóciłyśmy, zwłaszcza w takim małym domu jak ten naszych rodziców, gdzie wszyscy włożyli sobie na głowę... Ale radziłyśmy sobie całkiem nieźle. Aż do wojny, do czasu, kiedy ona poznała tamtych ludzi. – Wyciągnęła ostatniego papierosa z paczki, podpaliła i wystrzeliła strumień dymu w stronę drzwi. – Po powrocie się zmieniła, w sposobie mówienia, ale nie tylko. Nabili jej głowę różnymi pomysłami.

– Jakimi pomysłami? – spytałam, ale wiedziałam już, o co chodzi.

W głos Rity wkradł się ton, który dobrze znałam: uraza osoby, która uważa, że oceniono ją niesprawiedliwie. Zamachała różowymi paznokciami koło głowy i już się przestraszyłam, że nic więcej nie powie. Patrzyła na drzwi, poruszając ustami, jakby przeżuwała różne warianty odpowiedzi. Miałam wrażenie, że wieki minęły, zanim znowu spojrzała mi w oczy. Płyta w gramofonie się skończyła i w salonie zapanowała niezwykła w tym miejscu cisza; brak muzyki otworzył przestrzeń, w której budynek mógł swobodnie syczeć i trzeszczeć, i narzekać na upał, smród i znój upływających lat. Ciotka Rita zacisnęła zęby i powiedziała powoli, czystym, klarownym głosem:

– Zrobiła się z niej snobka. No proszę, wreszcie to z siebie wyrzuciłam. Wyjechała jako jedna z nas, a wróciła snobka.

Coś, co zawsze wyczuwałam, nabrało nagle konkretnych rysów: stosunek mojego taty do ciotki i jej dzieci, nawet do babci; ciche rozmowy między rodzicami i różnice, które sama dostrzegałam między tym, jak postępowano u nas w domu i w domu Rity. Mama i tata byli snobami. Czulałam się zażenowana nimi i sobą, a potem w tym kłębówisku uczuć zezłościłam się na Ritę za to, co powiedziała, a potem zrobiło mi się wstyd, bo przecież sama ją do tego zachęcałam. Udałam, że koncentruję się na białej torebce, lecz obraz rozmazywał mi się przed oczami.

Ciotka Rita dla odmiany promieniała. Po jej twarzy rozlał się wyraz ulgi, sprawiała wrażenie, jakby świeciła od środka. Niewyartykułowany prawda była jak wrzód, który czekał dziesiątki lat na przecięcie.

– Książki – wyrzuciła z siebie, zduszając niedopałek papierosa – tylko o tym gadała po powrocie. Weszła do domu, zadarła nosa na nasze małe pokoiki, na piosenki śpiewane przez tatę przy robocie, i praktycznie zamieszkała w bibliotece. Chowwała się po kątach z książkami w rękę, kiedy powinna pomagać w domu, bredziła coś o pisaniu dla gazet i nawet tam coś wysyłała, wyobrażasz sobie?

Dosłownie szczeka mi opadła. Meredith Burchill niczego nie pisała, a już na pewno nie wysyłała artykułów do gazet. Próbowałam przekonać siebie, że Rita koloryzuje, ale informacja ta była tak szokująca, że musiała być prawdziwa.

– I opublikowano je?

– Jasne, że nie! Właśnie o tym mówię: nabijali jej do głowy andronów, pomysłów ponad jej stan, a to może prowadzić tylko do jednego.

– Co to były za rzeczy, które pisała?

– Nie mam pojęcia. Nigdy mi ich nie pokazywała. Prawdopodobnie uważała, że nie zrozumie. I tak nie miałabym czasu. Zaraz potem poznałam Billa i otworzyłam zakład. Była wojna, wiesz?

Roześmiała się, lecz gorycz pogłębiła zmarszczki wokół jej ust. Nigdy przedtem ich nie zauważyłam.

– Czy ktoś z Blythe'ów przyjeżdżał odwiedzać mamę w Londynie?

Rita wzruszyła ramionami.

– Od powrotu Merry zrobiła się strasznie tajemnicza, wymykała się z domu, nie mówiąc nikomu, dokąd idzie. Mogła się spotykać z każdym.

Czy coś przyczytało się w jej tonie głosu, czy jakaś nieuchwytna sugestia przylgnęła do jej słów, czy może mówiąc to, odwróciła wzrok. Tak czy inaczej, zorientowałam się natychmiast, że w tym, co powiedziała, coś się kryło.

– Na przykład z kim?

Oczy Rity się zwężyły, przechyliła głowę i popatrzyła na pudełko z torebkami, jakby nigdy w życiu nie widziała nic bardziej fascynującego od tego rzędu srebrnobiałych koronek.

– Ciociu Ritooo! – przynagliłam ją. – Z kim się spotykała?

– No dobrze, niech ci będzie. – Splotła ręce przed sobą tak, że biust

osiadł jej na przedramionach, po czym podniosła głowę i spojrzała mi w oczy. – Był nauczycielem, w każdym razie przed wojną, w Elephant and Castle. – Kokieteryjnym gestem zasłoniła dłonią dekolt. – O la, la, przystojniak z niego był, że ho, ho, on i jego brat, obaj jak gwiazdorzy filmowi, takie silne, milczące typy. Jego rodzina mieszkała niedaleko nas, za rogiem, i nawet twoja babcia znajdowała zawsze jakiś pretekst, żeby wyjść przed drzwi, kiedy przechodził. Wszystkie dziewczyny się w nim durzyły, łącznie z twoją mamą. – Wzruszyła ramionami. – W każdym razie kiedyś widziałam ich razem.

Znacie to powiedzenie, że oczy wyszły komuś na wierzch? Moje właśnie to zrobiły.

– Co? – spytałam. – Gdzie? Jak?

– Śledziłam ją. Była moją młodszą siostrą i nie zachowywała się normalnie. – Usprawiedliwienie odsunęło na bok wszelkie wyrzuty sumienia. – To były niebezpieczne czasy. Musiałam się upewnić, czy nic jej nie grozi.

Miałam w nosie, czemu ciotka śledziła moją mamę, chciałam się tylko dowiedzieć, co zobaczyła.

– No i dokąd poszli? Co robili?

– Widziałam ich tylko z daleka, ale to wystarczyło. Siedzieli razem w parku na trawie, bliźutko obok siebie. On mówił, a ona słuchała jak urzeczona, potem coś mu dała, a on... – Zagrzechotała pustym pudełkiem po papierosach. – Cholera, głowę bym dała, że same się wypalają.

– Rito!

Westchnęła szybko.

– Pocałowali się. Ona i pan Cavill, tam w parku, na oczach całego świata.

Gwiazdy się zderzyły, wybuchły sztuczne ognie, a z ciemnych zakamarków mojego umysłu wystrzeliły małe światełka.

– Pan Cavill!?

– No ruszże głową, skarbie. Nauczyciel twojej mamy, Tommy Cavill.

Odjęło mi mowę. Musiałam jednak wydać jakiś odgłos, bo Rita przyłożyła rękę do ucha i powiedziała:

– Co takiego?

Ale i tak nie byłam w stanie tego powtórzyć. Moja matka, moja nastoletnia matka wykradała się z domu na potajemne schadzki ze swoim nauczycielem, narzeczoną Juniper Blythe, dorosłym mężczyzną, w którym się durzyła. W czasie tych spotkań coś mu dawała i całowała się z nim. I wszystko to wydarzyło się kilka miesięcy przed tym, jak porzucił Juniper.

– Jakoś mizerniutko wyglądasz, kochanie. Chcesz lemoniady?

Kiwnęłam głową. Przyniosła mi. Napiłam się zachłannie.

– Jeśli cię to interesuje, to powinnaś przeczytać listy twojej matki.

– Jakie listy?

– Te, które pisała z zamku do Londynu.

– Nie pozwoliłaby mi.

Rita wzruszyła ramionami.

– Nie musi o tym wiedzieć.

Moje spojrzenie musiało zamienić się w wielki znak zapytania.

– Były wśród rzeczy twojej babci – wyjaśniła Rita. – Po jej śmierci trafiły do mnie. – Niemądra, sentymentalna staruszka trzymała je przez te wszystkie lata, mimo że sprawiły jej tyle przykrości. Była przesądna, uważała, że listów nie wolno wyrzucać. Zaraz je wygrzebię, jeśli chcesz.

– No... nie wiem. Nie powinnam...

– To są listy – zauważyła Rita, cofając brodę z chytrą miną. – Zostały napisane po to, żeby je czytać, tak czy nie?

Niepewnie kiwnęłam głową.

– Mogłyby ci pomóc, jeśli chcesz zrozumieć, co chodziło twojej mamie po głowie w tym jej zamczysku.

Myśl, że miałabym czytać listy mamy bez jej wiedzy, szarpnęła ostro za struny mojego sumienia, ale je uciszyłam. Rita miała rację: listy napisała wprawdzie moja mama, ale były skierowane do jej rodziny w Londynie. Ciotka miała wszelkie prawo mi je przekazać, a ja miałam prawo je przeczytać.

– Tak – odparłam piskliwym głosem. – Tak, proszę.

Przełom w poczekalni

Ponieważ życie toczy się czasem pokrętnymi torami, tak się ułożyło, że w czasie gdy ja wybebeszałam sekrety mojej mamy, tata dostał zawału serca. Kiedy wróciłam od Rity, Herbert czekał już na mnie z wiadomością. Wziął mnie za obie ręce i powiedział, co się stało.

– Bardzo mi przykro. Dałbym ci znać wcześniej, ale nie wiedziałem, gdzie jesteś.

– O Boże... – Serce w panice waliło mi w piersi. – Obróciłam się na pięcie w stronę drzwi, a potem z powrotem. – Czy on...?

– Jest w szpitalu. O ile wiem, stan jest stabilny... Twoja mama niewiele mi powiedziała.

– Muszę...

– Tak. Wezwę ci taksówkę.

Przez całą drogę gawędziłam z taksówkarzem, który był niskim mężczyzną o intensywnie niebieskich oczach i brązowych włosach, pokrywających się patyną siwizny, oraz ojcem trojga małych dzieci. Opowiadając historie ich psot, kręcił głową z tą żartobliwą irytacją, którą demonstrowują rodzice małych dzieci, aby zatuszować swoją dumę, ja zaś uśmiechałam się i zadawałam pytania, a mój głos brzmiał normalnie, beztrąsko. Dojechaliśmy prawie na miejsce i dopiero kiedy wręczyłam mu dziesięć funtów i kazałam zatrzymać resztę, po czym życzyłam mu dobrej zabawy na występie tanecznym jego córki, zorientowałam się, że zaczęło padać, a ja stoję na chodniku przed szpitalem Hammersmith bez parasolki i patrzę, jak taksówka znika w zapadającym zmierzchu, a tymczasem mój ojciec leży gdzieś tam ze złamanym sercem.

Mama jakby się skurczyła. Siedziała na końcu rzędu plastikowych krzesel, a za jej plecami wznosiła się przytłaczająco buro-niebieska szpitalna ściana. Zawsze ubierała się jak z innej epoki: kapelusze, rękawiczki pod kolor, buty przechowywane w pudełkach ze sklepu. Cała jedna półka ugięła się pod ciężarem najróżniejszych torebek, stłoczonych, czekających na awans uzupełnienia garderoby na dany dzień. Przez myśl by jej nawet nie przeszło, że mogłaby przestąpić próg mieszkania z nieupudrowaną twarzą, bez szminki na ustach, nawet kiedy jej mąż jechał z przodu w karetce. Jak bardzo musiałam ją rozczarować: o kilkanaście centymetrów za wysoka, z włosami zbyt mocno kręconymi, ustami poplamionymi tanim błyszczkiem, który udało mi się wygrzebać w gruzowisku drobnych pieniędzy, zeschniętych miętówek i dziesiątków innych przypadkowych drobiazgów, które żyją w przestworzach mojej spłowiełej torby.

– Mamusiu. – Podeszłam do niej i pocałowałam ją w policzek trudem zimny od klimatyzacji i usiadłam obok niej na krześle. – Co z nim?

Pokręciła głową, a mnie niczym gruda utknęła w gardle obawa przed najgorszym.

– Nie powiedzieli. Przywożą jakieś urządzenia, lekarze wchodzi i wychodzą. – Zamknęła na chwilę oczy i nadal kręciła lekko głową. – Nie wiem.

Z trudem przełknęłam ślinę i uznałam, że lepiej nie wiedzieć, niż wiedzieć najgorsze, postanowiłam się jednak nie dzielić z nią tym frazesem. Chciałam powiedzieć coś oryginalnego i podnoszącego na duchu, coś, co choć trochę uśmierzyłoby jej zmartwienie, co zapewniłoby ją, że wszystko będzie dobrze, lecz żadna z nas nie miała doświadczenia na polu pocieszenia i cierpienia, więc nie powiedziałam nic.

Spojrzała na mnie, wyciągnęła rękę, żeby założyć mi kręcony kosmyk za ucho, a ja pomyślałam sobie, że to może nie ma znaczenia, że ona i tak wie, co myślę, jak rozpaczliwie chciałabym jej ulżyć; że nie musimy nic mówić, ponieważ jesteśmy rodziną, matką i córką i niektóre rzeczy są oczywiste bez słów...

– Okropnie wyglądasz – orzekła.

Zerknęłam na swoje odbicie w przeszklonym plakacie służby zdrowia.

– Pada deszcz.

– Taka wielka torba – odparła, uśmiechając się z dezaprobatą – i nie ma w niej miejsca na parasolkę.

Pokręciłam lekko głową, a ten ruch zamieniał się w dreszcz. Nagle uświadomiłam sobie, że jest mi zimno.

✠

W poczekalni szpitala trzeba się koniecznie czymś zająć, inaczej człowiek zaczyna tylko czekać i rozmyślać, co w moim mniemaniu jest kiepskim pomysłem. Kiedy siedziałam w milczeniu obok mamy, zamartwiając się o tatę, nasłuchując zegara zamiatającego upływające sekundy i próbując zapamiętać, że muszę kupić parasolkę, horda przyczajonych myśli skradała się pod ścianami i wyciągała ku mnie swoje długie, cienkie palce. Zanim zdążyłam się zorientować, złapały mnie za rękę i zaciągnęły do miejsc, których nie odwiedzałam od lat.

Stałam pod ścianą naszej łazienki i obserwowałam czteroletnią Edith Burchill spacerującą po krawędzi wanny. Mała, goła dziewczynka pragnie uciec z Cyganami. Nie za bardzo dobrze wie, jacy oni są ani gdzie ich szukać, ale wie na pewno, że z nimi najprędzej znajdzie cyrk, do którego będzie mogła się przyłączyć. Marzy o tym i dlatego właśnie ćwiczy chodzenie po linie. Już prawie doszła na drugi koniec, kiedy się pośliznęła. Leci do przodu, zapiera jej dech w piersi i łąduje z buzią pod wodą. Syreny, jaskrawe światelka, dziwne twarze...

Zamrugałam i wizja się rozwiła zastąpiona przez inną. Pogrzeb babci. Siedzę w pierwszej ławie obok mamy i taty i tylko jednym uchem słucham, jak proboszcz opisuje jakąś nieznaną mi kobietę. Moją uwagę zaprzatają buty. Są nowiutkie i chociaż wiem, że powinnam patrzeć na trumnę i myśleć o poważnych sprawach, nie mogę przestać przyglądać się tym bucikom z lakierowanej skóry, obracać je na wszystkie strony, aby lepiej widzieć, jak błyszczą. Tata to zauważa, trąca mnie lekko ramieniem i zmuszam się, aby uważać na to, co się dzieje przede mną. Na trumnie stoją dwa zdjęcia, jedno babci takiej, jaką znałam, drugie obcej

– młodej kobiety, która siedzi na plaży, a jej figlarny uśmiech sugeruje, że właśnie otwiera usta, aby zażartować z fotografa. Wtedy pastor coś mówi i ciotka Rita wybuchła płaczem, po policzku ciekną jej strużki czarnego tuszu, a ja patrzę niecierpliwie na moją mamę i czekam na jej odpowiedź. Dłonie w rękawiczkach spoczywają na kolanach, patrzy skupiona na trumnę, ale nic się nie dzieje. Napotkałam wzrok mojej siostry ciotecznej Samantha. Ona również obserwowała moją mamę i nagle robi mi się wstyd...

Stanowczym ruchem podniosłam się z krzesła, chwytając czarne myśli z zaskoczenia i rozpędzając je na cztery wiatry. Miałam bardzo głębokie kieszenie, zdecydowanym gestem wsunęłam ręce aż na samo dno, by przekonać samą siebie, że mam jakiś cel, po czym ruszyłam korytarzem i w muzealnym skupieniu zaczęłam oglądać spłowiałe plakaty zachęcające do programu szczepień ochronnych sprzed dwóch lat, cokolwiek, byle być tu i teraz, i jak najdalej od wtedy.

Skręciłam za rogiem w jasno oświetloną wnękę i zobaczyłam automat z gorącymi napojami, podpierający ścianę, taki z podstawką na kubek i dyszą, z której wystrzeliwuje czekolada w proszku, granulowana kawa i wrzątek, w zależności od upodobań. Obok na plastikowej tacce leżała herbata ekspresowa, wzięłam dwie i udrapowałam je w styropianowych kubeczkach, jedną dla siebie, drugą dla mamy. Przez chwilę obserwowałam, jak z krwawiących saszetek wysnuwają się do wody rdzawe wstążeczki, po czym nie spiesząc się, wsypałam mleko w proszku i mieszałam, dopóki pył się całkiem nie rozpuścił. Dopiero wtedy wróciłam do poczekalni.

Mama wzięła ode mnie herbatę bez słowa, palcem wskazującym wytarła strużkę płynu, która wychlapała się z brzegu. Trzymała gorący kubek w dłoniach, lecz nie podnosiła go do ust. Usiadłam obok niej i starałam się o niczym nie myśleć, niestety, mój umysł wygrywał ze mną w przedbiegach i zaczął się właśnie zastanawiać, jak to się stało, że mam tak niewiele wspomnień związanych z tatą, mówię o prawdziwych wspomnieniach, nie takich wykradzonych z fotografii i rodzinnych powieści.

Byłam na niego zła – odezwała się w końcu. – Podnosiłam głos.

Wyjęłam mięso z piekarnika i położyłam na stole do pokrojenia. Stało i stygło, ale uznałam, że dobrze mu zrobi, jak zje zimny obiad, miałam dosyć ciąglego wołania po próżnicy. Pomyślałam: zobaczymy, jak ci się spodoba zimne jedzenie. – Zacisnęła usta jak ktoś, komu łyżę dławia głos i chce to ukryć. – Znowu siedział pół dnia na strychu, ściągał jakieś pudła i robił w korytarzu graciarnię, nie mam pojęcia, jak one teraz tam wrócą, ojciec nie będzie mógł... – Zajrzała niewidzącym wzrokiem do kubka. – Poszedł do łazienki umyć się przed obiadem i wtedy to się stało. Znalazłam go koło wanny, dokładnie w tym miejscu, gdzie ty upadłaś, kiedy byłaś mała. Leżał na podłodze, ręce miał całe w mydle.

Zapadło milczenie, korciło mnie, aby je wypełnić. Z jakiegoś powodu rozmowa podnosi na duchu, jej uporządkowany przebieg zakotwicza rozmówców w rzeczywistości. Przecież kiedy ludzie toczą racjonalny dialog, nie może się wydarzyć nic nieprzewidzianego, prawda?

– I wezwałaś pogotowie – zachęciłam ją jak przedszkolanka nieśmiała dziecko.

– Na szczęście przyjechali bardzo szybko. Siedziałam przy nim i wycierałam to mydło, a oni wyrosli jak spod ziemi. Dwoje, mężczyzna i kobieta. Musieli go reanimować, tym urządzeniem do elektrowstrząsów.

– Defibrylatorem – powiedziałam.

– Dali mu jakieś lekarstwo, żeby usunąć zakrzepy. Cały czas miał na sobie ten sam podkoszulek, pamiętam, jak pomyślałam, że powinnam przynieść mu czysty.

Pokręciła głową, a ja nie byłam pewna, czy to z żalu, że tego nie zrobiła, czy ze zdumienia, że taka myśl przyszła jej do głowy w chwili, gdy jej mąż leżał nieprzytomny na podłodze, ale uznałam, że to teraz bez znaczenia, a ja nie mam prawa jej oceniać. Nie zapomniałam, że nie było mnie przy niej, kiedy mnie potrzebowała, ponieważ próbowałam wyciągnąć od Rity szczegóły jej przeszłości.

Korytarzem szedł w naszą stronę jakiś lekarz, mama zacisnęła palce, a ja zaczęłam się podnosić, lecz mężczyzna nie zwolnił, skręcił w poczekalni na drugą stronę i zniknął za innymi drzwiami.

– To już nie potrwa długo, mamusiu.

Brzęmię niewypowiedzianych przeprosin ścisnęło mnie za gardło. Poczułam się rozpaczliwie bezradna.

✠

Jest tylko jedno zdjęcie ślubne moich rodziców. To znaczy, możliwe, że więcej fotografii obrasta gdzieś kurzem w zapomnianym białym albumie, ale tylko o jednej wiem, że przetrwała upływ czasu.

Są na nim we dwoje, nie tak, jak na wielu zdjęciach ślubnych, gdzie rodziny państwa młodych otaczają młodą parę po obu stronach na kształt skrzydeł, lecz zawsze niesymetrycznych, tak że trudno uwierzyć, by ten stwór mógł się wznieść w powietrze. Na zdjęciu moich rodziców niedobrane rodziny gdzieś się rozpierzchły i zostali tylko we dwójkę. Ona wpatruje się w niego jak oczarowana, jakby świecił własnym światłem, co po części jest prawdą i efektem staromodnego oświetlenia.

Oboje są tak niewiarygodnie młodzi. Tata ma gęste włosy, nawet na czubku głowy, i nie wie, że nie pozostaną tam długo. Nie wie, że urodzi mu się syn, którego potem straci, a następnie córka, której nie będzie rozumiał, że żona pewnego dnia go zlekceważy, a serce odmówi mu posłuszeństwa i pogotowie zawiezie go do szpitala i ta sama żona będzie siedziała w poczekalni z córką, czekając, aż odzyska przytomność.

Żadnej z tych rzeczy nie widać na fotografii, nawet w mglistym zarysie. Zdjęcie jest znieruchomiałą chwilą, a przyszłość rozciąga się przed nimi nieznana, tak jak powinna. Lecz jednocześnie w jakiś sposób jest tam obecna. Widać ją w oczach, zwłaszcza panny młodej, albowiem fotograf zdołał uchwycić coś więcej niż młodą parę w dniu ślubu, uchwycił chwilę przekroczenia progu, spiętrzoną falę morską tuż przed tym, jak zamieni się w pianę, a potem z łoskotem runie w dół. A młoda kobieta, moja matka, widzi coś więcej niż tylko młodzieńca, w którym się zakochała, widzi całe wspólne życie rozciągające się przed nimi...

A może ubarwiam tę scenę, może tylko podziwia jego włosy albo myśli o przyjęciu weselnym lub miesiącu miodowym. Oglądając takie zdjęcia, człowiek tworzy własne fantazje, obrazy, które zamieniają się w rodzinną legendę. Siedząc wtedy w szpitalu, zrozumiałam, że jest tylko jeden sposób, aby się dowiedzieć, co czuła, jakie nadzieje ją przepełniały,

kiedy tak na niego patrzyła, czyjej życie było bardziej skomplikowane, jej przeszłość bardziej złożona, niż sugerował to zachwyt na twarzy. Wystarczyłoby zapytać. Dziwne, że nigdy wcześniej o tym nie pomyślałam. To pewnie wina tego światła na twarzy taty. Spojrzenie mamy kieruje uwagę obserwatora na niego, łatwo więc ją zlekceważyć jako młodą, niewinną dziewczynę skromnego pochodzenia, której życie dopiero się zaczyna. Zdałam sobie sprawę, że był to mit, który moja mama podsycała ze wszystkich sił, albowiem ilekroć opowiadała o przeszłości z czasów, kiedy się jeszcze nie znali, to zawsze były historie z życia ojca.

Odtwarzając w myślach to zdjęcie świeżo po wizycie u Rity, skupiałam się na twarzy mamy, ukrytej w cieniu, trochę mniejszej od oblicza taty. Czy to możliwe, że ta młoda kobieta z szeroko otwartymi oczami nosiła w sercu sekret? Że dziesięć lat przed poślubieniem tego spokojnego, promieniejącego mężczyzny, przeżyła potajemny romans ze swym nauczycielem, mężczyzną zaręczonym z jej starszą przyjaciółką? Miała wtedy mniej więcej piętnaście lat. Meredith Burchill z całą pewnością nie była typem kobiety, którą można by posądzać o nastoletni romans, ale co z Meredith Baker? Ulubionym tematem wykładów, jakie robiła mi, kiedy dorastałam, były rzeczy, których nie robią porządne dziewczyny. Czy to możliwe, że mówiła to z doświadczenia?

Przytłoczyło mnie uczucie, że właściwie niczego nie wiem o osobie, która siedzi obok mnie. Kobieta, która nosiła mnie w łonie, w której domu się wychowywałam, była mi w jakiś sposób obca. Przeżyłam trzydzieści lat, widząc ją równie dwuwymiarowo, co papierowe lalki, którymi bawiłam się w dzieciństwie, z przyklejonymi uśmiechami i sukienkami przymocowywanymi na zakładki. Co więcej, spędziłam kilka ostatnich miesięcy, lekkomyślnie szperając w jej najgłębszych tajemnicach, a jednocześnie nie zadałam sobie trudu, aby poznać inne ważne fakty z jej życia. Kiedy siedzieliśmy w szpitalu, a gdzieś na oddziale intensywnej terapii leżał mój tata, wydało mi się nagle sprawą wielkiej wagi dowiedzieć się czegoś więcej o moich rodzicach. O mojej mamie. O tajemniczej kobiecie, która czyniła aluzje do Szekspira, która wybrała *Człowieka z Błota* dla swojej rozkapryśzonej, znudzonej córki, która za młodu wysyłała artykuły do gazet.

– Mamusiu?

– Hmm?

– Jak się poznaliście z tatą?

Głos jej zaskrzypiał od długiego milczenia, więc odchrząknęła i zaczęła jeszcze raz:

– W kinie. Na filmie *The Holly and the Ivy*. Znasz go?

Cisza.

– Tak naprawdę chciałam zapytać, jak przebiegło wasze pierwsze spotkanie. Czy to on ciebie zauważył? Czy ty jego? Kto pierwszy zaczął rozmowę?

– Och, Edie, nie pamiętam. On, nie, ja. Nie wiem. – Poruszyła palcami jak lalkarz pociągający za sznurki swoich aktorów. – Byliśmy jedynymi widzami w sali kinowej, wyobrazasz sobie?

Przez jej twarz przemknął daleki i pełen czułości wyraz, jakby zaofiarowano jej zwolnienie od przytłaczającej teraźniejszości, w której jej mąż walczył o życie w sali szpitalnej.

– Był przystojny? – zachęcałam ją dalej łagodnie. – Czy to była miłość od pierwszego wejrzenia?

– Wręcz przeciwnie. W pierwszej chwili wzięłam go za mordercę.

– Co? Tatę?

Myślę, że nawet mnie nie usłyszała, tak bardzo zatopiła się we wspomnieniach.

– To niesamowite uczucie znaleźć się samemu w kinie. Rzędy pustych krzesel, ciemna sala, wielki ekran. Mają służyć zbiorowym przeżyciom, w przeciwnym razie wywołują niesamowity efekt odosobnienia. Wszystko może się zdarzyć w tej ciemności.

– Usiadł obok ciebie?

– Och nie. Zachował stosowny dystans. Twój tata jest dżentelmenem. Zaczęliśmy rozmawiać później, w holu. Był z kimś umówiony.

– Z kobietą?

Z nagłym zainteresowaniem zaczęła się przyglądać swojej spódnicy, po czym odrzekła tonem łagodnej nagany.

– No wiesz, Edie.

– Tylko pytam.

– Zdaje się, że to była kobieta, ale nie przyszła. – Przycisnęła dłoń do kolan, prychnęła lekko, unosząc głowę. – Zaprosił mnie na herbatę,

a ja przyjąłam propozycję. Poszliśmy do Lyons Corner Shop przy Strand Street. Zamówiłam kawałek placka gruszkowego i pamiętam, że wydał mi się przepyszny.

Uśmiechnęłam się.

– Był twoim pierwszym chłopakiem?

Czyżby przywidziało mi się to wahanie?

– Tak.

– Odbiłaś narzeczonego innej kobiecie – droczyłam się z nią.

Starałam się powiedzieć to lekkim tonem, ale natychmiast pomyślałam o Juniper Blythe i Thomasie Cavillu i aż policzki mnie zapiekły. Tak się speszyłam swoim własnym *faux pas*, że nie zwróciłam nawet uwagi na reakcję mamy i szybko ciągnęłam, zanim zdążyła odpowiedzieć.

– Ile miałaś wtedy lat?

– Dwadzieścia pięć. To było w pięćdziesiątym drugim roku, właśnie skończyłam dwadzieścia pięć.

Skinęłam głową, jakbym sama dokonywała w pamięci niezbędnych obliczeń, podczas gdy tak naprawdę słuchałam cichutkiego głosiku, który szeptał mi w głowie: „Czy to nie jest dobry moment, skoro jesteście przy temacie, żeby zapytać o Thomasa Cavilla?”. To był wyrachowany podszept i haniebnie z mojej strony, że go w ogóle usłyszałam; nie jestem z tego dumna, ale okazja była zbyt kusząca. Powiedziałam sobie, że przynajmniej odciągam uwagę mamy od niepokoju o tatę i prawie jednym tchem wyrzuciłam z siebie:

– Dwadzieścia pięć lat to trochę dużo jak na pierwszego chłopaka.

– Niezupełnie – odparła szybko. – To były inne czasy. Wszystkich zaprzętały inne sprawy.

– A potem poznałaś tatę?

– Tak.

– I zakochałaś się?

Odpowiedziała głosem tak miękkim, że bardziej wyczytałam jej odpowiedź z ruchu warg, niż usłyszałam:

– Tak.

– To była twoja pierwsza miłość?

Gwałtownie wciągnęła powietrze, popatrzyła na mnie, jakbym uderzyła ją w policzek.

- Edie, przestań!
- A więc ciotka Rita miała rację.
- Nie mów o nim w czasie przeszłym!

Oczy jej się zaszklily. Poczułam się fatalnie, jakbym naprawdę ją spoliczkowała, a potem jeszcze gorzej, kiedy ukryła twarz na moim ramieniu i zaczęła płakać. Łzy ciekły jej po twarzy, lecz nie szlochała. Moja mama nigdy nie szlocha. Chociaż plastikowa rama krzesła wrzyniała mi się boleśnie w ramię, nie poruszyłam ani jednym mięśniem.

✠

Z dworu napływały i odpływały kolejne fale ulicznego hałasu, od czasu do czasu zagłuszane sygnałami karetek pogotowia. Ściany szpitalne, choć zbudowane jedynie z cegły i zaprawy murarskiej, mają dziwną właściwość: kiedy jest się w środku, cały zgłęb ruchliwego miasta za murami znika; jest tuż za drzwiami, lecz równie dobrze mógłby być częścią czarodziejskiej krainy za siedmioma górami. Uprzytomniłam sobie, że podobne wrażenie odniosłam w Milderhurst: to samo przytłaczające uczucie odizolowania po przekroczeniu zamkowego progu, jak gdyby świat na zewnątrz zamienił się w ziarnka piasku i rozsypał. Zastanawiałam się, co też porabiają teraz siostry Blythe, jak wypełniają sobie tygodnie, które upłynęły od mojej wizyty, trzy stare kobiety w wielkim, ciemnym zamku. Przed oczami przewijały mi się kolejne obrazy, niczym seria kadrów: Juniper snująca się po korytarzach w zniszczonej, jedwabnej sukni; Saffy wyrastająca jak spod ziemi, aby odprowadzić ją delikatnym, lecz stanowczym gestem; Percy stojąca ze zmarszczonym czołem przy oknie pokoju na poddaszu, lustrująca swoje ziemie niczym kapitan statku na wachcie...

Minęła północ, pielęgniarki schodziły z dyżuru, nowe twarze przyniosły z sobą fale śmiechu i przekomarzania i wypełniły wesołą krzątaniną jasno oświetlony hol punktu medycznego wyglądający niczym latarnia morska, wyspa normalności na nieprzebytym oceanie szpitala. Próbowałam się zdrzemnąć, wykorzystując torebkę jako poduszkę, ale na próżno, mama obok mnie była taka mała i samotna i starsza niż kilka dni temu, a ja nie mogłam powstrzymać galopującego umysłu, który wybiegał naprzód i odmalowywał przede mną szczegóły jej życia bez taty. Widziałam je tak wyraźnie: jego pusty fotel, milczące posiłki,

cisza pozbawiona nieustannych odgłosów majsterkowania. Jaki samotny stanie się jej dom, jaki wymarły, wypełniony echem.

Jeśli stracimy tatę, zostaniemy tylko we dwie. Dwie to mała liczba, niepozostawiająca żadnych rezerw. To liczba cicha, sprzyjająca uporządkowanym, prostym konwersacjom, których nikt nie powinien przerywać. I nie musi. Czy taka nas czeka przyszłość? Matka i córka, które wymieniają zdania, wypowiadają opinie, karmią się półprawdami i zachowują pozory? Była to koszmarna perspektywa, poczułam się nagle bardzo, bardzo samotna.

W takich chwilach samotności najbardziej brakuje mi mojego brata. Byłby dziś dorosłym mężczyzną, o swobodnym, niewymuszonym sposobie bycia, miłym uśmiechu i darze rozweselenia mamy. Daniel z moich wyobrażeń zawsze dokładnie wie, co powiedzieć, w przeciwieństwie do swojej nieszczęsnej siostry, która cierpi na chroniczną niemotę. Zerknęłam na mamę, zastanawiając się, czy ona też o nim myśli, czy pobyt w szpitalu u niej także wywołał wspomnienia utraconego syna. Nie mogłam o to zapytać, ponieważ nigdy nie rozmawialiśmy o Danielu, tak jak nigdy nie rozmawialiśmy o ewakuacji, o jej przeszłości, jej żalu.

Może sekrety, które tak długo dusiły się pod powierzchnią życia naszej rodziny, wprawiły mnie w ten smutny nastrój; a może narzuciłam sobie rodzaj pokuty za to, że wcześniej sprawiłam jej przykrość swoimi pytaniami; może nawet coś we mnie pragnęło wzbudzić reakcję, ukarać mamę za ukrywanie przede mną swoich wspomnień i za pozbawienie mnie prawdziwego Daniela; bez względu na to, jaka była przyczyna, zanim się zorientowałam, co robię, nabrałam powietrza i wypaliłam:

– Mamusiu?

Potała oczy i zamrugnęła na zegarek na rękę.

– Jamie i ja się rozeszliśmy.

– Naprawdę?

– Tak.

– Dzisiaj?

– No nie, niezupełnie. W okolicach Bożego Narodzenia.

Mama wydała cichy odgłos zdziwienia.

– Och. – Zmarszczyła brwi zdeorientowana, analizując, licząc miesiące, które minęły od tamtej pory. – Nic nie powiedziałaś...

– Nie.

Twarz jej się zapadła na tę wiadomość i wszystko, co z niej wynikało. Powoli pokiwała głową, przypominając sobie dziesiątki sytuacji, kiedy wypytywała mnie o Jamiego, a ja kłamałam.

– Musiałam się wyprowadzić z mieszkania – powiedziałam i odchrząknęłam. – Szukam jakiejś kawalerki do wynajęcia.

– To dlatego nie mogłam się do ciebie dodzwonić, kiedy tata... Próbowałam wykręcać wszystkie numery, jakie mi przychodziły do głowy, nawet do Rity, aż w końcu udało mi się złapać Herberta. Nie miałam pojęcia, gdzie cię szukać.

– Tak się składa, że to był idealny pomysł – oznajmiłam sztucznie wesołym głosem – bo od jakiegoś czasu u niego pomieszkuję.

Mama spojrzała mi w oczy.

– Herbert ma wolny pokój?

– Sofę.

– Rozumiem. – Dłonie mamy leżały na kolanach zwinięte, jakby trzymała w nich drogiego ptaszka. – Muszę wysłać Herbertowi liścik – powiedziała wytartym głosem. – Przysłał nam na Wielkanoc swój dżem jeżynowy i nie pamiętam, czy mu odpisałam z podziękowaniem.

I tak się mniej więcej zakończyła rozmowa, przed którą wzdragałam się od miesięcy. Stosunkowo bezbolesna, co było dobre, lecz również jakoś bezduszna.

Mama wstała i w pierwszej chwili przyszło mi do głowy, że się myliłam, że nasza rozmowa wcale się nie zakończyła i że jednak czeka mnie scena, lecz wtedy spojrzałam w kierunku, w którym ruszyła, i zobaczyłam, że w naszą stronę idzie lekarz. Podniosłam się, próbując wyczytać coś z jego oczu, odgadnąć, na którą stronę spadnie moneta, ale nie dało się. Jego mina pasowała do każdego scenariusza. Myślę, że uczyli się tego na studiach.

– Pani Burchill? – spytał żywym głosem z lekkim obcym akcentem.

– Tak.

– Stan pani męża jest stabilny.

Mama wydała odgłos, jakby z małego balonika uszło nagle powietrze.

– Dobrze, że karetka dojechała na miejsce tak szybko, wezwała ich pani w samą porę.

Usłyszałam cichy odgłos podobny do czkawki i domyśliłam się, że mama znowu płacze.

– Zobaczmy, jak będzie przebiegać jego rekonwalescencja, lecz na razie wszystko wskazuje na to, że żadne zabiegi naczyniowe nie będą potrzebne. Zostanie przez kilka dni na obserwacji, a potem dalsze leczenie będzie mogło przebiegać w domu. Będzie pani musiała obserwować jego nastroje, pacjenci po chorobach sercowych często zmagają się z depresją. Pielęgniarki pani wszystko wyjaśnią.

Mama kiwała gorliwie głową.

– Oczywiście, oczywiście.

I jednocześnie, podobnie jak ja, szukała odpowiednich słów na wyrażenie swojej wdzięczności i ulgi. W końcu udało jej się wykrztusić jedynie stare, proste: „Dziękuję, panie doktorze”, lecz lekarz wycofał się już za zasłonę nieskazitelnej bieli swego fartucha. Skinął tylko głową z nieobecny wyrazem twarzy, jakby powinien być w innym miejscu, ratować inne życie, co bez wątplenia robił, i z pewnością zapomniał już, kim byliśmy.

Miałam właśnie zaproponować, żebyśmy weszły i zobaczyły tatę, kiedy mama wybuchła szlochem. Nie było to już ronienie łez ocieranych ukradkiem wierzchem dłoni, lecz prawdziwe łkanie, które wstrząsało całym ciałem. Przypomniały mi się chwile z dzieciństwa, kiedy rozplakałam się z powodu jakiegoś drobiazgu i mama powtarzała mi, że choć niektóre dziewczęta mają szczęście wyglądać ładnie z zapłakaną twarzą, rozszerzonymi oczami, zaczerwienionymi policzkami i nabrzmiałymi, wydętymi ustami, ani ona, ani ja się do nich nie zaliczamy.

Miała rację, obie jesteśmy brzydkimi płaczkami. Na twarze występują nam plamy, rysy wykrzywają się nieładnie i szlochamy zbyt głośno. Lecz widząc ją taką małą, tak nienagannie ubraną i tak nieszcześliwą, miałam ochotę ją objąć i przytulać, dopóki nie przestanie szlochać. Nie zrobiłam tego. Sięgnęłam do torby i wyjęłam chusteczkę.

Wzięła ją, lecz płakała dalej. Po chwili wahania wyciągnęłam rękę, żeby dotknąć jej ramienia, potem ją poklepałam, a następnie pomasowałam po plecach kaszmirowego kardigana. Stałyśmy tak we dwie, aż w

końcu poddała się i pochyliła do mnie jak dziecko dopraszające się o pocieszenie. W końcu wytarła nos.

– Tak się bałam, Edie – wyszlochała, ocierając oczy jedno po drugim i sprawdzając na chusteczce, czy nie rozmazał jej się tusz.

– Wiem, mamusiu.

– Nie wiem, czy mogłabym... gdyby coś się stało... gdybym go straciła...

– Już dobrze – powiedziałam stanowczo. – Najgorsze minęło. Wszystko będzie dobrze.

Zamrugła na mnie, jak małe zwierzątko oślepięone blaskiem słońca.

– Tak.

Dowiedziałam się od pielęgniarki o numer jego sali i ruszyłyśmy korytarzem, szukając właściwego pokoju. Nagle mama przystanęła.

– Co się stało? – spytałam.

– Edie, nie chcę, żeby tata się denerwował.

Nie odpowiedziałam, zastanawiając się, skąd jej przyszło do głowy, że mogłabym planować coś takiego.

– Będzie się bardzo przejmował, kiedy usłyszy, że śpisz na sofie. Wiesz, jak on się zawsze martwił o twój kręgosłup.

– To nie potrwa długo. – Zerknęłam w stronę drzwi. – Naprawdę, mamusiu, pracuję nad tym. Przeglądałam ogłoszenia o wynajmie mieszkań, ale na razie nie znalazłam nic odpowiedniego...

– Nonsens.

Wyglądziła spódnice i wzięła głęboki oddech. Nie patrzyła mi w oczy, kiedy powiedziała:

– Masz całkowicie odpowiednie łóżko w domu.

Do domu, do domu, hopsasa!

I tak mając trzydzieści lat, jako samotna kobieta zamieszkałam z rodzicami w domu, w którym się wychowywałam, w swoim dziecięcym pokoju, spałam w tym samym łóżku pod oknem wychodzącym na dom pogrzebowy Singer i Synowie. Zawsze to postępowanie, rzekłby ktoś, zważywszy na moją ostatnią sytuację. Uwielbiam Herberta i lubię spędzać czas ze starą, poczciwą Jess, lecz Bóg mi oszczędził dalszej konieczności dzielenia z nią sofy.

Sama przeprowadzka odbyła się stosunkowo bezboleśnie. Nie zabrałam z sobą wiele rzeczy, ponieważ był to układ przejściowy, jak powtarzałam każdemu, kto zechciał mnie słuchać, więc uznałam za rozsądne zostawić większość pudeł u Herberta. Zapakowałam sobie zwykłą walizkę i pojechałam do rodziców, gdzie zastałam wszystko niemal nieznajdowane od czasu, gdy wyprowadziłam się dziesięć lat temu.

Nasz dom w Barnes został wybudowany w latach sześćdziesiątych i kupiony, kiedy moja mama była ze mną w ciąży. Najbardziej uderza w nim coś, co zdarza się w domach wyjątkowo rzadko: brak rupieci. Nie ma w nim ani jednej niepotrzebnej rzeczy. Wszystko w domu Burchillów jest uporządkowane według ścisłych zasad: brudna bielizna w pralni posegregowana w kilku koszach; ściereczki w kuchni dobrane w jednym kolorze; przy telefonie leży notes z długopisem, który nigdy nie zmienia miejsca, a w całym mieszkaniu nie uświadczysz ani jednej koperty zabazgranej adresami i nazwiskami ludzi, którzy dzwonili. Wszystko jak spod igły. Nic dziwnego, że w dzieciństwie podejrzewałam rodziców o adopcję.

Nawet taty sprzątanie strychu spowodowało tylko minimalny bałagan

– około dwudziestu pudełek ze spisami zawartości przyklejonymi taśmą przezroczystą do pokryw plus przestarzały sprzęt elektroniczny zgromadzony w ciągu trzydziestu lat i nadal przechowywany w swoich oryginalnych opakowaniach. Nie mogą jednak wiecznie zalegać w korytarzu. Ponieważ tata powracał do zdrowia po zawale, ja zaś miałam weekendy wolne jak dmuchawce na wietrze, rzecz jasna przejęłam jego zajęcie. Harowałam niczym żołnierz i tylko raz dałam się oderwać od pracy – kiedy trafiłam na pudełko podpisane: „Rzeczy Edie” i nie mogłam się powstrzymać, żeby go nie otworzyć. W środku znalazłam mnóstwo zapomnianych rupieci: koraliki z luszczącą się farbą, porcelanową szkatułkę na biżuterię we wróżki i głęboko pod stertą dupereli i książek... aż mnie zatchnęło: mój przestępczo zdobyty, hołubiony, a potem zawieruszony *Człowiek z Błota*.

Kiedy trzymałam małą, zniszczoną przez czas książeczkę w swych dorosłych dłoniach, opadła mnie fala rozmigotanych wspomnień. Obraz mojego dziesięcioletniego alter ego rozciągniętego na sofie był tak plastyczny, że mogłam prawie wyciągnąć rękę przez dziesięciolecia i palcem wzbudzić zmarszczki na jego powierzchni. Czułam rozkoszny bezruch promieni słonecznych przesianych przez szybę okienną, uspokajający zapach ciepłego powietrza, napoju z jęczmienia z cytryną i cudowną dawkę rodzicielskiej troski. Potem zobaczyłam mamę wchodzącą przez drzwi w płaszczu i z siatką pełną zakupów. Wyjmuje coś ze środka i wyciąga do mnie rękę. To książka, która odmieni moje życie, napisana przez człowieka, u którego mieszkała w czasie drugiej wojny światowej...

Z namysłem pocierałam kciukiem litery wytłoczone na okładce: Raymond Blythe. „Może to ci poprawi humor”, powiedziała mama. „To opowieść dla troszkę starszych czytelników, ale przecież jesteś mądrą dziewczynką i jak się postarasz, to sobie z nią poradzisz”. Przez całe życie przypisywałam pannie Perry zasługę wskazania mi właściwej drogi, lecz kiedy siedziałam na drewnianej podłodze strychu z *Człowiekiem z Błota* w dłoniach, w błędnych smugach światła zaczęła mi się krystalizować inna myśl. Czy to możliwe, że przez wszystkie te lata żyłam w błędzie? Może panna Perry me miała w tym żadnego udziału poza znalezieniem książki na półce, a to nikt inny jak moja mama wpadła na

pomysł, aby wsunąć mi w ręce właściwą książkę we właściwym czasie. Zastanawiałam się, czy zdobędę się na odwagę, aby ją o to zapytać.

Kiedy dostałam ją do przeczytania, była już stara, a choć pielęgnowana od tamtej pory z namiętną czułością, można się było spodziewać jej roznegliżowanego stanu. Między rozpadającymi się okładkami tkwiły te same stronicy, które przewracałam, kiedy opisany na nich świat był dla mnie nowy, kiedy nie wiedziałam, jak się skończy historia Jane, jej brata i biednego, smutnego Człowieka z Błota.

Od powrotu z Milderhurst pragnęłam przeczytać ją na nowo. Wstrzymałam oddech i otworzyłam książkę na chybił trafił, oczy mi zabłyśły, kiedy zaczęły przebiegać środkowe linijki cudownej, pożółkłej karty: „Powóz, który ich zabrał w drogę do nowego domu, gdzie mieli zamieszkać z nieznanym wujem, wyruszył z Londynu wieczorem i jechał przez całą noc, dopóki nie stanął o świcie przed zaniedbanym podjazdem”. Czytałam dalej, objijając się o ścianki powozu obok Jane i Petera. Wjechaliśmy przez zmęczoną, jęklivą bramę i toczyliśmy się długą, krętą dróżką, aż wreszcie u szczytu wzgórza, w melancholijnym, porannym świetle zobaczyliśmy zimne mury zamku Bealehurst. Drżałam z niecierpliwego oczekiwania, co znajdę w środku. Przez linię dachu przedzierała się wysoka wieża, ciemne okna spoglądały ponuro z jasnego kamienia, a ja oparłam dłonie na drzwiczkach obok Jane i patrzyłam, jak po bladym niebie żeglują ciężkie chmury. Kiedy powóz zatrzymał się z hętaśliwym turkotem i wygramoliliśmy się ze środka, zobaczyliśmy, że stoimy nad brzegiem atramentowo czarnej fosy.

Wiatr, który powiał znikąd, zmacił powierzchnię wody i stangret wskazał ręką drewniany most zwodzony. Powoli, cicho przeszliśmy na drugi brzeg. Gdy tylko stanęliśmy przed ciężkimi drzwiami, zadźwięczał dzwonek, prawdziwy, tak że omal nie wypuściłam książki z ręki.

Zdaje się, że nie wspomniałam jeszcze dotąd o dzwonku. W czasie gdy ja zmagalam się z pudłami ze strychu, tatę wypisano ze szpitala, aby dalszą rekonwalescencję przechodził w domu. Ulokowałyśmy go w wolnym pokoju, zaopatrzyłyśmy w stertę czasopism z dziedziny księgowości, magnetofon z kasetami Henry'ego Manciniego i mały dzwoneczek

na służbę, aby mógł nas wzywać w razie potrzeby. To on wpadł na pomysł z dzwonkiem – przypomniało mu się dzieciństwo, kiedy jako chłopiec leżał w łóżku z ciężką gorączką. Po dwóch tygodniach, w czasie których spał właściwie przez okrągłą dobę, mama tak się ucieszyła, widząc u niego ten powrót do życia, że chętnie przystała na jego propozycję. To rozsądne, stwierdziła, nie przewidując, jaką groźną bronią może się stać mały, dekoracyjny dzwoneczek w dłoniach znudzonego i zrzędliwego taty. Z tym talizmanem z dzieciństwa w ręku dobroduszny pogromca liczb zamienił się w rozpieszczonego, kapryśnego bachora, pełnego zniecierpliwionych pytań, jak na przykład, czy był już listonosz albo co robi mama, że ciągle nie ma czasu i kiedy ktoś mu poda jeszcze jedną herbatę.

Tego ranka, kiedy znalazłam pudełko z *Człowiekiem z Błota*, mama poszła do sklepu, ja zaś zostałam oficjalnie na straży przy tacie. Na dźwięk dzwonka świat Bealehurst przygasł, chmury rozpieczęły się na wszystkie strony, fosa i zamek znikły, stopnie, na których stałam, obróciły się w pył, a ja zaczęłam spadać przez białą przestrzeń pełną unoszących się dookoła czarnych słów, aż przeleciałam przez dziurę w środku zadrukowanej strony i z hukiem wylądowałam z powrotem w Barnes.

Wiem, że powinnam się za to wstydzić, ale przez chwilę siedziałam bez ruchu, czekając, czy nie dostanę ułaskawienia, dopiero kiedy wzywający dzwonek rozległ się drugi raz, wsunęłam książkę do kieszeni swetra i niechętnie zesłam po drabinie na dół.

– Cześć, tato – powiedziałam wesoło w drzwiach pokoju, bo nieładnie utyskiwać, że ciężko chory ojciec przerwał ci lekturę książki. – Wszystko w porządku?

Zapadł się w łóżku tak głęboko, że prawie go nie było widać spod poduszek.

– Jest już lunch, Edie?

– Jeszcze nie. – Podciągnęłam go trochę do góry. – Mama powiedziała, że da ci zupę, jak wróci. Ugotowała pyszną...

– To jeszcze jej nie ma?

– Niedługo wróci.

Uśmiechnęłam się ze współczuciem. Biedaczek tyle przecierpiał, nikomu nie jest łatwo leżeć, będąc przykutym do łóżka przez całe tygodnie,

lecz dla osoby takiej jak on, która nie ma prawdziwego hobby ani najmniejszych zdolności relaksowania się, to była prawdziwa tortura. Wlałam świeżą wodę do szklanki i starałam się nawet nie dotykać książki wystającej mi z kieszeni.

– Czy podać ci coś jeszcze? Może krzyżówkę? Poduszkę elektryczną? Jeszcze jeden kawałek ciasta?

Tata westchnął ciężko.

– Nie.

– Na pewno?

– Tak.

Już sięgałam ręką do kieszeni, a mój umysł, choć pełen skrupułów, wyrwał się na przepustkę i rozważał wady i zalety kozetki stojącej w kuchni oraz fotela w salonie, który spędza popołudnia, wylegując się przy oknie w promieniach słońca.

– No to lecę – powiedziałam. – Głowa do góry, tato. Byłam prawie przy drzwiach, gdy nagle:

– Co tam masz, Edie?

– Gdzie?

– W kieszeni. Co tam wystaje? – zapytał z nadzieją w głosie. – Nie poczta przypadkiem?

– To? Nie. – Poklepałam się po swetrze. – To książka z pudła na strychu.

Ściągnął usta.

– Próbuje wywnosić tam rzeczy z mieszkania, a nie wygrzebywać je z powrotem.

– Wiem, ale to moja ulubiona.

– O czym?

Oślupiałam. Nie pamiętam, żeby tata zapytał mnie kiedyś o książkę.

– O dwojgu sierot – odrzekłam. – O dziewczynce imieniem Jane i chłopcu Peterze.

Zmarszczył ze zniecierpliwieniem czoło.

– Chyba jest w niej coś więcej, prawda? Ma całkiem sporo stron.

– Oczywiście. Och, nawet nie wiem, od czego zacząć. O obowiązku i zdradzie, o tęsknocie, o granicach, do których posuną się ludzie, aby chronić tych, których kochają, o szaleństwie, wierności, honorze... –

Zerknęłam na tatę i stwierdziłam, że powinnam się raczej trzymać fabuły. – W potwornym pożarze jednego z londyńskich domów zginęło małżeństwo i dzieci zostają wysłane do nieznanego wuja, który mieszka w zamku.

– We własnym zamku?

Skinęłam głowę.

– Bealehurst. Ich wuj jest całkiem miłym człowiekiem i dzieci z początku są zachwycone zamczyskiem, ale po jakimś czasie odkrywają, że za tym wszystkim czai się głęboka, mroczna tajemnica.

– I głęboka, i mroczna, powiadasz?

Uśmiechnął się lekko.

– O tak. Przerażająca.

Powiedziałam to jednym tchem, z takim zapałem, że tata podniósł się na łokciu.

– Więc co to jest?

– Co?

– No, ta tajemnica. Co to za tajemnica?

Spojrzałam na niego osłupiała.

– Przecież nie mogę ci tak po prostu powiedzieć.

– Oczywiście, że możesz.

Splótł ręce na piersiach jak rozkapryszone dziecko, a ja szukałam słów, aby mu wyjaśnić niepisaną umowę istniejącą pomiędzy pisarzem a czytelnikiem, a także niebezpieczeństwa narracyjnej zachłanności, świętokradztwa, jakim byłoby wyjawienie czegoś, czego zbudowanie zajęło całe rozdziały, sekretu ukrytego starannie za niezliczonymi zabiegami artystycznymi. Udało mi się tylko wykrztusić:

– Pożyczę ci ją, jeśli chcesz.

Wydął nadąsany wargi.

– Od czytania boli mnie głowa.

Umilkliśmy, a nasze milczenie mogło się lada chwila przerodzić w niezręczną ciszę. Tata czekał, aż dam za wygraną, a ja oczywiście – jaki miałam wybór? – nie poddawałam się. W końcu westchnął żałośnie.

– Nieważne – powiedział, machając ręką z rezygnacją. – To i tak pewnie nie ma znaczenia.

Był jednak taki przygnębiony, a mnie przypomniało się, jak sama leżałam chora na świnkę, czy co to było, i zatopiłam się w świat *Człowieka*

z *Błota*, że w końcu nie wytrzymałam:

– Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, to mogę ci ją przeczytać.

■

I tak czytanie *Człowieka z Błota* weszło nam w zwyczaj, którego codziennie wyglądałam z niecierpliwością. Po kolacji pomagałam mamie w kuchni, sprzątałam tace z pokoju taty, po czym wracaliśmy do czytania w miejscu, gdzie ostatnio przerwaliśmy. Tata nie mógł pojąć, jak zmyślona historia mogła go tak wciągnąć.

– Musi być oparta na prawdziwych wydarzeniach – powtarzał. – Pewnie jakiejś starej historii porwania, jak na przykład tego Lindbergha, któremu wyjęli dziecko z kołyski pod oknem.

– Nie, tato. Raymond Blythe to po prostu wymyślił.

– Ale to takie realistyczne, Edie. Widzę to wszystko w głowie, kiedy czytasz, jakby działa się na moich oczach, jakbym od dawna znał tę historię.

I potrząsał głową ze zdziwieniem, a mnie przepelniała duma, aż po czubki palców u stóp, chociaż nie miałam najmniejszego udziału w napisaniu *Człowieka z Błota*. Kiedy musiałam zostać do późna w pracy, tata kręcił się niespokojnie i zrzędził na mamę przez cały wieczór, nasłuchując, czy nie otwieram drzwi, po czym dzwonił dzwoneczkiem i udawał zdziwienie, kiedy przychodziłam:

– To ty, Edie? – pytał, unosząc brwi, jakby zmieszany. – Chciałem tylko poprosić twoją mamę, żeby mi poprawiła poduszki. Ale skoro już jesteś, to może zobaczmy, co tam się dzieje w zamku?

I być może to właśnie zamek bardziej niż sama opowieść podbił jego serce. Zazdrosny podziw dla wielkich rodowych majątków ziemskich był u niego najbliższy temu, co można by określić mianem zainteresowań, i kiedy zdradziłam mu informację, że Bealehurst został wykreowany na wzór prawdziwej rodowej posiadłości Raymonda Blythe'a, jego ciekawość wzrosła po wielokroć. Zasypał mnie niezliczonymi pytaniami, na niektóre potrafiłam odpowiedzieć z pamięci lub kierując się wiedzą ogólną, inne były tak szczegółowe, że nie miałam innego wyjścia, jak wyjąć swój *Milderhurst Raymonda Blythe'a* i mozolnie wyszukiwać w nim odpowiedzi, a czasem nawet przynosić do domu encyklopedie i opracowania z ogromnego księgozbioru Herberta. I tak oboje z tatą

podsycałiśmy nawzajem swoje fascynacje i po raz pierwszy w życiu znaleźliśmy coś, co nas łączyło.

Tylko jedna rzecz pozostała nierozstrzygnięta w naszym małym, rodzinnym fan clubie *Człowieka z Błota*. Mama. Nieważne, że nasze uzależnienie od Milderhurst zrodziło się całkiem niewinnie, fakt, że przesiadywaliśmy z tatą za zamkniętymi drzwiami, wskrzeszając świat, o którym ona stanowczo nie chciała rozmawiać, a miała do tego większe prawo niż my, wydawał mi się nielojalnością. Zdawałam sobie sprawę, że prędzej czy później będę musiała z nią o tym porozmawiać, i wiedziałam, że nie będzie to łatwa rozmowa.

Od kiedy wprowadziłam się do rodziców, stosunki między mną a mamą układały się tak jak kiedyś. W swojej naiwności wierzyłam chyba, że za sprawą jakiegoś cudownej przemiany nastąpi między nami uczuciowy renesans, że zupełnie spontanicznie i gładko zaczniemy z sobą gawędzić, że może nawet mama otworzy przede mną duszę i wyjawi mi swoje najskrytsze tajemnice. Chyba taką miałam nadzieję. Nie muszę dodawać, że nic takiego nie nastąpiło. Chociaż była zadowolona, że jestem w takiej chwili przy niej, wdzięczna, że pomagam przy tacie, i znacznie bardziej tolerancyjna wobec różnic, które nas dzieliły, niż kiedyś, pod wieloma innymi względami wydawała się jeszcze bardziej zdystansowana niż dawniej, roztargniona, nieobecna i bardzo, bardzo cicha. Z początku dopatrywałam się przyczyn tego stanu rzeczy w chorobie taty, sądziłam, że wskutek strachu, jaki przeżyła w pierwszej chwili, a potem wielkiej, raptownej ulgi, dokonał się w niej szereg przewartościowań, w miarę jednak jak mijały tygodnie i nic się nie zmieniało, zaczęłam się dziwić. Przytąpywałam ją wielokrotnie, jak w samym środku wykonywanej pracy zamiera nagle z dłońmi w zlewie pełnym wody z pianą zapatrzona beznamiętnie w okno. Miała wtedy tak daleki wyraz twarzy, tak nieprzenikniony, jakby do reszty zapomniała, gdzie jest i co się z nią dzieje.

Była właśnie w takim stanie ducha, kiedy pewnego wieczoru przyszedłam z mocnym postanowieniem, że przyznam jej się do naszego czytania.

– Mamusiu – powiedziałam.

Sprawiła wrażenie, jakby mnie nie usłyszała, więc podeszłam bliżej i zatrzymałam się przy stole.

– Mamusiu?

Odwróciła głowę od szklanki.

– O, cześć, Edie. Ładnie jest o tej porze roku, prawda? Takie późne, długie zachody słońca.

Stałam obok niej przy oknie i popatrzyłam na ostatnie brzoskwińowe smugi ciemniejące na niebie. Rzeczywiście były ładne, chociaż nie aż tak, aby usprawiedliwić takie namiętne zapatrzenie.

Ponieważ nic więcej nie powiedziała, odchrząknęłam i oznajmiłam, że czytam tacie *Człowieka z Błota*, po czym wyjaśniając jej dokładnie okoliczności, które do tego doprowadziły, położyłam szczególny nacisk na fakt, że nie zostało to przeze mnie zaplanowane. Ledwo zauważalnie skinęła głową, kiedy wspomniałam o taty fascynacji zamkiem, i był to jedyny znak, że w ogóle mnie słuchała. Zrelacjonowawszy jej wszystko, co uważałam za ważne, umilkłam i czekając, uzbroiłam się na nieprzewidzianą reakcję.

– To bardzo miło, że czytasz tacie, Edie. Sprawia mu to ogromną przyjemność.

Szczerze mówiąc, nie takiej odpowiedzi się spodziewałam.

– Ta książka staje się w naszej rodzinie jakąś tradycją. – Przelotny uśmiech. – Trochę jakby towarzyszką w czasach choroby. Pewnie tego nie pamiętasz, ale dałam ci ją do czytania, kiedy chorowałaś na świnkę. Wyglądałaś tak żałośnie, nic innego nie przychodziło mi do głowy.

A więc to jednak była mama. To ona wybrała *Człowieka z Błota*, a nie panna Perry. Odpowiednia książka w odpowiednim czasie. Usłyszałam swój głos:

– Pamiętam.

– Dobrze, że tata ma czym zająć myśli, kiedy leży w łóżku. Jeszcze lepiej, że może o tym z tobą rozmawiać. Niewiele osób go odwiedza. Koledzy z pracy są bardzo zajęci. Większość przysyła kartki, a podejrzewam, że od czasu, gdy przeszedł na emeryturę... no cóż, czas płynie dalej, prawda? Rzecz w tym, że... niełatwo człowiekowi zrozumieć, czemu inni o nim zapominają.

Odwróciła twarz, lecz zdążyłam zauważyć jej ściągnięte usta. Czułam, że wcale nie rozmawiamy już tylko o tacie, a ponieważ w tamtym czasie wszystkie drogi moich myśli prowadziły do Milderhurst, do Juniper Blythe i Thomasa Cavilla, nie mogłam się opędzić od wrażenia, że

mama oplakuje dawny romans, związek z czasów, zanim poznała mojego tatę, kiedy była młoda i bardzo podatna na wpływy i łatwo ją było zranić. Im więcej się nad tym zastanawiałam, im dłużej tam stałam, spoglądając na nią ukradkowo, tym większa mnie ogarniała złość. Kim był ten Thomas Cavill, który, w czasie wojny zniknął i zostawił za sobą złamane serca: biedną Juniper, marniejącą w podupadającym rodowym zamku, i moją mamę, która nawet kilkadziesiąt lat później rozpamiętuje swoje żale?

– Edie, chcę z tobą o czymś porozmawiać – przerwała ciszę mama, odwracając się do mnie z powrotem. – Wolałabym, żeby tata nie wiedział o moim pobycie w Milderhurst.

– Tata nie wie, że byłaś ewakuowana?

– Wie, ale nie wie dokąd.

Zaczęła z wielką uwagą oglądać wierzch swoich dłoni, unosić po kolei palce, poprawiać delikatną złotą obrączkę.

– Zdajesz sobie sprawę – perswadowałam jej łagodnie – że uważałby cię niemal za osobę z baśni, gdyby się dowiedział, że tam kiedyś mieszkałaś?

Lekki uśmiech zmącił jej kamienny spokój, ale nie oderwała oczu od dłoni.

– Mówię poważnie, on jest tym miejscem zauroczony.

– Mimo to – powtórzyła – wolałabym, aby o nim nie wiedział.

– Dobrze, rozumiem.

Nie rozumiałam, ale to już ustaliłyśmy. Światła, które pieściły jej policzki, nadawały jej twarzy bezbronny wygląd, jakby innej kobiety, młodszej i bardziej kruchej, więc nie naciskałam więcej, ale nie przestałam się jej przyglądać: stała pogrążona w tak głębokiej kontemplacji, że nie mogłam oderwać od niej oczu.

– Wiesz, Edie – powiedziała łagodnie – kiedy byłam dziewczynką, mama często wysyłała mnie wieczorem do pubu po twojego dziadka.

– Naprawdę? Samą?

– Wtedy, przed wojną, nie było w tym nic niezwykłego. Szłam i czekałam przy drzwiach, aż mnie zauważy, dopijał piwo i wracaliśmy razem do domu.

– Byliście sobie bliscy?

Przekrzywiła lekko głowę.

– Myślę, że mnie nie rozumiał. Twoja babcia też. Mówiłam ci kiedyś, że chciała, abym po szkole została fryzjerką?

– Jak Rita.

Zamrugnęła, patrząc na ciemną ulicę za oknami.

– Nie byłabym dobra w tym zawodzie.

– No, nie wiem. Całkiem nieźle sobie radzisz z sekatorem.

Po dłuższej chwili uśmiechnęła się do mnie z ukosa, ale trochę sztucznie. Odniosłam wrażenie, że chce jeszcze coś powiedzieć. Czekalam, ale jeśli rzeczywiście tak było, to się rozmyśliła, odwróciła się do mnie plecami i znów zapatrzyła w okno.

Próbowałam jeszcze nieśmiało zachęcić ją do dalszej rozmowy o jej szkolnych czasach przed wojną, licząc chyba na to, że wypłynie przy tym wzmianka o Thomasie Cavillu, ale nie złapała się na przynętę. Oznajmiła tylko, że lubiła chodzić do szkoły, po czym zapytała, czy napiję się herbaty.

▣

Jedyną zaletą roztargnienia, w które popadła w tym czasie mama, było to, że nie musiałam jej tłumaczyć powodów mojego rozejścia się z Jamiem. Ponieważ psychologiczne wyparcie jest naszym rodzinnym hobby, mama nie wypytywała mnie o szczegóły, nie zasypała mnie też lawiną frazesów. Wielkodusznie pozwoliła nam obu przyjąć milczącą wersję, że podjęłam bezinteresowną decyzję o powrocie do domu, aby jej pomóc w opiece nad tatą.

Nie dało się niestety tego samego powiedzieć o Ricie. Złe wieści roznoszą się lotem błyskawicy, moja ciotka zaś jest specyficznym przykładem przyjaciółki, którą poznaje się w biedzie, nie powinno mnie więc zdziwić, że gdy tylko przyjechałam do klubu Roxy na wieczór panieński Sam, zostałam zaatakowana przy samym wejściu. Ciotka złapała mnie pod ramię.

– Och, słyszałam, co się stało. Nie martw się, kochanie, to wcale nie znaczy, że jesteś stara i nieatrakcyjna i skazana na samotność do końca życia.

Skinęłam ręką na kelnera, aby dać mu znać, że jestem gotowa do zamówienia mocnego drinka i uprzytomniłam sobie ze ściśniętym sercem, że zazdroścę mamie wieczoru spędzonego w domu przy tacie i jego dzwoneczku.

– Mnóstwo ludzi spotyka swojego jedyne w późniejszym wieku – ciągnęła. – I są bardzo szczęśliwi. – Wskazała Sam, która szczerzyła zęby do ciemnoskórego osiłka w stringach. – Na ciebie też przyjdzie pora.

– Dziękuję, ciociu.

– Grzeczna dziewczynka. – To mówiąc, skinęła z aprobatą głową. – Masz teraz korzystać z życia, więc zostaw tamto za sobą i więcej o tym nie myśl. – Już miała odejść, aby rozdzielać swoje pocieszenia gdzie indziej, lecz w ostatniej chwili złapała mnie za rękę. – Omal nie zapomniałam – powiedziała. – Coś dla ciebie przyniosłam.

Zaczęła grzebać w swojej przestronnej torbie na zakupy i wyciągnęła z niej pudełko po butach. Rysunek na bocznej ściance przedstawiał haftowane czółenka, jakie na pewno podobałyby się mojej babci i choć wydały mi się dość osobliwym prezentem, musiałam przyznać, że wyglądały na wygodne.

– Dziękuję, ciociu – odparłam. – To bardzo miłe.

Podniosłam pokrywkę i zamiast butów zobaczyłam w środku stertę listów.

– To twojej mamy – oznajmiła ciotka Rita z szatańskim uśmiechem. – Tak jak obiecałam. No to będziesz miała co poczytać. Baw się dobrze.

Chociaż przeszedł mnie dreszcz podniecenia na myśl o tych listach z dalekiej przeszłości, poczułam niechęć do ciotki Rity niejako w imieniu małej dziewczynki, której zawijasy i pętelki wiły się gorliwie na kopertach; dziewczynki, którą starsza siostra porzuciła w czasie ewakuacji, żeby zamieszkać z koleżanką, a mała Meredith została w miejskim ratunku na łasce losu.

Przykryłam z powrotem pudełko. Zapragnęłam nagle wynieść listy jak najdalej od tego klubu. Między kołyszającymi się biodrami nie było miejsca na niepublikowane myśli i marzenia małej dziewczynki, tej samej, która szła obok mnie korytarzami Milderhurst i którą pewnego dnia miałam nadzieję poznać lepiej. Kiedy na stoliki wjechały napoje z fantazyjnymi słomkami, wymówiłam się byle czym i zabrałam listy, aby poczytać je w zaciszu własnego pokoju.

W domu było ciemno, choć oko wykol, kiedy na palcach wchodziłam ostrożnie po schodach, żeby nie obudzić dzwonnika.

Lampka na moim biurku rozsiała przydymiony blask, dom wydawał dziwne, nocne odgłosy, a ja usiadłam na brzegu łóżka i położyłam sobie pudełko po butach na kolanach. To był moment, w którym mogłam zdecydować, by sprawy potoczyły się inaczej. Stałam na rozstaju dróg, mogłam podążyć każdą z nich. Po krótkiej chwili wahania podniosłam pokrywę i wyjęłam koperty z pudełka. Wertując je, zauważyłam, że są ułożone datami.

Na kolana wypadła mi fotografia. Dwie dziewczynki uśmiechały się szeroko do obiektywu. W mniejszej, z ciemniejszymi włosami i oliwkową cerą, rozpoznałam mamę – szczerze, brązowe oczy, kościste łokcie, krótka, wygodna fryzura, jaką zawsze preferowała moja babcia. Drugą dziewczyną, starszą, długowłosą blondynką, była oczywiście Juniper Blythe. Pamiętałam ją z książki, którą kupiłam w Milderhurst – dziecko o błyszczących oczach i spojrzeniu dorosłej osoby. W przypiływie determinacji włożyłam zdjęcie i listy bezpiecznie do pudełka i wzięłam pierwszy z brzegu, aby go otworzyć. Papier był taki cieniutki, że czułam pod palcami blizny po piórze. W prawym górnym rogu widniała data 6 września 1939 roku.

Kochani rodzice, zaczynał się list napisany dużym, okrągłym charakterem pisma. Bardzo, bardzo za Wami tęsknię. A Wy za mną tęsknicie? Mieszkam teraz na wsi i wszystko tu wygląda inaczej. Po pierwsze, są krowy, czy wiedzieliście, że one naprawdę robią „muuu!”? I to bardzo głośno. O mało nie wyskoczyłam ze skóry, kiedy je pierwszy raz usłyszałam.

Mieszkam w prawdziwym zamku, ale nie wygląda tak, jak moglibyście sobie wyobrazić. Nie ma mostu zwodzonego, ale jest wieża i trzy siostry, i ich stary tata, którego nigdy nie widuję, wiem tylko, że jest, ponieważ one często o nim mówią. Jest pisarzem, pisze prawdziwe książki, takie jak w bibliotece. Najmłodsza siostra nazywa się Juniper, jest bardzo ładna, ma siedemnaście lat i duże oczy. To ona przywiozła mnie do Milderhurst.

Jest tu telefon, więc jeśli macie czas, a pan Waterman by się zgodził, to moglibyście...

Doszłam do końca pierwszej strony, ale nie odwróciłam kartki. Siedziałam bez ruchu, jakbym słuchała czegoś bardzo uważnie.

I prawdopodobnie tak było, bo z pudełka po butach uniósł się głos małej dziewczynki i dźwięczał w ciemnych zakamarkach pokoju. *Mieszkam teraz na wsi... często o nim mówią... jest wieża i trzy siostry.* To wyjątkowa właściwość listów. Rozmowy ulatują w chwili, gdy się kończą, lecz napisane słowa mogą przetrwać wieki. Te zdania były małymi podróżnikami w czasie, pięćdziesiąt lat leżały cierpliwie w pudełku i czekały, aż je odkryję.

Reflektory samochodu przejeżdżającego ulicą przemyciły plasterki światła między zasłonami mojego pokoju, migoczące lamety prześliznęły się po suficie. I znów cisza i półmrok. Odwróciłam kartkę i czytałam dalej. W piersi czułam narastający łagodny ucisk, jakby jakiś ciepły, twardy przedmiot napierał od środka na moje żebra. Wrażenie to przypominało trochę uczucie ulgi i, co dziwne, zaspokojało tęsknotę za domem. Co nie miało najmniejszego sensu, ale głos dziewczynki brzmiał tak znajomo, że, czytając te listy, miałam wrażenie, jakbym spotkała starą przyjaciółkę, kogoś, kogo znałam dawno, dawno temu...

1.

Londyn, 4 września 1939

Meredith nigdy przedtem nie widziała płaczącego taty. Ojcowie zwykle tego nie robią (właściwie to nie całkiem płakał, ale był bliski), stąd właśnie wiedziała, że to nieprawda, co mówili im dorośli, że to wcale nie będzie żadna przygoda i prędko się nie skończy. Ten pociąg miał ich wywieźć z Londynu i odtąd wszystko się zmieni. Widząc, jak szerokimi ramionami taty wstrząsają spazmy, jak jego silna twarz wykrzywia się dziwacznie, usta ściągają się ciasno, aż wargi prawie zupełnie znikają, z trudem się powstrzymywała, żeby nie wybuchnąć płaczem w głos jak głodne niemowlę pani Paul. Nie zrobiła tego, bo Rita siedziała obok niej i tylko czekała na pretekst, żeby ją uszczypnąć. Podniosła dłoń, tata jej odpowiedział, a potem udała, że ktoś ją zawołał, odwróciła głowę, aby dłużej na niego nie patrzeć, aby nie musieli oboje być tacy okropnie dzielni.

W letnim semestrze mieli w szkole próbne alarmy i tata przez całą noc opowiadał im o swoim dzieciństwie, kiedy pojechał do hrabstwa Kent zbierać z całą rodziną chmiel: o słonecznych dniach, wieczornych śpiewach przy ognisku, o tym, jak pięknie jest poza miastem, jak zielono i pachnąco i jakie wszystko jest tam wielkie, nieskończone. Chociaż jednak Meredith bardzo się podobały jego opowieści, rzucała niespokojne spojrzenia w stronę mamy i ścisła ją w żołądku od złych przeczuć. Mama stała zgarbiona przy zlewie i szorowała rondle z zapamiętaniem, które zawsze wróżyło coś niedobrego.

I rzeczywiście, kilka wieczorów po tym, jak zaczęły się taty historie,

Meredith usłyszała pierwszą kłótnię. Mama mówiła, że są rodziną i powinni trzymać się razem i razem stawiać czoło niebezpieczeństwu, że rodzina, która się rozdzieli, może już nigdy nie być taka sama. Tata odpowiedział jej wtedy spokojnie, że, jak informują plakaty, dzieci będą bezpieczniejsze, jeśli wyjadą z miasta, że to nie potrwa długo, a potem znów wszyscy będą razem. Na jakiś czas zaległa cisza i Meredith jeszcze mocniej nastawiła uszu. Po jakimś czasie mama się roześmiała, ale niezbyt wesoło, powiedziała, że nie urodziła się wczoraj i jedno wie na pewno: że rządowi i ludziom w eleganckich garniturach nie można ufać, że jak zabiorą dzieci, to Bóg jeden wie, kiedy je odzyskają i w jakim stanie, i nawet wykrzyczała kilka razy słowa, za które Ricie nieraz się oberwało, i powiedziała, że gdyby ją kochał, nie pozwoliłby jej odebrać dzieci, i tata też jej odpowiedział krzykiem, a potem słychać było tylko chlipanie i już nikt więcej nic nie mówił, a Meredith wsadziła głowę pod poduszkę, żeby nie słyszeć chrapania Rity.

Po tym zdarzeniu przez wiele dni nikt w domu nie rozmawiał o ewakuacji, aż do pewnego popołudnia, kiedy Rita przybiegła do domu z wiadomością, że zamknięto baseny miejskie, a przed wejściem wiszą nowe wielkie doniesienia z frontu.

– Po każdej stronie wisi inny plakat. Jeden mówi: „Zatruci mężczyźni”, drugi: „Zatrute kobiety”.

Mama załamała dłonie, a tata powiedział tylko jedno słowo: „gaz”. I to wszystko. Następnego dnia mama wyciągnęła jedyną walizkę, jaką mieli, i wszystkie zapasowe poszewki na poduszki i zaczęła pakować do nich rzeczy z listy, którą dostali ze szkoły, tak na wszelki wypadek: majtki na zmianę, grzebień, chusteczki, nowiutkie koszule, których konieczność spakowania tata łagodnie próbował zakwestionować, co mama skwitowała groźną miną:

– Myślisz, że wyślę dzieci do jakichś obcych ludzi w wytartej bieleźnie nocnej?

Od tamtej pory tata nie odezwał się ani słowem i choć Meredith miała wyrzuty sumienia, wiedziała bowiem, że rodzice będą płacić za te nowe rzeczy aż do świąt, nie mogła powstrzymać radości z nowej koszuli, bielutkiej i świeżutkiej i pierwszej, której nie odziedziczyła po Ricie.

A teraz siedziały w pociągu i Meredith zrobiłaby wszystko, żeby cofnąć swoje życzenie. Nie była odważna jak Ed ani głośna i pewna siebie

jak Rita. Była nieśmiała i nieporadna, zupełnie inna niż wszyscy w jej rodzinie. Poruszyła się na siedzeniu, złączyła stopy na walizce i zaczęła przyglądać się swoim błyszczącym bucikom. Szybko odgoniła od siebie wspomnienie taty pastującego je poprzedniego wieczoru. Polerował je, aż się świeciły, potem odkładał, aby pokręcić się bezczynnie po pokoju z rękami w kieszeniach, a następnie zaczynał całą czynność od początku. Jak gdyby smarowanie butów pastą, wcieranie jej głęboko w skórę i polerowanie do połysku mogło ich właściciela ustrzec przed niebezpieczeństwem.

– Mamuusiu! Mamuusiu!

Wołanie doszło z drugiego końca wagonu i Meredith podniosła głowę. Malutki chłopczyk trzymał się kurczowo siostry i uderzał rączką w szybę. Łzy płynęły mu po umorusanych policzkach, a skóra pod noskiem błyszczała od smarków.

– Ja chcę zostać z mamusią! – wołał. – Ja chcę, żeby mnie z tobą zabili!

Meredith zaczęła w skupieniu wpatrywać się w swoje kolana, pocierając zaczerwienienia od pudełka z maską gazową, które obijało jej się o nogi, kiedy szli ze szkoły na stację. W końcu nie mogła się powstrzymać i znów spojrzała przez okno. Znalazła barierkę nad peronem, gdzie stali stłoczeni rodzice i krewni. Nadal tam stał, nadal na nich patrzył, obcy uśmiech wykrzywił znajomą ojcowską twarz, aż Meredith poczuła nagle, że trudno jej oddychać, okulary jej zaparowały i chociaż pragnęła, żeby ziemia się pod nimi rozstała i pochłonęła ją, żeby już było po wszystkim, jakaś drobna cząstka jej umysłu stała z boku niezaangażowana i zastanawiała się, jakimi słowami opisałaby ten strach, który ścisnął jej płuca. Rita kwiczała ze śmiechu z czegoś, co szepnęła jej do ucha przyjaciółka, a Meredith zamknęła oczy.

✠

Zaczęło się dokładnie piętnaście po jedenastej poprzedniego dnia. Siedziała przed domem z nogami wyciągniętymi na najwyższym stopniu schodów i obserwowała, jak Rita po drugiej stronie ulicy robi słodkie oczy do tego okropnego Luke'a Watsona z wielkimi, żółtymi zębami. Wiadomość dotarła do nich w postaci dalekich, niewyraźnych odgłosów z radioodbiornika u sąsiadów, Neville Chamberlain mówił powolnym,

grobowym głosem, że Niemcy nie odpowiedzieli na ich ultimatum i Wielka Brytania wypowiedziała wojnę. Potem rozległ się hymn narodowy, po którym na schody sąsiedniego domu wyszła pani Paul z łyżką ociekającą ciastem, a wkrótce po niej mama i wszyscy mieszkańcy z sąsiednich domów zrobili to samo. Stali i patrzyli na siebie z wyrazem osłupienia, strachu i niepewności, a pełne niedowierzania słowa „stało się” przetoczyły się przez ulicę wielką falą.

Osiem minut później zawyły syreny i rozpętało się piekło. Stara pani Nicholson biegła histerycznie po ulicy tam i z powrotem, na przemian odmawiając *Ojciec nasz* i głosząc nieuchronną zagładę. Moira Seymour, która była miejscową funkcjonariuszką cywilnej obrony przeciwlotniczej, zaczęła sygnalizować atak gazowy wielką, drewnianą grzechotką i ludzie rozpiechli się na wszystkie strony, szukając swoich przygotowanych masek, a inspektor Whitely lawirował na rowerze przez ten cały rozgardiasz z kartonowym afiszem, nakazującym: „Kryć się!”.

Meredith obserwowała panujący chaos z szeroko otwartymi oczami, patrzyła na niebo, czekając na nieprzyjacielskie samoloty, zastanawiała się, jak będą wyglądać, co poczuje, kiedy nadlecą, i czy umie pisać dość szybko, żeby zanotować wszystko, co się dzieje, gdy nagle mama złapała ją za rękę i pociągnęła razem z Ritą w stronę okopu w parku. Notes wypadł Meredith z ręki i ludzie zaczęli go tratować. Wyrwała się, żeby go podnieść, a mama krzyczała, że nie ma na to czasu, była biała jak ściana i denerwowała się i Meredith wiedziała, że dostanie potem burę albo i coś gorszego, ale za nic w świecie nie mogła go zostawić. Pobieгла z powrotem, schyliła się między nogami przerażonych sąsiadów, złapała notes, pobrudzony, ale cały, i wróciła do wściekłej mamy, która z bladej zrobiła się czerwona jak ketchup Heinz. Kiedy dotarli do okopów i zorientowały się, że zapomniały zabrać z sobą maski, rozległ się drugi sygnał. Alarm odwołano. Meredith dostała klapsa, a mama podjęła decyzję, żeby nazajutrz ewakuować dzieci.

✠

– Cześć, dzieciaku.

Meredith otworzyła wilgotne oczy i zobaczyła w przejściu pana Cavilla. Natychmiast zapiekły ją policzki; uśmiechnęła się, przeklinając

w duchu obraz Rity robiącej maślane oczy do Luke'a Watsona.

– Mogę spojrzeć na twoją tabliczkę z imieniem?

Wzięła do ręki kartonową plakietkę, która wisiała jej na szyi, i pochyliła się, żeby mógł ją odczytać. Wszędzie panował ścisk i hałas, ludzie śmiali się, płakali, krzyczeli i kręcili się w kółko, lecz przez chwilę ona i pan Cavill byli jedynymi istotami na całym świecie. Wstrzymała oddech, czując, jak serce jej wali w piersi, obserwując jego usta wypowiadające bezgłośnie słowa zapisane na tabliczce, jej własne imię i nazwisko, i jego uśmiech, kiedy stwierdził, że wszystko się zgadza.

– Widzę, że masz swoją walizkę. Czy mama zapakowała ci wszystko, co było na liście? Nie potrzebujesz czegoś?

Meredith skinęła głową, potem potrząsnęła głową. Zarumieniła się, kiedy w myślach usłyszała własne słowa, które za żadne skarby nie przeszłyby jej przez gardło: Potrzebuję, żeby pan na mnie poczekał, panie Cavill. Niech pan poczeka, aż podrosnę, aż będę miała piętnaście lat, a potem będziemy mogli się pobrać.

Pan Cavill odnotował coś w swoim formularzu i nasunął skuwkę na pióro.

– Podróż pociągiem może trochę potrwać, Merry. Wzięłaś z sobą coś, czym możesz się zająć?

– Mam z sobą notes.

Roześmiał się, ponieważ dostała go właśnie od niego w nagrodę za dobrze zdane egzaminy.

– To doskonale – odrzekł. – Pamiętaj, żeby opisywać w nim wszystko, co się dzieje, wszystko, co widzisz, co myślisz i czujesz. To ma być twój własny głos, to bardzo ważne.

Dał jej tabliczkę czekolady i puścił do niej oko, a ona uśmiechnęła się promiennie. Potem ruszył dalej w głąb przedziału, pozostawiając ją z sercem nabrzmiętym w piersi jak melon.

✠

Notes był jej najcenniejszym skarbem. Pierwszy prawdziwy dziennik, jaki miała w życiu. Dostała go dokładnie rok temu, ale nie zapisała w nim jeszcze ani jednego słowa, nawet swojego imienia. Jak mogłaby to zrobić? Tak bardzo uwielbiała tę małą książeczkę, gładkie, skórzane

okładki i równiutkie, schludne linijki biegnące przez każdą stronę, wstążeczkę wszytą w oprawę, służącą jako zakładka. Zepsuć ten ideał swoim charakterem pisma, swoimi niezgrabnymi zdaniami o swoim nieciekawym życiu wydawało się świętokradztwem. Wyjmowała go ze swojego tajnego schowka wiele razy tylko po to, żeby posiedzieć z nim przez chwilę na kolanach i napawać się przyjemnością posiadania go, po czym chowała z powrotem.

Pan Cavill próbował ją przekonać, że to, co pisze, jest mniej ważne od tego, jak to robi.

– Nie ma dwóch osób, które widziałyby i czuły tak samo, Merry. Prawdziwa sztuka polega na tym, żeby pisać szczerze. Nie próbuj niczego wygładzać, nie poprzestawaj na najprostszej kombinacji słów, szukaj takich, które najdokładniej wyrażą to, co myślisz i czujesz.

Potem zapytał ją, czy rozumie, co miał na myśli, a jego ciemne oczy patrzyły na nią tak przenikliwie i z takim żarliwym pragnieniem, aby widziała rzeczy tak jak on, że przez jedną chwilę zdawało jej się, jakby uchyliły się drzwi do innego miejsca niż to, w którym żyła...

Westchnęła głęboko i spojrzała z ukosa na Ritę, która przeczesywała palcami włosy związane w koński ogon i udawała, że nie widzi Billy'ego Harrisa, który po drugiej stronie przejścia szczerzył do niej zęby. Dobrze. Jeszcze tego jej było trzeba, żeby Rita się domyśliła, co czuje do pana Cavilla. Na szczęście jej siostra była zbyt głęboko pochłonięta swoim własnym światem chłopców i szminek, żeby zwracać uwagę na innych. Na to zresztą Meredith liczyła, myśląc o swoim dzienniku. (Nie tym prawdziwym, oczywiście; w końcu wypracowała kompromis, pozbierała kartki w całym domu, poskładała i wsunęła za okładkę swojej drogocennej księgi. Pisała na nich swoje relacje, powtarzając sobie, że może pewnego dnia odważy się napocząć prawdziwy dziennik).

Zaryzykowała i jeszcze raz zerknęła w stronę taty, gotowa w każdej chwili odwrócić wzrok, gdyby napotkała jego spojrzenie, lecz, prześlizgując się po twarzach w tłumie i szukając jego zwalistej postaci, ze zdziwieniem, a po chwili z paniką narastającą w gardle stwierdziła, że go nie ma. Oblicza się zmieniły, matki płakały, niektórzy machali chusteczkami, inne uśmiechały się z rozpaczliwą determinacją, lecz nigdzie nie widziała ani śladu taty.

W miejscu gdzie stał, pozostała luka, która na jej oczach zapełniła się obcymi ludźmi, i Merry rozglądając się po tłumie, zrozumiała, że naprawdę sobie poszedł. A ona tego nie zauważyła.

I chociaż powstrzymywała się przez cały ranek, chociaż uzbroiła się przed smutkiem, zrobiło jej się tak przykro, poczuła się taka małeńka, przerażona i samotna, że dłużej nie potrafiła powstrzymać płaczu. Wezbrała w niej potężna fala uczuć, ciepła i mokra, i ani się obejrzała, kiedy jej policzki zalały się rzęsimymi łzami. Okropna myśl, że tata może tam stał przez cały czas, obserwował, jak jego córka patrzy na swoje buciki, jak rozmawia z panem Cavillem, myśli o swoim dzienniku, i pragnął, aby podniosła wzrok, aby się uśmiechnęła i pomachała mu na do widzenia, aż w końcu zrezygnował i wrócił do domu, bo doszedł do wniosku, że jej nie zależy...

– Och, zamknij się – powiedziała obok niej Rita. – Przestań się mażać, na litość boską, przecież to świetna zabawa.

– Moja mama mówi, żeby nie wyglądać przez okno, bo ci przejeżdżający pociąg urwie głowę – oznajmiła przyjaciółka Rity, Carol, która miała czternaście lat i była tak samo przemądrzała jak jej matka. – I mówiła mi też, żeby nikomu nie wskazywać drogi, bo to może być niemiecki szpieg, który próbuje trafić do siedziby premiera. Oni zabijają dzieci, wiesz?

Meredith zasłoniła twarz ręką i pokazała Carol język, potem pozwoliła sobie jeszcze kilka razy chlipnąć i wreszcie otarła policzki, kiedy pociąg szarpnął i ruszyli. W powietrzu zakotłowało się od pary i dymu, od okrzyków rodziców na peronie i dzieci w wagonach i śmiechu Rity. A potem wyjechali ze stacji. Kilku chłopców w odświętnych ubraniach, chociaż był poniedziałek, a nie niedziela, biegło przez korytarz od okna do okna i bębniło w szyby, wołając i machając rękami, dopóki pan Cavill nie kazał im usiąść i zabronił otwierać drzwi. Meredith oparła się o szybę i żeby nie widzieć smutnych, poszarzałych twarzy na ulicach, miasta szlochającego za utraconymi dziećmi, patrzyła zafascynowana na wielkie srebrne balony wznoszące się powoli dookoła i szybujące lekko na wietrze nad Londynem niczym piękne, niesamowite zwierzęta.

2.

Milderhurst, 4 września 1939

Rower obrastał w stajni pajęczynami przez ponad dwadzieścia lat i Percy nie miała cienia wątpliwości, że robi z siebie niezłe widowisko. Z włosami związanymi z tyłu gumką, ze spódnicą zebraną z przodu i wciśniętą między kolana jej skromność mogła od biedy wyjść z tej podróży bez szwanku, ale nie łudziła się, że przedstawia sobą malowniczy widok.

Dostały z ministerstwa ostrzeżenie przed zagrożeniem, jakim mogą być rowery, które wpadną w ręce nieprzyjaciela, mimo to postanowiła wykazać się dalekowzornością i wskrziesić zapomniany pojazd. Jeśli w krążących plotkach, że rząd przygotowuje się na trzyletnią wojnę, tkwiło choć ziarno prawdy, prędzej czy później władze zaczną racjonować paliwo i trzeba będzie szukać innych środków komunikacji. Rower należał kiedyś do Saffy, ale jej siostra nie używała go od dawna. Percy wydobyła go z zapomnienia, wyczyściła i zaczęła nim jeździć w kółko po dziedzińcu, dopóki nie nauczyła się jako tako utrzymywać równowagi. Nie spodziewała się, że może mieć z tego tyle frajdy, i nie mogła pojąć, czemu dotąd nie sprawiła sobie własnego roweru, czemu czekała z odkryciem tej przyjemności, aż zaczną jej siwieć włosy. To była naprawdę wielka radość, zwłaszcza w to niezwykle babie lato, kiedy powiew ciepłego powietrza chłodził jej w słońcu twarz, a ona pędziła jak szalona wzdłuż żywopłotu.

Wjechała na szczyt pagórka i z szerokim uśmiechem pochyliła się nad ramą, po czym zanurkowała w następny zjazd. Krajobraz oblewał się złotem, ptaki świergotały, a w powietrzu ociągał się letni upał. W taki

wrześniowy dzień w hrabstwie Kent byłaby gotowa przysiąc, że wczorajsze przemówienie tylko jej się przyśniło. Pojechała na skróty Blackberry Lane wokół stawu, po czym zsiadła z roweru i poszła dalej na piechotę wąskim pasem łąki przylegającym do potoku.

Pierwszą parę minęła wkrótce po wejściu w alejkę – dziewczyna i chłopiec, niewiele starsi od Juniper, z identycznymi maskami gazowymi przewieszonymi przez ramię. Trzymali się za ręce i szeptali, nachylając do siebie głowy tak blisko, że prawie jej nie zauważyli.

Wkrótce potem zobaczyła drugą dwójkę siedzącą niemal w identycznych pozach, niewiele dalej trzecią. Pozdrowiła ich skinieniem głowy i zaraz tego pożałowała. Dziewczyna odpowiedziała jej nieśmiałym uśmiechem i zaraz oparła się na ramieniu chłopca, a po chwili popatrzyli na siebie z taką młodzieńczą czułością, że Percy się zarumieniła i natychmiast zrozumiała swój nietakt. Jeszcze za czasów jej dzieciństwa Blackberry Lane była ulubionym miejscem spotkań zakochanych par, a na pewno i dużo wcześniej. Percy wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek inny, jej własny romans toczył się przez lata pod najściślejszą zastoną tajemnicy, głównie dlatego że nie miał szans na szczęśliwe zakończenie.

Oczywiście mogłaby dokonać łatwiejszego wyboru, zakochać się w odpowiednim mężczyźnie, z którym mogłaby flirtować otwarcie, nie narażając rodziny na szyderstwa, lecz miłość nie kieruje się rozsądkiem i doświadczenie Percy potwierdzało to w całej pełni: nie zwraca uwagi na społeczne bariery, nie dba o podziały klasowe ani konwenanse, ani nawet o zdrowy rozsądek. I nieważne, że najstarsza z siostr Blythe, która zawsze szczyliła się swym pragmatyzmem, próbowała oprzeć się sile miłości. Równie dobrze mogłaby postanowić, że przestanie oddychać. Więc się poddała, pogodziła się z życiem wypełnionym ukradkowymi spojrzeciami, przemycanymi listami i rzadkimi, cudownymi spotkaniami.

Policzki jej płonęły, nic dziwnego, że czuła takie szczególne pokrewieństwo dusz z tymi młodymi kochankami. Szła jednak dalej ze spuszczoną głową, wpatrując się w skupieniu w ziemię usłaną liśćmi i nie zwracając więcej uwagi na mijane osoby, dopóki nie znalazła się

z powrotem na drodze, gdzie wsiadła na rower i ruszyła w dół, w stronę miasteczka. Jadąc, zastanawiała się, jak to możliwe, że tryby wielkiej wojennej maszyny obracają się niezmiennie, kiedy świat jest taki piękny, kiedy wśród drzew śpiewają ptaki, łąki nadal pokrywają się kwieciami, a serca kochanków niezmiennie wzbierają miłością.

✕

Pierwszy sygnał, że chce jej się siusiu, Meredith poczuła, zanim jeszcze wyjechali spomiędzy szarych, poczerwiałych od sadzy zabudowań Londynu. Ścisnęła nogi i położyła sobie walizkę na kolanach, zastanawiając się, dokąd właściwie jadą i ile potrwa podróż. Była zmęczona, ubranie się do niej kleiło i zjadła już wszystkie kanapki z marmoladą. Właściwie nie chciało jej się jeść, ale się nudziła i trochę bała. Była pewna, że widziała rano, jak mama wkładała jej do walizki torebkę z pełnoziarnistymi herbatnikami w czekoladzie. Otworzyła zamki, uchyliła pokrywę, wsunęła ręce w ciemne wnętrze i zaczęła szperać między rzeczami. Mogłaby podnieść klapę zupełnie, ale wołała nie ściągać na siebie uwagi Rity.

Na wierzchu leżało palto, które mama kończyła szyć przed wyjazdem po nocach, po lewej stronie puszka mleka w proszku, włożona z surowym przykazaniem, aby Meredith zaraz po przyjeździe przekazała ją gospodarzom, u których zamieszka. Wkładając do walizki sześć grubych ręczników frotté, mama przeprowadziła z nią rozmowę, od której dziewczynka do tej pory kuliła się ze wstydu.

– Bardzo możliwe, że podczas swojej nieobecności zostaniesz kobietą, Merry. Rita ci pomoże, ale musisz być przygotowana.

Rita wyszczerzyła zęby, a Meredith aż się wzdrygnęła. Zastanawiała się, jaka jest szansa, by mogła się okazać rzadkim biologicznym wyjątkiem. Przejechała palcami po gładkiej okładce swojego notesu i nagle... bingo! Pod spodem znalazła papierową torebkę z herbatnikami. Czekolada się trochę rozpuściła, ale udało jej się odkleić jedno ciastko. Odwróciwszy się plecami do Rity, zaczęła obgryzać brzegi smakołyku.

Z tyłu jeden z chłopców zaczął śpiewać znaną piosenkę:

*Gdy szedłem alejką kasztanową
Chamberlain udzielił mi rady prawniczej:
Chcesz mieć za darmo maskę gazową
Wstąp do obrony przeciwlotniczej!*

Oczy Meredith automatycznie spoczęły na jej własnej masce przeciwgazowej. Wcisnęła resztkę herbatnika do buzi i strzepnęła okruszki z pudełka. Głupia maska, śmierdzi gumą, a kiedy się ją zdejmuje, ma się okropne uczucie, jakby zdzierła skórę z głowy. Mama kazała im obiecać, że kiedy wyjadą, zawsze będą nosić maski przy sobie i wszyscy troje niechętnie przytaknęli. Później Meredith usłyszała, jak mama mówi do pani Paul, że prędzej da się zagazować, niż włoży to paskudztwo, w którym ma wrażenie, jakby się dusiła, i dziewczynka postanowiła zgubić swoją maskę przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Za oknem ludzie patrzyli na przejeżdżający pociąg i machali do nich z ogródków. Ni stąd, ni zowąd Rita uszczypnęła ją w ramię, aż Meredith pisnęła.

– Dlaczego to zrobiłaś? – spytała, łapiąc się za bolące miejsce.
– Ci ludzie czekają na widowisko. – Rita odkręciła jej głowę w stronę okna. – No dalej, Merry, nie daj się prosić, popłacz im trochę na pokaz.

✠

W końcu miasto zostało w tyle i jego miejsce zajęła zieleń. Wagony stukwały po szynach i tylko od czasu do czasu zwalniały, przejeżdżając przez stacje, ale wszystkie drogowskazy usunięto, więc nie było sposobu dowiedzieć się, gdzie się obecnie znajdują. Meredith musiała na chwilę zasnąć, ponieważ ocknęła się, kiedy pociąg hamował i szarpnięcie wyrwało ją ze snu. Za oknem nic się nie zmieniło: kolejne zielone kępy drzew na horyzoncie i od czasu do czasu ptaki przecinające czyste, błękitne niebo. Kiedy się zatrzymali, przez jedną cudowną chwilę Meredith pomyślała, że może zawracają i pojedą z powrotem do domu; może Niemcy zorientowali się, że z Anglią nie ma żartów i wojna się skończyła, i nie muszą już wyjeżdżać z Londynu.

Niestety, nic z tych rzeczy nie nastąpiło. Podczas kolejnego przeciągającego się postoju Roy Stanley zwymiotował przez okno następną

porcję ananasów w puszcze, potem kazano wszystkim wyjść z wagonu i ustawić się w rzędzie. Każdy dostał zastrzyk, obejrzano im włosy, czy nie mają wszy, po czym wszystkich wsadzono z powrotem do pociągu i wysłano w dalszą drogę. Nie mieli nawet okazji skorzystać z toalety.

Przez jakiś czas w przedziale panowała cisza, nawet malutkie dzieci były zbyt zmęczone, żeby płakać. Jechali i jechali, zdawało się całymi godzinami, aż Meredith zaczęła się dziwić, jaka wielka jest Anglia, i czy w ogóle kiedykolwiek dojadą do klifów. Przyszło jej do głowy, że cała ta podróż jest jednym wielkim spiskiem, że maszynista jest Niemcem, który pod pozorem ewakuacji ma uprowadzić angielskie dzieci. Teoria ta miała wprawdzie luki, po co na przykład Hitlerowi tysiące nowych obywateli, z których w dodatku część pewnie moczy się w nocy? Meredith była jednak już zbyt zmęczona, zbyt spragniona i nieszczęśliwa, żeby wypełniać luki w rozumowaniu, zacisnęła więc jeszcze bardziej nogi i zaczęła zamiast tego liczyć pola. Pola, pola, pola ciągnące się Bóg jeden wie dokąd.

✠

Wszystkie domy mają serca: serca, które kochają, serca przepełnione szczęściem lub serca złamane. Serce Milderhurst było większe od innych i potężniejsze. Tętniło i zamierało, waliło jak oszalałe, to znów zwalniało w małym pokoiku na szczycie wieży. W pokoiku tym praprapradziadek Raymonda Blythe'a pocił się nad sonetami dla królowej Elżbiety, z tego samego pokoiku prapraciotka Raymonda uciekła z lordem Byronem, a jego mama wyskoczyła z okna i zginęła w fosie, pozostawiając po sobie szybujący na wietrze swój ostatni poemat.

Stojąc przy wielkim dębowym biurku, Raymond nabił fajkę szczyptą świeżego tytoniu. Po śmierci swego młodszego syna Timothy'ego matka zaszyła się w tym pokoju i pogrążyła w palącej, czarnej rozpacz. Widował jej postać w oknie, kiedy siedział w grocie lub spacerował po ogrodzie lub na skraju lasu – ciemną sylwetkę z małą, gładko uczesaną głową, zapatrzoną na pola i jezioro, profil jakby rzeźbiony w kości słoniowej, jak ten na broszy, którą odziedziczyła po swojej matce, francuskiej hrabinie. Czasami przez cały dzień kręcił się pod tym oknem, wpadał

między pnącza chmielu, wdrapywał się na dach stodoły, wszystko w nadziei, że mama go zauważy, że się o niego zatroszczy, krzyknie, żeby zszedł na dół. Nigdy tego nie zrobiła. Tylko niania wołała go do domu, kiedy dzień się kończył.

To było jednak dawno temu i stary głupiec gubił się w blaknących wspomnieniach. Po jego matce pozostało niewiele więcej niż legenda, szept letniego wiatru, nadzieja słońca na gołym murze... Mamusiu... Nie był nawet pewien, czy pamięta jeszcze jej głos.

Pokój należał teraz do niego, Raymonda Blythe'a, pana na zamku. Był pierworodnym swojej matki, spadkobiercą jej poezji, jej największej spuścizny. On również miał talent, którym zyskał sobie podziw i (bądźmy szczerzy, to tylko szczerłość przez niego przemawia, ripostował, kiedy spływała na niego fala pokory) sławę. Tak jak ona przed nim. Czy wiedziała, kiedy pozostawiała mu zamek razem z pasją dla słowa pisanego, że wzniesie się na szczyty, aby sprostać jej oczekiwaniom? Że pewnego dnia wypełni swój obowiązek, aby umocnić pozycję rodziny Blythe'ów w świecie literackim?

Zakłuło go boleśnie chore kolano, ścisnął je i wyciągnął przed siebie nogę, czekając, aż ból minie. Potem pokuśtykał do okna, oparł się o parapet i podpalił zapalkę. To był diabelnie ładny dzień, prawie idealny. Pociągając fajkę, żeby tytoń się zajął, zmrużył oczy i popatrzył w dal na podjazd, trawnik, pola i drżącą masę lasu Cardarker. Wielka puszcza Milderhurst, która przyciągnęła go z Londynu do domu, która wołała doń przez pola bitewne Francji, która zawsze znała jego imię.

Co się z tym wszystkim stanie, kiedy go zabraknie? Raymond był stary, ale nie głupi, wiedział, że jego lekarz mówi prawdę. A jednak nie mógł uwierzyć, że zbliża się czas, kiedy nie będzie już siedział przy tym oknie i patrzył na rozległy majątek Milderhurst, jego włości jak okiem sięgnąć. Że nazwisko Blythe'ów umrze razem z nim. Tok jego myśli się zachwiało. To on był temu winien. Może powinien był się jeszcze raz ożenić, znaleźć kobietę, która urodziłaby mu syna. Ostatnimi czasy kwestia dziedzictwa bardzo zaprzętała jego myśli.

Pociągnął z fajki i wypuścił z ust dym z łagodną drwiną, jakby siedział w towarzystwie starego przyjaciela, którego obyczaje znał tak

dobrze, że zaczęły go nużyć. Znowu wpada w melancholię, stary, sentymentalny głupiec. Może każdy człowiek pragnie wierzyć, że bez niego wielki gmach runie w gruzy? W każdym razie każdy przepełniony taką dumą jak on. Zdawał sobie sprawę, że powinien stąpać ostrożniej, że „duch pyszny poprzedza upadek”*, jak ostrzega Biblia. Poza tym nie potrzebował syna, miał dziedziczki w najlepszym wyborze, trzy córki, a żadna z nich nie była materiałem na żonę. No i miał Kościół, swój nowy Kościół. Ksiądz opowiadał mu ostatnio o wspaniałych wiekuistych nagrodach, jakie czekają ludzi, którzy tak hojnie wspierają swych katolickich braci. Sprytny ojciec Andrews wiedział, że Raymond potrzebuje całej niebiańskiej łaski, jaką może sobie zaskarbić.

* Przekł. Biblia Tysiąclecia; Księga Przysłów 16,18, Pallotinum, Poznań 1998.

Wciągnął dym, zatrzymał go na chwilę w ustach, po czym wypuścił. Ojciec Andrews wszystko mu wytłumaczył, czemu dręczą go demony, co należy uczynić, aby je odpędzić. Spotyka go kara, teraz to wiedział, kara za grzech. Za grzechy. Nie wystarczy żałować, wypowiadać się, nawet biczować; jego zbrodnia była zbyt potworna.

Lecz czy naprawdę potrafiłby przekazać swój zamek w obce ręce, choćby po to, by zniszczyć przekłętą demona? Co by się stało ze wszystkimi szepczącymi głosami, zapomnianymi godzinami zaklętymi w kamieniu? Wiedział, co powiedziałyby mama: zamek musi pozostać w rodzinie Blythe'ów. Czy zniósłby jej rozczarowanie? Zwłaszcza mając tak wspaniałą, naturalną dziedziczkę – Persephone, najstarszą i najbardziej odpowiedzialną ze swoich dzieci? Widział tego ranka, jak wyjeżdża na rowerze, jak zatrzymuje się przy mostku, żeby sprawdzić filary, tak jak jej kiedyś pokazał. Była jedyną z całej trójki, której przywiązanie do zamku mogło dorównać jego miłości. I do tego, chwała Bogu, nie znalazła męża, a teraz już na pewno na to za późno. Jest częścią zamku, elementem jego wyposażenia, a zarazem własnością Raymonda tak samo jak posągi za cisowym żywoptem; jej jednej może wierzyć, że nie uczyni nic, co mogłoby narazić Milderhurst na szwank. Raymond podejrzewał nawet, że podobnie jak on udusiłaby człowieka gołymi rękami, gdyby próbował przestawić tu chociaż jeden kamień.

Usłyszał odgłos uruchamianego silnika samochodowego. Po chwili warkot ucichł równie nagle, jak się zaczął, a zamiast niego z dołu doszło ciężkie, metaliczne trzaśnięcie drzwiczek i Raymond wyciągnął szyję, żeby wyrzeć nad ceglanym parapetem. Ktoś wyprowadził daimlera z garażu na podjazd i tam zostawił. Jego wzrok przyciągnęła poruszająca się postać. Jasny duszek, jego najmłodsza córka Juniper skakała ze schodów frontowych w stronę drzwiczek kierowcy. Uśmiechnął się do siebie, zarazem zdeprymowany i zadowolony. Roztrzepany podlotek, to nie ulega wątpliwości, ale co ta chuda, zbzikowana pannica potrafi zrobić z dwudziestoma sześcioma prostymi literami; jakie potrafi tworzyć z nich kombinacje, zapierało dech w piersiach. Gdyby był młodszy, kto wie, czy nie zżerałaby go zazdrość...

Następną hałas, tym razem bliżej, w zamku.

Cśś... Słyszycie go?

Raymond zamarł, nasłuchując.

Drzewa słyszają. One pierwsze wiedzą, że się zbliża.

Kroki na podeście. Ktoś wchodzi po schodach. Położył fajkę na kamieniu. Serce zaczęło mu walić.

Słuchajcie! Drzewa w głębokim, ciemnym lesie drżą i potrząsają liśćmi; wiatr przekrada się między czubkami koron i szepcze, że coś się wydarzy.

Wpuścił z piersi powietrze najspokojniej, jak mógł. Nadszedł czas, Człowiek z Błota przyszedł, aby się zemścić. Raymond wiedział, że to nastąpi.

Nie mógł uciec z pokoju, skoro demon wchodził po schodach. Jediną drogą ucieczki było okno. Rzucił okiem w stronę parapetu. Prościutko na dół, jak strzała. Jak jego matka.

– Panie Blythe? – doleciał głos ze schodów.

Przygotował się. Człowiek z Błota jest podstępny, zna wiele sztuczek. Ciarki przebiegły Raymondowi po każdym skrawku skóry. Próbował coś usłyszeć przez własny, urywany oddech.

– Panie Blythe?! – zawołał znowu demon, tym razem bliżej.

Raymond ukrył się za fotelem. Przykucnął i zaczął się trząść. Tchórz do samego końca. Kroki zbliżyły się powoli i nieubłaganie.

Przy drzwiach. Na dywanie. Bliżej. Jeszcze bliżej. Zacisnęła oczy, zasłonił rękami głowę. Potwór stanął tuż nad nim.

– Och, Raymondzie, biedaku. Chodź, daj Lucy rękę. Przyniosłam ci pyszną zupę.

✠

Na skraju miasta, po obu stronach High Street dwa rzędy topoli stały jak zawsze niczym zmęczeni żołnierze z minionej epoki. Przywdziali z powrotem mundury, zauważyła Percy, mijając je w pędzie – białe pasy wymalowane farbą na pniach. Krawężniki też pomalowano i koła wielu pojazdów. Po długich dyskusjach zeszłej nocy zastosowano się w końcu do nakazu zaciemnienia: pół godziny po zachodzie słońca zgaszono latarnie, zabroniono zapalać reflektory samochodów, a wszystkie okna zasłonięto ciężkimi, czarnymi kotarami. Przed wyjściem z domu Percy sprawdziła, co u taty, a potem weszła na szczyt wieży i popatrzyła za miasto w stronę kanału. Jedyne widoczne światło rzucał księżyc i Percy odniosła niesamowite wrażenie – wyobraziła sobie, jak to musiało być setki lat temu, kiedy świat był dużo ciemniejszy, gdy armie rycerzy przemierzały z dudnieniem kraj, kiedy końskie kopyta ryły twarde grunty, strażnicy w zamku stały gotowe i czujne...

Skreśliła gwałtownie w bok, kiedy pan Donaldson nadjechał z naprzeciwka ulicą, jakby kierował się prosto na nią. Ścisnął kurczowo kierownicę, łokcie sterczały mu na boki, twarz zastygła w dziwnym grymasie, a zwężone oczy wpatrywały się przez okulary w drogę. Rozchmurzył się, kiedy ją rozpoznał, podniósł rękę, żeby jej pomachać, a wtedy samochód zjechał jeszcze bliżej do krawężnika. Kiedy ją minął, wróciła z trawnika na jezdnię i obejrzała się z troską, jak pan Donaldson zygakiem zmierza w stronę domu w Bell Cottage. Niech diabli wezmą bomby, ludzie tutaj poginą przez ciemności.

✠

Nieuważnemu obserwatorowi, nieświadomemu orędzia, wygłoszonego przez premiera poprzedniego dnia, mogłoby się wydawać, że w sercu Milderhurst wszystko toczy się jak zwykle. Ludzie zajmowali się swoimi sprawami, robili zakupy, gawędzili w małych grupkach przed pocztą, ale Percy nie dała się zwieść. Nie było to oczywiste, nikt nie szlochał, nie

zgrzytał zębami, zmiany zaszyły dużo subtelniej, lecz wydawały się przez to jeszcze smutniejsze. Nadciągająca wojna wyrażała się w nieobecnych spojrzeniach starszych mieszkańców miasteczka, w cieniach przebiegających po ich twarzach, nie ze strachu, lecz z żalu. Oni wiedzieli, przeżyli poprzednią wojnę i pamiętali pokolenie młodych mężczyzn, którzy maszerowali ochoczo, by nigdy nie powrócić. Albo takich jak tata, którzy wrócili do domu, lecz pozostawili we Francji jakąś cząstkę duszy i nigdy już nie byli tacy jak dawniej. Którym od czasu do czasu oczy zachodziły mgłą, usta bieleły, a umysły poddawały się widokom i dźwiękom, o których nie chcieli mówić, lecz nie potrafili się ich pozbyć z głowy.

Percy i Saffy słuchały w radiu przemówienia premiera Chamberlaina i przez cały hymn narodowy przesiedziały w głębokiej zadumie.

– Myślę, że teraz będziemy musiały mu powiedzieć – odezwała się w końcu Saffy.

– Prawdopodobnie tak.

– Zrobisz to, oczywiście.

– Oczywiście.

– Tylko wybierz odpowiedni moment. Postaraj się, żeby przyjął to rozsądnie.

– Tak.

Przez kilka tygodni odkładały zadanie powiadomienia taty o możliwości wybuchu wojny. Ostatnio jeszcze głębiej pogrążył się w urojeniach, co jeszcze bardziej nadwerżyło tkankę łączącą go z rzeczywistością, tak że oscylował między skrajnościami jak wahadło starego zegara szafkowego. W jednej chwili wydawał się całkowicie świadomy, rozmawiał z nią przytomnie o sprawach zamku, jego historii i wielkich dziełach literatury, a w następnej chował się za krzesłami i szlochał ze strachu przed wyimaginowanymi widmami lub chichotał jak zawadiacki uczeń, błagając Percy, żeby poszła z nim popływać łódką w strumieniu, i zapewniając, że zna najlepsze miejsce do zbierania skrzeku i może jej pokazać, jeśli umie dotrzymywać tajemnicy.

Pewnego lata, tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej, jako ośmioletnie dziewczynki pracowały z tatą nad własnym przekładem *Sir Gawaina i zielonego rycerza*. Tata czytał staroangielską poezję, a Percy

zamykała oczy i słyszała wokół siebie magiczne dźwięki, pradawne szeptu.

Gawain poczuł *etaynes that hym aneled* – mówił tata. – Czuję na sobie oddech olbrzymów, Persephone. Wiesz, jakie to uczucie? Słyszałaś kiedyś głosy przodków dobywające się z kamieni?

Kiwała głową i jeszcze ciaśniej zwiłała się w kłębek u jego boku, zamykała oczy, a on mówił dalej...

Życie było wtedy takie proste, jej miłość do taty taka nieskomplikowana. Miał ponad dwa metry wzrostu i był zbudowany ze stali; zrobiłaby wszystko i zgodziłaby się ze wszystkim, byle zasłużyć na jego aprobatę. Jednak wiele się wydarzyło od tamtej pory, widok zdzieciniałego entuzjazmu na jego starej twarzy sprawiał jej tyle przykrości. Choć nikomu by się do tego nie przyznała, a już na pewno nie Saffy, nie znosiła patrzeć na tatę, kiedy wpadał w te swoje „fazy regresji”, jak je określił lekarz. Problem tkwił w przeszłości. Nie dawała jej spokoju. Tęsknota za przeszłością była jej kulą u nogi, co zakrawało na ironię losu, ponieważ Percy Blythe nie znosiła sentymentalizmu.

Rzucając się w sieci niepożądanego melancholii, przebyła ostatni, krótki odcinek drogi do domu parafialnego i oparła rower o drewnianą ścianę budynku, uważając, aby nie podeptać grządek w ogródku pastora.

– Dzień dobry, panno Blythe.

Percy uśmiechnęła się do pani Collins. Pocziwa staruszka za sprawą niewytłumaczalnego zakrzywienia czasu wydawała się wiekową kobietą od ponad trzydziestu lat. Na jej ramieniu wisiał woreczek na robótki, a w rękę trzymała świeżo upieczony biszkopt.

– Uwierzyłyby pani, że może do tego dojść? – odezwała się, kręcąc żałośnie eleganckimi, srebrnymi lokami. – Znowu wojna.

– Miałam nadzieję, że uda się jej uniknąć, ale znając ludzką naturę, nie mogę powiedzieć, że bym się czuła zaskoczona.

– Ale po tak krótkim czasie? – Znów się zatrzęsły srebrne loki. – Ci wszyscy młodzi chłopcy...

Pani Collins straciła na poprzedniej wojnie dwóch synów i chociaż Percy nie miała własnych dzieci, doskonale wiedziała, co to znaczy kochać aż do bólu. Z uśmiechem wyjęła ciasto z drżących rąk swojej starej przyjaciółki i wzięła ją pod ramię.

– Chodźmy, kochana. Wejźdźmy do środka i znajźdźmy sobie miejsce, dobrze?

Członkinie Żeńskiej Służby Pomocniczej postanowiły zorganizować spotkanie szyjących pszczołek w domu parafialnym, kiedy kilka bardziej rzutkich działaczek orzekło, że sala ratusza, większa i mniej ozdobna, lepiej się nada na przyjęcie ewakuowanych dzieci. Gdy jednak Percy obrzuciła wzrokiem tłum zapalonych kobiet, zbitych w gromadki przy zsuniętych stołach, rozstawiających maszyny do szycia, rozwijających bele tkanin na koce dla ewakuantów, bandaże i opatrunki dla szpitali, doszła do wniosku, że to nie był mądry wybór. Zastanawiała się też, ile osób z tej grupy odejdzie, kiedy minie pierwotny zapal, zaraz jednak zbesztła się w duchu za taką zgorzkniałą uszczypliwość, nie wspominając o hipokryzji, zdawała sobie bowiem sprawę, że ona pierwsza poszuka wymówki, gdy tylko znajdzie inny sposób, aby wnieść swój wkład w toczącą się wojnę. Żaden był z niej pożytek, gdy chodziło o szycie, a dzisiaj przyszła tu tylko dlatego, że jeśli każdy miał obowiązek zrobić, co w jego mocy, obowiązkiem córek Raymonda Blythe'a jest zrobienie jeszcze więcej.

Usadziła panią Collins przy stole, gdzie, jak się można było spodziewać, rozmowa toczyła się na temat synów, braci i siostrzeńców, których powołano do wojska, po czym zaniósła biskopt do kuchni, uważając, aby się nie natknąć na panią Caraway, która chodziła z zawziętym wyrazem twarzy, jaki zawsze wróżył szczególnie paskudne zlecenie.

– No, no, panno Blythe – poczmistrzynie Potts wyciągnęła rękę po ciasto i podniosła je do oczu. – Cóż to za wspaniałe wypieki nam pani przyniosła?

– To ciasto od pani Collins, ja jestem jedynie posłańcem.

Percy zrobiła krok, aby się czym prędzej wymknąć, lecz pani Potts, wyćwiczona w sztuce zastawiania konwersacyjnych sideł, zbyt szybko zarzuciła się.

– Brakowało nam pani na piątkowych ćwiczeniach obrony przeciwlotniczej.

– Byłam zajęta gdzie indziej.

– Wielka szkoda. Pan Potts ciągle powtarza, że doskonale udaje pani ofiarę.

– Proszę mu podziękować za komplement.

– I nikt nie umie obsługiwać pompy ręcznej z taką werwą.

Percy uśmiechnęła się blado. Nigdy pochlebstwa nie były takie uciążliwe.

– Jak się czuje pani tata?

Pytanie oblepiała gruba warstwa fałszywego współczucia i Percy walczyła z chęcią, żeby wycelować świeżutkim biszkoptem prosto w twarz poczmistrzyni.

– Słyszałam, że mu się pogorszyło.

– Czuje się dobrze, tak jak przewidywał lekarz. Dziękuję za troskę, pani Potts.

Przed oczami stanął jej obraz taty sprzed kilku dni biegnącego korytarzem w koszuli nocnej, chowającego się ze strachu pod schodami i szlochającego jak przerażone dziecko, że wieża jest nawiedzona, że Człowiek z Błota już po niego idzie. Wezwały doktora Bradbury'ego, który przepisał mocniejsze lekarstwo, lecz tata trząśł się przez kilka godzin, walcząc ze wszystkich sił, aby go nie zażyć, aż w końcu zasnął kamiennym snem.

– Był zawsze filarem naszej społeczności. – Pani Potts odegrała nawet drżenie uczuć w głosie. – Smutek ogarnia, gdy tacy ludzie zaczynają podupadać na zdrowiu. Ale to wielkie szczęście, że ma kogoś takiego jak pani, kto może kontynuować jego dobroczynne dzieło, zwłaszcza w czasach, gdy naród jest w wielkiej potrzebie. W niebezpieczeństwie ludzie w miasteczku oglądają się na zamek, zawsze tak było.

– To bardzo miłe, co pani mówi, pani Potts. Wszyscy robimy, co w naszej mocy.

– Domyślam się, że możemy dziś po południu liczyć na pani pomoc w Komitecie do spraw Zakwaterowania Ewakuantów?

– Możecie.

– Byłam tam już dzisiaj rano, przygotowywałam puszki ze skondensowanym mlekiem i peklowaną wołowiną, które prześlemy rodzinom przyjmującym do siebie dzieci. To niewiele, ale skoro władze nie garną się z pomocą, tylko tyle mogliśmy zaoferować. Każdy drobny wkład się liczy. Słyszałam, że panie również zamierzają wziąć do siebie dziewczynkę? To bardzo szlachetne z waszej strony. Pan Potts i ja oczywiście też o tym dyskutowaliśmy, zna mnie pani, z całego serca pragnęłabym pomóc, ale te alergie mojego biednego Cedrica... – Uniosła

przepraszająco rękę ku niebu. – Nie zniósłby tego. – Pochyliła się bliżej i postukała w czubek nosa. – Tylko niech pani uważa: ci z East Endu to ludzie zupełnie innego pokroju. Lepiej zawczasu zaopatrzyć się w dobry środek odkażający, zanim pozwoli pani któremuś z nich postawić nogę w zamku.

I chociaż Percy żywiła własne, ponure obawy co do charakteru ich przyszłej lokatorki, insynuacje pani Potts były tak niesmaczne, że sięgnęła do torebki po papierośnicę i zapaliła tylko po to, żeby nie musieć na nie odpowiadać.

Pani Potts natomiast ciągnęła zupełnie niestropiona:

– Pewnie słyszała pani już tę drugą, ekscytującą wiadomość?

Percy wypuściła dym z piersi, rozglądając się rozpaczliwie za jakimś zajęciem.

– O co chodzi, pani Potts?

– Och, przecież wy w zamku na pewno wiecie o tym najlepiej. Jestem przekonana, że znacie tę sprawę ze szczegółami.

Rzecz jasna w tym momencie zapadło milczenie i wszyscy obrócili oczy na Percy, która starała się za wszelką cenę to zignorować.

– Jaką sprawę, pani Potts? – Z trudem powstrzymywała irytację. – Nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

– Och! – Oczy miejskiej plotkarki zrobiły się okrągłe, a twarz jej się rozpromieniła, kiedy zorientowała się, że jest gwiazdą programu. – O Lucy Middleton, oczywiście.

3.

Zamek Milderhurst, 4 września 1939

W tym musiała tkwić jakaś sztuczka, żeby rozsmarować klej, a potem przyłożyć pasek materiału i nie zakleić przy tym całej szyby. Dziarska kobieta w poradniku ilustrowanym wyglądała, jakby nie miała żadnych kłopotów ze wzmacnianiem swoich okien. Sprawiała wrażenie zachwyconej tym nowym wyzwaniem: szczupłutka w talii, starannie uczesana, z bezbarwnym uśmiechem na twarzy. Saffy jednak czuła się kompletnie bezradna. Zaczęła się zmagać z oknami jeszcze w lipcu, kiedy pojawiły się pierwsze broszury, lecz pomimo mądrej rady ministerstwa, zawartej w broszurce numer dwa: „Nie odkładajcie niczego na ostatnią chwilę”, jej zapał ostygł, kiedy wydawało się, że wojnie można jeszcze zapobiec. Jednak po przejmującym orędziu pana Chamberlaina wróciła do rozpoczętej pracy. Trzydzieści trzy okna zaklejone na krzyż, zostało zaledwie sto. Czemu nie użyła zwykłej taśmy? Chyba nigdy się tego nie dowie.

Przymocowała ostatni róg materiału, zesła z krzesła i cofnęła się, aby obejrzeć efekt. Ojej, przechyliła głowę na bok i zmarszczyła brwi na wykoślawiony krzyż. No cóż, wytrzyma, ale nie jest to dzieło sztuki.

– Brawo – powiedziała Lucy, wchodząc właśnie w tym momencie przez drzwi z herbatą na tacy. – X oznacza cel, tak mówią, prawda?

– Mam nadzieję, że nie. Pan Hitler powinien wiedzieć, że jeśli choć jedna bomba zadrapie zamek, będzie miał do czynienia z Percy. – Saffy wytarła lepkie ręce w ręcznik. – Ten klej się na mnie zawziął. Nie mam pojęcia, czym go obraziłam, ale zdecydowanie mnie nie lubi.

– Klej z humorami. Przerażające!

– Nie tylko on. Mniejsza o bomby, muszę się napić czegoś na uspokojenie, kiedy skończę z tymi oknami.

– Wie pani co? – Lucy nalewała herbatę z imbryczka i zawiesiła głos, dopóki nie napełniła drugiej filiżanki. – Właśnie przed chwilą zaniósłam panu Blake'owi lunch, więc może teraz pani pomogę?

– Och, kochana Lucy, naprawdę? Chyba się rozplączę z wdzięczności.

– Nie trzeba. – Lucy powstrzymała się od zadowolonego uśmiechu. – Właśnie skończyłam to robić u siebie w domu, okazuje się, że mam dryg do klejenia. Niech pani wycina, a ja będę nalepiała.

– Doskonale!

Saffy rzuciła ręcznik z powrotem na krzesło. Ręce nadal jej się kleiły, ale na razie to wystarczy. Kiedy Lucy podała jej filiżankę, przyjęła ją z wdzięcznością. W przyjacielskim milczeniu upiły na stojąco pierwszy łyk herbaty. Stało się to prawie ich rytuałem. Nic nadzwyczajnego, nie przerywały swych codziennych zajęć, nie kładły srebrnej zastawy, po prostu jakimś sposobem znajdowały coś do zrobienia razem w tym samym miejscu o odpowiedniej porze. Gdyby Percy o tym wiedziała, byłaby wstrząśnięta. Zaraz by się zaczęło – ściągnięte usta, zmarszczone brwi, groźne spojrzenia i nauki w rodzaju:

– To niestosowne. Powinniśmy zachowywać się, jak przystało naszej pozycji.

Ale Saffy lubiła Lucy, na swój sposób były przyjaciółkami. Nie miała pojęcia, co złego mogło się kryć w tym, że wypiły razem herbatę. Poza tym czego oczy nie widzą, sercu nie żal. Percy nie musi się o niczym dowiedzieć.

– Powiedz mi, Lucy – zagadnęła Saffy, aby przerwać milczenie i dać dyskretnie do zrozumienia, że powinny wrócić do pracy. – Co u ciebie?

– Wszystko dobrze, panno Saffy.

– Nie przykrzy ci się samej w domu?

Lucy mieszkała w małym domku na obrzeżach miasteczka. Saffy wyobrażała sobie, jaką pustkę w jej życiu musiała pozostawić śmierć matki.

– Cały czas się czymś zajmuję.

Gospodyni odstawiła filiżankę z herbatą na parapet i posmarowała szybę na krzyż pędzlem umoczoną w kleju. Saffy wydało się, że zauważyła smutek na jej twarzy, jakby chciała wyznać jakieś głęboko drżące uczucie, ale się rozmyśliła.

– O co chodzi, Lucy?

– Och, nic takiego – zawahała się. – Tylko... brakuje mi mamy, oczywiście.

– To naturalne.

Lucy była dyskretna (aż do przesady, myślała sobie czasem Saffy), lecz z biegiem lat obie z Percy zorientowały się, że stara pani Middleton nie miała łatwego charakteru.

– Ale dobrze się czuję we własnym towarzystwie. – Spojrzała na Saffy z ukosa. – Mam nadzieję, że to nie zabrzmiało głupio.

– Wcale nie – odrzekła Saffy z uśmiechem.

Szczerze mówiąc, uważała, że zabrzmiało to wspaniale. Zaczęła sobie wyobrażać swoje własne mieszkanie w Londynie, ale upomniała się zaraz w duchu. Kiedy na jej barkach spoczywało tyle odpowiedzialnych zadań, nie może sobie pozwolić na rozmyślanie o niebieskich migdałach. Usiadła na podłodze i zaczęła wycinać z materiału długie pasy.

– Czy na górze wszystko gotowe, Lucy?

– Pokój wygląda ślicznie. Wywietrzyłam go, zmieniłam pościel i... mam nadzieję, że się pani nie pogniewa – wygładziła pasek tkaniny – ale wyniosłam ten porcelanowy wazon, który należał do pani babci. – Nie mam pojęcia, jak mogłam go nie zauważyć, kiedy tydzień temu pakowałyśmy najcenniejsze rzeczy. Zaniósłam go do archiwum.

– Och! – Saffy otworzyła szeroko oczy, patrząc gospodyni badawczo w twarz. – Chyba nie myślisz, że trafi nam się jakaś mała awanturница, która będzie wszystko tłukła i pustoszyła zamek?

– Ależ nie. Pomyślałam tylko, że strzeżonego Pan Bóg strzeże.

– Masz rację. – Saffy skinęła głową, kiedy Lucy wzięła następny pasek materiału. – Postąpiłaś bardzo roztropnie. Sama powinnam była o tym pomyśleć. Percy będzie bardzo zadowolona. – Westchnęła. – Mimo to pomyślałam, że mogłybyśmy postawić jakiś mały bukiet świeżych

kwiatów na stoliku nocnym, żeby trochę podnieść małe biedactwo na duchu. Może w tym szklanym wazonie z kuchni?

– O tak, on będzie znacznie lepszy. Pójdę go poszukać, dobrze?

Saffy skinęła promiennie głową, lecz kiedy wyobraziła sobie przyjazd oczekiwanego dziecka do zamku, uśmiech zamarł jej na ustach i pokręciła głową.

– Och, czyż to nie jest okropne, Lucy?

– Jestem pewna, że nikt nie oczekuje od państwa najlepszych kryształów.

– Nie, nie, mam na myśli całą tę historię: przerażone dzieci, nieszczęsne matki, które zostały w Londynie i zmuszały się do uśmiechu, machając swoim maleństwom na pożegnanie i patrząc, jak odjeżdżają w nieznaną. I po co to wszystko? Żeby uprzątnąć scenę, na której ma się rozegrać wojna. Żeby młodych mężczyzn zmuszano w dalekich krajach do zabijania innych młodych mężczyzn.

Lucy odwróciła się do niej ze zdziwieniem i troską w oczach.

– Nie powinna się pani teraz tak bardzo tym zamartwiać.

– Wiem, wiem. Już przestaję.

– Musimy podtrzymywać siebie i innych na duchu.

– Oczywiście.

– Szczęście, że są tacy ludzie jak państwo, którzy gotowi są przygarnąć te biedactwa. O której godzinie spodziewa się pani przyjazdu dziecka?

Saffy odstawiła pustą filiżankę i ponownie wzięła do ręki nożyczki.

– Percy mówiła, że autobusy będą w Milderhurst między trzecią a szóstą. Terminu przyjazdu nie dało się bardziej doprecyzować.

– To znaczy, że pani Percy zajmuje się selekcją?

Głos Lucy lekko zadrżał i Saffy wiedziała, co gospodyni miała na myśli: trudno było uznać Percy za odpowiednią kandydatkę do zajmowania się sprawami wychowania.

Kiedy Lucy przestawiała krzesło pod następne okno, Saffy podreptała za nią.

– Tylko tak mogłam ją przekonać, żeby się zgodziła na wzięcie dziecka. Wiesz, jaka ona jest, kiedy chodzi o zamek. Wyobraża sobie

jakiegoś nieznosnego czarta, który wrywa tralki z balustradek, *bazgrze* po tapetach i podpala zasłony. Muszę jej bez ustanku przypominać, że te mury wytrzymały stulecia, przeżyły najazdy Normanów, Celtów i Juniper. Jedno biedne londyńskie dziecko nie robi dużej różnicy. Lucy wybuchła śmiechem.

– A skoro mowa o panience Juniper, to czy będzie na lunchu? Bo widziałam, jak wyjeżdżała samochodem pana Blythe'a.

Saffy machnęła w powietrzu nożycami.

– Wiem tyle samo co ty. Ostatni raz, kiedy rozumiałam, co tej dziewczynie chodzi po głowie, zdarzył się... – zastanawiała się przez chwilę z brodą opartą na kłykciach, po czym teatralnym gestem rozłożyła ramiona. – Wiesz, nie pamiętam ani jednej takiej sytuacji.

– Panienska Juniper ma inne zalety niż przewidywalność.

– O tak – odparła Saffy z całym uśmiechem. – Z całą pewnością.

Lucy z wahaniem zeszła na podłogę i przejechała szczupłymi palcami po czole. Ciekawy, staromodny gest, pomyślała Saffy, trochę jak młodej damy, która zastanawia się, czy nie zemdleć. Rozważała właśnie, czy nie wykorzystać tego uroczego zwyczaju w swojej powieści – tak bardzo pasowałby do Adele, kiedy na przykład byłaby rozstrojona z powodu jakiegoś mężczyzny.

– Panno Saffy...

– Mmm?

– Chciałabym z panią porozmawiać o pewnej bardzo ważnej sprawie.

Wypuściła głośno powietrze, ale więcej się nie odezwała i przez jedną okropną chwilę Saffy pomyślała, że gospodyni jest chora. Może dostała złe wieści od lekarza. To by wyjaśniało jej powściągliwość ostatnimi czasy, jej roztargnienie. Choćby wczoraj rano Saffy weszła do kuchni i zobaczyła Lucy stojącą w progu drzwi wejściowych i zapatrzoną niewidzącym wzrokiem w warzywnik, podczas gdy jajka dla taty gotowały się w najlepsze na twardo.

– O co chodzi, Lucy? – Saffy wstała i wskazała gestem, aby Lucy usiadła obok niej na sofie. – Czy coś się stało? Zmizerniałś. Przynieść ci wody?

Lucy pokręciła głową, ale rozejrzała się za czymś, czego mogłaby się przytrzymać i oparła się o najbliższy fotel. Saffy usiadła na szezlongu i czekała, a kiedy usłyszała nowinę, cieszyła się, że nie wysłuchała jej na stojąco.

– Wychodzę za mąż – oznajmiła Lucy. – To znaczy ktoś mnie poprosił o rękę i ja się zgodziłam.

Przez chwilę Saffy zastanawiała się, czy jej gospodyni nie ma przypadkiem urojeń albo w najlepszym wypadku płata jej psikusa. To zwyczajnie nie miało sensu: Lucy, droga, niezawodna Lucy, która przez szereg lat przepracowanych w Milderhurst ani razu nawet nie przebaknęła o mężczyźnie, nie mówiąc już o wychodzeniu na randki, ma wziąć ślub? Tak ni stąd, ni zowąd, w jej wieku? Rety, przecież jest od niej o kilka lat starsza, musi dobiegać czterdziestki.

Lucy przestąpiła z nogi na nogę i Saffy uprzytomniła sobie, że zapadła między nimi niezręczna cisza i że wypada jej coś powiedzieć. Jej język obracał w ustach jakieś słowa, ale nie mogła ich wyartykułować.

– Wychodzę za mąż – powtórzyła Lucy tym razem wolniej i z ostrożnością, która wskazywała na to, że ona sama nie przyzwyczaiła się jeszcze do tej myśli.

– Ależ Lucy, to wspaniała nowina – pospieszyła z gratulacjami Saffy. – Kim jest ten szczęśliwy wybranek? Gdzie go poznałaś?

– Szczerze mówiąc, poznałam go w Milderhurst.

– Doprawdy?

– To Harry Rogers. Wychodzę za Harry'ego Rogersa. Oświadczył mi się, a ja powiedziałam: tak.

Harry Rogers. Brzmiało jakoś mgliście znajomo, Saffy była pewna, że powinna pamiętać tego dżentelmena, ale nie mogła znaleźć twarzy, która by pasowała do nazwiska. Cóż za kłopotliwa sytuacja! Czowała, że się rumieni, więc szybko pokryła zmieszanie szerokim uśmiechem, licząc, że to wystarczy, aby przekonać Lucy ojej niezmiernej radości.

– Oczywiście znamy się od wielu lat, jakżeżby mogło być inaczej, skoro przecież regularnie bywa w zamku, ale zaczęliśmy ze sobą chodzić dopiero kilka miesięcy temu, zaraz po tym, jak ten stary zegar szafkowy zaczął wiosną szwankować.

Harry Rogers. Ale to chyba nie ten włochaty, mały zegarmistrz? Przecież on nie jest ani przystojny, ani szarmancki, a z tego, co Saffy zauważyła, to nawet niespecjalnie rozumny. Zupełnie przeciętny, interesowało go tylko rozprawianie z Percy na temat zamku i mechanizmów zegarowych. Dość uczynny, a Percy zawsze wypowiadała się o nim bardzo pozytywnie (dopóki Saffy jej łagodnie nie złajała, że jeśli nie będzie ostrożna, to gotów jej zacząć nadskakiwać), niemniej z całą pewnością nie był to odpowiedni mężczyzna dla kogoś o tak ładnej buzi i czarującym uśmiechu jak Lucy.

– Ale jak do tego doszło?

Pytanie wezbrało w niej i wykipiowało, zanim Saffy zdołała je powstrzymać. Lucy jednak najwyraźniej się nie obraziła i odpowiedziała wprost, Saffy pomyślała nawet, że zbyt szybko, zupełnie jakby sama chciała usłyszeć te słowa, aby zrozumieć, jak mogło do czegoś takiego dojść.

– Któregoś dnia Harry przyjechał obejrzeć zegar, a ja wychodziłam wcześniej ze względu na mamę, która się źle czuła, i tak się złożyło, że wpadliśmy na siebie w drzwiach. Zaproponował, że mnie podwiezie, a ja się zgodziłam. Zaprzyjaźniliśmy się, a potem zmarła mama... Harry był bardzo dobry, prawdziwy z niego dżentelmen.

Nastała cisza, podczas gdy obie odgrywały w głowach ten scenariusz. Saffy była zaskoczona, ale zżerała ją też ciekawość. To pewnie odezwało się w niej pisarska natura, uznała, zastanawiając się, jak ze sobą rozmawiało tych dwoje w małym samochodzie pana Rogersa, jak to się stało, że jedna wspólna podróż rozwinęła się w prawdziwy romans.

– I jesteś szczęśliwa?

– O tak. – Lucy się uśmiechnęła.

– Wobec tego ja też się bardzo cieszę – Saffy zmusiła się, aby nadać swojemu uśmiechowi więcej przekonującej siły. – Musisz go przyprowadzić na podwieczorek. Taką wiadomość trzeba koniecznie uciąć!

– Och nie... – Lucy pokręciła głową. – Nie. To bardzo uprzejme z pani strony, panno Saffy, ale nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

– A to czemu? – spytała Saffy.

Ale od razu się zorientowała dlaczego i zawstydziła się, że nie znalazła dyskretnego sposobu, aby powiększyć grono zaproszonych osób. Lucy za dobrze wiedziała, co jej przystoi, a co nie, aby cieszyć się na myśl o posiłku ze swymi pracodawczyniami. Zwłaszcza z Percy.

– Nie chcielibyśmy sprawiać kłopotu – odrzekła gospodyni. – Żadne z nas nie jest już młode, nie będziemy przedłużać narzeczeństwa, nie ma sensu czekać, zwłaszcza teraz, kiedy wybuchła wojna.

– Ale chyba Harry w tym wieku nie pójdzie...?

– Och nie, nic z tych rzeczy. Ale będzie współpracował z ludźmi pana Potts'a. Wie pani, brał udział w pierwszej wojnie, pod Passchendaele, razem z moim bratem Michaelem.

Twarz Lucy przybrała zupełnie nowy wyraz, jak gdyby dumy, uznała Saffy. Ostrożna przyjemność zmieszana z nieśmiałą satysfakcją. To było coś nowego, zmiana w jej sytuacji życiowej. Lucy jeszcze nie przywykła do tej nowej siebie: kobiety, która ma wkrótce wyjść za mąż, która ma swoją męską połowę, i na którą spłynie blask jego chwały. Saffy rozczuliła się niejako w imieniu tej nowej pary; nie przychodził jej do głowy nikt, kto by bardziej od Lucy zasługiwał na to szczęście.

– Oczywiście wszystko się pięknie ułożyło – orzekła. – Musisz naturalnie wziąć kilka dni tylko dla siebie przed ślubem i potem. Może uda mi się...

– Szczerze mówiąc – Lucy zacisnęła usta i wpatrzyła się z uwagą w punkt nad lewym ramieniem Saffy – o tym właśnie najbardziej chciałam z panią porozmawiać.

– Tak?

– Tak. – Lucy się uśmiechnęła, ale wcale nie swobodnie i radośnie, a potem jej uśmiech całkiem zgasł i pozostawił po sobie tylko łagodne westchnienie. – Bo widzi pani, to trochę niezręczna sytuacja. Harry by wolał, to znaczy uważa, że byłoby lepiej, gdybym po ślubie została w domu, zajęła się domem i działalnością na rzecz wojny. – Może poczuła równie wyraźnie jak Saffy, że potrzebne są dodatkowe wyjaśnienia, bo dodała szybko: – Także na wypadek gdyby Bóg nas pobłogosławił dziećmi.

I wtedy Saffy zrozumiała; zupełnie jakby podniesiono wielką zasłonę,

wszystko, co było rozmazane, stało się wyraźne: Lucy wcale nie była zakochana w Harrym Rogersie, ona po prostu pragnęła mieć dziecko. Aż dziw, że Saffy nie domyśliła się tego od razu, teraz, kiedy o tym wiedziała, wydawało się to takie oczywiste. Szczerze mówiąc, było to jedyne wyjaśnienie. Harry daje jej ostatnią szansę, jaka kobieta na jej miejscu postąpiłaby inaczej? Saffy dotknęła swojego medalionu, przejechała kciukiem po maleńkim zameczku i poczuła pokrewieństwo dusz łączące ją z Lucy, falę siostrzanej czułości i zrozumienie tak silne, że ogarnęła ją nagle chęć opowiedzenia gospodyni wszystkiego, wyznania, że ona, Saffy, wie dokładnie, co to znaczy.

Otworzyła usta, żeby to uczynić, lecz ani jedno słowo nie przechodziło jej przez gardło. Uśmiechnęła się lekko, zamrugła i ku własnemu zdumieniu poczuła gorące łzy, które cisnęły jej się do oczu i lada chwila gotowe były popłynąć jej po policzkach. Lucy odwróciła twarz i zaczęła szukać czegoś w kieszeniach, a tymczasem Saffy, starając się zapanować nad sobą ze wszystkich sił, zerknęła ukradkowo w stronę okna i patrzyła na czarnego ptaka szybującego na niewidzialnym prądzie ciepłego powietrza.

Znów zamrugła i świat zasnuł się mglistą powłoką. Przecież to śmieszne, żeby się teraz rozplakała! To przez tę wojnę, oczywiście, przez niepewność i te okropne, przeklęte okna!

– Będzie mi pani brakowało, panno Saffy. Spędziłam w Milderhurst ponad połowę życia. Zawsze uważałam, że dożyję tu końca swoich dni. – Zawahała się. – Mam nadzieję, że to nie zabrzmiało zbyt makabrycznie.

– Bardzo makabrycznie. – Saffy uśmiechnęła się przez łzy, bawiąc się cały czas medalionem.

Jej też będzie bardzo Lucy brakowało, ale to nie dlatego Saffy się rozkleiła. Od dawna nie otwierała medalionu, nie musiała patrzeć na fotografię, aby widzieć jego twarz. Młodego człowieka, którego kochała, i przez którego była kochana. Przyszłość stała przed nimi otworem, wszystko było możliwe, wszystko. Zanim jej wszystko odebrano...

Lucy jednak o żadnej z tych rzeczy nie wiedziała, a jeśli tak, jeśli przez te wszystkie lata pozbierała wątki tu i ówdzie i poskładała je w całość, to zachowała dyskrecję i nigdy o tym nie wspomniała. Nawet teraz.

– Ślub odbędzie się wiosną – ciągnęła łagodnie, podając Saffy ko-
pertę, którą wyjęła z kieszeni. Saffy zorientowała się, że to jej rezygna-
cja. – W kwietniu, w miejscowym kościele, kameralna uroczystość, nic
wystawnego. Byłabym bardzo szczęśliwa, gdybym do tej pory mogła tu
zostać, ale zrozumieję, jeśli... – Teraz ona miała w oczach łzy. – Bardzo
przepraszam, panno Saffy, że nie uprzedziłam was dużo wcześniej,
zwłaszcza w tych trudnych czasach, kiedy tak trudno o pomoc domową.

– Nonsens – odparła Saffy.

Zadrżała. Nagle poczuła powiew chłodnego wiatru na mokrych po-
liczkach. Wyjęła chusteczkę i otarła oczy. Na tkaninie został ślad rozma-
zanego tuszu do rzęs.

– O Boże – zażartowała, krzywiąc się z udanym przerażeniem. –
Muszę wyglądać okropnie. – Uśmiechnęła się do Lucy. – Nie przepra-
szaj, kochanie. Nie przejmuj się tym ani przez chwilę i przede wszystkim
nie płacz. Z miłości trzeba się radować, a nie nad nią szlochać.

– Tak – odrzekła Lucy, która nie wyglądała w najmniejszym stop-
niu jak zakochana kobieta. – To ja wrócę do pracy.

– Tak.

Saffy nie paliła, nie zносиła dymu ani smaku tytoniu, lecz w tej chwili
żałowała, że nie może wziąć papierosa, aby zrobić coś z rękami. Prze-
łknęła ślinę, wyprostowała się i, jak wiele razy przedtem, wzięła się w
garść, udając Percy...

O Boże, Percy.

– Lucy?

Gospodyni odwróciła się od sprzątaných naczyń.

– A co z Percy? Czy ona wie o Harrym? O tym, że nas opuszczasz?

Lucy pobladła i pokręciła głową.

Saffy poczuła niemiłe ściskanie w żołądku.

– Może powinnam...?

– Nie – odrzekła Lucy, uśmiechając się dzielnie. – Nie. Ja muszę to
zrobić sama.

4.

Percy nie wróciła do domu. Nie poszła też do ratusza, aby pomóc w przygotowaniu puszek z peklowaną wołowiną. Saffy oskarży ją później, że celowo zapomniała odebrać ich ewakuantkę, chociaż jednak w oskarżeniu tym tkwiło ziarno prawdy, zaniedbanie Percy nie miało nic wspólnego z Saffy. Jego powodem była tylko i wyłącznie plotka przyniesiona przez panią Potts. Poza tym, jak przypomni swojej siostrze bliźniaczcze, wszystko ułożyło się dobrze: Juniper, kochana, nieobliczalna Juniper, znalazła się całkiem przypadkowo w okolicy ratusza i zabrała Meredith do zamku. Tymczasem Percy, opuściwszy zebranie Żeńskiej Służby Pomocniczej w stanie lekkiego oszołomienia, zapomniała o rowerze i poszła na piechotę z głową uniesioną wysoko, pewnym krokiem, jak ktoś, kto niesie w kieszeni listę tysięcy spraw do załatwienia przed obiadem. Nikomu nie przeszłoby nawet przez myśl, że oto idzie kobieta głęboko zraniona, widmowe echo dawnej Percy. Nie miała pojęcia, jakim sposobem znalazła się przed salonem fryzjerskim, lecz tam właśnie zaniosły ją odrętwiałe nogi.

Percy zawsze nosiła długie blond włosy, choć nie tak długie jak Juniper ani tak złociste jak Saffy. Nigdy nie miała żalu ani o jedno, ani o drugie, nie przywiązywała wagi do tej ozdoby głowy. O ile Saffy nie ścinała włosów z próżności, Juniper zaś z braku próżności zupełnie lekceważyła swoją fryzurę, o tyle Percy pozostała przy niej z prostej przyczyny: ponieważ tak lubił tata. Uważał, że dziewczęta powinny być ładne, zwłaszcza jego córki powinny mieć długie, jasne włosy, spływające falami na plecy.

Percy wzdygnęła się, kiedy fryzjerka spryskała jej włosy wodą, a potem

czesala, dopóki nie zamieniły się w proste strąki barwy pomyj. Zimne ostrza szeptały metalicznie wokół jej szyi i pierwsze kosmyki upadły na podłogę, gdzie znieruchomiały martwe. Zrobiło jej się lekko. Fryzjerka była wstrząśnięta, kiedy usłyszała życzenie Percy. Kilka razy pytała ją, czy jest tego pewna.

– Ale ma pani takie piękne loki – powiedziała ze smutkiem. – Naprawdę chce je pani ściąć?

– Wszystkie.

– Sama pani siebie nie pozna.

To prawda, pomyślała Percy i ucieszyła ją ta myśl. Kiedy siedziała na fotelu, nadal jakby we śnie, popatrzyła w lustro na swoje odbicie i złapała siebie na małej chwili introspekcji. To, co zobaczyła, nie poprawiło jej nastroju: kobieta, której lata płyną, która nadal kręciła na noc włosy na papiloty, aby zrobić sztuczne loki, bo natura zapomniała o prawdziwych. Takie wydziwianie było dobre dla romantyczki Saffy, która do dziś nie chce porzucić młodzieńczych marzeń i pogodzić się z tym, że jej rycerz w lśniącej zbroi nie przybędzie, że jej miejsce jest i zawsze pozostanie w Milderhurst. Dla Percy to było śmieszne. Ona była pragmatyczką. Organizatorką. Strażniczką.

Już dawno temu powinna była ostrzyć włosy. Nowy styl był zadbany i oszczędny i choć nie mogła sobie powiedzieć, że wygląda lepiej, wystarczyło, że wyglądała inaczej. Każde szcęknięcie nożyczek uwalniało w jej duszy jakąś starą ideę, której trzymała się kurczowo, nawet o tym nie wiedząc. Kiedy więc młoda fryzjerka odłożyła wreszcie nożyczki i powiedziała dość bezmyślnie:

– No to proszę, kochana, gotowe. Prawda, że wygląda pani schludnie?

Percy zignorowała jej irytującą protekcyjność i ku własnemu zdziwieniu zgodziła się, że rzeczywiście wygląda schludnie.

✠

Meredith czekała całymi godzinami, najpierw na stojąco, potem siedząc, aż wreszcie pokładając się prawie na drewnianej podłodze ratusza. Czas dłużył się niemiłosiernie, strumień miejscowych mężczyzn i kobiet wysechł zupełnie, a za oknami pomału zapadał zmrok. Meredith zaczęła się zastanawiać, jaki okropny los ją czeka, jeśli nikt jej nie weźmie, jeśli

nikt jej nie zechce. Czy przyjdzie jej mieszkać samej w tej wielkiej, zimnej sali? Na samą myśl o tym okulary zaszyły jej mgłą, a świat rozmył się przed oczami.

I właśnie w tym momencie przyjechała ona. Wkroczyła do sali niczym olśniewający anioł, jak istota z baśni, i ocaliła Meredith od zimnej, twardej podłogi. Jak gdyby wiedziała, za sprawą magii lub szóstego zmysłu, czegoś, czego nauka jeszcze nie umie wyjaśnić, że ktoś jej tu potrzebował.

Meredith właściwie nie widziała samego wejścia Juniper, bo zajęta była wycieraniem okularów w rąbek spódnicy, ale wyczuła jakieś napięcie w powietrzu i nienaturalną ciszę, jaka zapadła między trajkoczącymi kobietami.

– O, panienka Juniper – powiedziała jedna z nich, kiedy Meredith wkładała właśnie okulary na nos. – Co za niespodzianka. Czy szuka pani siostry? To dziwne, ale nie widziałyśmy jej od rana.

– Przyszłam po swoją ewakuantkę – odrzekła dziewczyna, powstrzymując kobietę machnięciem ręki. – Proszę nie wstawać, już ją widzę.

I ruszyła przez salę, a Meredith obejrzała się przez ramię, czy ktoś jeszcze poza nią pozostał, potem odwróciła się z powrotem i zobaczyła, że ta wspaniała postać stoi tuż nad nią.

– Gotowa? – spytała lekkim, beztróskim głosem, jakby były starymi przyjaciółkami i wszystko od dawna zostało zaplanowane.

✠

Przesiedziawszy kilka godzin nad potokiem, gdzie ze skrzyżowanymi nogami budowała dziecięce łódki ze wszystkiego, co jej wpadło w rękę, Percy wróciła pod salę parafialną po swój rower. Po ciepłym dniu wieczór zrobił się chłodny i zanim wyruszyła w stronę zamku, ciemność zakasała spódnicę i rozsiadła się okrakiem na wzgórzach.

Rozpacz splątała jej myśli i pedałów. Percy starała się je wyprostować. Zaręczyny same w sobie były druzgocącą wiadomością, lecz najboleśniej piekła ją obłuda. Przez cały czas – bo wszak nim doszło do oświadczeń, musiał nastąpić okres umizgów – Harry i Lucy wykradali się za jej plecami, romansowali pod jej nosem, jakby nic dla nich nie

znaczyła, nie była kochanką ani pracodawczynią. Zdrada paliła ją w piersi jak rozpalone żelazo, miała chęć krzyczeć, drapać paznokciami twarz, sobie, jemu i jej, skrzywdzić oboje za to, że tak ją zranili, wrzeszczeć, aż głos jej odmówi posłuszeństwa, chłostać się, aż przestanie czuć ból, zamknąć oczy i nigdy więcej nie musieć ich otworzyć.

Ale oczywiście żadnej z tych rzeczy nie robi.

Percy Blythe nie zachowa się w ten sposób.

Nad czubkami drzew nadchodząca noc pokrywała dalekie pola sińcami, stado czarnych ptaków odlatywało w kierunku kanału. Błada otoczka księżycy, jeszcze niezapalona, wisiała bez życia ukryta w cieniu. Percy zastanawiała się obojętnie, czy dzisiaj w nocy nadlecą bombowce.

Westchnęła krótko i położyła dłoń na świeżo odsłoniętym karku, po czym, kiedy oddech wieczoru musnął jej twarz, zaczęła pedałowac mocniej. Harry i Lucy mają się pobrać i nic, co Percy mogłaby powiedzieć lub uczynić, tego nie zmieni. Płaczem nic nie wskóra. Co się stało, to się nie odstanie. Pozostaje jej ułożyć nowy plan i zacząć go wcielać w życie, robić, co do niej należy, tak jak zawsze.

Dotarła do bramy zamku Milderhurst, przejechała przez drogę i rozchwianą kładkę, po czym zeskoczyła z roweru. Chociaż wcale tego dnia dużo nie chodziła, czuła się dziwnie zmęczona. Wyczerpana po czubki palców. Oczy, kości, ramiona – wszystko w niej było słabe i cienkie, jak gumka, którą naciągnięto zbyt mocno, wskutek czego postrzępiła się i zdeformowała. Zaczęła grzebać w torebce, aż znalazła papierosa.

Ostatni kilometr przeszła na piechotę, pchając przed sobą rower i pałac. Zatrzymała się dopiero kiedy zobaczyła czarną fortecę na tle nieba pozbawioną choćby jednej szczelinki światła. Zastłony zaciągnięto, zamknięto okiennice, Blythe'owie skrupulatnie zastosowali się do nakazu zaciemnienia. To dobrze. Tylko tego jej było trzeba, żeby Hitler wziął sobie za cel jej Milderhurst.

Odstawiła na bok rower i rozciągnęła się na chłodnej trawie. Zapaliła kolejnego papierosa. A potem jeszcze jednego, ostatniego. Przewróciła się na bok, przyłożyła ucho do ziemi i nasłuchiwała, tak jak pokazywał jej kiedyś tata. Ich rodzina, ich dom zostały zbudowane na podwalinach literatury, mówił. Drzewo genealogiczne Blythe'ów łączyły zdania zamiast konarów i gałęzi. Całe pokłady formułowanych myśli wsiąkały

w głebę ogrodów zamkowych, tak że kiedy w potrzebie przyłoży ucho do ziemi, szeptać do niej będą wiersze i dramaty, proza i traktaty polityczne. Przodkowie, których nigdy nie spotka, którzy żyli i umarli, zanim przyszła na świat, zostawili po sobie słowa, słowa, słowa i wszystkie one przemawiają do niej z za grobu, aby nigdy nie czuła się samotna.

Po jakimś czasie wstała, zebrała swoje rzeczy i w otaczającej ciszy ruszyła znów w stronę zamku. Noc połknęła zmierzch, wyszedł księżyc, piękny, wiarołomny księżyc, i rozciągnął nad ziemią długie, blade palce. Po srebrzystym łanie trawnika przemknęła odważna mysz, delikatne źdźbła trawy zdrząły na łagodnym stoku, a czarny las wzruszył ramionami.

Kiedy podeszła do drzwi, usłyszała głosy Saffy i Juniper i jeszcze jeden dziecięcy głosik. Po krótkiej chwili wahania postawiła nogę na pierwszym stopniu, potem na drugim. Przypomniały jej się tysiące sytuacji, kiedy wbiegała po tych schodach w pędzie, niecierpliwie spiesząc ku przyszłości. Aż do dzisiaj.

Kiedy stała z dłońmi przygotowanymi do otwarcia drzwi swego domu, złożyła sobie obietnicę, biorąc na świadków najwyższe drzewa lasu Cardarker. Persephone Blythe z zamku Milderhurst kochała w życiu nie tylko jednego człowieka, kochała siostry, ojca, no i oczywiście zamek. Była najstarsza, chociaż starsza od Saffy tylko o kilka minut, była dziewczynką taty, jedyną, która dzieliła jego miłość do tych kamieni, do ich duszy i tajemnic. Weźmie się w garść i od tej pory uzna za swój obowiązek, aby żadnemu z nich nie stała się krzywda, uczyni wszystko, co będzie trzeba, aby uchronić ich przed niebezpieczeństwem.

CZEŚĆ TRZECIA

Porwania i oskarżenia

1992 r

W 1952 roku siostry Blythe omal nie straciły zamku. Budynek wymagał natychmiastowego remontu, a sytuacja finansowa rodziny była dramatyczna. Narodowy Fundusz na rzecz Renowacji Zabytków chciał odkupić majątek Blythe'ów i rozpocząć restaurację ich rodowej siedziby. Wszystko wskazywało na to, że siostry nie mają innego wyjścia, jak przeprowadzić się do skromniejszego domu, sprzedać posiadłość obcym ludziom lub przekazać ją funduszowi w celu „zachowania najświetniejszych budynków i ogrodów” Anglii. Jednak Percy Blythe do tego nie dopuściła. Otworzyła zamek dla zwiedzających, sprzedała część ziem uprawnych należących do majątku i jakimś cudem zdołała wyskrobać wystarczające środki, aby utrzymać zamek w przyzwoitym stanie.

Wiem o tym, ponieważ spędziłam większą część pewnego pięknego sierpniowego weekendu, grzebiąc w mikrofilmach „Merkurjusza Milderhurst” w miejscowej bibliotece. Z perspektywy czasu mogę ocenić, że mówiąc tacie o wielkiej literackiej zagadce, jaką kryły inspiracje *Człowieka z Błota*, zachowałam się tak, jakbym położyła pudełko czekoladek obok bawiącego się czterolatka i liczyła, że jej nie tknie. Mój ojciec jest człowiekiem czynu i myśl, że może rozwiązać tajemnicę, która od dziesięcioleci dręczy wykładowców akademickich, rozпалиła jego wyobraźnię. Miał swoją teorię: w gotyckim sercu powieści leży prawdziwa historia porwanego dziecka i jeśli zdoła to udowodnić, spłynie na niego powszechna chwała i osobista satysfakcja. Niestety, żaden detektyw nie zdziała wiele przykuty do łóżka, potrzebował więc agenta, który w jego imieniu będzie prowadził śledztwo. Oczywiście rola ta przypadła mnie.

Spełniałam jego zachcianki z trzech powodów: po pierwsze, ponieważ przechodził rekonwalescencję po zawale serca; po drugie, gdyż jego teoria nie była całkiem absurdalna; przede wszystkim jednak dlatego, że listy mojej mamy podsyciły moją fascynację zamkiem Milderhurst do patologicznych rozmiarów.

Zaczęłam swoje poszukiwania, tak jak je zwykle zaczynam: pytając Herberta, czy wie coś o nierozwiązanych przypadkach porwań z początku wieku. Jedną z długiej listy podziwianych przeze mnie, niedoścignionych cech Herberta jest umiejętność wyszukiwania potrzebnych informacji w okolicznościach pozornego chaosu. Jego dom jest wysoki i chudy – cztery dawne oddzielne mieszkania złączone na powrót w całość: nasze biuro i prasa drukarska zajmują dwa pierwsze piętra, na strychu mieści się magazyn, a sam Herbert mieszka z Jess w suterenie budynku. Każda ściana w każdym pomieszczeniu zastawiona jest książkami: starymi, nowymi, pierwszymi wydaniem, wydaniem z autografem, dwudziestymi trzecimi wydaniem; a wszystkie stoją w szafkach i na półkach we wspólnym nieporządku, bez najmniejszej troski o efekt wizualny. Mimo to cały księgozbiór jest dokładnie skatalogowany w umyśle Herberta, jego osobistej bibliografii, która pozwala mu mieć w zasięgu ręki każde czytelnicze doznanie swego życia. Obserwowanie go, jak namierza pożądaną stronę, jest przeżyciem jedynym w swoim rodzaju. Najpierw marszczy się jego imponujące czoło, kiedy analizuje podsunięte zagadnienie, następnie unosi się jeden palec, delikatny i gładki jak świeca, a Herbert kuśtyka bez słowa w stronę dalekiej ściany z półkami, gdzie palec zostaje wypuszczony na swobodę i zawisa jakby namagnetyzowany nad grzbietami książek, by wreszcie pokierować swego właściciela we właściwy punkt, gdzie spoczywa poszukiwany wolumin.

Zapytałam Herberta o porwania z lenistwa i wiedziałam, że strzelam w ciemno, więc nie zdziwiłam się, kiedy jego starania nie przyniosły żadnych efektów. Zapewniłam go, że nie musi mieć z tego powodu wyrzutów sumienia, i udałam się do biblioteki. Miałam szczęście pozyskać sobie życzliwość uroczej starszej pani, która sprawiała wrażenie, jakby czekała tam całe życie, na wypadek gdybym się pojawiła.

– Proszę tylko wypełnić ten formularz, moja droga – powiedziała z zapalem.

Wskazała mi plik spiętych kartek z wydrukowanymi rubrykami, po czym śledziła jak cień każde napisane przeze mnie słowo.

– Ach, Billing & Brown, wspaniale. Mój stary, drogi przyjaciel, świętej pamięci, opublikował w B&B swoje wspomnienia. To było trzydzieści lat temu.

Niewiele ludzi spędzało te wspaniałe, letnie dni w ciemnych salach biblioteki, bez trudu więc udało mi się skaptować panią Yeats do pomocy w mojej sprawie. Spędziłyśmy czarujące chwile na wertowaniu archiwum i wyłowiliśmy trzy nierozwiązane przypadki porwania na terenie hrabstwa Kent w okresie wiktoriańskim i edwardiańskim, a następnie mnóstwo artykułów na temat rodziny Blythe'ów i zamku Milderhurst. Znalazła się wśród nich urocza stała rubryka z poradami domowymi redagowana przez Saffy Blythe przez całe lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte, liczne artykuły o literackich sukcesach Raymonda Blythe'a oraz kilka wiadomości o wiszącej nad rodziną groźbie utraty majątku w 1952. Percy Blythe udzieliła wywiadu, w którym oznajmiła stanowczo: *Każdy dom jest czymś więcej niż sumą swych materialnych części, jest skarbnicą wspomnień, archiwum zdarzeń, które rozegrały się w jego murach. Ten zamek należy do rodziny Blythe'ów. Należał do moich przodków przez setki lat i nie dopuszczę, aby przeszedł w ręce ludzi, którzy chcą sadzić iglaki w jego pradawnych lasach.*

W innym miejscu zamieszczono również wywiad z przedstawicielem Narodowego Funduszu na rzecz Renowacji Zabytków, który ubolewał nad utraconym projektem odbudowy ogrodów i okazji do przywrócenia Milderhurst jego dawnej świetności: *To tragedia – zaczął – gdy się pomyśli, że wielkie majątki naszego narodu zostaną utracone w ciągu kilku nadchodzących dziesięcioleci przez bezmyślnych ludzi, którzy nie rozumieją, że w dzisiejszych trudnych czasach utrzymywanie prywatnych rezydencji wraz z pozostającymi w nich dziełami sztuki narodowej jest profanacją.* Zapytany o plan Narodowego Funduszu dla zamku Milderhurst przedstawił program prac obejmujących „naprawy konstrukcyjne zamku oraz całkowitą rekonstrukcję ogrodu”.

Przyszło mi do głowy, że cel ten był właściwie zbieżny z tym, czego pragnęła dla swej rodowej posiadłości Percy Blythe.

– W tamtych czasach Fundusz Narodowy wzbudzał wiele kontrowersji – powiedziała pani Yeats, kiedy podzieliłam się z nią swym spostrzeżeniem. – Lata pięćdziesiąte były trudnym okresem. Z ogrodów Hidcote usunięto wszystkie wiśnie, w Wimpole wycięto zupełnie nową aleję, a wszystko dla jakichś uniwersalnych funkcji historycznych.

Obydwa przykłady niewiele mi mówiły, ale „uniwersalne funkcje historyczne” zdecydowanie nie brzmiały jak godny przeciwnik dla Percy Blythe, przynajmniej takiej, jaką znałam. W miarę jak czytałam, sprawy zaczęły się stopniowo wyjaśniać.

– Piszą tutaj, że fundusz zamierzał odrestaurować fosę. – Spojrzałam na panią Yeats, która przekrzywiła głowę, czekając na wyjaśnienia. – Raymond Blythe zasypał fosę po śmierci swojej pierwszej żony w geście jakiegoś symbolicznego upamiętnienia tego tragicznego wypadku. Nikt z rodziny nie przyjąłby życzliwie planów wykopania jej na nowo. – Oparłam się na krzesło, aby wyprostować plecy. – Nie rozumiem jednak, jak mogło dojść do tego, że rodzina wpadła w takie kłopoty. *Człowiek z Błota* jest klasyką, narodowym bestsellerem nawet dzisiaj. Same tantiemy powinny wystarczyć, żeby wydobyć majątek z tarapatów.

– To prawda – zgodziła się pani Yeats.

Zmarszczyła czoło na dużą stertę wydruków leżącą na stoliku przed nami.

– Wie pani co, jestem pewna, że... – Przerzucała papiery tam i z powrotem, aż wyciągnęła jedną kartkę i podsunęła sobie pod nos. – Ależ tak, to jest to. – Wręczyła mi artykuł z gazety z datą trzynasty marca tysiąc dziewięćset czterdziesty pierwszy i popatrzyła na mnie znad półokrągłych okularów. – Najwyraźniej Raymond Blythe uczynił przed śmiercią kilka sporych zapisów.

Artykuł nosił tytuł: *Hojny dar mecenasa literatury ratuje Instytut*. Towarzyszyło mu zdjęcie uśmiechniętej kobiety w drelichowym kombinezonie trzymającej w rękach książkę – *Człowieka z Błota*. Przebiegłam wzrokiem tekst i zorientowałam się, że pani Yeats miała w istocie rację: większa część tantiem została rozdzielona po śmierci Raymonda Blythe'a pomiędzy Kościół katolicki i Instytut Gospodarstwa Wiejskiego Pembroke, jak przeczytałam powoli.

– Tu jest napisane, że są „instytutem działającym na rzecz ochrony przyrody, promującym ekologię oraz zdrowy tryb życia”.

– Wyprzedzili swoje czasy – zauważyła pani Yeats.

Skinęłam głowę.

– Może sprawdzimy katalogi na górze? Zobaczymy, czy uda nam się jeszcze coś znaleźć na ten temat.

Pani Yeats była tak zachwycona nowym tematem badań, że jej policzki nabrały różowego blasku. Poczułam się paskudnie, kiedy powiedziałam:

– Bardzo chętnie, ale nie dzisiaj. Dzisiaj już nie mam czasu.

Na twarz bibliotekarki odmalował się jednak taki zawód, że dodałam:

– Przykro mi, ale tata oczekuje ode mnie sprawozdania z poszukiwań.

¤

Co było prawdą, ale nie pojechałam prosto do domu. Kiedy napisałam, że były trzy powody, dla których chętnie poświęciłam weekend na poszukiwania w bibliotece, które zlecił mi tata, obawiam się, że byłam trochę nieszczerą. Nie skłamałam, bo wszystkie one były prawdziwe, jednak istniał jeszcze czwarty, drobny, lecz dużo pilniejszy argument. Unikałam mamy. Wszystko przez te listy, a ściślej przez moją niezdolność pozostawienia w spokoju przekłętą pudełką po butach, które dała mi Rita.

Przeczytałam je wszystkie. Jeszcze tej samej nocy, kiedy wróciłam z wieczoru panieńskiego Sam, wzięłam je do domu i pochłonęłam po kolei, zaczynając od przyjazdu mamy do zamku. Przeżyłam z nią mroźną zimę czterdziestego pierwszego, byłam świadkiem bitwy o Anglię, szalejącej nad moją głową, nocy spędzanych w schronie. W ciągu osiemnastu miesięcy charakter pisma w listach nabrał dojrzałości, styl ogłady, aż w końcu tuż przed świtem doszłam do ostatniego listu przysłanego do domu krótko przed powrotem do Londynu. Widniała na nim data 17 lutego 1941 roku, a tekst brzmiał następująco:

Drodzy Rodzice!

Przykro mi, że pokłóciliśmy się przez telefon. Tak bardzo się ucieszyłam, słysząc Wasze głosy, i czuję się okropnie po tym, jak się zakończyła nasza rozmowa. Myślę, że nie wytłumaczyłam Wam wszystkiego zbyt dobrze. Rozumiem, że chcecie dla mnie jak

najlepiej, i jestem Ci wdzięczna, Tatusiu, że rozmawiałeś w mojej sprawie z panem Solleyem. Nie mogę się jednak zgodzić, że powrót do domu i praca maszynistki w jego firmie będą dla mnie „najlepsze”.

Nie jestem taka jak Rita. Jej nie podoba się życie na wsi i zawsze wiedziała, kim chce zostać. Ja przez całe życie czułam, że coś jest ze mną nie w porządku, że jestem „inna” pod jakimś bardzo ważnym względem, którego nie umiałam wytłumaczyć ani nawet sama zrozumieć. Uwielbiam czytać książki, lubię obserwować ludzi i pisać o tym, co widzę i czuję. Wiem, że to śmieszne. Możecie sobie wyobrazić, za jaką dziwną czarną owcę uważałam się przez całe życie?

Tutaj jednak poznałam ludzi, którzy dzielają moje pasje, i zdałam sobie sprawę, że wielu z nich widzi świat tak samo jak ja. Saffy uważa, że kiedy skończy się wojna, mam duże szanse dostać się do szkoły średniej, a potem... kto wie? Może nawet na uniwersytet? Muszę się jednak dalej uczyć, jeśli chcę, aby mnie przyjęto do gimnazjum.

Błagam więc Was: nie każcie mi wracać do domu! Blythe'owie chętnie się zgodzą, abym u nich została, a Wy wiecie przecież, że jestem pod dobrą opieką. Wcale mnie nie straciłaś, Mamusiu; przykro mi, że tak powiedziałaś. Jestem Twoją córką, nie mogłaś mnie stracić, nawet gdybyś chciała. Ale proszę, proszę, pozwólcie mi tu zostać.

Z wyrazami miłości i mnóstwem nadziei,

Wasza córka, Meredith

✠

Tej nocy śnił mi się Milderhurst. Znów byłam dziewczynką ubraną w szkolny mundurek i stałam przed wielką, żelazną bramą prowadzącą na podjazd. Wrota były zamknięte i zbyt wysokie, żeby się na nie wspiąć, tak wysokie, że kiedy spjrzałam w górę, gdzie powinny się kończyć, odniosłam wrażenie, że metalowe skrzydła nikną w kłębiących się chmurach. Próbowałam się na nie wdrapać, lecz nogi mi się ześlizgiwały, jakby były z galarety, jak to się często zdarza we śnie. Moje palce dotykały lodowatego żelaza, lecz przepełniało mnie dotkliwie i gorące pragnienie, aby się dowiedzieć, co się znajduje po drugiej stronie.

Spojrzałam w dół i zobaczyłam w swoich dłoniach wielki klucz pokryty na brzegach rdzą. W następnej chwili siedziałam w powozie po drugiej stronie bramy. W scenie żywcem wyjętej z *Człowieka z Błota* wieziono mnie długim krętym podjazdem; mijałam ciemny drżący las, dwa mosty, aż wreszcie na szczycie wzgórza wyrósł nade mną zamek.

A potem jakimś sposobem znalazłam się w środku. Miejsce wyglądało na opuszczone, podłogę w korytarzu pokrywał kurz, na ścianach wisiały przekrzywione obrazy, wszystkie zasłony wyblakły. Jednak wrażenie opuszczenia nie wynikało tylko z wyglądu wnętrza. Powietrze było stęchłe i nieruchome, miałam uczucie, jakby zamknięto mnie w pudełku na ciemnym starym strychu.

Usłyszałam jakiś dźwięk, jakby szept lub szelest i ledwo wyczuwalny ruch. Na końcu korytarza stała Juniper ubrana w tę samą jedwabną suknię, którą miała na sobie, kiedy zwiedzałam zamek. Cały sen spowity był dziwnym, wszechogarniającym nastrojem głębokiej i niespokojnej tęsknoty. Wiedziałam, chociaż postać ze snu nie powiedziała ani słowa, że jest październik 1941 roku, a Juniper czeka na przyjazd Thomasa Cavilla. Za jej plecami pojawiły się nagle drzwi do salonu gościnnego. Ze środka dochodziły dźwięki znajomej melodii.

Weszłam za Juniper do pokoju, w którym unosiła się gęsta atmosfera wyczekiwania. Pośrodku stał nakryty stół. Obeszłam zastawę, licząc miejsca, skądś wiedząc, że jedno nakrycie było przygotowane dla mnie i jedno dla mojej mamy. Juniper coś mówiła, to znaczy poruszała ustami, lecz ja nie słyszałam żadnego głosu.

Potem nagle znalazłam się przy oknie, tylko przez dziwną, wypaczoną logikę snu było to również okno kuchenne w domu mojej mamy. Wyrzałam na dwór, a tam szalała burza. Nagle zauważyłam czarną błyszczącą fosę. Coś się poruszyło i z błota zaczęła się wyłaniać czarna postać. Serce uderzyło mi w piersi jak dzwon. Wiedziałam, że to Człowiek z Błota i ze strachu wrosłam w ziemię. Moje stopy wtopiły się w podłogę, lecz właśnie kiedy miałam krzyknąć, strach nagle zniknął. Zamiast tego wypełniła mnie fala pragnienia i smutku i zupełnie niespodziewanie pożądania.

Obudziłam się raptownie, uchwyciłam swój sen w momencie, gdy się rozpyływał. Postrzępione zjawy unosiły się w kątach pokoju jak duchy, a ja przez jakiś czas leżałam nieruchomo, aby się nie rozwiały. Zdawało

mi się, że nawet najmniejszy ruch, najlżejsza poświata porannego światła wypali te odciski sennych widziadeł jak mgłę, a ja nie chciałam ich jeszcze utracić. Sen był tak sugestywny, ciężar pragnienia tak realistyczny, że gdy położyłam dłoń na piersi, prawie spodziewałam się poczuć pod palcami posiniaczoną skórę.

Po jakimś czasie słońce wzeszło na tyle wysoko, aby prześliznąć się po szczycie dachu domu pogrzebowego Singer i Synowie i wcisnąć się przez szpary w moich zasłonach, a wtedy czar snu prysnął. Usiadłam z westchnieniem i zobaczyłam na brzegu łóżka pudełko po czółenkach babci. Na widok tych wszystkich kopert z adresem w Elephant and Castle szczegóły minionej nocy wróciły do mnie z pełną siłą i nagle jasno jak w dzień zobaczyłam swoją winę – kogoś, kto żerował na cudzych sekretach. Pomimo zadowolenia, że usłyszałam z przeszłości głos mojej mamy, że widziałam jej obraz i czułam jej obecność, bez względu na to, jak przekonywające wymyślałam sobie usprawiedliwienia (listy zostały napisane dawno temu i miała je przeczytać rodzina, czyli ja), nie mogłam wymazać z pamięci wyrazu twarzy Rity, kiedy wręczała mi pudełko i życzyła przyjemnej lektury. Dźwięczała mi w uszach nuta triumfu w jej głosie, jakby łączył nas wspólny sekret, więc wymierzona przeciwko jej siostrze. Ciepłe uczucie, że trzymam za rękę małą dziewczynkę, znikło, pozostawiając po sobie skruchę zdrajczyni.

Będę musiała się przyznać do zbrodni, to nie ulegało wątpliwości, ale zawarłam z sobą umowę. Jeśli uda mi się wyjść z domu, nie napotkawszy mamy, dostanę dzień ułaskawienia, aby na spokojnie przemyśleć, w jaki sposób najlepiej będzie to uczynić. Jeśli zaś wpadnę na nią, zanim dotrę do drzwi, wyznam jej wszystko, tu i teraz. Ubrałam się szybko, po cichu dokończyłam toaletę, po czym zabrałam z salonu swoją torbę. Wszystko szło jak po maśle, dopóki nie weszłam do kuchni. Mama stała przy czajniku w szlafroku przewiązanym wyżej niż talia, co nadawało jej dziwny wygląd śnieżnego bałwana.

- Dzień dobry, Edie – powiedziała, zerkając przez ramię.
- Za późno, żeby się wycofać.
- Dzień dobry, mamusiu.
- Dobrze spałaś?
- Tak, dziękuję.

Próbowałam właśnie sklecić jakąś wymówkę od śniadania, kiedy postawiła przede mną na stole filiżankę z herbatą i spytała:

- Jak było na przyjęciu u Samantha?
- Kolorowo i hałaśliwie. Wiesz, jaka jest Sam.
- Nie słyszałam, kiedy wróciłaś. Zostawiłam ci kolację, ale widzę, że nie zjadłaś.
- Byłam bardzo zmęczona.
- Oczywiście.
- Położyłam się od razu do łóżka.

Oh, czułam się parszywie. Do tego ten mamy szlafrok i jego efekt budyniu; wydawała się w nim jeszcze bardziej krucha niż zwykle. Usiadłam na krześle, przy którym postawiła herbatę, i z mocnym postanowieniem nabrałam powietrza.

- Mamusiu, muszę ci coś...
- Auć! – Skrzywiła się i szybko włożyła palec do ust. – Oparzyłam się parą – wyjaśniła, dmuchając na opuszek palca. – To przez ten głupi nowy czajnik.
- Przynieść ci lodu?
- Nie, poleję go sobie zimną wodą. – Odkręciła kurek. – Coś jest nie w porządku z tym dziobkiem. Nie wiem, po co ciągle projektują na nowo rzeczy, jeśli stare działały jak należy.

Wzięłam następny oddech, lecz znów go wypuściłam, bo mama zaczęła na nowo:

- Lepiej zajęliby się czymś pożytecznym, choćby szukaniem lekarstwa na raka.

Zakręciła kran.

- Mamusiu, naprawdę chcę z tobą o czymś...
- Zaraz wrócę, Edie. Zaniosę tylko tacie herbatę, zanim zaczniesz bić w dzwony.

Znikła na górze, a ja, czekając, zastanawiałam się, jak zamierzam jej to powiedzieć. Czy w ogóle jest możliwe wyznanie mojego grzechu w taki sposób, aby mnie zrozumiała? Na próżno się łudzę, zbeształam się w duchu. Nie da się powiedzieć komuś życzliwie, że podglądało się go przez dziurkę od klucza.

Doszły mnie stłumione strzępy rozmowy rodziców, potem odgłos

zamykanych drzwi od pokoju taty, potem kroki na schodach. Poderwałam się z krzesła. Co ja sobie myślałam? Potrzebuję więcej czasu. Głupotą byłoby wypalić z przyznaniem się do winy tak pochopnie; muszę się nad tym zastanowić. Mama weszła do kuchni, mówiąc:

– To powinno uszczęśliwić jaśnie pana na najbliższe piętnaście minut.

A ja nadal stałam niezręcznie przy krześle niczym kiepski aktor na scenie.

– Już wychodzisz? – spytała zdziwiona. – Nie wypijaś nawet herbaty.

– Ja... mmm...

– Chciałaś coś powiedzieć, prawda?

Wzięłam ze stołu filiżankę i zaczęłam uważnie oglądać jej zawartość.

– Ja...

– Co takiego? – Zacisnęła mocniej pasek od szlafroka i czekała. Tylko delikatne zmrużenie oczu zdradzało lekki niepokój. – O co chodzi?

Kogo ja chciałam nabrać? Trochę namysłu, kilka godzin więcej – nic nie zmienia faktów. Westchnęłam z rezygnacją.

– Mam coś dla ciebie.

Poszłam do swojego pokoju i wyjęłam spod łóżka listy. Mama obserwowała mnie, jak wracam z lekko zmarszczonym czołem. Położyłam pudełko na stole.

– Kpacie? – Spojrzała z uniesionymi brwiami najpierw na swoje stopy w kapciach, a potem na mnie. – Dziękuję, Edie, kpacie nigdy nic jest za dużo.

– Nie. Tylko widzisz, one nie są...

– Twoja babcia... – uśmiechnęła się pod wpływem nagłego wspomnienia – twoja babcia lubiła takie nosić. – I spojrzała na mnie wtedy z tak niespodziewanym rozrzewnieniem, że o mało nie złapałam pokrywę z pudełka i nie wykrzyczałam na głos, że jestem podłą zdrajczynią. – Wiedziałaś o tym? Czy to dlatego je kupiłaś? Aż dziw bierze, że udało ci się znaleźć takie stare...

– To nie są kpacie, mamó. Otwórz pudełko, proszę.

Uśmiechnęła się niepewnie, usiadła na najbliższym krześle i przysunęła do siebie pojemnik. Jeszcze raz zerknęła na mnie z wahaniem,

po czym podniosła pokrywkę i zmarszczyła czoło na widok sterty wyblakłych kopert.

Krew paliła mnie w żyłach, jakby zamieniła się w benzynę, kiedy obserwowałam, jak po jej twarzy przebiegają kolejne emocje. Zmieszanie, podejrzliwość, potem gwałtownie wstrzymany oddech, po którym zabłysło zrozumienie. Kiedy później przypominałam sobie tę chwilę, mogłam wskazać dokładny moment, w którym nabazgrane słowa na pierwszej kopercie zamieniły się w żywe doznanie. Jej twarz przeobraziła się w buzię trzynastoletniej dziewczynki, która w pierwszym liście do rodziców opisywała zamek, gdzie zamieszkała podczas ewakuacji z Londynu. Znów znalazła się w tamtym miejscu i czasie, gdy pisała te słowa.

Położyła palce na ustach, potem na policzku, potem w miękkim wgłębieniu u podstawy szyi, aż w końcu po chwili, która zdawała się trwać wieki, z wahaniem sięgnęła do pudełka. Wyjęła plik listów i usiadła, trzymając je w obydwu dłoniach. I obie drżały. Odezwała się, nie patrząc mi w oczy.

- Skąd je...?
- Od Rity.

Odetchnęła powoli i z westchnieniem, po czym skinęła głową, jak gdyby usłyszała odpowiedź, której powinna się była domyślić.

- Jak się u niej znalazły? Powiedziała ci?
- Zabrała je po śmierci babci razem z innymi rzeczami.

Wydała dźwięk, który mógł być parsknięciem śmiechu albo odgłosem zaskoczenia, żalu lub smutku.

- Nie mogę uwierzyć, że przechowała je tyle czasu.
- Przecież to były listy od ciebie. To oczywiste, że je zachowała. Mama kręciła głową.
- Między mną a mamą wcale się tak dobrze nie układało.

Pomyślałam o *Księdze magicznych mokrych zwierząt*. Między mną a moją mamą też się wcale tak dobrze nie układało, przynajmniej ja tak uważałam.

- Myślę, że wszyscy rodzice przechowują listy swoich dzieci.

Mama wygrzebała pierwszą kopertę, a potem kilka następnych i rozłożyła je w dłoniach jak wachlarz.

– Ślady przeszłości – powiedziała bardziej do siebie niż do mnie. – Tak bardzo się starałam zostawić je za sobą. – Delikatnie wodziła

palcami po pliku kopert. – Teraz wszędzie, gdzie się odwrócę...

Serce zaczęło mi walić w nadziei na nieoczekiwane odkrycie.

– Czemu chcesz zapomnieć o przeszłości, mamó?

Nie odpowiedziała. Z pliku listów wypadła na stół fotografia, tak samo jak poprzedniego wieczoru. Mamie aż dech zaparło, podniosła ją do góry, pocierając kciukiem powierzchnię. Jej twarz przybrała bezbronny, bolesny wyraz.

– Tyle czasu minęło, a jednak czasami...

Wtedy jakby sobie przypomniała, że tutaj jestem. Ostentacyjnie wsunęła fotografię z powrotem między listy, niedbale, jakby nic dla niej nie znaczyła. Potem spojrzała mi w oczy.

– Twoja babcia i ja... to nigdy nie było łatwe. Bardzo się różniłyśmy, a okres mojej ewakuacji jeszcze to pogłębił. Pokłóciłyśmy się, ona nigdy mi tego nie wybaczyła.

– Bo chciałaś iść do szkoły średniej?

W tym momencie cały dom zamarł, nawet powietrze przestało się poruszać.

Mama wyglądała, jakby dostała w twarz. Odezwała się cicho, z drżeniem w głosie:

– Czytałaś je? Czytałaś moje listy?

Przełknęłam ślinę i sztywno skinęłam głową.

– Jak mogłaś, Edith? To są bardzo osobiste wyznania.

Wszystkie moje wcześniejsze usprawiedliwienia rozmyły się jak pyłki kurzu na deszczu. Ze wstydu oczy mi zaszkły łzami, wszystko wokół mnie zbladło, łącznie z twarzą mamy. Kolory odpłynęły jej z policzków, pozostał po nich tylko rozprysk piegów na nosie. Wyglądała, jakby znów miała trzynaście lat.

– Ja tylko... chciałam się dowiedzieć.

– To nie twoja sprawa, kto powiedział, że musisz to wiedzieć? – syknęła. – To nie ma z tobą nic wspólnego.

Złapała pudełko, przycisnęła je do piersi i po chwili wahania ruszyła do drzwi.

– Właśnie, że ma – powiedziałam do siebie, ale głośniejszym i drżącym głosem: – Bo mnie okłamałaś.

Jej szybkie kroki wypadły z rytmu.

– Skłamałaś o liście Juniper, o Milderhurst, o wszystkim. Pojechałaś tam razem ze mną.

Lekkie zawahanie przy drzwiach, ale nie odwróciła się ani nie zatrzymała.

– Pamiętam to dobrze.

I znów zostałam sama otoczona dziwną, szklaną ciszą, która zapada, kiedy stłucze się coś bardzo kruchego. Na korytarzu trzasnęły drzwi.

■

Od tamtej pory minęły dwa tygodnie, a moje stosunki z mamą były jeszcze bardziej lodowate. Zachowywałyśmy się z jakąś upiorną uprzejmością przez wzgląd na tatę, jak również dlatego, że to było w naszym stylu – skinąć sobie głową, uśmiechnąć się i nie odezwać słowem poza grzecznościowym „podaj mi sól, proszę”. Popadałam na przemian w poczucie winy i krzywdy; unosiłam się dumą, to znów zżerała mnie ciekawość dla dziewczynki, która tak samo jak ja uwielbiała książki; byłam zła i czułam się zraniona przez kobietę, która nie chciała się ze mną podzielić nawet maleńką cząstką swojego życia.

Najczęściej jednak żalowałam, że powiedziałam o listach. Ciskałam gromy na tego, kto twierdził, że najlepszą strategią jest szczerość, znów zaczęłam z uwagą przeglądać ogłoszenia o wynajmie mieszkań i podsycałam naszą zimną wojnę, starając się jak najrzadziej być w domu. Udawało mi się to bez trudu, pracowaliśmy właśnie nad redakcją *Duchów na Romney Marsh*, miałam więc idealny pretekst, aby zostawać w wydawnictwie do późna. A Herbert był zachwycony, że ma towarzystwo. Moja pracowitość, powiedział, przypomina mu „stare, dobre czasy” po wojnie, kiedy Anglia pomału stawała z powrotem na nogi, a on i pan Brown dwoili się i troili, kupując rękopisy i wypełniając zamówienia.

Dlatego w sobotę po wyjściu z biblioteki, kiedy wetknęłam pod pachę wydruki artykułów z gazet, spojrzałam na zegarek i stwierdziłam, że właśnie minęła pierwsza, nie pojechałam do domu. Tata nie mógł się doczekać wyników mojego śledztwa w sprawie porwań, ale będzie musiał się wstrzymać do naszej wieczornej sesji *Człowieka z Błota*. Ruszyłam w stronę Notting Hill, przyciągana obietnicą dobrego towarzystwa, mile widzianej rozrywki, a może nawet lunchu.

Intryga się zagęszcza

Zapomniałam, że Herbert wyjechał na weekend na coroczny zjazd Stowarzyszenia Introligatorów, na którym miał wygłosić mowę inauguracyjną. Rolety w Billing & Brown były opuszczone, biura wyglądały ponuro i martwo. Kiedy przestąpiłam próg i powitała mnie kompletna cisza, poczułam się dziwnie przygnębiona.

– Jess?! – zawołałam z nadzieją. – Hej, Jess, dziewczynko!

Nie doszło mnie radosne dreptanie ani odgłosy ociężałego wspinania się po schodach z sutereny, nic, tylko przetaczające się ku mnie fale cisy. Coś bardzo niepokojącego ma w sobie ukochane miejsce opuszczone przez swych prawowitych użytkowników i nigdy tak bardzo jak w tamtej chwili nie zatęskniłam za przepychaniem się z Jess na sofie.

– Jessie?

Nadal nic.

Znaczyło to, że ona również pojechała do Shrewsbury i byłam naprawdę sama.

Nic nie szkodzi, próbowałam się podnieść na duchu, mam dość roboty, żeby nie wyrzeć spod papierów przez całe popołudnie. W poniedziałek *Duchy na Romney Marsh* miały iść do korekty i chociaż okoliczności pozwoliły mi poświęcić tej książce całą uwagę, zawsze znalazło się coś, co można było poprawić. Podniosłam żaluzje, włączyłam lampę na swoim biurku, starając się robić przy tym jak najwięcej hałasu, po czym usiadłam i zaczęłam przerzucać strony maszynopisu. Przesawiałam przecinki, potem przywracałam je z powrotem, zastanawiałam się nad zaletami użycia „jednakże” zamiast „ale”, nie doszedłszy jednak do żadnej konkluzji, pozostawiałam zaznaczone miejsca do dalszej rozważy.

Nie udało mi się podjąć decyzji w sprawie kolejnych pięciu stylistycznych zagadnień, uznałam więc za szaleństwo próby intensywnej pracy umysłowej na pusty żołądek.

Herbert niedawno gotował i w lodówce znalazłam świeże lasagne z dynią. Ukroiłam sobie plasterek, podgrzałam i wróciłam z talerzem do biurka. Wydało mi się jakoś niewłaściwe jedzenie nad maszynopisem książki o duchach, więc przerzuciłam się na swój plik artykułów z „Merkuriusza Milderhurst”. Czytałam fragmenty, które wpadły mi w oko, głównie jednak oglądałam zdjęcia. W czarno-białych fotografiach jest coś nostalgicznego, brak kolorów uwydatnia pogłębiający się tunel czasu. Znalazłam wiele fotografii zamku z różnych okresów, kilka z fragmentami posiadłości, jeden bardzo stary portret Raymonda Blythe'a z córkami, zrobiony z okazji wydania *Człowieka z Błota*, oraz liczne zdjęcia Percy Blythe: na ślubie jakiejś miejscowej pary, Harolda i Lucy Rogersów, gdzie wygląda bardzo sztywno, jakby się czuła nieswojo; na otwarciu miejscowego domu kultury, w chwili gdy przecina wstęgę; a także na konkursie poetyckim, wręczając zwycięzcy egzemplarz *Człowieka z Błota* z autografem autora.

Jeszcze raz przerzuciłam wszystkie wydruki, lecz nigdzie nie znalazłam zdjęcia Saffy. Dziwne, mogłam zrozumieć nieobecność Juniper, ale co się stało z młodszą bliźniaczką? Wyłowiłam artykuł napisany z okazji zakończenia wojny, w którym wyszczególniono zaangażowanie wielu mieszkańców miasta. I znowu Percy, tym razem w mundurze kierowcy ambulansu. Przyjrzałam się uważnie fotografii. Oczywiście Saffy mogła nie lubić pozowania do zdjęć albo była przeciwna angażowaniu się w życie społeczności Milderhurst. Uznałam jednak za bardziej prawdopodobne, zwłaszcza poznawszy obie bliźniaczki, że Saffy po prostu trzymała się w cieniu. Z taką siostrą jak Percy, obdarzoną silnym charakterem i z poświęceniem walczącą o dobre imię rodziny, jaką nadzieję mogła mieć biedna Saffy na znalezienie swojego uśmiechu w gazecie?

Percy wyszła na tym zdjęciu bardzo niekorzystnie. Stała na pierwszym planie, a fotografię zrobiono od dołu, prawdopodobnie po to, by uchwycić w tle zamek. Niefortunne ujęcie nieproporcjonalnie powiększyło jej sylwetkę i nadało jej ponury, surowy wygląd, którego nie poprawił nawet jej uśmiech.

Przyjrzałam się uważniej i w tle zauważyłam coś, czego wcześniej nie widziałam, tuż za krótko ostrzyżonymi włosami Percy. Wygrzebałam z szuflady Herberta szkło powiększające i przyłożyłam je do zdjęcia. Aż się cofnęłam ze zdumienia: ktoś siedział na szczycie jednego z dachów zamku – postać w długiej, białej sukni. To musiała być Juniper. Biedna, szalona Juniper.

Patrzyłam na tę białą kropkę nad okienkiem strychu i nagle ogarnęła mnie fala wielkiego smutku i oburzenia. A nawet gniewu. Odżyło we mnie przeświadczenie, że u źródła wszelkiego zła tkwi Thomas Cavill i znów zaczęłam rozmyślać o tej październikowej nocy, kiedy młody nauczyciel z Londynu złamał serce Juniper i zrujnował jej życie. Obawiam się, że moja fantazja nabrała kolorów i plastyczności; odwiedzałam ją wielokrotnie, jak wyświetlany w nieskończoność film z nastrojową ścieżką dźwiękową. Towarzyszyłam siostrze w pięknie przygotowanym salonie, słuchałam, jak rozważają, co mogło zatrzymać oczekiwanego gościa, patrzyłam, jak Juniper popada w rozpacz, gdy nagle coś się stało. Coś, co nigdy wcześniej się nie zdarzyło.

Nie wiem czemu ani jak, widzę tylko jasno moment, w którym to nastąpiło – nagle i niczym grom z jasnego nieba. Melancholijna muzyka ucichła ze zgrzytem, obraz się rozplątał i pozostawił po sobie jeden goły fakt: w tej historii kryło się coś więcej. Nie miałam co do tego wątpliwości. Ludzie nie wpadają w obłęd tylko dlatego, że kochankowie wystawili ich do wiatru, nawet jeśli zdarzają im się napady stanów lękowych czy depresji, czy co tam miała na myśli pani Bird, opowiadając o atakach Juniper.

„Merkuriusz” wypadł mi z ręki, a ja wyprostowałam się na krześle. Uwierzyłam w tę smutną historię o Juniper Blythe, ponieważ, tak jak powiedziała moja mama, chodzę z głową w chmurach, a powieści z nieszczęśliwym zakończeniem są moim ulubionym gatunkiem. To jednak nie była książka, tylko prawdziwe życie, i musiałam spojrzeć na sytuację bardziej krytycznie. Jestem redaktorką, moim zadaniem jest oceniać powieści pod względem prawdopodobieństwa, a w tej fabule go brakowało. Była zbyt uproszczona. Romanse się kończą, ludzie zdradzają się nawzajem, kochankowie się rozstają. Historia ludzkości usiana jest takimi osobistymi dramatami, które, choć to przygnębiające, w skali

ogólnej można uznać za drobne. „Popadła w obłąd” – brzmiało całkiem zgrabnie, lecz jako rzeczywistość wydawało się zbyt grubymi nićmi szyte, jakby żywcem wyjęte z taniej szmiry. Powiedzmy sobie szczerze – sama przeżyłam ostatnio coś podobnego, lecz bynajmniej przez to nie oszalałam. Nawet nie otarłam się o obłąd.

Serce zaczęło mi tykać szybciej, już sięgałam po torbę, już pakowałam z powrotem plik wycinków z gazet i szukałam kluczy. Muszę znaleźć Thomasa Cavilla. Czemu nie pomyślałam o tym wcześniej? Mama nie chce ze mną rozmawiać, Juniper nie może; on jest brakującym ogniwem, odpowiedzią na wszystkie zagadki, muszę dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

Zgasiłam lampkę, opuściłam żaluzje i zamknęłam za sobą drzwi wejściowe. Ponieważ jestem mołem książkowym, a nie zwierzęciem stadnym, przyszła mi do głowy tylko jedna rzecz – pobiec z powrotem do biblioteki.

¤

Pani Yeats rozpromieniła się na mój widok.

– Już pani wróciła! – zawołała z entuzjazmem kogoś, kto spotkał dawno utraconego przyjaciela. – Ależ pani zmokła! Proszę nie mówić, że pogoda się znów popszała.

Nawet nie zauważyłam.

– Nie wzięłam parasolki – odparłam.

– Nieważne, szybko pani wyschnie, cieszę się, że panią widzę. Zebrała ze swojego biurka plik papierów i przyniosła mi je z rewerencją godną świętego Graala.

– Powiedziała pani, że nie ma czasu, więc sama przeprowadziłam małe badania na temat Instytutu Gospodarstwa Pembroke. W sprawie tego zapisu Raymonda Blythe'a – dodała, spostrzegłszy, że nie mam pojęcia, o czym mówi.

– Ach tak – przypomniałam sobie. Poranek minął tak dawno temu.
– Znakomicie. Bardzo dziękuję.

– Wydrukowałam wszystko, co udało mi się znaleźć. Zamierzałam zadzwonić w poniedziałek do wydawnictwa, ale jak widać nie musiałam czekać aż tak długo.

Jeszcze raz jej podziękowałam i pobieżnie rzuciłam okiem na dokumenty opisujące ze szczegółami historię działalności instytutu na rzecz ochrony przyrody. Udałam, że z uwagą analizuję zdobyte przez nią informacje, następnie schowałam papiery do torby. – Przestudiuję je sobie dokładnie w domu – powiedziałam. – Teraz muszę znaleźć co innego.

Wyjaśniłam jej, że szukam informacji o pewnym człowieku.

– Nazywa się Thomas Cavill. Był żołnierzem podczas drugiej wojny światowej, a przedtem nauczycielem. Mieszkał i pracował w Elephant and Castle.

Pani Yeats kiwała głową.

– Czego konkretnie chciałyby się pani o nim dowiedzieć?

Czemu nie przyjechała na kolację w zamku Milderhurst w październiku 1941 roku? Dlaczego Juniper Blythe popadła w obłąd, z którego już nigdy się nie podźwignęła? Czemu moja mama nie chce ze mną rozmawiać o swojej przeszłości?

– Zadowolę mnie wszystko, co uda nam się znaleźć.

Pani Yeats była prawdziwą czarodziejką. Podczas gdy ja toczyłam bój z czytnikiem mikrofilmów, którego pokrętko nie chciało się gładko obracać i przeskakiwało o kilka tygodni naraz, kobieta śmigała po bibliotece, zbierając tu i ówdzie drobne karteluszkę. Kiedy spotkałyśmy się pół godziny później na kolejnej naradzie, ja przyniosłam z sobą do stolika wydruk ze starej kroniki filmowej oraz piekielny ból głowy, ona zaś przygotowała skromne, lecz całkiem przyzwoite dossier.

Niewiele tego było, prawie nic w porównaniu z wiadomościami z lokalnej prasy na temat rodziny Blythe'ów i ich zamku, niemniej mogłam przynajmniej od czegoś zacząć. Garść dokumentów zawierała małą notkę o narodzinach z „Bermondsey Gazette” z 1916 roku: *CAVILL – 22 lutego, przy St. Henshaw żona Thomasa Cavilla urodziła syna, Thomasa*; dość górnolotne sprawozdanie w „Southwark Star” z 1937 zatytułowane *Miejscowy nauczyciel nawraca uczniów na czytanie książek*; oraz krótki tekst, z trzydziestego dziewiątego z niewymyślnym tytułem: *Miejscowy nauczyciel idzie na wojnę*. Do drugiego artykułu dołączono zdjęcie z podpisem „pan Thomas Cavill”, lecz kopia była tak kiepska, że niewiele dało się z niej wywnioskować poza tym, że przedstawiała młodego mężczyznę w mundurze Armii Brytyjskiej. Trudno było to uznać za bogaty zbiór wiadomości o całym życiu człowieka, najbardziej

rozczarował mnie brak jakichkolwiek wzmianek po trzydziestym dziewiątym roku.

– To wszystko – orzekłam, starając się, aby zabrzmiało bardziej filozoficznie niż niewdzięcznie.

– Prawie.

Pani Yeats wręczyła mi drugi plik papierów.

Były to rubryki ogłoszeniowe z „Timesa”, „Guardiana” i „Daily Telegraph”, wszystkie trzy z marca 1981 roku. W każdej z nich znalazłam to samo ogłoszenie: *Thomas Cavill, zamieszkały dawniej w Elephant and Castle, proszony jest o kontakt telefoniczny z Theo pod numerem: (01) 394 7521 w bardzo pilnej sprawie.*

– No proszę – powiedziałam.

– No proszę – zgodziła się pani Yeats. – Dość osobliwe, prawda? Co to może znaczyć?

Pokręciłam głową. Nie miałam pojęcia.

– Jedno jest pewne: panu Theo, kimkolwiek jest, bardzo zależało na kontakcie z Thomasem Cavillem.

– Czy mogę zapytać, moja droga... oczywiście nie chcę być wścibska, ale czy znalazła pani coś, co jej pomoże?

Spojrzałam jeszcze raz na ogłoszenia, założyłam włosy za uszy.

– Niewykluczone.

– Bo widzi pani, jeśli interesują panią jego akta z okresu wojny, to w Imperialnym Muzeum Wojny mają wspaniałe zbiory archiwalne. Jeśli nie tam, to jeszcze w Głównym Urzędzie Stanu Cywilnego może pani szukać informacji o urodzinach, śmierci i małżeństwach. Gdybym miała trochę więcej czasu, to na pewno mogłabym... ojej – powiedziała, spoglądając na zegarek – jaka szkoda, już tak późno. Akurat kiedy coś nam się w końcu udało znaleźć. Wątpię, abym zdążyła jeszcze coś dla pani zrobić, zanim nas zamkną w środku.

– Szczerze mówiąc, jest jedna drobna rzecz – odparłam. – Czy mogłabym skorzystać z telefonu?

¤

Minęło jedenaście lat od zamieszczenia ogłoszeń w gazetach, tak więc nie wiem, czego się właściwie spodziewałam, wiem tylko, na co miałam nadzieję: że telefon odbierze człowiek o imieniu Theo i z

radością opowie mi o minionych pięćdziesięciu latach życia Thomasa Cavilla. Nie muszę dodawać, że nic takiego nie nastąpiło. Pierwsza próba skończyła się niegrzecznym sygnałem informującym, że nie ma takiego numeru, co wprawiło mnie w stan skrajnej frustracji, aż tupnęłam ze złością nogami jak rozpieszczone dziecko wiktoriańskie. Pani Yeats uprzejmie zignorowała ten napad złości i przypomniała mi łagodnym tonem, że jakiś czas temu zmieniono wszystkie numery kierunkowe i powinnam nacisnąć 071 zamiast 01, a potem stanęła tuż obok mnie i uważnie obserwowała, jak wybieram numer. Pod wpływem jej bacznego nadzoru oczywiście się pomyliłam i musiałam próbować trzeci raz, lecz w końcu z sukcesem!

Stuknęłam delikatnie w słuchawkę na znak, że się dodzwoniłam, i kiedy na linii rozległ się czyjś głos, z podniecenia złapałam panią Yeats za ramię. Telefon odebrała uprzejma pani, która poinformowała mnie, kiedy zapytałam o Theo, że rok temu kupiła dom od starszego mężczyzny o tym imieniu.

– Od Theodore'a Cavilla – oznajmiła. – To z nim chciała pani rozmawiać?

Z trudem nad sobą zapanowałam. Theodore Cavill, a więc jakiś krewny.

– Tak, to on.

Pani Yeats u mego boku aż klasnęła w dłonie.

– Zamieszkał w domu starców w Putney – poinformowała mnie pani w słuchawce. – Tuż nad rzeką. Pamiętam, że bardzo się z tego ucieszył. Powiedział, że niedaleko stamtąd uczył kiedyś w szkole.

¤

Jeszcze tego samego wieczoru pojechałam go odwiedzić.

W Putney mieściło się pięć domów spokojnej starości, ale tylko jeden z nich stał nad rzeką i znalazłam go bez trudu. Mżawka ustała, wieczór zrobił się pogodny i ciepły. Stałam przed wejściem jak we śnie i porównywałam adres surowego budynku z cegły z tym, który miałam zapisany w notesie.

Gdy tylko postawiłam nogę w holu, zagadnęła mnie dyżurna pielęgniarka. Była to młoda kobieta z włosami ostrzyżonymi na chłopaka; kiedy się uśmiechała, jeden kącik jej ust unosił się wyżej niż drugi.

Powiedziałam, z kim chciałabym się zobaczyć, a wtedy ona uśmiechnęła się szeroko.

– Och, jak cudownie. To jeden z naszych ukochanych podopiecznych. Nasz Theo.

Odwzajemniłam jej uśmiech trochę niepewnie. Jeszcze pół godziny temu przyjazd tutaj wydawał mi się znakomitym pomysłem, lecz teraz, kiedy szliśmy szybko korytarzem w jaskrawym blasku jarzeniówek, opadły mnie wątpliwości. Było coś niesmacznego w osobie, która naprzykrza się Bogu ducha winnemu starszemu dżentelmenowi, pupilowi domu starców, i z tupetem wściubia nos w cudze sprawy rodzinne. Już chciałam się wycofać, lecz pielęgniarka z jakiegoś powodu bardzo zaangażowała się w moje odwiedziny i z zapierającą dech determinacją torowała mi drogę przez hol.

– Czują się samotni, kiedy zbliża się koniec – mówiła. – Zwłaszcza ci, którzy nie mają rodzin: dzieci ani wnuków, o których mogliby rozmyślać.

Przytaknęłam z uśmiechem i podreptałam za nią dalej w głąb szerokiego, białego korytarza. Po obu stronach mijałyśmy drzwi, między którymi z wiszących wazoników wystawiały główki więdnące, fioletowe i żółte kwiatki. Zastanawiałam się z roztargnieniem, kto się troszczy o to, aby zmieniać im wodę i wstawiać świeże rośliny. Nie zapytałam jednak o to pielęgniarki, więc szliśmy, nie zatrzymując się, aż na sam koniec korytarza. W końcu stanęłyśmy przed oszklonymi drzwiami, za którymi zobaczyłam ogród. Kobieta otworzyła mi drzwi i ruchem głowy wskazała, abym weszła pierwsza, po czym ruszyła za mną.

– Theo – odezwała się nieco głośniejszym głosem niż normalnie, chociaż nie widziałam osoby, do której się zwracała. – Masz gościa. Przepraszam – odwróciła się do mnie – zapomniałam pani nazwiska.

– Burchill. Edie Burchill.

– Edie Burchill przyszła się z tobą spotkać, Theo.

Dopiero wtedy zauważyłam żelazną ławkę tuż za niskim żywoplotem i stojącego przy niej starego mężczyznę. Po jego pochylonej sylwetce i geście, którym przytrzymał się oparcia ławeczki, można się było domyślić, że przed chwilą siedział, i podniósł się odruchowo, kiedy weszliśmy – pozostałość staromodnych zwyczajów, których przestrzegał przez całe życie.

– Dzień dobry – powiedział, mrugając przez szkła okularów, grubych jak denka od butelek. – Bardzo mi miło, zechce się pani przysiąść?

– Zostawię was samych – powiedziała pielęgniarka. – Gdybyście państwo czegoś potrzebowali, będę w środku, wystarczy tylko zawołać.

Skinęła głową, splotła ramiona na piersi i znikła jak duch na ścieżce z czerwonej cegły. Zamknęły się za nią drzwi i zostałam w ogrodzie sam na sam z Theo. Był korpulentny i niziutki, miał w najlepszym razie metr pięćdziesiąt wzrostu. Gdyby ktoś chciał go narysować, mógłby zacząć od kształtu bakłażana, a potem w najszerszym miejscu zapiąć pasek. Głową z rzadkimi kępkami włosów wskazał w kierunku przeciwnym do mojego.

– Obserwowałem rzekę. Wie pani, ona nigdy się nie zatrzymuje.

Miał przyjemny głos. Coś w jego ciepłej barwie przypominało mi dzieciństwo, kiedy jako mała dziewczynka siedziałam po turecku na zakurzonej dywanie, a ktoś o rozmazanej twarzy mówił coś uspokajająco. Zaczęłam błądzić myślami. Uprzytomniłam sobie nagle, że nie mam pojęcia, jak rozpocząć tę rozmowę. Zrozumiałam, że to był wielki błąd, że niepotrzebnie tu przyszłam i powinnam jak najszybciej się wycofać. Otworzyłam usta, żeby mu to powiedzieć, lecz on zaczął pierwszy:

– Szczerze mówiąc, grałem na zwłokę, ponieważ obawiam się, że nie potrafię sobie pani przypomnieć. Proszę mi wybaczyć, ale moja pamięć...

– Ma pan dobrą pamięć, ponieważ nigdy się przedtem nie spotkaliśmy.

– Och. – Umilkł, tylko jego usta poruszały się wokół krążących w jego głowie myśli. – Rozumiem, no cóż, mniejsza z tym. Cieszę się, że pani przyszła. Niewiele osób mnie odwiedza. Bardzo przepraszam, ale pani imię zdążyło mi już wylecieć z głowy. Wiem, że Jean panią przedstawiła, lecz...

Uciekaj stąd, szeptał mi w głowie mój własny głos.

– Mam na imię Edie – powiedziały moje usta. – Przyszłam w sprawie pańskich ogłoszeń.

– Moich...? – Przyłożył zwinętą dłoń do ucha, jakby sądził, że źle dosłyszał. – Powiedziała pani: ogłoszeń? Przepraszam, ale obawiam się, że pomyliła mnie pani z kimś innym.

Sięgnęłam do torebki i wyjęłam wydrukowaną stronę z „Timesa”.

– Chciałam z panem porozmawiać o Thomasie Cavillu – odparłam, trzymając wycinek tak, aby mógł go widzieć.

On jednak wcale nie patrzył na gazetę. Zmienił się na twarzy, zakłopotanie ustąpiło miejsca podnieceniu.

– Czekałam na panią – powiedział z zapalem. – Proszę, niech pani usiądzie. Skąd pani jest: z policji? Z żandarmerii?

Policja!?! Teraz z kolei ja się poczułam zdezorientowana. Pokręciłam głową, a tymczasem staruszek był coraz bardziej poruszony. Splótł ma-lutkie dłonie i zaczął mówić bardzo szybko:

– Wiedziałem, że ktoś w końcu pewnego dnia zainteresuje się mo-im bratem. – Machnął niecierpliwie ręką. – Niech pani usiądzie. Proszę mi wszystko powiedzieć: czego się pani dowiedziała?

Byłam kompletnie skołowana. Nie miałam pojęcia, o czym mówi. Podeszłam bliżej i powiedziałam łagodnie:

– Panie Cavill, wydaje mi się, że zaszło jakieś nieporozumienie. Niczego się nie dowiedziałam i nie jestem z policji ani z żandarmerii. Przyszłam, ponieważ szukam pańskiego brata Thomasa i pomyślałam, że mógłby mi pan pomóc.

Przechylił głowę na bok.

– Myślała pani, że ja mogę...? Że ja mogę pani pomóc? – Nagły błysk zrozumienia i kolory odpłynęły mu z twarzy. – Złapał się oparcia ławki i skinął głową z rozgoryczeniem i godnością, na widok których zrobiło mi się przykro, chociaż nie znałam ich przyczyny. – Rozumiem... – Uśmiechnął się blade. – Rozumiem.

Czymś go wyraźnie zasmuciłam i chociaż nie miałam pojęcia czym ani co Thomas Cavill ma wspólnego z policją, wiedziałam, że muszę coś powiedzieć, aby wytłumaczyć swoją obecność.

– Pański brat był przed wojną nauczycielem mojej mamy. Niedaw-no rozmawiałyśmy o tamtych czasach i opowiadała mi, jaką był dla niej inspiracją. Bardzo żałowała, że straciła z nim kontakt. – Przełknęłam ślinę, zdziwiona i w równym stopniu zaniepokojona, jak łatwo mi przy-szło to kłamstwo. – Zastanawiała się, co się z nim stało, czy po wojnie nadal pracował w szkole, czy się ożenił.

Kiedy mówiłam, jego wzrok powędrował z powrotem w stronę rzeki, ale nie miałam wątpliwości, że te zamglone oczy niczego tam nie widzą.

Ani ludzi spacerujących po moście, ani maleńkich łodzi podskakujących na wodzie przy drugim brzegu, ani promu wypełnionego po brzegi turystami, którzy mierzyli we wszystkie strony z aparatów fotograficznych.

– Obawiam się, że muszę panią rozczarować – odezwał się w końcu. – Nie mam pojęcia, co się stało z Thomasem.

Usiadł, oparł się plecami o żelazną poręcz i kontynuował:

– Mój brat zniknął w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku, w samym środku wojny. Któregoś dnia do domu mojej mamy zapukał miejscowy policjant, z rezerwy. Przyjaźnił się z moim tatą przed jego śmiercią, walczyli razem w pierwszej wojnie światowej. Biedaczek, był bardzo zakłopotany. Pewnie nie było mu łatwo przynosić takie wiadomości.

– Jakie wiadomości?

– Tom nie stawiał się na wezwanie w jednostce i policjant dostał nakaz, aby go doprowadzić na miejsce. – Theo westchnął na to wspomnienie. – Biedna mama. Co mogła zrobić? Powiedziała mu prawdę: że Toma nie ma w domu i nie wie, gdzie jest. Że wyprowadził się po tym, jak wrócił ranny z Dunkierki. Od tamtej pory nie potrafił już żyć razem z rodziną. Przemieszkował u znajomych albo w wynajętych pokojach, gdzie się dało.

– Pański brat przeżył ewakuację z Dunkierki?

– O mały włos, a by mu się nie udało. Przeleżał w szpitalu kilka tygodni. Noga goiła się dobrze, ale moje siostry powiedziały, że wrócił jako zupełnie inny człowiek, niż wyjechał. Śmiał się w tych samych momentach, ale przedtem zawsze następowała chwila przerwy, jakby czytał swoją rolę ze scenariusza.

Gdzieś w pobliżu zapłakało dziecko i Theo odwrócił się w kierunku mostu. Uśmiechnął się blade.

– Łód upadł na ziemię – oznajmił. – To nie byłaby sobota w Putney, gdyby jakimś biednemu dziecku łód nie wypadł z ręki.

Czekałam, żeby kontynuował, a kiedy milczał, zachęciłam go tak delikatnie, jak umiałam.

– I co się stało? Co zrobiła pańska mama?

Nadal obserwował most, ale stukał palcami w oparcie ławki i powiedział cicho:

– Tom wyjechał w środku wojny bez zgody jednostki. Policjant miał związane ręce. Ale dobry był z niego chłop, okazał nam wyrozumiałość przez wzgląd na tatę. Dał mamie dwadzieścia cztery godziny na znalezienie Toma i nakłonienie go do powrotu na służbę, zanim nada sprawie bieg urzędowy.

– Ale nie udało jej się go odnaleźć?

Theo pokręcił głową.

– Przepadł jak kamień w wodę. Mama i siostry odchodziły od zmysłów. Szukały go wszędzie, ale... – Westchnął słabo, wzruszając ramionami. – Nie mogłem im pomóc, bo nie było mnie wtedy w Londynie... Do dzisiaj nie mogę sobie tego wybaczyć. Moja jednostka wyjechała na północ na ćwiczenia. Dowiedziałem się, dopiero kiedy dostałem list od mamy, ale wtedy już było za późno. Toma wpisano na listę dezertorów.

– Tak mi przykro.

– Widnieje na niej do dziś. – Popatrzył na mnie, a ja z przerażeniem stwierdziłam, że oczy zaszklily mu się od łez. – Poprawił okulary, wsunął oprawki za uszy. – Sprawdzam co roku, bo ktoś mi powiedział, że ludzie czasem wracali nawet po kilkudziesięciu latach, z podkulonym ogonem i sznurkiem fatalnych decyzji życiowych ciągnących się za nimi. – Podniósł dłoń, która po chwili opadła mu bezradnie na kolano. – Sprawdzam z rozpaczy, bo w głębi serca wiem, że Tom w taki sposób nie wróci.

Za nami rozległy się odgłosy rozmowy, zerknęłam przez ramię i zobaczyłam młodego mężczyznę, który pomagał starszce przejść przez drzwi do ogrodu. Idąc powoli, aby popatrzeć na róże, kobieta roześmiała się z czegoś, co powiedział jej towarzysz.

Theo też ich zobaczył. Zniżył głos.

– Tom był człowiekiem honoru. – Z trudem wypowiadał każde słowo, zaciskał wargi, które drżały od tłumionych emocji. Widziałam, jak bardzo mu zależy, abym uwierzyła w to wszystko, co mówił o swoim bracie. – Za żadne skarby nie zrobiłby tego, o co go oskarżali. Nie uciekłby. Powiedziałem to żandarmom, ale nie chcieli mnie słuchać. Mamie złamało to serce. Czuła niezasłużony wstyd, zamartwiała się, zastanawiała się, co się z nim stało. Czy żyje gdzieś w świecie zagubiony i samotny? Czy coś mu się przytrafiło? Może zapomniał, kim jest i gdzie mieszka? – Urwał, potarł wysklepione czoło, jakby zmieszany, a ja

zrozumiałam, że wszystkie te rozdzierające serce teorie nękały go przez lata, lecz nikt nie brał ich poważnie. – W każdym razie mama nigdy tego nie przeboleła. Był jej najukochańszym dzieckiem, chociaż nigdy się do tego nie przyznawała. Nie musiała, Toma wszyscy kochali.

Zapadło milczenie. Patrzyłam, jak na niebie krążą w kółko dwa gawrony. Para spacerująca wśród róż podeszła bliżej, więc odczekałam, aż się oddała, po czym odwróciłam się z powrotem do Theo i powiedziałam:

– Czemu policja nie chciała pana słuchać? Czemu byli tacy pewni, że uciekł?

– Przez pewien list. – Szczęka zaczęła mu drzeć. – Przyszedł na początku czterdziestego drugiego roku, kilka miesięcy po jego zaginięciu. Napisano go na maszynie i był bardzo krótki. Informował tylko, że Tom poznał jakąś kobietę i uciekł, aby się z nią ożenić. Że na razie się ukrywa, ale skontaktuje się z nami później. Kiedy policja go zobaczyła, przestała się nami interesować. Trwa wojna, powiedzieli, nie mają czasu szukać człowieka, który zdradził swój naród.

Po pięćdziesięciu latach jego rany były nadal świeże. Mogłam sobie tylko wyobrazić, co czuł w tamtym czasie. Zaginął ktoś z jego najbliższych krewnych, a on nie mógł nikogo przekonać, aby pomogli mu w poszukiwaniach. Z drugiej strony... W Milderhurst powiedziano mi, że Thomas Cavill nie zjawił się w zamku, ponieważ uciekł z inną kobietą. Może to jednak tylko rodzinna duma i lojalność skłaniały Theo do przekonania, że ucieczka jego brata była kłamstwem?

– Nie uwierzył pan w to, co napisano w liście?

– Nawet przez sekundę – odparł żarliwie. – To prawda, że poznał młodą kobietę i zakochał się. Pisał do mnie o niej długie listy: jak jest piękna, jak przy niej wszystko na świecie zaczyna mieć swój sens i że zamierza się z nią ożenić. Ale nie miał najmniejszego zamiaru uciekać, przeciwnie, nie mógł się doczekać, kiedy ona przedstawi go swojej rodzinie.

– Nie poznał jej pan?

Pokręcił głową.

– Nikt z nas jej nie poznał. Wszystko miało być trzymane w tajemnicy, dopóki nie dowie się jej rodzina. Odniosłem wrażenie, że pochodziła z wyższych sfer.

Serce zaczęło mi walić, kiedy opowieść Theo zaczęła się tak ładnie wpasowywać w zarys mojej wizji.

– Pamięta pan, jak miała na imię?

– Nie. Nie powiedział mi.

Moja frustracja narastała.

– Był pod tym względem bardzo stanowczy: musi najpierw poznać jej rodzinę. Nie ma pani pojęcia, jak mnie to dręczyło przez te wszystkie lata – wyznał. – Gdybym wiedział, kim była, zdobyłbym jakiś punkt zaczepienia do rozpoczęcia poszukiwań. Może ona też zaginęła? Może na przykład oboje mieli wypadek? Może jej rodzina ma informacje, które mogłyby mi pomóc.

Miałam na końcu języka wyznanie prawdy o Juniper, ale się rozmyśliłam. Po co rozbudzać w biedaku płonne nadzieje, skoro rodzina Blythe'ów nie miała żadnych dodatkowych informacji na temat Thomasa Cavilla, skoro byli tak samo przekonani jak policja, że uciekł z inną kobietą?

– Kto pańskim zdaniem wysłał ten list, jeśli nie Tom? – spytałam. – I po co? Po co ktoś miałby robić coś takiego?

– Nie wiem, ale coś pani powiem. Tom się z nikim nie ożenił. Sprawdziłem to w urzędzie stanu cywilnego. Sprawdziłem też rejestry zgonów. Cały czas to robię, mniej więcej raz w roku, na wszelki wypadek. Niczego nie znalazłem, nic, żadnej wzmianki na jego temat od czterdziestego pierwszego roku. Zupełnie jakby się rozpułnął w powietrzu.

– Przecież ludzie tak po prostu nie znikają.

– Właśnie – zgodził się ze zmęczonym uśmiechem. – Ludzie tak po prostu nie znikają. Kiedyś wynająłem nawet pewnego człowieka do pomocy w poszukiwaniach, ale to była strata pieniędzy. Kilka tysięcy funtów wyrzucone w błoto, żeby jakiś idiota oznajmił mi, że Londyn w czasie wojny był doskonałym miejscem dla kogoś, kto chciał zniknąć. – Westchnął ze zniecierpliwieniem. – Nikogo nie obchodzi, że Tom wcale nie chciał zniknąć.

– A ogłoszenia?

To mówiąc, wskazałam wydruk, który cały czas leżał między nami na ławce.

– Zamieściłem je, kiedy zachorował nasz najmłodszy brat Joey. Doszedłem do wniosku, że warto spróbować, na wypadek gdybym się

jednak mylił i Tom rzeczywiście gdzieś się ukrywał i może szukał pretekstu, aby do nas wrócić. Joey był trochę opóźniony, ale uwielbiał Toma nad życie. Byłoby to dla niego największe szczęście, gdyby mógł go jeszcze raz zobaczyć.

– Ale nikt się nie odezwał?

– Nikt poza jakimiś dziećmi, które robiły sobie żarty.

Słońce ześliznęło się z nieba i zaczął zapadać przejrzysty, różowy zmierzch. Moje ramiona musnął wieczorny powiew, a wtedy uprzytomniłam sobie, że znów zostaliśmy w ogrodzie sami, że Theo jest starszym człowiekiem, który powinien o tej porze siedzieć przy stole i rozkoszować się pieczeniem wołową na swoim talerzu, a nie rozpamiętywać minione smutki.

– Robi się chłodno – zauważyłam. – Może wejdziemy do środka.

Theo skinął głową i próbował się uśmiechnąć, ale kiedy wstaliśmy, zauważyłam, że uszła z niego cała energia.

– Nie jestem głupi, Edie – odezwał się, kiedy doszliśmy do wejścia. Otworzyłam drzwi, lecz Theo uparł się, aby je przytrzymać i puścić mnie przodem. – Wiem, że już nigdy nie zobaczę Toma.

Zamieszczam ogłoszenia, sprawdzam rejestry, przechowuję albumy rodzinne i inne rupiecie, żeby mu je pokazać, ale wszystko to robię bardziej z przyzwyczajenia i dlatego, że pomaga mi to uporać się z myślą o jego utracie.

Doskonale rozumiałam, o czym mówi.

Od strony jadalni dochodził hałas – szuranie krzesel, brzęk sztućców, szmer przyjacielskich rozmów, lecz Theo zatrzymał się w połowie korytarza. Za nim wiał żółty kwiat, nad naszymi głowami buczała cicho świetlówka, a ja dostrzegłam coś, czego nie zauważyłam na dworze – jego policzki lśniły od wyschniętych łez.

– Dziękuję pani – powiedział cicho. – Nie wiem, jak to się stało, że wybrała pani akurat ten dzień, aby się tu zjawić, ale bardzo się z tego cieszę. Od rana byłem przygnębiony i sprawiło mi niezwykłą ulgę, że mogłem z kimś porozmawiać o Thomasie. Tylko ja już pozostałem, moi bracia i siostry, wszyscy są już tutaj – to rzekłszy, przyłożył dłoń do piersi. – Bardzo mi ich brakuje, ale nie sposób opisać tego, co czuję, kiedy myślę o Tomie. Poczucie winy... – jego dolna warga drżała, siłą

woli próbował nad nią zapanować. – Myśl, że mu nie pomogłem, że przydarzyło mu się coś okropnego i nikt o tym nie wie, a świat i historia uważają go za zdrajcę, ponieważ nie potrafiłem udowodnić, że tak nie jest. Z całej duszy pragnęłam go pocieszyć.

– Przykro mi, że nie przyniosłam panu żadnych wieści o bracie.

Potrząsnął głową i uśmiechnął się blado.

– Nic nie szkodzi, nadzieja to jedno, a oczekiwania to całkiem inna sprawa. Nie jestem głupcem, w głębi serca wiem, że nie pożegnam się już z Tomem przed śmiercią.

– Żałuję, że nie potrafiłam panu pomóc.

– Niech mnie pani odwiedzi któregoś popołudnia – odrzekł. – Opowiem pani więcej historii o Tomie i obiecuję, że będą weselsze.

1.

Ogrody zamkowe Milderhurst,

14 września 1939

Trwała wojna, a on miał zadanie do wykonania, ale słońce tak się tłukło po niebie, po srebrzystym blasku na wodzie, po rozpalonych konarach drzew nad głową, że byłoby wręcz niestosowne nie zatrzymać się choć na moment i nie zanurkować. Staw był okrągły i ozdobny, brzegi wyłożone ozdobnymi kamieniami, a nad wodą wisiała drewniana huśtawka. Thomas ze śmiechem cisnął torbę na ziemię. Ale gratka! Odpiął zegarek z ręki i położył go starannie na skórzanej torbie, która była jego dumą i radością. Zdjął buty i zaczął rozpinąć koszulę.

Kiedy to ostatnio miał okazję popływać? Przez całe lato na pewno ani razu. Kilku jego przyjaciół pożyczyło samochód i wybrało się w sierpniu, w najgorętszym sierpniu, jaki pamiętali, do hrabstwa Devon, aby spędzić tydzień nad morzem. Było umówione, że Thomas do nich dołączy, ale Joey bardzo podupadł na zdrowiu i zaczęły się nocne koszmary. Biedak nie mógł zasnąć, dopóki Thomas nie usiadł przy nim na łóżku i nie opowiedział mu historii o Podziemiu. Potem rozkładał swoje wąskie łóżko, w pokoju gęstniał zaduch, a on marzył o morzu. Mimo to nie miał do nikogo żalu. Niewiele było rzeczy, których nie zrobiłby dla Joeya. Dzieciak w ciele dorosłego mężczyzny, obrastający tłuszczem i śmiejący się jak mały chłopiec. Na dźwięk okrutnej melodii jego śmiechu Thomasa ścisnęło w piersi. Myślał o chłopcu, jakim był jego najmłodszy brat, i o mężczyźnie, jakim powinien się stać.

Zsunął rękawy koszuli i rozpiął pasek, potem strząsnął z siebie smutne, stare myśli i zdjął spodnie. W górze zakasał wielki czarny ptak i przez chwilę Thomas wykręcał szyję, aby przez liście dojrzeć czyste,

błękitne niebo. Słońce buchało ogniem, musiał przymknąć oczy, aby śledzić lot ptaka szybującego z wdziękiem w stronę dalekiego lasu. W powietrzu unosił się słodkawy zapach, którego nie potrafił określić, ale wiedział, że mu się podoba. Kwiaty, ptaki, daleki bulgot wody spadającej po kamieniach – sielankowe dźwięki i zapachy, jakby żywcem wyjęte z kart Hardy'ego, i Thomas upajał się myślą, że są prawdziwe i że otaczają go ze wszystkich stron, że to jest życie, a on jest jego częścią. Położył dłoń na piersi, czuł na nagiej skórze słoneczne ciepło. Dobrze być młodym i silnym i mieć przed sobą całą przyszłość. Nie był zbyt pobożny, ale ta chwila miała w sobie coś świętego.

Obejrzał się przez ramię, lecz powoli i od niechcenia. Nie miał buntowniczej natury ani skłonności do łamania zasad. W końcu był nauczycielem, powinien służyć uczniom za przykład, a traktował siebie na tyle poważnie, aby spełniać ten obowiązek jak najsumiennie. A jednak dzień, pogoda, wojna, która wybuchła ledwie kilka dni temu, i ten zapach, którego nie potrafił nazwać, a który unosił się na delikatnym wietrze – wszystko razem wprawiło go w zawadiacki nastrój. Był młodym mężczyzną, a niewiele trzeba, aby młodego mężczyznę natchnąć wspaniałym uczuciem wolności i przeświadczeniem, że ziemia i jej uroki tylko czekają, by po nie sięgnąć i korzystać, ile dusza zapagnie; że takie pojęcia, jak własność i zakaz, choć ustanowione w dobrych intencjach, są absurdalnymi dyktatami, martwą literą, których miejsce jest w kodeksach i rozprawach bojaźliwych, siwobrodych prawników z Lincoln's Inn.

Polanę otaczały drzewa, w pobliżu stała cicha, pusta przebieralnia, a obok niej jakieś wspomnienie schodów prowadziło w nieznaną. Po drugiej stronie rozciągała się wielka połać słońca i ptasich treli. Thomas westchnął z zadowoleniem i uznał, że to jest jego chwila. Zobaczył trampolinę, słońce tak rozgrzało deski, że kiedy stanął na brzegu, drewno parzyło go w stopy. Rozkoszował się przez chwilę łagodnym, piekącym bólem i palącym ciepłem na ramionach, aż dłużej nie mógł już wytrzymać, odbił się od krawędzi, wyciągnął ramiona i zanurkował, przebijając powierzchnię niczym strzała. Zimno ścisnęło mu pierś jak imadło, wynurzył się, a spragnione płuca chwytały łączywie oddech jak nowo narodzone dziecko swój pierwszy haust powietrza.

Przez kilka minut pływał, zanurkował głęboko i znów się wynurzył, potem położył się na plecach i pozwolił, by nogi i ręce odpłynęły na boki niczym ramiona gwiazdy. To jest moment, którego szukali Wordsworth, Coleridge i Shelley: wzniosłość. Gdyby przyszło mu teraz umrzeć, umarłby szczęśliwy. Co nie znaczy, że pragnął umrzeć, o nie, jeszcze przez co najmniej siedemdziesiąt lat. Szybko obliczył w myślach: rok dwa tysiące dziewięć będzie w sam raz. Roześmiał się i popłynął leniwie na plecach, a potem znów unosił się bez ruchu na wodzie. Zamknął oczy, słońce rozgrzewało mu powieki. Świat był pomarańczowy i usiany gwiazdami, a w samym środku świeciła jego przyszłość.

Wkrótce założy mundur. Czekają na niego wojna, a on niecierpliwił się, aby jej wyjść naprzeciw. Nie był naiwny, jego ojciec stracił we Francji nogę i część zdrowych zmysłów, Thomas nie miał złudzeń co do takich rzeczy jak bohaterstwo czy chwała, wiedział, że wojna to poważna i niebezpieczna sprawa. Nie należał również do tych, którzy w bitewnym zamęcie szukali ucieczki od życia. Przeciwnie, upatrywał w wojnie okazję, aby rozwinąć się jako człowiek i jako nauczyciel.

Pragnął zostać nauczycielem od momentu, kiedy zrozumiał, że pewnego dnia dorośnie. A najbardziej marzył o tym, aby pracować w swojej starej londyńskiej dzielnicy. Wierzył, że może otwierać oczy i umysły dzieci, jak to się kiedyś przydarzyło jemu, nauczyć je sięgać wzrokiem daleko poza ponure, ceglane mury i sznurki zawieszane praniem, które były ich codziennością. Ten cel przyświecał mu przez lata nauki w kolegium nauczycielskim i pierwsze lata praktyk, aż wreszcie dzięki swym oratorskim talentom i zwykłemu, staromodnemu łutowi szczęścia znalazł się dokładnie tam, gdzie pragnął.

Od samego początku, gdy stało się jasne, że wojna wisi w powietrzu, Thomas nie miał wątpliwości, że się zaciągnie. Kraj potrzebował nauczycieli, to zajęcie zawsze pozostawało w rezerwie, lecz cóż by to był za przykład dla uczniów, gdyby nie stanął do walki? Jego rozumowanie nie było też pozbawione bardziej egoistycznych aspektów. John Keats powiedział, że nic nie jest rzeczywiste, póki człowiek tego nie doświadczy, i Thomas w pełni się z nim zgadzał. Co więcej, miał świadomość, że tego mu właśnie brakuje. Wyobraźnia i empatia są cudownymi darami, lecz kiedy opowiadał o historii, o poświęceniu i patriotyzmie,

kiedy czytał uczniom wezwanie Henryka V do bitwy, uderzał o dno swoich płytkich doświadczeń. Wojna je pogłębi, da mu wiedzę, której pragnął z całego serca, dlatego właśnie gdy tylko się upewni, że jego ewakuowani podopieczni znaleźli się bezpiecznie w dobrych rękach, wróci do Londynu i zaciągnie się do Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego i jeśli mu szczęście dopisze, jeszcze przed listopadem będzie we Francji.

Odwrócił leniwie palce na ciepłej powierzchni i westchnął tak głęboko, że aż zanurzył się pod wodę. Być może to świadomość, że już za tydzień będzie chodził w mundurze, nadała temu popołudniu więcej soczystych barw i realizmu, niż miały wszystkie inne dni biegnące w przód i wstecz. Bo z całą pewnością działała tu jakaś nierealna siła. To nie mogła być tylko kwestia ładnej pogody lub delikatnego wietrzyku, albo zapachu, którego nie umiał uchwycić, lecz dziwna mieszanina warunków, klimatu i okoliczności i chociaż spieszyło mu się, by stanąć w wojskowym szeregu i wziąć na siebie ciężar odpowiedzialności, chociaż w nocy czasami przebierał nogami z niecierpliwości, w tym momencie pragnął jedynie, aby czas zwolnił biegu, aby mógł tu pozostać i unosić się tak przez całą wieczność...

– Jaka woda?

Głos rozległ się tak niespodziewanie, że doskonała samotność pękła jak skorupka złotego jajka.

Kiedy później wielokrotnie wspominał to pierwsze spotkanie, najwyraźniej ze wszystkiego pamiętał jej oczy. I sposób, w jaki się poruszała, i jej długie włosy spływające w nieładzie wokół ramion, i krągłość jej drobnych piersi, kształt nóg, ach, te nogi... Lecz wszystko to przyćmiewał blask kocich oczu, oczu, które wiedziały i myślały o rzeczach, o których nie powinny wiedzieć ani myśleć. Podczas długich dni i nocy, które dopiero miały nastąpić, a nawet kiedy wreszcie nadejdzie kres, to właśnie jej oczy będzie widział, ilekroć zamknie powieki.

Siedziała na huśtawce, bosymi stopami opierała się o ziemię i patrzyła, jak Thomas unosi się na wodzie. Dziewczyna czy kobieta? Z początku nie był pewien. Miała na sobie prostą białą sukienkę na ramiączka. Przemknęły mu przez myśl dziesiątki dowcipnych odpowiedzi, lecz coś w jej wyrazie twarzy zawiązało mu język i udało mu się tylko wykrztusić:

– Ciepła. Idealna. Błękitna.

Jej oczy były niebieskie, w kształcie migdałów, i rozszerzyły się delikatnie, kiedy wypowiedział te trzy słowa – bez wątpienia zastanawiała się, co to za głupek przyszedł urządzić sobie darmowe kąpielisko w jej stawie.

Brodząc niezdarne w jej stronę, czekał, aż go zapyta, kim jest, co tu robi i jakim prawem pływa na terenie jej posiadłości, ale nie zapytała. Odpychała się od niechcenia, tak że huśtawka zataczała łagodny łuk nad brzegiem stawu i z powrotem. Pragnąc zatrzeć wrażenie, że umie wyartykułować tylko trzy słowa, odpowiedział z własnej inicjatywy:

– Nazywam się Thomas Cavill. Przepraszam, że tak bezceremonialnie skorzystałem z waszego stawu, lecz dzień jest taki piękny, że nie mogłem się oprzeć.

Uśmiechnął się do niej szeroko, a ona nie odpowiedziała, tylko oparła głowę o linę. Przemknęło mu przez myśl, że może ona też weszła na cudzy teren. W jej spojrzeniu było coś, co kojarzyło się z wycinanką i nasuwało refleksję, że ona i to otoczenie nie współgrają z sobą. Zastanawiał się mgliście, gdzie by mogła pasować taka dziewczyna, ale nic mu nie przychodziło do głowy.

Przestała się huścić i bez słowa zeszła z siedzenia, które zaczęło kołysać się lekko tam i z powrotem. Zauważył, że jest wysoka. Usiadła na kamiennym brzegu, podciągnęła kolana pod brodę i zanurzwszy palce stóp w wodzie, obserwowała zmarszczki rozbiegające się po powierzchni.

Thomasa zaczęło ogarniać wzburzenie. Wszedł co prawda na prywatny teren, ale nikomu nie zrobił nic złego, nie zasłużył sobie na takie milczące traktowanie. Zachowywała się teraz, jakby go tu w ogóle nie było, chociaż siedziała tuż obok niego pogrążona w jakimś głębokim namyśle. Uznał, że toczy z nim jakąś grę, jedną z tych, którymi dziewczęta... kobiety lubią wprawiać mężczyzn w zakłopotanie i poprzez jakieś dziwne droczenie się mieć nad nimi władzę. Po cóż innego miałyby go tak ignorować? Chyba że z nieśmiałości. To możliwe. Była młoda, niewykluźczone, że jego zuchwałość, jego męskość, jego – powiedzmy to sobie szczerze – prawie nagość ją onieśmieliła. Poczul wyrzuty sumienia, nie miał takiego zamiaru, chciał tylko popływać. Odezwał się, starając się

przybrać lekki i przyjazny ton:

– Przepraszam, że panią tak zaskoczyłem, nie mam złych zamiarów. Nazywam się Thomas Cavill. Przyjechałem, żeby...

– Słyszałam, co pan powiedział – przerwała mu. Popatrzyła na niego jak na komara, który irytuje i drażni, lecz poza tym nie wywołuje żadnego wrażenia. – Naprawdę nie ma powodu w kółko tego powtarzać.

– Chwileczkę, starałem się tylko zapewnić panią...

Lecz jego zapewnienia zawisły niedokończone w próżni. Po pierwsze, widać było, że ta dziwna osóbką przestała go słuchać, a po drugie, coś innego odwróciło jego uwagę. Kiedy on jeszcze mówił, dziewczyna wstała i zaczęła podciągać sukienkę, spod której wyłonił się kostium kąpielowy. Tak po prostu. Nawet nie spojrzała w jego stronę, nie zerkała spod długich rzęs, nie zachichotała nagle speszona własną śmiałością. Rzuciła sukienkę za siebie, przeciągnęła się niczym kotka na słońcu i ziewnęła lekko, nawet nie próbując zasłonić ust dłonią, przeprosić czy choćby się zarumienić, a następnie bez żadnych dalszych ceregieli wskoczyła z brzegu do wody. Kiedy się zanurzyła, Thomas czym prędzej wyszedł na brzeg. Z jakiegoś powodu spłoszyła go śmiałość dziewczyny, a to, że tak na niego podziałała, przestraszyło go jeszcze bardziej. Ten strach był zniewalający. Ona była zniewalająca.

Nie miał ręcznika ani żadnego innego sposobu, żeby się szybko wysuszyć i ubrać, więc stał na słońcu i usiłował wyglądać najswobodniej na świecie, co nie było łatwym zadaniem, bo swoboda opuściła go do reszty, i nagle zrozumiał, jak się czują nieudacznicy, którym w obecności pięknej kobiety zaczynają się plątać nogi i języki, pięknej kobiety, która wypłynęła na powierzchnię stawu i unosiła się od niechcienia na plecach, a długie włosy otaczały jej głowę niczym wodorosty. Leżała tak nieskrępowana, obojętna, jakby zupełnie nieświadoma obecności intruza.

Aby odzyskać nieco powagi, Thomas uznał, że najlepiej będzie, jeśli włoży spodnie i naciągnął je na mokre szorty. Starał się zachowywać z godnością, nie zrobił z siebie jakiegoś niedojrzałego chojraka. Był nauczycielem, na miłość boską, mężczyzną, który miał wkrótce zostać żołnierzem, to nie powinno mu sprawić tyle trudności. Niełatwo jednak zachować profesjonalizm, stojąc boso i półnago w cudzym ogrodzie.

Wszystkie wcześniejsze objawienia na temat głupoty prawa własności ujawniły teraz swoją naiwność. Przełknął ślinę, po czym powiedział najspokojniej, jak mógł:

– Nazywam się Thomas Cavill. Jestem nauczycielem. Przyjechałem tu sprawdzić zakwaterowanie uczniów ewakuowanych z Londynu. Jedna z dziewczynek, o ile mi wiadomo, mieszka w zamku Milderhurst.

Ociekał wodą, ciepła strużka spływała mu po brzuchu.

– Jestem jej nauczycielem – dodał i skrzywił się, bo również i to już raz powiedział.

Dziewczyna przewróciła się na brzuch i obserwowała go teraz ze środka stawu, jakby analizowała coś w myślach. Zanurkowała i przypląnęła do brzegu pod wodą niczym srebrzysta wstęga, po czym wyłoniła się na kamieniach, położyła na nich łokcie i oparła brodę na dłoniach.

– Meredith.

– Tak. – Odetchnął z ulgą. – Tak. Meredith Baker. Przyjechałem zobaczyć, co u niej słyhać. Czy wszystko w porządku.

Szeroko rozstawione oczy spoczęły na nim i obserwowały go z nieodgadnionymi uczuciami. Potem dziewczyna się uśmiechnęła, a wtedy jej twarz przeszła jakąś transcendentalną przemianę, aż Thomas wstrzymał oddech.

– Chyba będzie lepiej, jeśli sam pan ją o to zapyta – powiedziała. – Niedługo przyjdzie, moja siostra zdejmuje jej miarę na sukienkę.

– Dobrze. Tak, to dobrze.

Zadanie, z jakim tu przyjechał, było jego szalupą ratunkową, uchwycił się go z wdzięcznością i bezwstydnie. Wsunął ręce w rękawy koszuli, usiadł na brzegu najbliższego leżaka, wyjął ze swojej torby teczkę z listą uczniów i z wielką uwagą zaczął się w nią wczytywać, chociaż, gdyby go ktoś zapytał, umiałby ją wyrecytować z pamięci. Nie zaszkodzi jednak przejrzeć ją jeszcze raz, musi być pewny, że kiedy po powrocie do Londynu spotka się z rodzicami uczniów, będzie umiał odpowiedzieć na wszystkie pytania szczerze i bez zająknięcia. Większość jego uczniów została zakwaterowana w mieście, dwoje u pastora na plebanii, jedno w gospodarstwie pod Milderhurst; Meredith, pomyślał, zerkając przez ramię na las kominów sterczących nad drzewami, wylądowała najdalej.

W zamku, jak głosił adres na jego liście. Miał nadzieję, że uda mu się obejrzeć budowlę w środku, może nawet zwiedzić. Jak dotąd mieszkańcy miasteczka byli dlań bardzo uprzejmi, zapraszali go do domów, częstowali herbatą i ciastem.

Zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie w kierunku istoty pływającej w stawie i uznał, że takie zaproszenie w tym miejscu jest wysoce nieprawdopodobne. Dziewczyna patrzyła w inną stronę, więc pozwolił sobie przyjrzeć się jej dokładniej. Było w niej coś niepokojącego, nie zwracała na niego uwagi, jakby zupełnie obojętna na jego urok. Czuł się przy niej pospolity, a nie przywykł do tego. Kiedy jednak usiadł w pewnym oddaleniu i poskromił nieco swoją dumę i próżność, mógł się spokojniej zastanowić, kim jest ta tajemnicza nieznajoma. Jakaś wyjątkowo gorliwa kobieta z Żeńskiej Służby Pomocniczej powiedziała mu, że zamek należy do pisarza Raymonda Blythe'a (*Prawdziwa historia Człowieka z Błota* – „no, na pewno pan ją czytał”), który jest już stary i schorowany, ale Meredith trafiła w dobre ręce jego córek, bliźniaczek i starych panien – idealnych kandydatek do opieki nad biednym, bezdomnym dzieckiem. Kobieta nie wspomniała o żadnej innej lokatorce zamku, doszedł więc do wniosku, o ile w ogóle się nad tym zastanawiał, że pan Blythe i jego bliźniaczki są jedynymi mieszkańcami zamku Milderhurst. Nie spodziewał się kogoś takiego jak to młode, niepojęte stworzenie, które z pewnością nie było starą panną. Nie wiadomo skąd i dlaczego, poczuł niespodziewanie pilną potrzebę, aby dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

Plusnęła w wodzie i Thomas odwrócił wzrok, potrząsnął głową i uśmiechnął się nad swą pożałowania godną arogancją. Znał siebie na tyle dobrze, by wiedzieć, że jego zainteresowanie dziewczyną jest odwrotnie proporcjonalne do jej zainteresowania nim. Jeszcze kiedy był dzieckiem, powodowała nim najbardziej bezsensowna motywacja – pragnienie, aby mieć dokładnie to, czego mieć nie mógł. Musi sobie dać spokój. To tylko dziewczyna, w dodatku ekscentryczka.

Usłyszał szelest i zza krzaków wypadł uroczy, złocisty labrador, który najwyraźniej ścigał własny wywieszony język. W ślad za nim wbiegła Meredith, a jej rozpromieniony uśmiech powiedział Thomasowi wszystko, co chciał wiedzieć o samopoczuciu dziewczynki. Tak się ucieszył na

swojski widok swojej uczennicy w okularach, że uśmiechnął się szeroko i wstając z leżaka, omal nie potknął się o własne nogi, tak się spieszył, aby ją przywitać.

– Cześć, dzieciaku. Jak leci?

Dziewczynka stanęła jak wryta i zamrugała zmieszana, widząc go w tak kompletnie niewłaściwym kontekście. Podczas gdy pies kręcił wokół niej kółka, a rumieńce na jej policzkach rozprzestrzeniły się aż na szyję, Meredith szurając tenisówkami, powiedziała:

– O, pan Cavill. Dzień dobry.

– Przyjechałem zobaczyć, co u ciebie słychać.

– Wszystko dobrze, proszę pana. Mieszkam w zamku.

Uśmiechnął się. Była miłym dzieckiem, trochę nieśmiałym, ale inteligentnym. Bystra, z doskonałym zmysłem obserwacji i darem dostrzegania niewidocznych szczegółów, które składały się w jej pracach na zaskakujące i oryginalne opisy. Niestety, żałośnie brakowało jej wiary w siebie i nietrudno się było domyślić powodu: jej rodzice popatrzyli na niego, jakby postradał rozum, kiedy rok czy dwa lata temu zasugerował, że mogłaby się starać o przyjęcie do szkoły średniej. Thomas jednak cały czas nad tym pracował.

– W zamku! Ależ z ciebie szczęściara. Nigdy w życiu nie byłem w prawdziwym zamku.

– Jest bardzo wielki i ciemny i dziwnie w nim pachnie błotem, i ma mnóstwo, mnóstwo schodów.

– Czy wchodziłaś już po wszystkich?

– Nie wchodziłam jeszcze na wieżę.

– Nie?

– Nie wolno mi tam wchodzić. Tam pracuje pan Blythe. Jest prawdziwym pisarzem.

– „Prawdziwym pisarzem”. Może udzieli ci kilku wskazówek, jeśli będziesz miała szczęście.

Wyciągnął rękę, żeby poklepać ją żartobliwie po ramieniu. Uśmiechnęła się nieśmiało, ale wyraźnie zadowolona.

– Może.

– Czy nadal prowadzisz dziennik?

– Codziennie. Mam dużo spraw do zapisania. – Zerknęła ukradkiem w stronę stawu i Thomas powędrował za jej wzrokiem.

Długie nogi unosiły się za dziewczyną na wodzie, kiedy trzymała się brzegu. Niespodziewanie wpadł mu do głowy cytat z Dostojewskiego: „Piękno jest straszną i tajemniczą rzeczą”. Odchrząknął.

– To dobrze – powiedział. – To doskonale. Im więcej ćwiczysz, tym lepiej będziesz pisać. Zawsze dawaj z siebie wszystko.

– Dobrze.

Uśmiechnął się i wskazał głową swój notes.

– Czy wobec tego mogę tu zaznaczyć, że jesteś zadowolona? Wszystko jest w porządku?

– O tak.

– Nie tęsknisz za bardzo za rodzicami?

– Piszę do nich listy – odrzekła Meredith. – Wiem, gdzie jest poczta, i już im wysłałam kartkę ze swoim nowym adresem. Najbliższa szkoła jest w Tenterden, ale jeździ stąd autobus.

– Twoja siostra i brat też mieszkają gdzieś niedaleko miasteczka, prawda?

Meredith skinęła na potwierdzenie. Thomas poklepał ją po włosach rozgrzanych od słońca na czubku głowy.

– Wszystko będzie dobrze, Meredith.

– Proszę pana...

– Słucham.

– Powinien pan zobaczyć bibliotekę w zamku. Mają tu cały pokój zastawiony książkami od podłogi po sufit.

Thomas uśmiechnął się promiennie.

– No, to czuję się z tego powodu znacznie lepiej.

– Ja też. – Wskazała głową dziewczynę w basenie. – Juniper powiedziała, że mogę przeczytać każdą, którą tylko zechcę.

Juniper. Ma na imię Juniper.

– Jestem już w połowie *Kobiety w bieli* i zamierzam potem przeczytać *Wichrowe Wzgórze*.

– Idziesz się wykąpać, Merry? – Juniper podpłynęła znów do brzegu i kiwała ręką na dziewczynkę. – Woda jest cudowna. Ciepła. Idealna. Błękitna.

Słyszając własne słowa w ustach dziewczyny, Thomas zadrżał na całym ciele. Obok niego Meredith potrząsnęła głową.

– Nie umiem pływać.

Juniper wyszła z wody, włożyła sukienkę przez głowę. Materiał przyklejał jej się do mokrych nóg.

– Będziemy musiały temu zaradzić. – Związała włosy w niedbały, potargany kucyk i przerzuciła go przez ramię. – Czy jeszcze coś, panie Cavill? – spytała Thomasa.

– No cóż, myślałem, że... – Nabrał powietrza, wziął się w garść i zaczął na nowo. – Może powinienem poznać innych członków rodziny?

– Nie – odparła Juniper bez mrugnięcia okiem. – To nie jest dobry pomysł.

Poczuł się nedorzecznie urażony.

– Moja siostra nie lubi obcych, zwłaszcza nieznanym mężczyznom.

– Ja nie jestem obcy, prawda, Meny?

Meredith się uśmiechnęła, ale Juniper nie.

– Proszę tego nie brać do siebie, to jej małe dziwactwo.

– Rozumiem.

Stała blisko niego, krople wody spływały jej na rzęsy, kiedy popatrzyła mu w oczy. W jej spojrzeniu nie zauważył nic poza obojętnością, a jednak krew zaczęła mu mocniej tętnić w żyłach.

– W takim razie...

– Tak.

– Jeśli to wszystko...

– Tak, to wszystko.

Uniosła brodę i przyglądała mu się przez chwilę, po czym skinęła głową. Ten krótki gest miał ostatecznie zakończyć ich spotkanie.

– Do widzenia, panie Cavill – powiedziała Meredith.

Uśmiechnął się i wyciągnął rękę, żeby uścisnąć jej dłoń.

– Trzymaj się, dzieciaku. Dbaj o siebie. I nie przestawaj pisać.

Patrzył, jak odchodzą w stronę zamku, a potem znikają w gąszczu zieleni. Długie, jasne włosy spływały dziewczynie na plecy, na łopatki, osadzone po obu stronach niczym drżące skrzydła. Otoczyła Meredith ramieniem i przytuliła ją lekko, a choć w tym samym momencie zniknęły

Thomasowi z oczu, zdawało mu się, że słyszy ich śmiech, kiedy wchodzi po schodach.

Ponad rok minie, zanim ją znowu spotka, przypadkiem, na ulicy w Londynie. Będzie wtedy innym człowiekiem, nieubłagane odmienionym, cichszym, mniej zuchwałym, pokiereszowanym jak miasto, które go otaczało. Przeżyje walki w Belgii, przewlecze się z ranną nogą przez Francję i przetrwa ewakuację z Dunkierki, będzie patrzył, jak towarzysze umierają na jego rękach, przeżyje atak czerwonki i dowie się, że chociaż John Keats miał rację, że tylko prawdziwe doświadczenie jest rzeczywiste, to są rzeczy, których lepiej nie poznać z pierwszej ręki.

Ten nowy Thomas Cavill pokocha w Juniper Blythe dokładnie to samo, co tamtego dnia nad stawem zrobiło na nim tak ekscentryczne wrażenie. W świecie poszarzałym od smutku i popiołu wyda mu się wspaniałą, nieuchwytną magią, która tak nie przystawała do rzeczywistości, zauroczy go i ocali. Jego własna namiętność przerazi go i wskrzesi, a desperacja, z jaką się zakocha, zadrwi z jego dawnych, zgrabnych marzeń o przyszłości.

Wtedy jednak o żadnej z tych rzeczy nie miał jeszcze pojęcia. Wiedział tylko, że może odhaczyć ostatnią uczennicę ze swojej listy, ponieważ Meredith Baker trafiła w dobre ręce, jest zadowolona i ma dobrą opiekę. Może wreszcie wrócić do Londynu i kontynuować naukę i realizować swoje życiowe plany. I chociaż jeszcze całkiem nie wysechł, zaplątał koszulę, przykucnął, aby zawiązać sznurowadła i pogwizdując, odwrócił się od stawu z liśćmi lilii podskakującymi jeszcze na zmarszczkach wody, które pozostawiła po sobie dziwna dziewczyna o niesamowitych oczach. Ruszył wzdłuż płytkiego strumienia, który miał go doprowadzić do drogi, oddalając od Juniper Blythe i zamku Milderhurst, aby nigdy więcej – tak przynajmniej sądził – ich nie zobaczyć.

2.

Och, nic już od tej pory nie będzie takie samo! Żadna z niezliczonych ksiązek, które przeczytała, nic, co pojawiało się w jej wyobraźni i snach, nie mogło przygotować Juniper Blythe na spotkanie z Thomasem Cavilem. Kiedy go w pierwszej chwili zobaczyła, kiedy z daleka mignęła jej sylwetka pływająca w stawie, doszła do wniosku, że to ona sama go wyczarowała. Minęło sporo czasu, od kiedy ostatnio nawiedzali ją „goście”, nie słyszała też w głowie żadnego dudnienia, żadnego dziwnego oceanu szumiącego jej ostrzegawczo w uszach, lecz znajomy, nienaturalny blask słońca mieniącego się na powierzchni wody nadał całej scenie nierealności. Wpatrywała się w baldachim utworzony przez korony drzew i gdy liście na najwyższych gałęziach poruszyły się na wietrze, zdawało się, że płatki złota opadają na ziemię.

Usiadła na huśtawce, ponieważ był to najbezpieczniejszy sposób, kiedy zjawiali się „goście”. „Usiądź spokojnie, ściśnij w dłoni coś twardego i poczekaj, aż wszystko minie”. Te trzy złote zasady wymyśliła dla niej Saffy, kiedy Juniper była mała. Podniosła ją, posadziła na stole kuchennym, żeby jej opatrzyć stłuczone kolano, i powiedziała łagodnie, że „goście”, którzy ją odwiedzają, są darem, tak jak powiedział tata, mimo to musi się nauczyć ostrożności.

– Ale ja lubię się z nimi bawić – odparła wtedy Juniper. – To są moi przyjaciele. Opowiadają mi takie ciekawe historie.

– Wiem, kochanie, to naprawdę cudownie. Proszę cię tylko, abys pamiętała, że nie jesteś jedną z nich. Jesteś dziewczynką z krwi i kości

i masz dwie starsze siostry, które bardzo chcą zobaczyć, jak stajesz się dorosła.

- I mam tatusia.
- I tatusia oczywiście.
- Ale mamusi nie mam.
- Nie.
- I szczeniaczka.
- Tak, Emersona.
- I plaster na kolanie.

Saffy wybuchła śmiechem i przytuliła ją z całej siły. Jej uścisk pachniał talkiem, jaśminem i atramentem. Potem postawiła ją z powrotem na podłodze, a Juniper starannie omijała wzrokiem postać na szybie okiennej, która gestem zachęcała ją do zabawy na dworze.

■

Juniper nie wiedziała, skąd przychodzą „goście”. Pamiętała tylko, że w jej najwcześniejszych wspomnieniach wokół kołyski stały postaci spowite strumieniami światła. Kiedy miała trzy latka, zorientowała się, że inni ich nie widzą. Nazywano ją szaloną i nawiedzoną, niebezpieczną albo utalentowaną. Odprawiła całe rzesze niań, ponieważ nie chciały zaakceptować jej wyimaginowanych przyjaciół.

– Oni wcale nie są wyimaginowani – tłumaczyła Juniper najrozsądniej, jak umiała.

Wyglądało jednak na to, że w Anglii nie ma niań, które gotowe byłyby pogodzić się z takim zapewnieniem. Jedna po drugiej kobiety pakowały walizki, a następnie żądały spotkania z tatą. W swojej kryjówce w kamiennych naczyniach krwionośnych zamku Juniper chroniła się przed całą litanią nowych epitetów: „Jest impertynencka”, „krnąbrna”, a raz nawet: „opętana!”.

Każdy miał swoją teorię na temat „gości”. Doktor Finley uważał ich za „tkanki pragnień i potrzeby poznawczej”, projekcje jej własnego umysłu powiązane w jakiś sposób z jej wadliwie działającym sercem. Doktor Heinstejn oznajmił, że są to objawy psychozy, przepisał całą masę lekarstw i obiecał, że tabletki położą temu kres. Tata twierdził, że jego córka słyszy głosy przodków i że została wybrana. Saffy zapewniała

ją, że jest doskonała właśnie taka, jaka jest, a Percy w ogóle nie poświęcała tej sprawie zbyt wiele uwagi; stwierdziła, że każdy ma prawo do odmienności, i czemu, na litość boską, ludzie koniecznie muszą wszystko szufladkować, przyczepiać innym etykiety „normalny” albo „nie-normalny”?

✕

W każdym razie Juniper usiadła na huśtawce nie tylko dlatego, że tak było najbezpieczniej. Zrobiła to, ponieważ miała stąd najlepszy widok na zjawę w basenie. Zzerała ją ciekawość, a on był taki wspaniały. Ta gładka skóra, ramiona, te mięśnie wznoszące się i opadające na gołym torsie, kiedy oddychał. Jeśli sama go wymyśliła, to należała jej się pochwała za kawał świetnej roboty. Był egzotyczny i piękny, pragnęła się nań napatrzeć, zanim znów na jej oczach zamieni się w cętkowane smugi światła i liści.

Jednak nic takiego się nie stało. Kiedy siedziała z głową opartą o linę huśtawki, otworzył oczy i ich spojrzenia się spotkały, a on zaczął mówić. Juniper najbardziej by chciała, żeby zamknął z powrotem oczy i unosił się dalej na migoczącej wodzie, aby mogła go podglądać, patrzeć na promienie słońca tańczące na jego długich nogach, na jego przystojną twarz, i wczuć się w dziwne, nieznanne odczucie, jakby głęboko w jej podbrzuszu ktoś pociągał za sznurek.

Nie знаła dotąd zbyt wielu mężczyzn. Był oczywiście tata, ale on się nie liczył, jej ojciec chrzestny Stephen, kilku starych ogrodników pracujących od dawna w majątku i Davies, który pielęgnował daimlera.

Ale to było co innego.

Próbowała nie zwracać na niego uwagi w nadziei, że może to zrozumie i przestanie ją zagadywać, ale on się uparł. Powiedział, że nazywa się Thomas Cavill, co ją zdziwiło, bo „goście” zwykle nie mieli imion.

Wskoczyła do wody, a wtedy on szybko wyszedł na brzeg. Dopiero kiedy stanął na trawie, zauważyła, że na słońcu leżało ubranie. To było doprawdy bardzo dziwne.

A potem zdarzyła się najdziwniejsza rzecz ze wszystkich: przyszła Meredith, którą Saffy wypuściła w końcu ze szwalni, i zaczęła z nim rozmawiać.

Obserwując ich z basenu, Juniper niemal nie utopiła się z wrażenia, bo jedna rzecz była pewna: żaden inny człowiek nie widział jej „gości”.

✠

Juniper mieszkała w Milderhurst przez całe życie. Urodziła się w pokoju na drugim piętrze, tak jak jej siostry, a przed nimi ich ojciec. Zamek i jego lasy były jedynym światem, jaki знаła. Czuła się tu bezpieczna i kochana, tu zaspokajano wszystkie jej zachcianki. Czytała, pisała, grała i marzyła. Nie oczekiwano od niej niczego więcej poza tym, aby była dokładnie tym, kim była.

– Jesteś duszkiem tego zamku – powiedział jej kiedyś tata. – Jesteśmy tacy sami, ty i ja.

I przez jakiś czas ta definicja całkowicie jej wystarczała.

Potem jednak sytuacja zaczęła się zmieniać, choć Juniper nie całkiem potrafiła wyjaśnić, co się właściwie z nią działo. Czasami budziła się w środku nocy i czuła głębokie, niewytłumaczalne szarpanie w duszy, pragnienie silne jak głód. Dręczyły ją niezadowolenie, tęsknota, głęboka, ziejąca pustka, lecz nie miała pojęcia, jak je zaspokoić. Chodziła, biegała i pisała jak szalona. Słowa, dźwięki rozsadały jej czaszkę, domagały się ujścia, z ulgą więc przelewała je na papier. Nigdy nie cierpiała mąk twórczych, nigdy nie zastanawiała się nad tym, co pisze, nigdy nie czytała tego, co już napisała, wystarczyło, że wypuściła na wolność te słowa, aby głosy w jej głowie wreszcie ucichły.

Wtedy pewnego dnia jakaś siła zawiodła ją do miasta. Rzadko jeździła samochodem, lecz wtedy wyprowadziła daimlera z garażu i pojechała na High Street. Jakby we śnie, niczym postać z nieznanej opowieści, zaparkowała przed ratuszem i znikła w środku. Jedna z kobiet coś do niej mówiła, lecz Juniper zobaczyła już Meredith.

Później Saffy zapytała ją, czym się kierowała, wybierając akurat ją, a Juniper odrzekła:

– Nie wybrałam jej.

– Nie lubię się spierać, aniołku, ale jestem całkiem pewna, że to ty ją przywiozłaś do domu.

– Tak, oczywiście, ale jej nie wybierałam. Po prostu wiedziałam, że mam to zrobić.

Juniper nigdy przedtem nie miała przyjaciółki. Ludzie, którzy odwiedzali zamek, napuszeni znajomi taty, sprawiali wrażenie, jakby nabierali więcej powietrza, niż powinni. Przytłaczali otoczenie swoją fanfaronadą, pozami i nieprzerwaną paplaniną. Meredith była inna. Widziała świat po swojemu. Uwielbiała książki, lecz bardzo mało ich w życiu czytała. Jej przenikliwego daru obserwacji, myśli i odczuć nie deformowały słowa napisane przez innych ludzi. Miała rzadką umiejętność widzenia świata i wysławiania się w sposób, który Juniper całkowicie zaskakiwał, rozśmieszał, a nierzadko prowokował do przemyśleń i spojrzenia na rzeczy zupełnie innymi oczami.

Co najważniejsze zaś, Meredith przyjechała wypełniona po brzegi opowieściami o innym świecie, świecie poza murami zamku. Jej pojawienie się uczyniło mały wyłom w zamkniętej rzeczywistości Milderhurst, otworzyło maleńkie, jasne okienko, do którego Juniper mogła przyłożyć oko i zobaczyć, co leży po drugiej stronie.



A teraz popatrzcie tylko, kogo z sobą przywiozła! Prawdziwego mężczyznę z krwi i kości. W stawie pojawił się młody człowiek stamtąd, z prawdziwego świata. Przez zasłonę przedarło się światło, drugi, jaśniejszy promień, który powiększył szczelinę uchyloną przez Meredith, i teraz już Juniper nie miała wątpliwości, że musi zobaczyć więcej.

Mężczyzna chciał zostać, chciał iść z nimi do zamku, lecz Juniper się nie zgodziła. Zamek był nieodpowiednim miejscem. Pragnęła na niego patrzeć, obserwować jak kot – uważnie, powoli, niezauważenie muskać wzrokiem jego skórę. Jeśli nie mogła tego zrobić na swoich warunkach, wołała nie robić tego w ogóle. W ten sposób ich spotkanie pozostanie cichą, słoneczną chwilą, powiewem wiatru na jej policzku, ciepłą wodą w stawie i nowym, nieznanym uczuciem w podbrzuszu.

Odszedł. Juniper otoczyła Meredith ramieniem i śmiała się, kiedy wracały w stronę zamku. Żartowała ze zwyczaju Saffy wbijania szpilek w nogi podczas zdejmowania miary; pokazywała starą, nieczynną fontannę, zatrzymała się nawet, aby spojrzeć na zieloną, nadąsaną wodę i ważki wiszące nieruchomo nad brzegiem.

Jednak jej myśli pozostały w tyle, podążały za młodym mężczyzną jak nić pajęcza, kiedy szedł w stronę drogi.

Przypieszyła kroku. Było gorąco, tak gorąco, że jej włosy zdążyły prawie wyschnąć i przyklejały się do twarzy. Czuła się dziwnie ożywiona. Na pewno Meredith słyszy, jak jej serce wali, jak jej tłucze się i uderza o zebra.

– Mam wspaniały pomysł – powiedziała. – Zastanawiałas się kiedyś, jak wygląda Francja?

Wzięła swoją małą przyjaciółkę za rękę i razem pobiegły po schodach, przez krzaki dzikiej róży, w tunelu między niskimi koronami drzew. „Przemykające” – wpadło jej do głowy słowo i poczuła się dzięki niemu lekko, jak jelonek. Szybciej, szybciej. Śmiały się obie, wiatr targał ją za włosy, a stopy radowały się na spieczonej, twardej ziemi. Wreszcie dobiegły do wejścia, potykając się, wpadły zdyszane po schodach przez drzwi werandy i wreszcie ogarnęła je chłodna cisza biblioteki.

– To ty, June?

Saffy siedziała przy swoim biurku. Droga Safiy podniosła wzrok znad maszyny do pisania jak zawsze trochę zdziwiona, jakby ją przyłapano śpiącą na płatkach róży pośród kropel rosy i rzeczywistość spletała jej niemiłego figła.

Czy sprawiło to słońce, basen, spotkanie z mężczyzną, a może czyste, błękitne niebo, w każdym razie Juniper nie mogła się oprzeć, żeby nie ucałować siostry w czubek głowy.

Saffy uśmiechnęła się rozpromieniona.

– Czy Meredith... a tak, już tam była. To dobrze. Widzę, że pływałaś, uważaj, żeby tata...

Jednak nim zdążyła dokończyć ostrzeżenie, Juniper i Meredith znikły.

Pomknęły wysokimi korytarzami z piaskowca, potem po wąskich schodach, aż wreszcie wpadły na poddasze na samym szczycie zamku. Juniper podbiegła do okna, wdrapała się na biblioteczkę i przerzuciła nogi na drugą stronę parapetu.

– Chodź – zaprosiła Meredith, która stała niepewnie przy drzwiach z dziwnym wyrazem twarzy. – Pospiesz się.

Meredith westchnęła z wahaniem, poprawiła okulary i ruszyła za Juniper. Powoli przeszły po krawędzi dachu do szczytu, który wskazywał południe niczym dziób statku.

– O tam, widzisz? – spytała Juniper, kiedy siedziały obok siebie nad okapem. Wskazała ręką bazgrały na dalekim, południowym horyzoncie. – Mówiłam ci. Tylko tyle nas dzieli od Francji.

– Naprawdę? Tylko tyle?

Juniper skinęła głową, ale przestała już zwracać uwagę na linię wybrzeża, a zamiast tego, mrużąc oczy, popatrzyła na długi łąn wysokiej, poźółkłej trawy porastającej brzeg lasu Cardarker. Przeszukiwała go wzrokiem, licząc, że choć na chwilę, ostatni raz mignie tam jego postać...

Drgnęła. Zobaczyła maleńką sylwetkę przechodzącą przez łąkę przy pierwszym mostku. Zawinął rękawy do łokci i wyciągając ręce na boki, muskał czubki wysokiej trawy. Nagle się zatrzymał, wygiął ramiona do tyłu i oparł je o głowę. Wyglądał, jakby obejmował niebo. Nagle odwrócił się i popatrzył na zamek. Wstrzymała oddech, zastanawiała się, jak to możliwe, by życie tak się zmieniło w ciągu pół godziny, kiedy wszystko dookoła najwyraźniej pozostało takie jak dawniej.

– Zamek nosi spódniczkę.

Meredith pokazywała palcem ziemię.

Znowu ruszył, a potem zniknął między fałdami pagórków. Prześliznął się przez szczelinę w zasłonie Milderhurst i rozplynął po drugiej stronie świata. Powietrze wokół zamku to wyczuło.

– Popatrz – powiedziała Meredith. – Tam na dole.

Juniper wyciągnęła z kieszeni papierosy.

– Kiedyś tam była fosa. Tata kazał ją zasypać, kiedy zginęła jego pierwsza żona. W stawie też nie wolno nam pływać. – Uśmiechnęła się, widząc niepokój na twarzy dziewczynki. – Nie martw się, mała Merry, nikt się nie będzie złościł, kiedy nauczę cię pływać. Tata nie wychodzi z gabinetu w wieży, nawet się nie dowie, że się kąpiemy. Poza tym to zbrodnia nie popływać w taki piękny dzień.

Ciepły, idealny, błękitny.

Zapałiła zapalniczkę. Zaciągając się głęboko, oparła się o spadzisty daszek i mrużąc oczy, popatrzyła na czyste niebieskie niebo. Kopułę jej świata. Do głowy przyszły jej słowa, ale nie jej własne.

*Biedna i stara, wybiorę siedlisko
Na uschłym drzewie, i tam płakać będę
Po stracie, której nie znajdę już nigdy,
Póki nie pójdę za nią w świat szczęśliwszy*.*

* Zimowa opowieść, akt 5, scena 3. Przekład Leon Ulrich. W: William Shakespeare, Dzieła dramatyczne, PIW, Warszawa 1980.

To śmieszne. Wręcz absurdalne. Ten człowiek nie był dla niej nikim, kogo mogłaby opłakiwać.

– Spodobał ci się pan Cavill?

Serce podskoczyło Juniper w piersi, gorąco uderzyło jej do głowy. Meredith ją zdemaskowała! Odkryła jej sekretne myśli. Zasłoniła dłonią usta i zakasłała, aby zyskać na czasie. Kiedy chowała zapalki z powrotem do kieszeni, Meredith dodała:

– Mnie się podoba.

Nawet bardzo, pomyślała Juniper, widząc rumieńce, które załały policzki dziewczynki. Miotła się rozdarta pomiędzy ulgę, że jej własne myśli nie zostały odkryte, a dziką, druzgocącą zazdrość, że ktoś czuje to samo co ona. Popatrzyła na przyjaciółkę i zazdrość rozwiąła się równie szybko, jak zapłonęła. Zdobyła się na nonszalancję.

– Co ci się w nim podoba?

Z początku Meredith nie odpowiadała. Pałac papierosa, Juniper patrzyła na miejsce, gdzie przed chwilą Thomas Cavill przeszedł przez szczelinę w zasłonie Milderhurst.

– Jest bardzo mądry – odpowiedziała w końcu dziewczynka. – I przystojny. I dobry, nawet dla ludzi, z którymi trudno żyć. Ma niedorozwiniętego brata, który jest duży, a zachowuje się jak dziecko, płacze z byle powodu i czasami krzyczy na ulicy. Ale szkoda, że nie widziałas, jaki cierpliwy i łagodny jest dla niego pan Cavill. Gdybyś ich razem zobaczyła, pomyślałabyś, że nigdy w życiu się tak dobrze nie bawił i wcale nie robi tego na pokaz, jak czasami niektórzy, kiedy ktoś ich obserwuje. Jest najlepszym nauczycielem, jakiego miałam. Dał mi w prezencie dziennik w skórzanych okładkach. Powiedział, że gdybym chciała, mogłabym się dalej uczyć, może nawet iść do szkoły średniej i na uniwersytet i pewnego dnia umiałabym naprawdę dobrze pisać: książki albo wiersze, albo artykuły do gazet. – Przerwała i wzięła oddech. – Nikt

przedtem nie uważał, że jestem w czymś dobra. Juniper pochyliła się i trąciła Meredith ramieniem.

– Ależ, Merry, nie mów głupstw – zbesztła ją. – Pan Cavill ma rację, jesteś dobra w bardzo wielu rzeczach. Znam cię dopiero od kilku dni, a już sama to zauważyłam...

Zakasała w rękę, ponieważ nie mogła dalej mówić. Kiedy słuchała, jak Meredith opisuje swego nauczyciela, jego dobroć i troskliwość, a potem opowiada o swoich marzeniach, ogarnęło ją dziwne, nieznane uczucie. W jej piersi narastało gorąco, aż nie potrafiła go już dłużej powstrzymać, i zaczęło się rozprzestrzeniać pod skórą jak gęsty, ciepły syrop. Kiedy doszło do oczu, zapiekły ją boleśnie i mało brakowało, aby dziwny ogień zamienił się we łzy. Obudziła się w niej niespotykana tkliwość i jakiś instynkt opiekuńczy, a jednocześnie sama poczuła się krucha i bezbronna, i kiedy na ustach dziewczynki zobaczyła załazek pełnego nadziei uśmiechu, nie mogła się powstrzymać, żeby nie objąć jej ramionami i przytulić z całej siły. Dziewczynka zeszywniała i złapała się gontu.

– O co chodzi? Co się stało?

– Nic, tylko boję się wysokości.

– Och, nic nie powiedziałaś!

Meredith wzruszyła ramionami.

– Wielu rzeczy się boję.

– Naprawdę?

Kiwnęła głową.

– Myślę, że to całkiem naturalne.

– A ty się boisz?

– Oczywiście. Kto się nie boi?

– Czego?

Juniper przechyliła głowę, zaciągnęła się głęboko papierosem.

– Nie wiem.

– Nie boisz się duchów i różnych strasznych rzeczy w zamku?

– Nie.

– A wysokości?

– Nie.

– Utonięcia?

– Nie.

- Tego, że będziesz całe życie sama i nikt cię nie pokocha?
- Nie.
- A robienia przez całe życie czegoś, czego nie znosisz?

Juniper się skrzywiła.

- Hmm... nie.

Meredith sprawiała wrażenie takiej przybitej, że w końcu Juniper powiedziała:

- Jest jedna rzecz.

Serce zaczęło jej walić, chociaż nie zamierzała zwierzać się dziewczynce ze swojego najmroczniejszego lęku. Nie miała doświadczenia w przyjaźni, ale coś jej mówiło, że nie byłoby wskazane mówić dopiero co poznanej i lubianej koleżance, że się boi samej siebie i tego, że jest zdolna do przemocy. Znów się zaciągnęła i przypomniała sobie dziką pasję i gniew, który rozrywał ją od środka. To, jak do niego podbiegła, jak bez chwili namysłu chwyciła łopatę i...

...obudziła się w łóżku. Obok niej stała Saffy, a Percy przy oknie. Saffy się uśmiechała, lecz był taki moment, zanim zobaczyła, że Juniper już nie śpi, kiedy na jej twarzy malowało się zupełnie co innego. Wyras udręki, zaciśnięte usta zadawały kłam późniejszym zapewnieniom, że wszystko jest w porządku. Że nic niezwykłego się nie wydarzyło. Ależ oczywiście, że nie, aniołku! Zwykły epizod utraconego czasu, tak jak nieraz ci się zdarzało.

Ukrywali to przed nią z miłości. Z początku im uwierzyła, nie bez wątpliwości i z nadzieją, ale naturalnie, że uwierzyła. W końcu czemu mieliby kłamać? Już wcześniej zdarzały jej się zaniki pamięci. Czemu tym razem miałyby być inaczej?

Ale było. Dowiedziała się, co przed nią ukrywali. Do tej pory nie domyślali się, że to odkryła. W gruncie rzeczy to był czysty przypadek. Pani Simpson przyszła się spotkać z tatą, a Juniper spacerowała nad potokiem niedaleko mostka. Kiedy kobieta ją zobaczyła, przechyliła się przez balustradę i wycelowała w nią drżącym palcem.

- To ty! – zawołała.

Juniper nie rozumiała, o co jej chodzi.

– Ty dzikusko! Jesteś niebezpieczna dla ludzi. Powinni cię zamknąć za to, co zrobiłaś!

Juniper stała oszołomiona.

– Mojemu chłopcu założyli trzydzieści szwów! Trzydzieści! Jesteś jak zwierzę!

Jestem jak zwierzę.

To podziało jak mechanizm spustowy. Wzdrygnęła się i coś drgnęło w pamięci. Na powierzchnię wypłynęły postrzępione fragmenty wspomnień. Zwierzę – Emerson – płacz z bólu.

Chociaż starała się ze wszystkich sił, zmuszała umysł do koncentracji, niczego więcej nie mogła sobie przypomnieć. Cała reszta pozostała ukryta w ciemnych zakamarkach jej umysłu. Przeklęty, wynaturzony umysł! Jakże nim gardziła. Oddałaby wszystko bez mrugnienia okiem – pisanie, upajające przyływy natchnienia, radość z zamknięcia w słowach nieuchwytny myśli. Oddałaby nawet gości, gdyby w zamian mogła odzyskać wszystkie swoje wspomnienia. Próbowwała wyciągnąć coś z siostr, nawet je błagała, ale niczego nie wskórała. W końcu poszła do taty. W wieży zamkowej powiedział jej całą resztę: co Billy Simpson zrobił biednemu, staremu Emersonowi, który chciał się powyrzekać na słońcu pod rododendronem, i co ona potem zrobiła Billy'emu Simpsonowi. Na koniec oznajmił, że nie musi się martwić. To nie była jej wina.

– Ten chłopak to kawał łobuza, zasłużył sobie na to. – Uśmiechnął się, lecz w jego oczach czaił się ten sam nawiedzony wyraz udreki. – Takich ludzi jak ty, Juniper, jak my – powiedział – nie obowiązują zwykłe zasady.

✘

– No więc? – spytała Meredith. – Co to jest? Czego się boisz?

– Boję się – zaczęła Juniper, wpatrując się w ciemną ścianę lasu Cardarker – że stanę się taka jak mój tata.

– Co to znaczy?

Nie dało się tego wyjaśnić, nie potrafiła wytłumaczyć tego Meredith w taki sposób, aby nie składać na barki dziewczynki ciężaru rzeczy, o których nie powinna wiedzieć. Strach, który ścisnął jej serce jak żelazna obręcz, przerażenie, że dopełni swoich dni jako stara, obłąkana kobieta, snująca się po zamkowych korytarzach, tonąca w morzu papierów i kuląca się ze strachu przed stworami, które wyszły spod jej pióra.

Wzruszyła ramionami, aby zbagatelizować ciężar wyznania.

- No wiesz, że nigdy nie ucieknę z tego miejsca.
- Czemu chciałaś stąd wyjechać?
- Duszę się tu z siostrami.
- Moja siostra chętnie udusiłaby mnie gołymi rękami. Juniper z uśmiechem strzepnęła popiół do rynny.
- Mówię poważnie. Nienawidzi mnie.
- Dlaczego?
- Bo jestem inna. Bo nie chcę być taka jak ona, chociaż wszyscy tego oczekują.

Juniper zaciągnęła się papierosem. Przekrzywiła głowę i patrzyła na świat po drugiej stronie zasłony.

- Jak człowiek może uciec od swojego przeznaczenia, Merry? Oto jest pytanie.

Nastąpiła cisza, a potem odezwał się cichy, rzeczowy głosik:

- Myślę, że zawsze można wsiąść do pociągu.

W pierwszej chwili Juniper sądziła, że się przestęszala. Zerknęła na Meredith, ale dziewczynka była śmiertelnie poważna.

- To znaczy są też autobusy, ale myślę, że pociąg byłby szybszy. I mniej trzęsie.

Juniper nie mogła się powstrzymać. Wybuchnęła głośnym, serdecznym śmiechem.

Meredith uśmiechnęła się niepewnie, a Juniper uściskała ją z całego serca.

- Och, Merry – powiedziała. – Wiesz, że jesteś naprawdę doskonała?

Dziewczynka się rozpromieniła. Położyły się na dachu i patrzyły, jak słońce powleka niebo popołudniową powłoką.

- Opowiedz mi coś, Merry.
- Co mam ci opowiedzieć?
- Opowiedz mi o swoim Londynie.

Ogłoszenia o wynajmie mieszkań

1992 r

Kiedy wróciłam do domu po wizycie u Theo Cavilla, tata już na mnie czekał. Nawet nie zdążyłam zamknąć za sobą drzwi, kiedy w jego pokoju zagrzmiął dzwonek. Poszłam prosto na górę. Siedział oparty na poduszkach, z herbatą, którą mama przyniosła mu po obiedzie, i udawał zdziwienie.

– O, Edie – powiedział, zerkając na zegar ścienny. – Nie spodziewałem się ciebie. Zupełnie straciłem poczucie czasu.

To oczywiście było nieprawdą. Na kocu obok niego leżał *Człowiek z Błota*, a na kolanach rozłożony kołonośnik. Powietrze aż gęste było od rozmyślań o tajemnicach Milderhurst, a moje podejrzenia potwierdziło łakome spojrzenie, jakim pożerał wydruki wystające z mojej torby. Sama nie wiem, czemu wstał we mnie diabeł. Ziewnęłam szeroko, poklepując się po ustach i nie spiesząc się, podeszłam do fotela stojącego po drugiej stronie łóżka. Rozsiałam się wygodnie i uśmiechnęłam, a wtedy tata wreszcie nie wytrzymał.

– Pewnie nie poszczęściło ci się w bibliotece? W sprawie tych porwań w Milderhurst?

– Ach, oczywiście – powiedziałam. – Byłabym zapomniała...

Wyjęłam z torebki plik papierów i wybrałam z nich artykuły o porwaniach. Zaczął je przeglądać tak chciwie, że wstyd mi się zrobiło za moje okrucieństwo. Lekarze uprzedzali nas o niebezpieczeństwie depresji u pacjentów po zawale serca, szczególnie takich jak mój tata, którzy zawsze żyli aktywnie i już samo przejście na emeryturę było dla nich ciężkim przeżyciem. Jeśli tata widział swoją przyszłość w roli detektywa literackiego, to nie powinnam go od tego pomysłu odwozić.

I nieważne, że *Człowiek z Błota* był pierwszą książką, jaką przeczytał od czterdziestu lat. Mimo wszystko był to lepszy cel w życiu niż naprawianie w nieskończoność urządzeń, które się nie popsuły. Obiecałam sobie poprawę.

– Znalazłeś coś ciekawego?

Zauważyłam, że jego początkowy zapal ostygł i mina mu nieco zrzedła.

– Nie ma tu niczego o Milderhurst.

– Niestety, obawiam się, że nie znalazłam niczego konkretnego.

– Byłem pewien, że na coś trafimy.

– Przykro mi, tatusiu. Robiłam, co w mojej mocy.

Uśmiechnął się dzielnie.

– To nie twoja wina, Edie. Poza tym nie wolno się tak łatwo zniechęcać. Musimy rozpatrzeć tę sprawę w wielu aspektach. – Postukał się długopisem w brodę. – Przez całe popołudnie przeglądałem tę twoją książkę o Milderhurst i jestem prawie pewien, że to ma jakiś związek z fosą. Znalazłem tam informację, że Raymond Blythe kazał ją zasypać tuż przed napisaniem *Człowieka z Błota*.

Skinęłam głową z całym przekonaniem, na jakie mogłam się zdobyć, i postanowiłam nie wspominać mu o śmierci Muriel Blythe.

– No widzisz! – zawołał radośnie. – To musi coś znaczyć.

I to dziecko przy oknie, wykradzione, kiedy rodzice spali. Wszystko tam jest, tylko muszę odpowiednio połączyć z sobą fakty.

Wrócił do artykułów i zaczął je czytać powoli, a od czasu do czasu notował coś szybko w kołonotatniku. Usiłowałam się skoncentrować, ale nie było to łatwe, kiedy po głowie chodziła mi prawdziwa zagadka Milderhurst. W końcu zaczęłam się gapić przez okno na zapadający zmierzch. Rogalik księżycy świecił wysoko, a po jego powierzchni przepływały cienkie smugi chmur. Moje myśli krążyły wokół Theo i jego brata, który rozplynał się w powietrzu pięćdziesiąt lat temu, w dniu, w którym nie zjawił się w zamku panien Blythe. Rozpoczęłam poszukiwania Thomasa Cavilla w nadziei, że znajdę coś, co pomoże mi zrozumieć szaleństwo Juniper, lecz po spotkaniu z Theo spojrzalam na jego brata innymi oczami – przestałam w nim widzieć oszusta, a zaczęłam dostrzegać człowieka, którego niesłusznie podejrzewano o zdradę i dezercję.

– Nie słuchasz mnie.

Odwróciłam się od okna. Tata patrzył na mnie znad okularów karzącym wzrokiem.

– Właśnie przedstawiałem ci bardzo rozsądną teorię, Edie, a ty nie słyszałaś ani słowa.

– Słyszałam: fosa, dzieci... – Skrzywiłam się i zaryzykowałam: – Łodzie?

Tata prychnął z oburzeniem.

– Jesteś taka sama jak twoja matka. Obie chodzicie ostatnio beznadziejnie rozkojarzone.

– Nie wiem, o czym mówisz, tato. Proszę – oparłam łokcie na kolanach i czekałam – zamieniam się w słuch. Jaką masz teorię?

Rozgoryczenie taty nie wytrzymało próby sił z jego entuzjazmem i szybko wrócił do tematu.

– Zastanawia mnie ten reportaż. Niewyjaśnione porwanie chłopca w rezydencji niedaleko Milderhurst. W sypialni dziecka znaleziono otwarte okno, chociaż niania twierdzi, że sprawdzała je, kiedy kładła dzieci spać, a ślady na ziemi świadczyły, że przystawiono tam drabinę. To było w tysiąc osiemset siedemdziesiątym drugim roku, więc Raymond miał wtedy sześć lat. Takie wydarzenie mogło wywołać uraz u sześciolatniego dziecka, nie sądzisz?

Na pewno nie było to niemożliwe.

– Brzmi przekonująco.

– A teraz rozstrzygający fakt: zwłoki chłopca znaleziono po szeroko zakrojonych poszukiwaniach... – uśmiechnął się od ucha do ucha i zawiesił głos, aby przedłużyć suspens – na dnie mulistego jeziora na terenie posiadłości. – Patrzył na mnie badawczo, a jego uśmiech nieco osłabł. – O co chodzi? Czemu tak dziwnie wyglądasz?

– Bo... bo to okropne. Biedne maleństwo. I co musiała przeżywać jego rodzina!

– Oczywiście, ale to było sto lat temu, wszyscy już teraz nie żyją. Poza tym właśnie o tym mówię: to musiało być okropne przeżycie dla małego chłopca mieszkającego w zamku niedaleko stamtąd. Na pewno słyszałaś, jak dorośli rozmawiają o tej tragedii.

Przypomniałam sobie mocne zamki w oknach dziecinnego pokoju w Milderhurst i Percy Blythe, która mówiła, że Raymond miał bzika na punkcie zabezpieczeń i że to skutek czegoś, co się wydarzyło, kiedy był dzieckiem. Szczerze mówiąc, tata całkiem dobrze dedukował.

– Na pewno.

Zmarszczył brwi.

– Nadal jednak nie wiem, jak ciało małego chłopca znalezione w mule mogło się zamienić w mężczyznę żyjącego na dnie fosy. Ani jak to możliwe, że opis człowieka wyłaniającego się z bagna jest taki realistyczny...

Rozległo się ciche pukanie do drzwi, oboje podnieśliśmy głowy i zobaczyliśmy w progu mamę.

– Nie chcę wam przeszkadzać. Przyszłam tylko sprawdzić, czy wypić już herbatę.

– Dziękuję, kochanie.

Wyciągnął rękę z filiżanką, lecz mama zawahała się przez moment, zanim podeszła, żeby ją zabrać.

– Widzę, że jesteście bardzo zajęci.

Udała, że jej uwagę pochłonęła kropla herbaty spływająca po zewnętrznej ścianie porcelany. Wytarła ją palcem i starała się za wszelką cenę na mnie nie patrzeć.

– Pracujemy nad pewną teorią – odparł tata, puszczając do mnie oko w błogiej nieświadomości, że przez jego pokój przetoczył się front zimnej wojny.

– Więc pewnie wam to trochę zajmie. Pójdę się położyć, to był męczący dzień. Dobranoc. – Pocałowała tatę w policzek, skinęła w moim kierunku głową, nie patrząc mi w oczy. – Dobranoc, Edie.

– Dobranoc, mamó.

Boże, jakie chłodne były nasze stosunki! Nie patrzyłam, kiedy wychodziła, udając, że z wielkim zaciekawieniem przeglądam wycinki na kolanach. Przypadkiem był to złączony zszywaczem plik artykułów na temat instytutu w Pembroke wygrzebany dla mnie przez panią Yeats. Rzuciłam okiem na wprowadzenie, w którym zarysowano historię instytucji: założył ją w 1907 roku niejaki Oliver Sykes. Nazwisko brzmiało mi znajomo, wysiliłam pamięć, aż w końcu przypomniałam sobie, że był to architekt, który zaprojektował okrągły basen w Milderhurst. Wszystko

się zgadzało – jeśli Raymond Blythe zamierzał zostawić pieniądze w spadku działaczom na rzecz ochrony przyrody, musieli to być ludzie, których miał powód podziwiać, ergo, zatrudniał ich do pracy w swym ukochanym majątku... trzasnęły drzwi do pokoju mamy, a ja odetchnęłam z ulgą. Odłożyłam papiery i starałam się zachowywać, jakby nic się nie stało.

– Wiesz, tato, myślę, że możesz być na dobrym tropie z tym chłopcem i jeziorem.

– Właśnie o tym mówię, Edie.

– Wiem. I dochodzę do wniosku, że to rzeczywiście mogła być inspiracja dla powieści Raymonda Blythe'a.

Przewrócił oczami.

– Nie o to chodzi, Edie, zapomnij o książce. Mówię o twojej mamie.

– O mamie?

Wskazał zamknięte drzwi.

– Jest nieszczęśliwa, a ja nie mogę na to patrzeć.

– Wydaje ci się.

– Nie jestem głupi, Edie. Od kilku tygodni snuje się z kąta w kąt z żafosną miną, a dzisiaj powiedziała, że znalazła w twoim pokoju gazetę z ogłoszeniami o wynajmie mieszkań i zaczęła płakać.

Mama była w moim pokoju?

– Mama płakała?

– Zawsze głęboko wszystko przeżywała. Nosi serce na dłoni. Pod tym względem jesteście do siebie podobne.

Nie wiem, czy chciał mnie tą uwagą zaskoczyć, ale myśl o mamie z sercem na dłoni tak mnie zbiła z pantałyku, że nie zaprotestowałam nawet przeciwko naszemu rzekomemu podobieństwu.

– To mi się w niej zawsze najbardziej podobało: że była inna niż te wszystkie twarde dziewczyny, które za nic nie chcą okazywać uczuć. Kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem, płakała jak bóbr.

– Naprawdę?

– Poznaliśmy się w kinie. Przypadkiem znaleźliśmy się na seansie tylko we dwoje. Film wcale nie był wyjątkowo smutny, ale ona chlipała w ciemności przez całą projekcję. Próbowwała to ukryć, ale kiedy wyszliśmy z sali, miała oczy jak twoja koszulka. Tak mi się jej zrobiło szkoda, że zaprosiłem ją na ciastko.

- Dlaczego płakała?
- Właściwie nigdy się tego dokładnie nie dowiedziałem. W tamtych czasach dużo płakała.
- Naprawdę?
- O tak. Była bardzo wrażliwa. I dowcipna. Inteligentna i nieprzewidywalna. Miała taki dar opisywania rzeczy, że patrzyłaś na nie, jakbyś je widziała po raz pierwszy.

Chciałam zapytać: „Więc co się stało?“, ale sama sugestia, że już taka nie jest, zabrzmiałaoby obcesowo. Ucieszyłam się, kiedy tata mimo to ciągnął:

- Potem wszystko się zmieniło. Po Danielu.

Nie pamiętałam, aby tata kiedykolwiek przedtem wymówił imię mojego brata i efekt był piorunujący. Tyle rzeczy chciałam powiedzieć naraz, o tyle zapytać, że zaczęły się nawzajem dusić i wykrztusiłam tylko:

- Tak?

- To było straszne – mówił powoli i spokojnie, lecz dolna warga zadawała temu kłam. Drgała dziwnie i mimowolnie, aż serce mi się kroilo. – Straszne.

Dotknęłam lekko jego ramienia, ale tata zdawał się tego nie zauważać, wpił wzrok w dywan pod drzwiami, uśmiechnął się przelotnie do czegoś, czego tam nie było, i rzekł:

- Ciągle skakał. Uwielbiał skakać. „Skaczą!” wołał. „Patrz, tatusiu, ja skaczą!”.

Mogłam go sobie wyobrazić: mój wielki mały braciszek skaczący niezdarnie jak żaba po całym domu i promieniejący z dumy.

- Żałuję, że go nie poznałam.

Tata położył mi dłoń na rękę.

- Ja również.

Nocny wiatr szarpał zasłonę nad moim ramieniem, aż mnie przeszedł dreszcz.

- Kiedy byłam mała, zawsze miałam wrażenie, jakby w naszym domu mieszkał duch. Czasami słyszałam, jak o nim rozmawialiście, lecz gdy tylko wchodziłam do pokoju, milkliście. Pewnego razu zapytałam o to mamę.

Podniósł wzrok i popatrzył mi badawczo w oczy.

- I co powiedziała?

- Że się przestyszałam.

Tata przyjrzał się swojej dłoni, marszcząc brwi, a potem zamknął ją w luźną pięść, jakby zgniatał niewidzialny papier, i westchnął ciężko.

- Myśleliśmy, że postępujemy słusznie. Chcieliśmy jak najlepiej.
- Wiem o tym.
- Twoja mama...

Zacisnął usta, aby powstrzymać ogarniający go smutek. Pragnęłam mu ulżyć w cierpieniu, ale nie mogłam, tak długo czekałam, aby to usłyszeć, i zachłannie wypatrywałam każdego okruszka, jakim mógł się ze mną podzielić. Kiedy zaczął, dobierał słowa ze starannością, która rozdzierała mi serce.

– Twoja mama bardzo źle to zniosła. Obwiniła się, nie potrafiła przyjąć do wiadomości, że to, co się stało... – przełknął ślinę – ...z Danielem, to był ślepy los. Wbiła sobie do głowy, że to przez nią, że zażyła, żeby stracić dziecko.

Odebrało mi mowę, nie tylko dlatego, że to, co usłyszałam, brzmiało tak przerażająco, ale że w ogóle mi to powiedział.

- Czemu tak myślała?
- Nie wiem.
- Przecież choroba Daniela nie była dziedziczna.
- Nie.
- To był po prostu...

Szukałam słów, żeby to nazwać, ale ich nie znalazłam.

Tata zamknął kołnотatnik, ułożył go ostrożnie na *Człowieku z Błota*, a potem jedno i drugie odłożył na stolik nocny. Najwyraźniej nie zamierzał już dzisiaj czytać.

– Czasami to, co ludzie czują, nie jest racjonalne, Edie, przynajmniej tak się wydaje na pierwszy rzut oka. Trzeba kopać głębiej, żeby zobaczyć, co leży na samym dnie.

Mogłam tylko skinąć głową. Miałam za sobą niezwykle osobliwy dzień, a teraz, na koniec mój własny ojciec tłumaczył mi subtelności ludzkiej natury, i to już zupełnie stawiało świat na głowie.

– Zawsze mi się wydawało, że miało to związek z jej matką, z jakąś kłótnią, do której między nimi doszło, kiedy twoja mama była kilkunastoletnią dziewczyną. Nie rozmawiały potem z sobą.

Nigdy się nie dowiedziałem, o co dokładnie poszło, ale twoja babcia powiedziała wtedy coś, co Meredith przypomniała sobie, kiedy zmarł Daniel.

– Nie wierzę, że babcia mogłaby świadomie wyrządzić mamie krzywdę.

Tata potrząsnął głową.

– Tego nie można powiedzieć o żadnym człowieku, Edie.

Nigdy mi się nie podobało, jak twoja babcia i Rita zmawiały się przeciwko mamie. Zawsze czułem z tego powodu niesmak. Trzymały wspólny front i wykorzystywały ciebie w charakterze klina.

Zdumiałam się, słysząc w jego ustach tak precyzyjną ocenę stosunków rodzinnych mojej mamy. Poruszyła mnie troska, która pobrzmiwała w jego głosie. Rita nazwała moich rodziców snobami, twierdziła, że patrzyli z góry na całą resztę rodziny, lecz kiedy słuchałam tego, co mówił tata, przyszło mi do głowy, że sytuacja wcale nie była taka oczywista, jak mi się zdawało.

– Życie jest zbyt krótkie, żeby wypełniać je rozdzwiękami.

Nie wiem, co zaszło między tobą a mamą, ale ją to bardzo boli i mnie też, kiedy na was patrzę, a ja jestem starszym panem po zawale i moich uczuć nie wolno lekceważyć.

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

– Napraw to jakoś, Edie.

Kiwnęłam głową.

– Muszę jasno myśleć, jeśli mam zrobić jakiś porządek z tym *Człowiekiem z Błota*.

✦

Siedziałam na łóżku z ogłoszeniami o wynajmie nieruchomości, zakreślałam kółkami mieszkania, na które nie było mnie stać, i rozmyślałam o wrażliwej, dowcipnej i płacziwej młodej kobiecie w spłowiałych dzwonach i kwiecistej bluzce. Na starej fotografii z zaokrąglonymi rogami, o miękkich, przyćmionych barwach, kobieta trzyma za rączkę małego chłopca w skórzanych sandałkach. Jest ostrzyżony na pazia i uwielbia skakać, a kiedy umrze, wesoła kobieta, która uwielbiała czytać książki, zmieni się na zawsze.

Rozmyślałam też o tym, co powiedział tata – że mama obwiniła siebie o śmierć Daniela i uważała, że zasłużyła, aby stracić dziecko. W tym, co powiedział, może w słowie „stracić”, a może w jego podejrzeniu, że miało to jakiś związek z kłótnią między mamą a babcią, coś mi

przypomniało jej ostatni list wysłany z Milderhurst do rodziców. Prosiła, aby pozwolono jej zostać, zapewniała, że tam jest jej miejsce, że czuje się tam jak w domu, lecz to nie znaczy, że babcia ją „straciła”.

Czułam, że zaczynam wreszcie dostrzegać pewne związki między faktami tej historii, ale mojego żołądka to nie obchodziło. Przerwał mi bezceremonialnie i przypomniał, że nie jadł nic od czasu lasagne u Herberta.

W całym domu panowała cisza. Ostrożnie ruszyłam ciemnym korytarzem, lecz kiedy dochodziłam do schodów, zauważyłam cienki pasek światła wydobywający się spod drzwi pokoju mamy. Przystanęłam niezdecydowanie, w uszach dzwoniła mi obietnica, którą złożyłam tacie, że naprawię stosunki z mamą. Nie dawałam sobie wiele szans – nikt nie potrafi tak swobodnie ślizgać się na łyżwach w lodowatej atmosferze jak moja mama – ale tacie na tym zależało, wzięłam więc głęboki oddech i zapukałam cichutko do drzwi. Nikt nie odpowiedział i już myślałam, że tym razem uda mi się wykręcić, kiedy ze środka doszedł łagodny głos.

– To ty, Edie?

Otworzyłam drzwi i zobaczyłam mamę siedzącą na łóżku pod moim ulubionym obrazem, na którym księżyc w pełni zamienia lukrecjowoczarne morze w rtęć. Na czubku nosa kołysały jej się okulary, na kolanach leżała *Lodownia*. Spojrzała na mnie niepewnie, jej twarz zdradzała napięcie.

– Zobaczyłam światło pod drzwiami.

– Nie mogłam zasnąć. – Odwróciła w moją stronę książkę. – Czytanie czasami pomaga.

Skinęłam na potwierdzenie głową. Żadna z nas się nie odzywała; mój żołądek zauważył milczenie i wykorzystał okazję, aby je zapełnić. Zaczęłam się wycofywać, aby się wymówić i uciec do kuchni, lecz mama powiedziała:

– Zamknij drzwi, Edie.

Zrobiłam, o co prosiła.

– Chodź, usiądź, proszę.

Zdjęła okulary i powiesiła je za łańcuszek na kolumience łóżka. Usiadłam ostrożnie na brzegu i oparłam się o ściankę, tak jak to robiłam jako dziecko w swoje urodzinowe poranki.

– Mamusiu – zaczęłam. – Ja...

– Miałaś rację, Edie. – Wsunęła zakładkę do książki. – Rzeczywiście pojechałyśmy kiedyś razem do Milderhurst.

Zachciało mi się płakać.

– Nie sądziłam, że możesz to pamiętać, miałaś wtedy kilka lat. Byłyśmy tam bardzo krótko. Jak się okazało, zabrakło mi odwagi, żeby nawet przejść przez bramę. – Nie patrzyła mi w oczy, wygładziła koldrę na kolanach. – Źle postąpiłam, wmawiając ci, że sobie to wszystko wymyśliłaś, tylko że... tak mnie zaskoczyło, kiedy o to zapytałaś. Nie byłam na to przygotowana. Nie chciałam skłamać. Wybaczysz mi?

Czy można nie zmięknąć pod wpływem takiego pytania?

– Oczywiście.

– Uwielbiałam to miejsce – powiedziała ze ściągniętymi ustami. – Nie chciałam stamtąd wyjeżdżać.

– Och, mamusiu.

Tak bardzo miałam chęć dotknąć jej ramienia.

– Kochałam ją. Mówię o Juniper Blythe. – Podniosła wzrok, miała tak zagubione spojrzenie, tak przepętnione rozpaczą, że oddech uwiązł mi w gardle.

– Opowiedz mi o niej.

Nastało milczenie, długie milczenie. W oczach mamy widziałam, że przeniosła się daleko stąd w odległą przeszłość.

– Była... nigdy nie poznałam nikogo podobnego. – Odgarnęła z czoła urojony kosmyk. – Potrafiła człowieka zczarować. I mówię to całkiem poważnie. Po prostu mnie zauroczyła.

Przypomniałam sobie siwowłosą kobietę, którą widziałam w korytarzu zamku Milderhurst, przeobrażenie, jakiemu uległa jej twarz, kiedy się uśmiechnęła; opowieści Theo o listach Thomasa przepętnionych szaleńczą miłością; małą dziewczynkę na zdjęciu, zaskoczoną przez fotografa, patrzącą w obiektyw szeroko rozstawionymi oczami.

– Nie chciałaś wracać do domu.

– Nie.

– Chciałaś zostać z Juniper.

Kiwnęła głową.

– Babcia się rozgniewała.

– Tak. Od kilku miesięcy chciała mnie sprowadzić z powrotem,

ale udawało mi się ją przekonać, żeby pozwoliła mi jeszcze zostać. Potem wprowadzono obowiązek zaciemnienia i rodzice byli zadowoleni, że jestem tam bezpieczniejsza niż w Londynie. W końcu jednak wysłała tatę, żeby mnie przywiózł z powrotem. Od tamtej pory nigdy już nie widziałam Milderhurst. Ale często o nich myślałam.

– O Blythe'ach?

Pokręciła głową.

– O Juniper i Thomasie.

Aż mnie skóra zaświerbiała. Ścisnęłam mocno słupek łóżka.

– Tak się nazywał mój nauczyciel. Thomas Cavill. Zareczyli się, wiesz? A potem nie dostałam od nich żadnej wiadomości.

– Dopóki nie przyszedł zaginiony list od Juniper?

Skinęła głową.

– Rozplakałaś się, kiedy go zobaczyłaś.

– Tak – odrzekła i wyglądała, jakby za chwilę miała zrobić to samo.

– Ale nie dlatego, że był smutny, po prostu przez te wszystkie lata sądziłam, że ona zapomniała.

– O czym?

– O mnie. – Usta jej drżały. – Myślałam, że się pobrali i przestałam ich obchodzić.

– A to nieprawda.

– Nie.

– Nawet się nie pobrali.

– Ale wtedy o tym nie wiedziałam. Dowiedziałam się dopiero od ciebie. Żadne z nich się nigdy do mnie nie odezwało. Widzisz, wysłałam Juniper coś, co było dla mnie bardzo ważne, i czekałam na odpowiedź. Dwa razy dziennie sprawdzałam pocztę, ale odpowiedź nigdy nie nadeszła.

– Napisałaś do niej jeszcze raz? Żeby się dowiedzieć, czemu się nie odzywa, zapytać, czy przesyłka do niej doszła?

– Kilka razy prawie to zrobiłam, ale wydawało mi się to takie żałosne. Potem spotkałam przypadkiem w sklepie jedną z siostr Thomasa. Powiedziała, że jej brat uciekł, żeby się ożenić, i nikt nie wie, gdzie jest.

– Tak mi przykro.

– Oboje zniechęciłam. Czułam się głęboko dotknięta. Odrzucone jest jak rak, trawi człowieka na wskroś. – Przysunęłam się bliżej

i wzięłam ją za rękę. Ścisnęła ją mocno. Na policzkach miała łzy. – Kochałam ją i nienawidziłam jej jednocześnie. – Włożyła rękę do kieszeni szlafroka i dała mi kopertę. – A pięćdziesiąt lat później przyszło to.

W rękę trzymała zaginiony list od Juniper. Wzięłam go ze ściśniętym gardłem, niepewna, czy chce, żebym go przeczytała. Spojrzałam jej w oczy, a ona skinęła nieznacznie głową.

Otworzyłam go drżącymi palcami i zaczęłam czytać.

Droga Merry!

Mój ty bystry Kurczaczku! Twoje opowiadanie dotarło całe i zdrowe. Popłakałam się, czytając je. Przepiękna opowieść! Taka radosna i smutna zarazem, i och... tak wspaniale podpatrzona. Cóż za inteligentna młoda osóbką z Ciebie. W tym, co piszesz, jest tyle szczerości. Wielu pisarzy aspiruje do takiej autentyczności, lecz niewielu ją osiąga. Nie porzucaj tej drogi. Pamiętaj, że możesz zrobić ze swoim życiem, co tylko zechcesz, nic nie ma Cię prawa powstrzymać.

Bardzo bym chciała powiedzieć Ci to osobiście, oddać Ci rękopis pod tym drzewem w parku, gdzie w liściach migocą słoneczne brylanciki, ale niestety nie pojadę do Londynu, jak planowałam, przynajmniej przez jakiś czas. Sprawy potoczyły się inaczej, niż sobie wyobrażałam. Nie mogę teraz napisać więcej, tylko tyle, że coś się wydarzyło, i najlepiej będzie dla mnie, abym na razie została w domu. Tęsknię za Tobą, Merry. Byłaś moją pierwszą przyjaciółką, czy mówiłam Ci o tym? Często wspominam nasze wspólnie spędzone chwile, szczególnie to popołudnie na dachu, pamiętasz? Byłaś u nas dopiero kilka tygodni i nie wiedziałam, że masz lęk wysokości. Zapytałaś potem, czego ja się boję, a ja ci powiedziałam. Nigdy przedtem nie mówiłam o tym nikomu innemu.

Do widzenia, Kurczaczku.

Ściskam Cię zawsze gorąco,

Juniper

Przeczytałam list jeszcze raz, nie mogłam się powstrzymać przed wodzeniem wzrokiem po niedbałym odręcznym piśmie. Mnóstwo rzeczy

mnie w tym liście zaintrygowało, ale jedna szczególnie i od niej nie mogłam oderwać myśli. Mama pokazała mi list, abym zrozumiała, co ją łączyło z Juniper, ale ja myślałam tylko o tym, co łączyło mnie i mamę. Całe dorosłe życie spędziłam wśród pisarzy i ich książek, przynosiłam do domu tysiące anegdot i opowiadałam je przy stole, sądząc, że trafiają w próżnię, i od dzieciństwa przywykłam patrzeć na siebie jak na dziwołagą. Ani razu mama nawet nie przebąknęła, że kiedyś sama żywiła ambicje literackie. Oczywiście zdradziła mi to ostatnio Rita, lecz tak naprawdę jej nie wierzyłam, aż do tej chwili, kiedy trzymałam w ręku słowa napisane przez Juniper, a mama obserwowała mnie w napięciu. Oddałam jej list i przełknęłam grudę żalu dławiącą mnie w gardle.

- Chciałaś zostać pisarką, kiedy byłaś młoda.
- To były dziecięce fantazje.

Nie patrzyła mi w oczy i wiedziałam, że nie mówi całej prawdy. Miałam ochotę ją przycisnąć, zapytać, czy zdarza jej się nadal pisać, czy zachowała jakieś swoje prace, czy kiedyś mi je pokaże, ale nie zrobiłam tego. Wpatrywała się znowu w list z takim smutkiem na twarzy, że nie miałam serca sprawić jej przykrości. Zamiast tego powiedziałam:

- Bardzo blisko się przyjaźniłyście.
- Tak.

„Kochałam ją”, powiedziała mama. „Byłaś moją pierwszą przyjaciółką”, napisała Juniper. A jednak rozstały się w 1941 roku i nigdy więcej się nie spotkały. Rozważyłam starannie słowa, zanim zapytałam:

- Jak myślisz, co Juniper miała na myśli? Co takiego się wydarzyło?

Mama zamrugała.

- Przypuszczam, że chodziło jej o zdradę Thomasa. To ty mi powiedziałaś, że uciekł z inną kobietą.

To prawda, bo wtedy tak myślałam. Po spotkaniu z Theo Cavillem przestałam w to wierzyć.

- A to, co napisała na końcu? Że się boi. Co to mogło znaczyć?
- To trochę dziwne – przyznała mama. – Myślę, że przytoczyła tamtą rozmowę jako przykład naszej przyjaźni. Spędziłyśmy z sobą tyle czasu, tyle rzeczy razem robiłyśmy, nie wiem, czemu wybrała akurat tamten moment.

Spojrzała na mnie i nie miałam wątpliwości, że jej zdziwienie jest autentyczne.

– Juniper była osobą, która nie znała strachu. Nie przychodziło jej nawet do głowy bać się rzeczy, które innych ludzi przerażają. Lękała się tylko jednego: że może się stać taka jak jej ojciec.

– Jak Raymond Blythe? Pod jakim względem?

– Nigdy mi tego nie powiedziała. Był starym dziwakiem, któremu mąciło się w głowie. I pisarzem, tak samo jak Juniper. Pod koniec życia wierzył, że postaci z jego książek ożywają i czyhają na jego życie. Kiedyś przypadkiem go spotkałam. Skręciłam w niewłaściwy korytarz i zabłądziłam w okolice wieży. Można się było go przestraszyć. Chyba to właśnie miała na myśli.

To brzmiało prawdopodobnie. Wróciłam pamięcią do swojej wizyty w Milderhurst i do historii o Juniper, jakie mi opowiadano w miasteczku. O jej zanikach pamięci, o momentach, kiedy nie wiedziała, co się z nią dzieje. Widok własnego ojca tracącego na starość zmysły musiał budzić grozę w młodej dziewczynie, której przydarzały się podobne ataki amnezji. Jak się okazało, jej obawy się spełniły.

Mama westchnęła i zmierzwiła ręką włosy.

– Narobiłam straszego zamieszania. Juniper, Thomas, teraz ty przeze mnie szukasz mieszkania.

– Nieprawda. – Uśmiechnęłam się. – Oglądam ogłoszenia, bo mam trzydzieści lat i nie mogę w nieskończoność mieszkać z rodzicami, nawet jeśli twoja herbata smakuje najlepiej pod słońcem.

Mama też się uśmiechnęła, a ja poczułam, jakby drgnęło we mnie coś od dawna uśpionego.

– I to ja narobiłam tego bałaganu. Nie powinnam była czytać twoich listów. Wybaczysz mi?

– Nie musisz nawet o to pytać.

– Chciałam cię po prostu lepiej poznać, mamusi.

Musnęła moją dłoń delikatnie jak piórko, a ja wiedziałam, że zrozumiała.

– Stąd słyszę, jak ci burczy w brzuchu – powiedziała tylko. – Chodźmy do kuchni, zrobię ci coś dobrego do jedzenia.

Zaproszenie i nowe wydanie

Właśnie kiedy głowiłam się nad zagadką, co zaszło między Thomasem a Juniper i czy kiedykolwiek się tego dowiem, wydarzyło się coś całkiem niespodziewanego. Była środa po południu, wracaliśmy z Herbertem i Jess z naszego codziennego spaceru po ogrodach Kensington, któremu towarzyszyło zwykle znacznie większe zamieszanie, niż może sugerować ten sielankowy obraz. Jess nie lubi chodzić i ostentacyjnie daje to do zrozumienia, najczęściej zatrzymując się co dwadzieścia metrów, żeby węszyć po ściekach i tropić jeden tajemniczy zapach za drugim.

Staliśmy i czekaliśmy, aż zakończy jedną ze swych poszukiwawczych sesji, gdy Herbert zapytał:

- Co słyhać na froncie domowym?
 - Początek odwilży – odrzekłam. – Nie chcę zapeszać, ale możliwe, że świta nam nowa nadzieja.
 - Czy to znaczy, że zmieniłaś plany w sprawie przeprowadzki?
- Odciągnął Jess od podejrzenia śmierdzącej kałuży.
- Ależ broń Boże. Tata zaczyna przebąkiwać, że trzeba mi kupić szlafrok z inicjałami i jak tylko wróci do zdrowia, przybije trzeci wieśszak w łazience. Boję się, że jeśli nie utnę tego w załączku, ugrzęznę tam na zawsze.
 - Brzmi złowieszczo. Znalazłaś jakąś ciekawą ofertę?
 - Och, całe mnóstwo, muszę tylko przycisnąć szefa o znaczną podwyżkę, żeby sobie na nią pozwolić.
 - I jak oceniasz swoje szanse?

Poruszyłam dłonią jak lalkarz.

– No cóż – odrzekł Herbert, wkładając mi w rękę smycz i wyjmując papierosa. – Twój szef może nie dać rady wyskrobać podwyżki, ale chyba wpadł na pewien pomysł.

Uniosłam brwi.

– Jaki pomysł?

– Myślę, że całkiem dobry.

– Tak?

– Wszystko w swoim czasie, Edie, kochanie. – Puścił do mnie oko znad papierosa. – Wszystko w swoim czasie.

Skręciliśmy na rogu w naszą ulicę i przed wejściem zobaczyliśmy listonosza, który usiłował wcisnąć korespondencję przez szczelinę w drzwiach. Herbert uchylił kapelusza, wziął od mężczyzny plik kopert, wsunął je pod ramię i weszliśmy do domu. Jess jak zawsze podreptała prosto na swój poduszkowy tron pod biurkiem Herberta i rozmościła się z gracją, po czym przeszła nas spojrzeniem urażonej dumy.

Ja i Herbert mieliśmy własne pospacerowe zwyczaje, więc zamknąwszy drzwi, zapytał:

– Poczta czy podwieczorek, Edie? Byłam już w połowie drogi do kuchni.

– Zrobię herbatę – odparłam. – Ty przeczytaj pocztę.

Taca stała już przygotowana – Herbert jest pod tym względem pedantyczny – a partia świeżych babeczek stygła pod ściereczką do naczyń. Podczas gdy ja nakładałam do małych kokilek śmietankę i dżem domowej roboty, Herbert przeglądał ważniejszą korespondencję.

Wchodziłam właśnie z chyboczącą się tacą do pokoju, kiedy powiedział:

– No proszę.

– Co to takiego?

Spojrzał na mnie znad krawędzi listu.

– Wygląda na to, że oferta pracy.

– Skąd?

– Z dość dużego wydawnictwa.

– Co za tupet! – Podałam mu filiżankę. – Odpisz im, że masz bardzo dobrą pracę.

– Zrobiłbym to – odrzekł – gdyby to była propozycja dla mnie. Ale oni chcą ciebie, Edie. Ciebie i nikogo innego.

✠

List, jak się okazało, przyszedł od wydawcy *Prawdziwej historii Człowieka z Błota*. Nad filiżanką aromatycznej herbaty Darjeeling i kulką z dżemem Herbert przeczytał mi go na głos. A potem jeszcze raz. Potem wyjaśnił mi jego treść, posługując się jak najprostszymi pojęciami, albowiem mimo dziesięciu lat pracy w branży wydawniczej zaskoczenie uczyniło mnie chwilowo niezdolną do samodzielnego rozumowania. W przyszłym roku wydawnictwo planowało kolejne wznowienie *Człowieka z Błota*, które zbiegało się w czasie z siedemdziesiątą piątą rocznicą powstania utworu. Wydawcy Raymonda Blythe'a pragną, abym napisała z tej okazji nowe słowo wstępne do książki.

– Żartujesz sobie ze mnie. – Pokręciłam głową. – Przecież to... niemożliwe. Dlaczego ja?

– Nie wiem. – Obrócił w rękach list i stwierdził, że po drugiej stronie kartka jest pusta. – Tego nie napisali.

– Dziwne. – Dreszcz przeszedł mi po plecach na myśl o tym, jak wszystkie drogi w moim życiu prowadzą do Milderhurst. – I co ja mam zrobić?

Herbert wręczył mi list.

– Myślę, że mogłabyś rozpocząć od zatelefonowania pod ten numer.

✠

Moja rozmowa z Judith Waterman, wydawcą z Pippin Books, była krótka i przyjemna.

– Będę z panią szczerą – powiedziała, kiedy się przedstawiłam i wyjaśniłam, w jakiej sprawie dzwonię. – Zatrudniłszy do napisania tego wstępu dobrego pisarza i byliśmy z jego pracy bardzo zadowoleni, jednak córkom Raymonda Blythe'a się nie podobał. Cała sprawa zaczyna nas przyprawiać o ból głowy, książka ma się bowiem ukazać na początku przyszłego roku, więc czasu mamy coraz mniej. Proces wydawniczy jest w toku od paru miesięcy, nasz pisarz przeprowadził już wstępne wywiady i pracuje nad szkicem wstępu, tymczasem jak grom z jasnego

nieba spadła na nas wiadomość od pań Blythe, które poinformowały nas telefonicznie, że wycofują swoje poparcie.

Bez trudu wyobraziłam sobie Percy Blythe czerpiącą przyjemność z takich przekornych decyzji.

– Zaangażowaliśmy już spore nakłady w tę publikację – ciągnęła Judith Waterman. – Zaczęliśmy przygotowywać nową serię dzieł klasycznych z esejami wprowadzającymi, które mają być stylizowanymi wspomnieniami, a *Prawdziwa historia Człowieka z Błota* jako jeden z naszych najpopularniejszych tytułów jest idealną pozycją na letnie wydanie.

Uprzymomniłam sobie, że kiwam głową, jakby kobieta siedziała ze mną w pokoju.

– Doskonale to rozumiem – powiedziałam. – Nie wiem jednak, jak mogę...

– Jak się okazało, największych kłopotów przysparza najstarsza córka autora Persephone Blythe, co jest dość zaskakujące, zważywszy, że pomysł okolicznościowego wydania wyszedł od jej siostry. Tak czy inaczej, są niezadowolone, my nie możemy zrobić niczego bez ich zgody, bo nie pozwalają nam na to ich prawa autorskie i całe przedsięwzięcie wisi na włosku. Dwa tygodnie temu pojechałam do Milderhurst osobiście. Panny Blythe litościwie zgodziły się, abyśmy kontynuowali prace nad wydaniem, ale z innym autorem wstępu, kimś, kogo one zaakceptują. – Urwała i po chwili usłyszałam w słuchawce odgłos przełykania napoju. – Wysłaliśmy im długą listę pisarzy razem z próbkami ich dzieł. Odesłały nam wszystkie nawet nieotwarte, a Persephone Blythe zażyczyła sobie, aby słowo wstępne napisała pani.

– Ja?

– Tak. Podała pani imię i nazwisko. Z całą pewnością chodziło o panią.

– Pani wie, że nie jestem pisarką.

– Tak – odrzekła Judith Waterman. – Powiedziałam to również pannom Blythe, ale im to nie przeszkadza. Najwyraźniej wiedzą, kim pani jest i co robi. Co więcej, wygląda na to, że jest pani jedyną osobą, którą są skłonne zaakceptować, co wiąże nam ręce. Albo pani napisze ten wstęp, albo cały projekt runie w gruzach.

– Rozumiem.

Usłyszałam szelest papierów po drugiej stronie linii.

– Jestem pewna, że doskonale sobie pani poradzi. Pracuje pani w wydawnictwie, umie się pani obchodzić z językiem. Rozmawiałam z kilkoma pani klientami, wszyscy wyrażają się o pani bardzo pozytywnie.

– Naprawdę?

O, nędzna próżności, domagająca się komplementów. Słusznie mnie zignorowała.

– Wszyscy w Pippin Books upatrujemy w tym dobrego znaku. Mamy nadzieję, że siostry przyjęły tak zdecydowane stanowisko, ponieważ dojrzały w końcu do ujawnienia światu korzeni *Człowieka z Błota*. Nie muszę pani mówić, jakie by to było wspaniałe osiągnięcie, gdybyśmy w końcu odkryli prawdziwą historię kryjącą się za tym dziełem literackim!

Nie musiała mi tego mówić. Tata nie pozwalał mi o tym zapomnieć nawet na chwilę.

– Więc jaka jest pani odpowiedź?

Jaka mogła być moja odpowiedź? Percy Blythe osobiście zażądała mojego udziału w tym przedsięwzięciu. Miałam napisać wstęp do *Człowieka z Błota*, znów pojechać do Milderhurst i rozmawiać z siostrami Blythe. Nad czym tu było się zastanawiać?

– Oczywiście, zrobię to.

✕

– Wiesz, że byłem na jego premierze teatralnej? – oznajmił Herbert, kiedy streściłam mu przebieg rozmowy.

– *Człowieka z Błota*?

Skinął głową. Jess usiadła mu na stopach.

– Nie wspominałem ci o tym?

– Nie.

Nie zdziwiło mnie to wcale aż tak bardzo, jakby się mogło zdawać. Rodzice Herberta byli ludźmi teatru, Herbert spędził za kulisami dużą część dzieciństwa.

– Miałem chyba dwanaście lat – powiedział. – Pamiętam ją, bo to było jedno z najbardziej zdumiewających przedstawień, jakie widziałem. Wspaniałe pod wieloma względami. Na środku sceny na wielkim dysku ze wzniesieniem zbudowano zamek, stał przechylony, tak że wieża

wskazywała w kierunku publiczności i mogliśmy zajrzeć przez okno na poddaszu do pokoju, gdzie spała Jane i jej brat. Dookoła biegła fosa, a światła padały z tyłu, tak że kiedy wyłonił się Człowiek z Błota, kiedy zaczął się wspinać po kamiennym murze zamku, na widownię padły długie cienie, jakby potwór i całe błoto z opowieści, wilgotne i czarne, wyciągali palce, żeby nas dotknąć.

Wzdrygnęłam się ostentacyjnie, aż Jess łypnęła na mnie podejrzliwie.

– Brzmi jak senny koszmar. Nic dziwnego, że pamiętasz to tak dokładnie.

– Bardzo dokładnie, ale to nie wszystko. Pamiętam ten wieczór szczególnie, ponieważ na widowni powstało zamieszanie.

– Dlaczego?

– Obserwowałem wszystko zza kulisy, więc dokładnie widziałem, co się działo. Ktoś zasłabł na balkonie pisarza. Ludzie powstali z miejsc, wezwano lekarza i część rodziny wyszła za kulisy.

– Rodziny Blythe'ów?

– Tak myślę, chociaż przyznam, że straciłem zainteresowanie całym wydarzeniem, kiedy skończyło się zamieszanie. Przedstawienie trwało nadal, tak jak powinno, wątpię nawet, żeby nazajutrz pojawiły się jakieś wzmianki w prasie na temat incydentu.

– Dowiedziałeś się kiedyś, co się tam stało?

Przysłała mi do głowy Juniper i jej ataki, o których tyle słyszałam. Herbert pokręcił głową i dopił resztkę herbaty.

– Po prostu jedno z wielu barwnych, teatralnych wydarzeń. – Włożył do ust papierosa, uśmiechnął się szeroko, trzymając go między wargami, i zaciągnął się. – Ale dość o mnie. Porozmawiajmy o Edie Burchill i jej wezwaniu do zamku. To się nazywa zbieg okoliczności, co?

Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie uśmiechnąć się promiennie. Ale mój uśmiech nieco zbladł, kiedy przypominałam sobie okoliczności swojego awansu.

– Mam wyrzuty sumienia wobec tego pisarza, którego zatrudnili na początku.

Herbert machnął ręką i popiół spadł na dywan.

– To nie twoja wina, kochanie. Percy Blythe zażyczyła sobie ciebie, jest tylko człowiekiem.

– Poznałam ją i wcale nie jestem tego taka pewna.

Wybuchnął śmiechem, zaciągnął się papierosem i rzekł:

– A tamten przeżyje. Na wojnie, w miłości i na rynku wydawniczym wszystkie chwytysą dozwolone.

Nie miałam wątpliwości, że zwolniony pisarz nie zapała do mnie miłością, miałam jednak nadzieję, że przynajmniej nie wypowie mi wojny.

– Judith Waterman mówiła, że zaoferował przekazanie mi swoich notatek. Ma je wysłać dziś po południu.

– To bardzo ładnie z jego strony.

Z pewnością, ale coś jeszcze przyszło mi do głowy.

– Nie zostawię cię na lodzie, kiedy wyjadę? Poradzisz sobie sam?

– Będzie ciężko – odparł, marszcząc brwi i robiąc żalostną minę. – Całe cztery dni! No cóż, chyba nie mam wyjścia i muszę to jakoś znieść.

Zrobiłam do niego minę.

Wstał i poklepał się po kieszeni, szukając kluczyków do samochodu.

– Szkoda, że akurat dzisiaj mamy wizytę u weterynarza. Nie będzie mnie, kiedy przywiozą notatki. Zakreśl dla mnie najlepsze fragmenty, dobrze?

– Oczywiście.

Zawołał Jess do nogi, a potem ujął moją twarz w obie dłonie, tak że czułam, jak drżą, kiedy składał włochate pocałunki na moich policzkach.

– Bądź genialna, moja droga.

✦

Paczka z Pippin Books została dostarczona przez kuriera tego samego popołudnia, kiedy właśnie zamykałam wydawnictwo. Zastanawiałam się, czy nie zachować się jak profesjonalistka, zabrać wszystko do domu i otworzyć spokojnie w stosownej chwili, ale szybko się rozmyśliłam. Drżącą ręką wsunęłam klucze z powrotem do zamka, zapaliłam światła i idąc szybkim krokiem w stronę swojego biurka, już po drodze rozerwałam opakowanie.

Kiedy wyciągnęłam z paczki gruby plik papierów, ze środka wypadły dwie kasety. Ponad sto stron spięto wzdłuż lewej krawędzi dwoma wielkimi klipsami. Na wierzchu leżał list od Judith Waterman zawierający

zarys projektu oraz zapowiedź nowego cyklu wydawniczego:

Wydawnictwo Pippin Books poleca nową, interesującą serię KLASYKA PIPPINA przedstawiającą ulubione dzieła literackie zarówno dla młodych, jak i dorosłych czytelników. Nowa, atrakcyjna szata graficzna oraz nowe przedmowy zapewnią ciekawą i wszechstronną ofertę na rynku księgarskim. Cykl dzieł, rozpoczynający się *Prawdziwą historią Człowieka z Błota*, będzie numerowany, co pozwoli czytelnikom czerpać przyjemność z kolekcjonowania dzieł klasycznych.

Na dole listu widniała odręczna notka od Judith:

Edie, oczywiście od Ciebie zależy, co napiszesz, jednak w naszych wstępnych dyskusjach doszliśmy do wniosku, że ponieważ wiele wiadomo o Raymondzie Blycie, natomiast bardzo mało, z powodu jego powściągliwości, o korzeniach Człowieka z Błota, ciekawym pomysłem mogłoby się okazać wprowadzenie skupiającej szczególną uwagę na jego trzech córkach, na ich uczuciach i doświadczeniach związanych z dorastaniem w miejscu, z którego pochodził Człowiek z Błota.

W relacji z wywiadów zobaczysz, że nasz pisarz Adam Gilbert dołączył szczegółowy opis swoich wizyt w zamku, w tym również osobistych wrażeń i refleksji. Możesz z nich korzystać, chociaż nie wątpię, że będziesz chciała przeprowadzić również własne badania. Szczerze mówiąc, Persephone Blythe okazała zaskakującą przychylność pod tym względem, sama wręcz zasugerowała, abyś je odwiedziła podczas swojego pobytu w Milderhurst. (Nie muszę dodawać, że gdyby postanowiła uchylić rąbka tajemnicy o inspirowaniach powieści, bardzo byśmy chcieli, abyś nas o tym jak najszybciej powiadomiła).

Budżet projektu nie jest wielki, ale wystarczy środków na krótki pobyt w Milderhurst. Wybór zakwaterowania należy do Ciebie, mamy jednak umowę z właścicielką pobliskiego pensjonatu, panią Marilyn Bird. Adam był zadowolony z warunków, jakie oferowała, a cena noclegu obejmuje również posiłki. Pani Bird zaproponowała

pokój, który zwalnia się trzydziestego pierwszego października, więc daj mi, proszę, jak najszybciej znać, czy mam dokonać dla Ciebie rezerwacji.

Odwróciłam kartkę, przejechałam ręką po pierwszej stronie sprawozdania Adama Gilberta, po czym oddałam się najbardziej podniecającej czynności. Myślę, że uśmiechałam się, odwracając stronę, a na pewno przygryzłam wargę, bo zrobiłam to za mocno i dlatego do tej pory to pamiętam.

✠

Cztery godziny później skończyłam czytanie. Nie siedziałam już w cichym londyńskim gabinecie, znalazłam się daleko stąd, w ciemnym labiryncie zamkowych korytarzy razem z trzema siostrami, ich pomnikowym ojcem i rękopisem, który miał się dopiero stać książką i dziełem klasycznym na całe dziesięciolecie.

Odłożyłam notatki i odsunęłam się od biurka. Potem wstałam i przeciągnęłam się kilka razy. Od czytania z nogami na biurku bolał mnie krzyż. Jednak czas i trochę ruchu pozwoliły, aby z chaosu moich myśli wypłynęły na powierzchnię pewne refleksje, a szczególnie dwie kwestie. Po pierwsze, byłam zachwycona fachową robotą Adama Gilberta. Notatki stanowiły dokładny zapis nagranych wywiadów, spisany na staromodnej maszynie do pisania, gdzieśgdzie uzupełniony nienagannym odręcznym pismem i tak szczegółowy, że przypominał bardziej dramat zaopatrzonego w didaskalia w każdym miejscu, gdzie jego rozmówcy się choćby podrapali, z którego to zapewne powodu uderzyła mnie druga myśl: że brak tu czegoś bardzo ważnego. Uklękałam na krześle i zaczęłam jeszcze raz przerzucać stertę papierów, sprawdzać obie strony kartek, aby się upewnić, że niczego nie przegapiłam. Nigdzie nie znalazłam ani słowa wypowiedzianego przez Juniper Blythe.

Bębniłam palcami w stertę notatek. Istniały oczywiście bardzo konkretne powody, dla których Adam Gilbert mógł ją pominąć: po pierwsze, miał więcej niż trzeba materiałów bez dodatkowych komentarzy; po drugie, nie było jej nawet na świecie, kiedy został napisany *Człowiek z Błota*; po trzecie, to była Juniper...

Ale i tak nie dawało mi to spokoju, a kiedy coś nie daje spokoju, to

moja perfekcjonistyczna natura zaczyna się gorączkować. Były trzy siostry Blythe, ich historia nie powinna... nie mogła powstać z całkowitym pominięciem głosu Juniper.

Na dole sprawozdania Adama Gilberta znalazłam jego dane kontaktowe. Zastanawiałam się około trzech sekund, akurat tyle, aby rozważyć, czy wpaść do dziesiątej to za późno na telefon do kogoś, kto mieszkał w domu Pod Bławatnikiem w Tenterden, po czym sięgnęłam po telefon i wybrałam numer.

Odebrała kobieta.

– Button, słucham.

Coś w powolnej melodii jej głosu przypominało mi filmy wojenne i rzędy telefonistek siedzących przy centralach telefonicznych.

– Dzień dobry, nazywam się Edie Burchill. Obawiam się, że zadzwoniłam się pod niewłaściwy numer. Chciałam rozmawiać z Adamem Gilbertem.

– To dom pana Gilberta, jestem jego pielęgniarką. Nazywam się Button.

Pielęgniarka. O rany, więc Adam Gilbert jest inwalidą.

– Przepraszam, że niepokoję państwa tak późno. Może zadzwonię kiedy indziej?

– Ależ nie, pan Gilbert pracuje nadal w swoim gabinecie, widzę światło pod drzwiami. Co prawda lekarz mu zabronił, ale dopóki nie nadweręży chorej nogi, niewiele mogę zrobić. Jest dość uparty. Proszę chwileczkę poczekać, zaraz mu powiem.

Usłyszałam plastikowe stuknięcie, kiedy kobieta odłożyła słuchawkę, a potem odgłos miarowych, oddalających się kroków. Po chwili doszło mnie dalekie pukanie do drzwi, szmer rozmowy i po kilku sekundach w słuchawce odezwał się Adam Gilbert.

Kiedy się przedstawiłam i wyjaśniłam powód mojego telefonu oraz przeprosiłam go za okoliczności, w jakich weszliśmy sobie nawzajem na orbitę, mój rozmówca się nie odezwał.

– Aż do dzisiaj nie wiedziałam nawet, że Pippin Books planuje nowe wydanie tej książki, a tym bardziej nie podejrzewałam, że Percy Blythe może tak tupnąć nogą.

Nadal cisza.

– Naprawdę bardzo mi przykro. Nie potrafię tego wyjaśnić.

Spotkałam ją tylko raz w życiu, i to przelotnie. Nie miałam najmniejszego zamiaru wchodzić panu w drogę.

Sama słyszałam, że plotę trzy po trzy, więc umilkłam.

W końcu Adam Gilbert się odezwał znużonym głosem.

– Dobrze więc, Edie Burchill, wybaczam pani kradzież mojej pracy. Ale pod jednym warunkiem. Jeśli uda się pani odkryć coś na temat źródeł *Człowieka z Biota*, dowiem się o tym pierwszy.

Tata nie byłby zachwycony.

– Oczywiście.

– Więc co mogę dla pani zrobić?

Wyjaśniłam mu, że właśnie skończyłam czytać jego notatki, wyraziłam swoje uznanie dla wnikliwości jego pracy, po czym powiedziałam:

– Jest jednak coś, co mnie zaintrygowało.

– Co takiego?

– Trzecia siostra, Juniper. Nie znalazłam żadnych jej wypowiedzi.

– Rzeczywiście ich tam nie ma.

Czekałam, ale ponieważ nic więcej nie dodał, spytałam:

– Nie rozmawiał pan z nią?

– Nie.

Znowu czekałam i znowu cisza. Najwyraźniej nie zanosilo się na łatwą rozmowę.

Adam Gilbert odchrząknął na drugim końcu linii. W końcu odpowiedział:

– Chciałem przeprowadzić wywiad z Juniper Blythe, ale nie udało mi się do niej dotrzeć.

– Aha.

– Oczywiście w sensie fizycznym była obecna, wydaje mi się, że prawie nie opuszcza zamku, ale starsze siostry nie pozwoliły mi z nią rozmawiać.

– Rozumiem.

– Jest chora, więc uznałem, że to wyjaśnia sprawę, ale...

– Ale co?

Znowu zapadła chwila milczenia, w czasie której prawie czułam, jak obmacuje słowa, aby to wytłumaczyć. W końcu westchnęła ciężko.

– Odniosłem wrażenie, że próbują ją w jakiś sposób chronić.

- Przed czym chronić? Przed panem?
- Ależ oczywiście, że nie przede mną!
- Więc przed czym?
- Nie wiem, takie tylko odniosłem wrażenie. Jakby się obawiały, że może powiedzieć coś, co zostanie źle odczytane.
- O nich? O ojcu?
- Może. Albo o sobie samej.

Przypomniało mi się, że i ja miałam podobne odczucie, kiedy w Milderhurst zauważyłam dziwne spojrzenie, które wymieniły z sobą Saffy i Percy w żółtym salonie; a potem zaniepokojenie na twarzy Saffy, kiedy zobaczyła, że Juniper rozmawia ze mną w korytarzu, ponieważ mogła powiedzieć coś, czego nie powinna.

– Ale dlaczego? – powiedziałam bardziej do siebie niż do mego rozmówcy, myśląc o zaginionym liście, o dziwnym wydarzeniu, o którym Juniper wspomniała enigmatycznie między wierszami. – Co takiego mogłaby Juniper mieć do ukrycia?

– Muszę się przyznać – odrzekł Adam, zniżając głos – że przeprowadziłem małe śledztwo. Im bardziej stanowczo siostry Blythe odsuwały ją od wywiadów, tym bardziej mnie to intrygowało.

– I czego się pan dowiedział?

Dobrze, że nie widział, jak prawie pozeram słuchawkę z niecierpliwości.

– W tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym doszło do pewnego incydentu. Właściwie, można by rzec, skandalu.

Pozwolił, by ostatnie słowo zawisło między nami z tajemniczą satysfakcją. Widziałam go oczami wyobraźni: oparty na krześle z giętego drewna w bonżurce opinającej się ciasno na brzuchu, z fajką w zębach.

Przyjęłam ten sam, ściszony ton.

– Jaki skandal?

– Jakaś „paskudna historia”, jak to określono, z synem ogrodnika zatrudnionego w zamku. Jednego z ogrodników. Nikt nie potrafił mi podać szczegółów, nie znalazłem też żadnych wzmianek w oficjalnych kartotekach, nic, co pozwoliłoby mi zweryfikować pogłoski. Więść niesie, że Juniper i chłopak wdali się w jakąś bójkę, z której młodzik wyszedł zbity na kwaśne jabłko.

– Przez Juniper?

Przed oczami stanęła mi chuderlawa staruszka, którą poznałam w Milderhurst, a potem podłotek ze starych fotografii. Staralam się nie wybuchać śmiechem.

– Kiedy miała trzynaście lat?

– Takie czyniono aluzje, chociaż wiem, że sformułowane na głos brzmią mało wiarygodnie.

– I tak powiedział ludziom? Że Juniper go pobiła?

– On niczego nie powiedział. Nie wyobrażam sobie młodego chłopca, który by się przyznał z własnej woli, że dostał cięgi od wątego dziewczęcia. To jego matka poszła do zamku z pretensjami. Z tego, co słyszałem, Raymond Blythe zapłacił im sporo pieniędzy, przystrajając ten fakt w rzekomą premię dla ojca, który całe życie pracował w majątku. Co jednak nie wyciszyło plotek, które do dziś krążą po mieście.

Odniosłam wrażenie, że ludzie bardzo lubili plotkować o Juniper: córka arystokratycznej rodziny, piękna, utalentowana i, zgodnie z tym, co mówiła moja mama, urzekająca, mimo to... kilkunastoletnia Juniper łobuzem bijącym chłopców? Brzmiało to co najmniej mało prawdopodobnie.

– To zapewne zwykłe, stare plotki – mówiąc to żywym, beztróskim tonem, Adam wyartykułował moje własne wątpliwości. – Przypuszczalnie nie mają nic wspólnego z obecnym sprzeciwem siostr, aby Juniper udzielała wywiadu.

Powoli skinęłam głową.

– Myślę, że raczej chciały oszczędzić jej stresu. Jest chora, źle się czuje w obecności obcych. Nie było jej nawet na świecie, kiedy jej ojciec pisał *Człowieka z Błota*.

– Ma pan rację – zgodziłam się. – To zapewne jedyny powód.

Wcale jednak nie pozbyłam się wątpliwości. Trudno mi było uwierzyć, że bliźniaczki tak się przejmowały dawno zapomnianym incydentem z synem ogrodnika, nie mogłam się jednak oprzeć wrażeniu, że za tym wszystkim kryło się coś więcej. Odłożyłam słuchawkę i znów znalazłam się w upiornym zamkowym holu i patrzyłam to na Percy, to na Saffy, to na Juniper. Czułam się jak dziecko, które potrafi dostrzec subtelności toczącej się wokół niego gry, lecz za mało wie, aby je zrozumieć.

W dniu mojego wyjazdu mama przyszła do mnie z samego rana. Słońce chowało się jeszcze za murami domu pogrzebowego Singer i Synowie, ale ja nie spałam już od dawna niczym podekscytowany dzieciak pierwszego dnia szkoły.

– Chcę ci coś dać – powiedziała. – To dla mnie bardzo cenne.

Czekałam zaintrygowana, co to może być. Włożyła rękę do kieszeni szlafroka, przez chwilę patrzyła mi badawczo w oczy, po czym wręczyła mi małą książeczkę w brązowej, skórzanej oprawie.

– Mówiłaś, że chciałaś mnie lepiej poznać. – Bardzo się starała być dzielna, powstrzymać drżenie głosu. – Tu jest wszystko o tej dziewczynce, którą kiedyś byłam.

Wzięłam do ręki dziennik, zdenerwowana jak młoda matka biorąca do ręki swoje nowo narodzone dziecko, onieśmielona jego bezcenną kruchością, przerażona, że mogłaby mu zrobić krzywdę. Stałam głęboko poruszona, że powierza mi taki skarb. Nie wiedziałam, co powiedzieć, to znaczy mnóstwo rzeczy przychodziło mi do głowy, ale w gardle utknęła mi gruda, która zbierała się przez wiele lat i nie chciała nawet drgnąć.

– Dziękuję – wykrztusiłam w końcu i rozplakałam się.

W odpowiedzi oczy mamy zaszyły mgłą i w tej samej chwili padłyśmy sobie w ramiona.

3.

20 kwietnia 1940

Jak zawsze po mroźnej zimie wiosna nastąpiła z szerokim, promiennym uśmiechem i dzień był po prostu przepiękny, co Percy uznała za osobistą zniewagę ze strony Boga. Właśnie w tym miejscu i w tej chwili, stojąc w ławie rodowej, którą zaprojektowała jej babka, a wyrzeźbił William Morris, i patrząc, jak pastor Gordon ogłasza Harry'ego Rogersa i Lucy Middleton mężem i żoną, przestała wierzyć w Boga. Cała uroczystość nosiła mgliste, gąbczaste cechy sennego koszmaru, choć niewykluczone, że po części miała w tym udział spora porcja whisky, jaką wypija przedtem dla podniesienia na duchu.

Harry uśmiechnął się do swojej młodej żony i Percy po raz kolejny pomyślała, jaki jest atrakcyjny. Nie w konwencjonalny sposób, nie był wytworny ani układny, ani diabolicznie przystojny, jego atrakcyjność płynęła z dobroci. Zawsze tak uważała, nawet jako mała dziewczynka, kiedy on jako młodzieniec przychodził nastawiać zegary dla taty. Coś w jego sposobie poruszania się, w skromnym, bezpretensjonalnym ułożeniu ramion świadczyło, że jego mniemanie o sobie nie było wygórowane. Nosił się ze spokojem, pozbawionym może dynamizmu, ale za to pełnym troskliwości. Obserwowała go między kolumnkami schodów, jak przywraca do życia najstarsze i najbardziej krnąbrne zamkowe zegary, on jednak nigdy nie dał po sobie poznać, że to zauważył. Sprawiał wrażenie, jakby jej nie widział, tak jak teraz, kiedy nie odrywał oczu od Lucy.

Lucy zaś z uśmiechem odgrywała rolę zakochanej bez pamięci panny

młodej. Percy znała ją od dawna, ale nie podejrzewała, że może być taką doskonałą aktorką. Poczwała mdłości i po raz kolejny zapagnęła, żeby ta udęka się już skończyła.

Rzecz jasna mogła zostać w domu, udać chorobę albo wymówić się służbą w Żeńskiej Służbie Pomocniczej, ale ludzie by gadali. Lucy pracowała w zamku ponad dwadzieścia lat, byłoby nie do pomyślenia, żeby na jej ślubie nie zjawił się przedstawiciel rodziny Blythe'ów. Z oczywistych powodów tata nie wchodził w grę, Saffy przygotowywała zamek na przyjazd rodziców Meredith, a Juniper, którą i tak trudno by nazwać odpowiednią kandydatką, zamknęła się na poddaszu w pisarskim szale. Tak więc obowiązek reprezentowania rodziny spadł na Percy. Uchylenie się od niego nie wchodziło w grę, chociażby dlatego, że musiałyby się wytłumaczyć z nieobecności swojej siostrze bliźniaczce, która i tak była zdruzgotana, że nie może osobiście wziąć udziału w uroczystości, więc zażądała od Percy dokładnego sprawozdania.

– Chcę znać wszystkie szczegóły, jak była ubrana, jakie miała kwiaty, w jaki sposób na siebie patrzyli – wyliczała na palcach, kiedy Percy próbowała wyjść z zamku.

– Dobrze, dobrze – odparła Percy, zastanawiając się, czy piersiówka z whisky zmieści się do małej torebeczki, którą jej wcisnęła siostra. – Nie zapomnij o lekarstwie dla taty. Postawiłam je na stoliku w holu.

– Na stoliku w holu – powtórzyła Saffy. – Dobrze.

– Musi je dostać za godzinę. Nie chcemy, żeby powtórzyło się to, co ostatnio.

– Oczywiście, że nie chcemy – zgodziła się Saffy. – Biedna Meredith myślała, że ujrzała ducha. W dodatku bardzo hałaśliwego.

Percy zesza już prawie na ostatni stopień schodów wejściowych, kiedy odwróciła się nagle.

– I... Saffy?

– Hm?

– Daj mi znać, gdyby ktoś przyjechał.

Odrażający handlarze śmiercią, żerujący na nieszczęściu starego człowieka, któremu mąci się w głowie. Szepczą mu do ucha, podsycają jego strach, jego dawne poczucie winy. Potrząsają katolickimi krzyżami, snują się po zamkowych zakamarkach, bełkocząc łącińskie brednie i

wmawiając tacie, że wytwory jego wyobraźni są prawdziwymi demonami. A wszystko po to, żeby po jego śmierci położyć łapę na zamku.

Zaczęła skubać skórki wokół paznokci, zastanawiając się, jak długo to jeszcze potrwa, kiedy będzie mogła wyjść na papierosa, czy udałoby jej się wymknąć niezauważenie, gdyby wstała, udając bardzo ważną, służbową sprawę. Pastor coś powiedział i wszyscy się podnieśli; Harry wziął Lucy za rękę i poprowadził ją między ławami z taką czułością, że Percy nawet teraz nie potrafiła go znienawidzić.

Twarze młodej pary ożywiły się z radości i Percy robiła, co mogła, aby dostroić się do ogólnego nastroju ceremonii. Udało jej się nawet głośno roześmiać, dołączyć do zbiorowych owacji, kiedy małżonkowie wychodzili z nawy głównej na zalany słońcem dziedziniec. Zaciśnięta dłonie na oparciu ławy, wykrzywiła twarz w sztucznej wesołości i czuła się jak mechaniczna kukielka. Ktoś ukryty wysoko nad nachylonym sklepieniem kościoła pociągnął za niewidzialny sznurek i Percy chwyciła torebkę leżącą obok niej na pulpicie. Z szerokim uśmiechem udawała, że jest żywą, czującą istotą.

✦

Był to jeden z tych drogocennych kwietniowych dni, gdy lato zaczyna zapowiadać swoje nadejście. Magnolie zakwitły, tak jak Saffy miała nadzieję. Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

– No dalej, guzdrałko! – Odwróciła się, żeby popędzić Meredith. – Jest sobota, słońce świeci, a twoi rodzice przyjeżdżają w odwiedziny, nie masz wymówki, żeby tak się wlec.

Doprawdy, ten dzieciak był w wisielczym humorze. Przecież powinna być zadowolona, że zobaczy rodziców, a tu od samego rana snuje się z kąta w kąt z nosem spuszczonej na kwintę. Oczywiście Saffy domyślała się dlaczego.

– Nie martw się – powiedziała, kiedy Meredith ją dogoniła. – Juniper niedługo zejdzie. To nigdy nie trwa dłużej niż dzień lub dwa.

– Ale siedzi tam na górze od kolacji. Zamknęła drzwi na klucz i nikomu nie otwiera. Nie rozumiem... – Dziewczynka skrzywiła się, mrużąc oczy, a Saffy aż się przestraszyła, jak ten niezbyt twarzowy grymas chwycił ją za serce. – Co ona robi?

– Pisze – odrzekła po prostu Saffy. – Tak to jest z Juniper. Ale potem będzie taka jak dawniej. Proszę – powiedziała, dając Meredith stos talerzyków do ciasta. – Możesz pomóc, rozkładając je na stole. Usadźmy twoich rodziców tyłem do żywoplotu, aby mogli patrzeć na ogród?

– Dobrze – odparła Meredith, rozchmurzając się.

Saffy uśmiechnęła się w duchu. Meredith Baker była tak zachwycająco uległa, jakież to cudowny kontrast w porównaniu z wychowywaniem Juniper. Nie ma to jak dziecko, aby tchnąć nowe życie w stary, zmęczony kamień. Nawet Percy od razu dziewczynkę polubiła, kiedy się przekonała, że tralki w schodach pozostały nietknięte.

Jednak największą niespodziankę sprawiła im Juniper. Nigdy przedtem Saffy nie widziała, żeby okazywała komuś tyle troski i uczucia co ich małej ewakuantce. Słyszała czasem, jak rozmawiają i chichoczą w ogrodzie, i była zdumiona, ale przyjemnie, niekłamaną tkliwością w głosie Juniper. Słowo „tkliwość” nigdy nie przyszło jej do głowy, kiedy myślała o Juniper.

– Przygotujmy tutaj miejsce dla June, na wszelki wypadek – powiedziała, wskazując stół. – Ty usiądź obok. Myślę, że... Percy tam...

Meredith szła za nią i układała talerzyki, lecz nagle się zatrzymała.

– A co z tobą? – spytała. – Gdzie ty usiądziesz? – Możliwe, że wyczytała przeprosiny malujące się na twarzy Saffy, bo dodała szybko: – Przyjdziesz, prawda?

– Posłuchaj, skarbie. – Saffy opuściła dłoń z pękiem widelczyków do ciasta. – Bardzo bym chciała poznać twoich rodziców, przecież o tym wiesz. Ale Percy jest w takich sprawach okropnie konserwatywna. Jest najstarsza i pod nieobecność taty pełni funkcję głowy domu. Wiem, że to dla ciebie brzmi dziwnie i staromodnie, ale takie panują u nas zwyczaje. Tak tata zawsze przyjmuje gości w Milderhurst.

– Ale czemu nie możecie przyjść obie?

– Jedna z nas musi zostać w domu, na wypadek gdyby tata potrzebował pomocy.

– Ale Percy...

– Percy z niecierpliwością oczekuje przyjazdu twoich rodziców.

Meredith nie była przekonana, a na jej dziecięcej buzi malowało się takie gorzkie rozczarowanie, że Saffy zrobiłaby wszystko, żeby ją rozweselić.

Kiedy dziewczynka westchnęła przeciągle i żałośnie, resztkę stanowczości wyparowała z niej bez śladu.

– Och, Merry – powiedziała, zerkając ukradkiem przez ramię. – Nie powinnam ci tego mówić, ale jest jeszcze jeden powód, dla którego muszę zostać w domu.

Usiadła na brzegu rozchwianej ławki ogrodowej i dała Meredith znak, żeby zrobiła to samo. Wzięła głęboki, uspokajający oddech i z mocnym postanowieniem wypuściła powietrze z piersi. A potem opowiedziała dziewczynce o telefonie, którego się spodziewa tego popołudnia.

– To bardzo ważny prywatny kolekcjoner z Londynu – oznajmiła. – Napisałam do niego list w odpowiedzi na małe ogłoszenie, które zamieścił w gazecie. Poszukuje asystentki do pomocy przy katalogowaniu swoich zbiorów. Całkiem niedawno dostałam odpowiedź, że moje zgłoszenie wygrało i że zadzwoni dziś po południu, aby omówić szczegóły mojego zatrudnienia.

– Co on kolekcjonuje?

Saffy splotła dłonie pod brodą.

– Antyki, dzieła sztuki, książki, różne piękne rzeczy!

Z podniecenia ożyły drobniotkie piegi na małym nosku Meredith i Saffy znów pomyślała, jakie z niej śliczne dziecko i jak bardzo się rozwinęła w sześć krótkich miesięcy. Pomyśleć tylko, jakim chudym bezdomnym biedactwem była, kiedy Juniper przywiozła ją do domu! Pod bladą londyńską skórą i nędzną sukienczyną drzemał bystry umysł i taki nienasycony głód wiedzy.

– Czy będę mogła obejrzeć tę kolekcję? – spytała Meredith. – Zawsze chciałam zobaczyć prawdziwy egipski zabytek.

Saffy wybuchnęła śmiechem.

– Naturalnie. Jestem pewna, że pan Wicks z największą chęcią pokáže swoje cenne zbiory takiej bystrej młodej damie jak ty.

Meredith promieniała, a Saffy poczuła ukłucie sumienia. Czy to nie jest trochę okrutne nabijać dziewczynce głowę takimi marzeniami, a zarazem oczekiwać, że nikomu o nich nie powie?

– Posłuchaj, Merry – powiedziała – to bardzo ekscytująca wiadomość, ale musisz pamiętać, że to sekret. Percy jeszcze nic o tym nie wie i na razie nie powinna.

– Dlaczego? – Oczy Merry rozszerzyły się jeszcze bardziej. – Co takiego mogłaby zrobić?

– Na pewno jej się to nie spodoba. Nie będzie chciała, żebym wyjeżdżała. Nie lubi zmian, woli, żeby wszystko zostało tak jak teraz: żebyśmy mieszkali tu wszystkie trzy razem. Jest bardzo opiekuńcza.

Meredith kiwała głową, przysłuchując się tej analizie rodzinnych związków z takim zafascynowaniem, że Saffy tylko czekała, aż wyjmie swój dziennik i zacznie robić notatki. Jej ciekawość była jednak całkiem zrozumiała, każdy, kto słyszał opowieści o starszej siostrze dziewczynki, wiedział, że zjawisko opiekuńczości ze strony starszego rodzeństwa musi być jej całkiem obce.

– Percy jest moją bliźniaczką i bardzo ją kocham, ale czasami człowiek musi przedłożyć swoje własne pragnienia ponad rodzinne więzy. Szczęście nie jest dane człowiekowi z góry, trzeba je umieć uchwycić.

Uśmiechnęła się i w ostatniej chwili się powstrzymała, aby nie dodać, że miała jeszcze inne możliwości, inne utracone szanse. Co innego zdradzić coś dziecku w zaufaniu, a co innego obciążać je rozczarowaniami wieku średniego.

– Ale co zrobisz, kiedy nadejdzie pora twojego wyjazdu? – spytała Meredith. – Wtedy Percy się dowie.

– Och, powiem jej o tym wcześniej! – odrzekła Saffy ze śmiechem. – Oczywiście, że jej powiem. Nie zamierzam uciekać pod osłoną nocy. Muszę tylko znaleźć odpowiedni sposób, odpowiednie słowa, aby nie zranić uczuć Percy. Dopóki tego nie zrobię, uważam, że najlepiej będzie, aby od nikogo o tym nie usłyszała. Rozumiesz?

– Tak – powiedziała Meredith z zapartym tchem.

Saffy przygryzła dolną wargę. Męczyło ją poczucie, że popełniła błąd, że to było nieuczciwe stawiać dziecko w tak niezręcznej sytuacji. Chciała tylko wyrwać ją z tego żalosego nastroju.

Meredith opacznie zrozumiała milczenie Saffy.

– Nie powiem ani słowa, obiecuję. Ani mru-mru. Umiem dotrzymać sekretów.

– Och, Meredith. – Saffy uśmiechnęła się smutno. – Nie wątpię w to. Nie o to chodzi. Chyba powinnam cię przeprosić. Nie powinnam była żądać od ciebie ukrywania czegoś przed Percy. Wybaczysz mi?

Meredith skinęła poważnie głową, a Saffy dostrzegła na jej twarzy

błysk dumy, że została potraktowana jak dorosła. Pamiętała swoje własne pragnienie, aby jak najszybciej wyrosnąć z dzieciństwa, jak niecierpliwie czekała, jak stała na skraju urwiska i błagała dorosłość, aby ją porwała w objęcia, a teraz zastanawiała się, czy można spowolnić tę samą podróż innej osoby. Czy to uczciwe w ogóle próbować? Nie ma przecież nic złego w tym, że chce oszczędzić Meredith goryczy, tak jak starała się uchronić Juniper od przedwczesnej dorosłości i jej rozczarowań.

– Posłuchaj, skarbie – powiedziała, wyjmując z rączek dziewczynki ostatni talerzyk. – Zostaw mnie tu, dokończę nakrywać do stołu. Idź i pobaw się, czekając na rodziców. Poranek jest zbyt śliczny, aby go marnować na prace domowe. Postaraj się tylko nie pobrudzić sukienki.

Merry miała na sobie jeden z fartuszków, które Saffy uszyła jej zaraz po przyjeździe. Wykorzystała w tym celu piękny materiał, który zamówiła wiele lat temu u Liberty'ego tylko dlatego, że był zbyt śliczny, żeby go nie kupić. Od tamtej pory leżał bezproduktywnie w szafie w szwalni i czekał cierpliwie, aż Saffy znajdzie dla niego zastosowanie.

Kiedy Meredith rozplynęła się na horyzoncie, Saffy wróciła do stołu, aby się upewnić, czy wszystko jest przygotowane jak trzeba.

■

Wędrując bez celu przez wysoką trawę, Meredith wywijała na boki patykiem i zastanawiała się, jak to możliwe, żeby nieobecność jednej osoby mogła tak całkowicie obdrzeć dzień z całego kształtu i uroku. Obeszła wzgórze dookoła, dotarła do strumienia i podążyła z jego nurtem do mostka dźwigającego podjazd.

Zastanawiała się, czy pójść dalej, w głąb lasu, gdzie światło słońca ledwo się sączyło, gdzie znikwały cętkowane pstrągi, a woda płynęła gęsta jak melasa. Dojdzie aż do miejsca, gdzie zaczyna się puszcza, do zapomnianego stawu pod najstarszym drzewem w lesie Cardarker. Miejsce to tonie w tak natarczym mroku, że Meredith na początku bardzo go nie lubiła. Mama i tata przyjadą najwcześniej za godzinę, miała jeszcze czas. Zna drogę, wystarczy się trzymać bulgoczącego strumienia...

Ale bez Juniper to nie będzie takie przyjemne. Tylko mokro i ciemno, i dość śmierdząco.

– Czy tu nie jest cudownie? – zapytała Juniper, kiedy przyszły tu pierwszy raz.

Meredith nie była tego pewna. Siedziały na zimnym, wilgotnym pniu, tenisówki jej zamokły, kiedy się pośliznęła na kamieniu. W majątku był jeszcze jeden staw – z motylkami, ptakami i liną kołyszącą się leniwie w nakrapianym słońcu i o niebo wołałaby spędzić dzień właśnie tam. Nie powiedziała tego jednak na głos, siła przekonywania Juniper była tak nieodparta, że Meredith nie miała wątpliwości: to jej sposób rozumowania jest ułomny, to ona ma niedojrzały gust i za mało się stara. Zawzięła się w sobie i odparła z uśmiechem:

– Tak.

I jeszcze raz, z większym uczuciem:

– Tak, tu jest rzeczywiście wspaniale.

Jednym płynnym ruchem Juniper poderwała się na nogi, rozłożyła ramiona na boki i przebiegła na palcach po zwałonym pniu.

– To przez cienie – powiedziała. – I tę trzcinę, która ześlizguje się na brzegach do wody, jakby się podkradała. I ten zapach wilgoci, mułu i gnicia.

Uśmiechnęła się z ukosa do Meredith.

– To miejsce jest prawie prehistoryczne. Gdybym ci powiedziała, że przekroczyliśmy niewidzialny próg do przeszłości, uwierzyłabyś?

Meredith zadrżała wtedy tak jak teraz i jakiś maleńki, gładki magnes skryty w głębi jej ciała zadrżał ukrytym pragnieniem, poczuła szarpnięcie niewytłumaczalnej tęsknoty.

– Zamknij oczy i posłuchaj – wyszeptła Juniper z palcem na ustach. – Usłyszysz, jak pająki przędą sieć...

Meredith zamknęła teraz oczy. Słuchała chóru świerszczy, pluskania pstrągów, dalekiego warkotu traktora... Towarzyszył im też inny dźwięk, który tu nie pasował – odgłos silnika, uprzytomniła sobie, całkiem niedaleko i był coraz bliżej.

Otworzyła oczy i zobaczyła czarny samochód wyjeżdżający spod zamku krętym żwirowym podjazdem. Meredith nie mogła oderwać od niego oczu. Goście byli w Milderhurst rzadkim zjawiskiem, samochody jeszcze rzadszym. Niewielu ludzi miało benzynę w takim nadmiarze, żeby składać wizyty towarzyskie, a z tego, co Meredith wiedziała, ci, co ją mieli, gromadzili zapasy, aby uciec na północ, kiedy zaatakują Niemcy.

Nawet ksiądz, który odwiedzał starego pana Blythe'a w wieży, przychodził ostatnio na piechotę. Ten gość musi być kimś ważnym, uznała Meredith, kimś, kto przyjechał w ważnej, wojennej sprawie.

Samochód przejechał, nieznamy mężczyzna za kierownicą spojrzął na Meredith surowo i dotknął czarnego kapelusza. Mrużąc oczy, patrzyła za pojazdem oddalającym się ostrożnie po zwirowej nawierzchni. Wkrótce zniknął za leśnym zakrętem, by po chwili wyłonić się na końcu podjazdu i w postaci czarnej kropki skrócić na drogę do Tenterden.

Meredith ziewnęła i szybko o nim zapomniała. Koło mostka rosły kępki fiołków, nie mogła się oprzeć pokusie, aby kilku nie zerwać. Kiedy nazbierała śliczny, gruby bukiet, wdrapała się na mostek, usiadła na poręczy i śniąc na jawie, upuszczała kwiatki do wody, po czym patrzyła, jak płynąc z nurtem, kręcą fioletowe salta.

– Dzień dobry.

Podniosła wzrok i zobaczyła Percy Blythe pchającą rower pod górę w niezbyt twarzowym kapeluszu i z nieodstępnym papierosem w dłoni. Sroga Bliźniaczka, jak ją nazywała w myślach Meredith, chociaż dzisiaj na jej twarzy malowało się coś jeszcze, coś innego niż srogość i coś więcej niż smutek. Może to przez ten kapelusz.

– Dzień dobry – odpowiedziała Meredith i złapała się poręczy, żeby nie spaść.

– Czyżby już minęło południe? – Percy zatrzymała się i potrząsnęła ręką, aby sprawdzić godzinę na małym cyferblacie po wewnętrznej stronie nadgarstka. – Pół godziny temu. Nie zapomnij, że mamy dzisiaj gości na herbacie. – Zerknęła na nią znad papierosa, zaciągając się głęboko, a potem wypuszczając powoli dym. Twoi rodzice byliby rozczarowani, gdyby przebyli całą tę długą drogę z Londynu i nie spotkali się z tobą.

Meredith domyśliła się, że to był żart, ale na twarzy Percy nie widać było śladu wesołości. Na wszelki wypadek więc uśmiechnęła się uprzejmie. Najwyżej Percy pomyśli, że nie dosłyszała.

Percy nie dała żadnego znaku, że zauważyła reakcję Meredith, a tym bardziej że się tym kłopotuje.

– No – powiedziała – robota czeka.

To rzekłszy, skinęła oschle głową i ruszyła w kierunku zamku.

4.

Kiedy Meredith zobaczyła w końcu rodziców idących drogą w stronę zamku, jej żołądek zrobił fikołka. Przez ułamek sekundy miała wrażenie, że widzi zbliżające się postaci ze snu, tak dobrze znajome, a jednak zupełnie nie na miejscu tutaj, w prawdziwym świecie. To uczucie trwało tylko moment, zanim jakiś trybik percepcji wskoczył na swoje miejsce i zobaczyła we właściwym świetle, że to mama i tata, że wreszcie przyjechali i że ma im tyle do opowiedzenia. Pobiegła co sił z rozpostartymi ramionami, a tata uklęknął i również rozpostarł ramiona, aby mogła paść w jego wielkie, ciepłe objęcia. Mama pocałowała ją w policzek, co było niezwykle i dość przyjemne i ponieważ ani Rita, ani Ed ich nie widzieli i nie mogli jej dokuczać, pozwoliła tacie poprowadzić się dalej za rękę i przez całą drogę nie przestawała opowiadać o zamku, bibliotece, polach, potoku i lasach.

Percy czekała już przy stole. Kiedy ich zobaczyła, zgasiła papierosa, wygładziła spódnicę i wyciągając rękę, powitała gości z nieco afektowaną ceremonialnością.

– Jak minęła państwu podróż? Mam nadzieję, że nie była zbyt męcząca?

Pytanie było zupełnie zwyczajne, nawet uprzejme, lecz Meredith uszami swoich rodziców usłyszała w nim nieco przesłodzony ton wyższości i żałowała, że nie mogło go zastąpić ciepłe powitanie Saffy.

– Bardzo długa – odpowiedziała mama cichym głosem, w którym pobrzmiwała nuta podejrzliwości. – Ciągłe się zatrzymywaliśmy, żeby przepuścić pociągi z wojskiem. Więcej czasu spędziliśmy na bocznicach niż w drodze.

– Nasi chłopcy muszą jakoś dojechać na wojnę – włączył się tata. – Trzeba pokazać Hitlerowi, że Anglia doskonale sobie radzi.

– Słusznie, panie Baker. Proszę, niech państwo spoczną – zaproponowała Percy, wskazując miejsce przy stole. – Pewnie zgłodnieliście po podróży.

Nalała herbaty i poczęstowała gości ciastem, które upiekła Saffy. Rozmowa toczyła się nieco sztywno: o zatłoczonych pociągach, o sytuacji na froncie (Dania się poddała, czy Norwegia będzie następna?) i o prognozach na najbliższą przyszłość. Meredith skubała kawałek ciasta i obserwowała. Obawiała się, że rodzice obrzucą jednym spojrzeniem zamek, drugim Percy Blythe z jej afektowanym akcentem i kręgosłupem sztywnym jak kij od miotły i natychmiast się nastroszą, lecz jak do tej pory sprawę toczyły się dosyć gładko.

Co prawda mama była niezwykle cicha. Jedną ręką nerwowo ścisnęła torebkę na kolanach, i to niepokoiło Meredith, która nigdy przedtem nie widziała, żeby mama się denerwowała – ani z powodu szurów, ani pajaków, ani nawet z powodu pana Lane'a, który mieszkał naprzeciwko i zbyt długo przesiadywał w pubie. Tata wydawał się nieco bardziej swobodny, kiwał głową, kiedy Percy opowiadała o walkach powietrznych spitfire'ów albo o paczkach z żywnością dla żołnierzy we Francji, popijał herbatę z ręcznie malowanych, porcelanowych filiżanek, jakby to robił na co dzień. No, prawie. W jego dłoniach filigranowe naczynia wyglądały jak zabawki dla lalek i Meredith po raz pierwszy zauważyła, jakie ogromne ma palce. Ogarnęła ją niespodziewana fala czułości, wyciągnęła rękę i położyła na jego dłoni. W ich rodzinie nie było zwyczaju fizycznego wyrażania uczuć i tata zerknął na nią zdziwiony, ale odwzajemnił jej uścisk.

– Jak tam twoja szkoła, kochanie? – Nachylił się do niej jednym ramieniem i puścił oko do Percy. – Nasza Rita jest urodziwa, ale mała Meredith ma rozum za wszystkich.

Meredith rozpieła duma.

– Mam lekcje z Saffy. Powinieneś zobaczyć zamkową bibliotekę, jest tu więcej książek niż w objazdowej wypożyczalni. Wszystkie ściany są nimi zastawione. I uczę się łaciny...

Och, jak ona uwielbiała łacinę. Dźwięki przeszłości mieniące się bogactwem znaczeń, pradawne głosy na wietrze. Poprawiła sobie okulary

na nosie; tak często się zsuwały, kiedy dawała się ponieść emocjom.

– I gram na pianinie.

– Moja siostra, Seraphina, jest bardzo zadowolona z postępów państwa córki – oznajmiła Percy. – Doskonale sobie radzi, zważywszy, że nigdy przedtem nie widziała fortepianu.

– Naprawdę? – powiedział tata, potrząsając dłońmi w kieszeniach tak, że jego łokcie wykonywały nad stołem przedziwne ruchy. – Moja córeczka wygrywa melodie?

Meredith uśmiechnęła się z dumą i zastanawiała się, czy nie zaczerwieniły jej się uszy.

– Kilka – przytaknęła.

Percy dołała wszystkim herbaty.

– Może zabierzesz później rodziców do środka, Meredith, do sali muzycznej, i zagrasz im coś?

– Słyszałaś, mamusiu? – Tata kiwnął brodą. – Nasza Meredith umie grać prawdziwą muzykę.

– Słyszałam.

Twarz mamy nagle stężała. Tę samą minę widywała Meredith, kiedy rodzice się kłócili i tata popełnił drobny, lecz fatalny błąd, który przypieczętował jej zwycięstwo. Głosem prawie drżącym z napięcia powiedziała do córki, zupełnie jakby Percy tam nie było:

– Brakowało nam ciebie na święta.

– Mnie też was brakowało, mamusiu. Naprawdę chciałam was odwiedzić, ale nie kursowały pociągi. Potrzebowali wszystkich dla żołnierzy.

– Rita wraca dzisiaj z nami do domu. – Mama odstawiła filiżankę na spodeczek, stanowczym ruchem poprawiła łyżeczkę, a potem ją odsunęła. – Znaleźliśmy jej pracę w salonie fryzjerskim przy Old Kent Road. Zaczyna od poniedziałku. Na razie będzie głównie sprzątać, ale później nauczą ją też strzyc i czesać. – Oczy mamy załśniły z dumy. – To jest najlepsza pora, Merry, dużo dziewcząt wstąpiło do kobiecych korpusów pomocniczych albo poszło do fabryk. W Londynie aż roi się od świetnych okazji dla młodej dziewczyny bez perspektyw.

Meredith aż podskoczyła. Oczywiście, Rita ciągle zajmowała się swoimi włosami i swoją drogocenną kolekcją kosmetyków upiększających.

– To dobry pomysł, mamusiu. Fajnie mieć w rodzinie kogoś, kto cię ostrzyże i uczesze.

Mama nie wyglądała na zadowoloną z tej odpowiedzi. Percy wyjęła papierosa ze srebrnej papierošnicy i zaczęła szukać w kieszeni zapalniczki. Tata odchrząknął.

– Rzecz w tym, Merry – powiedział, a Meredith czuła, że jego skrępowanie nie wroży nic dobrego – że naszym zdaniem to byłaby również dla ciebie odpowiednia pora.

Wtedy Meredith zrozumiała. Chcieli, żeby z nimi wróciła do domu, żeby została fryzjerką i wyjechała z Milderhurst. Poczwała w żołądku narastającą panikę, węzeł przetaczał się w dół i w górę. Zamrugwała, poprawiła okulary i zaczęła się jękać:

– Ale... ale, ja nie chcę zostać fryzjerką. Saffy mówi, że powinnam dokończyć naukę. Że mogłabym nawet dostać się do szkoły średniej, kiedy skończy się wojna.

– Mama myśli o twojej przyszłości, fryzjerstwo to dobry zawód, ale jeśli chcesz, możemy poszukać czegoś innego. Na przykład w biurze. Może w którymś ministerstwie?

– Ale w Londynie jest niebezpiecznie – powiedziała nagle Meredith.

To był przebłysk geniuszu, tak naprawdę ani trochę się nie bała Hitlera ani jego bomb, ale może w ten sposób ich przekona? Tata poklepał ją z uśmiechem po ramieniu.

– Nie ma się czego obawiać, moje dziecko. Wszyscy dokładamy starań, żeby rozgromić Hitlera. Mama pracuje w zakładach zbrojeniowych w dzień, a ja na nocną zmianę. Nie ma żadnych bomb ani gazów bojowych, miasto wygląda tak jak zawsze.

Tak jak zawsze. Meredith wyobraziła sobie stare, brudne dzielnice, a wśród nich ulicę, przy której mieszkała, i uprzytomniła sobie, jak rozpaczliwie pragnie pozostać w Milderhurst. Zaciskając palce, odwróciła się w stronę zamku. Jaka szkoda, że nie może przywołać Juniper samą tylko siłą woli i potrzeby, albo Saffy, która na pewno powiedziałaaby coś mądrego, czym przekonałaby jej rodziców, że nie powinni jej zabierać, że muszą pozwolić jej tu zostać.

Być może za sprawą dziwnego bliźniaczego porozumienia Percy wybrała ten właśnie moment, aby wtrącić się do dyskusji.

– Drodzy państwo – powiedziała, stukając papierosem w srebrne pudełko i sprawiając wrażenie, jakby wolałaby być teraz w każdym innym miejscu na świecie byleby nie tutaj – doskonale rozumiem, że chcielibyście zabrać córkę do domu, ale jeśli dojdzie do inwazji...

– Wracasz z nami dzisiaj po południu, młoda damo. – Nastroszyła się mama. Nawet nie spojrzała w stronę Percy, za to córkę przyspiliła spojrzeniem, które zwiastowało surową karę w stosownym czasie. – To moje ostatnie słowo.

Oczy Meredith zasły łzami.

– Nie, nie wracam.

– Nie pyskuj matce – warknął tata.

– Och – powiedziała nagle Percy, podnosząc przykrywkę dzbanka i zagłębując do środka. – Skończyła się herbata. Proszę wybaczyć, pójdę po świeżą. Niestety, mamy niedostatki rąk do pracy. Rozumieją państwo, wojenne ograniczenia.

Wszyscy troje patrzyli, jak odchodzi, po czym mama syknęła do taty:

– „Niedostatki rąk do pracy”, słyszałeś?

– Daj spokój, Annie.

Tata wolał unikać konfrontacji. Był łagodnym olbrzymem, człowiekiem, którego imponująca postura działała na tyle odstrasżająco, że rzadko musiał uciekać się do wymiany ciosów. Mama natomiast...

– Ta kobieta patrzyła na nas z góry od pierwszej chwili, kiedy przyjechaliśmy. „Wojenne ograniczenia”, też coś, w takim miejscu jak to. – Wyrzuciła rękę w stronę zamku. – Pewnie uważa, że nasze miejsce jest tam, wśród służby.

– Nieprawda – odezwała się Meredith. – Oni nie są tacy.

– Meredith.

Tata cały czas wpatrywał się w ziemię, ale podniósł głos prawie błagalnie i rzucił jej szybkie spojrzenie spod zmarszczonych brwi. Zwykle stała bez słowa u jego boku, kiedy mama z Ritą zaczynały wrzeszczeć. Ale nie dzisiaj, dzisiaj nie mogła stać i milczeć.

– Ale tatusiu, popatrz, jaki przygotowały śliczny poczęstunek, specjalnie...

– Dosyć tego pyskowania, moja panno. – Mama wstała i złapała ją za rękaw nowej sukienki mocniej, niż zrobiłaby to w innych okolicznościach. – Idź natychmiast do środka i zabierz swoje rzeczy. Swoje

normalne ubrania. Niedługo odjeżdża pociąg i wszyscy do niego wsiądzimy.

– Nie chcę jechać – powiedziała Meredith, odwracając się błagalnie do ojca. – Pozwólcie mi zostać. Tatusiu, proszę, nie każ mi stąd wyjeżdżać. Ja się uczyć...

– Phi! – Mama machnęła lekceważąco ręką. – Już ja widzę, czegoś się tu uczyła z tą nadętą damulką: bezczelnego odzywiania się do rodziców. Zapomniałaś, kim jesteś i skąd pochodzisz. – Potrząsnęła palcem w kierunku taty. – Mówiłam ci, że nie powinniśmy ich wysyłać z domu. Trzeba je było zostawić, tak jak chciałam...

– Dosyć! – Nie wytrzymał w końcu tata. – Wystarczy, Annie. Usiądź. Nie ma potrzeby się tak gorączkować. Dziewczynki wracają z nami do domu.

– Ja nie wracam!

– Ja ci pokażę! – zagroziła mama, unosząc otwartą dłoń. – Wracasz, i zobaczysz, co cię czeka w domu.

Tata poderwał się na nogi i złapał mamę za nadgarstek.

– Annie, na litość boską, przestań!

Zajrzał jej w oczy i coś między nimi zaszło. Meredith zobaczyła, jak mamy dłoń wiotczeje. Tata skinął jej głową.

– Wszyscy za bardzo się unieśliśmy.

– Ty rozmawiaj ze swoją córką, ja nie mogę na nią patrzeć. Mam nadzieję, że poczuje kiedyś, co to znaczy stracić dziecko.

To powiedziawszy, odeszła z ramionami owiniętymi wokół chudego ciała.

Tata sprawiał wrażenie bardzo starego i zmęczonego. Przebiegł dłonią po włosach, które rzedniały na czubku; Meredith widziała na skórze ślady pozostawione rano przez grzebień.

– Nie powinnaś mieć do niej żalu, jest wybuchowa, sama wiesz. Martwiła się o ciebie, oboje się martwiliśmy. – Zerknął znów na zamek wznoszący się nad nimi wyniośle. – Słyszeliśmy różne historie, Rita bardzo narzekala w listach, a inne dzieci opowiadały straszne rzeczy o tym, jak je traktowano.

I to wszystko? Meredith czuła, jak bulgocze w niej wzbierająca gorączka. Wiedziała, że wiele ewakuowanych dzieci nie miało tyle szczęścia co ona, ale jeśli tylko o to chodziło, jeśli tylko o to się martwili, to może ich uspokoić, że nic jej tu nie grozi.

– Nie musicie się o mnie martwić, tatusiu. Napisałam wam w listach, że jestem tu szczęśliwa. Nie czytałeś ich?

– Oczywiście, że czytałem, to była zawsze najmiłsza chwila, kiedy dostawaliśmy od ciebie list.

Meredith nie miała wątpliwości, że mówił prawdę, słyhać to było w jego głosie. Wyobraziła ich sobie, jak siedzą przy stole pogrążeni w lekturze.

– W takim razie – powiedziała, nie patrząc mu w oczy – wiecie, że czuję się tu dobrze. Nawet lepiej niż dobrze.

– Wiem, że tak pisałaś. – Spojrzał w kierunku mamy, aby się upewnić, że ich nie słyszy. – To też nas niepokoiło. Twoje listy były takie... radosne. A mama usłyszała od swojej znajomej, że niektóre rodziny podmieniały listy, które dzieci wysyłały do domu. Nie pozwalały im pisać o rzeczach, które by o nich źle świadczyły. – Westchnął ciężko. – Ale z tobą tak nie jest, prawda, Merry?

– Nie, tatusiu.

– Jesteś tu szczęśliwa, tak jak pisałaś w listach?

– Tak.

Widziała, że ojciec się waha. Nadzieja rozbłysła jej w oczach jak sztuczne ognie. Dodała szybko:

– Percy jest trochę sztywna, ale Saffy jest cudowna. Moglibyście ją poznać, gdybyście weszli do środka. Mogłabym wam zagrać piosenkę na pianinie.

Tata popatrzył w górę na zamkową wieżę, na mur skąpany w słońcu. Meredith obserwowała, jak zwięzają mu się źrenice; czekała, próbując wyczytać coś z jego szerokiej, pustej twarzy. Poruszał ustami, jakby brał wymiary albo zapamiętywał jakieś liczby, ale nie potrafiła odgadnąć, jaki wynik wypadnie w równaniu. Jednym okiem spoglądał na swoją żonę kipiącą ze złości przy fontannie i Merry zrozumiała: teraz albo nigdy.

– Proszę, tatusiu. – Złapała go za rękaw koszuli. – Proszę, nie każcie mi wracać. Tyle się tutaj uczę, dużo więcej niż w Londynie. Przekonaj mamusię, że tu jest mi lepiej.

Tata westchnął cicho, patrząc ze zmarszczonym czołem na odwrócone plecy mamy. Meredith widziała, jak zmienia się na twarzy, jak jego rysy przybierają wyraz czułości. Ale nie spojrzął na nią ani się nie odezwał. W końcu podążyła za jego wzrokiem i zobaczyła, że mama trochę

się odwróciła i stała teraz bokiem z jedną ręką opartą na biodrze, drugą bawiła się paskiem przy sukience. Za jej postacią wyszło słońce i wyłowiło czerwone błyski w jej brązowych włosach. Wyglądała ślicznie i bezradnie i niezwykle młodo. Patrzyli sobie w oczy i w jednej, głuchej chwili Meredith pojęła, że ta czułość na jego twarzy nie była przeznaczona dla niej, tylko dla mamy.

– Przykro mi, Merry – powiedział, przykrywając dłonią jej palce, cały czas ściskające go za koszulę. – To dla twojego dobra. Idź i przynieś swoje rzeczy, wracamy do domu.

Wtedy Meredith zrobiła bardzo nikkczemną rzecz. Co prawda były argumenty, które ją tłumaczyły: że ograbiono ją z możliwości wyboru, że jest dzieckiem i będzie nim jeszcze przez kilka lat, a nikogo nie obchodzi, czego ona pragnie; traktowano ją jak paczkę albo walizkę, albo bezdomnego kota, którego przegania się z miejsca na miejsce w zależności od tego, co dorośli uznają za stosowne.

Wzięła tatę za rękę i powiedziała:

– Mnie też jest przykro, tatusiu.

A kiedy na jego kochanej twarzy odmalowało się jeszcze większe zdumienie, Meredith uśmiechnęła się przeproszająco i unikając wściekłych spojrzeń mamy, puściła się biegiem najszybciej, jak umiała i po chwili wpadła między chłodne, bezpieczne cienie lasu Cardarker.

✠

Percy odkryła plany Saffy całkiem przypadkowo. Gdyby nie wyszła ze spotkania z rodzicami Meredith, nic by nie wiedziała. Aż byłoby za późno. Na szczęście uznała publiczne pranie brudów za równie żenujące, co nudne i wymówiwszy się herbatą, weszła do zamku tylko po to, aby wrócić po jakimś czasie, kiedy opadnie kurz. Spodziewała się zastać Saffy przyczajoną przy oknie i obserwującą z daleka przebieg spotkania, aby następnie zażądać dokładnej relacji: jak wyglądają rodzice Meredith? Czy smakowało im ciasto? Zdziwiła się więc nieco, kiedy zastała kuchnię pustą.

Przypomniała sobie, że nadal trzyma w ręku dzbanek do herbaty, i idąc konsekwentnie za swoją raczej kiepską wymówką, postawiła czajnik na kuchence. Czas płynął powoli, oderwała uwagę od ognia i zaczęła się zamiast tego zastanawiać, co takiego okropnego uczyniła, aby zasłużyć

sobie na ślub i gości na podwieczorku jednego dnia. Wtedy usłyszała ostry brzęk dzwonka dochodzący z kredensu. Ostatnimi czasy rzadko dzwoniły telefony – od kiedy poczta ostrzegła, że towarzyskie pogawędki mogą spowolnić ważne połączenia wojskowe – więc chwilę zajęło, zanim Percy uprzytomniła sobie, co powoduje taki niecierpliwy raban.

W efekcie gdy w końcu podniosła słuchawkę, jej głos brzmiał nieufnie, a nawet lękliwie.

– Zamek Milderhurst, słucham.

Rozmówca przedstawił się natychmiast jako pan Archibald Wicks z Chelsea i poprosił do telefonu pannę Seraphinę Blythe. Zaskoczona Percy zaproponowała, że może przekazać wiadomość, na co dzentelmen oznajmił, że jest pracodawcą Saffy i dzwoni, aby skorygować swą poradę dotyczącą zakwaterowania w Londynie na przyszły tydzień.

– Przykro mi, panie Wicks – odrzekła Percy, czując, jak żyły pęcznią jej pod skórą. – Obawiam się, że musiało zajść jakieś nieporozumienie.

Głos w słuchawce się zawahał.

– Powiedziała pani: nieporozumienie? Przepraszam, ale źle słychać na linii.

– Seraphina... moja siostra, nie będzie mogła przyjąć posady w Londynie.

– Ach. – Zapadła kolejna chwila ciszy, podczas której na linii słychać było tylko dalekie trzaski. Percy wyobraziła sobie przewody telefoniczne wiszące od słupa do słupa i kołyszące się na wicherze. – Widzi pani – ciągnął – to dosyć dziwne, ponieważ trzymam właśnie w ręku list, w którym panna Blythe przyjęła tę pracę. Oboje wyraziliśmy w korespondencji dość jednoznaczne deklaracje w tej sprawie.

To tłumaczyło liczbę listów, z jaką Percy kursowała ostatnio do zamku i z powrotem; upór Saffy, aby nie odstępować telefonu – „na wypadek gdyby przyszła jakaś ważna wiadomość związana z wojną”. Zaklęła na siebie w duchu. Tak ją pochłoneły sprawy wojny i Żeńskiej Służby Pomocniczej, że przestała zwracać uwagę, co się wokół niej dzieje.

– Rozumiem – powiedziała. – Jestem pewna, że Seraphina miała zamiar dotrzymać umowy. Jednak zdaje pan sobie sprawę, że wojna... a teraz nasz ojciec zaczął poważnie niedomagać. Obawiam się, że

Seraphina będzie przez jakiś czas potrzebna w domu.

Chociaż rozczarowany i ze zrozumiałych przyczyn zdezorientowany, pan Wicks dał się nieco udobruchać obietnicą pierwszego wydania *Człowieka z Błota* z autografem autora do swojej kolekcji rzadkich książek i rozłączył się w stosunkowo dobrym nastroju. Przynajmniej nie pozwie ich za zerwanie umowy.

Nie tak łatwo da się natomiast ułagodzić rozczarowaną Saffy. Gdzieś w oddali rozległ się odgłos wody spuszczonej w toalecie, po czym w ścianie zabulgotały rury. Percy usiadła na stołku i czekała. Kilka minut później wpadła do kuchni jej bliźniaczka.

– Percy! – Stała jak wryta i zerknęła w stronę otwartych drzwi do kredensu. – Co ty tu robisz? Gdzie jest Meredith? Jej rodzice już poszli? Wszystko w porządku?

– Przyszłam zaparzyć świeżej herbaty.

– Aha. – Saffy uśmiechnęła się z ulgą, lecz nadal niepewnie. – Pomogę ci. Na pewno nie chcesz zostawiać gości tak długo samych.

Wzięła do ręki słoik z herbatą i odkręciła pokrywkę.

Początkowo Percy zamierzała nie zdradzić się z tym, co się wydarzyło, i zabawić się kosztem siostry, ale rozmowa z panem Wicksem tak ją zaskoczyła, że miała w głowie kompletną pustkę. W końcu powiedziała po prostu:

– Dzwonił telefon, kiedy czekałam na wodę.

Tylko niezauważalne drgnięcie dłoni zdradziło zdenerwowanie Saffy, kilka herbacianych listków sfrunęło z brzegów łyżeczki.

– Telefon? Kiedy?

– Przed chwilą.

– Aha. – Saffy zmiotła rozsypane suche listki na dłoń, gdzie leżały jak martwe mrówki. – Jakieś wojenne sprawy, tak?

– Nie.

Saffy oparła się o blat, ścisnęła ściereczkę, jakby to było koło ratunkowe chroniące ją przed utonięciem w morzu.

Właśnie w tym momencie czajnik zasyczał i plunął wodą, a po chwili nabrał pary i zaczął złowieszczo gwizdać. Saffy zdjęła go z ognia, ale nie odwróciła się i czekała z zapartym tchem.

– Dzwonił niejaki Archibald Wicks – powiedziała Percy. – Kolekcjoner z Londynu.

– Rozumiem. – Saffy nawet nie drgnęła. – I co mu powiedziałaś?

Na dworze rozległ się krzyk i Percy podeszła szybko do otwartych drzwi.

– Co mu powiedziałaś, Percy?

Do kuchni wpadł powiew wiatru niosący zapach skoszonej trawy.

– Percy – szepnęła ledwo słyszalnie Saffy.

– Powiedziałam, że potrzebujemy cię tutaj.

Jęk wydarł się Saffy z gardła, jakby miała wybuchnąć szlochem. Percy zaś ciągnęła ostrożnie, powoli:

– Wiesz, że nie możesz teraz wyjechać. Nie powinnaś wprowadzać ludzi w błąd. Spodziewał się ciebie w Londynie w przyszłym tygodniu.

– Spodziewał się mnie, ponieważ zamierzam tam jechać. Wysłałam swoją ofertę do tej pracy i on wybrał mnie, Percy. – Odwróciła się. Uniosła zaciśniętą pięść w dziwnym, teatralnym geście, któremu dodawały dramatyzmu zgniecione listki herbaty. – Wybrał mnie – powtórzyła dobitnie, potrząsając dłonią dla podkreślenia swych słów. – Kolekcjonuje różne piękne przedmioty i wybrał mnie... mnie, abym mu pomogła w pracy.

Percy wygrzebała papierosa, którego wcześniej skręciła, i po krótkich zmaganiach z zapalką zapaliła.

– Wyjeżdżam, Percy. Nie możesz mnie powstrzymać.

Do diabła, nie zamierza ułatwiać sprawy, pomyślała Percy. Od ślubu łupało ją w głowie, odgrywanie gospodyni wobec rodziców Meredith nie poprawiło jej samopoczucia. Tylko tego jej teraz brakowało: Saffy, która udaje ograniczoną i prowokuje, aby nazywać rzeczy po imieniu. W porządku, jeśli tak chce zagrać, Percy nie ma nic przeciwko postawieniu sprawy jasno.

– Nigdzie nie jedziesz, Saff. – Wypuściła z piersi dym. – Wiesz o tym. Ja o tym wiem i pan Wicks również już wie.

Saffy zwiesiła ręce wzdłuż boków, ścierka upadła na podłogę.

– Powiedziałaś mi, że nie przyjadę. Tak po prostu.

– Ktoś musiał. Zamierzał ci wysłać pieniądze.

Oczy Saffy wezbrały od łez i chociaż Percy była na nią wściekła, doceniała, że jej siostra przynajmniej stara się je powstrzymać. Może jednak tym razem uda się uniknąć sceny.

– Chodź – powiedziała. – Niedługo sama zrozumiesz, że tak będzie najlepiej.

– Naprawdę nie pozwolisz mi wyjechać?

– Naprawdę – odparła Percy łagodnie, lecz stanowczo.

Dolna warga Saffy zaczęła drżeć, a jej głos, kiedy w końcu udało jej się przemówić, był niewiele głośniejszy od szeptu.

– Nie możesz nas kontrolować do końca życia, Percy.

Skubała palcami sukienkę, zbierając niewidzialne nitki w małe kuleczki. Był to gest z dzieciństwa i Percy ogarnęło nagłe silne wrażenie *déjà vu* oraz gwałtowna chęć, aby przytulić swoją bliźniaczkę i nigdy jej nie puścić, powiedzieć jej, że jest kochana, że ona, Percy, nie chce być okrutna, że ma na względzie jej dobro. Nie zrobiła tego jednak, nie mogła. To by niczego nie zmieniło, ponieważ nikt nie chce, aby mówić mu takie rzeczy, nawet jeśli w głębi duszy wie, że to prawda.

Zamiast tego powiedziała łagodniejszym głosem:

– Nie próbuję cię kontrolować, Saffy. Może kiedyś, pewnego dnia, będziesz mogła wyjechać... – Wskazała gestem zamkowe mury. – Ale jeszcze nie teraz. Potrzebujemy cię tu, jest wojna, tata źle się czuje, nie mówiąc już o problemach ze służbą. Pomyślałaś, co by się z nami stało, gdybyś odeszła? Wyobrażasz sobie Juniper albo tatę, albo, Boże, miej nas w swojej opiece, mnie zajmującą się praniem bielizny?

– Nie ma takiej rzeczy, której nie potrafiłabyś zrobić, Percy – odparła Saffy gorzko. – Jeśli tylko zechcesz.

W tym momencie Percy już wiedziała, że postawiła na swoim, a co ważniejsze, wiedziała to również Saffy. Ale wcale nie poczuła się lżej, wręcz przeciwnie, przytłaczało ją znajome brzemię odpowiedzialności. Współczuła siostrze z całego serca, tej małej dziewczynce, która kiedyś miała u stóp cały świat.

– Pani Blythe?

Percy podniosła wzrok i zobaczyła w drzwiach ojca Meredith, a obok niego jego drobną, małą żonkę. Oboje byli głęboko poruszeni.

Całkiem o nich zapomniała.

– Państwo Baker – powiedziała, mierzwiąc włosy z tyłu głowy. – Bardzo państwa przepraszam, okropnie zamarudziłam przy robieniu herbaty.

– Nic nie szkodzi, pani Blythe. Skończyliśmy już herbatę. Chodzi o Meredith. – Wyglądał, jakby się skurczył. – Chcieliśmy z żoną zabrać ją do domu, ale ona tak się uparła, żeby zostać, że... obawiam się, że mała diabliska nam czmychnęła.

– Och – westchnęła Percy. Tylko tego jej było trzeba. Obejrzała się za siebie, lecz Saffy poszła za przykładem Meredith i sama się wymknęła. – No cóż, chyba w takim razie powinniśmy się za nią rozejrzeć, prawda?

– Kłopot w tym – odrzekł pan Baker żałośnie – że musimy zdążyć na stację o trzeciej dwadzieścia cztery. To dzisiaj jedyny pociąg do Londynu.

– Rozumiem – odparła Percy. – W takim razie naturalnie musicie jechać. Sytuacja z pociągami jest w ostatnich czasach dramatyczna, jeśli dzisiaj nie zdążycie, na następny możecie czekać do środy.

– Ale moja córeczka...

Pani Baker wyglądała, jakby się miała rozpłakać, a jej spiczasta, surowa twarz nie wyglądała z tym ładnie.

– Nie musicie się państwo martwić – starała się ich uspokoić, potwierdzając to krótkim skinieniem głowy. – Znajdę ją. Jest jakiś numer w Londynie, pod który można do państwa zadzwonić? Nie mogła daleko uciec.

✠

Z gałęzi najstarszego dębu w lesie Cardarker Meredith widziała zamek. Iglica na dachu wieży wbijała się w niebo. Dachówki lśniły szkarłatnie w popołudniowym słońcu, a srebrzysty czubek świecił jak gwiazda. Na trawniku przed wejściem Percy Blythe machała na pożegnanie rodzicom Meredith.

Uszy piekły Meredith od podniecającej niegodziwości tego, co robiła. Wiedziała, że poniesie karę za swój postępek, ale nie miała innego wyjścia. Biegła i biegła, aż opadła całkiem z sił, i kiedy zabrakło jej tchu, wdrapała się na drzewo, ożywiona dziwną, wibrującą energią, którą napełnił ją pierwszy tak porywczy czyn w jej życiu.

Na podjeździe mama zwiesiła ramiona i przez chwilę Meredith sądziła, że płacze, lecz zaraz jej ręce wystrzeliły w bok i dłonie zaczęły się poruszać gorączkowo jak przestraszone rozgwiadzy. Tata aż się skulił

i Meredith się domyśliła, że mama krzyczy. Nie musiała słyszeć, co mówi, aby wiedzieć, że czekają ją duże kłopoty.

Tymczasem na zamkowym dziedzińcu Percy cały czas paliła papierosa i z ręką na biodrze obserwowała las. Ziarno wątpliwości zaczęło kiełkować Meredith w piersi. Z góry uznała, że jest w Milderhurst mile widziana, ale co, jeśli tak nie jest? Co, jeśli jej zachowanie tak oburzy siostry, że nie będą chciały więcej na nią patrzeć? Czy, słuchając własnych pragnień, nie napytała sobie biedy? Kiedy Percy Blythe, dokończywszy papierosa, odwróciła się z powrotem w stronę zamku, Meredith poczuła się nagle bardzo samotna.

Jakiś ruch na dachu zamku ściągnął jej uwagę i serce podskoczyło jej w piersi. Ktoś tam chodził, ktoś w białej, letniej sukience. Juniper! Nareszcie skończyła! Na oczach Meredith podeszła do płaskiego brzegu i usiadła z długimi nogami zwieszonymi nad krawędzią. Teraz zapali papierosa, odchyli głowę w tył i zapatrzy się w niebo.

Ale nie zrobiła tego. Nagle znieruchomiła i spojrzała w stronę lasu. Meredith ścisnęła mocno konar drzewa. Z podniecenia śmiech zaczął ją dławić w gardle. To wyglądało zupełnie tak, jakby Juniper ją usłyszała, jakby wyczuła jej obecność. Tak, jeśli ktoś mógł być do tego zdolny, to właśnie jej przyjaciółka.

Nie może wrócić do Londynu. Jeszcze nie teraz.

Obserwowała rodziców oddalających się podjazdem od zamku. Mama splótła ręce na brzuchu, tata szedł obok niej ze zwieszonymi ramionami.

– Przepraszam – szepnęła cicho. – Naprawdę nie miałam wyboru.

5.

Woda była letnia i płytka, ale Saffy to nie przeszkadzało. Rozkosze długich, gorących kąpeli należały do przeszłości, teraz wystarczyło jej, że została sam na sam z odrażającą zdradą Percy. Położyła się na plecach, potem podciągnęła kolana jeszcze wyżej i zanurzyła głowę, aż uszy znalazły się pod wodą. Włosy unosiły się na powierzchni niczym wodorosty wokół wyspy jej twarzy. Wsłuchiwała się w falowanie i bulgot, w brzęczenie łańcuszka od korka o emaliowane ścianki wanny i inne dziwne odgłosy wodnego świata.

Przez całe dorosłe życie Saffy uważała się za słabszą z bliźniaczek. Percy zwykle wyśmiewała takie gadanie, twierdziła, że nie ma takich podziałów, w każdym razie między nimi, że są tylko pozycje bardziej nasłonecznione lub zacienione, a one wchodzą w nie naprzemiennie, tak że sprawy zawsze pozostają w idealnej równowadze. Mówiła tak z uprzejmości, lecz dobre intencje wcale nie czyniły jej teorii prawdziwymi. Saffy doskonale wiedziała, że dziedziny, w których wykazuje większy talent, miały mniejsze znaczenie. Dobrze pisała, była niezłą krawcową, umiała gotować (znośnie), a ostatnio nawet sprzątać, lecz jaki pożytek mógł płynąć z tych umiejętności, kiedy żyła prawie w niewoli? Co gorsza, z własnej woli. Albowiem ze wstydem musiała przyznać, że na ogół taka poddańcza pozycja jej odpowiadała. Wygodnie jest być podwładnym, wolnym od brzemienia odpowiedzialności. Zdarzały się jednak chwile, takie jak dzisiaj, kiedy coś się w niej buntowało przeciwko oczekiwaniom, że pozwoli sobą dyrygować bez względu na własne potrzeby i pragnienia.

Usiadła i oparła się o gładką ściankę wanny, wytarła rozgrzaną od gniewu twarz flanelową myjką. Emaliowana powierzchnia chłodziła jej plecy. Ułożyła sobie flanelkę na piersi i brzuchu i obserwowała, jak unosi się i opada wraz z oddechem, niczym druga skóra. Potem zamknęła oczy. Jak ona śmiała mówić w jej imieniu? Podejmować za nią decyzje, postanawiać o jej przyszłości bez porozumienia z nią?

Oczywiście zrobiła to nie po raz pierwszy i jak zawsze nie było mowy, żeby się jej przeciwstawić.

Powoli wypuściła z piersi powietrze, aby się uspokoić, lecz westchnienie zamieniło się w szloch. Może powinna być zadowolona, nawet mile polechtana tym, że Percy tak rozpaczliwie jej potrzebuje. Naprawdę jej to pochlebiało. Ale czuła się też zmęczona bezsilnością, a co więcej, ogarnęło ją poczucie kompletnej porażki. Odkąd sięgała pamięcią, wiodła życie, które biegło równoległe do tego, o jakim marzyła i jakiego miała prawo oczekiwać.

Tym razem jednak było coś, co mogła zrobić, małeńkie półko, na którym może wykorzystać swą wątłą moc przeciwko Percy. Potarła policzki ożywione dreszczem determinacji. Będzie to raczej akt zaniedbania niż próba sił, jej siostra nawet się nie dowie, że cios został zadany. Jedyne korzyść, jaka przyjdzie jej z tej wojny – symboliczne odbudowanie szacunku dla samej siebie. Ale to wystarczy.

Zamierzała zachować dla siebie pewną wiadomość, o której Percy bardzo by chciała wiedzieć – o niespodziewanym gościu, który zjawił się dzisiaj w zamku. Kiedy Percy pojechała na ślub Lucy, Juniper zamknęła się na poddaszu, a Meredith krążyła gdzieś po okolicy, czarnym samochodem przyjechał prawnik taty, pan Banks, z dwiema kobietami w gładkich kostiumach. Saffy nakrywała właśnie stół przed domem. W pierwszej chwili miała ochotę się ukryć i udać, że jej nie ma w domu – nie przepadała za panem Banksem i nie uśmiechało jej się wcielać w rolę służącej i otwierać drzwi niespodziewanym gościom – ale znała starszaka od dzieciństwa, poza tym był przyjacielem taty i czuła się w jakiś sposób zobowiązana do przyjęcia go.

Wbiegła do domu przez drzwi kuchenne, przejrzała się w owalnym lustrze koło spiżarni, poprawiła włosy i pospieszyła na górę, aby powitać gości w wejściu. Pan Banks okazał zdziwienie, wręcz niezadowolenie

na jej widok, zaczął nawet głośno narzekać, jakież to czasy nastały, że w takim wytwornym miejscu jak Milderhurst brakuje majordoma, po czym kazał się zaprowadzić do ojca. Chociaż Saffy z całego serca opowiadała się za postępowaniem w dziedzinie obyczajów towarzyskich, żywiła całkiem staromodny szacunek dla prawa i jego przedstawicieli, zrobiła więc posłusznie to, co jej kazano. Pan Banks był człowiekiem małomównym, raczej nieskorym do czczych pogaduszek z córkami swego klienta, szli więc na górę w milczeniu, czemu Saffy była rada, nigdy bowiem nie umiała rozmawiać z takimi mężczyznami jak prawnik jej ojca. Kiedy wreszcie dotarli na szczyt krętych schodów, pan Banks skinął jej krótko głową i wszedł razem ze swymi gorliwymi asystentkami do gabinetu na szczycie wieży.

Saffy wcale nie zamierzała podsłuchiwać. Była niezadowolona, że zajmuje się jej czas, a także że musi wchodzić na koszmarną wieżę, gdzie w powietrzu czuło się zapach śmierci, a na ścianie wisiła ta odrażająca grafika. Gdyby jej uwagi nie odwróciły śmiertelne zmagania motyla uwięzionego w pajęczynie między słupkami balustrady, byłaby już w połowie drogi na dół i poza zasięgiem słuchu. Kiedy jednak ostrożnie wyplątywała owada z pajęczej sieci, doszedł ją głos taty:

– Dlatego do ciebie zadzwoniłem, Banks. Przeklęte utrapienie z tą śmiercią. Wprowadziłeś poprawki?

– Tak. Przyniosłem je do podpisania w obecności świadków, razem z kopią dla pana, naturalnie.

Saffy nie dosłyszała więcej szczegółów i wcale nie miała na to ochoty. Była młodszą córką człowieka starej daty, starą panną w średnim wieku, nie interesował jej męski świat finansów i majątków. Chciała tylko uwolnić osłabionego motyla i jak najszybciej uciec z wieży, zostawić za sobą zatęchłe powietrze i dławiące wspomnienia. Od dwudziestu lat nie wchodziła do tego gabinetu i obiecała sobie, że nigdy więcej nie przestąpi jego progu. Zbiegając po schodach, starała się rozwiać gromadzące się w pamięci chmury wspomnień.

Byli sobie kiedyś bardzo bliscy, ona i tata, dawno temu, ale ich uczucie zwiędło. Juniper była lepszą pisarką, a Percy lepszą córką, co pozostawiło dla Saffy niewiele miejsca w ojcowskich uczuciach. Tylko raz, przez krótką, przelotną chwilę udało jej się odsunąć siostry w cień. Po

pierwszej wojnie, kiedy tata wrócił do domu obolały i załamany, to ona przywróciła go do życia, to ona dała mu to, czego potrzebował. To było takie cudowne, siła jego przywiązania, wieczory spędzone w ukryciu, gdzie nikt ich nie mógł znaleźć...

Usłyszała harmider i otworzyła oczy. Ktoś krzychał. Siedziała w wannie, w lodowatej wodzie, światło uciekło przez otwarte okno, pozostawiło po sobie zmierzch. Zasnęła w kąpeli. Ale kto tak krzychał? Usiadła i zaczęła nasłuchiwać. Cisza. Może jej się tylko zdawało?

Wtedy znowu go usłyszała. I zgiełk dzwonka. Starzec z wieży znowu urządza awantury. Niech się Percy nim zajmie. Jedno warte drugiego.

Trzęsąc się z zimna, Saffy zdjęła z siebie zimną flanelę i wyszła z kąpeli, ociekając na matę. Woda w wannie kołysała się opuszczona. Na dole słychać było głosy – Meredith, Juniper i Percy również – w żółtym salonie. Czekają na kolację, doszła do wniosku Saffy. Oczywiście przyniesie im ją jak zawsze.

Zdjęła szlafrok z wieszaka na drzwiach, przez chwilę szamotała się z rękawami, po czym włożyła go na chłodną, mokrą skórę. Wyszła na korytarz, mokre kroki plaskały po kamiennej posadzce. Wtuliła się mocno w swój mały sekret.

✦

– Chciałeś czegoś, tato?

Percy pchnęła ciężkie drzwi do gabinetu w wieży. Chwilę trwało, zanim go zauważyła ukrytego we wnęcie koło kominka, pod grafiką Goi. Patrzył na nią z przerażeniem, zrozumiała natychmiast, że znów miał napad urojeń. Co znaczyło, że kiedy zejdzie na dół, prawdopodobnie znajdzie jego dzisiejszą porcję lekarstw leżącą na stoliku w holu, gdzie je zostawiła dziś rano. Zaklęła na siebie w duchu, sama była sobie winna, czemu nie sprawdziła, czy wziął leki, kiedy przyjechała z kościoła.

Zaczęła do niego przemawiać łagodniej, wyobrażając sobie, że tak by mówiła do małego dziecka.

– Już dobrze. Chodź, pomogę ci usiąść przy oknie. Jest piękny wieczór.

Pokiwał energicznie głową i ruszył w kierunku jej wyciągniętych

ramion, a Percy domyśliła się, że urojenia znikły. Nie były też najgorsze, skoro udało mu się nad sobą zapanować i rzec:

– Czy nie mówiłem ci, żebyś nosiła treskę?

Mówił, wiele razy. I Percy posłusznie ją sobie kupiła (co nie było łatwym zadaniem w czasach wojny). Przekłęte paskudztwo leżało na stole nocnym jak odcięty lisi ogon.

Na oparciu fotela wisiała kolorowa narzuta, dawno temu zrobiona przez Lucy na szydełku. Tata usiadł, a Percy przykryła mu kolana.

– Przepraszam, tatusiu, zapomniałam. Usłyszałam dzwonek i nie chciałam, żebyś czekał.

– Wyglądasz jak mężczyzna. Czy tego chcesz? Żeby ludzie traktowali cię jak mężczyznę?

– Nie, tatusiu.

Dotknęła palcami karku. Ojciec nie chciał jej urazić i Percy nie miała mu za złe tego, co powiedział, może tylko trochę ją to przestraszyło. Zerknęła ukradkiem na swoje pofałdowane odbicie w oszklonych drzwiczkach biblioteczki. Zobaczyła kobietę o surowej powierzchowności, plecach wyprostowanych, jakby połknęła kij, całkiem obfitym biuście, wydatnych biodrach i twarzy niewyfiokowanej szminką ani pudrem, ale wcale niewyglądającej na męską. W każdym razie jej zdaniem.

Tata tymczasem w błogiej nieświadomości niespokojnych myśli, jakie rozniecił, odwrócił głowę w stronę okna i zapatrzył się na spowite nocą łąki.

– Wszystko to... – powiedział, nie odrywając wzroku od pól i lasów. – Wszystko to...

Podeszła do niego, przykucnęła i oparła się łokciem o poręcz fotela. Nie musiał mówić nic więcej, Percy rozumiała jak nikt inny, co czuł, spoglądając na rozległe tereny swoich przodków.

– Czytałeś opowieść Juniper?

Był to jeden z niewielu tematów, które niezawodnie poprawiały tacie humor. Percy zastosowała go ostrożnie z nadzieją, że uda jej się wyciągnąć go znad krawędzi czarnej rozpacz, w którą mógł się osunąć w każdej chwili.

Bez słowa wskazał ręką swoją fajkę i Percy mu ją podała. Sama zapaliła papierosa, kiedy ojciec nabijał fajkę tytoniem.

– Ma talent, to nie ulega wątpliwości.

Percy się uśmiechnęła.

– Odziedziczyła go po tobie.

– Musimy z nią uważać. Twórczy umysł potrzebuje wolności. Trzeba mu pozwolić chodzić własnymi ścieżkami i we własnym rytmie. Trudno to wytłumaczyć osobie, której myśli krążą bardziej utartymi drogami, ale Juniper musi być wolna od przyziemnych utrapień, od wszystkiego, co by ją rozpraszało, co mogłoby skraść jej talent. – Chwyć Percy za spódnicę. – Chyba nie uganiam się za nią żaden mężczyzna?

– Nie, tato.

– Taką kobietę jak Juniper trzeba chronić – ciągnął, zaciskając szczęki. – Musi mieć bezpieczne miejsce. Tutaj, w zamku, w Milderhurst.

– Oczywiście, zostanie tutaj.

– Musisz tego dopilnować. Musisz zaopiekować się obiema swoimi siostrami.

To rzekłszy, wygłosił swoją ulubioną mowę na temat dziedzictwa, odpowiedzialności, spuścizny...

Percy czekała, dopaliła papierosa i dopiero gdy kończył, powiedziała:

– Zaprowadzę cię przed wyjściem do toalety, dobrze?

– Przed jakim wyjściem?

– Mam dzisiaj wieczorem spotkanie w mieście...

– Ciągle dokąś pędzisz.

Wydał brzydko wargi i Percy oczami wyobraźni zobaczyła małego, rozpieszzonego chłopca, przyzwyczajonego do tego, by zawsze stawać na swoim.

– Chodź, tato.

Zaprowadziła starsuszka do toalety i czekając w korytarzu, sięgnęła po papierosa. Obmacała kieszeń i przypomniała sobie, że zostawiła je w gabinecie w wieży. Tacie tu trochęzejdzie, więc pobiegła szybko, aby je sobie przynieść.

Znalazła je na biurku. I znalazła jeszcze coś. Paczkę od pana Banksa, ale bez przyklejonego znaczka, co znaczy, że doręczono ją osobiście.

Serce zaczęło jej walić w piersi. Saffy nie wspominała nic o gościu. Czy to możliwe, żeby pan Banks przyjechał z Folkestone, wśliznął się do zamku i wszedł na wieżę niezauważony przez Saffy? Niewykłuczone,

choć mało prawdopodobne. Po co miałby robić coś takiego?

Stała przez chwilę niezdecydowana i obmacywała kopertę, podczas gdy gorąco gromadziło jej się na czole, na karku i pod pachami, aż bluzka przykleiła się jej do ciała.

Obejrzawszy się przelotnie przez ramię, otworzyła list i wysunęła ze środka plik papierów. Testament. Widniała na nim dzisiejsza data. Wyprostowała kartki i przebiegając wzrokiem tekst, poczuła dziwne, wyjątkowo natarczywe przyciąganie ziemskie. Jej najgorsze podejrzenia się sprawdziły.

Przycisnęła dłoń do czoła. Jak coś takiego mogło się zdarzyć? A jednak widziała to przed oczami czarno na białym i podpisane na niebiesko przez tatę. Przeczytała dokument jeszcze raz, dokładniej, szukając luk, zgubionej strony, czegokolwiek, co by świadczyło, że źle zrozumiała treść słów.

Chryste, zrozumiała doskonale.

CZEŚĆ CZWARTA

Powrót do Milderhurst

1992 r

Herbert pożyczył mi swój samochód na podróż do Milderhurst, więc gdy tylko zjechałam z autostrady, opuściłam okno i wystawiłam policzki na chłodny powiew powietrza. Krajobraz poza miastem przeobraził się radykalnie od mojej poprzedniej wizyty. Lato nadeszło i przeminęło, jesień pomału dobiegała końca. Na poboczu leżały wielkie, złote sterty liści, a drzewa wyciągały wielkie konary, by połączyć się nad środkiem drogi. Z każdym podmuchem wiatru na ziemię opadała świeża powłoka niczym skóra zrzucona przez odchodzącą porę roku.

W pensjonacie czekała na mnie wiadomość.

Witamy, panno Burchill. Mam do załatwienia kilka spraw, które nie mogły poczekać, a Bird zachorował na gripę. Zostawiam Pani klucz, proszę się rozgościć w pokoju numer 3 (na pierwszym piętrze). Przykro mi, że pani nie przywitałam osobiście. Zobaczmy się na kolacji, o siódmej w jadalni.

Marilyn Bird.

PS: Kazałam Birdowi przenieść do Pani pokoju lepsze biurko. Zrobiło się trochę ciasno, ale uznałam, że ucieszy się Pani z wygodnego miejsca do pracy.

Rozpakowałam się natychmiast, z artystycznym zacięciem ułożyłam na biurku zapisy z wywiadów Adama Gilberta, *Milderhurst Raymonda Blythe'a* i *Człowieka z Błota*, uzupełnione sporym asortymentem

notatników i długopisów, po czym usiadłam i przejechałam obiema dłońmi po gładkiej powierzchni blatu. Kiedy oparłam brodę na rękach, z piersi wydarło mi się zadowolone westchnienie. Miałam uczucie, jakby to był mój pierwszy dzień w szkole, tylko sto razy wspanialsze. Czekają na mnie trzy fascynujące dni, przepełniał mnie entuzjazm na myśl o otwierających się przede mną możliwościach.

Zauważyłam staromodny, bakelitowy aparat telefoniczny i nagle zapragnęłam zrobić coś, czego nie robiłam od niepamiętnych lat. W końcu przyjechałam do Milderhurst, miejsca, gdzie mieszkała kiedyś moja mama.

Telefon dzwonił i dzwonił. Już miałam odłożyć słuchawkę, kiedy wreszcie odebrała. Nieco zdyszana. Po moim „Cześć” zapadła chwila ciszy.

– Och, Edie, przepraszam, szukałam twojego ojca. Wbił sobie do głowy... Wszystko w porządku? – Jej ton nagle zaostrzył się jak ołówek.

– Tak, wszystko dobrze, mam. Chciałam ci tylko dać znać, że dojechałam na miejsce.

– Aha.

Zaskoczyłam ją. Telefony z informacją o bezpiecznym przybyciu nie były u nas w rodzinie praktykowane od dziesięciu lat, kiedy ją przekonałam, że skoro rząd okazał mi dość zaufania, aby pozwolić mi głosować, może nadszedł czas, aby i ona mi zaufała i pozwoliła wsiąść do metra bez konieczności meldowania się po szczęśliwie zakończonej podróży.

– To dobrze. Dziękuję ci. Miło, że zadzwoniłaś. Tata się ucieszy. Tęskni za tobą. Od kiedy wyjechałaś, chodzi ze skwaszoną miną.

Kolejna chwila ciszy, prawie słyszałam, jak w jej głowie kłębią się myśli, a potem nagle wypaliła szybko:

– Więc jesteś tam? W Milderhurst? I jak... jak tam jest? Jak wygląda?

– Przepięknie. Jesień zamienia wszystko w złoto.

– Pamiętam. Pamiętam, jak tam jest jesienią. Lasy przez jakiś czas pozostają jeszcze zielone, ale ich skraj płonie czerwienią.

– I żarzy się na pomarańczowo – odrzekłam. – I wszędzie pełno liści. Dosłownie wszędzie. Zaścietają ziemię jak gruby dywan.

– Pamiętam. Wiatr wieje od morza i spadają jak deszcz. Wieje wiatr, Edie?

– Na razie nie, ale w najbliższych dniach zapowiadają, że zrobi się wietrznie.

– Zobaczysz, liście wtedy spadają jak śnieg i chrzęszczą pod nogami. Pamiętam.

Ostatnie słowo brzmiało miękko, wręcz krucho. Nie wiem, skąd mi się to wzięło, lecz ogarnęła mnie nagła fala czułości. Usłyszałam własny głos:

– Wiesz, mamusiu, skończę tu pracę za dwa dni. Mogłabyś wtedy przyjechać chociaż na kilka godzin.

– Och, Edie, nie. Nie. Tata nie może...

– Tata nie może, ale ty tak. Powinnaś tu przyjechać.

– Sama?

– Zjadłybyśmy lunch w jakimś miłym miejscu, tylko we dwie. Poszłybyśmy na spacer po mieście. – Odpowiedzią na moją propozycję był dziwny świst na linii telefonicznej. Zniżyłam głos, mimo że byłam sama. – Możemy się nawet nie zbliżać do zamku, jeśli nie będziesz chciała.

Cisza. Przez chwilę myślałam, że się rozłączyła, lecz potem usłyszałam cichy odgłos. Mama płakała bezgłośnie w słuchawkę.

✠

Na wizytę w zamku i spotkanie z siostrami Blythe byłam umówiona dopiero nazajutrz, ale w prognozach zapowiadano zmianę pogody, uznałam więc, że szkoda marnować piękne popołudnie na siedzenie za biurkiem. Judith Waterman sugerowała, abym zawarła w artykule swoje osobiste wrażenia z pobytu w Milderhurst, szczególnie że *Człowiek z Błota* osadzony został w realiach tego miejsca, postanowiłam więc wybrać się na spacer. Również i tym razem pani Bird zostawiła na stoliku nocnym koszyk z owocami, wybrałam więc sobie jabłko i banana, a do torby wrzuciłam jeszcze notatnik z długopisem. Przygotowując się do wyjścia, obrzuciłam pokój spojrzeniem i wtedy wpadł mi w oko dziennik mamy leżący cichutko na brzeżku biurka.

– Chodź, mamó – powiedziałam, biorąc go do ręki. – Zabiorę cię do zamku.

Kiedy byłam mała, zdarzało się, choć rzadko, że mamy nie było w domu, kiedy wracałam ze szkoły, wsiadałam więc do autobusu i jechałam do biura taty w Hammersmith. Tam znajdowano mi kawałek dywanu, a jeśli miałam szczęście, to nawet biurko w którymś z gabinetów młodszych pracowników, i tam odrabiałam lekcje albo rysowałam w szkolnym kalendarzyku, albo wypisywałam w nim nazwisko swojej ostatniej miłości. Mogłam robić, co chciałam, bylebym trzymała się z dala od telefonów i nie przeszkadzała innym w pracy.

Pewnego popołudnia zaprowadzono mnie do gabinetu, w którym nigdy przedtem nie byłam, na samym końcu bardzo długiego korytarza. Pokój był maleńki, niewiele większy od schowka na szczotki, pomalowany na beżowo i brązowo i w niczym nie przypominał innych pomieszczeń firmy z oszklonymi biblioteczkami, podłogami błyszczącymi jak lustro i wykończeniami w kolorze miedzi. Stało w nim małe, drewniane biurko z krzesłem i wysoka, wąska biblioteczka. Na jednej z półek, obok szacownych czasopism prawniczych, wypatrzyłam coś ciekawego – śnieżną kulę, znacie je: z zimowym krajobrazem w środku, gdzie maleńki kamienny domek stoi dzielnie na wzgórzu porośniętym sosnami, a ziemię pokrywa gruba warstwa śniegu.

Zasady obowiązujące w biurze taty mówiły jasno: nie wolno mi niczego dotykać. Ale nie mogłam się powstrzymać, śnieżna kula działała na mnie hipnotyzująco, była okruszkiem fantazji w beżowo-brązowym świecie, drzwiami w tylnej ścianie szafy, symbolem dzieciństwa, któremu nie sposób się było oprzeć. Zanim się obejrzałam, stałam na krześle z kulą w rękę i odwracałam ją do góry nogami, obserwując, jak śnieżne płatki spadają, to znów się wzbijają w maleńkim, wewnętrznym świecie, nieświadomym tego, co się dzieje na zewnątrz. Pamiętam, że obudziła się we mnie dziwna tęsknota, aby znaleźć się w środku kuli, obok mężczyzny i kobiety w oknie wypełnionym złotym blaskiem albo z dwójgim maleńkich dzieci ciągnących czerwone sanki; w bezpiecznym świecie, który nie wie nic o zgiełkowym pośpiechu panującym poza jego szklanymi granicami.

Tak się właśnie czułam, kiedy podchodziłam do zamku Milderhurst. Idąc pod górę, czułam prawie, jak powietrze wokół mnie się zmienia, jakbym przekraczała niewidzialną granicę innego świata. Ludzie o

zdrowych zmysłach nie opowiadają o magicznych mocach działających w domach, o urokach rzucanych na ludzi, o tajemniczym przyciąganiu. Jednak w ciągu kilku tamtych dni doszłam do wniosku, i wierzę w to do dzisiaj, że naprawdę działała tam dziwna siła ukryta głęboko w kamieniach Milderhurst. Poczułam ją podczas swojej pierwszej wizyty i poczułam ją teraz po raz drugi, jakby zamek kiwał na mnie palcem i wołał bezgłośnie po imieniu.

Nie poszłam tą samą drogą co poprzednio. Przeciłam pola, aby wyjść na podjazd, minęłam jeden mostek, potem drugi, nieco większy, aż w końcu mym oczom ukazała się wielka, imponująca sylwetka na szczycie wzgórza. Szłam dalej i nie zatrzymywałam się, dopóki nie weszłam na samą górę. Dopiero wtedy odwróciłam się i spojrzałam w kierunku, skąd przyszłam. Pode mną rozciągał się baldachim lasu, wyglądał, jakby jesień przyłożyła do drzew pochodnię i przypaliła je na złoto, czerwono i brązowo. Żałowałam, że nie wzięłam z sobą aparatu fotograficznego, aby zawieźć zdjęcia mamie.

Zeszłam z podjazdu i ruszyłam wzdłuż długiego żywopłotu. Podniosłam głowę i popatrzyłam na okno poddasza, małego pokoiku dziecięcego z ukrytymi drzwiami w garderobie. Zamek nie spuszczał ze mnie oka, takie przynajmniej odniosłam wrażenie, spoglądał na mnie z góry setką okien spod półprzymkniętych okapów. Nie podniosłam więcej wzroku, szłam dalej wzdłuż żywopłotu, dopóki nie dotarłam na tyły.

Zobaczyłam tam stary, pusty kurnik, a nieco dalej półkolistą, sklepioną konstrukcję. Podeszłam bliżej i dopiero wtedy zorientowałam się, co to jest. Schron przeciwbombowy. Nieopodal stała wbita w ziemię żarzewiała tabliczka – pozostałość po czasach, gdy zamek odwiedzały regularne wycieczki – prawdopodobnie informująca, że jest to „schron Andersona”, ale napis zatarł się z czasem. Z tego, co udało mi się odczytać, domyśliłam się, że opisano na niej rolę, jaką hrabstwo Kent odegrało w bitwie o Anglię. Bomba spadła półtora kilometra stąd, jak głosiła tabliczka, i zabiła chłopca jadącego na rowerze. Schron zbudowano w 1940 roku, co oznaczało, że to w nim prawdopodobnie ukrywała się moja mama, kiedy mieszkała w Milderhurst.

Ponieważ nie zauważyłam wokół nikogo, kogo mogłabym o to zapytać,

uznałam, że nic się nie stanie, jeśli rzucę okiem do środka. Zeszłam po stromych schodkach pod metalowym, falistym stropem. Było tu dość ciemno, ale przez wejście wpadało wystarczająco dużo światła, abym mogła się przekonać, że we wnętrzu urządzono wystawę z rekwizytami wojennymi. Karty z papierosów z ilustracjami spitfire'ów i hurricane'ów, mały stolik ze staromodnym radiem w drewnianej obudowie, plakat z palcem Churchilla, który wskazywał na mnie i ostrzegał: „Musisz zasłużyć na zwycięstwo!”, zupełnie jakby wrócił czterdziesty rok, syreny obwieszczały alarm, a ja tylko czekałam, aż bombowce przelecą mi nad głową.

Wyszłam ze schronu i zamrugałam oślepioną jasnym światłem dnia. Chmury nadciągały szybko, słońce zasnuło się białą, smętną powłoką. Zauważyłam wnękę w żywołocie, a w niej mały pagórek. Nie mogłam się oprzeć, żeby na nim nie usiąść. Wyjęłam z torby dziennik mamy i otworzyłam go na pierwszej stronie. Nosiła datę: styczeń 1940 roku.

Najdroższy i najcudowniejszy Dzienniczku! Tak długo Cię oszczędzałam – przez cały rok, a nawet trochę dłużej – ponieważ dostałam Cię w prezencie od pana Cavilla, kiedy zdałam egzamin. Powiedział, żebym użyła Cię do czegoś wyjątkowego, że słowa trwają wiecznie i pewnego dnia napiszę historię, która zasłuży na taką księgę. Wtedy mu nie uwierzyłam, nigdy nie przychodziło mi do głowy nic szczególnego, o czym mogłabym pisać. Czy to nie brzmi żałośnie? Myślę, że tak, ale mnie to nie przeszkadza, napisałam tak, bo to prawda, nigdy nie miałam o czym pisać i wydawało mi się, że zawsze tak będzie. Ale się pomyliłam. Całkowicie i cudownie się myliłam, ponieważ coś się wydarzyło i od tej pory nic już nigdy nie będzie takie samo.

Myślę, że przede wszystkim powinnam Ci powiedzieć to, że piszę w zamku. W prawdziwym zamku z kamienia, z wieżą, z mnóstwem krętych schodów i wielkimi lichtarzami wiszącymi na wszystkich ścianach i wielkimi górami poczerniałego wosku, który przez dziesiątki lat kapął z podstawek. Możesz pomyśleć, że ta cudowna rzecz, która się wydarzyła, to właśnie to, że mieszkam w zamku. Uważasz może, że to chciwość oczekiwać jeszcze czegoś więcej, ale jest coś więcej.

Siedzę na parapecie okiennym na poddaszu, najwspanialszym miejscu w całym domu. To pokój Juniper. Zapytałbyś pewnie, kim jest Juniper, gdybyś umiał mówić. Juniper jest najbardziej niesamowitą osobą na świecie. Jest moją przyjaciółką. To ona mnie zachęciła, abym zaczęła w końcu pisać na Twoich stronach. Powiedziała, że ma dosyć patrzenia, jak dźwigam Cię wszędzie niczym jakieś święte brzemię, że najwyższy czas zdobyć się na stanowczy krok i splamić Twoje piękne karty.

Powiedziała, że historie można znaleźć wszędzie i że ludzie, którzy czekają, aż spłynie na nich ta jedyna, a nie przykładają nawet pióra do papieru, zostają z pustymi stronami. Najwyraźniej tym właśnie jest pisanie: chwytaniem na papierze obrazów i myśli. Prząść słowa jak pająk sieć, aby utworzyć wzór. Juniper dała mi to wieczne pióro. Wydaje mi się, że wzięła je z wieży, trochę się boję, że pan Blythe zacznie się zastanawiać, kto mu je ukradł, i wyjdzie go szukać, ale i tak go używam. Jest naprawdę wspaniałe. Myślę, że można kochać pióro, a Ty?

Juniper sugerowała, że bym pisała o swoim życiu. Często mnie prosi, abym jej opowiadała o mamie i tacie, Edzie i Ricie i naszej sąsiadce, pani Paul. Śmieje się na cały głos jak butelka, którą ktoś potrząsnął, a następnie odkorkował – wszędzie tryskają bąbelki. Można się trochę przestraszyć, ale mnie się podoba. Śmieje się zupełnie inaczej, niż można by się spodziewać. Jest gładka i pełna gracji, a śmiech ma gardłowy jak ziemia. Nie tylko śmiech w niej lubię. Marszczy brwi, kiedy jej opowiadam, co mówi Rita; marszczy się i prycha zawsze wtedy, kiedy trzeba.

Uważa, że mam szczęście, wyobrażasz sobie? Ktoś taki jak ona mówi w ten sposób o mnie! – że uczyłam się w prawdziwym świecie, a ona tylko z książek. Mnie się to wydaje rajem, ale widać wcale tak nie jest. Czy wiesz, że ostatnio była w Londynie jako małutkie dziecko? Pojechała wtedy z całą rodziną na premierę przedstawienia na podstawie książki, którą napisał jej tata. Prawdziwa historia Człowieka z Błota. Powiedziała mi o tej książce takim tonem, jakby uważała za oczywiste, że ją znam. Wstyd mi było się przyznać, że jej nie czytałam. Ze też rodzice nie zapoznali mnie z takimi rzeczami. Widziałam, że była zdziwiona, ale zachowała się

ładnie, nie chciała mi sprawić przykrości. Skinęła głową, jakby to rozumiała, i powiedziała, że na pewno byłam zbyt zajęta prawdziwym światem i prawdziwymi ludźmi. A potem posmutniała, jak to się jej często zdarza, jej twarz stała się zamyślona i zagadkowa, jakby próbowała rozwiązać bardzo skomplikowany problem. Wydaje mi się, że ja czasami też robię taką minę, mama patrzy wtedy na mnie z pogardą, pokazuje mnie palcem i mówi, żebym przestała bujać w obłokach i zajęła się czymś pożytecznym.

A ja tak lubię bujać w obłokach! Są o wiele ciekawsze niż bezchmurne niebo. Gdyby to byli ludzie, chciałabym ich poznać. Dużo ciekawiej jest zastanawiać się, co się ukrywa za grubymi warstwami chmur, niż patrzeć zawsze na takie samo, czyste i nijakie błękitne niebo.

Dzisiaj na niebie jest bardzo dużo obłoków. Kiedy wyglądam przez okno, mam wrażenie, jakby ktoś rozciągnął nad zamkiem wielki, szary koc. Na ziemi leży szron. Okno poddasza wychodzi na bardzo szczególne miejsce. To ulubione miejsce Juniper, kwadrat otoczony żywopłotem, a spod gąszczu jeżyn wyrastają w różne strony małe nagrobki, jak popsute zęby jakiegoś starca.

Clementina Blythe
żyła jeden roczek,
zabrana okrutnie.
Śpij, moje małeństwo.

Cyrus Maximus Blythe
żył trzy lata.
Odszedł zbyt szybko.

Emerson Blythe
żył dziesięć lat.
Ukochany.

Kiedy weszłam tam pierwszy raz, myślałam, że to cmentarz dla dzieci, ale Juniper powiedziała mi, że to były zwierzęta. Blythe'owie bardzo dbają o swoich ulubieńców, szczególnie Juniper,

która płakała, opowiadając mi o swoim psie Emersonie.

Brr... ależ tu zimno! Od przyjazdu do Milderhurst ubierałam całą kolekcję skarpetek wydzierganych na drutach. Saffy pięknie robi na drutach, ale bardzo źle jej idzie liczenie, więc jedna trzecia skarpet, które robi dla żołnierzy, okazuje się za mała nawet na jeden palec krzepkiego mężczyzny, za to doskonale pasuje na moje drobne kostki. Włożyłam na nogi trzy pary i trzy pojedyncze na prawą rękę; lewą zostawiłam, aby nią pisać, co tłumaczy te koślawe litery. Bardzo Cię za to przepraszam, drogi Dzienniczku. Twoje piękne stronicie zastępują na ładniejszy charakter pisma.

Tak więc siedzę sama w pokoiku na poddaszu, podczas gdy Juniper na dole czyta kurom. Saffy uważa, że lepiej znoszą jajka, kiedy sieje stymuluje. Juniper, która uwielbia wszystkie zwierzęta, twierdzi, że nie ma stworzenia inteligentniejszego i mającego bardziej kojący wpływ na psychikę ludzką niż kura, a ja naprawdę bardzo lubię jajka. Tak więc wszyscy jesteśmy zadowoleni. A ja zamierzam zacząć od początku i pisać jak najszybciej, choćby po to, żeby rozgrzać palce...

Nagle tuż obok mnie rozległo się zjadłe szczekanie, tak że omal nie wyskoczyłam ze skóry.

Nade mną stanął pies Juniper, lurcher, którego widziałam wiosną. Zjeżył się, wyszczerzył kły i wydał z siebie warkot, który dochodził z samych trzewi.

– Dobry piesek – powiedziałam z gardłem ściśniętym ze strachu. – Grzeczny piesek.

Zastanawiałam się, czy wyciągnąć rękę, żeby go pogłaskać; czy dałby się w ten sposób obłaskawić, kiedy w błocie pojawił się koniec laski, za nim pokazała się para stóp w męskich półbutach. Podniosłam głowę, z góry patrzyła na mnie surowo Percy Blythe.

Zdażyłam zapomnieć, jaka jest chuda i surowa. Stała zgarbiona, opierając się na lasce, ubrana podobnie jak pół roku temu w jasne spodnie i nienagannie skrojoną bluzkę, strój, który nadałby jej może męski wygląd, gdyby nie wyjątkowo szczupła sylwetka i małe damski zegarek wiszący luźno na kościstym nadgarstku.

– A, to pani – odezwała się wyraźnie zaskoczona. – Przyjechała pani wcześniej.

– Bardzo przepraszam. Nie chciałam pań niepokoić...

Pies znowu zawarczał, a Percy machnęła na niego ze zniecierpliwieniem.

– Spokój, Bruno!

Pies zaskomlał i usiadł jej przy nodze.

– Spodziewałyśmy się pani dopiero jutro.

– Tak, wiem. O dziesiątej rano.

– Przyjdzie pani?

Skinęłam głowę.

– Przyjechałam z Londynu dzisiaj, ponieważ na najbliższe dni zapowiadają deszcze. Postanowiłam skorzystać z resztek ładnej pogody i wybrać się na spacer, aby zrobić trochę notatek. Mam nadzieję, że nie będą panie miały nic przeciwko temu. Znalazłam tu miłą kryjówkę, nie chciałam sprawiać kłopotu.

W którymś momencie mojej wypowiedzi jej uwaga pierzchła.

– No cóż – odrzekła bez nuty zadowolenia w głosie – skoro już pani jest, chyba możemy się napić razem herbaty.

Faux pas oraz coup d'oeil

Żółty salonik wydał mi się dużo bardziej zniszczony i wyblakły, niż pamiętałam. Podczas pierwszej wizyty zrobił na mnie wyjątkowo ciepłe wrażenie, niczym oaza światła i życia na pustyni ciemnego kamienia. Tym razem było inaczej, być może dlatego że zmieniła się pora roku – znikł wiosenny blask, przejmujący chłód zapowiadał nadejście zimy – bo nie tylko wygląd pokoju zwrócił moją uwagę.

Pies dyszał ciężko i osunął się na podłogę pod poszarpaną siatką w drzwiach balkonowych. Uprzytomniłam sobie, że on też się postarzał od maja, tak jak Percy Blythe, jak zniszczony salonik. Do głowy wpadła mi myśl, że Milderhurst było naprawdę w jakiś sposób odizolowane od reszty świata, miejsce poza granicami czasu i przestrzeni, że działał tu jakiś urok niczym w baśniowym zamku, w którym czas zwalniał biegu lub przyspieszał wedle kaprysu jakiejś nadprzyrodzonej istoty.

Saffy stała odwrócona do mnie bokiem, pochylona nad porcelanowym dzbankiem do herbaty.

– Nareszcie, Percy – powiedziała, usiłując przykryć czajniczek przykrywką. – Już myślałam, że będziemy musiały zbierać ekipę poszukiawczą. – Och. – Podniosła głowę i zobaczyła mnie u boku siostry. – Dzień dobry.

– To Edith Burchill – oznajmiła rzeczowo Percy. – Przyjechała trochę wcześniej. Zostanie u nas na herbatę.

– Cudownie – odrzekła Saffy i twarz jej się tak rozpromieniła, że wydało mi się niemożliwe, aby powiedziała to tylko z grzeczności. – Miałam właśnie nalewać herbaty. Gdyby tylko udało mi się zmusić tę przykrywkę, żeby się wpasowała jak należy. Przyniosę jeszcze jedno nakrycie. Doprawdy, cóż za miła niespodzianka!

Juniper siedziała przy oknie, tak jak poprzednio, kiedy przyjechałam tu w maju, lecz tym razem spała, pochrapując cicho z głową wtuloną w zielone, aksamitne oparcie fotela. Na jej widok przypomniały mi się wpisy w dzienniku mamy – o czarującej młodej kobiecie, którą kochała. Smutno było patrzeć, kim się stała, a wszystko dlatego, że Thomas Cavill nie przyjechał na umówione spotkanie.

– Bardzo się cieszymy, że pani przyjechała, panno Burchill – powiedziała Saffy.

– Proszę, niech panie mówią do mnie Edie. To skrót od Edith.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Edith. Śliczne imię. Znaczy „błogosławiona w walce”, nieprawdaż?

– Szczerze mówiąc, nie wiem.

Percy odchrząknęła, a Saffy ciągnęła szybko:

– Twój poprzednik doskonale znał się na rzeczy, ale... – rzuciła spojrzenie w stronę Juniper – ...no cóż, o wiele łatwiej rozmawia się z kobietą, prawda, Percy?

– Tak.

Widząc je razem, uprzytomniłam sobie, że nie zdawałam sobie dotąd sprawy z upływu czasu. Podczas swojej pierwszej wizyty zauważyłam, że bliźniaczki są tego samego wzrostu, mimo że apodyktyczny sposób bycia dodawał Percy postawności. Tym razem jednak pozbyłam się wątpliwości: starsza siostra była niższa. A także drobniejsza. Nie mogłam się opędnąć od skojarzenia z Jekyilem i Hyde'em i sceną, w której dobry doktor spotyka swoje mniejsze, mroczne „ja”.

– Proszę usiąść – poleciła cierpko Percy. – Usiądźmy wszystkie i napijmy się wreszcie herbaty.

Zrobiłyśmy, jak kazała, Saffy napełniła filiżanki i rozpoczęła z Percy w dużym stopniu jednostronną konwersację na temat Bruna. Gdzie go znalazła? W jakim stanie? Jak mu się udało iść? Dowiedziałam się, że jest chory, że obie panie bardzo się o niego martwią. Rozmawiały przyciszonymi głosami, rzucając ukradkowe spojrzenia w stronę śpiącej Juniper. Percy mówiła mi, że to pies ich najmłodszej siostry, że starają się, aby Juniper zawsze miała jakieś zwierzę, bo każdy potrzebuje kogoś,

kogo mógłby kochać. Przyglądałam się Percy znad filiżanki z herbatą. Była oschła, ale miała w sobie coś fascynującego. Obserwowałam jej zaciśnięte wargi, obwisłą skórę, głębokie bruzdy wyryte w miejscach, gdzie przez dziesięciolecia marszczyły się brwi. Czy miała na myśli siebie, kiedy mówiła, że każdy potrzebuje kogoś, kogo mógłby kochać? Czy ona również kogoś straciła?

Tak głęboko się zamyśliłam, że kiedy Percy odwróciła się i spojrzała prosto na mnie, przestraszyłam się, że czyta mi w myślach. Aż zapiekły mnie policzki. Zamrugałam i dopiero wtedy zorientowałam się, że Saffy coś do mnie mówiła, a Percy obejrzała się na mnie zdziwiona, czemu nie odpowiadam.

– Przepraszam – powiedziałam szybko. – Zamyśliłam się.

– Pytałam, jak ci minęła podróż z Londynu – powtórzyła Saffy.

– Och, bardzo dobrze, dziękuję.

– Pamiętam, jak jeździliśmy do Londynu, kiedy byliśmy bardzo młode. Pamiętasz, Percy?

Jej siostra mruknęła coś w odpowiedzi, a tymczasem twarz Saffy ożywiła się od wspomnień.

– Tata zabierał nas tam co roku. Z początku podróżowałyśmy koleją, miałyśmy z nianią własny, mały przedział. Potem tata kupił daimlera i jeździliśmy wszyscy samochodem. Percy zawsze najlepiej czuła się tutaj, ale ja uwielbiałam Londyn. Tyle się tam działo, tyle wspaniałych dam i przystojnych dżentelmenów, suknie, sklepy, parki. – Uśmiechnęła się ze smutkiem. – Zawsze sądziłam... – Uśmiech zadrgał, spuściła wzrok na filiżankę. – No cóż, myślę, że wszystkie młode kobiety o czymś marzą. Jesteś mężatką, Edie?

Pytanie padło tak niespodziewanie, że aż się zająknęłam, a wtedy Saffy wyciągnęła delikatną dłoń.

– Wybacz mi to pytanie. Zachowałam się jak impertynentka.

– Ależ skąd – odparłam. – Nic nie szkodzi. Nie jestem zamężna.

Uśmiechnęła się jeszcze cieplej.

– Tak myślałam. Zauważyłam, że nie masz obrączki. Chociaż zdaje się, że w dzisiejszych czasach młodzi ludzie rzadko je noszą. Obawiam się, że nie nadążam za modą. Od dawna prawie nie opuszczam Milderhurst. – Zerknęła przelotnie na Percy. – Żadna z nas się stąd nie rusza.

– Zatrzepotała palcami, następnie zamknęła je na zabytkowym medalionie, który wisiał na delikatnym łańcuszku wokół jej szyi.

– Kiedyś prawie wyszłam za mąż.

Obok mnie Percy poruszyła się na krześle.

– Jestem pewna, że panna Burchill nie ma ochoty wysłuchiwać naszego biadolenia...

– Oczywiście – odparła Saffy, rumieniąc się. – To głupie z mojej strony.

Sprawiła wrażenie tak zakłopotanej, że pospieszyłam ją uspokoić. Doszłam do wniosku, że przez całe swoje długie życie robiła tylko to, co jej kazała Percy.

– Bynajmniej – zaprzeczyłam skwapliwie. – Proszę, niech mi pani o tym opowie.

Usłyszałam syk zapalki, Percy zapaliła papierosa zamkniętego w pułapce między wargami. Saffy była rozdarta, na jej twarzy nieśmiałość walczyła z pragnieniem. Patrzyła na swoją siostrę bliźniaczkę i wyczytywała z jej oblicza podteksty, na które ja byłam ślepa. Badała pole bitwy, oznaczone sińcami i zadrapaniami. W końcu Percy wstała i podchodząc z papierosem do okna, zapaliła po drodze lampę, a Saffy odwróciła się z powrotem do mnie.

– Percy ma rację – powiedziała łagodnie i wiedziałam, że przegrała tę potyczkę. – To próżność przeze mnie przemawia.

– Ależ skądże, bardzo chętnie...

– Jak posuwa się praca nad artykułem, panno Burchill? – przerwała mi Percy.

– No właśnie. – Saffy odzyskała pogodę ducha. – Opowiedz nam, jak ci idzie, Edie. Jakie masz plany na pobyt w Milderhurst? Pewnie będziesz chciała zacząć od wywiadów?

– Szczerze mówiąc – odrzekłam – Adam Gilbert wykonał swoją pracę tak sumiennie, że właściwie nie będę musiała zabierać paniom czasu.

– Aha... rozumiem.

– Już o tym rozmawialiśmy, Saffy – powiedziała Percy.

W jej głosie usłyszałam ostrzegawczą nutę.

– Naturalnie. – Saffy uśmiechnęła się do mnie, ale w jej oczach widziałam żal. – Rzecz w tym, że często przychodzą nam do głowy pewne szczegóły dopiero po jakimś czasie.

– Bardzo chętnie z panią porozmawiam, jeśli chciałaby pani coś dodać do swoich wcześniejszych wypowiedzi – wtrąciłam się.

– To nie będzie konieczne, panno Burchill – orzekła Percy, wracając do stołu. – Jak sama pani zauważyła, pan Gilbert zgromadził mnóstwo materiałów.

Skinęłam głową, lecz jej surowe spojrzenie zbiło mnie nieco z tropu. Ten kategoriyczny ton jednoznacznie dawał do zrozumienia, że nie życzę sobie, abym rozmawiała z Saffy, zwłaszcza na osobności. A jednak przecież to ona odprawiła Adama Gilberta i uparła się, abym go zastąpiła. Nie byłam ani na tyle próżna, ani nierozgarnięta, by sądzić, że miało to jakiś związek z moimi umiejętnościami pisarskimi. Nie nawiązałyśmy też żadnych szczególnych stosunków podczas mojej poprzedniej wizyty. Czemu więc zażądała mojej współpracy? I czemu tak się upierała, że bym nie rozmawiała z Saffy? Może uważała, że łatwiej jej będzie mnie kontrolować? Czy do tego stopnia przywykła do rządzenia swoimi siostrami, że nie brała pod uwagę, aby rozmawiały z kimś bez niej? Czy też kryło się za tym coś więcej? Czy niepokoiło ją coś, co Saffy chciała mi powiedzieć?

– Więcej pani skorzysta, jeśli obejrzy wieżę i spróbuje się wczuć w atmosferę domu – ciągnęła Percy. – Wyobrazić sobie, jak pracował tata.

– Tak – odrzekłam. – Oczywiście, to bardzo ważne.

Byłam sobą rozczarowana. Czy ja również mam się poddać dyktatom Percy Blythe? Coś się we mnie zbuntowało.

– Jednakże – usłyszałam swój głos – kilka szczegółów zostało pominiętych w poprzednich wywiadach.

Percy zwięźliła oczy.

– Tak?

– Zauważyłam, że Adam Gilbert nie przeprowadził wywiadu z panną Juniper. Pomyślałam, że mogłabym...

– Nie.

– Rozumiem, że nie chcą jej panie niepokoić, obiecuję, że...

– Zapewniam, że od Juniper nie dowie się pani niczego na temat

pracy naszego ojca. Nie było jej jeszcze na świecie, kiedy został napisany *Człowiek z Błota*.

– To prawda, ale artykuł ma traktować o paniach, trzech siostrach, tak więc nalegam...

– Panno Burchill – głos Percy był lodowaty – musi pani zrozumieć, że nasza siostra jest chora. Mówiłam pani podczas poprzedniej wizyty, że przeżyła w młodości wstrząs, silne rozczarowanie, z którego nigdy się nie otrząsnęła.

– Oczywiście, mówiła pani i zapewniam, że nie ośmieliłabym się wspomnieć przy niej o Thomasie...

Urwała, bo Percy aż pobladła na twarzy. Chyba po raz pierwszy zobaczyłam, że straciła nad sobą panowanie. Imię Thomasa wymknęło mi się mimowolnie i zawisło w powietrzu jak dym. Sięgnęła po następnego papierosa.

– Najwięcej pani skorzysta – powtórzyła powoli stanowczym, nieznośnym sprzeciwu głosem, któremu zadawała kłam zapalka drżąca w jej palcach – jeśli obejrzy pani wieżę i spróbuje zrozumieć, jak pracował nasz ojciec.

Skinęłam głową, poczułam w żołądku dziwny ciężar.

– Jeśli potem nadal będzie miała pani jakieś pytania, proszę się zwrócić do mnie, nie do moich sióstr.

W tym momencie wtrąciła się Saffy na swój niepowtarzalny sposób. Podczas naszej wymiany zdań siedziała ze spuszczoną głową, teraz podniosła wzrok, a na jej twarzy malowała się łagodna życzliwość. Przemówiła czystym, nieznośnie beztroskim głosem.

– Co oznacza naturalnie, że musi pani obejrzeć dzienniki taty.

Czy to możliwe, że w tym momencie powietrze w pokoju zamieniło się w szron, czy też tylko mnie się tak zdawało? Żaden człowiek nie widział dotąd na oczy notatek Raymonda Blythe'a, ani za jego życia, ani w trakcie pięćdziesięcioletnich pośmiertnych badań nad jego utworami. Wokół kwestii, czy w ogóle istniały, zaczęły narastać legendy. I nagle jego córka wspomina o nich w mojej obecności, w dodatku tak niefrasobliwym tonem. Będę mogła ich dotknąć, przeczytać słowa spisane własnoręcznie przez wielkiego pisarza, przebiegać palcami jego myśli, w chwili kiedy się formowały...

– Tak – wykrztusiłam prawie szeptem. – Tak, bardzo proszę.

Tymczasem Percy odwróciła się do Saffy i choć nie liczyłam, że uda mi się zrozumieć interakcje, jakie między nimi zachodziły i zapewne rozciągały się w czasie przez dziewięćdziesiąt lat, wiedziałam, że cios został zadany. Cios straszliwy. Zdawałam też sobie sprawę, że Percy nie chce, abym oglądała te notatki, a jej niechęć podsyciała moje pragnienie, moją potrzebę, aby je wziąć do ręki. Wstrzymałam oddech, podczas gdy bliźniaczki toczyły dalej swoją grę.

– Śmiało, Percy – mówiła Saffy, mrugając oczami i pozwalając, by jej uśmiech zwiądnął nieco w kącikach ust, jakby nie mogła pojąć, czemu jej siostra się ociąga. Obrzuciła mnie przelotnym spojrzeniem, które dawało do zrozumienia, że jesteśmy sprzymierzeńcami. – Pokaż Edie nasze archiwum.

Archiwum! Oczywiście, to tam leżały zamknięte dzienniki Raymonda Blythe'a. Scena jakby żywcem wyjęta z *Człowieka z Błota*: bezcenne notatki ukryte w zamkowej komnacie tajemnic.

Percy ściągnęła usta. Czemu nie chciała mi pokazać tych ksiąg? Czego się tak bała?

– Percy? – powiedziała Saffy jak do dziecka, które wymaga łagodnej zachęty, aby się odezwać. – Chyba notatki tam są, prawda?

– Myślę, że tak. Ja ich stamtąd nie wynosiłam.

– No więc, Percy?

Napięcie między siostrami osiągnęło taki poziom, że z trudem mogłam oddychać. Czas rozciągał się niemiłosiernie, okiennice zadrzały od poddmuchu wiatru, a ja obserwowałam pannę Blythe pełną nadziei.

– Nie dzisiaj – zdecydowała w końcu Percy, gasząc w kryształowej popielniczce wypalonego papierosa. – Zbyt szybko się ściemnia, już prawie wieczór.

Zerknęłam w stronę okna i stwierdziłam, że ma rację. Słońce wymknęło się niepostrzeżenie, a w jego miejsce wszczał się wieczór.

– Pokażę pani archiwum jutro. – Przeszyła mnie ciężkim spojrzeniem. – Jeszcze jedno, panno Burchill.

– Słucham?

– Nie chcę słyszeć od pani ani jednego słowa o Juniper ani o nim.

1.

Londyn, 22 czerwca 1941

Małe mieszkanie z dwoma pokojami mieściło się na szczycie wiktoriańskiego budynku. Strop opadał na jedną stronę i spotykał się ze ścianą, którą zaprojektowano kiedyś tak, aby z jednego targanego przecięciem strychu zrobić dwie mansardy. Nie było tu przyzwoitej kuchni, tylko mały zlew stojący obok jednego palnika gazowego. Garsoniera nie należała do niego, Tom nie miał bowiem własnego mieszkania, ponieważ nigdy go nie potrzebował. Aż do wybuchu wojny mieszkał z rodziną w Elephant and Castle, potem wyjechał na wojnę ze swoim pułkiem, dopóki ten nie skurczył się do garstki niedobitków wycofujących się na francuskie wybrzeże. Po Dunkierce leżał w szpitalu polowym w Chertsey.

Od wyjścia ze szpitala przeniósł się z jednego mieszkania do drugiego, czekając na ponowny przydział. W całym Londynie pełno było pustych domów, nie miał więc kłopotu ze znajdowaniem kolejnego lokum. Zdawało się, jakby wojna wszystko przetasowała: ludzi, dobytek, uczucia. Właśnie to mieszkanie, które będzie szczególnie pamiętał w dniu śmierci, stanie się wkrótce skarbnicą najpiękniejszych wspomnień jego życia. Należało do przyjaciela Thomasa, z którym studiowali razem w kolegium nauczycielskim, dawno temu, w innym życiu.

Było jeszcze wcześniej, lecz Thomas zdążył już pójść na Primrose Hill i wrócić. Nie sypiał już do późna tak jak dawniej. Przez wiele miesięcy od powrotu z Francji uciekał od własnych myśli. Wstawał razem z ptakami, szczególnie wróblami, które zadomowiły się na jego parapecie.

Może nie powinien był ich karmić, ale chleb był spleśniały, a ludzie z wydziału pomocy tak często powtarzali, że nie wolno go wyrzucać... To przez upał i parę z bojlera chleb Thomasa tak pleśniał.

Otwierał okna, ale ciepło z mieszkań na niższych piętrach rozprzestrzeniało się po schodach, przeciskało przez deski podłogowe, objęło o sufit i z arogancką swobodą panoszyło się na jego poddaszu. Akceptował to bez sprzeciwu, podobnie jak pleśń i ptaki na parapecie. Wstawał wcześniej, karmił je, później wychodził.

Lekarze mówili, że powinien dużo chodzić ze względu na nogę, ale Thomas chodziłby i bez tego. Czuł w sobie jakąś niecierpliwość, która zaczęła się we Francji i którą codziennie musiał odganiać egzorcyzmami. Każdy krok na chodniku trochę pomagał i Tom przyjmował tę ulgę z wdzięcznością, chociaż wiedział, że jest przejściowa. Tego ranka, kiedy stał na szczycie Primrose Hill i czekał, aż poranek zakąszę rękawy, zobaczył w oddali kopułę katedry Świętego Pawła wznoszącą się jaskrawo nad zaciemnioną okolicą. Podczas najgorszych nalotów leżał w szpitalu. 30 grudnia przyszła do niego przełożona pielęgniarek z „Timesem” w rękę (wolno mu już było wtedy czytać gazety). Stała nad nim z kwaśną miną, ale dość grzecznie, i zanim skończył czytać, oznajmiła, że to cud boski. Chociaż Tom się zgadzał, że przetrwanie kopuły katedry zakrawało na cud, uważał, że większą rolę odegrał w tym zdarzeniu zbieg okoliczności niż Bóg. Miał kłopot z Najwyższym, jak również z koncepcją, że boska istota ocaliła jeden budynek, kiedy cała Anglia wykrwawiała się na śmierć. Siostrze przełożonej jednak skinął głową na znak zgody, tylko tego mu brakowało, żeby oburzyła się na jego bluźnierstwo i zaczęła szeptać lekarzowi do ucha, że jego stan umysłu budzi wątpliwości.

✠

Stał w spodniach i podkoszulku przed lusterkiem opartym o parapet okienny i przeciągał po twarzy ogryzkiem mydła do golenia. Młody człowiek patrzył na niego beznamytnie z lustra. Podniósł głowę i zaczął ostrożnie raz za razem przeciągać brzytwą po podbródku, skrzywił się lekko, manewrując w okolicy ucha. Mleczny promień słońca padł na jego policzek. Potem mężczyzna w lustrze oplukał brzytwę w wodzie, otrzepał ją lekko i zaczął drugą stronę, zupełnie jak ktoś, kto szykuje się,

aby iść na urodziny swojej matki...

Uchwycił swoje spojrzenie w lustrze, zaciął się i westchnął. Ostrożnie odłożył brzytwę na parapet i oparł się obiema dłońmi o umywalkę. Zaciśnął powieki i zaczął liczyć do dziesięciu. Takie momenty zdarzały mu się dość często od powrotu z Francji, ale nasiliły się po wyjściu ze szpitala. Zupełnie jakby patrzył na siebie z boku i nie mógł uwierzyć, że ten młody człowiek w lustrze o życzliwej fizjonomii, łagodnym spojrzeniu i z całym życiem przed sobą to może być on, że za tą ciągle gładką twarzą mogą się kryć doświadczenia minionych ośmiu miesięcy, obrazy i dźwięki, i to dziecko, dobry Boże, to samotne, martwe dziecko na drodze we Francji...

Jesteś Thomasem Cavillem, powiedział sobie stanowczo, kiedy doliczył do dziesięciu, masz dwadzieścia pięć lat, jesteś żołnierzem. Dzisiaj twoja mama obchodzi urodziny i idziesz do niej na obiad. Będą tam jego siostry, najstarsza z maleńkim synkiem Thomasem ochrzczonym na jego cześć, i jego brat Joey, ale nie będzie Theo, który wyjechał ze swoim pułkiem na ćwiczenia i pisuje do domu radosne listy o maśle i śmietance, i dziewczynie o imieniu Kitty. Będą jak zawsze wesołą, hataśliwą rodziną, niezadającą pytań, nienarzekającą, a jeśli, to w żartach o tym, jak trudno dostać jajka czy cukier. I niepowątpiewającą ani przez sekundę, że Anglia sobie poradzi. Że oni sobie poradzą. Biorąc z powrotem brzytwę, Thomas pomyślał mgliście, że nie pamięta, kiedy ostatnio on sam się tak czuł.

■

Juniper wzięła do ręki kartkę i jeszcze raz sprawdziła adres. Odwracała ją na boki, wykręcała głowę i klęła na swój okropny charakter pisma. Jak zawsze za szybka, zbyt niedbała, zbyt niecierpliwa, ciągle przeskakująca myślami do nowych pomysłów. Podniosła oczy na wąski budynek, zauważyła numer na czarnych drzwiach frontowych. Dwadzieścia sześć. To na pewno tutaj.

Stanowczym ruchem wsunęła karteczkę do kieszeni. Nawet gdyby nie знаła ulicy ani numeru, rozpoznała ten dom z opowieści Merry równie łatwo, jak rozpoznałaby opactwo Northanger, Wichrowe Wzgórza czy Samotnię. Wbiegła po betonowych schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz i zapukała do drzwi.

Była w Londynie od dwóch dni i ciągle nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Czowała się jak bohaterka powieści, która uciekła z książki, gdzie w dobroci serca pieczołowicie wymyślił ją autor, a ona wzięła nożyczki, wycięła swoje kontury i przeskoczyła na nieznane strony innego utworu, pełnego brudu, hałasu i rytmu. Już jej się podobała ta nowa powieść: krzątania, chaos, nieład, rzeczy i ludzie, których nie rozumiała. Wszystko było takie emocjonujące, zawsze wiedziała, że takie będzie.

Drzwi się otworzyły i zaskoczył ją widok zmarszczonej twarzy, młodszej niż ona, a jednak jakoś starszej.

– Czego pani chce?

– Przyszłam do Meredith Baker.

Jej własny głos brzmiał dziwnie w tej nowej powieści.

Przyszła jej do głowy Percy, która zawsze wiedziała, jak się zachować w świecie, lecz zaraz obraz ten przyćmiło inne wspomnienie, całkiem niedawne – tej samej Percy, poczerwieniałej z gniewu po spotkaniu z prawnikiem taty. Pozwoliła, aby obraz obrócił się w pył i rozsypał na ziemi.

Dziewczyna ze ściągniętymi, skrzywionymi ustami mogła być tylko Ritą. Zmierzyła Juniper od góry do dołu z wyrazem wyniosłej podejrzliwości, a także, co dziwne, bo przecież nigdy się przedtem nie spotkały, silnej antypatii.

– Meredith! – zawołała w końcu Rita kącikiem ust. – Złaz tu zaraz!

Czekając, przyglądały się sobie w milczeniu, a Juniper zaczęły się tłoczyć do głowy słowa. Splatały się w charakterystykę, którą później napisze siostrze. Rozległo się stukanie butów i po chwili w drzwiach pojawiła się Meredith w okularach na nosie, ze szmatką w rękę, a wtedy wszystkie słowa straciły nagle wartość i usunęły się w cień, czekając, aż przyjdzie ich pora.

Merry była pierwszą przyjaciółką Juniper, nigdy dotąd nie miała za kim tęsknić, tak więc ogromny ciężar, jaki odczuła po jej wyjeździe, zupełnie ją zaskoczył. Kiedy w marcu do zamku przyjechał niespodziewanie ojciec dziewczynki i kategorycznie zażądał, aby córka wróciła z nim do domu, Juniper objęła ją ramieniem i szepnęła do ucha:

– Wkrótce się spotkamy. Jadę do Londynu.

Meredith płakała, ale Juniper nie. Pomachała przyjaciółce na pożegnanie i wróciła na poddasze, aby wyjść jak zawsze na dach, by przypomnieć

sobie, jakie to uczucie być samej. Spędziła tak całe życie, ale nie pamiętała takiej ciszy jak ta, która pozostała po wyjeździe Meny. Zegar tykał miękko, odliczając sekundy losu, i Juniper postanowiła z nim wygrać.

– Przyjechałaś – powiedziała Meredith, poprawiając okulary wierzchem dłoni i mrugając, jakby sądziła, że ją oczy mamia.

– Powiedziałam ci, że przyjadę.

– Ale gdzie mieszkasz?

– U ojca chrzestnego.

Twarz Meredith rozciągnęła się w uśmiechu, a po chwili wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Chodźmy stąd! – zawołała, łapiąc Juniper mocno za rękę.

– Powiem mamie, że nie skończyłaś sprzątać kuchni! – krzyknęła za nią siostra.

– Nie przejmuj się nią – powiedziała Meredith. – Wścieka się, bo w pracy cały czas siedzi w schowku na miotły.

– Wielka szkoda, że jej tam nie zamknęli.

✠

Juniper Blythe wyjechała do Londynu pociągiem, tak jak zasugerowała Meredith, kiedy siedziały na dachu w Milderhurst. Ucieczka nie okazała się wcale taka trudna, jak się obawiała. Po prostu przeszła przez pola i nie zatrzymała się, dopóki nie dotarła na stację.

Była z siebie tak zadowolona, że całkiem umknęła jej uwadze drobna kwestia: co dalej? Umiała pisać, potrafiła wymyślać wspaniałe fabuły i zamykać je w misterne meandry słów, wiedziała jednak, że w innych sprawach jest załośnie niedouczona. Całą swoją wiedzę o świecie i jego działaniu czerpała z książek i rozmów starszych sióstr, których w żaden sposób nie dało się nazwać kobietami światowymi, oraz z opowieści Meredith o Londynie. Właściwie więc wcale jej nie zdziwiło, kiedy stojąc przed wejściem na peron, zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, co dalej robić. Dopiero kiedy zauważyła budkę z tabliczką: „Kasa biletowa”, zaświtało jej w głowie, że powinna kupić bilet.

Pieniądze. Juniper nigdy o nich nie myślała i nigdy nie potrzebowała. Po śmierci taty została jej jednak niewielka suma. Nie zaprzętała sobie

głowy szczegółami testamentu i majątku, wystarczyło jej wiedzieć, że Percy się gniewa, Saffy się martwi, a ona, Juniper, jest tego mimowolną sprawczynią. Gdy jednak Saffy wspomniała o paczuszce z prawdziwymi pieniędzmi, takimi, które można zwijać i trzymać w torebce i wymieniać na różne rzeczy, po czym zaproponowała, że je dla niej przechowa, Juniper zaprotestowała. Powiedziała, że chce tylko czasem na nie popatrzeć. Kochana, ugodowa Saffy nawet nie mrugnęła okiem, uznała jej żądanie za wyjątkowo rozsądne z tego prostego powodu, że wypowiedziała je Juniper, którą kochała i której nie potrafiłaby odmówić.

Pociąg przyjechał pełny, ale jakiś mężczyzna w wagonie wstał i uchylił kapelusza, a Juniper zrozumiała, że daje jej w ten sposób do zrozumienia, aby usiadła na miejscu, które zwolnił przy oknie. Jacy czarujący są ludzie w szerokim świecie! Uśmiechnęła się, a on skinął głową. Usiadła, położyła sobie walizkę na kolanach i czekała, co się dalej wydarzy. „Czy naprawdę musisz jechać w tę podróż?” – pytała tabliczka na peronie. Tak, pomyślała Juniper. Naprawdę muszę. Wiedziała już z niezachwianą pewnością, że jeśli pozostanie w zamku, skaże się na przyszłość, jakiej nie chce, przyszłość, jaką ujrzała w oczach ojca, kiedy trzymając ją za ramiona, mówił, że są tacy sami.

Na peronie wirowały tabuny pary. Juniper była podniecona, jakby siedziała na grzbiecie wielkiego, dyszącego smoka, który za chwilę wzbije się w powietrze i poniesie ją w fantastyczną krainę wyobraźni. Rozległ się przeszywający świst, aż włosy na rękach stanęły jej dęba, potem pociąg szarpnął potężnie i ruszył. Juniper nie mogła się powstrzymać, aby nie roześmiać się głośno do szyby. Zrobiła to! Naprawdę to zrobiła!

Po jakimś czasie szyba zaszła mgłą od jej oddechu. Za oknami przemykały nieznane, bezimienne stacje kolejowe, pola, miasteczka i lasy, rozmazane w malarską plamę zieleni i błękitu, przetykaną smugami różu, rozwodnioną pędzlem artysty. Od czasu do czasu rozpedzone kolory zatrzymywały się, aby utworzyć obraz, oprawiony w ramy okiennych futryn, Constable'a lub inny bukoliczny pejzaż, wcielenie bezczasowej natury, które tata tak uwielbiał i opiewał ze znajomym, zamglonym smutkiem w oczach.

Juniper była zbyt niecierpliwa na beczasowość. Dla niej istniało tylko tu i teraz, jej serce bijące zbyt szybko, lecz nie na tyle, by groziło jej utratą pamięci, ponieważ jechała pociągiem do Londynu i otaczały ją ruch, zgiełk i gorąco.

Londyn. Juniper wyszeptała do siebie to słowo prawie bezgłośnie, a potem jeszcze raz. Rozkoszowała się jego gładkim brzmieniem, dwiema harmonijnymi sylabami, uczuciem, jakie wywoływało na języku, miękkim, lecz mającym swój ciężar, niczym tajemne słowo szeptane przez kochanków. Juniper pragnęła miłości, namiętności i nowych doświadczeń. Pragnęła żyć i kochać, poznawać sekrety, podsłuchiwać, wiedzieć, jak ludzie z sobą rozmawiają, co czują, co ich rozśmiesza, co doprowadza do płaczu i westchnień. Ludzie, którzy nie byli Percy ani Saffy, ani Raymondem Blythe'em, ani Juniper Blythe.

Kiedyś, gdy była bardzo mała, pewien człowiek wleciał z ich łąki balonem wypełnionym ciepłym powietrzem. Juniper nie mogła sobie przypomnieć dlaczego – czy był to jeden z przyjaciół taty, czy jakiś sławny poszukiwacz przygód, pamiętała tylko, że z tej okazji zorganizowano na łące piknik, przyjechali nawet kuzyni z północy, a także wybrani znajomi z miasteczka, aby obserwować wielkie wydarzenie. Balon był przywiązany linami do ziemi i gdy wybuchły płomienie i kosz poderwał się w górę, aby za nimi podążyć, mężczyźni czekający przy sznurach zaczęli się mocować z węzłami, aby wypuścić balon na wolność. Napięte liny trzeszczały, płomienie ryczały coraz wyżej i przez chwilę wszyscy wytrzeszczyli szeroko oczy, bo katastrofa wydawała się nieunikniona.

Uwolniono jedną linę, lecz pozostałe trzymały mocno i cała machina przechyliła się na jedną stronę, płomienie buchnęły niebezpiecznie blisko poszycia balonu. Juniper zerknęła na tatę. Była jeszcze dzieckiem i nie rozumiała grozy czającej się w jego przeszłości, dopiero dużo później ojciec złożył na barki najmłodszej córki brzemień swych tajemnic, niemniej już wtedy wiedziała, że najbardziej na świecie boi się właśnie ognia. Kiedy patrzył na rozwój wydarzeń, jego twarz zamieniła się w maskę z białego marmuru z wyrzeźbionym grymasem grozy. Juniper zaczęła naśladować jego wyraz twarzy, ciekawa, jakie to uczucie tak skamienieć ze strachu. W samą porę ostatnie liny puściły i balon odzyskał

pion, uwolnił się z pęt i wzniósł w górę, by po chwili zniknąć w sinej otchłani.

Śmierć taty była dla Juniper jak zerwanie pierwszej liny. Czuła się wyzwolona, coś zadrgało w jej ciele i duszy i znaczna część ciężaru, który ją przygniatał, odpadła. Ostatnie liny odcięła sama: spakowała małą walizkę, kilka ubrań dobranych na chybił trafił, dwa londyńskie adresy osób, które знаła, a potem czekała na dzień, kiedy obie siostry będą czymś zajęte, aby mogła niezauważona wyruszyć w drogę na stację kolejową.

Pozostał tylko jeden kawałek liny łączący Juniper z domem. Tę więź, splecioną przez Percy i Saffy w staranny węzeł, przeciąć było najtrudniej. Ale trzeba to było zrobić, bo miłość i troska trzymały ją w sidłach tak samo mocno jak oczekiwania taty. Kiedy dojechała do Londynu i spowił ją dym i gorączkowa bieganina na stacji Charing Cross, wyobraziła sobie parę lśniących nożyc, pochyliła się i przecięła linę na pół. Potem patrzyła, jak sznur opada, przez mgnienie oka leży nieruchomo, jakby z niedowierzaniem, po czym umyka w stronę Milderhurst.

Nareszcie wyzwolona poprosiła kogoś o wskazanie drogi do najbliższej skrzynki pocztowej i wysłała do domu list, w którym pokrótce wyjaśniła, co zrobiła i dlaczego. Dojdzie do domu, zanim siostry zaczną się poważnie martwić lub podnosić alarm, żeby rozpocząć poszukiwania. Wiedziała, że będą się gorączkować, szczególnie Saffy będzie odchodzić od zmysłów, ale co więcej Juniper mogła zrobić?

Jedno było pewne: jej siostry za nic nie pozwoliłyby jej wyjechać.



Juniper i Meredith leżały obok siebie na wypalanej od słońca trawie w parku. Między liśćmi, które spoglądały na nie z góry, grały w chowanego okrawki światła. Dziewczęta polowały na leżaki, ale większość z nich stała pod drzewami z nadzieją, że ktoś je znajdzie i naprawi. Juniper to nie przeszkadzało, dzień był upalny, więc trawa i ziemia dawały przyjemny chłód. Leżała na boku z głową opartą na dłoni, w drugiej trzymała papierosa i paląc leniwie, przemykała na przemian oczy i obserwowała, jak liście zmieniają pozycje na tle nieba. Słuchała, jak Meredith opowiada

o postępach w pracy nad swoją książką.

– No to kiedy mi ją pokażesz? – spytała, kiedy przyjaciółka skończyła.

– Nie wiem. Prawie skończyłam, ale...

– Ale co?

– Nie wiem. Czuję się taka...

Juniper spojrzała w jej stronę i przysłoniła oczy przed blaskiem słońca.

– Jaka?

– Zdenerwowana.

– Zdenerwowana?

Meredith nagle usiadła.

– Co będzie, jak ci się nie spodoba?

Juniper zrobiła to samo, krzyżując nogi.

– Na pewno mi się spodoba.

– A jeśli nie? Wtedy już nigdy, nigdy w życiu niczego nie napiszę.

– Skoro tak – powiedziała Juniper, udając surowy ton i marszcząc brwi jak Percy – skoro tak, to równie dobrze możesz przestać już teraz.

– Bo wiesz, że ci się nie spodoba!

Juniper zobaczyła zaskoczona, że twarz Meredith pociemniała z rozpaczy. Ona się tylko wygłupiała, żartowała jak zawsze. Spodziewała się, że przyjaciółka wybuchnie śmiechem i podchwyci jej surowy ton, aby powiedzieć coś równie bezsensownego. Na widok jej impulsywnej reakcji mina Juniper zrzedła, a udawana srogość znikła.

– Wcale nie miałam tego na myśli – powiedziała, kładąc dłoń na sercu dziewczynki, tak że czuła, jak bije pod jej opuszkami palców. – Pisz to, co jest tutaj, bo musisz, bo ci to sprawia przyjemność, nigdy po to, żeby podobało się to komuś innemu.

– Nawet tobie?

– Zwłaszcza mnie! Boże, Merry, co ja mogę wiedzieć!

Merry się uśmiechnęła i uczucie pustki znikło. Zaczęła z ożywieniem opowiadać o jeżu, który zabłąkał się do schronu w ich ogrodzie. Juniper słuchała i śmiała się i tylko maleńką cząstką uwagi obserwowowała to dziwne napięcie na twarzy jej przyjaciółki.

Gdyby była inną osobą, kimś, komu zmyślone miejsca i postaci nie powstają w głowie z taką łatwością, komu słowa czasem nie chcą się

układać, zrozumiałaby niepokój Merry. Ale nie potrafiła i po jakimś czasie przestała się nad tym zastanawiać. Była w Londynie, była wolna, siedziała na trawie, a słońce wspinało się jej po plecach. Tylko to się liczyło.

Zgasiła papierosa i zobaczyła rozpięty guzik przy bluzce Meredith.

– Popatrz, Kurczaczku, jaka jesteś rozchełstana – powiedziała, wyciągając rękę. – Poczekaj, pomogę ci się zapiąć.

2.

Tom postanowił iść na piechotę do Elephant and Castle. Nie lubił metra, jeździło zbyt głęboko pod ziemią, czuł się zamknięty w pułapce i robił się od tego niespokojny. Zdawało mu się, że wieki minęły od czasów, gdy zabierał z sobą Joeya, siadał z nim na peronie i razem nasłuchiwali nadciągającego rabanu. Rozluźnił pięści i przypomniał sobie, jakie to było uczucie trzymać w dłoni tę małą, pulchną rączkę, zawsze spoconą z emocji i gorącą, kiedy zaglądali razem w tunel i czekali na blask bliźniaczych świateł, na uderzenie nieświeżego, zapyłonego powietrza, które zapowiadało przyjazd pociągu. Najbardziej pamiętał twarz Joeya, zawsze tak samo zachwyconą jak za pierwszym razem.

Przystanął i zamknął oczy, czekając, aż wspomnienie zblednie i pierzchnie. Kiedy znów otworzył powieki, omal nie wszedł w drogę trzem młodym kobietom, na pewno młodszym od niego i schludnie ubranym w praktyczne garsonki. Szły ulicą takim pewnym siebie i swobodnym krokiem, że poczuł się przy nich jak oszołomiony głupiec. Uśmiechnęły się, kiedy zszedł im z drogi i wszystkie trzy podniosły dłonie z palcami ułożonymi w kształt litery V. Odpowiedział im uśmiechem, trochę nazbyt sztywno i zbyt późno i poszedł dalej w stronę mostu. Za jego plecami dziewczęcy śmiech, wstydlivy i musujący jak przedwojenny napój, powoli ucichł razem ze stukaniem obcasów i Tom odniósł niejasne wrażenie straconej okazji, chociaż nie miał pojęcia jakiej. Nie zatrzymał się i nie widział, jak oglądają się przez ramię i pochylają ku sobie głowy, aby rzucić jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie za żołnierzem o przystojnej twarzy i poważnych, ciemnych oczach. Był zbyt pochłonięty chodzeniem, stawianiem jednej stopy przed drugą w rytmie, który był jego mantrą we Francji. Rozmyślał nad symbolem:

można go było zobaczyć wszędzie, zastanawiał się, od czego się zaczęło, kto pierwszy nadał mu znaczenie i jak to się stało, że nagle wszyscy go znają.

Kiedy minął most Westminsterki i coraz bardziej zbliżał się do domu matki, poczuł coś, o czym starał się nie myśleć. Wewnętrzny niepokój wrócił, dręcząca pustka w piersi wkradła się z powrotem wraz ze wspomnieniami o Joeyu. Wziął głęboki oddech i przyspieszył kroku, chociaż wiedział, że nie prześcignie w ten sposób własnego cienia. Aż dziw brał, że puste miejsce może wywierać taki sam ucisk jak materialny przedmiot. Uczucie to przypominało tęsknotę za domem, co przstraszyło go jeszcze bardziej, po pierwsze, takie dziecinne sentymenty nie powinny trapić dorosłego mężczyzny; a po drugie, ponieważ był przecież w domu.

Kiedy leżał na mokrej, drewnianej podłodze statku, który wywoził go z Dunkierki, a potem na czyściutkim szpitalnym łóżku, a potem w pierwszym wynajętym mieszkaniu w Islington, myślał, że to uczucie, ów głuchy, niepowstrzymany ból, złagodnieje, kiedy znów postawi nogę w domu rodzinnym, w chwili gdy mama go obejmie, rozplacze mu się w ramię i powie, żeby się nie martwił, że wrócił do domu i że wszystko będzie dobrze. Ale przyjazd do domu niczego nie naprawił i Tom wiedział dlaczego. Nazwał męczący go głód tęsknotą za domem, ale zrobił to z lenistwa, a może mając nadzieję, że tym właśnie jest poczucie, że utraciło się coś bardzo ważnego, coś absolutnie fundamentalnego. Tak naprawdę to, za czym tęsknił, nie było miejscem, tylko częścią jego własnej duszy.

Wiedział, gdzie ją stracił, czuł, kiedy to się stało, na polach Belgii, kiedy odwrócił głowę i spojrzął w oczy niemieckiego żołnierza, który mierzył z karabinu prosto w jego plecy. Ogarnęła go panika, gorąca, płynna fala, a potem nagle cały ciężar zniknął, a z nim część jego samego, ta, która czuła i bała się, złuszczyła się niczym bibułka do skrętów w metalowym pudełeczku taty, jak łupina cebuli w kuchni jego matki, opadła na ziemię i została na polu bitewnym. Reszta, twarde jądro, zwane Tomem, spuściło głowę i zaczęło biec, nie myśląc o niczym, niczego nie czując, świadome tylko swego chrapliwego oddechu buczonego w uszach.

Ten rozpad, to zwichnięcie uczyniło go lepszym żołnierzem, lecz jako człowiek został wybrakowany. Dlatego właśnie nie zamieszkał w domu. Patrzył na ludzi i rzeczy jak przez zadymioną szybę. Widział ich, lecz niewyraźnie, i w żaden sposób nie mógł ich dotknąć. Lekarz wytłumaczył mu to w szpitalu, powiedział, że miał już pacjentów cierpiących na tę samą dolegliwość. Tylko że to w żaden sposób nie zmniejszyło grozy, z jaką Thomas patrzył na matkę, uśmiechając się doń tak samo jak wtedy, kiedy był chłopcem, a ona próbowała go przekonać, żeby zdjął skarpetki i dał jej do zacerowania. Czuł tylko pustkę. Kiedy pił ze starego kubka taty, kiedy jego mały braciszek Joey – teraz już potężny mężczyzna – pisał z radości i przygalopował do niego niezdarnie z *Czarnym Księciem* przyciśniętym do piersi; kiedy siostry zaczęły się nad nim rozczulać, jak bardzo schudł i że muszą pozbierać swoją racjonalną żywność, żeby go trochę podtuczyć, Tom nie czuł niczego. Aż chciało mu się...

– Panie Cavill!

Serce podskoczyło mu w piersi, kiedy usłyszał nazwisko swego ojca. W elektryzującym ułamku sekundy poczuł taką nagłą ulgę, aż zrobiło mu się słabo, bo to znaczyło, że jego ojciec żyje, jest cały i zdrowy i w związku z tym wszystko da się jeszcze naprawić. Kiedy przez te ostatnie tygodnie widywał staruszka, jak idzie ku niemu ulicą Londynu, jak macha do niego na polu bitwy, jak wyciąga rękę, aby ucisnąć mu dłoń na łodzi wiozącej go przez kanał, to wcale nie były przywidzenia. To znaczy były, ale nie takie, jak myślał: ten świat, świat bomb, kul i karabinu w jego rękach, podróż przeciekającą łodzią przez podstępny, ciemny kanał La Manche; miesiące otępienia w szpitalnych salach, gdzie pedantyczna czystość maskowała zapach krwi; świat martwych dzieci leżących na zbombardowanej drodze – to wszystko były tylko okropne urojenia. W prawdziwym świecie – uprzytomnił sobie i wezbrała w nim nagła, dziecięca radość, aż zakreśliło mu się w głowie – wszystko jest dobrze, ponieważ jego tata żyje. Musi żyć, skoro ktoś woła do niego: „Panie Cavill!”.

Odwrócił się. Jakaś dziewczyna machała do niego ręką, znajoma twarz szła w jego kierunku. Szła takim krokiem, jakim chodzą dziewczynki, kiedy chcą się wydać dorosłe – ramiona ściągnięte w tył, broda

zadarta do góry, ręce oparte na biodrach – lecz krokiem spieszonym jak podniecone dziecko. Biegła z parku, przez ogrodzenie, gdzie kiedyś stała żelazna barierka zamieniona teraz na nity, kule i skrzydła samolotów.

– Dzień dobry, panie Cavill – wysapała dziewczynka bez tchu i zatrzymała się przed nim. – Wrócił pan z wojny!

Nadzieja na spotkanie z ojcem pierchła w mgnieniu oka, radość i ulga wyciekły z niego, jakby ktoś mu poprzekłował skórę szpilkami. Z ciężkim westchnieniem uprzytomnił sobie, że w istocie jest panem Cavillem, a dziewczynka na środku chodnika, mrugająca przez szkła okularów i patrząca nań wyczekująco, jego uczennicą, dawną uczennicą, z czasów, kiedy miał uczniów, kiedy potrafił przemawiać autorytatywnym tonem o wielkich ideach, których nawet nie zaczął jeszcze rozumieć. Skrzywił się i przywołał do rzeczywistości.

Meredith. Tak się nazywała, Meredith Baker, ale urosła od czasu, kiedy widział ją ostatnim razem. Nie była już małą dziewczynką, wyrosła i jej ciało niecierpliwie wypełniało wszystkie nowo nabyte centymetry. Wiedział, że się uśmiecha, zdołał wykrztusić jakieś powitanie i nagle ogarnęło go dziwne, bardzo miłe odczucie, którego początkowo nie potrafił określić, związane z dziewczynką i z ich ostatnim spotkaniem. Zmarszczył brwi, wysilając pamięć, i wkrótce spłynęło na niego wspomnienie: gorący dzień, okrągły staw, młoda kobieta.

Wtedy ją zobaczył. Dziewczynę stamtąd, dokładnie tu, na londyńskiej ulicy, i w pierwszej chwili doszedł do wniosku z absolutną pewnością, że mu się przywiduje. Bo jak to możliwe? Dziewczyna z jego snów, którą widywał czasami, promieniejącą, uśmiechającą się, kiedy wędrował przez Francję; kiedy upadł przygnieciony przez swego towarzysza Andy'ego, który zmarł na jego ramieniu, a on nawet nie wiedział kiedy; gdy kula przeszła mu kolano i osunął się na ziemię i jego krew zbroczyła ziemię pod Dunkierką...

Zamrugał i potrząsnął głową. Zaczął liczyć do dziesięciu.

– To jest Juniper Blythe – oznajmiła Meredith, podnosząc z uśmiechem głowę i wskazując wzrokiem swoją towarzyszkę, która zapinała jej guzik przy kołnierzyku.

Thomas podążył za jej spojrzeniem. Juniper Blythe. Oczywiście, tak się właśnie nazywała.

Dziewczyna uśmiechnęła się z rozbrajającą szczerością i jej twarz przeszła całkowitą transformację. I w nim też zaszła jakaś zmiana, jak gdyby przez ułamek sekundy naprawdę znów był tym samym młodym człowiekiem stojącym nad roziskrzoną wodą w upalny, letni dzień, zanim wybuchła wojna.

– Dzień dobry – powiedziała.

Tom skinął w odpowiedzi głową, ponieważ słowa były zbyt śliskie, aby sobie z nimi poradzić.

– Pan Cavill był moim nauczycielem – wyjaśniła Meredith. – Spokłaskał go raz w Milderhurst.

Tom rzucił dziewczynie jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie, kiedy patrzyła na Meredith. Nie była Heleną Trojańską, to nie jej twarz tak bardzo przyciągała uwagę. U każdej innej kobiety te rysy wydawałyby się miłe dla oka, lecz nie urzekające: zbyt szeroko rozstawione oczy, zbyt długie włosy, szczelina między przednimi zębami, jednak u niej zamieniły się w bujną, wręcz wybijającą urodę. Doszedł do wniosku, że działa się tak za sprawą szczególnej witalności. Była nadnaturalną, a jednak bardzo naturalną piękną, bardziej promienną i lśniąca niż wszystko, co ją otaczało.

– Nad stawem – mówiła Meredith. – Pamiętasz? Przyjechał zobaczyć, gdzie mieszkam.

– Ach, tak – odparła Juniper Blythe, odwracając się z powrotem do Toma. Aż mu tchu zabrakło w piersi, kiedy się uśmiechnęła. – Pływał pan w moim stawie.

Droczyła się z nim. Pragnął jej odpowiedzieć równie lekko, poprzekomarzać się z nią, tak jak by uczynił dawniej.

– Pan Cavill też jest poetą – oświadczyła Meredith, a jej głos docierał z daleka, jakby z innego miejsca.

Tom usiłował się skupić. Poeta. Potarł czoło. Już od dawna tak o sobie nie myślał. Jak przez mgłę pamiętał, że pojechał na wojnę, aby zdobyć doświadczenia wierząc, że odkryje tajemnice świata, że zobaczy wszystko w nowym świetle, żywsze, bardziej sugestywne. I tak się stało. Tylko że rzeczy, które oglądał, nie należały do świata poezji.

– Niewiele już teraz piszę – odrzekł. Było to pierwsze zdanie, które wypowiedział, i od razu poczuł potrzebę, żeby je poprawić. – Byłem zajęty. Innymi sprawami. – Patrzył teraz tylko na Juniper. – Mieszkam w

Notting Hill – powiedział

– Bloomsbury – odparła.

Skinął głową. Tyle razy widywał ją w wyobraźni, w tak różnych okolicznościach, że jej obecność tutaj, na zwyczajnej londyńskiej ulicy, sprawiła go w zakłopotanie.

– Niewiele osób znam w Londynie – ciągnęła.

Thomas nie mógł się zdecydować, czy jest aż tak prostolinijna, czy wręcz przeciwnie, w pełni świadoma swego uroku i oddziaływania. Tak czy inaczej, to, co powiedziała, jakoś go ośmieliło.

– Zna pani mnie – zauważył.

Spojrzała na niego ciekawie, przekrzywiła głowę, jakby słuchała słów, których nie wypowiedział, po czym się uśmiechnęła. Wyjęła z torebki notes i coś w nim zapisała. Potem wydarła kartkę, a kiedy mu ją podawała, musnęła palcami jego dłoń. Thomas poczuł wstrząs, jakby go przeszedł prąd.

– Znam pana – przytaknęła.

Zdało mu się wtedy i odnosił to samo wrażenie za każdym razem, ilekroć odtwarzał w pamięci tę rozmowę, że nie było na świecie żadnych dwóch słów, które by były równie subtelne, a zarazem zawierały tak głębokie pokłady prawdy.

– Idzie pan do domu, panie Cavill?

To spytała Meredith. Całkiem zapomniał, że tam jest.

– Tak – odparł. – Moja mama ma dzisiaj urodziny. – Zerknął na zegarek, ale cyfry nic mu nie mówiły. – Muszę już iść.

Meredith rozciągnęła usta w uśmiechu od ucha do ucha i podniosła dwa palce w kształcie litery V. Juniper tylko się uśmiechnęła.

Tom czekał, aż znajdzie się na ulicy, gdzie mieszkała mama, i dopiero wtedy rozwinął karteczkę. Zanim stanął przed drzwiami, znał już na pamięć adres w Bloomsbury.

✠

Dopiero późnym wieczorem Meredith została sama i mogła to wszystko zapisać. Popołudnie zamieniło się w prawdziwą torturę: mama z Ritą kłóciły się przez całą kolację, tata kazał im wszystkim usiąść i słuchać w radiu przemówienia pana Churchilla na temat Rosjan, a potem mama, która ciągle wymyślała dla Meredith jakieś kary za jej zdradę w

Milderhurst, znalazła wielką stertę skarpet, które wymagały zacerowania. Zesłana do kuchni, gdzie latem panował wieczny skwar, Meredith raz po raz przebiegała w pamięci wydarzenia minionego dnia, aby nie zapomnieć z niego ani jednego szczegółu.

W końcu udało jej się uciec w zacisze pokoju, który dzieliła z Ritą. Siedziała na łóżku, plecami oparta o ścianę ze swoim drogocennym dziennikiem na kolanach i gryzmoła z zapałem na jego stronicach. Mądrze postąpiła, czekając na tę spokojną chwilę, chociaż przeżywała tortury. Rita zachowywała się ostatnio wyjątkowo wrednie i gdyby znalazła jej dziennik, urządziłaby jej piekło. Na szczęście przez najbliższą godzinę albo i dwie Merry będzie miała spokój. Za sprawą jakiejś ciemnej magii Ricie udało się zwrócić na siebie uwagę ucznia od rzeźnika po drugiej stronie ulicy. To musiała być miłość, bo chłopak odkładał na bok kiełbaski i po cichu dawał je Ricie. Rita oczywiście uważała się za ósmy cud świata i nie miała wątpliwości, że ślub jest tylko kwestią czasu.

Niestety, miłość nie złagodziła jej charakteru. Dziś po południu tylko czekała, kiedy Merry wróci do domu. Zaczęła ją wypytywać, kim była kobieta, która do nich dzisiaj przyszła, dokąd pobiegły w takim pośpiechu i co właściwie Meredith knuje. Oczywiście nic jej nie powiedziała, nie miała ochoty. Juniper była jej małym sekretem.

– Znajoma – odparła, starając się, aby nie zabrzmiało to w najmniejszym stopniu tajemniczo.

– Mama się wkurzy, jak jej powiem, że wymigiwałaś się od roboty i włóczyłaś z jakąś lalunią.

Tym razem jednak Meredith trzymała ripostę w zanadrzu.

– Tata też, jak się dowie, co robiliście z tym kiełbasianym amantem w schronie.

Rita poczerwieniała z oburzenia, cisnęła w siostrę butem, który zostawił paskudny siniak nad jej prawym kolanem, ale nie pisnęła mamie ani słowa.

Meredith przerwała pisanie w dzienniku i zaczęła ssać końcówkę pióra. Doszła do miejsca, w którym spotkały z Juniper pana Cavilla idącego chodnikiem i marszczącego brwi na ziemię pod nogami z takim skupieniem, jakby liczył kroki. Ciało Meredith rozpoznało go niemal z drugiego końca parku, jeszcze zanim umysł zdołał się zorientować, o co chodzi. Coś w niej podskoczyło jak na sprężynie, odżyło dziecięce zadurzenie.

Przypomniała sobie, jak nie odrywała od niego wzroku, jak chłonęła każde jego słowo, jak wyobrażała sobie, że pewnego dnia mogłaby nawet wyjść za niego za mąż. Aż się wzdrygnęła na to wspomnienie. No cóż, była wtedy taka dziecinna. Co ona sobie myślała, u licha?

Jednak jakie to było dziwne, niepojęte i zarazem wspaniałe, że on i Juniper zmaterializowali się nagle tego samego dnia. Dwoje ludzi, którzy przyczynili się do tego, by odkryła w życiu drogę, którą pragnęła podążać. Wiedziała, że jest fantastką, mama ciągle jej zarzucała, że buja w obłokach, ale w tym musiał tkwić ukryty sens, to los musiał sprawić, że oboje zjawili się jednocześnie z powrotem w jej życiu. Albo przeznaczenie.

Dźgnięta tą myślą niczym ostrogą wyskoczyła z łóżka i zaczęła szperać w swojej skrytce na dnie szafy pełnej tanich notesów. Jej opowieść nie miała jeszcze tytułu, ale wiedziała, że musi go nadać, zanim Juniper weźmie ją do przeczytania. Nie zaszkodziłoby również przepisać ją na maszynie, żeby wyglądała jak prawdziwa książka. Pan Seeböhm pod czternastką ma starą maszynę do pisania. Może gdyby Meredith zaproponowała, że przyniesie mu lunch, pozwoliłby z niej skorzystać?

Kłęcząc na podłodze, założyła włosy za uszy i zaczęła przeglądać zapisane kartki, czytała po kilka linijek tu i ówdzie i denerwowała się, czując, że nawet te, z których była najbardziej dumna, marniały w jej wyobraźni pod badawczym wzrokiem Juniper. Ogarnęło ją przygnębienie. Teraz widziała, że cała historia jest zbyt sztywna. Jej bohaterowie za dużo mówią, za mało czują i jakby nie wiedzieli, czego właściwie w życiu chcą. A przede wszystkim jej bohaterce brakowało czegoś bardzo ważnego, co powinno zostać uwypuklone. Aż dziw bierze, że nie pomyślała o tym wcześniej!

Miłość! Tego brakowało w jej historii. Bo to przecież te wspaniałe poruszenia serca sprawiają, że świat się kręci, nieprawdaż?

3.

Londyn, 17 października 1941

Parapet w mansardzie Thomasa był szeroki i doskonale się nadawał do siedzenia. Juniper uwielbiała tu przysiąść, absolutnie jednak nie chciała przyjąć do wiadomości, że ma to coś wspólnego z jej tęsknotą za pokojem na poddaszu w Milderhurst. Wcale za nim nie tęskniła. Po kilku miesiącach pobytu z dala od domu postanowiła, że więcej tam nie wróci. Nigdy.

Wiedziała już o testamencie ojca, wiedziała, co dla niej zaplanował i do czego był zdolny się posunąć, aby postawić na swoim. Saffy wytłumaczyła jej wszystko w liście, nie po to, żeby sprawić Juniper przykrość, tylko aby się wyżalić na złe humory Percy. Juniper przeczytała jej list dwa razy – chciała się upewnić, że wszystko dobrze zrozumiała – a potem utopiła go w jezioru Serpentine. Patrzyła, jak delikatny papier nasiąka wodą, jak atrament robi się niebieski, i jej gniew pomału stygł. Tak, to pasowało do taty, teraz, patrząc na sprawy z dystansu, widziała to wyraźnie, zupełnie jakby próbował zza grobu pociągać za sznurki i manipulować córkami. Tym razem jednak Juniper mu na to nie pozwoli. Nawet myśli o ojcu nie mogą przyćmić tego dnia. Dzisiaj może tylko świecić słońce.

Siedziała z kolanami podciągniętymi pod brodę, oparta plecami o mur i, paląc papierosa, obserwowała ogród. Była jesień, ziemia pęczniała, nieduży kot polował z zapamiętaniem, ścigał niewidzialnych wrogów, skakał i znikał pod zaspami liści, chował się w cętkowanych cieniach. Kobieta z mieszkania na parterze, której życie poszło z dymem podczas

bombardowania Coventry, wystawiała kotu miseczkę z mlekiem. Po wprowadzeniu nowych obostrzeń w sprawie żywności trudno było nawet o resztki jedzenia, ale zawsze wystarczyło, żeby uszczęśliwić jedno beż-pańskie kocie.

Z ulicy dobiegł hałas i Juniper wyciągnęła szyję. W stronę domu szedł mężczyzna w mundurze, serce już zaczęło jej walić, lecz po kilku sekundach wiedziała, że to nie Tom. Zaciągnęła się papierosem i stłumiła dreszcz emocji. Oczywiście, że to nie on, jeszcze za wcześnie. Przyjdzie za jakieś pół godziny. Wieki mijały, kiedy chodził odwiedzać rodzinę, ale wkrótce wróci, pełen nowych opowieści, a wtedy zrobi mu niespodziankę.

Zerknęła na mały stolik przy kuchence gazowej, którą kupili za nędzne grosze, a potem przekonali taksówkarza, aby pomógł im ją przywieźć za filiżankę herbaty. Na stoliku stała przygotowana prawdziwie królewska uczta, w każdym razie jak na czasy racjonowanej żywności. Kupiła na targu przy Portobello dwie gruszki, śliczne i dość tanie. Wypolerowała je starannie i ułożyła przy kanapkach, sardynkach i paczusce zawiniętej w gazetę. W środku, na odwróconym wiadrze, stał dumny tort. Pierwsze ciasto, jakie Juniper w życiu upiekła.

Wpadła na ten pomysł kilka tygodni temu. Pomyślała, że Tom powinien mieć tort urodzinowy i że powinna mu go upiec. Plan o mało nie legł w gruzach, kiedy sobie uprzytomniła, że nie ma pojęcia, jak się do tego zabrać. Zaczęła też powątpiewać, czy ich maleńka płytka kuchenna sprosta takiemu poważnemu wyzwaniu. Nie po raz pierwszy żałowała, że Saffy nie mieszka w Londynie, nie tylko dlatego, że potrzebowała pomocy przy upieczeniu ciasta, chociaż bowiem wcale nie brakowało jej Milderhurst ani zamku, to jednak tęskniła za siostrami.

W końcu, ponieważ składniki potrzebne do ciasta były zbyt drogie, aby je zmarnować, zapukała do drzwi mieszkania w suterenie, licząc, że zastanie w domu ich sąsiada, który zdawał się dużo wiedzieć o gotowaniu. Był w domu i kiedy Juniper wyłożyła mu swoją prośbę, z chęcią zaoferował pomoc. Sporządził listę produktów, o które należało się wystarać, sprawiał nawet wrażenie, jakby czerpał szczególną satysfakcję z wyzwań reglamentacji. Ofiarował na ten szczytny cel jedno ze swoich starych jajek, a na odchodnym wręczył Juniper pakunek zawinięty w gazetę i obwiązany szpagatem.

– To prezent dla was dwojga.

Nie miała oczywiście cukru na lukier, ale napisała na wierzchu imię Toma miętową pastą do zębów i uznała, że całość prezentuje się całkiem nieźle.

Poczuła na nodze zimną kropelkę, potem drugą na policzku. Spojrzała znowu za okno i stwierdziła, że zaczęło padać. Ciekawe, czy Tom już wraca.

✕

Od czterdziestu minut usiłował wyjść, ale okazało się to niełatwe. Jego rodzina tak się ucieszyła, że odzyskał nieco dawnej pogody ducha i znów się zachowuje jak „nasz Tom”, że wykorzystywali najdrobniejszy pretekst, aby go wciągnąć w rozmowę. Nieważne, że mała kuchnia mamy pękała w szwach od rozmaitych Cavillów, każde pytanie, każdy żart, każde stwierdzenie trafiało prosto w Toma. Jego siostra opowiadała właśnie o pewnej znajomej kobiecie, która wpadła pod autobus, nieoświetlony z powodu obowiązującego zaciemnienia.

– Taki szok, Tommy – mówiła, cmokając i kręcąc głową. – Wyskoczyła tylko, żeby zanieść żołnierzom paczkę z szalikami.

Tom zgodził się, że to okropne, i słuchał, jak wujek Jeff opowiada podobną historię jego sąsiada, który zderzył się z rowerem. Spróbował niepostrzeżenie wstać.

– Dziękuję, mamusiu...

– Już wychodzisz? – Mama wzięła do ręki czajnik. – Właśnie miałam wstawić wodę, żeby zrobić jeszcze herbatę.

Pocałował ją w czoło, dziwiąc się, jak nisko musi się schylać.

– Nikt nie parzy herbaty lepiej od ciebie, ale naprawdę muszę już iść. Mama uniosła brew.

– Więc kiedy ją poznamy?

Tom poklepał Joeya po ramieniu, unikając wzroku mamy.

– Nie wiem, o czym mówisz, mamo – powiedział, zarzucając torbę na ramię.

✕

Szedł żwawym krokiem, aby jak najszybciej wrócić do domu, aby uciec przed nadciągającym deszczem, lecz słowa mamy doganiały go bez względu na to, jak szybko szedł. Czepiały się go pazurami, ponieważ

bardzo pragnął powiedzieć swojej rodzinie o Juniper. Za każdym razem, kiedy się spotykali, powstrzymywał się ze wszystkich sił, żeby nie złapać ich wszystkich za ramiona i nie wykrzyknąć na całe gardło, że jest zakochany i że świat jest cudowny, mimo że młodzi mężczyźni zabijają się nawzajem, a miłe panie giną pod kołami autobusów, kiedy wychodzą zanieść szaliki dla żołnierzy.

Nie powiedział im ani słowa, ponieważ Juniper go o to prosiła. Dziwił go jej upór, żeby trzymać ich miłość w tajemnicy. Taka skrytość nie pasowała do kobiety tak prostolinijnej jak Juniper, tak szczerzej w wyrażaniu opinii i nieskłonnej do przeproszania za to, co czuła, mówiła lub robiła. Z początku przyjmował to z rezerwą, sądząc, że razi ją niskie pochodzenie jego rodziny, lecz szybko odrzucił te podejrzenia, widząc, jak bardzo interesuje się wszystkim, co u nich słychać. Rozmawiała o nich, wypytywała jak ktoś, kto przyjaźnił się z Cavillami od lat. W niczym nie przejawiała wyższości. Wiedział na pewno, że swoim siostrą, której kochała i podziwiała, Juniper również nie pisnęła ani słowa o Tomie. Listy z zamku zawsze przychodziły do jej ojca chrzestnego (któremu w dziwny sposób nie przeszkadzało to oszustwo), a te, które pisała do domu, również nosiły adres zwrotny w Bloomsbury. Próbował ją wy badać, czemu to robi, z początku okrężnymi drogami, wreszcie zapytał ją wprost, ale odmówiła odpowiedzi. Wyjaśniła tylko, że jej siostry są nadopiekuńcze i staromodne i że najlepiej będzie zaczekać do właściwej chwili.

Tomowi się to nie podobało, ale tak bardzo ją kochał, że zrobił, o co prosiła. Prawie. Nie mógł się bowiem powstrzymać, żeby nie napisać do Theo. Jego brat stacjonował ze swoim pułkiem na północy, co w jakiś sposób usprawiedliwiało niedyskrecję Thomasa. Poza tym pierwszy list o dziwnej, pięknej dziewczynie, którą poznał, dziewczynie, która rozwarła pustkę w jego sercu, Tom napisał na długo, zanim Juniper zażądała zachowania tajemnicy.

■

Od tamtego pierwszego spotkania na ulicy w Elephant and Castle Thomas wiedział, że musi spotkać się z Juniper Blythe. Poszedł do Bloomsbury nazajutrz o świcie, mówiąc sobie, że chce tylko popatrzeć, zobaczyć drzwi, ściany, okna, za którymi śpi.

Przez jakiś czas obserwował dom, nerwowo paląc papierosa, aż w końcu się pokazała. Szedł za nią kawałek drogi, zanim zebrał się na odwagę i zawołał ją po imieniu.

– Juniper.

Wiele razy wypowiadał sobie to słowo na głos i w myślach, lecz kiedy zabrzmiało głośno na ulicy, a ona się obejrzała, było to zupełnie inne uczucie.

Spędzili razem cały słoneczny dzień, spacerując i rozmawiając, jedząc jeżyny, które znaleźli rosnące na cmentarzu, a kiedy nadszedł wieczór, nie miał najmniejszej ochoty jej puścić. Zapytał, czy chciałyby pójść na tańce, ponieważ zdawało mu się, że dziewczęta to lubią, lecz Juniper najwyraźniej nie podzielała upodobań większości dziewcząt. Na jej twarzy odmalował się wtedy tak niekłamany niesmak, że Tom na moment osłupiał. Szybko jednak odzyskał przytomność umysłu na tyle, by zapytać, czy ma ochotę na coś innego, a Juniper odrzekła, że mogą jeszcze po prostu pospacerować. „Poznawać miasto”, jak się wyraziła.

Tom chodził szybko, lecz Juniper dotrzymywała mu kroku. Przeskakiwała z jednej jego strony na drugą, czasem o czymś rozprawiając, czasem milcząc. Pod wieloma względami przypominała mu dziecko, było w niej coś tak samo nieprzewidywalnego i niebezpiecznego, wywoływała niepokojące, lecz zarazem kuszące uczucie, że ma do czynienia z kimś, kto nie podlega prawom obowiązującym zwykłych ludzi.

Zatrzymała się, żeby na coś popatrzeć, potem podbiegała, aby się z nim zrównać, nie bacząc, co się wokół niej dzieje, aż zaczął się martwić, że w mroku zaciemnienia potknie się o dziurę w chodniku lub worek z piaskiem.

– Wiesz, w mieście jest inaczej niż na wsi – powiedział, a w jego głos wkradła się nauczycielska nuta.

Juniper roześmiała się i odparła żywo:

– Mam nadzieję! Właśnie dlatego tu przyjechałam.

Wyjaśniła mu, że ma wyjątkowo dobry wzrok, wręcz sokoli, że to dzięki miejscu, w którym się wychowała. Coś jeszcze tłumaczyła, ale Tom nie mógł sobie później przypomnieć szczegółów, bo przestał słuchać. Chmury się rozwiały, księżyc dojrzewał i w jego blasku włosy Juniper zrobiły się srebrzyste.

Dobrze, że nie zauważyła, jak się w nią wpatrywał. Na szczęście

przykucnęła i zaczęła grzebać w stercie gruzu. Schylił się, ciekaw, co tak nagle zwróciło jej uwagę, i zobaczył, że w plątaninie londyńskich ulic Juniper jakimś cudem dostrzegła kwitnący krzew kapryfolium, który opadł na ziemię, kiedy zabrano mu kratkę, po której się piał, ale rósł nadal. Urwała małą gałązkę i wplotła sobie we włosy, nucąc przy tym dziwną, piękną melodię.

Kiedy słońce zaczęło wschodzić i weszli do jego mieszkania, napełniła wodą słoik po dżemie, włożyła do niego zielony pęd i postawiła na parapecie. Przez wiele nocy później, kiedy leżał samotnie w ciepłej ciemności, a myśli o niej nie pozwalały mu zasnąć, czuł jego słodki zapach. Doszedł wtedy do wniosku, że Juniper jest jak ten kwiat – istota w niepojęty sposób doskonała w świecie, który obraca się w gruzy. Nie chodziło tylko o jej urodę i nawet nie o to, co mówiła. Jej doskonałość tkwiła w jakiejś nieuchwytej esencji, w pewności siebie, w sile, jakby coś ją bezpośrednio łączyło z samymi fundamentami świata. Była wiatrem w letni dzień, pierwszą kroplą deszczu na spieczonej ziemi, światłem Gwiazdy Wieczornej.



Coś ściągnęło jej wzrok na dół, na chodnik prowadzący do domu. Tom. Wrócił wcześniej, niż się spodziewała, i serce aż podskoczyło jej w piersi. Pomachała ręką, omal z radości nie wyskoczyła z okna. Jeszcze jej nie zauważył. Stał ze spuszczoną głową i sprawdzał pocztę, ale Juniper nie mogła oderwać od niego oczu. To było szaleństwo, opętanie, żądza. Ale przede wszystkim miłość. Kochała jego ciało, jego głos, dotyk jego palców na swojej skórze i zagłębienie nad obojczykiem, gdzie jej policzek pasował idealnie, kiedy spali. Kochała to, że na jego twarzy mogła widzieć wszystkie miejsca, które oglądał. I że nigdy nie musiała go pytać, jak się czuje. Słowa były niepotrzebne. Juniper odkryła, że zmęczyły ją słowa.

Padał deszcz, rzęsisty, nieprzerwany, lecz to było nic w porównaniu z ulewą szalejącą w dniu, kiedy Juniper się zakochała. Rozpętała się wtedy jedna z tych nagłych letnich nawałnic, które wkradają się za plecami wspaniałej, upalnej pogody. Przez cały dzień spacerowali, włóczyli się po targu przy Portobello, wspinali się na Primrose Hill, potem zeszli znów do ogrodów Kensington i brodzili w okrągłym stawie.

Grzmot gruchnął tak niespodziewanie, że ludzie zadarli głowy do góry przełknięci, że to Niemcy wytoczyli przeciwko nim jakiś nowy rodzaj broni. A potem lunęło. Wielkie, łkające krople w mgnieniu oka pokryły świat lustrzanym połyskiem.

Tom złapał Juniper za rękę i puścili się biegiem. Rozpryskiwali wodę w przybierających błyskawicznie kałużach i śmiali się przez całą drogę do mieszkania Toma, a potem po schodach do suchej, tonącej w półmroku mansardy.

– Jesteś mokra – powiedział Tom, opierając się o drzwi, które przed chwilą zamknął z trzaskiem.

Patrzył, jak cieniutka sukieneczyna przykleja się jej do nóg.

– Mokra? – powtórzyła. – Jestem tak przemoczona, że można by mnie wyżywać!

– Włóż to. – Zdjął z wieszaka za drzwiami swoją zapasową koszulę i rzucił jej. – Dopóki twoje ubranie nie wyschnie.

Zdjęła sukienkę i wsunęła ręce w rękawy koszuli. Tom się odwrócił, udając, że ma coś pilnego do zrobienia w porcelanowym zlewie, lecz kiedy podeszła zobaczyć, co robi, uchwyciła w lustrze jego spojrzenie. Prztrzymała je nieco dłużej niż zwykle, wystarczająco długo, by zauważyć, że coś się w nim zmieniło.

Deszcz nie ustawał, burza szalała w najlepsze, a sukienka ociekała w kącie pokoju. Podeszli oboje do okna i Juniper, która nigdy nie była nieśmiała, ale w jego koszuli czuła się jakoś inaczej, powiedziała coś od rzeczy na temat ptaków i tego, gdzie się chronią przed deszczem.

Tom nie odpowiedział. Wyciągnął dłoń i dotknął jej policzka, bardzo delikatnie, ale to wystarczyło. Juniper umilkła, przytuliła policzek do jego dłoni, a potem odwracając głowę, musnęła ustami jego palce. Nie oderwała od niego oczu, nie mogła, nawet gdyby bardzo tego chciała. Jego dłoń zsunęła się na guziki koszuli, na jej brzuch, piersi, a wtedy ona nagle poczuła, że jej tętno rozprysło się na tysiące maleńkich drobinek, które pulsowały jednocześnie w całym ciele.

✠

Siedzieli potem razem na parapecie, jedli czereśnie, które kupili na rynku, i rzucali za okno pestki. Żadne się nie odzywało, tylko od czasu do czasu spoglądali na siebie i uśmiechali się zadowoleni, jakby tylko

oni jedni na całym świecie zostali dopuszczeni do wielkiej tajemnicy. Juniper wielokrotnie rozmyślała o seksie, pisała o nim, o rzeczach, które sobie wyobrażała, o tym, co może czuć, mówić, robić, nic jej jednak nie przygotowało na to, że jego śladem tak blisko podąży miłość.

Zrozumiała teraz, co ludzie mieli na myśli, mówiąc, że miłość uskrzydla. Cudowne uczucie, jakby się nurkowało w przestworzach, boska brawura, całkowita utrata woli. Ale to nie wszystko. Przez całe życie wzdragała się przed fizycznym kontaktem, a teraz po raz pierwszy poczuła prawdziwą więź. Kiedy leżała potem z głową na jego piersi, słuchała bicia jego serca, wchłaniała jego powolny rytm, a jej własne tętno uspokajało się, aby stopić się z nim w jedno, zrozumiała, że znalazła osobę, z którą mogą stworzyć idealną równowagę, i że miłość polega właśnie na uchwyceniu...

Odgłosy na schodach. Kroki Toma wchodzącego na górę. W przyplwywie ślepej żądz Juniper zapomniała do reszty o przeszłości, odwróciła się od ogrodu, od bezpiecznego kota między liśćmi, od starej, smutnej kobiety płaczącej za katedrą w Coventry; od wojny za oknem, od miasta schodów prowadzących donikąd i obrazów wiszących na ścianach pozbawionych sufitów; od stołów kuchennych, których rodziny już nie potrzebowały. Biegając w stronę łóżka, zrzuciła z siebie koszulę Toma. W tamtej chwili, kiedy w drzwiach obrócił się klucz, na całym świecie istnieli tylko ona i on, i jego małe, ciepłe mieszkanko z urodzinowym obiadem.

✠

Tort był wyśmienity, oboje zgodnie uznali, że miętowa pasta do zębów jest absolutnie niedocenianym składnikiem. Jedli w łóżku, każde dostało dwa wielkie kawałki, a wszystko dookoła usłane było okruszkami.

– To dlatego, że miałam za mało jajek – orzekła Juniper, lustrując bałagan i wdychając filozoficznie. – Niełatwo sprawić, żeby wszystko się kleiło.

Tom uśmiechnął się szeroko.

– Prawdziwa kuchmistrzyni z ciebie.

– Prawda?

– I jaka uzdolniona. To był tort godny firmy Fortnum and Mason.

- Nie umiem kłamać, muszę się przyznać, że miałam pomocnika.
- No tak – powiedział Tom, odwracając się na bok i wyciągając rękę, aby sięgnąć po zawiniątko w gazetce – nasz sąsiad kucharz.
- Wiesz, że on tak naprawdę wcale nie jest kucharzem, tylko dramaturgiem? Słyszałam kiedyś, jak rozmawiał z człowiekiem, który zamierza wystawić jego sztukę na scenie.
- No to powiedz mi, Juniper – odrzekł Tom, odwijając ostrożnie papier i odsłaniając słoik z dżemem jeżynowym – co jeszcze spodziewa się osiągnąć dramaturgiem, który umie wyprodukować coś tak pięknego?
- Och, cudowne! Boskie! – zachwyciła się Juniper. – Zjemy go od razu z tostami?
- Tom wyciągnął rękę do tyłu, tak że słoik z dżemem znalazł się poza zasięgiem Juniper.
- Czy to możliwe – zapytał z niedowierzaniem – że ta młoda dama jest nadal głodna?
- No nie. Niezupełnie. Ale głód nie ma tu nic do rzeczy.
- Nie?
- To jest zupełnie nowa okoliczność, która zaistniała po fakcie.
- Tom odkręcił słoiczek i przyglądał się apetycznym czarnoczerwonym delicom.
- Myślę, że powinniśmy go zachować na specjalną okazję – oznajmił w końcu.
- Bardziej specjalną niż twoje urodziny?
- Moje urodziny były już wystarczająco specjalne. Powinniśmy zostawić to na następne święto.
- Och, no dobrze – zgodziła się Juniper, wtulając się w jego ramię.
- Ustępuję ci tylko dlatego, że masz dzisiaj urodziny i że jestem zbyt najedzona, żeby się podnieść.
- Uśmiechnęła się z papierosem w ustach.
- A co słychać u twojej rodziny? – spytała. – Joey nadal jest przeziębiony?
- Tak.
- A Maggie? Kazała ci słuchać horoskopu?
- Tak, bardzo to było uprzejme z jej strony. Inaczej skąd bym wiedział, co mam w tym tygodniu robić?

– W istocie, skąd? – Juniper wzięła od niego papierosa i zaciągnęła się. – I co jeszcze się wydarzyło ciekawego?

– Drobiazg – odparł Tom, wsuwając palce pod rąbek jej bluzeczki.

– Wygląda na to, że zamierzam się oświadczyć pewnej pięknej dziewczynie.

– Doprawdy? – Juniper wiała się ze śmiechu od łaskotek Toma. – To rzeczywiście ciekawe.

– Tak myślałem.

– Choć oczywiście nie bardziej niż przepowiednia, jak będzie brzmiała odpowiedź dziewczyny. Czy Maggie nie miała na ten temat nic do powiedzenia?

Tom podciągnął ramię do góry i przewrócił się na bok, aby spojrzeć jej w twarz.

– Niestety, Maggie nie mogła mi w tej kwestii pomóc. Powiedziała, żebym sam zapytał i zobaczył, co się stanie.

– No, skoro tak twierdzi Maggie...

– A więc?

– Więc co?

Usiadł i przybrał wytworny ton.

– Juniper Blythe, czy uczynisz mi zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

– Miły panie – odpowiedziała Juniper, najlepiej jak umiała naśladować królewski ton. – To zależy, czy wolno mi będzie mieć trójkę tłuściutkich dzieci.

Tom wziął od niej z powrotem papierosa i powiedział niedbałym tonem:

– Dlaczego nie czwórkę?

Nadal zachował swobodny sposób bycia, lecz porzucił żartobliwy akcent. Juniper poczuła się jakoś niezręcznie i nieswojo. Nie odpowiedziała.

– Pobierzmy się, Juniper – ciągnął Thomas i teraz nie było już cienia wątpliwości, że mówi poważnie.

– Nie mogę wyjść za mąż.

Tom zmarszczył brwi, niepewny, czy ona dalej żartuje.

– Co to znaczy?

Zapadło milczenie, którego żadne z nich nie przerwało, aż czajnik w mieszkaniu na dole zaczął gwizdać.

– To skomplikowane – powiedziała Juniper.

– Skomplikowane? Kochasz mnie?
– Wiesz, że tak.
– Więc nie ma tu nic skomplikowanego. Wyjdź za mnie. Powiedz „tak”, June. Nie wiem, czego się boisz, razem potrafimy przezwyciężyć wszystkie przeszkody.

Juniper zdawała sobie sprawę, że nic innego go nie zadowoli poza „tak”, a tego nie mogła powiedzieć.

– Pozwól mi się zastanowić – odparła w końcu. – Potrzebuję trochę czasu.

Wtedy Thomas wyjął z kieszeni kopertę i podał jej.

– Oto twój czas – oznajmił. – Dostałem wezwanie. Za tydzień mam się stawić w jednostce.

Juniper oniemiała.

– Ale... jak długo...? Kiedy wrócisz?

– Nie wiem. Prawdopodobnie kiedy skończy się wojna.

Kiedy skończy się wojna. Nagle Juniper zrozumiała, że bez niego jej ukochany Londyn przestanie mieć jakikolwiek urok. Może równie dobrze wrócić do zamku. Serce zaczęło jej walić, ale nie z podniecenia czy zdenerwowania, lecz od szarpającej intensywności uczuć, którą przez całe życie uczyła się obserwować. Zamknęła oczy z nadzieją, że to coś pomoże.

Ojciec powiedział jej, że jest stworzona do życia w zamku, że tam jest jej miejsce, że dla własnego bezpieczeństwa nie powinna go opuszczać. Mylił się. Właśnie z dala od Milderhurst, z dala od świata Raymonda Blythe'a, jego okropnych historii i jędrzących wyrzutów sumienia poczuła się wolna. W Londynie ani razu nie nawiedził jej żaden z „gości”, ani razu nie miała zaników pamięci. A chociaż nawet tutaj nie opuszczał jej wielki lęk, że może wyrządzić ludziom krzywdę, to czuła się tu dużo pewniej.

Poczuła dotyk na kolanach i otworzyła oczy. Tom klęczał przed nią na podłodze i patrzył oczami przepełnionymi troską.

– Kochanie, nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Nie czuła potrzeby zwierzać mu się ze swych obaw i cieszyła się z tego. Nie chciała, żeby w jego uczuciu coś się zmieniło, żeby zaczął się martwić i stał się nadopiekuńczy jak jej siostry. Żeby ją ciągle obserwował, mierzył jej nastroje i chwile milczenia. Nie chciała troskliwej miłości, tylko głębokiej.

– Juniper – mówił Tom. – Przepraszam. Nie smuć się.

Proszę, nie mogę patrzeć, jak się smucisz.

Jak ona właściwie może go tak lekceważyć? Co ona sobie myśli? I w imię czego? W imię kaprysów ojca?

Tom wstał i odwrócił się, żeby odejść, lecz ona złapała go za nadgarstki.

– Tom...

– Przyniosę ci wody.

– Nie. – Pokręciła energicznie głową. – Nie chcę wody. Chcę ciebie.

Uśmiechnął się.

– Mnie już masz.

– Nie – powiedziała. – Chcę powiedzieć: tak.

Poderwał głowę.

– Chcę, żebyśmy się pobrali.

– Naprawdę?

– I razem powiemy o tym moim siostram.

– Oczywiście – zgodził się. – Co tylko zechcesz.

Roześmiała się na cały głos. W końcu rozboleła ją gardło, ale śmiała się dalej. Czuła się tak lekko.

– Thomas Cavill i ja bierzemy ślub.

✠

Leżała z policzkiem na piersi Toma, słuchała miarowego bicia jego serca, spokojnego oddechu i starała się dostroić do nich rytmy własnego ciała. Nie mogła zasnąć. Układała w myślach list. Musi napisać do siostr, uprzedzić je, że przyjadą razem z Tomem. Musi to zrobić we właściwy sposób, aby niczego nie podejrzewały.

Są też inne sprawy do przemyślenia. Juniper nigdy nie interesowała się strojami, ale przecież kobieta, która wychodzi za mąż, powinna mieć sukienkę stosowną na taką okazję. Chociaż jej na tym zupełnie nie zależało, jednak Tomowi owszem, a ona zrobiłaby dla niego wszystko.

Przypomniała jej się suknia, którą nosiła kiedyś jej mama. Juniper widziała ją tylko raz, kiedy była małą dziewczynką. Jeśli zachowała się gdzieś w zamku, Saffy mogłaby ją znaleźć, a już ona umiała ją wskazać.

4.

Londyn, 19 października 1941

Meredith nie widziała pana Cavilla od kilku tygodni, więc zdziwiła się ogromnie, gdy otworzywszy drzwi, ujrzała go stojącego na schodach przed domem. Rzecz jasna jej serce zrobiło najpierw to, co zawsze – urosło w piersi jak balon (naprawdę wołałaby, żeby tego nie robiło), a dopiero później zaczęło się niepokoić, po co przyszedł i co chce powiedzieć. Wiedziała, że on i Juniper bardzo się zaprzyjaźnili i w pierwszej chwili nabrała pewności, że przynosi złe wieści. Potem jednak puścił do niej oko i wszelkie obawy się rozwiały.

– Dzień dobry, panie Cavill – powiedziała, starając się ukryć w głosie radość.

– Dzień dobry, Meredith. Tyle razy cię prosiłem, żebyś mówiła do mnie Tom. – Uśmiechnął się. – Nie jestem już twoim nauczycielem.

Zarumieniła się, przynajmniej tak jej się zdawało, bo poczuła gorąco na policzkach.

– Mogę na chwilkę wejść?

Zerknęła ukradkiem przez ramię w stronę kuchni, gdzie Rita marszczyła brwi na coś, co leżało na stole. Pokłóciła się ostatnio ze swoim rzeźnikiem i stała się jeszcze bardziej uszczypliwa. Zdaniem Meredith postanowiła złagodzić nieco swoje rozczarowanie, uprzykrzając siostrze życie.

Tom musiał wyczuć jej obiekcje, bo dodał:

– Albo jeśli wolisz, przejdźmy się.

Skinęła głową z wdzięcznością, cicho zamknęła za sobą drzwi i

ruszyła do furtki. Poszli razem ulicą, Meredith trzymała się w małej odległości od niego, skrzyżowała ramiona i pochyliła głowę, jakby uważnie słuchała jego pogodnych wywodów na temat szkoły, pisania, przeszłości i przyszłości, podczas gdy tak naprawdę jej myśli, wyrывая się w przód, próbowały odgadnąć cel tej niespodziewanej wizyty. I bardzo usilnie starały się nie pamiętać dziecinnego zauroczenia.

Zatrzymali się w tym samym parku, w którym razem z Juniper tak bezskutecznie szukały w czerwcu leżaków. To ciepłe wspomnienie w porównaniu z szarym niebem, wiszącym teraz nisko nad głowami, sprawiło, że Meredith zadrżała.

- Zimno ci. Powiniennem być przypilnować, żebyś włożyła płaszcz. Zdjął z siebie okrycie i podał jej.
- Och, nie...
- Nonsens. I tak zrobiło mi się gorąco.

Wskazał miejsce na trawie i Meredith usiadła obok niego ze skrzyżowanymi nogami. Jeszcze przez jakiś czas mówił, pytał ją, czy pisze, i uważnie słuchał odpowiedzi. Powiedział, że pamięta dziennik, który jej kiedyś podarował, i cieszy się, że nadal w nim pisze. I przez cały czas wyrывał źdźbła trawy i spletał je z sobą. Meredith słuchała, potakiwała głową i obserwowała jego dłonie. Były piękne – silne, lecz delikatne, męskie, ale nie grube ani włochate. Zastanawiała się, jakie to uczucie ich dotykać.

W skroniach zaczęło jej tętnić, zakręciło jej się w głowie na myśl, jak łatwo mogłaby to sprawdzić. Wystarczy, że wyciągnie odrobinę rękę. Czy będzie ciepła? Gładka czy szorstka? Czy palce drgną, a potem zamkną się na jej dłoni?

- Mam coś dla ciebie – powiedział. – Należała do mnie, ale dostałem wezwanie do jednostki, więc muszę jej znaleźć nowy dom.

Prezent przed wyjazdem na wojnę? Meredith zaparło dech w piersi, wszystkie myśli o dłoniach rozpierzchły się na cztery strony świata. Czy nie tak robią zakochani? Czy nie wymieniają się podarunkami, kiedy bohater ma odejść na wojnę?

Podskoczyła, kiedy dłoń Toma otarła się o jej plecy. Cofnął ją szybko, wyciągnął przed sobą i otworzył, uśmiechając się z zakłopotaniem.

- Przepraszam, ale mój prezent jest w kieszeni płaszcza.

Meredith też się uśmiechnęła, z ulgą, lecz zarazem rozczarowana. Oddała mu płaszcz, a on wyjął z kieszeni książkę.

– *Ostatnie dni Paryża. Dziennik reportera* – przeczytała, obracając ją w rękach. – Dziękuję... Tom.

Aż zadrżała, słysząc jego imię na swoich ustach. Miała piętnaście lat, a choć nie uważała się za piękność, to przynajmniej nie była już płaską jak deska uczennicą z trzeciej klasy. Czy to takie niemożliwe, żeby mężczyzna się w niej zakochał? Czuła jego oddech na szyi, kiedy się pochylił, aby dotknąć okładki.

– Alexander Werth pisał ten dziennik, niedługo przed zajęciem Paryża przez Niemców. Daję ci go, abys się przekonała, jak ważne jest, by ludzie zapisywali swoje myśli i doświadczenia, szczególnie w takich czasach jak nasze. Dzięki temu inni mogą zrozumieć, co się naprawdę wokół nich dzieje.

– Tak.

Zerknęła na niego i zobaczyła w jego oczach tak głębokie spojrzenie, że przestała nad sobą panować. To, co się potem stało, trwało kilku sekund, lecz dla Meredith czas się prawie zatrzymał i wszystko działo się jak na filmie puszczone w zwolnionym tempie. Miała wrażenie, jakby obserwowała nieznaną osobę, która pochyliła się do przodu, wstrzymała oddech i z zamkniętymi oczami pocałowała go w usta z uczuciem wzniosłego spełnienia...

Był bardzo delikatny. Przemawiał do niej łagodnie, zdejmując jej dłonie ze swoich ramion i ściskając je tak, by nie było wątpliwości, że jest to przyjacielski gest, i przekonując, aby nie czuła się zakłopotana.

A Meredith miała ochotę zapaść się pod ziemię, rozpląnąć się w powietrzu, cokolwiek, byle nie siedzieć tu obok niego i nie prażyć się w jaskrawym świetle tego okropnego nieporozumienia. Było jej tak wstyd, że kiedy Tom zaczął ją wypytywać o siostry Juniper – jakie są, co lubią robić, czy podobają się im jakieś szczególne kwiaty – odpowiadała, jakby recytowała z pamięci. Nawet nie przyszło jej do głowy zapytać, czemu go to interesuje.

✠

W dniu, kiedy Juniper miała wyjechać do Milderhurst, spotkały się z Meredith na Charing Cross. Cieszyła się z towarzystwa, ponieważ

pomagało jej to odsunąć od siebie wspomnienia sprzed czterech miesięcy, kiedy wysiadła na tej stacji z pociągu.

– No więc gdzie ona jest? – spytała, kiedy się uściskały.

Meredith podniosła dwa palce i skrzywiła się błagalnie.

– Jeszcze tylko kilka ostatnich poprawek.

– Chcesz powiedzieć, że nie dostanę jej na podróż do pociągu?

– Za kilka dni, słowo honoru.

Juniper odsunęła się na bok, aby zrobić miejsce bagażowemu, który pchał przed sobą wielką stertę walizek.

– No dobrze – zgodziła się. – Kilka dni. Ale nie więcej! – Pogroziła jej żartobliwie palcem. Pod koniec tygodnia czekam na paczkę. Zgoda?

– Zgoda.

Uśmiechnęły się do siebie, a w tym momencie pociąg zagwizdał donośnie. Juniper obejrzała się i stwierdziła, że prawie wszyscy pasażerowie wsiedli już do wagonów.

– Chyba powinnam...

Reszta zdania utonęła w uścisku Meredith.

– Będę za tobą tęsknić, Juniper. Obiecuj mi, że wrócisz.

– Oczywiście, że wrócę.

– Za miesiąc?

Juniper strząsnęła rzęsę z policzka przyjaciółki.

– Jeśli minie choć dzień więcej, a mnie nie będzie, możesz się spodziewać najgorszego i szykować akcję ratunkową.

– I dasz mi znać, jak tylko przeczytasz moje opowiadanie?

– Jeszcze tego samego dnia pocztą zwrotną. – Zasalutowała Juniper. – Dbaj o siebie, Kurczaczku.

– Ty też.

Juniper spoważniała i zawahała się. Odgarnęła włosy z oczu. Wreszcie powzięła decyzję: może zaufać swojej jedynej przyjaciółce.

– Muszę ci zdradzić tajemnicę, Merry – powiedziała. – Nikt o tym jeszcze nie wie, ustaliliśmy, że nikomu o tym na razie nie powiemy, ale ty nie jesteś przecież nikim.

Meredith pokiwała z zapalem głową i Juniper nachyliła się jej do ucha, zastanawiając się, czy i teraz słowa te zabrzmiały równie dziwnie i wspaniale jak za pierwszym razem.

– Thomas Cavill i ja zamierzamy się pobrać.

Podjejrzenia pani Bird

1992 r

Kiedy wróciłam do pensjonatu, zapadł już zmrok i mżawka spowiła okolicę drobną siateczką rozpylonych kropel. Ucieszyłam się, że do kolacji zostało jeszcze kilka godzin, po niespodziewanej wizycie u siostr Blythe potrzebowałam gorącej kąpieli i trochę spokoju, aby się otrząsnąć z ciężkiej atmosfery, która towarzyszyła mi przez całą drogę powrotną. Nie byłam pewna, o co w tym wszystkim chodziło, czułam tylko jakiś lepki natłok niespełnionych oczekiwań, frustracji i pragnień, którymi przesiąkły kamienne mury zamku i które następnie ulatniały się z powrotem w duszące, nieruchome powietrze.

A jednak Milderhurst i jego trzy widmowe mieszkanki budziły moją niewytłumaczalną fascynację. Chociaż spotkanie nasze obfitowało w niezręczne i niemiłe sytuacje, gdy tylko opuściłam rodzinę Blythe'ów, czułam nieodparty przymus, aby tam powrócić, i zaczęłam wręcz odliczać godziny do swojej następnej wizyty. Wiem, że brzmi to niedorzecznie, prawdopodobnie jak każda obsesja, albowiem nie mam już teraz najmniejszych wątpliwości, że dosłownie oszalałam na punkcie siostr Blythe.

Podczas gdy za oknem padał coraz gęstszy deszcz, leżałam zwinięta na łóżku w kłębek z nogami owiniętymi kocem i na przemian czytałam, to znów zapadałam w krótkie drzemki lub rozmyślałam i kiedy nadeszła pora kolacji, czułam się całkiem wypoczęta. Uznałam za zupełnie naturalne, że Percy pragnęła oszczędzić cierpienia swojej najmłodszej siostrze, że zareagowała ostro, widząc, że zamierzam rozdrapywać dawne

rany. Wykazałam się brakiem taktu, wspominając nazwisko Thomasa Cavilla, szczególnie w obecności śpiącej Juniper. A jednak gwałtowna reakcja Percy jeszcze bardziej roznieciła moją ciekawość... może gdyby udało mi się zostać samej z Saffy, udałoby mi się ją nieco wy badać? Sprawiała wrażenie przyjaźnie nastawionej i chętnej do współpracy.

I dzięki niej dostąpię niebywałego zaszczytu obejrzenia notatek Raymonda Blythe'a. Wystarczyło, że powiedziałam to sobie półgłosem, żeby przeszedł mnie rozkoszny dreszcz. Odwróciłam się na plecy i patrząc na sufit poprzecinany belkami, wyobraziłam sobie ów moment, kiedy mym oczom objawi się umysł wielkiego pisarza, kiedy na własne oczy zobaczę, jak w jego głowie formowały się myśli.

Zjadłam sama w przytulnej jadalni pensjonatu pani Bird. W powietrzu unosił się ciepły zapach gulaszu warzywnego, w kominku trząskał ogień. Wiatr na dworze się wzmaczał, uderzał delikatnie w szyby, a od czasu do czasu łomotał ze zdwojoną energią. Nie po raz pierwszy pomyślałam, jaka to prosta i niedoceniana przyjemność siedzieć z pełnym żołądkiem przy ogniu, kiedy na świecie panoszy się ziąb i bezgwiezdna ciemność.

Wyjęłam swoje notatki, aby rozpocząć pracę nad artykułem o Raymondzie Blycie, lecz moje niesforne myśli wciąż powracały do jego trzech córek. Myślę, że fascynowała mnie ta misterna sieć, upleciona z miłości, obowiązku i uraz, która łączy każde rodzeństwo. Spojrzenia, które wymieniały z sobą, skomplikowana równowaga sił wypracowana przez dziesiątki lat; gry, w jakie nigdy nie będzie mi dane grać, zasady, których nigdy do końca nie zrozumieć. Obserwując ich naturalną więź, jeszcze dotkliwiej niż zwykle odczuwałam samotność jedynaczki.

– Miała pani udany dzień? – Podniosłam głowę, obok mnie stała pani Bird. – Jutro pewnie będzie jeszcze ciekawszy.

Nie mogłam się powstrzymać, radosne podniecenie dosłownie we mnie kipiało.

– Rano idę obejrzeć notatnik Raymonda Blythe'a.

Ta wiadomość mile zaskoczyła panią Bird.

– O, to wspaniale. – Położyła dłoń na oparciu krzesła naprzeciwko mnie. – Pozwoli pani...?

– Ależ proszę.

Usiadła ze stęknieniem i kładąc rękę na obfitym brzuchu, wpasowała się między krzesło a krawędź stolika.

– O, teraz lepiej. Cały dzień byłam na nogach. – Wskazała głową moje notatki. – Ale widzę, że pani też pracuje do późna.

– Próbuję, chociaż trudno mi się skupić.

Jej wyraziste brwi unosiły się na kształt strzały.

– Przystojny młodzieniec, co?

– Coś w tym rodzaju. Nie było do mnie żadnych telefonów, pani Bird?

– Telefonów? Nie przypominam sobie. Spodziewa się pani wiadomości? Czy to od młodego człowieka, o którym pani tak rozmyśla? – Oczy jej zalśniły promiennie. – A może od wydawcy?

Patrzyła na mnie z taką nadzieją, że żał mi było ją rozczarować. Mimo to odpowiedziałam szczerze:

– Od mojej mamy. Miałam nadzieję, że przyjedzie mnie tu odwiedzić.

W tym momencie silny podmuch wiatru zagrzechotał oknem, aż drżałam, lecz bardziej z przyjemności niż z zimna. Stanowczo coś wisiało tego wieczoru w powietrzu, coś niezwykle ożywczego. Zostałyśmy w jadalni same, polana w kominku żarzyły się jak plastry miodu i od czasu do czasu wypływały złote okruchy na ceglana podłogę. Nie wiem, czy przyczyniła się do tego ciepła, lekko zadymiona atmosfera pokoju, kontrastująca z mokrą, wietrzną pogodą na dworze, czy też dojmujący, pełen sekretów i napięć nastrój panujący w zamku Milderhurst, a może po prostu nagła potrzeba zwyczajnej rozmowy, tak czy inaczej ogarnęła mnie nagle nietypowa u mnie wylewność. Zamknęłam notes i odłożyłam go na bok.

– Moją mamę ewakuowano tu w czasie wojny – oznajmiłam.

– Mieszkała w miasteczku?

– W zamku.

– Nie! – Ciężkie brwi, które tak bardzo przypominały mi babcię, podskoczyły do góry. – Naprawdę? Mieszkała tam z siostrami?

Skinęłam głową zadowolona z jej reakcji. Ale i ostrożna, gdyż cichy głos szeptał mi do ucha, że moja przyjemność nie płynie z osobistych zasług, lecz z racji powiązań mojej mamy z Milderhurst, o których zresztą jak dotąd nie wspominałam pannom Blythe.

– Wielkie nieba! – zawołała pani Bird, splatając dłonie. – Musi znać tyle ciekawych historii. Aż się w głowie nie mieści!

– Mam nawet z sobą jej dziennik z tamtego okresu...

– Dziennik wojenny?

– Pamiętnik z zapiskami na temat tego, co widziała, o ludziach, których spotykała, i samym miejscu.

– Więc pewnie jest tam i wzmianka o mojej mamie – zauważyła pani Bird, prostując się dumnie.

Teraz z kolei ja się zdziwiłam.

– O pani mamie?

– Pracowała w zamku. Zaczęła jako pokojówka, kiedy miała siedemnaście lat. A na koniec pełniła funkcję zarządczyni. Lucy Rogers. Ale wtedy nazywała się jeszcze Middleton.

– Lucy Middleton – powtórzyłam powoli, próbując sobie przypomnieć, czy mama wspominała o niej w dzienniku. – Nie jestem pewna, będę musiała ją zapytać. – Pani Bird zwiesiła ramiona nieco rozczarowana. Poczułam wyrzuty sumienia, że sprawiłam jej przykrość, zaczęłam szukać sposobu, aby ją pocieszyć. – Niewiele mi mówiła o tym okresie. Dopiero ostatnio dowiedziałam się, że w ogóle wyjechała z Londynu w czasie ewakuacji.

Natychmiast pożałowałam tych słów. Musiało się wydawać dziwne, że ktoś trzyma taką rzecz w tajemnicy. Poczułam się też jakoś uwikłana w tę historię, jakbym nie zasługiwała na zaufanie własnej matki. Zezłościłam się na siebie. Gdybym okazała nieco więcej powściągliwości, nieco mniej zapału w zaspokajaniu ciekawości pani Bird, nie znalazłabym się w tym kłopotliwym położeniu. Przygotowałam się na najgorsze, lecz ku memu zdziwieniu pani Bird skinęła ze zrozumieniem głową i powiedziała:

– Ach, ci rodzice ze swoimi sekretami, co?

– Tak.

Z paleniska wystrzelił węglowy popcorn, a pani Bird uniosła palec na znak, że za chwileczkę wróci. Wygramoliła się zza stołu i znikła w drzwiach ukrytych za papierową tapetą.

Deszcz bębnił delikatnie w drewniane drzwi i napelniał staw za oknem. Złożyłam opuszki palców jak do modlitwy i dotknęłam nimi ust, a potem oparłam policzek o rozgrzany grzbiet dłoni.

Niebawem pani Bird wróciła z butelką whisky i dwiema szklaneczkami. Jej pomysł tak bardzo pasował do kapryśnej atmosfery tego wietrznego wieczoru, że przyjąłem jej propozycję z uśmiechem i wdzięcznością.

– Wie pani, że mało brakowało, a moja mama w ogóle nie wysłaby za mąż? – powiedziała pani Bird, ściągając usta i rozkoszując się ciepłym smakiem alkoholu. – O mały włos nie zjawiałabym się na świecie.

Teatralnym gestem przyłożyła dłoń do czoła. Uśmiechnęłam się.

– Miała brata, starszego. Kiedy o nim opowiadała, to brzmiało tak, jakby dzięki niemu słońce wstawało. Mój dziadek umarł młodo i Michael, tak się nazywał jej brat, przejął obowiązki ojca. Jeszcze jako chłopiec pracował po szkole i w weekendy, mył okna za dwa pensy, a pieniądze oddawał mamie, żeby mogła utrzymać dom. A jaki był przystojny! Pani poczeka, mam tu jego zdjęcie.

Pobiegła do kominka, zaczęła przebierać palcami nad „tłumem” fotografii w ramkach, aż w końcu jej dłoń zanurkowała i wyłowiła mały mosiężny prostokąt. Rąbkami spódnicy wytarła z powierzchni kurz i wręczyła mi portret trzech postaci: młodego mężczyzny o pociągającej powierzchowności stojącego w środku między starszą kobietą i ładną, mniej więcej trzynastoletnią dziewczynką.

– Kiedy wybuchła pierwsza wojna światowa, Michael zaciągnął się z innymi do wojska. – Pani Bird stała za moimi plecami i zaglądała mi przez ramię. – Przed wyjazdem kazał Lucy, mojej mamie, obiecać, że gdyby coś mu się stało, zostanie w domu i będzie się opiekować ich matką. – Zabrała zdjęcie i usiadła z powrotem na krześle, poprawiając okulary, aby jeszcze raz przyjrzeć się fotografii. – Co miała zrobić? Przynęła tak, jak kazał. Była młoda, myślę, że nie wierzyła, żeby miało dojść do najgorszego. Ludzie nie przyjmowali tego do wiadomości, przynajmniej na początku wojny.

Wyciągnęła tekturową podpórkę ramki i postawiła fotografię na stole. Pociągnęłam łyk whisky i czekałam. W końcu, po długiej chwili westchnęła. Popatrzyła mi w oczy i nagłym ruchem otworzyła dłoń wnętrzem do góry, jakby wyrzucała do góry garść niewidzialnego konfetti.

– W każdym razie stało się, jak się stało. Michael zginął i moja biedna mama poświęciła się, aby postąpić zgodnie z jego ostatnią wolą.

Nie wiem, czy na jej miejscu zrobiłabym to samo. Ale ludzie wtedy byli inni. Dotrzymywali słowa. Moja babcia była starą megierą, muszę to powiedzieć uczciwie, mama pracowała, aby je obie utrzymać, i porzuciła nadzieję, że kiedykolwiek wyjdzie za mąż i będzie miała dzieci. Pogodziła się z losem.

W okno uderzył podmuch ciężkich kropel deszczu, aż się wzdrygnęłam, chociaż byłam ubrana w ciepły sweter.

– A jednak...

– A jednak.

– Więc co się wydarzyło?

– Babcia umarła – odrzekła pani Bird, rzeczowo kiwając głową. – W czerwcu trzydziestego dziewiątego. Od dawna chorowała na wątrobę, więc nikogo to nie zdziwiło. Z tego, co udało mi się dowiedzieć, ludzie raczej przyjęli to z ulgą, chociaż moja mama była zbyt pocziwą kobietą, żeby to przyznać. Mniej więcej dziewięć miesięcy po wybuchu wojny była już mężatką i zaszła w ciążę.

– Szalona miłość?

– Szalona? – Pani Bird zmarszczyła usta, zastanawiając się. – Dziś się chyba można by tak powiedzieć, chociaż w czasie wojny sprawy wyglądały inaczej. Szczerze mówiąc, tej miłości też nie jestem pewna. Zawsze podejrzewałam, że u mojej mamy to był raczej głos rozsądku. Nigdy nie powiedziała tego wprost, ale dzieci wiedzą takie rzeczy, prawda? Chociaż wszyscy wolelibyśmy wierzyć, że przyszliśmy na świat jako owoc wielkiego uczucia.

Uśmiechnęła się do mnie, ale trochę niepewnie, jakby się zastanawiała, czy może mi zaufać.

– Czy coś się wydarzyło? – spytałam, pochylając się do niej bliżej.

– Co dało pani powód do takiego myślenia?

Pani Bird wypita resztkę whisky i zaczęła obracać szklaneczkę to w jedną stronę, to w drugą, a na stole zostawały okrągłe ślady. Zmarszczyła brwi, jakby toczyła wewnętrzną walkę. Nie wiem, czy wygrała, czy przegrała, ale wyjęła korek i naleła nam kolejnego drinka.

– Znalazłam coś – powiedziała wreszcie. – Kilka lat temu. Po śmierci mamy, kiedy porządkowałam jej rzeczy.

Whisky mruzczała mi ciepło w gardle.

- Co pani znalazła?
- Listy miłosne.
- O!
- Nie od mojego ojca.
- O!

– Leżały ukryte w puszcze na samym dnie szuflady w toalecie. Mało brakowało, bym ich nie znalazła. Początkowo ich nie zauważyłam, myślałam, że szuflada się zacięła, dopiero kiedy przyszedł handlarz antykami, żeby obejrzeć kilka mebli, pokazywałam mu toaletkę i pociągnęłam mocniej, wtedy puszka wypadła.

– Przeczytała je pani?

– Otworzyłam puszkę po jakimś czasie. Tak, wiem, że to okropne. – Zarumieniła się i wygładziła włosy na skroniach, jakby się chowała za swoimi dłońmi. – Nie mogłam się powstrzymać. Kiedy się zorientowałam, co czytam, to już nie mogłam się oderwać. Były prześliczne, takie prosto z serca. Dosyć rzeczowe i zwięzłe, ale chyba przez to jeszcze bardziej wymowne. I był w nich jakiś smutek. Wszystkie zostały napisane, zanim moi rodzice się pobrali, mama nie należała do kobiet, które by po ślubie jeszcze kręciły na boku. Nie, to był romans z czasów, kiedy żyła moja babka, kiedy mama nie myślała o rodzinie i małżeństwie.

– Wie pani, kto to był? Kto napisał te listy?

Tym razem brwi nawet nie drgnęły, rozplaszczyła dłonie na stole, a kiedy się do mnie pochyliła, mimo woli zrobiłam to samo.

– Naprawdę nie powinnam tego mówić – szepnęła. – Nie lubię plotkować.

– Och, naturalnie, że nie.

Przerwała, usta jej drgały z podniecenia. Obejrzała się ukradkiem przez jedno ramię, potem przez drugie.

– Nie jestem pewna na sto procent, nie były podpisane nazwiskiem, tylko inicjałem. – Spojrzała mi w oczy, zamrugała i uśmiechnęła się prawie przebiegle. – To była litera R.

– Litera R – powtórzyłam z taką samą emfazą, zastanawiałam się przez chwilę, przygryzając policzek od wewnątrz, a po chwili aż mi dech zaparło. – Rety, chyba nie myśli pani... – Ale właściwie czemu nie? Król zamku i jego wieloletnia zarządczyni. Banaf. Ale banały mają to do siebie, że się ciągle zdarzają. – To by wyjaśniało tajemniczą otoczkę

towarzyszącą listom, konieczność utrzymania związku w sekrecie.

– To by wyjaśniało coś jeszcze.

Spojrzałam na nią, nie otrząsnąwszy się jeszcze z pierwszego szoku.

– Najstarsza siostra, Persephone, jest wobec mnie wyjątkowo oschła, chociaż niczym, co zrobiłam, nie dałam jej do tego powodu. Ale zawsze to czułam. Kiedy byłam mała, przyłapała mnie na zabawie nad stawem, tym okrągłym, z huśtawką. Do dziś pamiętam wyraz jej oczu, zupełnie jakby zobaczyła ducha. Myślałam, że mnie udusi na miejscu. Więc kiedy się dowiedziałam o romansie mojej mamy... i o tym, że to mógł być pan Blythe... Może Percy się o tym dowiedziała i nabrała do mnie urazy. To były inne czasy, różnice klasowe odgrywały wielką rolę, a Percy Blythe jest tradycjonalistką, osobą o bardzo surowych zasadach.

Kiwałam powoli głową. Brzmiało to rzeczywiście przekonująco. Percy Blythe w ogóle nie sprawiała wrażenia ciepłej ani wylewnej, ale już podczas swojej pierwszej wizyty zauważyłam, że jej zachowanie wobec pani Bird było wyjątkowo szorstkie. A w zamku z całą pewnością skrywano jakąś tajemnicę, co do tego nie miałam wątpliwości. Czy to właśnie o tym chciała mi opowiedzieć Saffy, czy to był szczegół, o którym wzbraniała się rozmawiać z Adamem Gilbertem? I czy dlatego Percy tak stanowczo przeciwstawiała się mojemu spotkaniu z jej młodszą bliźniaczką? Ponieważ chciała zapobiec wyjawieniu sekretu ich ojca o wieloletnim związku z zarządczynią majątku?

Ale czemu Percy miałyby się tym aż tak przejmować? Chyba nie z lojalności wobec własnej matki? Raymond Blythe żenił się dwukrotnie, więc chyba przywykła do tych zmiennych porywów ludzkiego serca. A nawet jeśli rzeczywiście staromodna Percy nie pochwałała międzyklasowych romansów, to nie wydawało mi się możliwe, żeby jej niechęć przetrwała dziesiątki lat, szczególnie że wydarzyło się mnóstwo rzeczy, które rzuciły zupełnie inne światło na tamte czasy. Czy naprawdę uważałyby miłość ojca do zarządczyni za tak kompromitującą, aby do końca życia ukrywać ją przed opinią publiczną? Trudno mi było w to uwierzyć. To, czy Percy Blythe była staromodna, nie miało tu nic do rzeczy. Wszystko, co widziałam i słyszałam, wskazywało, że jej stosunek do świata jest skrajnie pragmatyczny, i jeśli zachowuje coś w sekrecie, to

nie z pruderii czy przywiązania do społecznych konwenansów.

– Co więcej – ciągnęła pani Bird, najwyraźniej wyczuwając moje wątpliwości – zastanawiałam się nawet czasami... co prawda mama nie czyniła na ten temat nawet najśłabszej aluzji, ale... – Potrząsnęła głową i zatrzepotała palcami. – Nie, nie... to głupie.

Przycisnęła dłonie do piersi z jakąś ostentacyjną skromnością i zajęło mi dłuższą chwilę, zanim się domyśliłam dlaczego. Powoli przedzierałam się przez ten kolczasty gąszcz insynuacji, aż w końcu powiedziałam:

– Uważa pani, że Raymond Blythe mógł być pani ojcem?

Nasze spojrzenia się spotkały i wzrok Marilyn Bird powiedział mi, że dobrze odgadłam.

– Mama kochała zamek i całą rodzinę Blythe'ów. Czasami opowiadała o starym panu Blycie, zawsze rozwodziła się nad tym, jaki był mądry, jaką dumą napawało ją, że mogła pracować dla tak sławnego pisarza. Ale miała też swoje dziwactwa, nie lubiła na przykład przejeżdżać obok zamku, zawsze wolała ominąć go okrężną drogą. Czasami milkła w połowie opowieści i nie chciała mówić nic więcej, a w jej oczach pojawiał się taki smutny, tęskny wyraz.

To by z pewnością wyjaśniało wiele rzeczy. Percy Blythe mogła nie mieć nic przeciwko romansowi ojca ze służącą, ale dziecko to już całkiem inna sprawa. Siostra przyrodnia jego trzech dziewczynek? To by pociągało za sobą konsekwencje, które nie miały nic wspólnego z moralnością czy pruderią, konsekwencje, których Percy – obrończyni zamku, opiekunka rodziny i jej dziedzictwa – chciałaby uniknąć za wszelką cenę.

Mimo to, kiedy o tym rozmyślałam, kiedy rozważałam te wszystkie możliwości i ich powiązania, czułam, że jest coś w sugestii pani Bird, czego nie mogę zaakceptować. Mój opór nie miał racjonalnych podstaw i niełatwo mi go wytłumaczyć. Jakieś uczucie lojalności, choć nie do końca uzasadnione, wobec Percy Blythe, wobec trzech starszych dam mieszkających na wzgórzu, nie pozwalało mi sobie nawet wyobrazić, by ktoś mógł zakłócić porządek tej zamkniętej koterii.

Zegar nad kominkiem wybił godzinę i czar jakby prysł. Pani Bird, zrzuciwszy z serca ciężar, zaczęła zbierać ze stolików solniczki i młynki na pieprz.

– Samo się raczej nie sprzątnie – westchnęła. – Ciągle nie tracę nadziei, ale jak dotąd spotykały mnie tylko rozczarowania.

Ja również wstałam i wzięłam do ręki puste szklaneczki po brandy.

Pani Bird uśmiechnęła się, kiedy do niej podeszłam.

– Potrafią sprawiać niespodzianki ci nasi rodzice, prawda? W głowie się nie mieści, co oni wyczyniali, zanim przyszliśmy na świat.

– Tak – odparłam. – Zupełnie jakby byli kiedyś prawdziwymi ludźmi.

Wieczór, kiedy się nie zjawił

Pierwszego dnia moich oficjalnych wywiadów wyruszyłam do zamku bardzo wcześnie rano. Było pochmurno i zimno, a choć mżawka, która utrzymywała się przez całą noc, nad ranem ustała, deszcz wysłał ze świata całą żywotność i krajobraz wyglądał, jakby został wyprany z wszelkich kolorów. W powietrzu jednak wisiało coś nowego – przenikliwy ziąb, który sprawił, że idąc, schowałam ręce do kieszeni i wyrzucałam sobie, że nie pomyślałam, by wziąć z sobą rękawiczki.

Siostry Blythe zapowiedziały mi, żebym nie pukała, tylko weszła od razu do środka i skierowała się do żółtego salonu.

– Ze względu na Juniper – wyjaśniła Saffy półgłosem, kiedy opuszczałam zamek poprzedniego dnia. – Na każdy odgłos pukania podrywa się i woła, że to on przyjechał.

Nie wyjaśniła, kim jest ów „on”, ale nie musiała.

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłam, było zdenerwowanie Juniper, pilnowałam się więc, jak mogłam, szczególnie po moim wczorajszym *faux pas*. Pchnęłam drzwi wejściowe, weszłam do kamiennego holu i ruszyłam w głąb ciemnego korytarza, z jakiegoś powodu wstrzymując oddech.

W salonie nikogo nie zastałam. Nawet zielony fotel był pusty. Stałam przez chwilę, zastanawiając się, co robić i czy przypadkiem nie pomyliłam godziny. Wtedy usłyszałam szelest przy drzwiach i odwróciwszy się, ujrzałam Saffy. Była jak zwykle elegancko ubrana, lecz jakaś podenerwowana, jakby ją zaskoczył mój widok.

– Och! – Zatrzymała się raptownie na brzegu dywanu. – Już jesteś, Edith? Naturalnie – zerknęła na zegar kominkowy – przecież już prawie

wpół do jedenastej. – Potarła delikatnie czoło i zmusiła się do uśmiechu, który jednak nie chciał się utrzymać na jej ustach, więc porzuciła dalsze próby. – Przepraszam, że kazałyśmy ci czekać. Miałyśmy dość burzliwy poranek i straciłyśmy poczucie czasu.

Jej śladem wkradł się do pokoju jakiś lęk, od którego ścierpła mi skóra, i otoczył mnie ze wszystkich stron.

– Czy coś się stało? – spytałam.

– Tak.

Na jej pobladłej twarzy odmalowała się taka żałość, że tylko jedna rzecz wpadła mi natychmiast do głowy, zważywszy na pusty fotel: coś się stało Juniper. Prawie poczułam ulgę, kiedy wyjaśniła:

– Bruno zniknął. Wyszedł rano z pokoju Juniper, kiedy pomagałam jej się ubrać, i od tamtej pory przepadł jak kamień w wodę.

– Może się gdzieś bawi – zasugerowałam. – W lesie lub w ogrodzie.

Jeszcze nie skończyłam mówić, kiedy przypomniałam sobie, jak wyglądał poprzedniego dnia – jego krótki, urywany oddech, zapadnięte łopatki, siwy pas biegnący wzdłuż grzbietu – i natychmiast zrozumiałam, że to niemożliwe.

Saffy oczywiście również pokręciła głową.

– Nie, na pewno nie. Zwykle nie odstępuję Juniper na krok, a jeśli już to robi, to tylko po to, żeby rozłożyć się na schodach przed wejściem i wypatrywać gości, chociaż nie miewamy ich zbyt wielu. Naturalnie dzisiaj spodziewałyśmy się ciebie. – Uśmiechnęła się lekko, prawie przepraszająco, jakby się przestraszyła, że mogę się obrazić. – Tym razem bardzo się martwimy. Ostatnio marnie wyglądał i dziwnie się zachowywał. Wczoraj Percy musiała go szukać, a dzisiaj zniknął...

Żałowała ręce. Żałowała, że nie mogę jej pomóc. Są ludzie, którzy roztaczają wokół siebie jakąś kruchą aurę bezbronności, których ból i cierpienie są szczególnie trudne do zniesienia i dla których człowiek gotów jest narazić się na wszelkie niewygody, byle ulżyć im w niedoli. Taką osobą była Saffy Blythe.

– Pójdę go poszukać – zaproponowałam, ruszając do drzwi. – Może wrócił tam, gdzie go wczoraj widziałam?

– Nie...

Powiedziała tak stanowczo, że stanęłam jak wryta. Wyciągnęła do mnie rękę, drugą dłoń położyła na dekolcie zapinanego swetra.

– Chciałam powiedzieć – dłoń opadła wzdłuż boku – że to bardzo uprzejmie z twojej strony, ale nie ma takiej potrzeby. Percy dzwoni właśnie po bratanka pani Bird, żeby pomógł nam go szukać. – Wybacz mi, czasem nie wyrażam się dość jasno. Jestem trochę skołowana. Szczerze mówiąc – zerknęła na drzwi za moimi plecami – miałam nadzieję, że uda nam się porozmawiać na osobności.

– Naprawdę?

Zacisnęła wargi, a ja zrozumiałam, że zniknięcie Bruna nie jest jedynym powodem jej zdenerwowania.

– Lada moment zjawi się Percy – wyjaśniła łagodnie. – Zgodnie z obietnicą pokaże ci notatki naszego ojca, ale zanim przyjdzie, chciałam ci coś wyjaśnić.

Mówiła to ze śmiertelną powagą, a na jej twarzy malowała się taka udręka, że położyłam dłoń na jej ptasim ramieniu.

– Proszę, niech pani usiądzie – powiedziałam, prowadząc ją do sofy. – Czy mogę pani coś podać? Może herbatę, dopóki czekamy?

Uśmiechnęła się z wdzięcznością osoby, której rzadko okazywano w życiu uprzejmość.

– Jesteś kochana, Edith, ale dziękuję. Nie mamy czasu. Proszę, usiądź obok mnie.

Jakiś cień przemknął przy drzwiach, Saffy zeszywniała lekko i zaczęła nasłuchiwać, lecz wszędzie panowała cisza. Oczywiście dom wypełniały dziwne odgłosy, do których pomału zaczynałam się przyzwyczajać: jakiś stukot za pięknym, ozdobnym karniszem, trzask okiennic o futryny okien, zgrzytanie zamkowego szkieletu.

– Najpierw powinnam wytłumaczyć wczorajsze zachowanie Percy – zaczęła mówić ściszym głosem. – Kiedy spytałaś o Juniper, kiedy wspomniałaś o „nim”, moja siostra zrobiła się bardzo despotyczna.

– Nie muszą się panie przede mną tłumaczyć.

– Ależ muszę, tylko że niełatwo znaleźć okazję do spokojnej rozmowy. – Uśmiechnęła się ponuro. – Taki wielki dom, a trudno w nim o chwilę samotności.

Jej zdenerwowanie było zaraźliwe i chociaż nie robiłam nic złego, serce zaczęło mi walić i odpowiedziałam tak samo ściszonego głosem:

– Czy nie mogłybyśmy się spotkać w jakimś innym miejscu? Może gdzieś w mieście?

– Nie – odparła szybko i pokręciła głową. – To niemożliwe. – Znów rzuciła okiem w stronę pustego wejścia. – Najlepiej będzie, jak porozmawiamy tutaj.

Skinęłam głową na znak zgody i czekałam, podczas gdy ona powoli zbierała myśli, niczym ktoś wyszukujący zgubione wątki. Gdy jednak zaczęła, mówiła szybko i z determinacją.

– To było straszne. Okropna, okropna rzecz. Minęło pięćdziesiąt lat, a ja pamiętam ten wieczór, jakby to było wczoraj. Twarz Juniper, kiedy stanęła w drzwiach... Przyjechała późno. Zgubiła swój klucz, więc zapukała, i poszliśmy jej otworzyć. Weszła tanecznym krokiem, nigdy nie chodziła jak zwyczajni ludzie, a jej twarz... do dziś ją widzę, kiedy zamykam w nocy oczy. Ten moment. Poczuliśmy ulgę na jej widok. Wie pani, przez całe popołudnie szalała burza. Lało jak z cebra, wichry dął okrutny, autobusy się spóźniały... bardzo się martwiłyśmy. Kiedy usłyszałyśmy pukanie, myślałyśmy, że to on. O to też się denerwowałam, widzi pani, domyślałam się, że są zakochani, że zamierzają się poobrać. Juniper nie powiedziała o niczym Percy. Moja bliźniaczka miała dość surowe poglądy na takie sprawy, tak jak tata. Za to ja zawsze byłam z Juniper dość blisko i bardzo chciałam go polubić, bardzo pragnęłam, aby okazał się godny jej miłości. Byłam go też ciekawa, bo niełatwo było podbić serce naszej najmłodszej siostry. Siedziałyśmy przez jakiś czas w salonie gościnnym. Rozmawiałyśmy, z początku o jakichś błahych sprawach, o tym, co Juniper porabiała w Londynie, i powtarzałyśmy sobie, że autobus się spóźnia, że wszystkimu są winne środki transportu i wojna. W końcu jednak przestałyśmy nawet szukać usprawiedliwień dla tego spóźnienia. – Zerknęła na mnie z ukosa i oczy jej pociemniały na to wspomnienie. – Wiał wiatr, deszcz walił w okiennice, a w kuchni stygł obiad. W całym domu unosił się zapach potrawy z królika. – Skrzywiła się na samą myśl. – Od tamtej pory nie mogłam wziąć do ust króliczego mięsa. Smakuje mi strachem. Kawalki wstrętnego,

przypalonego strachu. Tak się bałam, widząc Juniper w tym stanie. Z trudem ją powstrzymywałyśmy, żeby nie wybiegła na burzę i nie zaczęła go szukać. Nawet kiedy minęła północ i stało się oczywiste, że nie przyjedzie, nie chciała się poddać. Wpadła w histerię, musiałyśmy jej podać stare pigułki nasenne taty, żeby ją uspokoić.

Urwała. Mówiła bardzo szybko, starała się skończyć swoją opowieść, zanim przyjdzie Percy, i głos jej osłabł. Zakasłała w delikatną, koronkową chusteczkę, którą wyciągnęła z rękawa. Na stole stał dzbanek z wodą, więc nalałam trochę i przyniosłam, żeby się napiła.

– To musiało być okropne – powiedziałam, podając jej szklankę.

Z wdzięcznością upiła łyk, po czym objęła szklankę dłońmi i oparła ją na kolanach. Widziałam, że nerwy ma napięte do ostatnich granic, zaciskała szczękę, aż spod skóry przebijały biegnące żyłki.

– Nie zjawił się? – zachęciłam ją.

– Nie.

– I nigdy się nie dowiedziałyście dlaczego? Nie przysłał żadnego listu? Nikt nie zadzwonił?

– Nie.

– A Juniper?

– Czekala. I czeka do dzisiaj. Mijały dni, potem tygodnie. Nigdy nie porzuciła nadziei. To było straszne. Po prostu straszne. – Ostatnie słowo zawisło między nami w powietrzu. Saffy zagubiła się w czasie, we wszystkich tych minionych latach. Nie naciskałam więcej. – Obłąd nie zaczyna się nagle – powiedziała w końcu. – Tak gładko brzmi, kiedy mówimy: wpadła w obłąd. W rzeczywistości tak się nie dzieje. To następowało stopniowo. Początkowo zamknęła się w sobie. Zdawało się, jakby zaczęła wracać do siebie. Przebąkiwała o powrocie do Londynu, ale mgliście i nigdy tego pomysłu nie zrealizowała. Przestała też pisać. Wtedy się zorientowałam, że coś bardzo cennego i bardzo kruche zostało w niej unicestwione. Potem pewnego dnia wyrzuciła wszystko przez okno na poddaszu. Wszystko: książki, papiery, biurko, nawet materac...

Urwała, a jej usta poruszały się bezgłośnie wokół rzeczy, których uznawała za stosowne nie poruszać. Potem powiedziała z westchnieniem:

– Papiery rozwiały się na wszystkie strony, opadły na zboczach wzgórze, do jeziora, jak jesienne liście. Ciekawa jestem, co się z nimi stało?

Pokręciłam głową. Pytała o coś więcej niż los kartek papieru, które wyleciały z okna zamkowego, i nie przychodziło mi do głowy, co mogłabym na to odpowiedzieć. Trudno mi było sobie nawet wyobrazić, jakie to uczucie widzieć ukochaną siostrę popadającą w taki stan, patrzeć, jak marnieją niezliczone ziarna talentu, twórczego potencjału i osobowości, jak znikają jedno po drugim. Jak ciężko musiał to przeżyć ktoś taki jak Saffy, która według słów pani Bird była dla Juniper bardziej matką niż siostrą.

– Meble leżały roztrzaskane na jednej stercie. Żadna z nas nie miała serca wnieść ich z powrotem do środka, a Juniper nie chciała. Zaczęła przesiadywać przy szafie na poddaszu, tej z ukrytymi drzwiami, i upierała się, że dochodzą stamtąd głosy, które ją wołają. Oczywiście, słyszała je tylko w głowie, biedne maleństwo. Lekarz chciał ją wysłać do zakładu dla obłąkanych...

Makabryczne słowa uwięzły jej w gardle, a w jej oczach wyczytałam błaganie, abym ujrzała w nich ten sam koszmar co ona. Zaczęła miąć w rękę białą chusteczkę. Wyciągnęłam dłoń i bardzo delikatnie dotknęłam jej przedramienia.

– Tak mi przykro – powiedziałam.

Usta jej drżały z gniewu i rozpacz.

– Nie chciałyśmy nawet o tym słyszeć. Za nic w świecie nie pozwoliłabym sobie jej odebrać. Percy rozmawiała z lekarzem, wyjaśniła mu, że w Milderhurst nie robi się takich rzeczy, że rodzina Blythe'ów dba o swoich bliskich. W końcu się zgodził, Percy potrafi być bardzo przekonywająca. Nalegał jednak, aby podawać Juniper mocniejsze lekarstwo.

Wpiła pomalowane paznokcie w uda, a ja zauważyłam na jej twarzy coś, czego nie spostrzegłam wcześniej: była słabszą z bliźniaczek, bardziej uległą, ale i w niej drzemała siła. Kiedy chodziło o Juniper, gdy gra się toczyła o jej małą siostrzyczkę, którą kochała ponad wszystko na świecie, Saffy Blythe potrafiła być twarda jak skała. Jej następne słowa wystrzeliły jak para z czajnika, tak gorące, że można się było nimi oparzyć.

– Wszystko przez to, że pojechała wtedy do Londynu i poznała tego człowieka. To rzecz, której najbardziej w życiu żałuję: że wyjechała z Milderhurst. Wszystko potem legło w gruzach. Dla żadnej z nas nic już potem nie było takie samo.

Wtedy właśnie zaczęłam się dopatrywać w jej słowach celu, dla którego mi to wszystko opowiedziała, dlaczego uważała, że to może wytłumaczyć oschłość Percy: noc, kiedy Thomas Cavill nie zjawił się na umówione spotkanie, odmieniła życie ich wszystkich.

– Percy też była inna? – spytałam.

W tym momencie z korytarza doszedł odgłos kroków, miarowy, wyrachowany stukot laski najstarszej siostry Blythe, zupełnie jakby usłyszała swoje imię, jakby wyczuła, że jest przedmiotem zakazanych rozmów.

Saffy oparła się o poręcz sofy i wstała.

– Edith właśnie przyszła – zaanonsowała ją szybko, kiedy Percy stanęła w drzwiach. Wskazała mnie ręką, w której ścisnęła chusteczkę. – Mówiłam jej o biednym Brunie.

Percy przenosiła wzrok to na mnie, siedzącą na sofie, to na stojącą obok mnie Saffy.

– Udało ci się dodzwonić do tego młodzieńca? – ciągnęła Saffy.

Percy skinęła krótko głową.

– Już tu jedzie. Spotkam się z nim przy drzwiach, powiem mu, gdzie powinien szukać.

– Dobrze – odrzekła Saffy.

– Potem wezmę z sobą pannę Burchill – powiedziała Percy, po czym dodała, odpowiadając na moje pytające spojrzenie – do naszego archiwum, zgodnie z obietnicą.

Uśmiechnęłam się, lecz Percy zamiast iść z powrotem na poszukiwanie Bruna, weszła do salonu i stanęła przy oknie. Ostentacyjnie obejrzała drewnianą futrynę, potem pochyliła się bliżej i zdrapała jakąś plamkę na szybie. Widać było, że te zaimprovizowane oględziny są tylko wybiegiem, by pozostać z nami w pokoju. Uprzytomniłam sobie, że Saffy miała rację: Percy Blythe nie chce, abym została sam na sam z jej bliźniaczą siostrą. Znów opadły mnie wczorajsze podejrzenia, że obawia się, aby Saffy nie powiedziała mi czegoś, czego nie powinna. Zdumiewające,

jaką władzę nad swoimi siostrami sprawowała najstarsza panna Blythe. Zaczęło mnie to intrygować. Z jednej strony cichy głosik szeptał mi do ucha, że powinnam zachować ostrożność, z drugiej rośla moja ciekawość konkluzji, jaka płynęła z opowieści Saffy.

Minęło kolejne pięć minut, podczas których Saffy paplała coś o pogodzie, a Percy wpatrywała się dalej w szybę i wycierała zakurzony parapet, i były to chyba najdłuższe minuty w moim życiu. W końcu z ulgą usłyszałam warkot nadjeżdżającego samochodu. Siostry przerwały swoje występy i wszystkie trzy zaczęłyśmy nasłuchiwać w milczeniu.

Warkot silnika zbliżył się, aż w końcu ucichł. Trzasnęły ciężko drzwiczki. Percy wypuściła powietrze z płuc.

- To pewnie Nathan.
- Tak – potwierdziła Saffy.
- Wróć za pięć minut – oznajmiła Percy.

I wreszcie wyszła. Saffy odczekała chwilę i dopiero kiedy odgłos kroków ucichł zupełnie, westchnęła krótko i odwróciła się do mnie. Uśmiechnęła się z zakłopotaniem. Kiedy podjęła swoją opowieść, w jej głosie dzwięczała jeszcze większa determinacja.

- Być może zauważyłaś – zaczęła – że Percy jest z naszej trójki najsilniejsza. – Zawsze uważała siebie niejako za strażniczkę rodziny, a wobec mnie wykazywała taki opiekuńczy instynkt, nawet kiedy byłyśmy młodymi dziewczętami. Na ogół się z tego cieszyłam. Miło mieć taką orędowniczkę.

Mimowolnie zauważyłam, że jej palce nie przestawały się poruszać nerwowo, że co chwila rzucała niespokojne spojrzenia w stronę drzwi.

- Ale nie zawsze – uzupełniłam.
- Nie zawsze. Nie zawsze jest to korzystne dla obu stron. To był dla niej wielki ciężar, szczególnie kiedy Juniper... kiedy to się stało. Obie mocno to przeżyłyśmy. Juniper zawsze była naszą malutką siostrzyczką. Patrzyć na to, co się z nią działo... – głowa jej się trzęsła, kiedy to mówiła – było niewypowiedzianie ciężko. W tamtym okresie – wzrok Saffy utknął w jakimś punkcie nad moją głową, jakby szukała tam słów, którymi mogłaby to wyjaśnić – Percy często wpadała w złe humory, robiła się zrzędliva. Należała do kobiet, które w czasie wojny odkryły swoje powołanie, i kiedy skończyły się bombardowania, kiedy Hitler

zwrócił się w kierunku Rosji, była prawie rozczarowana. Ale od tamtego wieczoru bardzo się zmieniała. Potraktowała ucieczkę młodego człowieka jako osobistą obrazę. To mnie zdziwiło.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Prawie jakby czuła się osobiście za to odpowiedzialna. Oczywiście nie mogła zapobiec temu, co się stało, ale taka jest Percy. Czowała się winna, ponieważ jedna z nas cierpiała, a ona nie mogła na to nic poradzić. – Westchnęła i niespokojnie wygładziła sukienkę. – Chyba właśnie dlatego ci to wszystko mówię. Chcę, żebyś zrozumiała, że chociaż Percy zachowuje się czasem nieco szorstko, to w głębi serca jest dobrym człowiekiem.

Widziałam, jak bardzo jej zależało, abym nie myślała źle o jej siostrze bliźniaczce, więc odpowiedziałam uśmiechem. Ale naprawdę coś w jej opowieści się nie kleiło.

– Ale dlaczego miałyby czuć się winna? – spytałam. – Czyżby go znała?

– Nie, nigdy w życiu go nie spotkała. – Przyjrzała mi się badawczo. – Mieszkał w Londynie. Tam się z Juniper poznali. Percy nie wyjeżdżała do Londynu od początku wojny.

Kiwała głową, lecz jednocześnie rozmyślałam o pamiętniku mojej mamy, o wzmiance, że jej nauczyciel Thomas Cavill przyjechał ją odwiedzić w Milderhurst we wrześniu 1939 roku. To wtedy Juniper Blythe po raz pierwszy zobaczyła człowieka, w którym się później zakocha. Może Percy nie wyjeżdżała do Londynu, ale było bardzo prawdopodobne, że poznała Thomasa Cavilla w hrabstwie Kent.

Do pokoju wkradł się zimny podmuch powietrza i Saffy opatuliła się mocniej swetrem. Zauważyłam, że skóra na jej dekolcie poróżwiała. Żałowała, że powiedziała za dużo, i próbowała zamieść teraz swoją niedyskrecję pod dywan.

– Chcę tylko powiedzieć, że Percy bardzo ciężko to przeżyła, że to ją zmieniło. Ucieszyłam się, kiedy Niemcy zaczęli produkować rakiety VI i V2, bo znalazła przynajmniej nowy powód do zmartwienia. – Roześmiała się, ale zabrzmiało to nienaturalnie. – Czasami myślę, że byłaby najszcześniejsza, gdyby wojna trwała w nieskończoność.

Czuła się niezręcznie i zrobiło mi się jej żal, zwłaszcza że moje wypytywanie postawiło ją w kłopotliwej sytuacji. Chciała tylko zatrzeć niemiłe wrażenie, jakie pozostawiła we mnie wczorajsza wizyta w zamku, i wydało mi się okrutne obarczać ją nową troską. Uśmiechnęłam się i zmieniłam temat.

– Pani również pracowała w czasie wojny?

Rozchmurzyła się odrobinę.

– Och, każda z nas robiła, co mogła. Moja praca nie była wprawdzie tak ekscytująca jak Percy. Z nas dwu to ona jest stworzona do heroicznych czynów. Ja tylko szyłam, gotowałam i robiłam na drutach chyba tysiąc skarpet. A i to nie zawsze dobrze mi wychodziło.

Machnęła żartobliwie ręką, a ja uśmiechnęłam się do obrazu trzynastoletniej dziewczynki z kilkoma parami skurczonych skarpetek na stołach i jedną na dłoni, w której z trudem utrzymywała pióro.

– O mały włos nie zostałam w czasie wojny guwernantką.

– Naprawdę?

– Tak. Przy rodzinie, która wyjeżdżała do Ameryki. Dostałam ofertę pracy, niestety musiałam ją odrzucić.

– Z powodu wojny?

– Nie. List przyszedł do mnie w tym samym czasie, kiedy Juniper przeżyła wstrząs. Och, proszę nie patrzeć tak na mnie, nie ma powodu do smutnych min. Próżne żale, po co rozpamiętywać coś, co już nie wróci? Nie mogłam podjąć pracy po tym, co się stało z Juniper. Kto by się nią zaopiekował?

Nie miałam rodzeństwa, nie do końca wiedziałam, jakie to uczucie.

– Percy nie mogła...?

– Percy ma wiele zdolności, lecz opieka nad dziećmi nigdy do nich nie należała. To wymaga pewnej... – jej palce przebiegały po ekranie kominka, jakby szukały tam wypisanych słów – delikatności. Tak sędzę. Nie, nie mogłabym zostawić ich samych. Napisałam list i odrzuciłam ofertę pracy.

– Musiało być pani trudno.

– Człowiek nie ma wyboru, kiedy w grę wchodzi dobro rodziny. Juniper jest moją małą siostrzyczką, przez myśl mi nie przeszło, że mogłabym ją zostawić w takiej chwili. Poza tym nawet gdyby ten mężczyzna przyjechał na umówione spotkanie, nawet gdyby się pobrali i

wyjechali z Milderhurst, to i tak prawdopodobnie nie przyjąłabym tej pracy.

– Czemu?

Odwróciła elegancką szyję, unikając mojego wzroku. Z korytarza znów doszły stłumione kasznięcia i zbliżający się ostry stukot laski.

– Percy...

Zanim się uśmiechnęła, na jej obliczu zobaczyłam odpowiedź na swoje pytanie. W przelotnym, bolesnym skurczu ujrzałam całe życie Saffy Blythe uwięzione w zamkowych murach. Były bliźniaczkami, dwiema połówkami całości, z których jedna z całej duszy pragnęła uciec i żyć samodzielnie, druga zaś nie dopuszczała nawet takiej myśli. Saffy, którą współczucie uczyniło życzliwą, a łagodność słabszą i uległą, nigdy nie potrafiła wyrwać się na wolność.

Archiwum i odkrycie

Percy Blythe prowadziła mnie korytarzem, potem po schodach w mroczne otchłanie zamku. Z natury nie należała do osób zbyt rozmownych, lecz tego ranka milczała jak grób. W dodatku bił od niej tak ostry zapach papierosów, że starałam się trzymać kilka kroków w tyle. Byłam zresztą zadowolona z tego milczenia, po rozmowie z Saffy nie miałam nastroju na kolejną niezręczną konwersację. To, co mi opowiedziała, a może raczej sam fakt, że mi to opowiedziała, wzbudził mój niepokój. Wiedziałam, że mówiła mi to, aby wytłumaczyć zachowanie siostry, a ja wierzyłam, że obie czuły się zdruzgotane załamaniem psychicznym Juniper, lecz czemu tak się upierała, że dla Percy było to trudniejsze? Zwłaszcza że to ona wzięła na siebie rolę matki najmłodszej siostry. Wprawiła ją w zakłopotanie nieuprzejmość, jaką okazała mi Percy poprzedniego wieczoru, i zależało jej, abym dostrzegła ludzką twarz za maską chłodu starszej bliźniaczki, lecz te starania wydawały mi się aż nazbyt usilne. Zbyt natarczywie próbowała ukazać mi swoją siostrę w szlachetnym świetle.

Percy zatrzymała się na skrzyżowaniu korytarzy i wyjęła z kieszeni paczkę papierosów. Kościstymi palcami wygrzebała z pudełka zapałkę i podpaliła. W blasku płomyka zobaczyłam na jej twarzy wypisany dowód, że poranne wydarzenia głęboko ją poruszyły. Kiedy wokół nas rozrósł się grzyb świeżego dymu papierosowego, a milczenie się pogłębiało, powiedziałam:

– Bardzo mi przykro z powodu Bruna. Jestem pewna, że bratanek pani Bird go znajdzie.

– Doprawdy? – Percy wypuściła z piersi dym. Jej oczy świdrowały mnie bez śladu zyczliwości, a usta drgnęły w kąciku. – Zwierzęta czują, kiedy nadchodzi ich koniec, panno Burchill. Nie chcą być ciężarem. Nie tak jak ludzie, którzy wiecznie domagają się pocieszenia.

Skinieniem głowy dała mi znak, abym skrzyła za nią w korytarz. Poczulałam się urażona i zlekceważona. Postanowiłam więcej nie okazywać jej współczucia.

Zatrzymałyśmy się przed pierwszymi napotkanymi drzwiami, jednymi z wielu, jakie mijałam, zwiedzając zamek kilka miesięcy temu. Z papierosem przyklejonym do dolnej wargi wyciągnęła z kieszeni duży klucz i zaczęła nim grzechotać w zamku. Z pewnym trudem udało jej się w końcu przekręcić stary mechanizm i ze skrzypieniem otworzyć drzwi. W pomieszczeniu pozbawionym okien panował niemal kompletny mrok, udało mi się jednak dojrzeć, że wszystkie ściany dookoła zastawione są szafami na dokumenty, takimi jakie można zobaczyć w bardzo starych firmach prawniczych w mieście. Jedna goła żarówka, zwisająca z sufitu na cienkim, delikatnym kablu, zaczęła się lekko kołysać pod wpływem świeżego łyku powietrza, które dostało się do pomieszczenia przez otwarte drzwi.

Czekałam, aż Percy wejdzie pierwsza, lecz ponieważ nie ruszyła się z miejsca, spojrzałam na nią pytająco. Zaciągnęła się papierosem i powiedziała tylko:

– Ja tam nie wchodzę.

Prawdopodobnie na mojej twarzy odmalowało się zdziwienie, bo do dała z ledwo uchwytnym drżeniem w głosie:

– Nie lubię małych pomieszczeń. Tam w rogu stoi lampa naftowa. Proszę ją przynieść, to pani zapalę.

Zajrzałam do wąskiego, ciemnego pokoiku.

– A żarówka nie działa?

Percy patrzyła na mnie przez chwilę, po czym pociągnęła za przewód. Żarówka zabłyśła, lecz szybko przygasła; blade światło obudziło w pomieszczeniu tajemnicze cienie. Oświetlała ledwie krąg o średnicy jednego metra.

– Radzę, aby wzięła pani również lampę.

Uśmiechnęłam się kwaśno. Znalazłam ją bez trudu, wciśniętą w róg, tak jak zapowiedziała Percy. Kiedy ją wzięłam do ręki, w środku rozległ się chłopot.

– To brzmi obiecująco – orzekła Percy. – Niewielki byłby z niej pożytek bez nafty.

Trzymałam lampkę za podstawę, a Percy zdjęła szklany klosz, pokrę-
tłem wyregulowała długość knota i przyłożyła do niego zapalnik.

– Nigdy nie lubiłam tego zapachu – powiedziała, nakładając z po-
wrotem klosz. – Kojarzy mi się ze schronami przeciwbombowymi. Od-
rażające miejsca, przesiąknięte strachem i bezradnością.

– Ale też dające poczucie bezpieczeństwa, nie sądzi pani?

– Może niektórym.

Nie powiedziała nic więcej, a ja znalazłam sobie zajęcie, sprawdza-
jąc, czy cienki, metalowy uchwyt wytrzyma ciężar lampy.

– Od wieków nikt tu nie wchodził – odezwała się Percy Blythe. –
W głębi stoi biurko. W pudełkach pod spodem znajdzie pani notatniki
taty. Obawiam się, że nie są w najlepszym stanie. Tata zmarł w czasie
wojny, zmagaliśmy się wtedy z poważnymi problemami, nikt nie miał
głowy do zajmowania się archiwizacją – dodała na usprawiedliwienie,
ale urażonym tonem, jakby się spodziewała, że ją skrytykuję za niedba-
łość w prowadzeniu domu.

– Naturalnie.

Jakiś cień wątpliwości przemknął przez jej twarz, lecz zniknął, kiedy
zakasłała gwałtownie w dłoń.

– No dobrze – powiedziała, kiedy się uspokoiła. – Przyjdę za go-
dzinę.

Skinęłam głową. Nagle zapragnęłam, żeby została ze mną jeszcze
chwilę dłużej.

– Dziękuję – rzekłam. – Jestem naprawdę bardzo wdzięczna, że po-
zwoliły mi panie...

– Proszę uważać na drzwi. Niech pani pilnuje, żeby się nie zamknę-
ły.

– Dobrze.

– To zamek zatraskowy. W ten sposób straciłyśmy kiedyś psa. –
Jej usta wykrzywił grymas, który bynajmniej nie zamienił się w
uśmiech. – Jestem starą kobietą, rozumie pani, że na mojej pamięci nie
można polegać.

Pokój był długi i wąski, w poprzek bieżyły ceglane łuki, które podtrzymywały sufit. Złapałam mocno lampkę i podniosłam przed sobą tak, że jej światło mrugało na ścianach, kiedy szłam powoli i ostrożnie w głąb pomieszczenia. Percy mówiła prawdę, od bardzo dawna nikt tu nie wchodził. W powietrzu panował charakterystyczny bezruch. I cisza, kościelna cisza. Miałam przedziwne uczucie, jakby coś potężnego nie spuszczało ze mnie oczu.

Masz urojenia, upomniałam się surowo. Nikogo tu nie ma poza tobą i czterema ścianami. Rzecz w tym, że to nie były zwykłe ściany, tylko mury zamku Milderhurst, pod jego skórą szeptały zapomniane godziny. Im głębiej zapuszczałam się w archiwum, tym bardziej natrętne stawało się to niesamowite wrażenie, że ktoś lub coś mnie obserwuje. Spowijało mnie coraz ciaśniej uczucie osamotnienia. To ciemność była temu winna oczywiście, ciemność, rozmowa z Saffy i smutna historia Juniper.

Miałam jednak niepowtarzalną okazję przeczytania notatek Raymonda Blythe'a i dostałam na to zaledwie godzinę. Istniało wszelkie prawdopodobieństwo, że więcej mnie tu nie wpuszczą, więc muszę się bardzo skupić na zadaniu, które mnie czeka. Idąc, starałam się odnotować w pamięci jak najwięcej szczegółów: drewniane szafy na dokumenty stały pod ścianami po obu stronach przejścia; nad nimi – uniosłam lampę, żeby lepiej widzieć – mapy i plany architektoniczne z różnych epok; nieco dalej wisiała mała kolekcja oprawionych w ramki dagerotypów.

Były to portrety, widniała na nich ta sama kobieta w typie bohaterek Edgara Allana Poego: spoczywała w negliżu na szeszlunku, to znów patrzyła z bliska w aparat fotograficzny, ubrana w suknię z wysokim kołnierzem w stylu wiktoriańskim. Podeszłam bliżej, podniosłam lampę i zdmuchnęłam cienką warstwę kurzu, aby przyjrzeć się twarzy w brązowej ramce. Ciarki przebiegły mi po plecach, kiedy kobiece oblicze wyłoniło się spod pyłu. Była piękna, lecz demoniczna, jakby prosto z senego koszmaru: gładkie usta, wydatna, silnie zarysowana szczęka, nieskazitelna cera, skóra mocno naciągnięta na wysokich kościach policzkowych, błyszczące, duże zęby. Przysunęłam lampę jeszcze bliżej, aby przeczytać imię i nazwisko wypisane pochyłym pismem u spodu fotografii: Muriel Blythe, pierwsza żona Raymonda, matka bliźniaczek.

Jakie to dziwne, że wszystkie jej portrety zostały wyniesione do

archiwum. Zastanawiałam się, kto to uczynił i dlaczego – czy Raymond w głębokiej żalobie po jej śmierci, czy też wiedzona zazdrością jego druga żona. Tak czy inaczej, nie do końca wiedząc, czemu robię to z taką przyjemnością, odsunęłam lampę i pogрузyłam Muriel Blythe w ponownej ciemności. Nie miałam czasu na odkrywanie tajników archiwum. Uniosłam lampę przed sobą i poszłam dalej z mocnym postanowieniem znalezienia notatników pisarza i zapamiętaniem z nich jak najwięcej się uda w ciągu wyznaczonej godziny, by potem z ulgą opuścić to niesamowite, martwe miejsce.

Wtedy jednak ścianę z obrazkami zastąpiły półki ciągnące się od podłogi do sufitu i mimowolnie zwolniłam. Zupełnie jakbym znalazła się w skarbcu narodowym, na każdej półce piętrzyły się najróżniejsze przedmioty: książki, mnóstwo książek, wazony, chińska porcelana, nawet kryształowe dzbanki, według mojej oceny wszystko to były bardzo cenne przedmioty. Nie mogłam pojąć, czemu marniały w zakurzonej zamkowym magazynie.

Nieco dalej zobaczyłam coś, co sprawiło, że znów musiałam się zatrzymać: kolekcja czterdziestu lub pięćdziesięciu pudełek tej samej wielkości, oklejonych ozdobnym papierem, w kwieciste wzory. Na niektórych widniały etykiety z podpisami, więc podeszłam, aby jedną przeczytać. „*Nawrócone serce*, powieść Seraphiny Blythe”. Zdjęłam pokrywę. W środku leżała sterta kartek zapisanych na maszynie. Przypomniałam sobie, co powiedziała moja mama: że wszyscy Blythe'owie z wyjątkiem Percy byli pisarzami. Uniosłam lampę, aby objąć wzrokiem całą kolekcję pudełek, i uśmiechnęłam się z podziwem. To wszystko były książki napisane przez Saffy. Cóż za płodność. W jakiś sposób przytłoczył mnie widok tych wszystkich utworów zebranych w jednym miejscu: historii, marzeń, ludzi i miejsc wymyślonych kiedyś z takim zapałem i pietyzmem tylko po to, aby przeleżały tu dziesiątki lat i obróciły się w proch. Na innym pudełku podpis głosił: „Małżeństwo z Matthew de Courcy”. Redaktorska ciekawość wzięła nade mną górę, uniosłam pokrywkę i wyjęłam ze środka papiery. Tym razem nie był to manuskrypt, tylko plik rozmaitych notatek i rysunków, jakby zapis przeprowadzonych badań: stare szkice sukien ślubnych, kompozycji kwiatowych, wycinki z gazet opisujące śluby ludzi z wyższych sfer z notatkami na marginesach, na

przykład o porządku nabożeństwa. Nieco dalej znalazłam anonis z prasy z 1924 roku o zaręczynach Seraphiny Blythe z Matthew Johnem de Courcy.

Odłożyłam papiery na miejsce. To nie były notatki do powieści, tylko plany dotyczące ślubu Saffy, do którego nigdy nie doszło. Przykryłam je z powrotem pokrywką i cofnęłam się przejęta poczuciem winy za wściubianie nosa w cudze sprawy. Uderzyła mnie wtedy myśl, że każdy przedmiot w tym pomieszczeniu jest szczątkiem jakiejś większej historii: lampy, wazony, książki, worek marynarski, pudełka w kwiaty. Archiwum Milderhurst przypominało starożytne grobowce: ciemne, zimne miejsca pochówku, gdzie składano drogocenne przedmioty, aby popaść w zapomnienie.

Kiedy dotarłam wreszcie do stołu na końcu sali, czułam się, jakbym przeżyła maraton przez krainę czarów. Obejrzałam się ze zdziwieniem na drzwi zablokowane przed zamknięciem drewnianą skrzynką i żarówkę kołyszącą się zaledwie piętnaście metrów ode mnie. Znalazłam notatki dokładnie w tym miejscu, które wskazała mi Percy, poskładane na sterty do pudełek, jakby ktoś przeszedł przez gabinet Raymonda Blythe'a i zmiotł wszystko, co mu wpadło w rękę, po czym zostawił, nie troszcząc się o ich dalsze losy. Rozumiałam, że w czasie wojny ludzie mieli inne zmartwienia, mimo to wydawało się dziwne, że żadna z bliźniaczek przez dziesiątki lat nie znalazła czasu, aby uporządkować papiery ojca. Notatki Raymonda Blythe'a, jego dzienniki i listy zasługiwały na miejsce w bibliotece narodowej, gdzie udostępniono by je publiczności i naukowcom, chroniono i otaczano czcią przez dziesiątki lat. Zwłaszcza Percy, ze swoją troską o tradycję i przyszłe pokolenia, powinna chronić dziedzictwo ojca.

Ustawiłam lampę w głębi biurka, jak najdalej od siebie, aby jej nie przewrócić przez przypadek, i zaczęłam wyciągać pudełka. Układałam je na krzesła i przeglądałam, dopóki nie znalazłam dzienników obejmujących lata między 1916 a 1920. Raymond Blythe skrupulatnie opatrzył datą każdy notatnik, nie minęło więc wiele czasu, kiedy siedziałam z rozłożonym przed sobą rocznikiem 1917. Wyjęłam z torebki notes i zaczęłam zapisywać wszystko, co uznałam za pomocne w pracy nad artykułem. Co jakiś czas przerywałam tylko po to, by pomyśleć z niedowierzaniem, że naprawdę mam przed sobą własnoręczne notatki Raymonda

Blythe'a, że to pismo z zawijasami, te myśli i refleksje wyszły naprawdę spod ręki wielkiego pisarza.

Czy da się za pomocą słów, które mam do dyspozycji, opisać ów niewiarygodny moment, kiedy odwróciwszy stronę, wyczułam w zapiskach wyraźną zmianę? Charakter pisma stał się cięższy, a jednocześnie bardziej zdecydowany, zdania toczyły się płynniej i szybciej: wers za wersem zapełniały kolejne strony, a kiedy pochyliłam się niżej, aby odcyfrować niedbałe pismo, z drżeniem serca zdałam sobie sprawę, że jest to pierwszy szkic *Człowieka z Błota*. Po upływie siedemdziesięciu pięciu lat byłam świadkiem narodzin klasyki.

Odwracając strony, przebiegałam oczami tekst, pożerałam wzrokiem, rozkoszowałam się każdą drobną zmianą w porównaniu z tekstem publikacji, który miałam w pamięci. Nareszcie doszłam do końca i choć wiedziałam, że nie powinnam tego robić, położyłam otwartą dłoń na ostatniej stronicy, zamknęłam oczy i wczuwałam się w doznania płynące z dotyku bezcennych znaków na mojej skórze.

Wtedy to poczułam. Małe wybrzuszenie biegnące wzdłuż krawędzi mniej więcej dwa centymetry od brzegu. Coś zostało wsunięte między ostatnią stronę a skórzaną okładkę notesu. Odwróciłam kartkę i znalazłam złożony na pół arkusz grubego papieru listowego z ząbkowanymi krawędziami, jakiego używano w kosztownych papeteriach.

Czy istniał choćby cień szansy, żebym go nie otworzyła? Wątpię. Nie miałam za sobą bogatej historii nieotwartych listów i gdy tylko go zobaczyłam, skóra zaczęła mnie świerzbic. Czułam na sobie jakiś wzrok z ciemności, zachęcający mnie, abym zajrzała do środka.

Pismo było staranne, lecz wyblakłe, i musiałam przybliżyć je do lampy, aby odczytać słowa. Tekst zaczynał się w środku zdania:

...Ci mówić, że to wspaniała historia. Nigdy przedtem Twoje utwory nie zabrały czytelnika w tak realistyczną podróż. Styl bogaty, a fabuła z niesamowitą wręcz wnikliwością uchwyciła odwieczne pragnienie człowieka, aby zrzucić z siebie przeszłość i wyzwolić się od swych pożałowania godnych uczynków. Szczególnie wzruszającą postacią jest Jane, wspaniale udało Ci się odmalować sylwetkę dziewczynki stojącej u progu dorosłości.

Trudno jednak podczas czytania nie zauważyć głębokich podobieństw między Człowiekiem z Błota a inną opowieścią, którą Ty i ja doskonale znamy. Z tego powodu, a także znając Cię jako człowieka prawego i szlachetnego, muszę Cię prosić, zarówno dla Twego własnego dobra, jak i dla dobra tej drugiej osoby, abyś nie publikował Prawdziwej historii Człowieka z Błota. Wiesz równie dobrze jak ja, że to nie jest Twoja historia i nie Ty powinieneś ją opowiedzieć. Jeszcze nie jest za późno, aby wycofać manuskrypt. Obawiam się, że jeśli tego nie zrobisz, konsekwencje mogą się okazać tragiczne...

Odwróciłam kartkę, lecz na drugiej stronie niczego nie znalazłam. Przeszukałam notes, czy gdzieś nie ukrywają się pozostałe fragmenty listu, przekartkowałam go w przód i w tył, nawet uchwyciłam za grzbiet i ostrożnie potrząsnęłam. Nic.

Co to może znaczyć? Jakie podobieństwa? Z jaką inną opowieścią? Jakie konsekwencje? I kto mógł być na tyle odważny, aby wystosować takie ostrzeżenie do Raymonda Blythe'a?

Usłyszałam na korytarzu szuranie. Zamarłam, nasłuchując. Ktoś nadchodził. Serce waliło mi w piersi, a list drżał w moich palcach.

Wahałam się tylko ułamek sekundy, po czym wsunęłam kartkę do swojego notesu i zacisnęłam okładki. Zerknęłam przez ramię w samą porę, aby zobaczyć w drzwiach sylwetkę Percy Blythe opierającej się obydwoma rękami na lasce.

Upadek z wysoka

Nie mam pojęcia, jakim sposobem wróciłam do pensjonatu, nie pamiętam ani jednej minuty z całej drogi powrotnej. Prawdopodobnie udało mi się jakoś pożegnać z Saffy i Percy, a potem jakimś cudem zejść ze wzgórza bez uszczerbku na zdrowiu. Nie mogłam przestać myśleć o treści listu, który ukradłam. Jeśli dobrze go odczytałam – a sformułowania nie były specjalnie zawite – ktoś oskarżał Raymonda Blythe'a o plagiat. Kim była ta tajemnicza osoba i do jakiego utworu czyniła aluzje? Z listu wynikało, że musiała czytać manuskrypt *Człowieka z Błota* przed jego opublikowaniem w 1917 roku. Ten fakt zawęzał grono osób wchodzących w grę, lecz nadal niewiele pomagał. Nie miałam pojęcia, komu Raymond Blythe mógł wysłać rękopis do przeczytania. Właściwie miałam jakieś pojęcie, w końcu pracowałam w wydawnictwie, wiedziałam, że musieli go oglądać redaktorzy, korektorzy i zapewne kilku zaufanych przyjaciół, lecz to były bardzo ogólne wskazówki. Potrzebowałam nazwisk, dat i bardziej szczegółowych informacji, aby podjąć decyzję, na ile poważnie można traktować oskarżenia zawarte w liście. Jeśli bowiem była to prawda, jeśli Raymond Blythe rzeczywiście ukraść historię opowiedzianą w swojej książce, konsekwencje mogły być katastrofalne.

O takim odkryciu marzą naukowcy, historycy, na takim odkryciu robi się karierę, ja jednak czułam tylko niesmak. Z całej duszy pragnęłam, aby ta historia okazała się żartem, nieporozumieniem. Moja przeszłość, moja miłość do książek była nierozzerwalnie związana z *Człowiekiem z Błota* Raymonda Blythe'a. Odkrycie, że dzieło to nie wyszło spod jego pióra, że ukraść pomysł innemu autorowi, że jego korzenie nie tkwiły w żyznej glebie Milderhurst, nie tylko zburzyłyby literacką legendę, lecz

byłoby dla mnie potężnym osobistym ciosem.

Fakty przedstawiały się następująco: po pierwsze, znalazłam list w notatniku Raymonda Blythe'a oskarżający go o plagiat, a po drugie, zapłacono mi za napisanie artykułu o utworze Raymonda Blythe'a ze szczególnym uwzględnieniem jego źródeł i inspiracji. Nie mogłam po prostu zignorować takiej informacji, nawet jeśli mi się ona nie podobała. Tym bardziej że wyjaśniałaby ona dziwną powściągliwość, z jaką Raymond Blythe mówił o korzeniach swego dzieła.

Musiałam natychmiast z kimś o tym porozmawiać. Potrzebowałam pomocy i tak się składało, że znałam osobę, która mogła mi jej udzielić.

W pensjonacie starałam się unikać pani Bird. Poszłam prosto do swego pokoju i nie zdążyłam jeszcze usiąść, a już wzięłam do ręki telefon. Palce mi się płątały w pośpiechu, kiedy wybierałam numer Herberta.

Nikt nie odbierał.

– Nie! – warknęłam na słuchawkę, która odpowiedziała beznamiętnym buczeniem.

Odczekałam niecierpliwie kilka sekund, a potem spróbowałam jeszcze raz. Długo nasłuchiwałam dalekiego, samotnego sygnału. Obgryzając paznokcie, przeczytałam swoje notatki i znów zadzwoniłam, lecz nadal bez większego sukcesu. Zastanawiałam się nawet, czy nie zadzwonić do taty, ale powstrzymałam się z obawy, jak jego serce mogłoby zareagować na takie emocje. Wtedy mój wzrok padł na nazwisko Adama Gilberta podpisane pod zapisem wywiadów z rodziną Blythe'ów.

Wybrałam numer i czekałam. Brak odpowiedzi. Spróbowałam znowu. Tym razem usłyszałam charakterystyczne kliknięcie.

– Button, słucham.

O mało się nie rozplakałam z radości.

– Mówi Edith Burchill. Chciałabym rozmawiać z Adamem Gilbertem.

– Przykro mi, ale pan Gilbert pojechał do Londynu na umówioną wizytę w szpitalu.

Jęknęłam głucho.

– Wróci jutro lub pojutrze. Jeśli pani sobie życzy, mogę mu zostawić wiadomość, aby oddzwonił do pani po powrocie.

– Nie – odparłam. Wtedy będzie już za późno. Potrzebuję pomocy natychmiast. Z drugiej strony lepsze to niż nic. – Dobrze, poproszę. Dziękuję pani. Gdyby pani mogła zaznaczyć, że to dość pilna sprawa. Możliwe, że trafiłam na ważny ślad w sprawie zagadki, o której ostatnio rozmawialiśmy.

Przez resztę wieczoru siedziałam, gapiąc się na znaleziony list, bąszcząc jakieś zygzaki w notesie, wybierając numer Herberta i wsłuchując się w urojone głosy uwięzione w martwej linii telefonicznej. O jedenastej uznałam w końcu, że jest za późno, aby nawiedzać pusty dom Herberta i że w związku z tym przynajmniej na razie zostałam ze swoim problemem sam na sam.

✕

Kiedy nazajutrz rano szłam wyczerpana, z zapuchniętymi oczami w stronę zamku, czułam się, jakbym spędziła noc w wirującym bębnie pralki. Włożyłam list do wewnętrznej kieszeni żakietu i nie mogłam się powstrzymać, żeby nie wsuwać tam co chwila ręki. Nie potrafię wyjaśnić czemu, lecz kiedy wyszłam z pokoju, poczułam absolutny wewnętrzny przymus, aby wrócić, zabrać go i nosić ukryty bezpiecznie przy sobie. Z jakiegoś powodu było dla mnie nie do pomyślenia, abym zostawiła go na biurku i wyszła, i to bynajmniej nie ze strachu, że ktoś mógłby go znaleźć i zabrać. Paliło mnie dziwne, niezachwiane przekonanie, że list należy do mnie, że objawił się mnie, i to mnie powierzono rozwikłanie jego tajemnicy.

Percy Blythe czekała na mnie przed wejściem, udając, że wrywa chwasty z donicy stojącej przy schodach. Zobaczyłam ją, zanim ona zauważyła mnie, stąd wiem, że udawała. Aż do chwili, kiedy jakiś niepojęty szósty zmysł uprzedził ją, że się zbliżam, stała oparta o kamienną balustradkę z ramionami splecionymi na brzuchu i wpatrzona w jakiś daleki punkt w przestrzeni. Była tak błada i nieruchoma, że wyglądała jak rzeźba, chociaż nie z tego rodzaju, jaki większość ludzi postawiłaby chętnie przed swoim domem.

– Jakież wieści o Brunie?! – zawołałam, dziwiąc się, że mój głos brzmi nawet względnie normalnie.

Potała palce, aby ztrzeć z nich drobinki ziemi, i udała zdziwioną.

– Nie robię sobie wielkich nadziei, zwłaszcza przy tym zimnie. – Oczekwała, aż podejść bliżej, i, wyciągając ramię, zaprosiła mnie do środka. – Proszę wejść.

W zamku nie było dużo cieplej niż na dworze, zupełnie jakby kamienie wychwytywały z powietrza chłód i więziły go w środku, przez co wewnątrz sprawiało wrażenie jeszcze bardziej ciemnego i ponurego niż poprzednio.

Spodziewałam się, że pójdziemy jak zwykle do żółtego saloniku, zdziwiłam się więc, kiedy Percy poprowadziła mnie do małych drzwi ukrytych we wnęce głównego holu.

– Wieża – powiedziała krótko.

– Aha.

– Przyda się pani do artykułu.

Skinęłam głową, po czym ruszyłam za Percy po wąskich, krętych schodach.

Z każdym stopniem czułam się bardziej nieswojo. Miała rację, mówiąc, że wieża jest ważnym miejscem dla mojego artykułu, a jednak ta niespodziewana inicjatywa, aby mi ją pokazać, wypadła jakoś nieprzekonująco. Wykazywała do tej pory taką powściągliwość, taką niechęć, abym rozmawiała z jej siostrami lub przeglądała notatki jej ojca. Fakt, że czekała na mnie rano na zimnie, a potem sama zaoferowała się, że zaprowadzi mnie na wieżę, chociaż o to nie poprosiłam, był... no cóż, niespodziewany, a mnie nie uspokajają niespodziewane wydarzenia.

Powiedziałam sobie, że zbyt wiele się w tym dopatruję. Percy Blythe wybrała mnie do napisania wstępu do książki swego ojca, a zamek był jej największą dumą. Może nie kryło się w tym nic więcej. A może doszła do wniosku, że im szybciej zobaczę to, co mam zobaczyć, tym szybciej stąd wyjadę, a one będą mogły zająć się swoimi sprawami. Chociaż jednak próbowałam sobie to wszystko rozsądnie tłumaczyć, dręczące uczucie nie chciało ustąpić. Czy mogła się jakimś sposobem dowiedzieć, co znalazłam poprzedniego dnia w archiwum?

Znalazłyśmy się na małym podeście z nierówną, kamienną podłogą. Przez wąziutkie okienko w grubym murze zobaczyłam gęste korony drzew lasu Cardarker. Widziany w całej swej rozległej krasie wydawał

się wspaniały i dostojny, lecz kiedy, tak jak ja teraz, oglądało się tylko jego fragmenty, wrażenie było złowieszcze. Percy Blythe pchnęła wąskie, zaokrąglone drzwi.

– Gabinet w wieży.

Znowu odsunęła się na bok, abym mogła wejść pierwsza. Stałam na środku małego, okrągłego pokoju na spłowiałym dywanie w kolorze sadzy. Rzuciło mi się w oczy, że w kominku przygotowano świeże drewno, prawdopodobnie na nasze przyjście.

– Teraz jesteście same – powiedziała, zamykając za sobą drzwi.

Serce zaczęło mi walić w piersi, choć nie bardzo wiedziałam dlaczego. Czego się mogłam obawiać? Słabowitej staruszki, która zużyła resztkę sił, jaką mogła z siebie wykrzesać, żeby wdrapać się po schodach na szczyt wieży? Gdyby doszło do szarpaniny, nie miałyby ze mną wielkich szans. A jednak... mimo podeszłego wieku oczy Percy błyszczały, przebijając w nich duch znacznie silniejszy niż ciało. A ja nie mogłam myśleć o niczym innym jak o tym, że znalazłyśmy się wysoko nad ziemią i że kilkoro ludzi zakończyło żywot, rozbijając się z tego okna o ziemię...

Na szczęście Percy nie potrafiła mi czytać w myślach i nie dostrzegła melodramatycznej grozy kłębiącej się w mojej głowie. Wykręcając lekko dłoń w nadgarstku, powiedziała:

– To tutaj. Tutaj pracował.

Zdołałam się wreszcie wyczołgać z gęstej mgły swojej wybujałej wyobraźni i docenić, że stoję na środku gabinetu Raymonda Blythe'a. Na półkach opasujących okrągłe ściany stały jego ulubione książki; przy tym kominku siadywał w dzień i w nocy, pracując nad swoimi dziełami. Przebiegałam palcami po biurku, na którym pisał *Człowieka z Błota*.

Jeśli to on go napisał, szeptał mi na piersi tajemniczy liścik.

– Jest jeszcze jeden taki pokój – powiedziała Percy Blythe, podpalając zapałkę i przystawiając ją do drewna w kominku. – Za małymi drzwiami w głównym holu, dokładnie pod wieżą, tylko cztery piętra niżej. Kiedy byliśmy dziećmi, a tata pracował, ukrywałyśmy się tam z Saffy...

To był rzadki moment otwartości Percy. Przyglądałam się jej, kiedy mówiła. Była drobnitka, szczupła, blada, a mimo to czuło się w niej siłę – może charakteru? – która przyciągała człowieka niczym ćmę. Jakby

wyczuwając moje zainteresowanie, przygasała, a przez jej twarz przemknął przelotnie krzywy uśmiech. Wrzuciła do ognia wypaloną zapałkę, po czym wyprostowała się i skinęła mi głową.

– Proszę się nie krępować – zachęcała. – Może się pani rozejrzeć.

– Dziękuję.

– Ale lepiej niech pani nie podchodzi zbyt blisko do okna. Tu jest naprawdę wysoko.

Zdobyłam się na uśmiech i zaczęłam oglądać pokój, starając się zapamiętać wszystkie szczegóły. Półki były prawie puste, podejrzewałam, że większa część książek, które tu stały, zapełniała teraz zamkowe archiwum, za to na ścianach nadal wisiały obrazy. Jeden z nich przyciągnął moją uwagę. Znałam go, to była rycina Goi zatytułowana *Gdy rozum śpi, budzą się demony*. Zatrzymałam się przed nią i przyjrzałam postaci na pierwszym planie, na wpół leżącej, jakby z rozpaczy, przy biurku, podczas gdy dookoła lata stado pierzastych stworów karmiących się jego śpiącym umysłem.

– To był ulubiony obraz mojego ojca – poinformowała Percy Blythe.

Drgnęłam, słysząc jej głos, ale się nie odwróciłam, a kiedy znów spojrzałam na rycinę, zobaczyłam w szybie swoje ciemne odbicie i Percy stojącą za moimi plecami.

– Bardzo się go bałyśmy.

– Nie dziwię się.

– Tata mówił, że to głupota. Że zamiast się bać, powinniśmy czerpać z niego naukę.

– Jaką naukę miał na myśli?

Odwróciłam się do niej. Dotknęła krzesła przy oknie.

– Och, nie, dziękuję... – Zdobyłam się na słaby uśmiech. – Dobrze mi na stojąco.

Zamrugła powoli i przez chwilę myślałam, że będzie nalegać. Nie upierała się jednak, tylko odpowiedziała:

– Naukę, panno Burchill, że kiedy rozum śpi, budzą się upiory tego, co zostało z niego wyparte.

Spocily mi się dłonie, zrobiło mi się gorąco. Chyba nie czytała mi w myślach? Nie mogła wiedzieć, jakie okropności snuły mi się po głowie

od czasu, gdy znalazłam list, nie mogła się domyślić makabrycznych myśli o wypchnięciu przez okno?

– Pod tym względem Goya wyprzedził Freuda.

Uśmiechnęłam się kwaśno, a wtedy fala gorąca uderzyła mi na policzki i wiedziałam, że nie wytrzymam dłużej tego suspensu, tego napięcia. Nie byłam stworzona do takich gier. Jeśli Percy Blythe wiedziała, co znalazłam w dzienniku, jeśli wiedziała, że zabrałam to z sobą i że zrobię wszystko, aby dociec prawdy, jeśli cała nasza wyprawa na wieżę była misternym podstępem, który miał mnie zmusić do wyznania grzechu i wszelkimi środkami powstrzymać przed zdemaskowaniem kłamstwa jej ojca, to proszę, byłam gotowa na konfrontację. A co więcej, zamierzałam zadać pierwszy cios.

– Panno Blythe – odezwałam się. – Znalazłam coś wczoraj w archiwum.

Na jej twarzy odmalowało się nieopisane przerażenie, z policzków odpłynęły resztki kolorów. Równie szybko jednak, jak się pojawiło, udało się Percy je ukryć i zamaskować. Zamrugnęła.

– Co takiego? Obawiam się, że nie zgadnę. Musi mi pani powiedzieć.

Sięgnęłam do wnętrza żakietu i wyjęłam list. Wręczając go jej, starałam się powstrzymać drżenie rąk. Patrzyłam, jak wygrzebuje z kieszeni okulary i trzymając je przed sobą, przebiega wzrokiem słowa. Czas prawie stanął w miejscu. Przesunęła lekko palcami po zapisanych słowach.

– Tak – powiedziała. – Rozumiem.

Odniosłam wrażenie, jakby to, co zobaczyła, przyniosło jej ulgę, jakby nie tego się najbardziej obawiała. Czekałam, co powie, lecz kiedy stało się jasne, że nie zamierza się odzywać, zaczęłam:

– Obawiam się... – Była to bez dwóch zdań najtrudniejsza rozmowa, jaką przyszło mi w życiu rozpocząć. – Rozumie pani, że jeśli istnieje prawdopodobieństwo, że *Człowiek z Błota* został... – Nie mogłam wykrztusić słowa „skradziony”. – Jeśli, jak sugeruje ten list, pani ojciec przeczytał gdzieś historię, którą opisał w powieści – przełknęłam ślinę, pokój wirował mi przed oczami – powinni się o tym dowiedzieć wydawcy.

Powoli i z wielką pieczołowitością składała list i dopiero kiedy skończyła, powiedziała:

– Może pani być spokojna, panno Burchill, mój tata napisał każde słowo tej książki.

– Ale ten list... Czy jest pani tego pewna?

Pepełniłam błąd, mówiąc jej o moim odkryciu. Czego się właściwie spodziewałam? Że będzie ze mną szczerą? Że da mi swoje błogosławieństwo w poszukiwaniach, które mają na celu odebranie jej ojcu literackiej wiarygodności? Przecież to naturalne, że córka występuje w jego obronie, zwłaszcza taka córka jak Percy.

– Jestem tego bardzo pewna, panno Burchill – odrzekła, patrząc mi prosto w oczy. – Ponieważ sama napisałam ten list.

– Pani?

Skinęła krótko głową.

– Ale dlaczego? Czemu stawiała pani ojcu takie zarzuty, jeśli jak pani twierdzi, każde słowo tej powieści pochodzi od niego?

Na jej policzki powróciły rumieńce, oczy jej błyszczały, wyraźnie poczuła przypływ energii, jakby czerpała siły z mojego zmieszania. Jakby ją to cieszyło. Przeszyła mnie przenikliwym spojrzeniem, do którego zaczynałam się już przyzwyczajać, a które oznaczało, że ma mi do powiedzenia znacznie więcej, niż przysłoby mi do głowy pytać.

– Myślę, że w życiu każdego dziecka przychodzi moment, kiedy z oczu opadają zasłony i uprzytamniają sobie, że ich rodzice nie są nieprzemakalni na ludzkie słabości. Że nie są niezłomni. Że czasem robią rzeczy, aby sobie dogodzić, aby nakarmić swoje demony. Jesteśmy z natury bardzo egotycznym gatunkiem, panno Burchill.

Percy Blythe kompletnie zamąciła mi w głowie. Nie byłam pewna, jak jedna myśl ma się do drugiej, przypuszczałam tylko, że ma to coś wspólnego z katastrofalnymi konsekwencjami, które zapowiadała w swojej korespondencji.

– Ale w liście...

– List nie ma najmniejszego znaczenia – ucięła krótko, podkreślając to machnięciem ręki. – Dotyczy innych spraw. – Spojrzała przelotnie na złożoną kartkę i przez chwilę twarz jej się mieniła jak ekran projekcyjny, a potem jak film, który puszczono od tyłu i cofnął się do wydarzeń sprzed siedemdziesięciu lat. Jednym ruchem cisnęła list do ognia, gdzie zapłonął, skwiercząc, aż się wzdrygnęła. – Okazało się, że nie miałam

racji. To była jego historia. – Uśmiechnęła się cierpko i trochę krzywo. – Chociaż wtedy jeszcze tego nie wiedział.

Miałam w głowie kompletny mętlik. Jak mógł nie wiedzieć, że to jego historia? I jak ona mogła sądzić inaczej? To wszystko nie miało sensu.

– Znałam kiedyś pewną dziewczynę, w czasie wojny. – Usiadła przy biurku ojca, oparła się na fotelu, po czym ciągnęła: – Pracowała przy Downing Street w salach konferencyjnych. Wiele razy spotykała na korytarzu Churchilla. Była tam taka tabliczka, którą on sam kazał zawiesić: „Proszę przyjąć do wiadomości, że nikt w tym budynku nie ma depresji. Nie interesuje nas przegrana”. – Przez chwilę siedziała z uniesioną brodą i wsłuchiwała się we własne słowa unoszące się wokół niej w powietrzu. Przez zasłonę dymu, ze staranną fryzurą, delikatnymi rysami twarzy, ubrana w jedwabną bluzkę wyglądała, jakby naprawdę cofnęła się w czasy drugiej wojny światowej. – Co pani o tym myśli?

Nie najlepiej sobie radzę z takimi grami, nigdy się w nich dobrze nie czułam, zwłaszcza jeśli ktoś mi rzuca zagadkę, która nie ma najmniejszego związku z tematem rozmowy. Wzruszyłam bezradnie ramionami.

– Panno Burchill?

Nagle przypomniały mi się pewne dane liczbowe, które kiedyś przeczytałam lub usłyszałam, dotyczące wskaźnika samobójstw, który w czasie wojny gwałtownie spada. Ludzie są zbyt zajęci walką o życie, żeby się nad sobą rozczulać.

– Myślę, że w czasie wojny panują inne zasady – odrzekłam, podnosząc głos, który zdradzał moje zakłopotanie. – W takich okolicznościach depresja jest równoznaczna z porażką. Może to właśnie miał na myśli Churchill.

Skinęła głową, a na jej ustach igrał lekki uśmiech. Z wyrachowaniem piętrzyła przede mną trudności, a ja nie miałam pojęcia dlaczego. Przyjechałam do hrabstwa Kent na jej życzenie, a tymczasem najpierw zabroniła mi rozmawiać ze swoimi siostrami, a potem na wszystkie moje pytania odpowiadała wymijająco i bawiła się ze mną w kotka i myszkę. Mogła zostawić prace nad artykułem Adamowi Gilbertowi, który przeprowadził już swoje wywiady i nie musiałby ich więcej niepokoić.

– Po co kazała mi pani przyjechać, panno Blythe?

Percy uniosła cienką jak blizna brew.

– Nie rozumiem.

– Judith Waterman z Pippin Books powiedziała, że pani osobiście poprosiła, abym przejęła pracę nad artykułem.

Nieznaczny uśmiech zadygotał w kąciку jej ust. Popatrzyła mi w oczy. Człowiek zwykle nie zdaje sobie sprawy, jak rzadko to się zdarza, dopóki ktoś tego nie zrobi, dopóki nie prześwidruje was wzrokiem i nie zajrzy na dno duszy.

– Proszę usiąść.

Zabrzmiało to w jej ustach tak rozkazująco i szorstko, że tym razem nie ośmieliłam się zaprotestować. Znalazłam najbliższe krzesło i usiadłam.

Postukała papierosem w blat biurka i zapaliła. Zaciągnęła się mocno i wydmuchała dym, nie spuszczając ze mnie oczu.

– Zmieniła się pani – powiedziała.

Oparła się z powrotem w fotelu, aby mnie jeszcze lepiej zlustrować.

– Nie rozumiem, o czym pani mówi.

Zmrużyła zażawione oczy i zmierzyła mnie z góry do dołu tak przenikliwym spojrzeniem, że aż zadrżałam.

– Tak. Jest pani mniej beztroska niż poprzednio. Niż wtedy, kiedy przyjechała pani wiosną.

Nie mogłam temu zaprzeczyć.

– To prawda. – Skrzyżowałam ręce, żeby nie zacząć nimi wymachiwać. – Przykro mi.

– Niepotrzebnie – odrzekła Percy, unosząc papierosa i podbródek. – Wolę panią taką jak teraz.

Nie wątpiłam w to. Na szczęście, zanim zaczęłam sobie łamać głowę nad odpowiedzią, Percy wróciła do mojego pierwszego pytania.

– Poprosiłam, aby zatrudniono panią przede wszystkim dlatego, że moja siostra nie zniósłaby w domu obecności obcego mężczyzny.

– Ale przecież Adam Gilbert zakończył już rozmowy z paniami. Nie musiał więcej przyjeżdżać do Milderhurst, skoro panna Juniper sobie tego nie życzyła.

– Jest pani bystrą osobką. – Uśmiechnęła się chytrze. – To dobrze. Po naszym pierwszym spotkaniu nie byłam tego pewna, a nie cierpię

użerać się z głupcami.

Wahałam się, czy podziękować, czy powiedzieć, żeby się ode mnie odczepiła. Wybrałam kompromis i uśmiechnęłam się chłodno.

– Nie widujemy tu zbyt wielu ludzi – ciągnęła, wypuszczając dym.
– Wiosną, kiedy pani przyjechała, a potem ta Bird powiedziała, że pracuje pani w wydawnictwie, zaczęłam się zastanawiać. No i zdradziła pani, że nie ma rodzeństwa.

Skinęłam głową, starając się nadażać za kapryśną logiką jej wyводу.

– Wtedy podjęłam decyzję. – Znowu zaciągnęła się papierosem i zaczęła się rozglądać za popielniczką. – Uznałam, że jest pani osobą bez uprzedzeń.

Czułam się z minuty na minutę coraz mniej bystrą osobką.

– Wobec kogo?

– Wobec nas.

– Panno Blythe, obawiam się, że nie rozumiem, co to wszystko ma wspólnego z artykułem, który mi zlecono, i książką pani ojca.

Machnęła ze zniecierpliwieniem ręką i popiół spadł na podłogę.

– Nic. Zupełnie nic. Ma natomiast wiele wspólnego z tym, co zamierzam pani powiedzieć.

Czy to właśnie wtedy poczułam ten złowieszczy dreszcz na plecach? Możliwe, że sprawił to tylko powiew jesiennego chłodu, który przedostał się przez szparę pod drzwiami, wcisnął się gniewnie w dziurkę od klucza, aż ten z brzękiem upadł na podłogę. Percy nie zwracała na to uwagi. Usiłowałam zrobić to samo.

– Co zamierza mi pani powiedzieć?

– Coś, co powinno zostać wyjaśnione, zanim będzie za późno.

– Na co za późno?

– Umieram – oznajmiła z chłodną prostotą.

– Tak mi przykro...

– Jestem stara, to się zdarza. Proszę mnie nie traktować z protekcyjnym współczuciem.

Jej twarz się nagle zmieniła, jak niebo, po którym przemykają gnane wiatrem chmury i przesłaniają ostatnie słabe promienie słońca. Wyglądała staro, widać było, że jest zmęczona. Zrozumiałam, że mówiła prawdę, że naprawdę niedługo umrze.

– Byłam nieuczciwa, kiedy zadzwoniłam do tej kobiety z wydawnictwa i poprosiłam o zmianę autora artykułu. Przykro mi, że sprawiłam temu człowiekowi kłopot. Nie wątpię, że wykonałby swoją pracę bez zarzutu, był prawdziwym profesjonalistą. Niestety, nie przyszedł mi do głowy żaden inny sposób, aby panią tu ściągnąć.

– Ale po co chciała mnie pani tu ściągnąć?

Wyczułam w jej zachowaniu jakąś niecierpliwość. Mój oddech stał się płytszy, skóra mi ścierpła na karku, nie tylko z zimna.

– Ukrywam pewną historię, której nikt poza mną nie zna, i zamierzam ją pani opowiedzieć.

– Czemu? – wykrztusiłam głosem ledwo głośniejszym od szeptu i aż się rozkaślałam. – Czemu? – powtórzyłam.

– Ponieważ musi ujrzeć światło dzienne. Ponieważ lubię zamknięte kartoteki. I ponieważ nie mogę dłużej jej w sobie nosić. Wyobrażam sobie, że zerknęła w tamtym momencie na demony Goi.

– Ale czemu chce pani tę historię opowiedzieć akurat mnie?

Zamrugła.

– Naturalnie z powodu tego, kim pani jest i kim była pani matka. – Ciebie uśmiechu powiedział mi, że sprawiała jej przyjemność nasza rozmowa i władza, jaką sprawowała nad moją niewiedzą. – Juniper to odkryła. Nazwała panią Meredith. Wtedy się zorientowałam. I wtedy zrozumiałam, że to właśnie pani.

Krew odpłynęła mi z policzków. Było mi wstyd jak dziecku, które nauczyciel przyłapał na kłamstwie.

– Przepraszam, powinnam była powiedzieć o tym wcześniej. Sądziłam...

– Nie interesują mnie pani powody. Wszyscy mamy swoje tajemnice.

Przełknęłam resztę wyjaśnień, zanim zdążyły mi się przecisnąć przez usta.

– Jest pani córką Meredith, to znaczy, że należy pani prawie do rodziny – mówiła coraz szybciej. – A to, co zamierzam opowiedzieć, jest rodzinną historią.

W najmniejszym stopniu nie spodziewałam się usłyszeć z jej ust czegoś takiego i dosłownie osłupiałam. Poczułam zarazem jakieś głębokie, solidarne zadowolenie w imieniu mojej mamy, która kochała to miejsce i

przez tyle lat uważała, że o niej zapomniano.

– Czego pani ode mnie oczekuje? – spytałam. – Co mam zrobić z tym, co mi pani opowie?

– Zrobić?

– Czy mam spisać tę historię?

– Absolutnie nie. Chcę, aby ją pani zakończyła. Muszę pani w tym względzie zaufać. – Uśmiechnęła się surowo, lecz po chwili twarz jej złagodniała. – Czy mogę pani zaufać, panno Burchill?

Skinęłam głową, chociaż jej zachowanie napawało mnie złymi przeczuciami co do roli, jaką miałam odegrać w całej sprawie.

Wyraźnie odetchnęła z ulgą, lecz jej czujność osłabła tylko na chwilę.

– Dobrze więc – powiedziała znowu oschle, odwracając wzrok w stronę okna wieży, z którego wyskoczył jej ojciec. – Mam nadzieję, że wytrzyma pani bez lunchu, bo czas mnie nagli.

Historia Percy Blythe

– Nie mam daru krasomówczego – oznajmiła Percy Blythe, podpalając zapałkę. – W przeciwieństwie do większości członków mojej rodziny. Chcę opowiedzieć tylko jedną historię. Proszę słuchać uważnie, bo nie będę jej powtarzać. – Zapaliła papierosa i oparła się w fotelu. – Mówiłam, że to nie ma nic wspólnego z *Człowiekiem z Błota*, ale to nieprawda. W ten czy inny sposób moja historia zaczyna się i kończy na tej książce.

Wiatr wsunął przez komin długie ramię i zaczął igrać z ogniem. Otworzyłam notes. Percy zastrzegła, że to niekonieczne, lecz mnie mężczył dziwny niepokój i z ulgą ukryłam się za kremowymi, kratkowanymi stronicami notatnika.

– Tata powiedział nam kiedyś, że sztuka jest jedyną formą nieśmiertelności. Często to powtarzał, myślę, że usłyszał to od własnej matki. Była piękną kobietą i bardzo uzdolnioną poetką, ale niewiele miała w sobie ciepła. Potrafiła być wręcz okrutna. Nie celowo, to jej talent uczynił ją taką. Wpoila memu ojcu całe mnóstwo dziwacznych wyobrażeń. – Wykrzywiła usta i zdjęła z wargi skrawek tytoniu. – Tak czy inaczej, nie miał racji, jest też inny rodzaj nieśmiertelności, znacznie mniej podziwiany i wielbiony przez ludzi.

Aż się pochylałam, pragnąc usłyszeć, co ma na myśli, ale na próżno. Niebawem przywykłam do tych nagłych zwrotów, do przeskakiwania z tematu na temat; kierowała reflektor swojej opowieści na jedną scenę, ożywiała ją, by po chwili nagle przerwucić uwagę gdzie indziej.

– Jestem pewna, że moi rodzice byli kiedyś szczęśliwi – powiedziała. – Przed naszym urodzeniem. Są na tym świecie dwa rodzaje ludzi: jedni lubią towarzystwo dzieci, inni nie. Mój tata należał do tych pierwszych, myślę, że nawet sam siebie zaskoczył siłą swego rodzicielskiego

uczucia, kiedy Saffy i ja przyszyliśmy na świat. – Spojrzała na obraz Goi i jakiś mięsień zadrgał jej na szyi. – Przed pierwszą wojną światową i zanim napisał tę książkę, był zupełnie innym człowiekiem, niezwykłym jak na swoje czasy i klasę społeczną. Jego miłość przerosła wszelkie wyobrażenia tej epoki o roli ojca. Uwielbiał nas, a my jego.

Rozpieszczał nas nie tylko zabawkami, chociaż nigdy nam ich nie brakowało, ale tym, ile poświęcał nam uwagi i ile pokładał w nas wiary. Uważał, że wszystko, co robimy, jest doskonale i wynagradzał nas ponad miarę. Myślę, że żadnemu dziecku taka idealizacja nie wychodzi na dobre... Może chce się pani napić wody, panno Burchill?

Zamrugałam raptownie.

– Nie. Nie, dziękuję.

– Ja się napiję, jeśli pani pozwoli. Moje gardło... Odłożyła papierosa do popielniczki, zdjęła z półki dzbanek i nalała wodę do szklanki. Przełknęła, a ja zauważyłam, że chociaż mówiła czystym, beznamiętnym głosem, a jej oczy patrzyły tak samo przenikliwie jak zawsze, ręce jej się trzęsły.

– Czy rodzice panią rozpieszczali, kiedy była pani dzieckiem, panno Burchill?

– Nie – odparłam. – Raczej nie.

– Tak mi się też zdawało. Nie zachowuje się pani jak ktoś, kto uważa, że ma do wszystkiego prawo. Taka postawa jest właściwa dzieciom, które czyni się pępkim świata. – Powędrowała wzrokiem w stronę okna, gdzie pogoda gęstniała i szarzała. – Tata wsadzał nas obie do starego wózka, który kiedyś należał do niego, i zabierał na długie spacery po miasteczku i okolicy. Kiedy podrosłyśmy, kazał kucharzowi przygotowywać dla nas wspaniałe pikniki i we trójkę chodziliśmy na długie wyprawy do lasu lub przez pola, a po drodze opowiadał nam wspaniałe, ale często bardzo ponure historie. O tym, że to jest nasz dom, że zawsze będą tu do nas przemawiać głosy naszych przodków, że w murach naszego zamku nigdy nie będziemy samotne. – Słaby uśmiech próbował się zadomowić na jej wargach. – W Oksfordzie był bardzo dobry z języków, szczególnie upodobał sobie staroangielski. Tłumaczył wiele rzeczy dla własnej przyjemności, a nam pozwalał sobie pomagać, nawet kiedy byliśmy jeszcze bardzo młode. Najczęściej tutaj, w wieży, ale czasami też w ogrodzie. Kiedyś po południu leżeliśmy we trójkę na kocu i

patrzyliśmy na zamek na wzgórzu, a tata czytał nam fragmenty *Wędrowca*. To był cudowny dzień. Nieczęsto się takie zdarzają i warto je pamiętać. – Przerwała, a twarz jej się odprężyła, zawędrowawszy w tę krainę wspomnień. Kiedy się znów odezwała, jej głos zabrzmiał piskliwie. – Anglosasi lubowali się w smutku i tęsknocie, i oczywiście w bohaterских czynach. Sądzę, że dzieci są bardzo podatne na te nastroje. *Seled-reorig*. – Słowo to zabrzmiało w tym okrągłym, kamiennym pokoju niczym inkantacja. – „Tęsknota za dworem”. – Nie ma podobnego słowa we współczesnym języku angielskim, a powinno być, nie sądzi pani? No dobrze, odbiegłam od tematu.

Wyprostowała się w fotelu, sięgnęła po papierosa i stwierdziła, że zamienił się w popiół.

– Tak to jest z przeszłością – skonstatowała, wydobywając następnego z paczki. – Ciągłe czyha, żeby człowieka wywabić z teraźniejszości. – Podpaliła zapałkę, zaciągnęła się zachłannie i mrużąc oczy, popatrzyła na mnie przez chmurę dymu. Będę od tej pory ostrożniejsza. – Płomień zgasł szybko, jakby na podkreślenie tych słów. – Moja mama długo i z upragnieniem czekała, aby mieć dzieci, i kiedy jej się w końcu udało, zmogła ją tak silna depresja, że ledwo wstawała z łóżka. Kiedy po długim czasie wydobrzała, odkryła, że rodzina jej wcale nie potrzebuje. Dzieci chowały się za plecami męża, kiedy próbowała je przytulić, płakały i szarpały się, kiedy podchodziła za blisko. Zaczęłyśmy używać obcojęzycznych słów, których nauczył nas tata, żeby nie mogła nas zrozumieć. A on się śmiał i jeszcze nas zachęcał, zachwycony, że tak szybko się rozwijamy. Musiałyśmy być bardzo okrutne. Prawie jej nie znałyśmy, chciałyśmy być tylko z tatą, a on z nami; dlatego mama czuła się coraz bardziej samotna.

Samotna. Nie wiem, czy słowo to zabrzmiało kiedyś bardziej złowieszco niż wtedy w ustach Percy Blythe. Przypomniały mi się dagerotypy z portretami Muriel Blythe, które widziałam w archiwum. Wydało mi się wtedy dziwne, że zawieszono je w tak ciemnym i zapomnianym miejscu, teraz uznałam to wręcz za złowrogi omen.

– I co się stało? – spytałam. Percy skarciła mnie wzrokiem.

– Wszystko w swoim czasie.

Na dworze huknął grzmot i staruszka rzuciła okiem w jego okna.

– Burza – powiedziała z obrzydzeniem. – Tylko tego nam brakowało.

– Chce pani, żebym zamknęła okno?

– Nie, jeszcze nie. Lubię świeże powietrze. – Zmarszczyła brwi, zaciągnęła się papierosem i patrząc w podłogę, zbierała myśli. Kiedy odnalazła watek, spojrzęła mi w oczy. – Mama wzięła sobie kochanka. Trudno ją za to winić. To tata go jej podsunął, chociaż nie zrobił tego świadomie. Próbował jej jakoś wynagrodzić te bolesne rozczarowania, zdawał sobie sprawę, że ją zaniedbuje, więc zainicjował duże prace remontowe w zamku i w ogrodach. W okna na parterze wprawiono okiennice, aby przypominały jej to, czym się zachwycała w Europie, przeprowadzono też roboty przy fosie. Kopanie trwało bardzo długo, często siadywałyśmy z Saffy przy oknie na poddaszu i obserwowałyśmy prace. Architekt nazywał się Sykes.

– Oliver Sykes.

Zdziwiła się.

– Doskonale, panno Burchill. Wiedziałam, że jest pani bystra, lecz nie podejrzewałam, że ma pani również tak wielki dar intuicji.

Pokręciłam głową i wyjaśniłam jej, że znalazłam tę informację w *Milderhurst Raymonda Blythe'a*. Nie wspomniałam natomiast o pieniądzach, które jej ojciec pozostawił w testamencie Instytutowi Gospodarstwa Pembroke. Zapis ten wskazywał, że Raymond Blythe nie wiedział o romansie żony.

– Tata o niczym nie wiedział – potwierdziła, jakby czytając mi w myślach. – Ale my tak. Dzieci domyślają się takich rzeczy.

Nigdy jednak nie przyszło nam do głowy, żeby mu powiedzieć.

Mieliśmy we troje swój własny świat i mało nas obchodziło, co robi mama. – Poruszyła się na krześle. – Nie kolekcjonuję wyrzutów sumienia, panno Burchill, niemniej wszyscy ponosimy odpowiedzialność za swoje postęпки i wiele razy zastanawiałam się potem, czy to od tamtej chwili los nie odwrócił się od Blythe'ów, nawet tych, którzy się jeszcze nie narodzili. Czy wszystko nie potoczyłoby się inaczej, gdybyśmy z Saffy powiedziały ojcu o mamie.

– Dlaczego? – Głupotą z mojej strony było przerywanie jej toku

myśli, ale nie mogłam się powstrzymać. – Czemu miałoby to coś zmienić?

Po raz kolejny przekonałam się, że upór Percy Blythe źle znosi, gdy się jej przerywa. Wstała, położyła dłonie na chudym krzyżu i wygięła biodra do przodu. Zaciągnęła się ostatni raz papierosem i przydusiła niedopałek w popielniczce, po czym sztywnym krokiem podeszła do okna. Z krzesła widziałam, że na niebie wiszą ciężkie, czarne chmury, lecz Percy zmrużyła oczy przed blaskiem, którego resztki drżały jeszcze na horyzoncie.

– Ten list, który pani znalazła... – powiedziała, kiedy nad domem przetoczył się następny grzmot, tym razem bliżej. – Nie wiedziałam, że tata go zachował, ale cieszę się, że to zrobił. Dużo mnie kosztowało napisanie tych gorzkich słów. Ojciec był taki podniecony swoją nową książką. Kiedy wrócił z wojny, z dawnego Raymonda Blythe'a został tylko cień: chudy jak rura od pieca, z okropnym, szklanym spojrzeniem. Pielęgniarka rzadko pozwalała nam go odwiedzać, twierdziła, że to zakłóca jego spokój, ale i tak przekradałyśmy się naczyniami krwionośnymi zamku. Siedział zwykle przy oknie, wyglądał na dwór, ale niczego nie widział.

Mówił o wielkiej pustce w sercu. Umysł go nęcił do twórczej pracy, lecz kiedy brał do ręki pióro, nic spod niego nie wychodziło.

Jestem wypalony, powtarzał. I miał rację. Może więc sobie pani wyobrazić dreszcz emocji, z jakim zabrał się do pracy nad *Człowiekiem z Błota*.

Skinęłam głową, przypomniawszy sobie dziennik, który czytałam w archiwum, odmienione, ciężkie pismo, pęczniejące pewnością siebie i determinacją, aby dokończyć pracę do ostatniej linijki.

Błysnęło i Percy Blythe się wzdrygnęła. Odczekała, aż błyskawicy odpowie grzmot.

– Każde słowo w tej książce pochodziło od niego, panno Burchill. Ale pomysł został skradziony.

Komu?! – miałam ochotę krzyknąć, lecz tym razem ugryzłam się w język.

– Z bólem pisałam ten list, gasiłam jego entuzjazm, który go podtrzymywał na duchu, ale musiałam to uczynić.

Zaczął padać deszcz, po szybie okiennej spłynęła płachta wody.

– Wkrótce po powrocie taty z Francji zachorowałam na szkarlatynę i wysłano mnie do szpitala. Bliźnięta źle znoszą samotność, panno Burchill.

– To musiało być bardzo przykre...

– Saffy – ciągnęła, jakby zapomniała o mojej obecności – zawsze miała więcej wyobraźni. Tworzyłyśmy dobrze zgraną parę: fantazja i rzeczywistość; każda z nas znajdowała swój równoważnik u drugiej strony. Jednak rozdzielone popadałyśmy w skrajności. – Zadrzała i odsunęła się od okna, gdzie na parapecie rozpryskiwały się plamy deszczu. – Moją siostrę męczył senny koszmar. To się często zdarza osobom z wybujałą wyobraźnią. – Zerknęła na mnie. – Zauważyła pani zapewne, że nie powiedziałam „senne koszmary”. Ponieważ zawsze był tylko jeden.

Burza połknęła ostatnie przebłyski dziennego światła i gabinet w wieży pograżył się w mroku. Tylko ogień w kominku napełniał pokój otuchą. Percy podeszła z powrotem do biurka i zapaliła lampę. Światło przenikające przez zielony, szklany klosz rzucało ponure cienie pod jej oczami.

– Śnił jej się, odkąd skończyła cztery lata. Budziła się w środku nocy z krzykiem, spocona i przerażona, mówiąc, że z fosy wyszedł mężczyzna oblepiony błotem i chce ją porwać. – Wykrzywiła lekko usta. – Uspokajałam ją, tłumaczyłam, że to tylko sen i że nic złego jej nie spotka, dopóki przy niej jestem. – Z trudem wypuściła powietrze. – I wszystko się jakoś układało aż do lipca tysiąc dziewięćset siedemnastego roku.

– Kiedy zachorowała pani na szkarlatynę.

Skinęła głową tak niezauważalnie, że nie byłam pewna, czy mi się nie przywidziało.

– Wtedy pani siostra opowiedziała o swoich snach ojcu.

– Znalazła go, kiedy ukrywał się przed pielęgniarkami. Była roztrzęsiona, nigdy nie potrafiła ukrywać emocji, i tata zapytał ją, co się stało.

– A potem to wszystko opisał w książce.

– Jej demon okazał się jego wybawcą, przynajmniej początkowo. Historia Saffy na nowo roznieciła w nim ogień, chodził za nią jak cień,

spragniony szczegółów. Jej bardzo pochlebiała taka atencja ojca, tak więc kiedy wróciłam ze szpitala, sprawy przedstawiały się zupełnie inaczej niż przed moją chorobą. Tata chodził rozpromieniony, niemal w gorączce, oboje skrywali przede mną tajemnicę. Żadne nie pisnęło mi nawet słowa o Człowieku z Błota. Dopiero kiedy zobaczyłam korektę *Prawdziwej historii* na tym właśnie biurku, zorientowałam się, co się stało.

Lało teraz jak z cebra i musiałam zamknąć okno, żeby słyszeć Percy.

– Wtedy napisała pani list.

– Wiedziałam, że jeśli opublikuje tę książkę, Saffy ciężko to przeżyje. Nie dał się jednak przekonać i do końca życia ponosił konsekwencje. – Znowu popatrzyła na Goyę. – Do końca życia trawiły go wyrzuty sumienia za popełniony grzech.

– Ponieważ ukradł koszmar Saffy – dopowiedziałam. Określenie „grzech” było może trochę przesadzone, ale rozumiałam naturalnie, jak takie przeżycie mogło podziałać na dziecko, szczególnie dziewczynkę z bujną fantazją. – Wydobył go na światło dzienne i dał mu nowe życie. Uczynił go rzeczywistym.

Percy wybuchła metalicznym śmiechem, od którego przeszły mnie ciarki.

– Och, panno Burchill, on zrobił coś znacznie gorszego. On ten koszmar zapoczątkował, tylko wtedy jeszcze o tym nie wiedział.

✠

Grzmot przetoczył się po murach wieży i stłumił światło lampy na biurku. Za to ani trochę nie stłumił zapachu Percy Blythe. Opowieść jakby ją opętała. Pochyliłam się bliżej, zżerana ciekawością, co chciała przez to powiedzieć, co takiego uczynił Raymond Blythe, że rozniecił koszmar Saffy. Moja rozmówczyni zapaliła kolejnego papierosa. Oczy jej błyszczały, być może wyczuła moje podniecenie, bo zmieniła temat.

– Mama trzymała swój romans w tajemnicy przez cały rok.

Odczułam ten przeskok jak fizyczny cios. Dosłownie uszło zennie powietrze, czego nie omieszkała zauważyć Percy.

– Czyżby czuła się pani rozczarowana, panno Burchill? – warknęła.

– To jest historia narodzin *Człowieka z Błota*, literacka sensacja, jak doskonale pani wie. Wszyscy mieliśmy w niej swój udział, nawet

mama, chociaż zginęła, zanim sen się przysnił i powstała książka.

Strzepnęła popiół z bluzki i podjęła opowieść na nowo: – Romans mamy trwał w najlepsze, a tata nie miał o niczym pojęcia. Aż pewnego wieczoru wrócił z Londynu wcześniej, niż zapowiadał. Przywoził dobre wieści: amerykańskie czasopismo wydrukowało jego artykuł, dzięki któremu zyskał wielkie uznanie. Zamierzał to uczcić. Było późno. Saffy i mnie, miałyśmy wtedy cztery lata, położono do łóżek kilka godzin wcześniej, a kochankowie zamknęli się w bibliotece. Pokojówka mamy próbowała tatę powstrzymać, ale wypił już po południu niemało whisky i nie sposób go było do czegokolwiek nakłonić. Tryskał doskonałym humorem i pragnął, aby żona podzieliła jego radość. Wbiegł do biblioteki i zastał ich razem. – Twarz Percy wykrzywiła się na myśl o tym, co nadchodziło. – Wpadł w szal, doszło do bójki pomiędzy nim a Sykesem, a kiedy tamten upadł poturbowany na podłogę, zaczęli się z mamą szamać. Wyzywał ją, ciskał gromy, potrząsnął, nie aż tak mocno, aby jej zrobić krzywdę, lecz wystarczająco silnie, aby zatoczyła się na stół. Lampa spadła na podłogę, szkło się roztrzaskało, rąbek sukni zajął się płomieniem. Ogień w mgnieniu oka powędrował po krynolinie i po chwili spowił całą jej postać. Tata przerażony pociągnął ją do zasłon, próbował zdusić płomień, ale tylko pogorszył sytuację. Zapaliły się kotary, a zaraz potem pożar ogarnął cały pokój. Wyciągnął mamę z biblioteki i uratował jej życie, chociaż na krótko, ale nie wrócił po Sykesa, zostawił go tam na śmierć. Ludzie z miłości zdolni są do okrutnych czynów, panno Burchill. Biblioteka spłonęła do szczętu, lecz kiedy przyjechała straż pożarna, nie znaleziono zwłok Olivera Sykesa. Zupełnie jakby się rozplynęły w powietrzu. Tata podejrzewał, że w rozszałych płomieniach nie zostało po nich nawet śladu. Pokojówka mamy nigdy nie pisnęła ani słowa z obawy, by nie zszargać dobrego imienia swojej pani, a architekta nikt nie szukał. Sprzyjającym zrzędzeniem losu Sykes był marzycielem, od dawna rozpowiadał, że pragnie wyjechać na kontynent i uciec od świata.

Wszystko, co opowiadała Percy Blythe, brzmiało dramatycznie – okoliczności, w jakich pożar zabił jej matkę, śmierć Olivera Sykesa pozostawionego w bibliotece na pewną śmierć – a jednak czegoś mi tu brakowało, nadal nie mogłam pojąć, jaki związek miał z tą historią *Człowiek z Błota*.

– Oczywiście żadnej z tych rzeczy nie widziałam na własne oczy – ciągnęła Percy. – Ale był ktoś, kto to widział. W pokoiku na poddaszu mała dziewczynka zbudziła się ze snu i weszła na półkę z książkami, aby popatrzeć na dziwne, złociste niebo. Zobaczyła płomień wydobywające się z biblioteki, a na dole, w fosie, dostrzegła mężczyznę o czarnym, zwęglonym, zniekształconym ciele, który krzycząc w agonii, próbował wydostać się z błota.

✠

Percy nalała sobie wody do szklanki i drżącą ręką podniosła do ust.

– Pamięta pani, jak podczas pierwszej wizyty zacytowała fragment poezji mojego taty o przeszłości śpiewającej w murach?

Zdawało mi się, że wieki minęły od mojej pierwszej wycieczki po zamku.

– Tak.

– Powiedziała pani, że to bzdura, że te kamienie są stare, lecz nie zdradzają swoich tajemnic.

– Pamiętam.

– Skłamałam. – Uniosła brodę i spojrzała mi wyzywająco w oczy. – Ja również je słyszę. A im bardziej się starzeję, tym stają się głośniejsze. To nie była łatwa opowieść, ale ktoś musiał ją usłyszeć. Jak powiedziałam, jest inny rodzaj nieśmiertelności, dużo mniej wzniosłej i bardziej samotnej.

Czekałam.

– Życie, panno Burchill, ludzkie życie tkwi w nawiasie dwóch wydarzeń: narodzin i śmierci. Ich daty należą do osoby tak samo jak imię i wszystko, czego doświadcza między tymi dwoma punktami. Nie opowiedziałam pani tego po to, by zyskać rozgrzeszenie, tylko dlatego że śmierć powinna zostać odnotowana.

Rozumie pani?

Skinęłam głową, myśląc o Theo Cavillu i jego wytrwałym przeszukiwaniu urzędowych kartotek w nadziei, że uda mu się odkryć losy brata; o przerażającej, nieznośnej pustce niewiedzy.

– To dobrze, bo nie chcę, aby w tej kwestii zaszły jakieś nieporozumienia.

Jej wzmianka o rozgrzeszeniu przypomniła mi wyrzuty sumienia, jakie targały Raymondem Blythe'em pod koniec życia. Nie miałam wątpliwości, że to z ich powodu przeszedł na katolicyzm. Dlatego pozostawił ogromną część majątku Kościołowi i instytutowi Sykesa. Nie dlatego że popierał działalność tej instytucji, lecz ponieważ czuł się winny. Przyszło mi coś do głowy.

– Powiedziała pani, że ojciec nie zdawał sobie sprawy, że to on przyczynił się do koszmarów sennych swojej córki. Czy rozumiał to potem?

Uśmiechnęła się.

– Dostał kiedyś list od pewnego doktoranta z Norwegii, który pisał pracę na temat urazów fizycznych w literaturze. Intrygowało go poczerńnięte ciało Człowieka z Błota, ponieważ jego zdaniem niektóre fragmenty opisów w powieści ojca uderzająco przypominają inne obrazy ofiar porażeń. Tata mu nigdy nie odpisał, ale wtedy zrozumiał.

– Kiedy to było?

– W połowie lat trzydziestych. Wtedy właśnie zaczął widywać w zamku Człowieka z Błota.

Wtedy też dodał do książki drugą dedykację: MB i OS. Nie były to inicjały jego żon, tylko próba zadośćuczynienia za śmierć dwóch osób, do której się przyczynił.

Coś mnie zastanowiło.

– Mówi pani, że nie była świadkiem tych wydarzeń, skąd zatem dowiedziała się pani o bójce w bibliotece? I o tym, że Oliver Sykes zginął tej nocy w zamku?

– Od Juniper.

– Co takiego?

– Tata jej powiedział. Po pewnym traumatycznym przeżyciu, które przydarzyło jej się, kiedy miała trzynaście lat. Tata nieustannie powtarzał, że są do siebie podobni. Chciał ją w ten sposób pocieszyć, że wszyscy jesteśmy zdolni do czynów, których potem żałujemy. Potrafił być zarazem wspaniałomyślny i głupi.

Umilkła i sięgnęła po szklankę z wodą. Zdawało się, jakby cały pokój odetchnął, może z ulgą, że prawda w końcu wyszła na jaw. Czy Percy Blythe odczuła ulgę? Nie wiem. Na pewno była zadowolona, że uwolniono ją od obowiązku dotrzymywania tajemnicy, lecz nic w jej

zachowaniu nie wskazywało na to, aby poczuła się lżej. Chyba się domyślałam dlaczego. Wszelką pociechę, jaką mogła zaczerpnąć ze zrzucenia z siebie ciężaru, zagłuszał żal. „Wspaniałomyślny i głupi”. To były pierwsze krytyczne słowa, jakie usłyszałam od niej na temat ojca. W ustach kobiety, która przez całe życie tak zażarcie broniła jego spuścizny, brzmiały one wyjątkowo wymownie.

I słusznie. To, co uczynił Raymond Blythe, było niegodziwe, nie dziwnego, że wyrzuty sumienia doprowadziły go do obłądzenia. Przypomniało mi się jego zdjęcie zrobione pod koniec życia – oczy przepędlone strachem, ściągnięte rysy twarzy, cała postać jakby przytłoczona ponurymi myślami. Przemknęła mi przez głowę refleksja, że bardzo podobne wrażenie sprawia teraz jego najstarsza córka. Zapadła się, skurczona w fotelu, ubranie wisiało na jej kościstym ciele jakby o dwa rozmiary za duże. Wyczerpała ją ta opowieść, powieki jej obwisły, pod cienką skórą nabrzmiały błękitne żyłki; pomyślałam, że to niesprawiedliwe, by córka cierpiała w ten sposób za grzechy swego ojca.

Deszcz lał rześysty, bębnił ciężko w rozmokłą ziemię, a gabinet w wieży pociemniał wraz z mijającym popołudniem. Nawet ogień, migoczący przez całą opowieść Percy, zaczął przygasać i zabierał z sobą resztki ciepła z pokoju. Zamknęłam notatnik.

– Może na dzisiaj skończymy – zaproponowałam, starając się, aby zabrzmiało to życzliwie. – Możemy dokończyć rozmowę jutro, jeśli pani sobie życzy.

– Już prawie skończyłam, panno Burchill.

Wysypała z pudełka ostatniego papierosa. Obracała go przez chwilę w palcach, zanim przyłożyła podpaloną zapałkę i końcówka zajarzyła się na czerwono.

– Opowiedziałam pani o Sykesie – powiedziała – ale został jeszcze ten drugi.

Ten drugi. Aż mnie zatchnęło.

– Widzę, że wie pani, o kim mówię.

Sztywno skinęłam głową. W tym momencie rozległ się tak ogłuszający trzask gromu, że aż zadrżałam. Otworzyłam z powrotem notes.

Percy zaciągnęła się głęboko, zakasłała i wydmuchała dym.

– Przyjaciel Juniper.

– Thomas Cavill – szepnęłam.

– Przyjechał tamtego wieczoru w październiku czterdziestego pierwszego. Niech pani to zapisze. Przyjechał, tak jak jej przyrzekł. Tylko ona nigdy się o tym nie dowiedziała.

– Dlaczego? Co się stało?

Stojąc na skraju prawdy, prawie nie chciałam jej poznać.

– Była burza, taka jak ta. Ciemno, choć oko wykol. To był wypadek. – Mówiła tak łagodnie i cicho, że musiałam się nachylić, aby ją słyszeć. – Myślałam, że to jakiś intruz.

Nie przychodziło mi do głowy nic, co mogłabym powiedzieć. Była tak zdruzgotana, że w każdej zmarszczce wyczytałam dziesiątki lat dręczącego ją poczucia winy.

– Nigdy nikomu o tym nie powiedziałam, zwłaszcza policji. Mogliby mi nie uwierzyć, mogliby podejrzewać, że próbuję kryć kogoś innego.

Juniper. Juniper, której zdarzały się w przeszłości ataki agresji, skandal z synem ogrodnika.

– Sama się tym zajęłam. Zrobiłam, co mogłam, aby nikt się nie dowiedział. I nikt nie wie, teraz jednak chcę, aby to wreszcie zostało wyjaśnione.

Zobaczyłam wstrząśnięta, że Percy płacze. Po jej starej twarzy płynęły niepowstrzymane łzy. Byłam wstrząśnięta, lecz nie zdziwiona. Nie po tym wszystkim, co mi właśnie wyznała.

Śmierć dwóch mężczyzn. Dwa zatuszowane wypadki. Miałam tyle spraw do przemyślenia, że mało co do mnie docierało. Uczucia kłębiły się we mnie zmieszane niczym farby akwarelowe w wodzie, żadne nie dominowało: ani gniew, ani strach, ani poczucie moralnej wyższości, a już szczególnie nie radość, że usłyszałam wreszcie odpowiedzi na wszystkie swoje pytania. Przede wszystkim było mi smutno. Serce mi się krajało na widok staruszki, która siedziała naprzeciwko mnie i szlochała z powodu bolesnych tajemnic, które musiała nosić w sercu przez całe życie. Nie mogłam jej ulżyć w cierpieniu, ale nie potrafiłam też siedzieć beczynnym i patrzeć.

– Proszę – zaproponowałam – pomogę pani zejść na dół.

Tym razem zgodziła się bez słowa.

Podtrzymywałam ją delikatnie, kiedy powoli i ostrożnie schodziłyśmy po krętych schodach. Uparła się, że sama będzie trzymać laskę i teraz kij włókł się za nami i stopień po stopniu wybijał rytm naszych kroków. Obie byłyśmy zbyt zmęczone, aby się odzywać.

Kiedy w końcu doszłyśmy do drzwi żółtego saloniku, Percy Blythe przystanęła. Wykrzesła w sobie jeszcze dość siły woli, aby wziąć się w garść i wyprostować się tak, że zyskała dobre trzy centymetry wzrostu.

– Ani słowa moim siostram. – Nie powiedziała tego nieuprzejmie, lecz z jej głosu biła taka moc, że mimowolnie drgnęłam. – Słyszysz pani? Ani mru-mru.

■

– Zostań z nami na kolacji, Edith – zaproponowała Saffy promiennie, kiedy weszłyśmy przez drzwi. – Przygotowałam trochę więcej jedzenia, skoro rozmowa tak się wam przeciągnęła.

Zerknęła na Percy łagodnie, lecz widziałam, że była zdziwiona, co takiego jej siostra mogła mi opowiadać, aż zajęło nam to cały dzień.

Zaczęłam protestować, lecz Saffy przygotowywała już dla mnie nakrycie, a na dworze nadal lało jak z cebra.

– Oczywiście, że zostanie – zdecydowała za mnie Percy.

Puściła moje ramię i ruszyła powoli, lecz pewnie na drugi koniec stołu. Kiedy doszła na miejsce, odwróciła się do mnie twarzą, a ja w elektrycznym świetle pokoju zobaczyłam, jak zdumiewająco szybko i skutecznie udało jej się przez wzgląd na siostry odzyskać całą pewność siebie i hart ducha.

– Przetrzymałam panią w wieży, tak że minęła pora obiadu, więc mogę to wynagrodzić tylko kolacją.

Spożywałyśmy posiłek we cztery – wędzonego dorsza, jasnożółtego, śliskiego i letniego. Pies, którego znaleziono w końcu w pokoju kredensowym, nie odstępował Juniper, która karmiła go kawałkami ryby ze swojego talerza. Burza nie ustawała, a nawet przybierała na sile. Zjadłyśmy na deser tosty z dżemem, potem wypiliśmy herbatę, dopóki nie skończyły nam się tematy przyjacielskiej pogawędki. Raz na jakiś czas światło w żarówkach, przygasając, straszło groźbą zupełnych ciemności, a ilekroć powracało do życia, wymienialiśmy pokrzepiające uśmiechy. Tymczasem deszcz nie przestawał chlustać z okapów i zalewać

okien grubymi płachtami wody.

– No cóż – odezwała się w końcu Saffy. – Moim zdaniem nie ma wyjścia, przygotujemy pani łóżko i zostanie pani u nas na noc. Zadzwo-
nię do pensjonatu i dam im znać, że przenocuje pani tutaj.

– Ależ nie – zaprotestowałam może zbyt gwałtownie, co nie wypa-
dło chyba grzecznie. – Nie chcę sprawiać paniom kłopotu.

Naprawdę nie chciałam, nie zachwycała mnie też myśl o spędzeniu
nocy w zamku.

– Nonsens. – Percy odwróciła się od okna. – Jest ciemno jak w gro-
bie. – Wpadnie pani do potoku i popłynie z nurtem jak kłoda drewna. –
Wyprostowała się. – Nie chcemy mieć pani na sumieniu, zwłaszcza że
wolnych pokoi u nas nie brakuje.

Noc w zamku

Saffy zaprowadziła mnie do sypialni. Oddaliśmy się spory kawałek drogi od części zamku, którą zajmowały obecnie siostry Blythe, a choć szliśmy długo i po ciemku, cieszyłam się, że przynajmniej nie schodzimy na dół. Nie miałam najmniejszej ochoty spać nigdzie w pobliżu archiwum. Każda z nas niosła lampę naftową. Saffy poprowadziła mnie po schodach na drugie piętro, a potem długim, szerokim korytarzem. Nawet kiedy nie migały żarówki, panował tu osobiwy półmrok. Wreszcie moja przewodniczka się zatrzymała.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiła, otwierając drzwi. – To pokój gościnny.

Ona lub Percy posłała wcześniej łóżko i ułożyła na poduszce niewielką stertę książek.

– Obawiam się, że trochę tu ponuro – powiedziała, obrzucając pokój spojrzeniem i uśmiechając się przepraszająco. – Rzadko miewamy gości i wyszliśmy trochę z wprawy. Dużo czasu minęło, od kiedy przyjechał tu ostatnio ktoś, aby zanocować.

– Przepraszam, że narobiłam paniom kłopotu.

Saffy kręciła głową.

– Ależ to żaden kłopot. Kiedyś uwielbiałam podejmować gości. To jedna z tych dziedzin, w której się najchętniej realizowałam. – Wskazała gestem łóżko. – Położyłam tam koszulę nocną i znalazłam kilka książek. Nie wyobrażam sobie, że można wyruszyć w senną podróż bez jakiejś miłej opowieści. – Dotknęła palcami książki leżącej na wierzchu. – *Jane Eyre* zawsze była moją ulubioną lekturą do poduszki.

– Moją również. Zwykle noszę ją przy sobie, chociaż moje wydanie nie jest takie piękne jak pani.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Wiesz, Edith, czuję, że mamy z sobą wiele wspólnego. Myślę, że gdyby sprawy potoczyły się inaczej, moje życie wyglądałoby bardzo podobnie do twojego. Gdyby czasy były inne. Mieszkałabym w Londynie, pracowała nad książkami albo w muzeum. W młodości marzyłam, by zostać guwernantką. Podróżować, spotykać się z ludźmi, może poznać własnego Rochester.

Nagle posmutniała onieśmielona, a mnie przypomniały się kwieciste pudełka w zamkowym archiwum, szczególnie to z napisem „Małżeństwo z Matthew de Courcy”. Znałam doskonale historię tragicznej miłości Juniper, lecz nic nie wiedziałam o romantycznej przeszłości bliźniaczek. Przecież one też były kiedyś młode, pełne namiętności i pasji. Obie jednak poświęciły się dla najmłodszej siostry.

– Wspomniała pani, że była kiedyś zaręczona.

– Z pewnym mężczyzną o imieniu Matthew. Zakochaliśmy się w sobie bardzo młodo, jako szesnastolatki. – Uśmiechnęła się łagodnie na to wspomnienie. Chcieliśmy się pobrać, kiedy skończymy dwadzieścia jeden lat.

– Czy mogę zapytać, co się stało?

– Ależ oczywiście. Po prostu nam nie wyszło. Ożenił się z inną.

– Tak mi przykro.

– Niepotrzebnie. Minęło tyle czasu. Oboje od dawna nie żyją.

Może poczuła się niezręcznie, użalając się nad swoim życiem, bo żartowała:

– Miałam szczęście, że moja siostra była tak wspaniałomyślna i pozwoliła mi mieszkać w zamku, w dodatku nie bierze ani grosza za czynsz.

– Nie wyobrażam sobie, aby Percy mogła mieć coś przeciwko.

– Miałam na myśli Juniper.

– Przepraszam, ale...

Saffy zamrugała zaskoczona.

– Zamek należy do mojej młodszej siostry, nie wiedziałaś o tym? Oczywiście zawsze uważałyśmy, że odziedziczy go Percy, była najstarsza i najbardziej z nas wszystkich kochała Milderhurst, ale tata w ostatniej chwili zmienił testament.

– Dlaczego? – zastanawiałam się na głos.

Nie oczekiwałam, że Saffy mi odpowie, ale najwyraźniej opowieść pochłonęła ją bez reszty.

– Tata wręcz obsesyjnie wierzył, że kobiety obdarzone twórczym darem nie powinny brać na barki brzemienia małżeństwa i macierzyństwa, ponieważ to unicestwi ich karierę artystyczną. Kiedy Juniper zaczęła przejawiać talent pisarski, opanowała go bez reszty myśl, że jeśli wyjdzie za mąż, zmarnuje swoje zdolności. Trzymał ją tu prawie w zamknięciu, nie posłał jej do szkoły, nie pozwalał spotykać się z ludźmi, a potem zmienił testament i zapisał jej zamek. Doszedł do wniosku, że dzięki temu nigdy nie będzie musiała się troszczyć o utrzymanie ani szukać męża. To było bardzo niesprawiedliwe w stosunku do Percy. Milderhurst miał należeć do niej. Kocha to miejsce tak, jak inni kochają swoich małżonków. Z tego punktu widzenia to dobrze, że Juniper nie wyszła za mąż i nie wyprowadziła się.

Nie dostrzegłam wtedy wszystkich ponurych implikacji, które wynikały z tego stwierdzenia.

– Ale nawet gdyby wyszła za mąż, na pewno by się cieszyła, mając u boku siostrę, która tak się troszczy o rodzinny majątek, prawda?

– To nie było takie proste – odrzekła Saffy z uśmiechem. – Tata potrafił być okrutny, kiedy chciał postawić na swoim. Postawił w testamencie warunek: jeśli Juniper wyjdzie za mąż, zamek stanie się własnością Kościoła katolickiego.

– Kościoła?

– Tatę dręczyły wyrzuty sumienia.

Po rozmowie z Percy wiedziałam dlaczego.

– Więc gdyby Juniper i Thomas się pobrali, rodzina Blythe'ów utraciłaby Milderhurst?

– Tak – odparła. – Tak jest. Biedna Percy by tego nie przeżyła. – Saffy zadrzała. – Przepraszam, zapominamy, jak zimno się robi w pokojach, które stoją nieużywane. Niestety, w tym skrzydle w ogóle nie ma ogrzewania, ale na dnie szafy leżą dodatkowe koce.

W tym momencie pokój rozświetliła wyjątkowo efektowna błyskawica, po której huknął grzmot. Marne elektryczne światło zamrugało, zamigotało, a w końcu całkiem zgasło. Obie z Saffy podniosłyśmy jednocześnie lampy niczym kukiełki pociągnięte za jeden sznurek.

Spojrzałyśmy na stygnącą żarówkę.

– Ojej – jęknęła. – No to po elektryczności. Całe szczęście, że zabrałyśmy z sobą lampki. – Przerwała z wahaniem. – Nic ci nie będzie, jak zostaniesz tu sama?

– Na pewno nie.

– No to... dobranoc – powiedziała z uśmiechem.

✦

Noc rządzi się własnymi prawami. Wszystko wygląda inaczej, gdy świat robi się czarny. Lęki i niepokoje szczerzą kły, szczególnie kiedy człowiek śpi w dziwnym, starym zamczysku, a na dworze szaleje burza. Atmosfera niesamowitości potęguje się jeszcze bardziej, kiedy spędziło się całe popołudnie, słuchając wyznań staruszki, od których ciarki przechodziły po skórze. Tak więc kiedy Saffy wyszła i zamknęła za sobą drzwi, przez myśl mi nawet nie przeszło, żeby zgasić lampę.

Przebrałam się w białą koszulę nocną, w której wyglądałam jak duch, i usiadłam na łóżku. Słuchałam, jak deszcz zalewa szyby i okiennice trzaskają w oknach, jakby ktoś usiłował się dostać do środka. Wyrzuciłam z głowy ten pomysł i nawet udało mi się do siebie uśmiechnąć. Trudno się było dziwić, że takie myśli nachodziły mnie w miejscu, w którym rozgrywała się akcja *Człowieka z Biota*, w pogodę jakby żywcem wyjętą z kart książki.

Wcisnęłam się pod kołdrę i aby odciągnąć swoją uwagę od tych niepokojących tematów, pomyślałam o Percy. Miałam z sobą notatnik, więc otworzyłam go i zaczęłam zapisywać różne swoje refleksje. Najstarsza siostra Blythe wyjawiała mi genezę powieści, co każdy badacz literacki musiałby uznać za osiągnięcie. Wyjaśniła też zagadkę zniknięcia Thomasa Cavilla. Powinno mnie to całkowicie zadowolić, a jednak coś nadal nie dawało mi spokoju. To coś było bardzo świeże i miało związek z tym, co usłyszałam od Saffy. Kiedy mówiła o testamencie ojca, w mojej głowie zrodziły się dziwne skojarzenia, które sprawiały, że czułam się coraz bardziej nieswojo: przywiązanie Percy do zamku; testament, który groził jego utratą, w przypadku gdy Juniper wyjdzie za mąż; niefortunna śmierć Thomasa Cavilla...

Nie. Percy powiedziała, że to był wypadek, i ja jej wierzyłam.

Wierzyłam. Po cóż miałaby kłamać? Równie dobrze mogła zachować całą historię w tajemnicy.

A jednak...

Raz po raz przemykały mi przez głowę urywki rozmów: głos Percy, potem Safy i na dokładkę moje własne wątpliwości. Brakowało tylko głosu Juniper. Słyszałam już niezliczone opowieści o najmłodszej pannie Blythe, lecz nigdy jej własnych słów. W końcu zniecierpliwiona zatrząsnęłam notes.

Wystarczy tego na jeden dzień. Westchnęłam głośno i popatrzyłam na książki, które przyniosła mi Saffy, szukając czegoś, co by ukoilił moje skołatane myśli. *Jane Eyre*, *Zamczysko w Otranto*, *Wichrowe Wzgórze*. Skrzywiłam się – wszystko to starzy dobrzy znajomi, ale niezbyt odpowiednie towarzystwo na zimną, burzliwą noc.

Byłam zmęczona, lecz odwlekałam moment, gdy będę musiała zgasić lampę i pograć się w ciemności. W końcu jednak powieki same zaczęły mi opadać i uznałam, że zasnę szybko i bez kłopotów. Zdmuchnęłam płomień i zamknęłam oczy, podczas gdy dym ze zgaszonego knota wsiąkał w stojące, lodowate powietrze pokoju. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, był szum wody spływającej po szybach okiennych.

■

Obudziłam się raptownie przestraszona i zdezorientowana, nie miałam pojęcia, która może być godzina. Leżałam bez ruchu, nasłuchując, zastanawiając się, co mnie tak gwałtownie wyrwało ze snu. Włoski na rękach stały mi dęba, miałam niesamowite i nieodparte uczucie, że nie jestem w pokoju sama. Próbowałam przebić wzrokiem ciemność, a serce waliło mi w piersi ze strachu.

Niczego nie widziałam, ale byłam pewna, że ktoś tu jest.

Wstrzymałam oddech i słuchałam, lecz na dworze nadal padało, a przez wściekle zawrodożenie wchury i łomotanie okiennic, które dudniło w kamiennych korytarzach zamku, niewielka była szansa, że cokolwiek usłyszę. Nie miałam zapalek, żeby zapalić lampę, próbowałam więc przemówić sobie do rozsądku i choć trochę się uspokoić. Powiedziałam sobie, że wszystkiemu winne są myśli, które nawiedzały mnie przed zaśnięciem, moja obsesja na punkcie *Człowieka z Błota* i wybujała wyobraźnia.

Kiedy już prawie zdołałam siebie przekonać, że coś mi się po prostu przyśniło, pokój oświetlił blask błyskawicy i zobaczyłam otwarte drzwi na korytarz. Pamiętałam na pewno, że Saffy zamknęła je za sobą, wychodząc, więc jednak miałam rację – ktoś był w moim pokoju, może nadal czai się w ciemności...

– Meredith...

Każdy mięsień w moim ciele zeszywniał. Serce mi łomotało, a w żyłach płynął prąd elektryczny. To nie był wiatr ani odgłosy murów, ktoś wyszeptał imię mojej mamy. Skamieniałam ze strachu, a jednocześnie wstąpiła we mnie dziwna energia.

Wstawanie z łóżka było ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę, ale wiedziałam, że muszę coś zrobić. Nie mogę przesiedzieć całej nocy owinięta kołdrą i wytrzeszczać oczy na ciemność. Ześliznęłam się po kołdrze i na palcach podeszłam do drzwi. Klamka była gładka i chłodna. Pociągnęłam ją lekko i wyjrzałam na korytarz.

– Meredith...

Usłyszałam to tuż za plecami. O mało nie wrzasnęłam.

Odwrociłam się powoli. Za mną stała Juniper. Miała na sobie tę samą suknię co podczas mojej pierwszej wizyty w zamku, tę samą, którą włożyła, gdy Thomas Cavill miał przyjechać do Milderhurst.

– Juniper – wyszeptałam. – Co ty tu robisz?

– Czekałam na ciebie, Merry. Wiedziałam, że przyjedziesz. Przyniosłam ci coś. Trzymałam to w ukryciu.

Nie miałam pojęcia, o czym mówi, ale w ciemności wcisnęła mi do ręki coś pękatego, o twardych krawędziach.

– Dziękuję.

Bardziej wyczułam, niż zobaczyłam w ciemności, że uśmiech zamarł jej na ustach.

– Och, Meredith – powiedziała – zrobiłam okropną rzecz.

Dokładnie to samo powiedziała do Saffy na korytarzu tamtego dnia, gdy odwiedziłam zamek wiosną. Nieuczciwie było ją wypytywać lecz nie mogłam się powstrzymać.

– Co takiego zrobiłaś?

– Tom przyjeżdża na kolację. Niedługo tu będzie.

Serce mi się ścisnęło z żalu. Czekala na niego pięćdziesiąt lat, przekonana, że ją porzucił.

– Oczywiście – potwierdziłam. – Tom cię kocha. Chce się z tobą ożenić.

– Tom mnie kocha.

– Tak.

– Ja też go kocham.

– Wiem.

I kiedy już odetchnęłam z zadowoleniem, że udało mi się odciągnąć jej myśli ku przyjemniejszym sprawom, Juniper zakryła usta dłonią i popatrzyła na mnie ze zgrozą.

– Meredith, tam była krew...

– Co?

– ...tyle krwi, na moich rękach, na sukni. – Spojrzała w dół na swoje ubranie, a potem podniosła na mnie zrozpaczone oczy.

– Krew, krew, krew. A Tom nie przyjechał. Nie pamiętam. Nie mogę sobie przypomnieć.

Wtedy nagle zrozumiałam i aż zakręciło mi się w głowie. Każdy kawałek układanki wpasował się na swoje miejsce, a ja domyśliłam się, co ukrywały siostry Blythe. Co się naprawdę stało z Thomasem Cavillem.

Zaniki pamięci, które towarzyszyły traumatycznym przeżyciom Juniper, ataki, po których nie mogła sobie przypomnieć, co robiła; zatuszowany incydent z synem ogrodnika. Z rosnącym przerażeniem przypominałam sobie także jej list do mojej mamy, w którym opisywała swój lęk, że może się stać taka sama jak jej ojciec.

Jej obawy się spełniły.

– Nie pamiętam – powtarzała żałośnie. – Nie mogę sobie przypomnieć.

I choć to, co mówiła, było koszmarne, w tamtej chwili pragnęłam tylko ją objąć i zdjąć jej z barków ten ciężar, który dźwigała przez pięćdziesiąt lat. Znowu wyszeptwała:

– Zrobiłam okropną, okropną rzecz.

I zanim zdołałam ją powstrzymać, przemknęła obok mnie i wypadła za drzwi.

– Juniper! – zawołałam za nią. – Zaczekaj!

– Tom mnie kocha – powiedziała, jakby właśnie wpadła jej do głowy ta radosna myśl. – Idę go poszukać. Zjawi się lada chwila.

Po czym znikła w ciemnym korytarzu.

Poszłam za nią. Skręciłam za róg, minęłam następny krótki korytarz, aż dotarłam do schodów. Z dołu powiało zimne powietrze, widocznie Juniper otworzyła drzwi na dwór, aby zniknąć w zimnej, mokrej nocy.

Wahałam się tylko przez ułamek sekundy, po czym ruszyłam za nią. Nie mogłam jej zostawić na pastwę żywiołów. Domyślałam się, że pobiegnie w stronę drogi szukać Thomasa Cavilla. Zeszłam do małego przedsiönka, który łączył zamek ze światem na zewnątrz.

Ulewa nie zelała ani trochę, ale zdołałam się zorientować, że drzwi wychodzą na mały ogródek, w którym jednak niewiele co rośnie, za to tu i ówdzie stały rozsiane dziwne, małe pomniki, a całość otaczał gęsty żywopłot. Nagle dech mi zaparło. To był placyk, który widziałam z okna na poddaszu podczas pierwszej wizyty w zamku. Percy oznajmiła mi wtedy oschle, że to nie jest ogród, lecz odmówiła dalszych wyjaśnień. Dopiero z dziennika mamy dowiedziałam się prawdy: był to cmentarz zwierząt, ważne i wyjątkowe miejsce dla Juniper Blythe.

Stała na środku – wątpa staruszka w upiornej, zwiewnej sukni, przemoczona, z nieprzytomnym wyrazem na twarzy. Pojęłam teraz, co miała na myśli Percy, kiedy mówiła, że burza podsyci niepokój Juniper. Tamtej nocy w czterdziestym pierwszym roku pogoda szalała tak jak teraz...

Było to dziwne, lecz zdawało się, jakby burza wokół niej ucichła. Przez chwilę wpatrywałam się w ten obraz jak zahipnotyzowana, potem jednak upomniałam się, że powinnam sprowadzić ją z powrotem do domu. Nie może tam zostać w taką pogodę. Nagle usłyszałam głos i zobaczyłam, że Juniper odwraca się w prawo. Przy furtce w żywopłocie stała Percy w płaszczu przeciwdeszczowym i kaloszach. Wołała do swojej młodszej siostry, wyciągając do niej ramiona i prosząc, by weszła do środka.

Padły sobie w objęcia, a ja poczułam się jak intruz. Odwróciłam się, aby odejść.

– Och, Edith, przepraszam cię za to zamieszanie.

Za mną stała Saffy w szlafroku, z rozpuszczonymi włosami, które spływały jej na ramiona, i ze skruszoną miną.

– Juniper... – zaczęłam, wskazując ręką za plecy, aby się wytłumaczyć.

– Wszystko w porządku – powiedziała z łagodnym uśmiechem. – Czasami błąka się po okolicy, nie ma powodu do niepokoju. Percy sprowadzi ją zaraz do domu. Możesz wrócić do łóżka.

Pobiegłam po schodach do swojego pokoju i starannie zamknęłam za sobą drzwi. Oparłam się o nie i próbowałam złapać oddech. Przekręciłam kontakt z nadzieją, że może włączono prąd, lecz niestety głuche pstryknięcie nie wyczarowało pokrzepiającego blasku.

Wróciłam na palcach do łóżka, położyłam tajemniczy pakunek na podłodze i otuliłam się kołdrą. Leżałam w ciemności, wsłuchując się w pulsujący szum w uszach i odtwarzając w pamięci wyznanie Juniper. Nie mogłam odegnąć sprzed oczu jej zagubionego spojrzenia, kiedy usiłowała poskładać w całość rozsypane fragmenty wspomnień, a potem sióstrzanego objęcia, jakiego byłam świadkiem na cmentarzu dla zwierząt. Rozumiałam, dlaczego Percy skłamała. Nie miałam wątpliwości, że Thomas Cavill naprawdę zginął tej burzliwej nocy czterdziestego pierwszego roku, ale to nie ona go zabiła. Do samego końca próbowała chronić swoją najmłodszą siostrę.

Nazajutrz

Kiedy się zbudziłam, przez szczeliny w zasłonach sączyły się blade, zamglone promienie słońca. Burza minęła, pozostawiła po sobie zmęczony poranek. Przez jakiś czas leżałam i wpatrując się w sufit, przesiadywałam w umyśle wydarzenia minionej nocy. Przyjazne światło dnia umocniło we mnie przekonanie, że to Juniper przyczyniła się do śmierci Thomasa, a Saffy i Percy robiły wszystko, aby nikt nigdy nie poznał prawdy. Tylko to miało jakiś sens.

Wskoczyłam z łóżka i omal się nie przewróciłam o pakunek, który w nocy wręczyła mi Juniper. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, do reszty o nim zapomniałam. Był mniej więcej tej samej wielkości, co kwieciste pudełko w archiwum. Podniosłam pokrywkę. W środku leżał maszynopis z informacją na stronie tytułowej: „Meredith Baker *Przeznaczenie. Opowieść o miłości*, październik 1941”.



Wszystkie nieco zasnęłyśmy i chociaż poranek już dawno minął, kiedy zeszłam do żółtego salonu, trzy siostry siedziały właśnie przy śniadaniu. Bliźniaczki gawędziły beztrudnie przy stole, jakby nic niezwykłego nie wydarzyło się tej nocy. I może się nie wydarzyło, może byłam świadkiem jednego z wielu podobnych incydentów. Saffy z uśmiechem zaproponowała mi herbatę. Podziękowałam i zerknęłam na Juniper. Siedziała martwo w fotelu i nic w jej zachowaniu nie zdradzało śladu wieczornych emocji. Pijąc herbatę, miałam wrażenie, że Percy obserwuje mnie uważniej niż zwykle, lecz był to może tylko skutek jej wczorajszych wyznań, bez względu na to, czy były prawdziwe, czy nie.

Pożegnałam się z Saffy i Juniper, a Percy odprowadziła mnie do holu.

Po drodze gawędziłyśmy uprzejmie o najróżniejszych błahych sprawach.

– Jeśli chodzi o to, co pani wczoraj ode mnie usłyszała, panno Burchill – odezwała się w końcu, kiedy doszłyśmy do drzwi – chciałabym jeszcze raz podkreślić, że to był wypadek.

Sprawdzała mnie, chciała się upewnić, czy nadal wierzę w jej opowieść i czy Juniper coś mi w nocy powiedziała.

Miałam szansę skonfrontować to, czego się domyśliłam, zapytać ją wprost, kto zabił Thomasa Cavilla.

– Oczywiście – odparłam. – Rozumiem to doskonale.

Po co miałabym ją pytać? Aby zaspokoić własną ciekawość kosztem spokoju ducha wszystkich trzech sióstr? Nie potrafiłam tego zrobić.

Przyjęła moją odpowiedź z wyraźną ulgą.

– Do dziś nie mogę tego odżałować. Nie chciałam, aby to się tak skończyło.

– Wiem. Wiem, że pani nie chciała.

Wzruszyła mnie jej opiekuńczość, jej przywiązanie do siostry tak silne, że gotowa była przyznać się do przestępstwa, którego nie popełniła.

– Nie powinna się pani tym zadręczać – powiedziałam ciepło. – To nie była pani wina.

Popatrzyła na mnie takim wzrokiem, jakiego nigdy przedtem nie widziałam i jaki trudno mi nawet opisać. Kryła się w nim udręka i ulga zarazem. Ale to była Percy Blythe, a Percy Blythe nie znosiła czułości. Szybko wzięła się w garść i skinęła głową.

– Proszę nie zapomnieć o swojej obietnicy, panno Burchill. Zaufałam pani. Nie należę do osób, które pozostawiają sprawy przypadkowi.

¤

Ziemia rozmokła, niebo było białe i okolica wyglądała jak twarz po ataku histerycznej wściekłości. Wyobrażałam sobie, że podobne wrażenie musi sprawiać moje własne oblicze. Szłam bardzo ostrożnie, uważając, żeby mnie woda nie zmyła jak kłody drewna, i kiedy dotarłam do pensjonatu, pani Bird przygotowywała już obiad. W powietrzu wisiał gęsty, intensywny zapach zupy, obiecujący prostą, lecz jakże kuszącą przyjemność dla kogoś, kto spędził noc w towarzystwie zamkowych demonów.

Pani Bird nakrywała stoliki w jadalni i jej pulchna figura w tweedowej garsonce przedstawiała tak zwyczajny, tak podnoszący na duchu widok, że ogarnęła mnie przemożna chęć, aby ją uściskać. Możliwe, że bym to zrobiła, gdybym w tym momencie nie spostrzegła, że nie jesteśmy same.

Jakaś kobieta stała pod ścianą i z uwagą oglądała czarno-białe zdjęcia.

Bardzo znajoma kobieta.

– Mamo?

Mama podniosła wzrok i uśmiechnęła się niepewnie.

– Cześć, Edie.

– Co ty tu robisz?

– Powiedziałaś, żebym przyjechała. Chciałam ci zrobić niespodziankę.

Chyba nigdy w życiu nie czułam takiej radosnej lekkości na widok drugiej osoby. Uściskałam ją serdecznie.

– Tak się cieszę, że tu jesteś.

Może moje uczucia przejawiały się zbyt gwałtownie, może przytrzymałam ją zbyt długo, bo mama zamrugła na mnie zdziwiona.

– Co się stało, Edie?

Wszystkie ponure tajemnice, które poznałam w ciągu ostatniej doby, prawda, którą odkryłam, i sceny, jakich byłam świadkiem, tasowały się w mojej głowie jak talia kart. W końcu udało mi się je od siebie odsunąć i uśmiechnąć się.

– Jestem trochę zmęczona. W nocy szalała okropna burza.

– Pani Bird mówiła, że deszcz zatrzymał cię na noc w zamku. – Drżenie w jej głosie było ledwo zauważalne. – Dobrze, że nie wybrałam się wczoraj po południu, tak jak początkowo planowałam.

– Dawno przyjechałaś?

– Jakieś dwadzieścia minut temu. Oglądałam zdjęcia.

Wskazała najbliższą fotografię, jedną z cyklu „Życie poza miastem” z 1910 roku. Przedstawiała okrągły staw w trakcie budowy.

– Nauczyłam się w nim pływać – oznajmiła.

Pochyliłam się, żeby przeczytać podpis pod zdjęciem. *Oliver Sykes, nadzorujący remont zamku, pokazuje państwu Blythe prace przy nowym basenie.*

To był on, przystojny, młody architekt, Człowiek z Błota, który zakończy życie, pogrzebany w mule fosy, którą restaurował. Ciarki przebiegły mi po skórze na myśl o tragicznym losie tego zdolnego człowieka. Zadzwoniły mi w uszach słowa Percy Blythe: „Proszę nie zapomnieć o swojej obietnicy. Zaufałam pani”.

– Podać paniom coś do zjedzenia? – spytała pani Bird. Odwróciłam wzrok od uśmiechniętej twarzy Sykesa.

– Co ty na to, mamó? Pewnie jesteś głodna po podróży.

– Mam ochotę na dobrą zupę. Czy możemy zjeść na dworze?

¤

Usiadłyśmy przy stoliku, skąd roztaczał się widok na zamek. Pani Bird zaproponowała to miejsce i zanim zdążyłam zaproponować, mama wykazała się wielkim hartem ducha i uznała, że jest doskonałe. Podczas gdy gęsi z gospodarstwa brodziły w pobliskich kałużach, nie tracąc nadziei, że trafią im się jakieś resztki z posiłku, mama zaczęła opowiadać o swojej przeszłości: o przyjaźni z Juniper, o tym, jak spędzała czas w Milderhurst, i że podkochiwała się w swoim nauczycielu Thomasie Cavillu. W końcu powiedziała mi, że marzyła kiedyś, by zostać dziennikarką.

– I co się stało? – spytałam, rozsmarowując masło na chlebie. – Czemu się rozmyśliłaś?

– Nie rozmyśliłam się, po prostu... – Poruszyła się na białym, metalowym krześle, które wytarła nam ręcznikiem pani Bird. – W końcu jakoś... nie wyszło...

Zmarszczyła brwi, zniecierpliwiona, że nie może znaleźć odpowiednich słów, po czym podjęła na nowo:

– Juniper otworzyła dla mnie drzwi. Bardzo chciałam znaleźć się po drugiej stronie, ale bez niej nie potrafiłam ich utrzymać otwartych. Próbowałam, Edie, naprawdę próbowałam. Marzyłam, żeby iść na uniwersytet, ale w czasie wojny tyle szkół pozamykano.

W końcu przyjęłam pracę maszynistki. Zawsze traktowałam ją jako tymczasową, wierzyłam, że pewnego dnia zrobię to, co sobie zaplanowałam, lecz kiedy wojna się skończyła, miałam osiemnaście lat i byłam za stara na szkołę średnią, a nie mogłam iść na studia bez ukończenia liceum.

– Więc przestałaś pisać?

– Och nie. – Koniuszką łyżki zaczęła rysować w zupie ósemki. – Wcale nie przestałam. Byłam wtedy dość uparta. Coś sobie postanowiłam i taki drobiazg nie mógłby mi przeszkodzić. – Uśmiechnęła się lekko, nie podnosząc oczu. – Zamierzałam pisać dla siebie, zostać słynną dziennikarką.

Ja też się uśmiechnęłam, rozbawiona tym wizerunkiem nieustraszonej młodej Meredith Baker.

– Wdrożyłam własny program edukacyjny, czytałam, co mi wpadło w ręce, pisałam artykuły, recenzje, czasami opowiadania, a potem je wysyłałam.

– Czy coś opublikowano?

Poprawiła się skromnie na krześle.

– Kilka drobiazgów tu i ówdzie. Dostałam kilka zachęcających listów od redaktorów większych czasopism. Łagodnie, lecz stanowczo pisali, że muszę się nauczyć stylu obowiązującego w ich wydawnictwie. Wtedy, w pięćdziesiątym drugim roku, znalazłam ogłoszenie o pracy. – Rzuciła okiem na gęsi trzepoczące skrzydłami i coś w jej zachowaniu się zmieniło, jakby uszło z niej powietrze. Odłożyła łyżkę. – W BBC poszukiwali stażystki, to było dokładnie to, o czym marzyłam.

– I co?

– Zaoszczędziłam pieniądze, kupiłam sobie eleganckie ubranie, skórzaną torebkę, żeby zrobić dobre wrażenie. Przykazałam sobie, jak się mam zaprezentować: wykazać pewność siebie, mówić jasno, nie zwieszać ramion. Kiedy jechałam – obejrzała swoje dłonie i potarła kciukiem kłykcie – doszło do jakiegoś zamieszania na trasie autobusu. Kierowca zamiast pod rozgłośnią, wysadził mnie przy Marble Arch. Przebiegłam całą drogę z powrotem, ale kiedy dotarłam na Regent Street, zobaczyłam wszystkie te dziewczęta wychodzące z budynku: roześmiane, żartujące, takie eleganckie i tak bardzo do siebie pasujące, i o wiele młodsze ode mnie. Wyglądały, jakby znały odpowiedzi na wszystkie pytania świata. – Strząsnęła ze stolika okruszek, po czym popatrzyła mi w oczy. – Spojrzałam wtedy na swoje odbicie w wystawie sklepowej i poczułam się jak oszustka, Edie.

– Och, mamusiu.

– Żałosna, zaniedbana oszustka. Gardziłam sobą i było mi wstyd, że w ogóle ośmieliłam się marzyć o pracy w takim miejscu. Chyba nigdy w życiu nie czułam się taka samotna i opuszczona. Na Portland Place zawróciłam i odeszłam w przeciwnym kierunku. Łzy leciały mi po policzkach, musiałam wyglądać okropnie. Było mi źle i beznadziejnie smutno, przechodnie na ulicy przystawali i mówili mi: „Głowa do góry”, więc kiedy przechodziłam obok kina, weszłam do środka, żeby móc się w spokoju wypłakać.

Przypomniała mi się opowieść taty o dziewczynie, która szlochała przez cały film.

– I obejrzałaś *The Holly and the Ivy*.

Mama skinęła głową, wyjęła skądś chusteczkę i delikatnie otarła oczy.

– I poznałam twój tatę. Zabrał mnie na herbatę i kupił placek gruszkowy.

– Twój ulubiony.

Uśmiechnęła się przez łzy na to wspomnienie.

– Ciągłe mnie wypytywał, co się stało, a kiedy mu powiedziałam, że film mnie tak wzruszył, nie chciał uwierzyć. „Ale to się nie działo naprawdę” – powiedział i zamówił drugą porcję ciasta. – „To wszystko jest zmyślane”.

Obie wybuchnęłyśmy śmiechem. Cały tata.

– Był taki silny, Edie, taki rozsądny, a jego percepcja świata tak niezachwiana, i zawsze wiedział, czego chce. Nie dostrzegał rzeczy, jeżeli nie miał ich przed samym nosem, i nigdy nie martwił się na zapas. To w nim właśnie pokochałam: poczucie bezpieczeństwa. Stał dwiema nogami mocno na ziemi, a kiedy coś mówił, mogłam się dosłownie wtulać w jego pewność siebie. Na szczęście jemu też się coś we mnie spodobało. To może nie brzmi zbyt podniecająco, ale było nam z sobą bardzo dobrze. Twój ojciec jest dobrym człowiekiem, Edie.

– Wiem o tym.

– Uczciwym, miłym i zawsze można na nim polegać.

Przytaknęłam jej, a kiedy zaczęłyśmy w milczeniu jeść zupę, przyszła mi na myśl Percy Blythe. Pod tym względem była trochę podobna do taty – osoba, która nie błyszczy w towarzystwie, lecz której siła i

żelazna wola daje innym oparcie, by mogli roztaczać swój blask. Kiedy rozmyślałam o siostrach Blythe, coś mi się przypomniało.

– O Boże, jak mogłam zapomnieć! – zawołałam.

Sięgnęłam do torby i wyciągnęłam z niej pudełko, które Juniper dała mi w nocy.

Mama odłożyła łyżkę.

– Prezent? Przecież nie wiedziałaś nawet, że przyjadę.

– To nie ode mnie.

– A od kogo?

Chciałam powiedzieć: „Otwórz, to się przekonasz”, ale przypomniałam sobie, że kiedy ostatnio dałam jej pudełko z listami, mówiąc właśnie te słowa, to nie skończyło się dla nas najlepiej.

– Od Juniper, mamo.

Rozchyliła usta i bezgłośnie wstrzymała powietrze. Zaczęła niezręcznie gmerać przy pokrywce.

– Ojej, ale ze mnie niezłoda – powiedziała nieswoim głosem. W końcu wieko odskoczyło i mama zakryła usta dłonią.

– O Boże.

Wyjęła ze środka delikatne kartki taniego papieru i trzymała je w ręku, jakby to były najcenniejsze przedmioty na świecie.

– Juniper wzięła mnie za ciebie – wyjaśniłam. – Trzymała to, aby ci kiedyś oddać.

Mama spojrzała w kierunku zamku na wzgórzu i pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Przez tyle lat...

Obracając w rękach zapisane strony maszynopisu, czytała z drgającym uśmiechem wrywki zdań. Z przyjemnością patrzyłam, jaką radość sprawia jej widok starego manuskryptu. Ale zauważyłam coś jeszcze. Następowala w niej jakaś przemiana, subtelna, lecz wyraźna, kiedy sobie uprzytomniła, że przyjaciółka o niej nie zapomniła. Twarz jej złagodniała, mięśnie na szyi, nawet ramiona, jakby zmiękły. Opadały z niej wieloletnie pokłady żalu i goryczy, a spod nich wyłoniła się mała dziewczynka, jakby zbudziła się właśnie z bardzo długiego snu.

– A co z twoim pisaniem, mamusiu?

– Słucham?

– Przestałaś pisać?

– Tak. Dałam sobie z tym spokój. – Zmarszczyła lekko nos. – Pewnie uważasz, że to było tchórzostwo.

– Nie, nie tchórzostwo – ciągnęłam ostrożnie. – Ale skoro pisanie sprawiało ci przyjemność, nie rozumiem, czemu je zarzuciłaś.

Przez chmury przedarły się nieśmiało promienie słońca, prześliznęły się po kałużach i rzuciły na półeczki mamy cętkowane cienie. Poprawiła okulary, poruszyła się nieznacznie na krześle i delikatnie położyła ręce na manuskrypcie.

– Te kartki zawierały ważną część mojej przeszłości, symbol tego, kim chciałam być. Wszystko się z sobą splatało: żal, że Juniper i Tom mnie porzucili, świadomość, że poddałam się przed rozmową w sprawie pracy... chyba po prostu przestało mi to sprawiać przyjemność. Wysłałam za męża i skupiłam się na przyszłości. – Znów zerknęła na maszynopis, podniosła wysoko jedną kartkę i uśmiechnęła się przelotnie do czegoś, co tam przeczytała. – Ale to była taka radość: uchwycić abstrakcję, myśl, uczucie, zapach i przenieść to na papier. Już zapomniałam, jak bardzo to lubiłam.

– Nigdy nie jest za późno, aby zacząć na nowo.

– Edie, kochanie. – Uśmiechnęła się z czułością i smutkiem. – Mam sześćdziesiąt pięć lat, przez połowę życia jedyne, co pisałam, to listy na zakupy, można spokojnie powiedzieć, że jest za późno, aby zacząć na nowo.

Kręciłam głową. Każdego dnia spotykałam w pracy ludzi w różnym wieku, którzy pisali tylko dlatego, że nie mogli się powstrzymać.

– Nigdy nie jest za późno, mamusiu – powiedziałam.

Ale ona mnie nie słuchała. Jej myśli pobiegły nad moim ramieniem w stronę zamku.

Opatuliła się ciałniej swetrem.

– Wiesz, to dziwne, zastanawiałam się, jakie to będzie uczucie, kiedy tu przyjadę, a teraz nie wiem, czy mogę tam wrócić. Nie wiem, czy chcę.

– Nie chcesz?

– Mam w wyobraźni bardzo szczęśliwy Milderhurst. Nie chcę tego obrazu zmieniać.

Może spodziewała się, że będę ją namawiać, lecz ja tego nie zrobiłam. Nie mogłam. Zamek był teraz miejscem przemijającym i smutnym,

u kresu swych dni, podobnie jak jego trzy mieszkanki.

- Rozumiem – odrzekłam.
- Wyglądasz na zmęczoną, Edie.

Zmarszczyła brwi, jakby dopiero teraz zauważyła moją twarz, a ja w tym samym momencie ziewnęłam.

- To była niespokojna noc. Niewiele spałam.
- Tak, pani Bird mówiła, że mieliście tu burzę. Idź na górę i odpocznij trochęja chętnie się przejdę po ogrodzie. – Przejechała palcami po krawędzi manuskryptu. – Mam co zrobić.

▣

Doszłam do połowy schodów, kiedy zobaczyłam panią Bird. Stała na półpiętrze i wymachując czymś w rękę, spytała, czy może mi zająć chwilkę. Była tak zaaferowana, że mimo woli poczułam niepokój.

- Chcę pani coś pokazać – powiedziała, rzucając przez ramię niepokojne spojrzenie. – To tajemnica.

Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny miałam do czynienia wyłącznie z tajemnicami i ta kolejna wcale mnie nie ekscytowała.

Kiedy weszłam na ostatni schodek, wcisnęła mi do ręki biało-szarą kopertę i oznajmiła teatralnym szeptem:

- To jeden z tych listów.
- Jakich listów?

Trochę ich widziałam przez ostatnich kilka miesięcy.

Popatrzyła na mnie, jakbym zapomniała, jaki mamy dzień tygodnia. Po namyśle dochodzę do wniosku, że naprawdę nie wiedziałam.

- No, tych miłosnych oczywiście, o których pani opowiadałam. Od Raymonda Blythe'a.

- Ach... tych listów.

Pokiwała z zapalem głową. Zegar na ścianie za jej plecami wypluł z siebie parę tańczących myszek, więc odczekaliśmy, aż przestaną pisać, a następnie spytałam:

- Chce pani, żebym go przeczytała?
- Może ich pani nie czytać, jeśli to panią krępuje. Chodzi o to, że wczoraj powiedziała pani coś takiego, co mi dało do myślenia.
- Tak?

- Mówiła pani, że idzie oglądać notatki Raymonda Blythe'a, więc przyszło mi do głowy, że widziała pani jego charakter pisma. – Wstrzymała oddech. – Pomyślałam, że... znaczy, miałam nadzieję...
- ...że mogłabym spojrzeć na ten list i je porównać.
- Właśnie.
- Oczywiście – odparłam. – Chyba – dodałam po namyśle.
- To cudownie!

Splotła dłonie pod brodą, kiedy wyjmowałam z koperty złożoną kartkę.

Od pierwszego rzutu oka wiedziałam, że będę musiała ją rozczarować, gdyż listu wcale nie napisał Raymond Blythe. Czytając dzienniki w archiwum, rzeczywiście oswoiłam się z jego pochyłym pismem, z długimi zawiniętymi ogonkami przy literach „G” i „J”, ze szczególnie wymyślnym „R” przy imieniu. Nie, ten list napisał ktoś inny.

Lucy, moja najdroższa, moja jedyna!

Czy wiesz, kiedy w moim sercu zbudziła się miłość? Stało się to w pierwszej chwili, gdy tylko me oczy na Tobie spoczęły. Coś w Twojej postaci, w ułożeniu ramion, w kosmykach włosów, które wmykały się, aby muskać szyję... zniewoliło mnie.

Nie mogę przestać myśleć o tym, co powiedziałaś podczas naszego ostatniego spotkania. Nie daje mi to spokoju. Może masz rację, że to nie jest mrzonka. Kto wie, czy nie byłoby to dla nas nadziei – zapomnieć o wszystkim i wyjechać, razem, daleko...

Nie czytałam dalej. Prześliznęłam się wzrokiem po następnych akapitach i popatrzyłam na inicjał, którym podpisany był list. Gdy tylko go zobaczyłam, wszystkie zmienne tego równania przestawiły się o kilka miejsc i nagle całe działanie się zgodziło! Rozpoznałam pismo tej osoby.

Wiedziałam, kto jest autorem tego listu, i kogo kochała Lucy Middleton. Pani Bird miała rację, ta miłość naruszała wszelkie normy obyczajowe, ale to nie była miłość między Lucy a Raymondem Blythe'em. To nie litera „R” kończyła list, tylko „P”, napisana staromodnym stylem, tak że z brzuszka sterczał mały zawijas. Łatwo ją było pomylić z R, zwłaszcza jeśli się tego pragnęło.

- Śliczny – powiedziałam.

Potykałam się o własne słowa, bo zrobiło mi się nagle bardzo smutno na myśl o dwóch młodych kobietach, które dożyły późnej starości na zawsze rozdzielone.

– To takie smutne, nie sądzi pani? – westchnęła, wsuwając list z powrotem do kieszeni, po czym spojrzała na mnie z nadzieją w oczach. – Tak pięknie napisany list.

✠

Kiedy w końcu, starając się za wszelką cenę unikać jednoznacznych odpowiedzi, uwolniłam się od pani Bird, poszłam prosto do swego pokoju, gdzie dosłownie osunęłam się na łóżko. Zamknęłam oczy i usiłowałam się odprężyć, lecz na próżno. Moje myśli nie przestawały krążyć wokół zamku i Percy Blythe, która dawno temu tak długo i gorąco kochała, którą ludzie uważali za zimną i nieczułą i która przez całe życie strzegła straszliwej tajemnicy, aby chronić swoją młodszą siostrę.

Percy opowiedziała mi o Oliverze Sykesie i Thomasie Cavillu, pod warunkiem że „zakończę ich historię”. Rozwodziła się na temat dat, które kończą ludzkie życie, ale nadal nie mogłam odgadnąć, czemu tak bardzo jej zależało, aby mi to opowiedzieć. Czego ode mnie oczekiwała? Co miałam zrobić z tymi informacjami, czego nie mogła zrobić sama? Byłam wyczerpana, musiałam się przespać i cieszyłam się na myśl, że spędzę wieczór z mamą. Postanowiłam, że nazajutrz rano pójdę do zamku, aby po raz ostatni spotkać się z Percy Blythe.

Koniec końców

Niestety, nie dostałam takiej szansy. Po kolacji z mamą zasnęłam szybko i spałam jak kamień aż do północy, kiedy coś mnie raptownie zbudziło. Przez chwilę leżałam w łóżku i zastanawiałam się, co mnie wyrwało ze snu – czy jakieś nocne odgłosy, które zdążyły ucichnąć, zanim oprzytomniałam, czy coś mi się przyśniło? Na pewno jednak nie było to tak przerażające przebudzenie jak wczorajszej nocy. Nie męczyło mnie uczucie czyjejś obecności, nie dochodziły żadne niezwykle dźwięki. Mimo to niewidoczna siła, która przyciągała mnie do zamku, nie znikła. Wstałam i podeszłam do okna. I osłupiałam. W miejscu, gdzie powinna się wznosić ciemna sylwetka zamku, wzgórze świeciło jasnym blaskiem, pomarańczowe języki ognia lizały nisko wiszące, ciężkie niebo.

Pożar szalał w Milderhurst przez większą część nocy. Kiedy zadzwoniłam po straż pożarną, wozy były już w drodze, ale niewiele dało się zrobić. Choć mury zamku zbudowane były z kamienia, wnętrza wypełniały tony drewna – dębowe boazerie, belki, drzwi – i miliony arkuszy papieru. Tak jak ostrzegąca Percy Blythe, wystarczyła jedna iskra, żeby wszystko poszło z dymem jak beczka prochu.

Kobiety w środku nie miały szans. Tak powiedział nazajutrz rano jeden ze strażaków przy śniadaniu, które przygotowała pani Bird. Zgodnie z jego relacją wszystkie trzy siedziały w pokoju na pierwszym piętrze.

– Wygląda na to, że pożar zaskoczył je w czasie drzemki przy kominku.

– Tak samo zginęła ich matka. – Pani Bird cmoknęła językiem na to tragiczne podobieństwo. – Przypadkowa iskra i buch.

– Trudno powiedzieć – odparł strażak. – To mogło być wszystko:

żar z kominka, upuszczony papieros, zwarcie w instalacji elektrycznej. Przewody w tych starych budynkach mają tyle lat co ja.

¤

Policja lub straż pożarna – nie jestem pewna kto – otoczyła barierkami dogorywające ruiny, ale ja całkiem dobrze znałam ogrody Milderhurst i mogłam podejść na wzgórze od tyłu. Wiem, że wydaje się to niesmaczne, ale musiałam jeszcze raz zobaczyć zamek, pożegnać się. Znałam siostry Blythe tylko przelotnie, lecz tak mocno zżyłam się z ich historią, że widok ich świata obróconego w popiół wywołał we mnie poczucie głębokiej straty. Oczywiście brakowało mi siostr i zamku, ale nie tylko. Przytłoczyło mnie wrażenie, że zostałam w tyle, że drzwi, które tak niedawno przede mną uchylono, zamknęły się z powrotem raz na zawsze.

Patrzyłam na czarną, pustą skorupę i wspominałam swoją pierwszą wizytę wiele miesięcy temu, niecierpliwe wyczekiwanie, kiedy mijałam okrągły staw i błędząc, wchodziłam po kamiennych schodach na wzgórze.

Seledreorig... usłyszałam w głowie niczym szept. Tęsknota za dworem. Pod moimi stopami leżał dymiący kamień. Nie było już rodziny Blythe'ów, a ich śpiewające mury milczały.

– Nie mogę uwierzyć, że już go nie ma.

Odwróciłam się i zobaczyłam koło siebie młodego, ciemnowłosego mężczyznę.

– Tak, wiem – odparłam. – Przeżył setki lat i legł w gruzach w ciągu zaledwie kilku godzin.

– Usłyszałem o pożarze w radiu, przyjechałem jak najszybciej, żeby zobaczyć to na własne oczy. Miałem też nadzieję, że uda mi się spotkać z panią.

Prawdopodobnie na mojej twarzy odmalowało się zaskoczenie, bo wyciągnął rękę i rzekł:

– Adam Gilbert.

To imię i nazwisko powinno mi się z czymś kojarzyć. I kojarzyło się: ze starszym jegomościem w tweedowej marynarce, siedzącym przy biurku na staromodnym fotelu.

– Edie – wykrztusiłam. – Edie Burchill.
– Tyle się domyśliłem. Ta sama, która ukradła mi pracę.
Żartował oczywiście. Potrzebowałam błyskotliwej riposty.
– Pańskie kolano... pielęgniarka... myślałam...?
– Już dużo lepiej. Prawie. – To mówiąc, wskazał łaskę, którą trzymał w drugiej ręce. – Uwierzy pani w wypadek podczas wspinaczki wysokogórskiej? – Uśmiechnął się przebiegle. – Nie? No dobrze, potknąłem się o stertę książek w bibliotece i uszkodziłem sobie kolano. Zawód pisarza jest niebezpieczny. – Wyciągnął rękę w kierunku pensjonatu. – Wraca pani?

Ostatni raz rzuciłam okiem na zamek i skinęłam głową.

– Mogę pani towarzyszyć?

– Oczywiście.

Szliśmy jakiś czas powoli ze względu na nogę Adama i dzieliliśmy się wspomnieniami zamku, sióstr Blythe, naszej wspólnej, dziecięcej fascynacji *Człowiekiem z Błota*. Na łące przylegającej bezpośrednio do pensjonatu Adam się zatrzymał. Zrobiłam to samo.

– Boże, czuję się jak niegodziwiec, zadając to pytanie w takiej chwili – to powiedziawszy, wskazał dymiące mury zamku – ale... – Zdawało się, jakby nasłuchiwał czegoś, czego nie mogłam słyszeć, po czym skinął głową. – Tak, wygląda na to, że muszę je pani zadać mimo wszystko. Kiedy wczoraj wieczorem wróciłem do domu, pielęgniarka przekazała mi wiadomość, którą pani dla mnie zostawiła. Czy to prawda? Czy rzeczywiście dowiedziała się pani czegoś na temat genezy *Człowieka z Błota*?

Miał życzliwe brązowe oczy, w które niezwykle trudno było mi spojrzeć i skłamać. Więc tego nie zrobiłam. Popatrzyłam na jego czoło.

– Nie – powiedziałam. – Niestety, nie. To był fałszywy alarm.

Uniósł dłoń i westchnął.

– A więc prawda umiera razem z nimi. Jest w tym coś poetyckiego, nie potrafimy żyć bez tajemnic, nie sądzi pani?

Sądziłam, lecz zanim zdążyłam odpowiedzieć, spojrzałam w stronę pensjonatu i coś przykuło moją uwagę.

– Wybacz mi pan na chwilę? – powiedziałam. – To bardzo ważne.

✠

Nie wiem, co sobie pomyślał główny inspektor Rawlins na widok zdyszanej kobiety pędzącej ku niemu przez łąkę z rozwianym włosom, a tym bardziej kiedy kobieta ta zaczęła mu opowiadać swoją historię. Należy mu oddać sprawiedliwość, że słuchał z kamienną twarzą, gdy oznajmiłam mu przy stoliku z poranną herbatą, że powinien rozszerzyć swoje śledztwo, że wiem z bardzo wiarygodnego źródła, iż na terenie należącym do zamku spoczywają zwłoki jeszcze dwóch innych osób. Ledwo dostrzegalnie zwolnił tylko mieszanie herbaty łyżeczką i rzekł:

– Zwłoki dwóch osób, mówi pani? Pewnie nie zna pani nazwisk.

– Tak się składa, że znam. Jednym z nich jest Oliver Sykes, drugim Thomas Cavill. Sykes zginął w tysiąc dziewięćset dziesiątym roku w pożarze, który zabił Muriel Blythe, a Thomas w wypadku podczas burzy w październiku tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego.

– Rozumiem.

Nie odrywając ode mnie wzroku, pacnął owada, który brzęczał mu koło ucha.

– Sykes został pochowany po zachodniej stronie, w miejscu, gdzie kiedyś była fosa. Thomas Cavill leży na cmentarzu dla zwierząt niedaleko nagrobka podpisanego Emerson.

Inspektor powoli zmierzył mnie uważnym spojrzeniem znad filiżanki, którą podnosił do ust, po czym dosypał sobie pół łyżeczki cukru. Mieszając znowu herbatę, patrzył na mnie zwężonymi oczami.

– Jeśli sprawdzi pan akta policyjne – ciągnęłam – przekona się pan, że obydwaj mężczyźni zostali uznani za zaginionych i że nigdy nie odnotowano dat ich śmierci. – A jak powiedziała Percy Blythe, człowiek bez zamkniętego nawiasu życia nie zazna spoczynku.

Postanowiłam nie pisać wstępu do nowego wydania *Człowieka z Błota*. Powiedziałam Judith Waterman z Pippin Books, że to zlecenie koliduje z innymi moimi zobowiązaniami, że i tak ledwo zdążyłam poznać siostry Blythe, zanim zginęły w pożarze. Odparła, że rozumie i że Adam Gilbert na pewno chętnie podejmie przerwana pracę. Musiałam się z nią

zgodzić, w końcu to on zgromadził prawie cały materiał.

Poza tym nie mogłam go napisać. Znałam odpowiedzi na wszystkie zagadki, które trapiły krytyków literackich od siedemdziesięciu pięciu lat, ale nie mogłam się nimi podzielić ze światem. Byłaby to wielka zdrada wobec Percy Blythe. „To rodzinna historia”, zastrzegła, zanim zaczęła mi ją opowiadać. „Czy mogę pani ufać, panno Burchill?”. Miałabym również na sumieniu ujawnienie światu smutnej i odstręczającej historii, która na zawsze rzuciłaby cień na arcydzieło Raymonda Blythe'a, na powieść, dzięki której pokochałam książki.

Z drugiej strony gdyby mi przyszło pisać co innego, wałkować na nowo te same, stare motywy o tajemniczych inspiracjach książki, musiałabym wykazać karygodną nieszczerłość. Poza tym Percy Blythe zatrudniła mnie pod fałszywym pretekstem. Nie po to mnie sprowadziła do Milderhurst, abym napisała wstęp, tylko abym zamknęła historie ludzi, którzy tu zginęli. I zrobiłam to. Inspektor Rawlins rozszerzył zakres poszukiwań wokół pogorzeliska i znalazł na terenie należącym do zamku zwłoki dwóch osób, dokładnie w tych miejscach, które wskazałam. Theo Cavill dowiedział się w końcu, co się stało z jego bratem Thomasem: że zginął w 1941 podczas wielkiej burzy w Milderhurst.

Główny inspektor Rawlins przyciskał mnie o więcej szczegółów w sprawie śmierci znalezionych mężczyzn, ale niczego mu nie powiedziałam. Bo tak naprawdę niewiele więcej wiedziałam. Uważałam, że Percy kryje swoją młodszą siostrę, ale nie mogłam tego udowodnić. A nawet gdybym mogła, zachowałabym tę wiedzę dla siebie. Prawda umarła razem z trzema siostrami i jeśli spalone mury zamku nadal szeptały o tym, co się wydarzyło tamtej październikowej nocy w czasie drugiej wojny światowej, to ja ich nie słyszałam. I nie chciałam już słyszeć. Nadeszła pora, abym wróciła do własnego życia.

CZEŚĆ PIĄTA

1.

Zamek Milderhurst, 29 października 1941

Burza, która nadciągnęła znad Morza Północnego po południu 29 października 1941 roku, przetaczała się, pomrukiwała i gęstniała, aż wreszcie rozwinęła skrzydła nad wieżą zamku Milderhurst. Pierwsze, niechętnie krople deszczu przedarły się przez chmury o zmierzchu, lecz nim skończy się noc, spadnie ich nieskończenie więcej. To była podstępna burza, deszcz, który wyrzekł się pasji żywiołu na rzecz nieustępliwości. Godzina za godziną tłuste krople padały na ziemię, lały się strumieniami z dachówek i całymi płachtami z okapów. Wędrowny Potok wezbrał, kałuże w lesie Cardarker pociemniały bardziej niż zwykle, a falbanka miękkiej ziemi wokół zamku, położonej nieco niżej niż teren rozciągający się dalej, rozmokła i zaczęła wypełniać się wodą, tak że w ciemności zaczął się zarysowywać cień dawnej fosy. Jednak bliźniaczki w środku o niczym nie wiedziały. Interesowało je tylko to, że po długich godzinach wyczekiwania wreszcie rozległo się pukanie do drzwi zamkowych.

✠

Saffy zjawiła się przy drzwiach pierwsza, położyła dłoń na futrynie i wsunęła do zamka mosiężny klucz. Jak zawsze wchodził ciasno i mocując się z nim, zauważyła, że drżą jej ręce, że lakier do paznokci jej odpłynął, a jej skóra wygląda staro. W końcu mechanizm ustąpił, drzwi się otworzyły i wszystkie myśli w mgnieniu oka wyparowały, ponieważ przed wejściem stała Juniper.

– Kochana dziewczyna! – chlipnęła Saffy z radości na widok swojej najmłodszej siostry, całej i zdrowej. – Chwała Bogu! Ach, jak my za tobą tęskniłyśmy!

– Przepraszam, zgubiłam klucz.

Pomimo obszernego płaszcza przeciwdeszczowego i dorosłej fryzury wystającej spod kapelusza Juniper wyglądała w półmroku korytarza tak dziecięco, że Saffy nie mogła się powstrzymać, by nie ująć jej twarzy w dłonie i ucałować w czoło, tak jak to robiła, kiedy June miała cztery latka.

– Głupstwo – odrzekła, machając ręką w stronę Percy, której ponury humor uleciał jak dym i wsiąkł w kamienne mury. – Najważniejsze, że jesteś w domu. Niech ci się przyjrzę...

Zrobiła krok w tył i przytrzymała siostrę na wyciągnięcie ramienia, a serce jej rosnęło z radości i ulgi, których nie potrafiła wyrazić słowami. Przyciągnęła ją z powrotem w objęcia.

– Zaczęłyśmy się już martwić, że tak długo cię nie ma...

– To przez autobus. Coś nas zatrzymało, jakiś... wypadek.

Saffy aż się cofnęła.

– Wypadek?

– Jakaś przeszkoda na drodze czy coś w tym rodzaju, nie wiem... Nie dokończyła, wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się, lecz przez jej twarz przemknęła jakaś niewidzialna konsternacja. Trwało to tylko ułamek sekundy, lecz wystarczyło; niewypowiedziane słowa zadudniły w holu tak wyraźnie, jakby je wykrzyczała. „Nie pamiętam”. Dwa wyrazy, niewinne w ustach każdej innej osoby poza Juniper. Saffy poczuła nagle na piersi wielki ciężar. Zerknęła na Percy, zobaczyła na jej twarzy tę samą troskę.

– Może byśmy weszły do środka – Percy szybko znów przywołała na usta uśmiech – zamiast stać na deszczu.

– Tak! – zawołała radośnie Saffy, idąc za przykładem siostry. – Biedactwo, przeziębisz się, jeśli nie będziesz trochę bardziej na siebie uważać. Percy, przynieś, proszę, z kuchni termofor.

Kiedy Percy znikła w ciemnym korytarzu, Juniper odwróciła się do Saffy, złapała ją za nadgarstek.

– Tom?

– Jeszcze nie przyjechał. Juniper mina zrzędała.

- Ale jest już późno. Nawet ja się spóźniłam.
- Wiem, kochanie.
- Co go mogło zatrzymać?
- Wojna, aniołku. Wszystkiemu winna wojna. Chodź, usiądź koło ognia. Przyniosę ci dobrego drinka, a Tom zjawi się, zanim się obejrzysz.

Kiedy weszły do salonu gościnnego, Saffy przystanęła na chwilę, aby pozachwytać się pięknie zastawionym stołem, zanim w końcu wprowadziła Juniper na chodniczek przed kominkiem. Poprawiła największe polano, gdy tymczasem jej siostra wyciągnęła papierosy.

Saffy drgnęła, kiedy w kominku buchnął płomień, wyprostowała się, odłożyła pogrzebacz na miejsce i otrzepała ręce, chociaż nie było z czego. Juniper zapaliła zapałkę i zaciągnęła się głęboko.

- Zmieniłaś fryzurę – zauważyła Saffy łagodnie.
- Tak, kazałam się ostrzyć.

Każda inna kobieta bezwiednie sięgnęłaby dłonią do szyi i poprawiła włosy, ale nie Juniper.

- Podoba mi się – powiedziała Saffy.

Uśmiechnęły się, June trochę nerwowo, w każdym razie tak się wydało Saffy. Chociaż było to dziwne, jej młodsza siostra nigdy się nie denerwowała. Udawała, że nie zauważa, jak dziewczyna oplotła się ramieniem i paliła dalej papierosa.

London! – miała ochotę zawołać Saffy. – Byłaś w Londynie! Opowiedz mi o nim. Odmaluj mi przed oczami obrazy, abym je zobaczyła jak na własne oczy. Byłaś na tańcach? Siedziałaś nad jeziorkiem Serpentine? Zakochałaś się? Pytania układały się w rzędek, ale Saffy nie odezwała się ani słowem. Stała bezradnie, podczas gdy ogień ogrzewał jej twarz, a tykanie zegara odliczało minuty. Wiedziała, że to głupie. Lada chwila wróci Percy i szansa, aby porozmawiać z Juniper na osobności, przypadnie na dobre. Musi to tylko z siebie wyrzucić: Opowiedz mi o nim, kochanie, opowiedz mi o Tomie i o waszych planach. Przecież to była jej najdroższa, mała siostrzyczka. Nie ma takiej rzeczy, o której nie mogłyby rozmawiać. Wtedy nagle przypomniał jej się wpis w dzienniku June i zapiekły ją policzki.

- Ojej, ależ ze mnie gapa! – zawołała. – Daj mi swój płaszcz.

Stała obok niej jak pokojówka, wyciągnęła najpierw jedno ramię z

rękawa, potem, gdy Juniper przełożyła papierosa, drugie. Zsunęła brązowe okrycie z chudych ramion i zanosła na krzesło pod obrazem Constable'a. Nie był to zbyt mądry pomysł, by zostawić tu ociekające wodą ubranie, ale nie miała czasu na nic innego. Poprawiała płaszcz przez chwilę, prostowała materiał, oglądała podszyty rąbek i dziwiła się, jak to możliwe, że nie potrafi nawet otworzyć ust. Zbeształa się w duchu, że zwykle, czułe pytania więdną jej na języku, jakby młoda kobieta stojąca przed kominkiem była obcą osobą.

– Twój list – zaczęła w końcu, gładząc kołnierz płaszcza. – Twój ostatni list.

– Tak?

Juniper przykucnęła przed kominkiem, tak jak to robiła jako dziecko, lecz nie odwróciła głowy. Saffy zrozumiała, że nie zamierza ułatwić jej sprawy. Zawahała się, nabrała powietrza, a wtedy hałas na korytarzu przypomniał jej, że czas nagli.

– Opowiedz mi o nim – poprosiła, podchodząc bliżej. – Opowiedz mi wszystko, skarbie.

– O nim?

– Czy coś was łączy? Coś poważniejszego, niż sugerowałeś w liście?

Cisza. Mury nastawiły uszu.

W końcu Juniper wydobyła z siebie ledwo słyszalny szept.

– Chciałam poczekać – odparła. – Zdecydowaliśmy, że zaczekamy, aż będziemy razem.

– Zaczekać? – Serce trzepotało Saffy w piersi jak ptaszek w klatce. – Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli, kochanie.

– Tom i ja... – Juniper zaciągnęła się i oparła brodę na dłoni. – Tom i ja zamierzamy się pobrać. Poprosił mnie o rękę, a ja się zgodziłam, i... och, Saffy... – Po raz pierwszy odwróciła się, aby popatrzeć siostrze w oczy. – Ja go kocham. Nie mogę bez niego żyć.

Chociaż sama wiadomość nie była zaskakująca, siła tego wyznania, niecierpliwość, z jaką Juniper je z siebie wyrzuciła, a także wszystkie możliwe konsekwencje uderzyły Saffy niczym cios, od którego się prawie zatoczyła.

– To cudownie, skarbie – powiedziała, idąc do stolika z drinkami i uśmiechając się z przymusem. – Będziemy dziś wieczorem świętować.

– Nie powiesz Percy, prawda? Dopóki...

Saffy wyjęła korek z whisky.

– Oczywiście, że nie.

– Nie wiem, jak ona... Pomożesz mi? Pomożesz mi ją przekonać, żeby zrozumiała?

– Wiesz, że tak.

Saffy skupiła się na drinkach. Mówiła prawdę. Zrobi, co w jej mocy. Nie było takiej rzeczy, której by nie zrobiła dla Juniper. Ale Percy nigdy tego nie zrozumie. Testament taty był pod tym względem jednoznaczny: jeśli Juniper wyjdzie za mąż, zamek przepadnie. Największa miłość Percy, jej całe życie, wszystko, co jest dla niej najważniejsze.

Juniper patrzyła w ogień ze zmarszczonym czołem.

– Otrząśnię się z tego, prawda?

– Tak – skłamała Saffy.

Wychyliła swoją szklaneczkę i naląła sobie drugą.

– Wiem, co to znaczy, wiem i żałuję. Jest mi przykro z powodu tego, co zrobił tata. – Juniper wskazała kamienne mury zamku. – Ale tu chodzi o moje serce, Saffy.

Odwróciła się w stronę siostry, która uniosła szklaneczkę.

– To wspaniale, skarbie. Napijmy się za... Nagle zasłoniła dłonią usta.

– Co się stało?

Saffy nie mogła wykrztusić słowa.

– O co chodzi, Saff?

– Twoja bluzka... – wykrztusiła. – Jest...

– Jest nowa.

Saffy kiwnęła głową. To światło płata takie figle, powiedziała sobie. Wzięła Juniper za rękę i podprowadziła ją szybko do lampy.

Aż odskoczyła. Nie było cienia wątpliwości. Krew. Próbowwała zachować spokój, tłumaczyła sobie, że na razie nie ma powodu do paniki, na razie nie ma się czego bać. Szukała odpowiednich słów, żeby to powiedzieć, lecz zanim zdążyła je znaleźć, Juniper poszła za jej wzrokiem. Pociągnęła za bluzkę, zmarszczyła brwi i zaczęła krzyczeć. Potarła materiał, zrobiła krok w tył, jakby mogła w ten sposób uciec przed grozą tego, co widziała.

– Ćśśś – uspokajała ją Saffy, machając ręką. – No już, kochanie.

Nie bój się. – W ustach jednak czuła smak narastającej paniki. – Pokaż mi to. Pozwól Saffy popatrzeć.

Juniper stała bez ruchu. Drżącą dłonią Saffy rozpięła guziki, rozchyliła bluzkę i zaczęła przebiegać palcami po jej gładkiej skórze, tak jak kiedyś, gdy pielęgnowała swoją malutką siostrzyczkę. Sprawdziła pierś, boki, brzuch, nigdzie nie znalazła nawet zadrapania. Odetchnęła z ulgą.

– Nic ci nie jest, kochanie.

– Ale czyja to... – zapytała Juniper. Drżała na całym ciele. – Skąd to się wzięło, Saffy?

– Nie pamiętasz?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Niczego nie pamiętasz?

Juniper dzwoniła zębami. Po raz drugi zaprzeczyła ruchem głowy. Saffy zaczęła przemawiać do niej jak do dziecka:

– Skarbie, myślisz, że mogłaś mieć chwilę, która wymknęła ci się z pamięci?

W oczach Juniper błysnął strach.

– Boli cię głowa? Czujesz w palcach mrowienie?

June powoli skinęła głową.

– Dobrze.

Saffy zdobyła się na uśmiech, pomogła siostrze zdjąć poplamioną bluzkę, a potem otoczyła ją ramieniem. Poczwała pod skórą drobniutkie kości i o mało się nie rozplakała ze strachu, miłości i udręki. Powinny były pojechać do Londynu, Percy powinna była pojechać i przywieźć June do Milderhurst.

– Już w porządku – powiedziała, zdobywając się na stanowczy ton. – Już jesteś w domu. Wszystko będzie dobrze.

Juniper nie odpowiedziała. Jej oczy powlekły się niewidzącym spojrzeniem. Saffy zerknęła w stronę drzwi. Percy wiedziałaby, co zrobić.

– Ćśśś – powtórzyła. – Ćśśś.

Uspokajała jednak bardziej siebie niż siostrę, która jej nie słuchała.

Usiadły razem na szezlongu i czekały. W kominku trzaskał ogień, po kamiennych murach przemykał wiatr, deszcz chłostał szyby. Zdawało się, jakby minęły wieki, zanim Percy pojawiła się w końcu w drzwiach. Biegła, w rękę ścisnęła termofor.

– Zdawało mi się, że słyszałam krzyk. – Urwała na widok rozebranej Juniper. – Co to jest? Co się stało?

Ruchem głowy Saffy wskazała zakrwawioną bluzkę i powiedziała upiornie wesołym głosem:

– Chodź mi pomóc, Perce. Juniper jechała cały wieczór, uważam, że powinniśmy przygotować jej wspaniałą, gorącą kąpiel.

Percy skinęła ponuro głową, ujęły siostrę z obu stron i poprowadziły ją do drzwi.

Kiedy wyszły, pokój rozsiały się wygodnie. Kamienie zaczęły do siebie szeptać.

W oknie obluźowana okiennica odpadła z zawiasu, lecz nikt tego nie zauważył.

■

– Śpi?

– Tak.

Percy odetchnęła z ulgą i weszła do pokoju. Przystanąła obok krzesła, na którym siedziała Saffy.

– Powiedziała ci coś?

– Niedużo. Jechała autobusem. Zatrzymali się, przykucnęła przy czymś na drodze. Następna rzecz, jaką pamięta, to kiedy dochodziła do drzwi domu. W nogach czuła mrowienie, tak jak... no wiesz, tak jak zawsze.

Percy wiedziała. Wyciągnęła rękę i dwoma palcami pogładziła Juniper po czole i policzku. Ich najmłodsza siostrzyczka wyglądała tak krucho, tak bezradnie i niewinnie.

– Nie budź jej.

– I tak by się nie dało.

To rzekłszy, wskazała głową fiolkę z tabletkami taty.

– Przebrałaś się – zauważyła Saffy, pociągając lekko za nogawkę spodni, które miała na sobie Percy.

– Tak.

– Wychodzisz gdzieś?

Percy krótko skinęła głową. Jeśli Juniper wysiadła z autobusu i dotarła do domu, to znaczy, że coś, co spowodowało u niej zanik pamięci i było przyczyną plamy krwi na bluzce, wydarzyło się niedaleko od domu. Trzeba to natychmiast sprawdzić. Weźmie latarkę, pójdzie podjazdem w stronę drogi i zobaczy, co się stało. Nawet nie próbowała snuć domysłów,

wiedziała tylko, że musi to sprawdzić i w razie czego zatrzeć wszelkie ślady. Szczerze mówiąc, nawet się ucieszyła z tego wyzwania. Konkretny cel ze ścisłymi wytycznymi pomoże jej utrzymać na wodzy wszelkie obawy, powstrzyma jej wyobraźnię przed niekontrolowanym wybieganiem naprzód. Sytuacja i bez tego była wystarczająco kłopotliwa.

– Zajmij się czymś, kiedy wyjdę – powiedziała do Saffy. – Obiecay mi, że nie będziesz tu siedzieć i zamartwiać się.

– Ale Perce...

– Mówię poważnie, Saffy. Ona nie obudzi się przez kilka godzin. Idź na dół, napisz coś. Oderwij myśli. Nie możemy sobie pozwolić na twoje ataki paniki.

Saffy wzięła ją za rękę.

– A ty uważaj na pana Potts'a. Nie zapalaj latarki bez potrzeby, wiesz, jaki jest na punkcie zaciemnienia.

– Wiem.

– I na Niemców też uważaj. Bądź ostrożna, Perce.

Percy cofnęła rękę, lecz aby zatrzeć niemiłe wrażenie, wsunęła obie dłonie do kieszeni i odrzekała cierpko:

– W taką noc? Jeśli mają choć trochę oleju w głowie, siedzą w domu pod kołdrą.

Saffy spróbowała się uśmiechnąć, ale nie bardzo jej się udało. Trudno się dziwić, w pokoju aż gęsto było od duchów przeszłości. Percy stłumiła dreszcz i ruszyła do drzwi, mówiąc:

– No dobrze, to ja...

– Pamiętasz, jak tu spałyśmy?

Percy przystanąła. Sięgnęła po papierosa, którego zawczasu sobie skrzyła.

– Trochę.

– Było miło, prawda? Tylko my dwie.

– O ile pamiętam, nie mogłaś się doczekać, kiedy się przeprowadzimy na dół.

Saffy uśmiechnęła się ze smutkiem. Nie spojrzała Percy w oczy, patrzyła na June.

– Zawsze mi się spieszyło. Żeby dorosnąć. Żeby uciec.

Percy poczuła klucie w piersi. Uzbroidła się przeciwko cikliwym pokusom. Nie chciała sobie przypominać, jaką dziewczynką była jej

bliźniaczka, zanim tata złamał w niej ducha – kiedy miała talent i marzenia, i wszelkie szanse, by je zrealizować. Nie, nie będzie teraz o tym myśleć. Ani teraz, ani nigdy więcej. To boli za bardzo.

W kieszeni spodni trzymała skrawki papieru, które znalazła w kuchni przez przypadek, przygotowując termofor. Szukała zapalek, podniosła pokrywkę rondla i zobaczyła podarte kawałki listu od Emily. Chwała Bogu, że je znalazła. Tylko tego im jeszcze brakowało, żeby Saffy zaczęła znowu rozpaczać nad dawno utraconą miłością. Weźmie je z sobą i spali gdzieś po drodze.

- Wychodzę, Saff...
- Myślę, że Juniper nas opuści.
- Słucham?
- Myślę, że zamierza odejść.

Czemu to powiedziała? I czemu akurat teraz? Serce zaczęło jej walić w piersi.

- Pytałaś ją o niego?

Wahanie Saffy wystarczyło, aby Percy odgadła.

- Chce wyjść za męż?
- Powiedziała, że się zakochała – odparła Saffy z westchnieniem.
- Ale tak nie jest.
- Ona w to wierzy, Perce.

– Nieprawda. – Percy zacisnęła zęby. – Nie wyjdzie za męż. Wie, co zrobił tata i co by to znaczyło.

Saffy uśmiechnęła się smutno.

- Ludzie z miłości są zdolni do okrutnych rzeczy.

Zapałki wyleciały Percy z ręki, schyliła się, żeby je podnieść. Kiedy się wyprostowała, zobaczyła, że Saffy nie spuszcza z niej oka. Przyglądała jej się z dziwną miną, jakby chciała jej zakomunikować bardzo złożony problem lub wyjaśnić rozwiązanie dręczącej łamigłówki.

- Czy on przyjedzie, Perce?

Percy podpałała papierosa i ruszyła po schodach na dół.

- Doprawdy, Saffy, skąd ja mogę to wiedzieć?

✘

Podejrzenie wkradało się w myśli Saffy pomału. Pechowo się złożyło, że jej siostra wpadła w zły nastrój akurat tego wieczoru, ale zdarzało

się to ostatnio dość często, więc nie zaprzętała sobie tym głowy, obmyślała tylko sposób, aby humor Percy nie popsuł uroczystej kolacji. Potem jednak znikła w kuchni, rzekomo szukając aspiryny, i nie było jej dziwnie długo. Wróciła w zabrudzonej sukni, oświadczając, że z dworu dochodziły jakieś hałasy, a kiedy Saffy zapytała, czy znalazła aspirynę, tak się zdziwiła, jakby w ogóle zapomniała, że jej potrzebowała. A teraz ta determinacja, kiedy oświadczyła, że Juniper nie wyjdzie za męż...

Nie.

Przestań.

Percy potrafi być oschła, nawet nieuprzejma, ale nie byłaby zdolna do czegoś takiego. Saffy nigdy w to nie uwierzy. Jej siostra kochała zamek, ale nie walczyłaby o jego zatrzymanie kosztem własnego człowieczeństwa. Była odważna, uczciwa i honorowa, wchodziła do kraterów po bombach, ratując ludzkie życie. Poza tym to nie ona miała na bluzce krew.

Zadrzała i podniosła się z nagłą determinacją. Percy miała rację, niewiele zdziałała, pełniąc milczącą straż przy śpiącej Juniper. Musiała jej dać trzy pigułki, żeby zasnęła, biedne jagniątko. Nie obudzi się przez kilka godzin.

Instykt macierzyński Saffy protestował ze wszystkich sił przeciwko pozostawieniu jej tu samej, takiej małej i kruchej, jeśli jednak będzie tu dalej siedzieć, przestanie panować nad wzbierającą paniką. Już teraz jej umysł przyćmiewały ponure podejrzenia. Zaniki pamięci zdarzały się Juniper w chwilach silnych emocji lub traumatycznych przeżyć – kiedy coś nadmiernie pobudzało jej zmysły i serce zaczynało jej bić niebezpiecznie szybko. Jeśli dodać do tego plamy krwi na bluzce i dziwny niepokój, który jej towarzyszył, kiedy weszła do domu...

Nie.

Przestań.

Przycisnęła dłonie do piersi. Próbowwała się pozbyć gniotącego ciężaru, który narastał, im dłużej tu siedziała i rozmyślała. Nie może sobie teraz pozwolić na atak paniki. Musi zachować spokój. Jeszcze nic nie wiadomo, jeszcze nic się nie stało. Nie pomoże Juniper, jeśli nie będzie umiała utrzymać swych histerycznych lęków pod kontrolą.

Pójdzie na dół i zajmie się pisaniem swojej powieści, tak jak zasugerowała Percy. To jej najlepiej zrobi – godzina w towarzystwie ślicznej

Adele. Juniper jest bezpieczna. Percy znajdzie to, co ma znaleźć, a Saffy NIE BĘDZIE WPADAĆ W PANIKĘ.

Nie wolno jej.

Podjąwszy tę decyzję, poprawiła koc na łóżku, wygładziła go na pierśsiach Juniper. Biedactwo, nawet nie drgnęła, spała spokojnie jak dziecko zmęczone zabawami na świeżym powietrzu.

Była takim wyjątkowym dzieckiem.

Spłynęło na nią wspomnienie, nagłe, wyraziste jak rozbłysk błyskawicy: mała dziewczynka z nóżkami jak zapalki, z białymi włosami lśniącymi w słońcu i zdartymi kolanami kuca boso na spieczonej ziemi nad starą studzienką i grzebie patykiem w piasku, szukając odpowiedniego kamyka, żeby wrzucić go przez kratę.

Po szybie ześliznęła się płachta deszczu i dziewczynka, słońce, zapach wyschniętej ziemi zamieniły się w pył i ulotniły. Pozostało tylko ciemne, zatechłe poddasze, gdzie razem z Percy wyrastały z kwilących niemowląt na kapryśne młode panny.

Niewiele pozostało śladów po ich urzędowaniu, jedynie łóżko, plama po atramencie na podłodze, biblioteczka przy oknie, którą sama...

Nie!

Przestań!

Zacisnęła pięści. Zauważyła fiolkę z tabletkami taty. Zastanawiała się tylko chwilę, potem odkręciła nakrętkę i wysypała na dłoń jedną tabletkę. To złagodzi napięcie. Pomoże jej się odprężyć.

Zostawiła uchylone drzwi i po cichu wymknęła się po wąskich schodach na dół.

Kiedy wyszła, zasłony na poddaszu westchnęły.

Juniper się skuliła.

Na drzwiach garderoby lśniła długa suknia niczym zapomniany duch.

✦

Noc była bezksiężycowa, pomimo kaloszy i płaszcza przeciwdeszczowego Percy przemokła do suchej nitki. Na domiar wszystkiego latarka zaczęła płać figle. Przystanąła na zabłoconym podjeździe i uderzyła nią o dłoń. Bateria zagrzechotała, światło zamrugało z nadzieją, po czym zgasło całkiem.

Zakłęta pod nosem i nadgarstkiem odgarnęła włosy przyklejone do

mokrego czoła. Nie do końca wiedziała, co właściwie spodziewa się znaleźć, ale na pewno nie podejrzewała, że potrwa to tak długo. Im więcej czasu minie, im dalej od zamku zawiodą ją poszukiwania, tym mniejsza będzie szansa, aby utrzymać sprawę w tajemnicy. A było to absolutnie konieczne.

Zmrużyła oczy, starając się przebić wzrokiem ciemność i ulewę. Potok wezbrał, słyszała, jak koziółkuje, jak rycząc, przetacza się w kierunku lasu. Jeśli tak dalej pójdzie, do rana zmyje most.

Odwróciła głowę w lewo, wyczuła gniewne zastępy drzew lasów Cardarker; słyszała wicher przekradający się między koronami.

Jeszcze raz spróbowała zapalić latarkę, na próżno. Do diabła, oto prawdziwa złośliwość przedmiotów martwych. Ruszyła powoli dalej, uważnie wypatrując tego, co czai się gdzieś w mroku.

Nagle świat się rozjarzył w odłamku światła. Rozmokłe pola rozbiegły się na wszystkie strony, las wzdrygnął się i cofnął, zamek rozczarowany splótł ramiona. W zamartym ułamku sekundy Percy poczuła się nieskończenie samotna, zmarznięta, mokra biel otaczała ją z zewnątrz i wypełniała w środku.

Zobaczyła go, dopiero kiedy ucichło echo błyskawicy. Leżał na podjeździe. Bardzo, bardzo nieruchomy. Wielki Boże.

2.

Thomas przywiózł z Londynu kwiaty, mały bukietik orchidei. Tak trudno je było zdobyć, kosztowały nieludzko, a kiedy dzień się prze-wlókł w noc, zaczął żałować swojej decyzji. Wyglądały, jakby stratowa-ło je stado koni, a on coraz poważniej powątpiewał, czy siostry Juniper lubią kwiaty z kwiaciarni choć odrobinę bardziej niż ona. Wiózł też z sobą słoik dżemu. Boże, jak on się denerwował.

Spojrzał na zegarek, po czym postanowił więcej tego nie robić. Już i tak był spóźniony o całe godziny. Nie mógł na to nic poradzić: pociąg zatrzymano, musiał szukać autobusu, a jedyny, jaki jechał na wschód, wyruszał z pobliskiego miasteczka, więc Tom biegł kilka mil przez pola, tylko po to, aby usłyszeć, że autobus się popsuł i nie wiadomo, kiedy uda się go uruchomić.

Przyjechał trzy godziny po czasie, dokładnie w chwili, gdy Thomas zamierzał właśnie wyruszyć na piechotę i spróbować złapać jakiś auto-stop.

Ubrał się w mundur, za kilka dni miał wrócić na front, poza tym do-brze się w nim czuł, tylko że był sztywny ze zdenerwowania i marynarka piła go w ramionach, jakby miał ją na sobie po raz pierwszy. Przypiął też sobie medal, którym go odznaczono za tę historię w Belgii. Przyjmował go z mieszanymi uczuciami; nie mógł o nim pomyśleć, żeby nie przy-pomnieć sobie chłopców, których stracili, próbując wydostać się z pie-kła. Zauważył jednak, że inni przywiązują do niego wielką wagę, na przykład jego matka, uznał więc, że skoro jedzie poznać rodzinę Juniper, nie zaszkodzi mieć go na sobie.

Bardzo mu zależało, aby go polubili, aby wszystko poszło jak najle-piej, bardziej nawet ze względu na Juniper niż na siebie. Nie wiedział, co

myśleć o jej dziwnym zachowaniu. Opowiadała o domu często i zawsze z wielką czułością. Słuchając jej, wyobrażał sobie prawdziwą idyllę, niemal bajkową fantazję. Mimo to nie chciała, aby odwiedzał Milderhurst, sprzeciwiła się, kiedy zasugerował, że powinna poinformować siostry o ich zaręczynach, zrobiła się wręcz nieufna. Początkowo sądził, że się go wstydzi. Pochodziła z arystokratycznego rodu, jej ojciec i babka byli znanymi pisarzami i początkowo Thomas myślał, że uważa go za człowieka zbyt nisko urodzonego. Nie zdawał sobie wtedy sprawy, że Juniper takie myśli nawet nie przychodzą do głowy. W końcu jednak zmieniła zdanie. Udało mu się ją przekonać, że jeśli chcą się pobrać, musi poznać jej rodzinę.

Domyślił się, że dojeżdżają na miejsce, bo zatrzymywali się już kilka razy i oprócz niego pozostało w autobusie bardzo niewiele pasażerów. Padał deszcz. Chmurzyło się już, kiedy wyruszał z Londynu, niebo zasłaniała biała maska, która ciemniała na obrzeżach, w miarę jak zbliżali się do hrabstwa Kent. Ulewa gęstniała z minuty na minutę i szum wycieraczek na pewno ukotłosałby go do snu, gdyby nie był taki zdenerwowany.

– Wraca pan do domu?

Thomas rozglądał się w ciemności za osobą, do której należał głos. Zobaczył kobietę siedzącą po drugiej stronie przejścia. Miała jakieś pięćdziesiąt lat i życzliwą twarz. Jego mama mogłaby tak wyglądać, gdyby życie było dla niej łaskawsze.

– Jadę w odwiedziny do przyjaciółki – odparł. – Mieszka przy Tenterden Road.

Kobieta uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– Do dziewczyny, co?

On również się uśmiechnął, lecz po chwili spoważniał, ponieważ kobieta tylko częściowo odgadła prawdę. Zamierzał się ożenić z Juniper Blythe, ale ona nie była jego dziewczyną. „Dziewczynę” poznawało się w przerwie między kolejnymi przydziałami, ładną buzią z wydętymi usteczkami, zgrabnymi nogami i czczymi obietnicami pisania listów na front. „Dziewczyny” lubiły gin, potańcówki i wieczorne obmacywania.

Juniper Blythe była istotą z innej bajki. Zostanie jego żoną, a on jej mężem. Jednak nawet chwytając się tych jednoznacznych stwierdzeń,

wiedział, że ona nigdy nie będzie do niego należeć. Keats znał takie kobiety. Kiedy pisał o swej *la belle dame sans merci*, dziecięciu wrózki o długich włosach, stopach lekkich i dzikich „oczach”, to jakby tworzył portret Juniper Blythe.

Kobieta po drugiej stronie przejścia czekała na potwierdzenie i Thomas znów się uśmiechnął.

– Do narzeczonej – odrzekł, rozkoszując się tym słowem, tchnącym taką nadzieją na przyszłość, chociaż skrzywił się w myślach na jego nieadekwatność.

– Ach, jakie to urocze. Miło słyszeć szczęśliwe historie w takich okropnych czasach. Poznaliście się tutaj?

– Nie, to znaczy tak, spotkaliśmy się tu po raz pierwszy, ale naprawdę poznaliśmy się w Londynie.

– Londyn – powtórzyła ze zrozumieniem. – Kiedyś często odwiedzałam tam przyjaciółkę, a kiedy ostatnio wyszłam ze stacji Charing Cross... – Pokręciła głową. – Dziwny, stary Londyn. To straszne, co się stało. Czy pańska rodzina ucierpiała podczas nalotów?

– Jak dotąd mieliśmy szczęście.

– Długo pan jedzie?

– Wyruszyłem o jedenastej. Od tamtej pory przeżywam prawdziwą komedię omyłek.

Kobieta kręciła głową.

– Tak, te ciągłe przestoje, tłok i nieustanne kontrole tożsamości. No, ale grunt, że dotarł pan prawie na miejsce. Szkoda tylko, że pogoda taka brzydka. Mam nadzieję, że wziął pan z sobą parasolkę?

Nie wziął, mimo to skinął z uśmiechem głową, a potem znów zatopił się we własnych myślach.

✠

Saffy wzięła swój dziennik i poszła do salonu gościnnego. Tylko tutaj wieczorem napaliły, poza tym mimo wszystko piękny wystrój pokoju nadal sprawiał jej przyjemność. Ponieważ w fotelu zawsze czuła, jakby coś ją ograniczało, wybrała stół. Odsunęła jedno nakrycie, ostrożnie, żeby nie poruszyć sąsiednich; wiedziała, że to absurdalne, ale nadal nie rozstawała się z nadzieją, że może jeszcze wszyscy czworo zjedzą dziś razem kolację.

Nalała sobie whisky, po czym usiadła i otworzyła notes na ostatniej zapisanej stronie. Przeczytała ją jeszcze raz, aby wczuć się w nastrój tragicznej miłości Adeli. Westchnęła, kiedy tajemny świat jej książki wyciągnął ku niej ramiona i powitał ją w domu.

Ogłuszający grzmot wstrząsnął powietrzem i Saffy aż podskoczyła. Przypomniała sobie, że zamierzała przepisać na nowo scenę, w której William zerwał zaręczyny z Adele.

Biedna, kochana Adele. Oczywiście jej świat legnie w gruzach w czasie burzy, która rozdziera niebiosy na strzępy. Jakże mogło być inaczej?

Kiedy Matthew zerwał zaręczyny z Saffy, nie szalała burza, ale powinna. Siedzieli w bibliotece na małej kanapce przy drzwiach balkonowych. Dwanaście miesięcy po tej koszmarnej podróży do Londynu na premierę sztuki. Ciemny teatr, odrażający stwór wyłaniający się z fosy, wspinający się po murach, ryczący z bólu – to było makabryczne przeżycie.

Saffy nalała właśnie herbatę do dwóch filiżanek, kiedy Matthew powiedział:

– Myślę, że najlepiej dla nas dwojga będzie, jeśli zwrócimy sobie wolność.

– Zwrócimy... wolność? Ale... – Zamrugła. – Już mnie nie kochasz?

– Zawsze będę cię kochał, Saffy.

– Więc... czemu?

Włożyła na siebie najładniejszą, jadeitową suknię, kiedy się dowiedziała, że przyjeżdża, tę samą, którą miała na sobie w Londynie. Chciała, aby ją podziwiał, aby jej pragnął, tak jak tamtego dnia nad jeziorem. A teraz czuła się głupio.

– Dlaczego? – powtórzyła, z pogardą słysząc słabość w swoim głosie.

– Nigdy się nie pobierzemy, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Jak możemy żyć razem, skoro nie chcesz opuścić tego miejsca?

– Ależ chcę, pragnę tego z całego serca.

– Więc wyjedź ze mną, teraz, natychmiast...

– Nie mogę... – Wstała. – Już ci mówiłam.

Twarz wykrzywiła mu się z goryczy.

– Oczywiście, że możesz. Gdybyś mnie kochała, zrobiłabyś to. Wsiadłabyś ze mną do samochodu i pojechalibyśmy razem, byle dalej od tego koszmarnego, zapleśniałego miejsca. – Wstał i popatrzył na nią błagalnie. – Chodź, Saffy – powiedział, a uraza w jego głosie pierzchała bez śladu. Wskazał kapeluszem podjazd, gdzie przed domem stał zaparkowany jego automobil. – Wyjedźmy stąd, natychmiast, we dwoje.

Chciała powtórzyć: „Nie mogę”, błagać go, by ją zrozumiał, by okazał cierpliwość, poczekał na nią, ale milczała. W przeblýsku świadomości, jakby w świetle zapalanej nagle zapałki, pojęła, że nic nie może zrobić ani powiedzieć, aby Matthew zrozumiał. Paraliżująca panika na myśl, że miałyby opuścić zamek, mroczny, irracjonalny strach wbił w nią szpony, owinał ją skrzydłami, aż się zaczęła dusić, a świat rozmył jej się przed oczami. Była więźniem w tych zimnych, ciemnych murach, słabym i bezradnym jak dziecko.

– Chodź. – Sięgnął po jej dłoń. – Chodź – powtórzył to tak czule, że siedząc w salonie gościnnym szesnaście lat później, Saffy poczuła na skórze echo jego słów i ciepło rozprzestrzeniające się pod spódnicą.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu, chociaż wiedziała, że stoi na krawędzi przepaści, pod nią kotłuje się czarna otchłań wody, a mężczyzna, którego kocha, błaga, by pozwoliła mu się ocalić, nie wie, że nie da się jej uratować, że jego przeciwnik jest zbyt potężny.

– Miałeś rację – powiedziała, rzucając się w przepaść. – Najlepiej będzie, jeśli zwrócimy sobie wolność.

Nigdy więcej nie widziała Matthew ani swojej kuzynki Emily, która tylko czyhała na swoją szansę, zawsze patrzyła z zazdrością na to, czego pragnęła Saffy...

■

Kłoda. To tylko kawał pnia wyrzucony na brzeg przez wezbrane wody potoku. Percy ściągnęła go z podjazdu, klnąc pod nosem, kiedy ciężki kłoc skaleczył ją w ramię, i zastanawiając się, czy ma się cieszyć, czy żałować, że jej poszukiwania jeszcze się nie zakończyły. Już miała ruszyć dalej w stronę drogi, kiedy coś ją powstrzymało. Dziwne wrażenie, nie przecucie bynajmniej, raczej jakieś wewnętrzne poruszenie, cień obawy, jedna z tych rzeczy, które zdarzają się bliźniętom. Zastanawiała się, czy Saffy posłuchała jej rady i znalazła sobie zajęcie.

Stała na deszczu niezdecydowanie, spojrzała w kierunku drogi, potem znów na zaciemnioną sylwetkę zamku.

Nie całkiem jednak zaciemnioną. Zauważyła światło, małe, lecz jasne, wydobywające się z okna salonu gościnnego.

Przekłęte okiennice. Czemu ich porządnie nie naprawiła? To przeważało szalę. Tylko tego im teraz brakuje, żeby ściągnąć na siebie uwagę pana Potts'a i jego oddziału obrony terytorialnej. Ostatni raz spojrzała w stronę Tenterden Road, po czym odwróciła się i ruszyła z powrotem w stronę zamku.

■

Autobus zatrzymał się na poboczu i Thomas zeskoczył na ziemię. Łało jak z cebra i storczyki straciły chęć życia w tej samej chwili, gdy wysiadł z autobusu. Zastanawiał się przez chwilę, czy zniszczone kwiaty są lepsze od żadnych, aż w końcu cisnął gołe łodygi do zalanego rowu. Dobry żołnierz powinien wiedzieć, kiedy odtrąbić odwrót. Na pocieszenie został mu jeszcze dżem.

W nieprzeniknionej, mokrej ciemności zamajaczyła żelazna brama. Przyłożył dłoń i popchnął. Kiedy skrzydło ustąpiło, obrócił twarz na czarne niebo. Zamknął oczy i pozwolił, by woda spływała mu po policzkach. Nie było to przyjemne, ale bez parasola czy płaszczka przeciwdeszczowego nie miał innego wyjścia jak pogodzić się z tym. Spóźnił się, przemókł do suchej nitki, ale przynajmniej dotarł na miejsce.

Zamknął za sobą bramę, zarzucił torbę na ramię i ruszył podjazdem pod górę. Rety, ależ ciemności. Londyn podczas zaciemnienia to pestka w porównaniu z tym uczuciem, jakby się brodziło w smole. Wszystko przez tę paskudną pogodę i chmury, które zasłaniają wszystkie gwiazdy. Po prawej stronie majaczyła gęsta ściana, jeszcze ciemniejsza niż reszta. Domyślił się, że to las Cardarker. Znowu zerwał się wiatr i drzewa za-grzytały zębami. Wzdrygnął się i pomyślał o Juniper czekającej na niego w ciepłym, suchym zamku.

Krok za krokiem grzązł w rozmiętej ziemi. Minął zakręt, przeszedł przez mostek, gdzie woda przewalała się z szumem pod jego stopami.

Poszarpany rozbłysk światła sprawił, że Thomas stanął jak wryty. Boże, ależ to wspianiało: świat utonął w srebrystobiałym blasku, drzewa wzdychały splecione w zaciętych zmaganiach, na wzgórzu wznosił się

zamek z bladego kamienia, a kręty podjazd wrzynał się między drżące pola. Potem wszystko znów zapadło w ciemność, a przed oczami pozostał mu obraz oświetlonego widoku niczym fotograficzny negatyw i Thomas zorientował się, że nie jest sam w tych mokrych ciemnościach. Przed nim drogą szła inna postać, chyba mężczyzny, chociaż wyjątkowo smukła.

Zastanawiał się od niechcienia, co mogło wygonić człowieka na dwór w taką pogodę. Może w zamku spodziewają się też innego gościa, który również dotarł na miejsce spóźniony tak jak on, tak jak on złapany przez ulewę. Ta myśl podniosła go trochę na duchu, już miał zawołać – zawsze to raźniej zapukać do drzwi we dwójkę – lecz w tym momencie powietrze rozdarł tak ogłuszający grzmot, że nawet nie próbował go przekrzyknąć, a potem zrezygnował. Ruszył dalej, nie spuszczać oczu z miejsca, gdzie w świetle błyskawicy widział zamek.

Zauważył coś, kiedy podszedł kilkanaście kroków bliżej – maleńką szczelinę w ciemności. Zmarszczył brwi i zamrugał. Uprzytomnił sobie, że wcale mu się nie przywiduje, przed nim jaśniała plama złocistego światła, jasny promyk w murze fortecy. Przyszło mu do głowy, że to Juniper na niego czeka niczym syrena w starych baśniach, trzyma w ręku latarnię, aby jej ukochany trafił w czas sztormu do domu. Z nową otuchą i determinacją ruszył w stronę światła.

✠

Podczas gdy Percy i Thomas przedzierają się przez zasłonę deszczu, zamek Milderhurst tonie w ciszy i bezruchu. Na górze, w pokoiku na poddaszu Juniper śpi pogrążona w mrocznych snach. Na dole, w salonie gościnnym jej siostra Saffy, zmęczona pisaniem leży na szezlongu i unosi się na granicy snu. Za nią w kominku trzaska ogień, przed nią drzwi wejściowe prowadzą nad jezioro, gdzie odbywa się piknik. Jest piękny dzień późną wiosną 1922 roku, niebo wznosi się wysoko błękitne niczym szkło weneckie. Towarzystwo pływało w stawie, a teraz porzysiało się na kocach, popija koktajle i przegryza maleńkie kanapki.

Grupa młodzieży odłącza się od pozostałych, śniąc Saffy podąża za nimi, szczególnie uważnie obserwuje młodą parę na końcu: chłopca o imieniu Matthew i piękną, szesnastoletnią dziewczynę, Seraphinę. Znają się od dziecka, on jest przyjacielem jej dziwnych kuzynów z północy,

więc tata zaakceptował jego obecność. Przez lata biegali razem po łąkach i polach, łowili pstrągi, z wypiekami na twarzach przesiadywali w żniwa przy ogniskach. Coś jednak się między nimi zmieniło. Podczas tej wizyty Seraphina stała się w jego obecności małomówna, zauważyła, że Matthew ją obserwuje z jakimś wymownym napięciem w oczach, od którego piekły ją policzki. Od jego przyjazdu zamienili ledwo kilka słów.

Grupa, za którą idzie para młodych przyjaciół, zatrzymuje się, z młodzieńczą niedbałością rozkłada pod drzewami koce, ktoś wyjmuje ukulele, zapalają się papierosy, sypią dowcipy. Ona i on trzymają się na uboczu, nie rozmawiają z sobą, nawet na siebie nie patrzą. Siedzą i każde udaje, że z zainteresowaniem wypatruje czegoś na niebie, ogląda ptaki, słońce grające w listowiu, a myśli tylko o tych kilku centymetrach, które dzielą jej kolano od jego uda. Elektryczny impuls wypełnia tę przestrzeń. W uszach szepcze wiatr, liście wirują, woła szpak...

Ona gwałtownie chwytą powietrze i szybko zasłania usta, żeby nikt nie zauważył. Jego czubki palców musnęły brzeg jej dłoni, tak delikatnie, że mogłaby tego nie poczuć, gdyby cała jej uwaga nieskupiona była na tej zapierającej dech bliskości... W tym momencie śniąca kobieta wciela się w swoje młodsze alter ego. Już nie obserwuje zakochanych z daleka, tylko siedzi ze skrzyżowanymi nogami na kocu, z ręką wyciągniętą za plecami, sercem walącym w piersi, z nieskazoną radością i nadzieją młodości.

Nie ośmiela się patrzeć na Matthew, obrzuca szybkim spojrzeniem ich towarzyszy z grupy, zdziwiona, że nikt nie zauważył, co się dzieje, że świat kołysze się jak wahadło, a oni się zachowują, jakby nic się nie wydarzyło.

Spuszcza wzrok, płochliwie przebiega w dół po swoim ramieniu, do nadgarstka, aż wreszcie spogląda na swą płasko leżącą dłoń, na jego palce dotykające jej skóry.

Zbiera odwagę, aby podnieść wzrok, by przejść po moście, którym Matthew połączył ich ciała, i pozwolić swoim oczom dopełnić podróży, powędrować po jego ramieniu w górę, gdzie czeka na nią para roziskrzonych oczu, gdy nagle jej uwagę odwraca coś innego. Ciemny kształt na wzgórzu.

Jej ojciec, zawsze czujnie pełniący straż, poszedł za grupą młodzieży i obserwuje ich ze szczytu pagórka. Saffy czuje na sobie jego wzrok, wie, że zauważył palce Matthew muskające jej dłoń. Jej uwaga się rozprasza, policzki czerwienieją, lecz gdzieś głęboko coś się w niej porusza. Z jakiegoś powodu twarz taty, jego obecność na wzgórzu sprawiają, że wszystkie uczucia Saffy nabierają wyrazistości. Uprzytamnia sobie, że jej miłość do Matthew, bo oczywiście nie ma wątpliwości, że to miłość, dziwnie przypomina to, co czuje wobec ojca: potrzebę, by być podziwianą i potrzebną, by urzekać inteligencją i dowcipem...

✠

Saffy spała twardo na szezlongu przy kominku z pustą szklanką na kolanach, łagodnym, sennym uśmiechem na ustach i Percy odetchnęła z ulgą. W dalszym ciągu nie wiedziała, co spowodowało zanik pamięci Juniper, lecz przynajmniej w domu panował spokój.

Percy zeszła z parapetu i zeskoczyła na rozmokłą ziemię. Stara fosa szybko nabierała wody, błoto sięgało jej już do kostek. Tak jak się spodziewała, w oknie wisiała obłuzowana okiennica, lecz aby ją porządnie naprawić, będzie potrzebowała narzędzi.

Ruszyła wzdłuż muru w stronę drzwi kuchennych, pociągnęła je z całej siły i weszła do środka. Kontrast był uderzający. Ciepła, sucha kuchnia przepelniona zapachami mięsiwa, oświetlona bucującym, elektrycznym światłem przedstawiała obraz tak miłego, domowego zacisza, że Percy prawie wstrzymała oddech z pragnienia, by zrzucić z siebie przemoczone ubranie, kalosze, przepocone skarpety i zwinąć się w kłębek na dywaniku przed piecem, nie dbając o rzeczy, które domagały się załatwienia. Zasnąć z błogą, dziecięcą pewnością, że ktoś inny o wszystko zadba.

Z uśmiechem złapała węża swoich myśli za ogon i odrzuciła go od siebie. Nie ma czasu na fantazjowanie o słodkich smaczkach, a już na pewno o wygrzewaniu się pod piecem. Zamrugnęła, aby strząsnąć z rzęs spływające krople wody, i ruszyła po skrzynkę z narzędziami. Zabije dzisiaj okiennice na sztywno, a jutro naprawi je, jak należy.

✠

Sny Saffy wiją się jak wstęga; czas i miejsce się zmieniają, lecz centralny obraz pozostaje niczym ciemny kształt na siatkówce oczu zamkniętych przed blaskiem słońca.

Tata.

Jest teraz młodsza, ma dwanaście lat, wchodzi po schodach. Po obu stronach wznoszą się kamienne ściany, Saffy ogląda się przez ramię, ponieważ tata powiedział, że pielęgniarki przestaną do niego przychodzić, jeśli się dowiedzą. Jest 1917 rok, trwa wojna. Raymond Blythe wrócił z frontu do domu, ale otarł się o śmierć. Saffy wchodzi po schodach, ponieważ tata wymyślił nową zabawę: córka opowiada mu o rzeczach, których się boi, kiedy zostaje sama, lecz jego oczy zapalają się jakimś niezdrowym podnieceniem. Uprawiają tę grę od tygodnia.

Nagle cofa się we śnie o kilka dni. Nie wchodzi już po zimnych, kamiennych schodach, tylko leży w łóżku. Nagle budzi się przestraszona. Jest sama i przerażona. Wyciąga rękę do siostry, jak zawsze, kiedy natchodzą ją koszmary, lecz prześcieradło obok niej jest puste i zimne. Przez cały ranek snuje się po korytarzach, próbując wypełnić czymś dni, które utraciły kształt i treść, aby uciec przed koszmarem.

Siedzi teraz oparta o mur w pokoju pod krętymi schodami. Tylko tutaj czuje się bezpieczna. Z wieży dolatują dźwięki, kamienie wzdychają i śpiewają, a gdy tylko zamyka oczy, słyszy ten głos, który szepcze jej imię.

Przez jedną, radosną chwilę zdaje jej się, że to siostra wróciła, lecz po chwili zauważa go przez mgłę. Siedzi na drewnianej ławie pod oknem z laską na kolanach – tata, chociaż odmieniony, w niczym nie przypomina młodego, silnego mężczyzny, który pojechał na wojnę trzy lata temu.

Kiwa na nią ręką, a ona nie ma siły nie posłuchać.

Podchodzi powoli, lęka się go i jego nowych demonów.

– Brakowało mi was – mówi, kiedy staje przy nim. W jego głosie brzmi coś tak bardzo znajomego i bliskiego, że wzbiera w niej cała tęsknota, którą dusiła w sobie, kiedy go nie było. – Usiądź przy mnie i powiedz, czego się tak boisz.

Opowiada mu wszystko, o śnie, o mężczyźnie, który po nią idzie, o przerażającym człowieku, który żyje w mule.

W końcu Thomas dotarł do zamku i zorientował się, że to wcale nie jest lampa. Blask, za którym szedł, który świecił niczym latarnia morska, przyzywająca żeglarzy do domu, to światło elektryczne przesączające się z okna przez urwaną okiennicę i naruszające obowiązek zaciemnienia.

Kiedy wejdzie do środka, zaproponuje, że ją naprawi. Juniper mówiła, że jej siostry same zajmują się całym domem, wszyscy pracownicy wyjechali na wojnę. Thomas nie był wprawdzie wielkim fachowcem od takich robót, ale umiał się posługiwać młotkiem i gwoździemi.

Ta myśl podniosła go nieco na duchu. Brodząc po kostki w wodzie, podszedł do głównego wejścia i wszedł na schody. Przez chwilę stał bez ruchu, analizując swoją sytuację. Włosy, ubranie, buty wyglądały, jakby przepłynął wplaw kanał La Manche, ale przynajmniej dotarł na miejsce. Zsunął z ramienia torbę i zaczął w niej grzebać. Wyjął słoik z dżemem, obmacał go dookoła, czy przypadkiem szkło gdzieś nie pękło. Nie. Może szczęście wreszcie do niego powróciło. Z uśmiechem przecesał palcami włosy, aby je choć trochę uporządkować, zapukał do drzwi i z dżemem w rękę czekał, aż mu otworzą.

✠

Percy zakłęta i walnęła dłonią w pokrywkę skrzynki z narzędziami. Na miłość boską, gdzie się podział ten cholerny młotek? Łamała sobie głowę, gdzie mogła go położyć. Kiedy ostatnio go używała? Naprawiała kurnik Saffy, deski, które się obluźowały w żółtym salonie, poręcz na schodach w wieży... Nie pamiętała dokładnie momentu, kiedy odłożyła młotek z powrotem do skrzynki, ale na pewno to zrobiła. Zawsze pilnowała takich rzeczy.

Psiakrew.

Obmacała się z boku, wsunęła dłoń pod płaszcz przeciwdeszczowy, aby sięgnąć do kieszeni spodni, z ulgą złapała paczkę z tytoniem. Wstała, wygładziła bibułkę, osłoniła ją przed kroplami wody, które kapały jej z rękawów, z włosów, z nosa, potem nasypała trochę tytoniu do środka i polizła krawędź. Przez chwilę obracała papierosa w palcach, po czym podpaliła go i zaciągnęła się głęboko. Wdychała cudowny dym, wypuszczała z piersi frustrację.

Tylko zgubionego młotka jeszcze jej dzisiaj brakowało. Jakby nie dość miała problemów: Juniper wróciła z plamą krwi na bluzce i dziurą

w pamięci; w mieście i po zamku krążą plotki, że zamierza wyjść za mąż, a do tego to popołudniowe spotkanie z Lucy...

Znowu się zaciągnęła i wydmuchując dym, starła coś, co jej osiadło na powiece. Saffy nie zrobiła tego rozmyślnie, nie miała pojęcia o tym, co zaszło między nią a Lucy, ojej utraconej miłości. Percy była pod tym względem bardzo ostrożna. Oczywiście zawsze istniała możliwość, że jej siostra coś usłyszała lub podpatrzyła, lub w inny sposób domyśliła się tego, co Percy starała się ukryć, mimo to... Saffy nie była osobą, która rozdrapywałaby czyjeś rany. Kto jak kto, ale ona wiedziała dobrze, co to znaczy utracić miłość.

Usłyszała jakiś hałas i wstrzymała oddech. Nastawiła uszu, lecz odgłos się nie powtórzył. Przypomniała jej się śpiąca siostra i pusta szklanka kołysząca się jej na kolanach. Może Saffy się poruszyła i szkło upadło na podłogę. Popatrzyła w sufit, odczekała jeszcze pół minuty i z papierosem w ustach wróciła do przeszukiwania skrzynki z narzędziami. Nie ma czasu stać i lamentować nad tym, co było i nie wróci.

✠

Thomas zapukał jeszcze raz. Postawił stoik na ziemi obok drzwi, aby rozgrzać dłonie. To był wielki dom, kto wie, ile czasu zajmuje zejście z samej góry na dół? Minęła minuta, może dwie, odwrócił się i obserwując wodę lejącą się z okapu, rozmyślał nad tym, że człowiek może bardziej marznąć, stojąc przemoczony pod dachem, niż kiedy deszcz leje mu się prosto na głowę.

Popatrzył w dół i zauważył, że w pasie ziemi biegnącym wokół zamku zbiera się woda. Pewnego dnia w Londynie, kiedy leżeli w łóżku i Tom poprosił Juniper, aby mu opisała Milderhurst, powiedziała, że wokół zamku biegła kiedyś fosa, którą tata kazał zasypać po śmierci swojej pierwszej żony.

– Pewnie zrobił to z rozpaczy – zauważył wtedy Thomas.

Popatrzył na Juniper i wyobraził sobie, co by czuł, gdyby ją utracił. Doskonale rozumiał, do czego może doprowadzić człowieka taka żaloba.

– Nie, nie z rozpaczy, tylko przez wyrzuty sumienia – odparła, przeplatając kosmyk włosów między palcami.

Chciał ją zapytać, co to znaczy, lecz Juniper odwróciła się i usiadła na brzegu łóżka. Jej nagie, gładkie plecy aż się prosiły, aby je pogłaskać

i pytanie wyleciało mu z głowy. Nie powróciło więcej aż do tej pory. Odnutował sobie w pamięci, aby ją przy okazji zagadnąć o tę historię z fosą, kiedy pozna jej siostry, kiedy oznajmią im nowiny i kiedy znów zostaną sami.

Spojrzał na trójkąt światła na błotnistej powierzchni. Padał z okna z zepsutą okiennicą. Zaczął się zastanawiać, czy wystarczyłoby ją zawiesić z powrotem na zawiasie. Może powinien spróbować to zrobić od razu? Do okna nie było zbyt wysoko, przy odrobinie szczęścia zajmie mu to tylko chwilkę, a oszczędzi sobie wychodzenia na deszcz później, kiedy się umyje i wysuszy. No i mógłby pozyskać sobie wdzięczność obu siostr.

Uśmiechnął się szeroko, położył torbę koło drzwi i wyszedł z powrotem na deszcz.

✠

Od chwili gdy odwróciła się plecami do ognia trzaskającego w kominu, Saffy odbywała we śnie podróż w głąb siebie. Właśnie dociera do samego jądra. To miejsce ciszy, skąd na powierzchni umysłu rozcho-dzą się wszystkie zmarszczki snów, lęków i niepokojów. Siedziba jej starego demona.

Koszmar nawiedzał ją od dzieciństwa. Nigdy się nie zmienia, niczym przewinięta szpula z taśmą filmową, zawsze gotowa, aby odtworzyć ją na nowo. I nieważne, że była tam niezliczoną ilość razy, sen jest zawsze świeży, groza zawsze tak samo przerażająca.

Zaczyna się zawsze od przebudzenia, od myśli, że właśnie powróciła do rzeczywistego świata. Potem zauważa wokół siebie dziwną ciszę. Panuje przenikliwy ziąb. Jest sama. Zsuwa się po białym prześcieradle i stawia stopy na podłodze. Opiekunka śpi w sąsiednim pokoju. Jej powolny, miarowy oddech mógłby brzmieć uspokajająco, gdyby nie to, że w tym świecie symbolizuje nieprzebytą odległość.

Podchodzi powoli do okna. Coś ją tam przyciąga.

Wdrapuje się na szafkę z książkami, owija nogi koszulą nocną przed przenikliwym, grobowym chłodem. Podnosi dłoń, aby dotknąć zaparowanej szyby i wygląda w ciemność...

✠

Percy znalazła młotek. Naszukała się go i nakłęta co niemiara, lecz w

końcu jej dłoń trafiła na znajomy, drewniany kształt, wygładzony przez lata używania. Ze zwićśkim sapnięciem wyciągnęła go spod sterty kluczy i śrubokrętów i położyła obok siebie na podłodze. Potem otworzyła słoik i wysypała na rękę kilkanaście gwoździ. Podniosła jeden i mrużąc oczy, przyjrzała mu się pod światło. Uznała, że siedem centymetrów powinno wystarczyć, przynajmniej na jedną noc. Włożyła je do kieszeni płaszcza, złapała młotek i ruszyła z powrotem do drzwi.

✠

Nie zaczęło się najlepiej, to fakt. Kamień był bardziej śliski, niż sobie wyobrażał, i zanim zdążył cokolwiek zrobić, ześliznął się niemile zaskoczony do błotnistej fosy. Tego nie miał w planach, rzecz jasna, ale klnąc jak żołnierz, którym w końcu był, wziął się w garść, przetarł oczy grzbietem dłoni, żeby coś widzieć, i natarł na mur ze zdwojoną energią.

Nie ma rzeczy niemożliwych – tak krzyczał ich dowódca, kiedy przedzierali się przez Francję. Chcieć to móc!

W końcu udało mu się wspiąć na parapet okienny. Między kamieniami zauważył szczelinę, skąd wypadła zaprawa murarska i gdzie z łatwością mógł wsunąć stopę, aby znaleźć oparcie. Na szczęście futrynę oświetlało światło z pokoju i Thomas szybko się zorientował, że naprawa okiennicy przekracza jego obecne możliwości.

Tak bardzo się skupił na oknie, że nawet nie zauważył, co się dzieje w pokoju. Dopiero teraz spojrzął przez szybę i zobaczył scenę, którą można było uznać za kwintesencję ciepła i sielanki. Przy kominku spała piękna kobieta. W pierwszej chwili pomyślał nawet, że to Juniper, ale wtedy niewiasta drgnęła, jej rysy zeszytniały i Tom zorientował się od razu, że to jedna z jej starszych sióstr, Saffy, sądząc z opisów June – bliźniaczka o macierzyńskich instynktach, która zastępowała jej zmarłą matkę i cierpiała na napady paniki, przez co nie potrafiła opuścić zamku.

Nagle kobieta otworzyła oczy, aż Tom z zaskoczenia omal nie stracił równowagi. Odwróciła głowę w kierunku okna i ich spojrzenia się spotkały.

✠

Percy zobaczyła przy oknie mężczyznę, gdy tylko skręciła za róg. Na tle światła z salonu wyglądał jak goryl wspinający się po murze, przywierający do kamieni, zagląający do salonu gościnnego. Salonu, w którym spała Saffy. Coś zaczęło w niej tętnić, całe życie czuła na sobie obowiązek, by chronić swoje młodsze siostry. Zaciśnęła dłoń na drewnianym trzonku młotka i puściła się biegiem w stronę intruza.

✠

Wypaść przed siostrami Juniper na jakiegoś podglądacza, który tapla się w błocie pod oknem, było ostatnią rzeczą, o jakiej marzył Tom. Ale już go zobaczono, nie mógł tak po prostu zeskoczyć na ziemię, schować się i udawać, że nic się nie stało. Uśmiechnął się niepewnie, podniósł rękę, żeby pomachać, żeby zamanifestować swoje dobre intencje, ale opuścił ją szybko, uświadomiwszy sobie, że wymazał ją błotem.

O Boże, wstała i uśmiechnęła się. Idzie w jego kierunku. Pomimo zakłopotania widział całą niedorzeczność sytuacji, która z całą pewnością przerodzi się w przyszłości w ulubioną rodzinną anegdotę. „Pamiętasz, jak poznałyśmy Thomasa? Zjawił się w oknie oblepiony błotem i pomachał nam na dzień dobry”.

Na razie jednak mógł tylko stać i czekać, aż kobieta do niego podejdzie, powoli, jak we śnie, drżąc, jakby stała na lodowatym deszczu.

Wyciągnęła dłoń, żeby otworzyć okno. Thomas szukał odpowiednich słów, aby się wytłumaczyć, gdy tymczasem ona wzięła do ręki coś, co leżało na parapecie.

✠

Percy stanęła jak wryta. Mężczyzna zniknął. Na jej oczach zachwiało się i runął na ziemię. W oknie zobaczyła roztrzęsioną Saffy, ściskającą w dłoniach klucz francuski.

✠

Rozległ się ostry trzask i Thomas zastanawiał się, co to było. Gwałtowny, zaskakujący ruch. Jego własny. Spadanie. Coś zimnego na twarzy, mokrego. Odgłosy, skrzeczące, jazgotliwe, może ptaków? Skulił się i poczuł w ustach smak błota. Gdzie jest? Gdzie jest Juniper? Krople

deszczu bębniły o jego głowę. Czuł każdą z nich oddzielnie, jak muzykę, jakby ktoś szarpał za struny i wygrywał bardzo skomplikowaną melodię. Przypomniała mu się pewna szalona nawałnica, kiedy był jeszcze chłopcem, kiedy żył jego ojciec. Okropnie się bał. Było ciemno i głośno, schował się pod stołem kuchennym. Krzyczał, zaciskał oczy i pięści. Płakał tak przeraźliwie, że rozpacz zagłuszyła w nim wszystkie inne odgłosy, nie zauważył nawet, kiedy do kuchni wszedł tata. Wziął go w ramiona i przycisnął do siebie, mówiąc, że wszystko będzie dobrze. Słodki, cierpki zapach papierosów w jego oddechu podziałał uspokajająco. W ustach ojca te słowa brzmiały jak zaklęcie. Jak obietnica. I Thomas już się nie bał...

Gdzie on postawił dżem?

Dżem był najważniejszy. Mężczyzna z mieszkania w suterenie powiedział, że to jego najlepsza partia. Jeżyny wyszabrował i zużył kilku-miesięczny przydział cukru. Ale Thomas nie mógł sobie przypomnieć, gdzie go położył. Przywiózł go z Londynu w torbie, ale potem wyjął i gdzieś postawił. Pod stołem, kiedy chował się przed deszczem? Czy zabrał wtedy z sobą słoik z dżemem? Doszedł do wniosku, że powinien pójść go poszukać. Musi, to ma być prezent. Za chwileczkę wstanie i pójdzie go poszukać, a potem będzie się śmiał, że mógł go w ogóle zgubić. Ale to za chwilę, najpierw troszkę odpocznie.

Czuł się bardzo zmęczony. Tak bardzo zmęczony. To była długa podróż. Burzliwa noc, ciężki marsz pod górę, dzień pociągów, autobusów i spóźnień, ale co najważniejsze, ta podróż doprowadziła go do niej. Zaszedł tak daleko; czytał i uczył się, marzył i snuł plany na przyszłość. To naturalne, że potrzebuje odpoczynku, zamknie tylko oczy na krótką chwilę, odrobinę odpocznie, aby być gotowym, kiedy zjawi się Juniper...

Zamknął oczy i zobaczył miliony maleńkich gwiazd, które migwały i kołysały się. Były takie piękne, pragnął tylko móc na nie patrzeć, zdawało mu się, że nie ma nic wspanialszego na świecie, niż leżeć tak i przyglądać się tym gwiazdom. I leżał tak, obserwował, jak się unoszą i przesympują, przyszło mu nawet do głowy, że mogłyby ich dosięgnąć, wyciągnąć palec i złapać jedną. W końcu zobaczył, że między nimi coś się kryje. Twarz. Twarz Juniper. Jego serce rozwinęło skrzydła i zatrzepotało. Więc jednak przyjechała. Pochyliła się nisko, aby położyć dłoń na

=jego ramieniu, aby mu szepnąć czule do ucha. Słowa, które tak doskonale wszystko opisywały, że kiedy próbował je uchwycić, powtórzyć je sobie, zamieniły mu się w dłoniach w wodę. W oczach i na ustach miała gwiazdy, maleńkie, migoczące drobinki światła we włosach; i już jej nie słyszał, chociaż poruszała wargami, a gwiazdy mrugały, ponieważ blakła, nikła w ciemności i on również.

– June... – wyszeptał.

Ostatnie światełka zaczęły drżeć i gasnąć, gęste błoto wypełniło mu usta, gardło i nos, deszcz bębnił o głowę, a płucom zabrakło powietrza. Uśmiechnął się, bo poczuł na szyi jej pieszczotliwy oddech...

3.

Juniper poderwała się gwałtownie z okropnym, pulsującym bólem głowy i ustami zamulonymi od nienaturalnego snu. Czemu jej oczy są takie podrapane na powierzchni? Zamrugła i popatrzyła na sufit. Co to za miejsce? Belki i deszczułki wyglądały znajomo, lecz coś tu nie pasowało, coś było nie tak. Co się wydarzyło?

Wiedziała, czuła, że coś się stało. Ale co?

Nie pamiętam.

Powoli odwróciła głowę, bezład nienazwanych, urywanych myśli przetaczał się przez jej umysł. Rozejrzała się za jakimiś wskazówkami, lecz nie zobaczyła nic poza pustym prześcieradłem, półką pełną rupieci i bladym paskiem światła w uchylonych drzwiach.

Znała ten pokój: poddasze w Milderhurst. Leżała we własnym łóżku, po raz pierwszy od długiego czasu. Pamiętała inne mieszkanie na poddaszu, słoneczne, niepodobne do tego.

Nie mogę sobie przypomnieć.

Jest sama. Ta myśl zaświtała jej w głowie wyraźnie jakby wypisana czarnymi literami na białym papierze. Kogoś tu brakowało, a jego nieobecność sprawiła jej ból niczym świeża rana. Kogoś się tu spodziewała – mężczyzny, uprzytomniła sobie. Czekala na mężczyznę.

Spłynęła na nią fala złego przecucia. Zaniki pamięci zdarzały jej się już wcześniej, lecz tym razem było w tym coś więcej. Błądziła w ciemności, w garderobie własnego umysłu, lecz choć nie widziała, co się dzieje wokół niej, przepełniała ją pewność, przytłaczający strach, że coś przerażającego tkwi w środku zamknięte na klucz.

Nie pamiętam.

Zacisnęła powieki i zaczęła nasłuchiwać, na gwałt szukać czegoś, co

by jej pomogło sobie przypomnieć. Zniknęły odgłosy ruchliwego życia Londynu – autobusów, ludzi na ulicy, głosów z sąsiednich mieszkań, ale naczynia krwionośne zamku skrzypiały jak zawsze, kamienie wzdychały, a towarzyszył im inny, uporczywy odgłos – deszcz, lekki deszcz bębnił o dach.

Otworzyła oczy. Pamiętała deszcz.

Pamiętała, że zatrzymał się autobus.

Pamiętała krew.

Usiadła raptownie, zbyt zaaferowana tym nagłym wspomnieniem, tym przeblyskiem światła, żeby zważać na bolącą głowę. Pamiętała krew.

Czyja to była krew?

Strach przeciągnął się w niej, wyprostował nogi.

Potrzebuje przestrzeni. Zaczęła się dusić w tym ciepłym, wilgotnym, zawieszonym powietrzu na poddaszu.

Zsunęła nogi z łóżka i postawiła je na drewnianej podłodze. W całym pokoju leżały porozrzucane jej rzeczy, ale czuła się dziwnie od nich oddzielona. Ktoś próbował tu sprzątnąć, zrobić przejście przez chaos.

Wstała. Pamiętała krew.

Co jej kazało spojrzeć na ręce? Wzdrygnęła się. Coś na nich było. Wytarła dłonie o bluzkę i przeszedł ją dreszcz, bo rozpoznała ten gest. Przynęła palce do twarzy i plamy znikły. Cienie. To były tylko cienie.

Z ulgą, ale nadal rozstrojona podeszła na chwiejnych nogach do okna. Odsunęła czarną zasłonę i pociągnęła za uchwyty. Jej policzki musnęła fala świeżego, chłodnego powietrza.

Noc była bezksiężycowa i bezgwiazdka, lecz Juniper nie potrzebowała światła, żeby wiedzieć, co rozciąga się za oknem. Napierał na nią świat Milderhurst. Niewidoczne zwierzęta drżały w podszyciu. Wędrówny Potok śmiał się głośno w lesie, w oddali kwilił ptak. Gdzie się ukrywały ptaki podczas deszczu?

Coś tam się działo na dole, dokładnie pod oknem. Zobaczyła nikłe światło – lampę zawieszoną na kiju. Ktoś pracował na cmentarzu dla zwierząt.

Percy.

Percy z łopata.

Kopała.

Za nią leżało coś na ziemi. Duże. Nieruchome.

Percy odsunęła się na bok i oczy Juniper zrobiły się okrągłe. Wysłały wiadomość do jej przeciążonego umysłu, a wtedy w ciemnej garderobie zabłysło światło. Z oślepiającą jasnością zrosowała okropną, przerażającą prawdę, która się tam kryła, zło, które wyczuwała i które napępiała ją lękiem, lecz do którego nie mogła dotrzeć. Teraz je zobaczyła i nazwała, i groza rozplómiła każdy nerw w jej ciele.

„Jesteśmy tacy sami”, powiedział kiedyś tata. A potem opowiedział jej swoją makabryczną historię...

Przeciążone obwody wybuchły i światła zgasty.

▣

Przeklęte ręce.

Percy podniosła z kuchennej podłogi upuszczonego papierosa, włożyła go w usta i podpaliła zapałkę. Liczyła, że ta rutynowa czynność pomoże jej choć trochę odzyskać równowagę, ale nadzieja okazała się płonna. Ręka trzęsła jej się jak liść na wietrze. Płomień zgast, więc spróbowała ponownie. Skupiła całą uwagę na pocieraniu zapałki, na utrzymaniu przeklętego drewnianka nieruchomo, kiedy zaskwierczało i zaiskrzyło, kiedy zbliżała go do końcówki papierosa... Coś zauważyła – ciemną plamę po wewnętrznej stronie nadgarstka; wypuściła z ręki pudełko i zapaloną zapałkę.

Wszystko rozsypało się na kamiennej płycie, uklękła i zaczęła je zbierać pojedynczo i wkładać do środka. Nie spieszyła się, skupiła się bez reszty na tej prostej czynności, owinęła się nią wokół ramion jak opończę i pozapinała starannie wszystkie guziki.

To było błoto na nadgarstku, tylko błoto. Mała plamka, której nie zauważyła, kiedy stała przy umywalce i zeskrobywała ziemię z rąk, z twarzy, z ramion prawie do krwi.

Był strasznie ciężki.

Zdarzało jej się już wcześniej przenosić rannych i zabitych, razem z Dotem wyciągali ludzi ze zbombardowanych budynków, wkładali ich do ambulansu, a potem znowu przenosili z samochodu do szpitala. Wiedziała, że zwłoki ważą więcej niż żywi. Ale nie aż tak.

Był okropnie ciężki.

Zorientowała się, że nie żyje, gdy tylko wyciągnęła go z fosy. Nie

wiedziała, czy zmarł od uderzenia, czy udusił się mułem, ale nie miała wątpliwości, że nie oddycha. Mimo to próbowała go reanimować, choć był to raczej odruch spowodowany szokiem niż nadzieją, zrobiła wszystko, czego ją nauczono w szpitalu. Padał deszcz i dobrze, bo mogła udawać, że to nie łzy płyną jej po policzkach.

Jego twarz.

Zamknęła oczy, zacisnęła je z całej siły i nadal ją widziała. I nie miała wątpliwości, że będzie ją widzieć do końca życia.

Dotknęła czołem kolana. Twardy dotyk kości przyniósł ulgę, chłód na rozpalonym czole podziałał uspokajająco, prawie jak kontakt z drugim człowiekiem, ze spokojniejszą, starszą i mądrzejszą osobą, lepiej przygotowaną do zadań, które ją czekały.

Będzie musiała ułożyć list do jego rodziny, choć nie miała pojęcia, co im napisać. Na pewno nie prawdę. Sprawy zaszły za daleko. Była chwila, krótka, przelotna jak blask błyskawicy, gdy mogła postąpić inaczej – zadzwonić do inspektora Watkinsa i wyjaśnić mu wszystkie okoliczności tego nieszczęśliwego wypadku. Nie zrobiła tego. Bo jakie słowa mogłyby go przekonać, że to nie była wina Saffy? Ale list do rodziny musi napisać. Nie miała daru do wymyślania historii, lecz przecież potrzeba jest matką wynalazku, jakoś sobie poradzi.

Usłyszała hałas i podskoczyła. Odgłos doszedł ze schodów.

Wzięła się w garść, otarła dłońią mokre policzki, zła na siebie, na świat, na niego, na wszystko poza swoją bliźniaczą siostrą.

– Położyłam ją z powrotem do łóżka – oznajmiła Saffy w drzwiach.
– Miałaś rację, obudziła się i okropnie... Perce?

– Tu jestem – odparła Percy z zaciśniętym gardłem.

Saffy wyłoniła się zza stołu.

– Co ty robisz na tej... ojej. Poczekaj, pomogę ci.

Podczas gdy jej siostra, przykucnąwszy, zaczęła zbierać zapalki i wkładać je z powrotem do pudełka, Percy odsunęła się i spytała:

– Więc zasnęła z powrotem?

– Tak. Przebudziła się i wstała. Widocznie tabletki nie były aż tak silne, jak sądziłyśmy. Dałam jej następną.

Percy potarła płamę z błota na nadgarstku i skinęła głową.

– Była w okropnym stanie, biedne maleństwo. Robiłam, co mogłam, żeby ją uspokoić. Powiedziałam, że wszystko będzie dobrze, że jej

młodego towarzysza musiało coś zatrzymać w drodze i że na pewno przyjedzie jutro. Przyjedzie, Perce, prawda? Co się stało? Czemu tak na mnie patrzysz?

Percy pokręciła głową.

– Nie przerażaj mnie – pisnęła Saffy.

– Na pewno przyjedzie – powiedziała Percy, kładąc dłoń na ramieniu siostry. Masz rację, musimy być cierpliwe.

Saffy odetchnęła z ulgą. Wskazała na niezapalonego papierosa i podała bliźniacze pudełko z zapalnikami.

– Masz, będziesz ich potrzebować, jeśli zamierzasz dalej palić.

Wstała, wygładziła ciasną, zieloną sukienkę. Percy zduśiła w sobie chęć, aby porwać to przekłete ubranie na strzępy, aby wrzeszczeć, płakać i niszczyć.

– Oczywiście masz rację – ciągnęła Saffy. – Musimy być cierpliwe. Juniper rano poczuje się lepiej. Rankiem wszystko wygląda inaczej, prawda? Na razie zajmę się sprzątnięciem stołu.

– Tak będzie najlepiej.

– Nie ma nic równie żalnego jak stół nakryty do przyjęcia, które się nie odbyło... ojej! – Przystanąła, widząc bałagan przy drzwiach. – Co tu się stało?

– Byłam trochę nieostrożna.

– Och... – Saffy podeszła bliżej. – To wygląda na dżem. Cały słoik. Jaka szkoda!

Percy znalazła go przy drzwiach, kiedy wracała do domu z łopatą. Burza już przycichła, chmury pomału się rozplywały i kilka odważnych gwiazd przedarło się przez zasłonę nocy. Najpierw zobaczyła jego torbę, a obok słoik z dżemem.

– Perce, jeśli jesteś głodna, mogę ci podać królika.

Saffy schyliła się, żeby sprzątnąć potłuczone szkło.

– Nie chce mi się jeść.

Weszła do kuchni, położyła torbę i dżem na stole, usiadła na krześle i wpatrywała się w nie martwym wzrokiem. Minęły całe wieki, zanim impuls został przekazany z mózgu do ręki, aby otworzyła torbę i zobaczyła, kim był jej właściciel. Naturalnie wiedziała, że mężczyzna, którego pogrzebała, to musi być on, ale nie zaszkodzi się upewnić. Drżącymi

palcami sięgnęła do torby i zrzuciła słoik na podłogę. Szkoda. Takie marnotrawstwo.

Niewiele rzeczy znalazła w środku. Zmiana bielizny, portfel z niewielką ilością pieniędzy, lecz bez żadnego adresu, notes w skórzanej okładce. W notesie listy. Jeden od Juniper – Percy nigdy się nie zdobędzie, aby go przeczytać – drugi od mężczyzny o imieniu Theo, który był bratem Thomasa. Wie o tym, ponieważ ten drugi list przeczytała. Oddała się z pokorą makabrycznej lekturze korespondencji zabitego człowieka i dowiedziała się o jego rodzinie więcej, niżby sobie tego życzyła: o matce, która była wdową, o siostrach i ich maleńkich dzieciach, o niedorozwiniętym bracie, którego starsze rodzeństwo kochało nad życie. Zmusiła się, by przeczytać każde słowo dwa razy, wiedzona na wpół sformułowanym przekonaniem, że wymierza sobie karę i pokutę, która w jakiś sposób zadośćuczyni zmarłemu jego tragiczny los. Idiotyczny pomysł. Niczym nie odkupią wyrządzonych krzywd, poza może szczerym wyznaniem winy.

Lecz czy istnieje jakiś sposób, by napisać im prawdę? Jakaś szansa, by zrozumieli, jak do tego doszło, że był to wypadek, przerażający wypadek, a jej siostra nie jest niczemu winna? Że Saffy, biedna Saffy, jest ostatnią osobą na tym świecie, która chciałaby kogoś skrzywdzić? Że jeśli kogoś można obarczać winą, to ich ojca Raymonda Blythe'a?

Nie. Od nikogo nie można oczekiwać, by ujrzał tę sprawę w takim świetle. Nie potrafiliby zrozumieć, co znaczy dorastać pośród upiórów powieści. Percy z goryczą pomyślała o makabrycznym dziedzictwie *Człowieka z Błota*. To, co się wydarzyło dziś w nocy, co nieświadomie uczyniła Saffy, to było przekleństwo Raymonda Blythe'a. W dzieciństwie ojciec czytał im Milтона. *Obróci się zło przeciw samemu sobie*. Milton miał rację, bo one do tej pory płaciły za zło popełnione przez tatę.

Nie, nie ma mowy o prawdzie. Napisze jego rodzinie coś innego, na adres, który znalazła w torbie – Henshaw Street w Londynie. Torbę zniszczy lub schowa, najlepiej w zamkowym archiwum... Co za sentymentalna idiotka – pogrzebać człowieka, ale nie móc się zdobyć na wyrzucenie jego osobistych rzeczy. Będzie do końca życia dźwigać ciężar prawdy i własnego kłamstwa. Bez względu na wszystkie inne uczynki taty w jednej sprawie miał rację – to na niej spoczywa odpowiedzialność za siostry i ona musi dopilnować, aby nigdy się nie rozstały.

– Idziesz na górę, Perce?

Saffy sprzątnęła dżem i trzymała w ręku dzbanek z wodą.

– Mam jeszcze kilka rzeczy do zrobienia na dole. W latarce trzeba wymienić baterie...

– Wobec tego zaniosę wodę Juniper. Biednemu aniołkowi chce się pić. Więc do zobaczenia za chwilę?

– Zajrzę do niej po drodze na górę.

– Nie siedź tu długo, Perce.

– Nie będę. Niedługo do ciebie przyjdę.

Saffy zatrzymała się z wahaniem pod schodami, obejrzała się jeszcze i uśmiechnęła łagodnie i trochę nerwowo, jakby wstyd jej było mówić sentymentalne rzeczy w taką noc.

– Przynajmniej jesteśmy razem – powiedziała. – To jednak coś, prawda, Perce? Wszystkie trzy znowu razem.

■

Saffy przesiedziała całą noc na fotelu w pokoju Juniper. Szyja jej zeszywniała i zmarzła, mimo że przykryła sobie nogi kocem. Ale nie wyszła, nawet jej nie kusiło własne, ciepłutkie łóżko na dole, skoro była potrzebna tutaj. Czasem myślała sobie, że były to najszczęśliwsze chwile w jej życiu – kiedy pielęgnowała Juniper. Chciałaby mieć własne dzieci, bardzo by chciała.

Juniper się poruszyła i Saffy poderwała się na równe nogi. Pogłaskała wilgotne czoło, myśląc o wszystkich demonach, które kłębią się w głowie jej małej siostrzyczki.

Krew na bluzce.

Tym razem było się o co martwić, lecz Saffy postanowiła za dużo nad tym nie rozmyślać. Percy się tym zajmie. Droga, opiekuńcza Percy zawsze wie, co robić.

Juniper znowu znieruchomiała i zaczęła oddychać spokojniej. Saffy usiadła. Nogi ją bolały od ciągłego napięcia, dawno nie czuła się taka zmęczona. Ale nie chciała zasypiać, ta noc pełna była dziwacznych fantazji. Za nic w świecie nie wzięłaby tego lekarstwa taty, gdyby wiedziała, że sprowadzi na nią najkoszmarniejszy sen, jaki w życiu miała. Śniło jej się to samo od wczesnego dzieciństwa, lecz nigdy aż tak realistycznie jak dzisiaj w salonie.

To przez tę tabletkę i whisky, i tę okropną burzę. Coś ją zbudziło w środku snu, jakiś hałas przy oknie. Wstała i poszła sprawdzić. Na dworze jakiś mężczyzna wspinał się po murze, czarny jak lak do pieczęci, jak zwęglone ciało. Zobaczyła go w świetle błyskawicy – piękną, olśniewającą, młodą twarz pod nikczemną maską Człowieka z Błota. Malowało się na niej zaskoczenie, na ustach nieśmiały uśmiech, dokładnie tak, jak w jej śnie, jak tata opisał w książce. Darem Człowieka z Błota było jego urzekające oblicze. Wzięła coś do ręki, nie pamięta, co to było, zamachnęła się z całej siły i uderzyła go w głowę. Wytrzeszczył oczy ze zdziwienia, potem ześliznął się po murze i runął do fosy, tam skąd przyszedł.

4.

Tej samej nocy w pobliskim miasteczku kobieta przytuliła do piersi swe nowo narodzone dziecko i pogładziła palcem brzoskwiniowy policzek. Jej mąż wróci do domu za kilka godzin, zmęczony po nocnej służbie. Kobieta, która nie wyszła jeszcze z oszołomienia po niespodziewanym i ciężkim porodzie, przypominała sobie teraz szczegóły tego niesamowitego popołudnia: zaczęło się w autobusie, nagłe bóle, aż wirowało jej w głowie, krwawienie i paraliżujący strach, że jej dziecko umrze, że ona umrze, że nigdy nie weźmie w ramiona swego nienarodzonego synka. Wtedy na jej ustach pojawia się zmęczony, lecz zachwycony uśmiech; opowie mężowi o aniele, który zjawił się przy niej na drodze, uklęknął i uratował życie jej dziecka.

Od tej pory ta historia zamieni się w rodzinną legendę, przekazywaną z ust do ust, z pokolenia na pokolenie, wskrzeszaną w deszczowe wieczory przy kominku, przywoływaną, by zażegnać zbyt zagorzałe dyskusje, opowiadaną podczas rodzinnych uroczystości. Czas będzie pędził naprzód, miesiące, lata, dekady, aż w pięćdziesiąte urodziny dziecka jego owdowiała matka będzie patrzeć z wyściełanego krzesła u szczytu stołu, jak jej dzieci wznoszą toast, recytując rodzinną opowieść o aniele, który uratował życie ich ojca i bez którego nie byłoby ich na świecie.

✠

Thomas Cavill nie pojechał ze swoim pułkiem na rzeź w północnej Afryce. Leżał pogrzebany w ziemi pod murami zamku Milderhurst. Zginął, ponieważ w nocy padał deszcz, ponieważ okiennica urwała się z zawiasu, ponieważ chciał się przypodobać rodzinie swojej narzeczonej. Zginął, ponieważ wiele lat przedtem zazdrosny mąż zastał swoją żonę z innym mężczyzną.

Przez wiele lat nikt o tym nie wiedział. Burza minęła, woda opadła, a las Cardarker rozwinął nad zamkiem opiekuńcze skrzydła. Świat zapomniał o Thomasie Cavillu, a wszelkie pytania o jego los utonęły w gruzach drugiej wojny światowej.

Percy wysłała list do jego rodziny, stek podłych kłamstw, który będzie ją prześladował do końca życia. Saffy odrzuciła posadę guwernantki, ponieważ Juniper potrzebowała jej opieki, więc cóż innego mogła zrobić? Nad głowami latały samoloty, wojna się skończyła, niebo patrzyło z góry na kolejne lata mijające na ziemi.

Siostry Blythe się starzały i w miarę upływu czasu stawały się w miasteczku staroświecką osobliwością, a wreszcie legendą.

Aż pewnego dnia w zamku zjawiała się młoda kobieta i kamienie zaczęły szeptać. Percy Blythe zrozumiała, że nadszedł czas, aby zrzuciła wreszcie z barków brzemie, które dźwigała przez pięćdziesiąt lat, i zwróciła Thomasowi Cavillovi jego datę śmierci. Historia mogła ujrzeć swoje zakończenie.

To czyniąc, Percy Blythe złożyła na ręce młodej kobiety obowiązek uczynienia z opowiedzianą historią tego, co uzna za słuszne.

Pozostało przed nią tylko jedno zadanie.

Zebrała swoje ukochane siostry i dopilnowała, aby zasnęły mocnym, pełnym marzeń snem. A potem zapaliła w bibliotece zapałkę, tam gdzie wszystko się zaczęło.

Epilog

Przez dziesiątki lat strych pełnił funkcję magazynu, składowiska pudeł, starych krzeseł i materiałów drukarskich. W budynku mieści się wydawnictwo, więc ściany przesiąkły zapachem papieru i farby drukarskiej. To miły zapach, oczywiście jeśli się go lubi.

Jest 1933 rok, remont trwał wiele miesięcy, lecz wreszcie dobiegł końca. Uprzątnięto graciarnię; ściana, którą kiedyś wzniesiono, aby z jednego nękanego przeciągami strychu zrobić dwie mansardy, znikła i po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat poddasze wiktoriańskiej kamienicy Herberta Billinga ma nową lokatorkę.

Rozlega się pukanie do drzwi i młoda kobieta schodzi z parapetu, aby pobiec do drzwi. Jest to wyjątkowo szeroki parapet, doskonały do przesiadywania. Dziewczynę ciągnie do okna. Mieszkanie wychodzi na południe, więc zawsze świeci w nim słońce, szczególnie w lipcu. Lubi spoglądać z niego na ogród przylegający do ulicy i karmić wróble, które zaczęły się do niej zlatywać po okruszki chleba. Zastanawia się, skąd się wzięły ciemne plamy na parapecie, jakby z wiśni, bo przebijają nawet spod warstwy świeżej, białej farby.

Edie Burchill otwiera drzwi i mile zaskoczona widzi w nich swoją matkę. Meredith wręcza jej gałązkę kapryfolium, mówiąc:

– Zobaczyłam je rosnące na płocie i nie mogłam się oprzeć, żeby ci jednej nie przynieść. Nic tak nie rozjaśnia mieszkania jak kapryfolium. Masz jakiś wazon?

Edie nie ma jeszcze wazonu, ale sobie poradzi. Koło umywalki stoi słoik po dzemie, został tu po remoncie. Edie napełnia go wodą i wkłada do środka kapryfolium, po czym stawia je na parapecie, na słońcu.

- Gdzie tata? – pyta. – Nie przyszedł z tobą?
- Odkrył Dickensa. Siedzi zagrzebany po uszy w *Samotni*.
- Aha. Obawiam się, że na jakiś czas naprawdę go straciłaś – mówi

Edie.

Meredith sięga do torby, wyciąga ze środka plik papierów i potrząsa nim nad głową.

- Skończyłaś! – woła Edie, klaszcząc w dłonie.
- Tak.
- A to egzemplarz dla mnie?
- Specjalnie dałam go do oprawienia.

Edie uśmiecha się szeroko i bierze od mamy manuskrypt.

- Wspaniale, mamusiu. Gratuluję.
- Miałam dać ci go jutro, kiedy przyjedziesz – powiedziała Meredith, rumieniąc się – ale nie mogłam się doczekać. Chciałam, żebyś przeczytała go pierwsza.
- Mam nadzieję! O której zaczynają się twoje zajęcia?
- O trzeciej.
- Odprowadzę cię. Wybieram się właśnie do Theo.

Edie przytrzymuje matce drzwi. Już prawie przechodzi przez próg, gdy nagle coś jej się przypomina. Jest umówiona wieczorem na drinka z Adamem Gilbertem, aby uczcić nową edycję *Człowieka z Błota* i obiecała mu pokazać swoje pierwsze wydanie *Jane Eyre*. Dostała je w prezencie od Herberta za to, że zgodziła się przejąć kierownictwo Billing & Brown.

Odwraca się szybko i przez ułamek sekundy widzi na parapecie dwie postaci – mężczyznę i kobietę, siedzących obok siebie tak blisko, że ich czoła się prawie stykają.

Kiedy mruga powiekami, obraz znika, pozostaje tylko promień słońca na parapecie.

To nie jest pierwszy raz. Zdarza się od czasu do czasu, zwykle niespodziewanie, na granicy pola widzenia. Wie, że to tylko gra światła na białej ścianie, ale Edie lubi bujać w obłokach i pozwala sobie myśleć, że kiedyś, dawno temu, na poddaszu, które teraz należy do niej, mieszkała szczęśliwa para, że to oni zostawili na parapecie płamę po dżemie wiśniowym, że to ich szczęściem przesiąkły ściany jej mansardy.

Bo każdy, kto ją odwiedza, mówi to samo:

– Wiesz, w tym pokoju panuje dobra atmosfera.

I to prawda. Edie nie umie tego wyjaśnić, ale to poddasze ma naprawdę szczególny urok. To szczęśliwe miejsce.

– Idziesz, Edie?

To Meredith wystawia głowę zza drzwi, niecierpliw się, aby iść na swoje ukochane warsztaty pisarskie.

– Już lecę.

Edie łapie *Jane Eyre*, zerka na swoje odbicie w małym lusterku nad porcelanową umywalką i wybiega za matką.

Drzwi się za nimi zamykają i widmowi kochankowie znów zostają sami w cichym, ciepłym mieszkaniu na poddaszu.

Podziękowania

Pragnę szczerze podziękować wszystkim tym, którzy czytali i komentowali wersje robocze *Milczącego zamku*, szczególnie Davinowi Pattersonowi, Kim Wilkins i Julii Kretschmer; mojej przyjaciółce i agentce Selwie Anthony za to, że tak doskonale się mną opiekuje; Diane Morton za szybkie przeczytanie ostatnich stron i całej mojej rodzinie – Mortonom, Pattersonom, a zwłaszcza Oliverowi i Louisowi – oraz przyjaciołom za to, że pozwalali, bym wymykała się do zamku Milderhurst, i za to, że byli przy mnie, gdy potykając się, wracałam ze wzgórze, oszołomiona, strapiona, a nawet odrobinę nieobecna.

Mam zaszczyt pracować z cudowną, międzynarodową grupą redakcyjną i za ich niestrudzoną pracę, niekończące się wsparcie oraz starania, by *Milczący zamek* trafił na czas do druku, pragnę szczerze podziękować Annette Barlow i Clarze Finlay z Allen & Unwin, Australia; Marii Rejt, Eli Dryden i Sophie Orme z Pan MacMillan, Wielka Brytania, oraz Liz Cowen, której wiedza ogólna nie przestaje mnie zadziwiać. Wielkie dzięki należą się także Lisie Keim, Judith Kerr i pracownikom Atria Books, USA, podobnie jak wszystkim moim wydawcom, za ich nieustające oddanie mnie i moim książkom.

Dziękuję również Robertowi Gormanowi z Allen & Unwin za zaangażowanie; Sammy i Simonowi z Bookhouse – byli niezwykle cierpliwi i precyzyjni w kwestii składania moich słów; Clive'owi Harrisowi, który pokazał mi, że Londyn wciąż nosi blizny bombardowań z lat 1940-1941 – trzeba tylko wiedzieć, gdzie ich szukać; artystom i projektantom, którzy zamknęli *Milczący zamek* w tak pięknych obwolutach; księgarzom i bibliotekarzom, którzy rozumieją, że opowieści z dawnych czasów są czymś wyjątkowym; i ku pamięci Herberta i Rity Daviesów.

Na końcu pragnę podziękować moim czytelnikom. Bez Was byłaby to tylko połowiczna przyjemność.

Milczący zamek narodził się jako pojedyncza myśl o siostrach żyjących w zamku na wzgórzu. Dalsze inspiracje czerpałam z rozmaitych źródeł, w tym z ilustracji, fotografii, map, wierszy, pamiętników, masowych badań socjologicznych, opublikowanych w Internecie relacji z drugiej wojny światowej, wystawy *Children 's War* w The Imperial War Museum, wypraw do zamków i wiejskich rezydencji, powieści i filmów z lat trzydziestych i czterdziestych dwudziestego wieku, historii o duchach i powieści gotyckich z osiemnastego i dziewiętnastego wieku. Ponieważ nie jestem w stanie wymienić wszystkich źródeł literatury faktu, po które sięgałam, pisząc *Milczący zamek*, wymienię niektóre z moich ulubionych: Nicola Beauman, *A Very Great Profession* (1995); Katherine Bradley-Hole, *Lost Gardens of England* (2008); Ann De Courcy, *Debs at War* (2005); Mark Girouard, *Life in the English Country House* (1979); Susan Goodman, *Children of War* (2005); Juliet Gardiner, *Wartime Britain 1939-1945* (2004); Juliet Gardiner, *The Children 's War* (2005); Vere Hodgson, *Few Eggs and No Oranges: The Diaries of Vere Hodgson 1940-45* (1998); Gina Hughes, *A Harvest of Memories: A War-time Evacuee in Kent* (2005); Richard Broad i Suzie Fleming (ed.) *Nella Last's War: The Second World War Diaries of Housewife 49* (1981); Norman Longmate, *How We Lived Then: A History of Everyday Life in the Second World War* (1971); Raynes Minns, *Bombers & Mash: The Domestic Front 1939-45* (1988); Mathilde Wolff-Mônckeberg, *On the Other Side: Letters to My Children from Germany 1940-1946* (1979); Jeffrey Musson, *The English Manor House* (1999); Adam Nicolson, *Sissinghurst* (2008); Virginia Nicolson, *Singled Out* (2007); Miranda Seymour, *In My Father's House* (2007); Christopher Simon Sykes, *Country House Camera* (1980); Ben Wicks, *No Time to Wave Goodbye* (1989); Sandra Koa Wing, *Our Longest Days* (2007); Philip Ziegler, *London at War 1939-1945* (1995).